



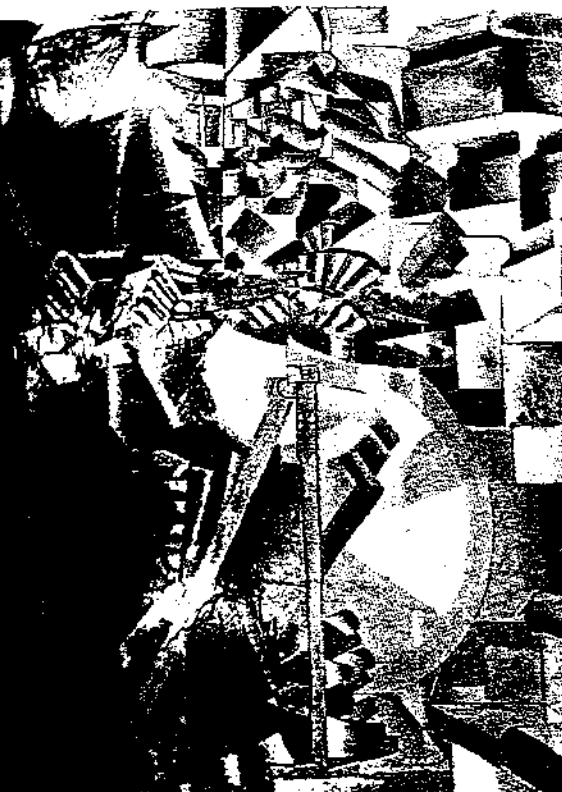
HUGO STEINHAUS, światowej sławy polski matematyk, urodził się 14 stycznia 1887 r. w Jasle; zmarł 25 lutego 1972 r. we Wrocławiu.

Steinhaus studiował matematykę we Lwowie i Getyndze. Od 1916 do 1941 roku związany był z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie wraz ze Stefanem Banachem stworzyli tzw. Lwowską Szkołę Matematyczną.

Od 1945 r. wraz z tymi, którzy przeżyli we Lwowie obie (sowiecką i hitlerowską) okupacje, organizował życie uniwersyteckie we Wrocławiu. Opublikował około 250 prac naukowych, przeważnie po angielsku, francusku i niemiecku. Steinhaus był również zainteresowany popularyzacją matematyki. Jego książka *Kalejdoskop matematyczny*, która ukazała się w 1938 r. po angielsku i po polsku, miała wiele wznowień i została przetłumaczona na 10 języków.

Wspomnienia i zapiski to panorama całej epoki – dwie wojny światowe, walka w Legionach, opis przedwojennego Jasła i Lwowa, uniwersytetów polskich i zagranicznych, błyskotliwa (i złośliwa) obserwacja zmian politycznych w kraju oraz na świecie, a ponieważ ich Autor uważany był przez wielu za jednego z najbardziej dowcipnych ludzi w Polsce, ta książka stała się z uśmiechem.

HUGO STEINHAUS



WSPOMNIENIA

Opis nr: 11272
pole: 001: kn 39001272
Opracowanie: Aleksandra Zgorzelska

Na okładce wykorzystano reprodukcję obrazu
Kazimierza Malewicza, *Szlifierz* (1912), olej, 80 x 80 cm.

Wspomnienia i zapiski
(Memoires and Notes)
ISBN 0 906601 99 1

Published by Aneks Publishers
61 Dorset Road, London W5 4HX



Wszystkie prawa zastrzeżone
Zezwolenie na przedruk lub tłumaczenie
należy uzyskać zwracając się do Wydawnictwa Aneks

© Lidia Kottowa, 1992
For this edition © Aneks Publishers 1992

All rights reserved
Permission for reprints, translations or reproductions
must be obtained in writing from Aneks Publishers

Fotoskład: Libra Books
63 Jeddo Road, London W12 9EE
Printed and bound by Cox & Wyman Ltd., Great Britain

K 37/93

Spis treści

Kazimierz Dziewanowski – <i>Przedmowa</i>	i
CZĘŚĆ I	
<i>Jasło</i>	5
<i>Gimnazjum</i>	15
<i>W stołecznym Lwowie</i>	33
<i>Getynga</i>	38
<i>Powrót do domu</i>	68
<i>Żywoć prywatnego uczonego</i>	78
CZĘŚĆ II	
<i>W uniwersyteckim Lwowie</i>	93
<i>Pierwsza okupacja</i>	168
<i>Migawki pamięci</i>	205
<i>Druga okupacja</i>	209
<i>Tulaczka</i>	213
<i>Osiczyna</i>	228
<i>Migawki pamięci</i>	235
<i>Stróże</i>	243
<i>Zapiski bieżące</i>	281
<i>Migawka pamięci</i>	284
<i>Zapiski bieżące</i>	284
<i>Między Krakowem a Wrocławiem</i>	329
<i>Wrocław</i>	337
<i>Łyk Ameryki</i>	367
<i>Znowu Wrocław</i>	378
<i>Znowu Ameryka</i>	502
<i>Z powrotem w domu</i>	508
<i>Indeks nazwisk</i>	569

Wspomnienia i zapiski Hugona Steinhausa publikujemy z nieznacznymi skrótami. Część I ukazała się w miesięczniku „Znak” w 1970 r. (nr 187, styczeń, s. 42-106 oraz nr 188/189, luty-marzec, s. 306-338); część II (5 tomów, 727 kart) zdeponowana jest w Bibliotece Zakładu Naukowego im. Ossolińskich we Wrocławiu pod sygnaturą 16189/II.

Przedmowa

Oto macie Państwo w ręku pamiętniki Hugona Steinhausa: głośnego matematyka, jednego z twórców „polskiej szkoły matematycznej”, świetnego wykładowcy, a zarazem znakomitego pisarza – i jednego z najbardziej interesujących ludzi, jakich dane mi było spotkać w życiu. Człowieka o przenikliwym spojrzeniu, ciętym dowcipie (który przysparzał mu wielbicieli, ale i wrogów) i pewnym specyficznym krytyczno-sceptycznym spojrzeniu na świat i ludzi, spojrzeniu, które wręcz olśniło mnie, kiedy miałem po raz pierwszy okazję i radość odbycia z Nim rozmowy. Wiem, że wielu innych ludzi, wśród nich i najwybitniejsi, też ulegało temu olśnieniu.

W tej pierwszej rozmowie profesor Steinhaus próbował wyjaśnić zupełnie laikowi, który nigdy nie wyszedł w matematyce poza to, czego uczą w liceach, czym jest ta nauka i na czym polega jego praca. Powiedział mi wówczas (a ja zanotowałem) mniej więcej coś takiego. Mówią, że jest to nauka o liczbach. Tak napisał Robbins-Courtant w swej znanej książce: *What is Mathematics*. Ale to nie jest słuszne. Matematyka wyższa obejmuje wiele dziedzin nieliczbowych. Można natomiast powiedzieć, że matematyka jest najbardziej wysublimowaną abstrakcją, najbardziej czystą nauką, w której wszystko odbywa się między umysłem człowieka a kartką papieru. I więcej nie ma nic; ani wzrok, ani słuch, ani dotyk nie odgrywają tu roli.

Nie można też liczyć, że „to się kiedykolwiek przyda”. Wprawdzie wiele rzeczy z odkryć matematycznych „przydało się”. Nie byłoby współczesnego świata, gdyby nie było matematyki. Nie byłoby lotów do innych planet i wyzwolonej energii atomowej, nie byłoby stalowych mostów i Głównego Urzędu Statystycznego, komunikacji międzynarodowej, gier liczbowych, radia, radaru i precyzyjnych bombardowań, badań opinii publicznej i sterowania wielkimi procesami produkcyjnymi. To prawda. Ale matematyka nie jest tym, co nazywamy nauką użytkową. Całe gałęzie matematyki rozwijają się, choć nie ma dla nich jeszcze zastosowania i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie. Na przykład liczb „pierwszych”, to jest takich, które

są niepodzielne, jest nieskończona ilość. Wśród nich są bliźnięta, na przykład 3 i 5, 5 i 7, 11 i 13, 17 i 19. Jest prawdopodobne, że również i „bliźniąt” jest nieskończona ilość. Nikt tego jednak dotąd nie udowodnił, ale byli tacy, którzy poświęcili wiele lat temu zagadnieniu, choć wiadomo, że to się do niczego nie przyda.

Świetny polski matematyk, zmarły Zygmunt Janiszewski, napisał: „Zajmuję się matematyką po to, żeby zobaczyć, jak daleko można dojść na drodze czystego rozumowania”.

Problematów stojących przed matematyką i czekających na rozwiązanie jest nieskończenie dużo. Tylko pewna część tego, co już zrobiono i co jeszcze zostanie zrobione, znajdzie praktyczne zastosowanie. Matematyka przyciąga umysły najwybitniejsze, najbardziej zdolne do tego, co uważane jest za najznamienitszą cechę ludzkiej umysłowości: zdolne do abstrakcyjnego myślenia. Hugo Steinhaus powiedział kiedyś, że matematyka to wielki pochod ludzkości. Ogromna większość znajduje się w nim w epoce jaskiniowej. Niewielu dotarło do średniowiecza. Jeszcze mniej do XVIII wieku. A ilu do dnia dzisiejszego? Powiedział też: „Wciąż trzeba od nowa prowadzić pokolenia ciemnym szlakiem, który nie ma skrótów. Nie masz drogi królewskiej w matematyce – mawiali starożytni. Ale odległość między strażą przednią a olbrzymią masą pątników wzrasta, procesja się wydłuża i przodownicy są coraz bardziej osamotnieni”.

**

Nie dlatego jednak warto pochylić się nad wspomnieniami Hugona Steinhausa, aby dowiedzieć się czegoś o matematyce (choć i o niej też się można z nich tego i owego dowiedzieć). Warto je przeczytać z kilku innych, ważnych powodów. Po pierwsze dlatego, że życie miał barwne, aktywne i urozmaicone, co nie zawsze mu przynosiło satysfakcję (urozmaicone życie w naszej strefie geograficznej często oznacza przygody, których nikomu życzyć nie wypada). Po drugie, ponieważ potrafił je zajmująco opisać, a poczucie humoru miał przy tym pierwszej wody. Po trzecie: ponieważ poznał w życiu wielu interesujących, ważnych, albo po prostu niecodziennych ludzi i zawsze inni bardzo go ciekawili. Po czwarte wreszcie, że był w życiu weredykiem, czyli, że mówił zwykłe, co myślał i nieraz przyprawiało go to o kłopoty. Nietrudno więc sobie wyobrazić, że w pamiętnikach pisanych bez wyraźnego postanowienia o publikacji był weredykiem w jeszcze większym stopniu. I to jest właśnie główna, moim zdaniem, zaleta tych wspomnień. Ta prawdomówność w kwestiach trudnych, ta niechęć do zaokrąglania kantów, to niecofanie się przed stwierdzeniami, które wielu mogą urazić i które u innych nie wywołają łatwego poczucia wygody umysłowej i moralnej – to właśnie główna zaleta tych notatek. Taki był ich au-

tor: miał ostry umysł, cięty dowcip, niemałą dozę złośliwości, wielką przenikliwość widzenia.

Nie ulegał sloganom, popularnym mitom, propagandowym zakłębom, pokusie wygody myślenia. Mówił często bez ogródek, nawet gwałtownie. Dotyczy to wielu kwestii naszych czasów: kwestii przedwojennej polityki oświatowej (z której mógłby przecież ciągnąć korzyści, wszak był legionistą), ogólnych problemów politycznych, totalitaryzmu w jego hitlerowskim i komunistycznym wydaniu, sprawy antysemityzmu i stosunków polsko-żydowskich. Mówił rzeczy, które często nie podobały się wtedy, i takie, które wielu nie będą się podobać dziś.

Myślę, że szczególnie dzisiaj, gdy wchodzimy w zupełnie nową rzeczywistość, warto zapoznać się z tym jego myśleniem pełnym ducha przekory i poczucia paradoksu. Myślę, że dziś jest to nam jeszcze bardziej przydatne niż kiedyś.

**

Głęboko wierzył w wielkość i doskonałość narzędzia, jakim jest dobrze wytrenowany umysł ludzki. Mawiał też często, że istnieje tak zwana „zasada Ulama” (od nazwiska słynnego polskiego uczonego osiadłego w USA): „matematyk robi to lepiej”. Mianowicie, jeśli kazać wykonywać jakąkolwiek pracę dwom ludziom, którzy się na niej nie znają i jeśli jednym z tych ludzi będzie matematyk – wynik będzie zawsze ten sam: matematyk robi to lepiej. Stosuje się to do każdej wręcz dziedziny życia, a już szczególnie do dziedzin gospodarczych.

Mawiał także, iż ludzie podejmujący decyzje dotyczące wielkich polaci życia publicznego, polityki, gospodarki itp. powinni – aby nie popełniać błędów i nie wyrządzać szkód – zrozumieć, że mogą istnieć rzeczy, których oni nie pojmują, a także ludzie, którzy rozumieją to, czego oni nie rozumieją.

Ale to oczywiście jest niesłychanie trudne i rzadkie.

Hugo Steinhaus był przedstawicielem czegoś, co było najlepsze w tym wspaniałym tworze, jakim była polska inteligencja pierwszej połowy dwudziestego wieku. Tworze, bez którego nasz naród nie mógłby ani przetrwać, ani się odrodzić. Była to, jak się okazało, wielka siła, większa niż czołgi, armaty i tajne policje. Prawdziwa polska *force de frappe*.

Kazimierz Dziewanowski

Jasło

Miasto leżało u zbiegu trzech rzek, w kotlinie płytkiej, otoczonej łagodnymi wzgórzami; najbliższe, od północy, „nad kamieniołomem”, dawało za trud półgodzinnego spaceru widok na białe domy, na niebieskie Karpaty, na srebrną Wistokę i zielone „równie”. Na zachód było Podzamcze – klasyczna wycieczka do ruin zamku Firlejów kończyła się w karczmie przydrożnej. Inne karczmy okoliczne nazywały się pięknie: „Łapiguz”, „Młynek”, „Lichtarz” i „Pohulanka”, ale droga przez Podzamcze nad Wistoką do Kołaczyc i Tarnowa była najważniejsza. Tak pewnie myśleli ci, co tam zbudowali warownię. Tak myślałem i ja, bo przecież tą drogą przyjeżdżał co tydzień wóz zaprzężony w trójkę tęgich ogierów, naładowany tytoniem ze składu głównego w Tarnowie, przeznaczonym do trafiki monopolowej, dzierzawionej przez Ojca. Namiotowym płótnem przykryty wóz miał postój na podwórzu, przed magazynem. Ogierom dawano obrok, a furman Lewandowski siadał na progu wozowni i zjadał obiad, to znaczy bochen chleba popity dzbanem kwaśnego mleka. Ogiery, dymensja wozu i obfitość obiadu sprawiały, że przyjazd furgonu był dla nas, dzieci, zjawiskiem imponującym. Lewandowski miał siłę potrzebną do prowadzenia transportu siedmiomilową trasą: gdy pewnej nocy złodziej chciał się po drodze dobrać do tytoniu, przywiązał go do wozu łańcuchem i kazał biec milę za końmi. Czasem pozwalano mu układać tytoń na półkach: osobno kwadratowe pudełka „Dames”, podłużne brązowe „Drama” i kręgi złożone z paczuszek „Hercegowina”. Do ziarna rozdmuchanego przez konie zlatywały się gołębie; było ich przeszło pięćdziesiąt i nie ubywało, bo my, czyli dzieci, nie chcieliśmy jeść gołębi – dla nas były to ptaki święte, jak ibis dla Egipcjan.

Obok wewnętrznego podwórza było zewnętrzne, między domem a starostwem; w naszym języku nazywało się ono „tam, gdzie konie jadą”. Pierwsze było otoczone magazynami, wozownią, stajnią i mieszkaniem kupca łokciowego, nazwiskiem Menasse. Wychodziły na nie dwa okna tzw. „sali” należącej do sklepu korzennego, założonego przez mego dziadka Józefa. W sali był bilard, tamże odbywały się uczty urządzone przez miejscową złotą młodzież i notabli. Sam dom był dawniej prawdopodobnie klasztorem; zapewne po skasowaniu klasztoru za józefińskich czasów dostał się austriackiemu urzędnikowi Praxmayerowi. Z tych czasów, tj. z końca XVIII wieku, pozostało jego szczegółowe oszacowanie na

cztery tysiące florenów. Mury parterowe miały metr grubości, sklep był naprawdę sklepiony, a mniejsze izby parteru także. Dom należał do nas od roku 1853; z tych lat pochodziła polisa asekuracyjna, pierwsza w ogóle polisa spośród wystawionych przez „Floriankę”^{*} krakowską. Do domu należał ogród; był oddzielony od podwórza wozownią, od sąsiadów wysokimi murami, a że leżał o piętro wyżej niż ulica tak zwanej Targowicy, więc był idealnie izolowany. W tym to ogrodzie uczyłem się jeździć na siwym kucu, łagodnym i cierpliwym w porównaniu z innymi rumakami.

Najważniejszą częścią domu był sklep. Był to „handel kolonialny oraz skład win, wódek, rozolisów i likierów”. Chłopcy sklepowi mieli swoje zwykle stanowisko między ogrodem a wozownią, gdzie myli butelki wodą i piaskiem, a napełnione winem korkowali specjalną maszyną. Umieli jeździć na pustych beczkach na stojąco, chodzili po dachach i stamtąd gromili kasztanami subiektów pana Tytusa Brąglewicz, naszego sąsiada. Sam sklep był w lecie chłodny dzięki niskiemu stropowi, pomimo drzwi otwartych na rynek drżący od białego, słonecznego światła. Na półkach stały setki butelek modrych, wiśniowych, białych, glinianych i kamiennych, na ladzie leżała szynka w cęgach, a wystawę zdobiła butelka szampańska nadnaturalnej wielkości. Były to czasy, kiedy grożono ludziom takimi butelkami bez żadnej myśli o możliwości napełnienia ich lidytem, fosgenem, czy też trinitrotoluenem... Przez całe życie ani alkohol, ani tytoń nie wzbudzał we mnie żadnego zainteresowania, może dlatego, że miałem pod ręką całe składy tych delikcji, a Ojciec zapewnił mnie, gdy skończyłem 10 lat, że na każde żądanie dostanę od niego tyle cygar i wina, ile zechcę.

Centrum atrakcji była dla mnie stajnia. Zwykle stały w niej dwa konie, ale, że często się je sprzedawało i kupowało inne, czasem były tam dwie pary. Niektóre pamiętam. Raz były to piękne siwe kuce, innym razem kasztan z bułanym, potem para karych kuców bardzo rączych, ale złych. Duże konie miały robotę w polu – woziły także cegłę, kamień i deski na budowę, bo w czasie mojej przedszkolnej młodości Ojciec powierzył sklep najstarszemu subiektowi, a sam zajął się budową domów. Jedną z jego pierwszych budowli była poczta. Gdy miano położyć kamień węgielny, Ojciec zaprosił na poświęcenie znajomych, przyjaciół i znaczniejszych jaślan. Śniadanie było przygotowane w szopie budowlanej, a wina i wódki stały *à discretion*^{**} na stołach. Krążyłem między gośćmi i moje oczy siedmiolatka widziały dokładniej na wysokości stołu każdy zapomniany lub niedopity kieliszek, niż znacznie wyżej umieszczone oczy dorosłych. Wypijałem je po kolei. W domu Matka stwierdziła u mnie gorączkę, a doktor Józef Kadyj łatwo rozpoznał „ostre zatrucie spirytusem”. Tym sposobem wcześniej poznałem podstępnego przyjaciela, jakim jest alkohol.

^{*} Galicyjskie towarzystwo ubezpieczeniowe.

^{**} (Fr.) Do woli.

Kuce były potrzebne do bryczki, a wyjazdy bryczką były w lecie skierowane na Wisłokę. Taki wyjazd odbywał się rano; czasem zabierało się obiad i wracało do domu po południu. Rodzinny obóz rozkładano w nadbrzeżnej wiklinie, zwykle na wyspie, do której przejeżdżało się bryczką przez wodę. Tak było, gdy Matka i siostry uczestniczyły w wyjeździe, ale był także sposób bardziej męski. Z Ojcem chodziło się nad rzekę pieszo, a po nauce pływania, nieraz w mętnej i zimnej wodzie, wstępowało się na „Młynek”, do ogródka, na piwo, chleb razowy i ryby suszone. Była to specjalność tej karczmy: „białki” suszone na słońcu, rozpięte na pałeczkach drewnianych, o mięsie suchym, słonawym, jasnożółtym. Chłopcy kąpali się zawsze nago, smarowali się mułem nadbrzeżnym „na murzynów”, a potem zmywali go w rzece i suszyli się piaskiem (podobnie, jak w tych czasach suszono nim świeżo zapisane karty), lub po prostu kładli się na żwirze. Ręczników nie używaliśmy; doświadczenie nauczyło nas, że bielizna włożona po kąpieli nie moknie, a ciało schnie i ogrzewa się. Wiodocześnie człowiek jest dokładnie przystosowany do wody, nad którą żyje, bo kąpiel rzeczna daje zadowolenie fizyczne, którego nie doznaje się w żadnej wannie, ani w żadnym basenie. Może to muł i piasek, może korzenie i liście traw i drzew, które zmywa rzeka po drodze, dają wodzie strumieni wartko płynących tę moc, od której robi się jasno w oczach.

Pierwszy kuc pod wierzch pochodził z Trzciny, z browaru. Był łagodny i umiał chodzić po schodach, co wypróbowano raz na moją prośbę, gdy byłem chory. Konie kupowało się zwykle w Żmigrodzie; tam kupcy-koniarze sprowadzali je z Węgier, przez Duklę. Kuca dano mi za wcześnie. Nie pozwolono użyć siodła, więc musiałem siedzieć na derce, oczywiście bez strzemion. Sprytny kuc – następca siwego – łatwo zrzucał mnie przez łeb, spuściwszy go ku ziemi i wierzgawszy tylnymi nogami. Zdarzało się, że przeskakiwał przeze mnie leżącego na ziemi (kucami nazywam nasze chłopskie koniki. Wierzę koniarzom, że pochodzą one od tarpana, bo mają swoisty sposób chodzenia po wybojach i wykrotach).

Niemal codziennym celem wycieczek konnych i pieszych była przede wszystkim cegielnia za kolejją. Trzeba było czekać na otwarcie rampy, bo „szybowano”: lokomotywa wyciągała kilka wagonów na pochyły tor, potem wyskakiwał kolejarz z chorągiewką, wlażył szybko pod wagon, odrzucał łańcuch, wynurzał się w biegu spod kół, machał czerwoną chorągiewką i wołał śpiewnie do blokowego na wieży: „pierwszy, a czwarty, a drugi, a szósty... Wagony toczyły się same, luzem, zwrotnice obracały się z trzaskiem, a potem zjeżdżała dumna lokomotywa i widziało się, jak szyny ugiwały się, wciskając progi w ziemię. Można było położyć centa na szynie a potem podnieść go, jako ciepłą, cienką eliptyczną blaszkę. Rozgałęzienia szyn były dla mnie zagadką. Od chwili, kiedy Ojciec pokazał mi tak zwane „kołnierze” u kół, niepokoiłem się pytaniem, jak wagon przechodzi z toru na tor. Ojciec narysował mi wtedy rozgałęzienie; spróbowałem i ja je na-

rysować – wykonałem co najmniej setkę takich rysunków... Za torem można było widzieć „haje” (galicyjsko-kolejarski germanizm oznaczał remizę*) i lokomotywę powoli rotującą na obrotnicy. Dalej już było pole. W rowach rosły niezapominajki, nad dołami cegielnianymi krążyły ważki, obok źródelka rosły wonne zioła, których liście były mieszkaniem metalicznie i tęczowo błyszczących chrząszczyków. W niebie topiły się skowronki, których pieśń jest trudniejsza do naśladowania niż trel słowiczy.

Na stołach robiono ręcznie cegły. Mnie też wolno było formować cegły z gliny – wychodziły gładkie z literami B.S.** Cegielnia typu pierścieniowego miała na piętrze kilka rzędów otworów zamkniętych hełmami żelaznymi; gdy zdjęto się hełm i wyspało szuflę miału węglowego, przyskała fontanna iskier. Potem można było popatrzeć w dół i zobaczyć cegłę rozpaloną do różowo-złotego żaru.

To była najbliższa podróż.

Znacznie dalszą był Iwonicz, pierwszy pobyt letni, który pamiętam. Mieszkaliśmy w domu zwanym „Ustronie”. Rzeczywiście leżał tak blisko lasu, że rano liście zamieniały słońce na ruchliwe plamy na podłodze, a ptaki zdawały się świergotać w pokoju. Syn Iwona dostarczał dziwnych wrażeń. Jakże cieszyłby się Chesterton z palącej się wody w Bełkocie! A Wincenty Pol, którego wierszyk wyryto na tablicy marmurowej nad tym źródelkiem, nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że metan z takich podkarpackich szybów, jak iwonickie, kiedyś palić się będzie w fabrykach radomskich.

Drugim dziwem był staw rybny w lesie. Rzucano się tam bułki i patrzyło na ogromne karpie polujące gromadnie na każdą okruszynę. Zapach sosnowy i aromat borowiny jeszcze silniej podkreślały egzotyczność tego kraju ropy skalnej. Było tam dużo jaszczurek i węży. Była buda strzelnicza, w której na ścianie namalowano izbę – gdy trafiło się z flobertu w zegar w izbie, kotyska w obrazie kotysała się, zegar wybijał godzinę, a malowane dziecko płakało. Było niemało dziwów innego rodzaju. Można było spotkać Królewaków w rosyjskich czapkach gimnazjalnych, w pasach z carskim orłem, w białych mundurach galowych z błyszczącymi guzikami. Lucyna Cwierzakiewiczowa z Warszawy była najznakomitszą kuracjuszką (obrzydliwego wyrazu „wczasowiczka” nikt by wtedy nie ścierpiał!). Lucyna, wówczas już staruszka wożona w fotelu, otoczona była panami, którzy bawili się świetnie – podobno była bardzo dowcipna. Może to jej wpływowi zawdzięczali letnicy, że restauracja była znakomita? Kiedy po wielu, wielu latach odwiedziłem Iwonicz, filety na grzankach smakowały tak samo, jak wtedy. I tak samo jak wtedy śpiewały liny łączące osmolone szyby ropne z maszyną pompującą: *jest? nie ma! jest? nie ma!*...

* Rok 1967: barbarzyńcy wymyślili „lokomotywownię”! – przyp. Autora.

** Inicjały nazwiska Bogusława Steinhausa, właściciela cegielni, ojca autora.

Ze wzgórza tuż za łazienkami można było widzieć inną niesłychanie imponującą maszynę zakładową; mogłem się gapić na nią bezustannie. W glorięcie na deptaku grała dwa razy dziennie orkiestra braci Auberów z Tarnowa. Można tu było stać i pomagać kapelmistrzowi, dyrygując pałeczką do popędzania obręczy. Matka moja zorganizowała wtedy u jednego z Auberów lekcje gry na skrzypcach dla mnie. Nic nie wyszło z tej nauki, ani wtedy, ani później, prócz średniego wyrobienia słuchu.

Na deptaku był wodotrysk; zakładano na jego wylot różne munsztuki: czasem strumień bił prosto w górę, czasem rozlewał się, a czasem ruchomy młynek krzyżował wymyślnie cztery sznury wodne. Gdy słońce świeciło, wodotrysk dawał tęczę; koło basenu można było łowić pięknie pachnące „piżmowce”, ciemnozielone owady o metalicznie błyszczących pokrywach...

Właścicielami willi „Ustronie” była rodzina Ostaszewskich; mieszkali w lecie na parterze. Raz pewien starszy pan przystąpił do mnie i przemówił po francusku. Później dowiedziałem się od Ojca, że był to konsul austriacki w Egipcie, hrabia Załuski. Gdy zacząłem zbierać znaczki pocztowe, napisałem do niego do Kairu, żeby mi przysłał marki egipskie; odpisał osobiście ośmiolatкови bardzo grzecznie i przysłał kilka sztuk w liście.

Załuscy byli właścicielami Iwonicza i urządzali w sezonie zabawy dla małoletnich kuracjuszy. Byłem na takiej zabawie z jakąś setką dzieci. Rozdano nam krągłe pierniczki; w dwóch w środku były migdały: chłopczyk i dziewczynka, którym przypadł taki pierniczek, zostawali królem i królową festynu. Mnie przypadł migdał. Posadzono mnie z towarzyszką na tronie i włożono korony; dzieci parami defilowały przed nami i kłaniały się. Ale poznałem, obok splendoru, także troski królowania: byłem taki młody, że męski strój nie był mi zwyczajny – idąc na zabawę zapominałem wziąć szelki. Przez cały czas mego panowania musiałem unikać gwałtowniejszych ruchów, aby nie znaleźć się w sytuacji zgoła niekrólewskiej. Ta nieruchliwość przyczyniła się do majestatu wystąpienia, ale napełniła mnie czarnymi myślami – odetchnąłem z ulgą po festynie.

Gdy miałem siedem lat zdarzyła się rzecz polityczna, która niemałe zrobiła wrażenie. Ksiądz Stojalowski rozpoczął swoją działalność w powiecie. Władze austriackie, namiestnik i starosta, przeszkadzali mu jak mogli, ale udało mu się wywołać ruch chłopski, który skierował się przede wszystkim przeciw karczmom żydowskim. Wybuchło to nagle: wieczorem Ojciec przyszedł do domu i powiedział, że chłopci podpalili karczmę za rzeką i grożą wejściem do miasta. W mieście było paru żandarmów; ci stanęli na moście nad Jasiołką. Kilku obywateli, wśród nich Ojciec, zorga-

nizowało straż i ze strzelbami poszli patrolować na Targowicę. Forpocztę chłopskie, które się tam zbliżały, wycofały się usłyszawszy w nocy miarowy krok patrolu. O świcie nadeszło wojsko z Rzeszowa. Był deszcz i o szóstej rano zobaczyłem dwuszereg piechoty. Oficer odebrał od starosty instrukcje i wojsko odmaszerowało. Ogłoszono stan wyjątkowy i sądy doraźne. Ruch się uspokoił, ale jedna kompania 57 pułku piechoty została przez lato w mieście. Było to dla mnie źródło wrażeń, bo prawdziwe wojsko, oficer na koniu, broń w kozłach i namioty, to był widok wspaniały. Dawniej, dawniej, jeszcze przed budową kolei transversalnej, był w Jasle garnizon. Ojciec opowiadał mi o tamtych czasach, np. o kapitanie, który swoją gażę miesięczną rozdzielal na pudełka z napisami: „na czynsz”, „na piwo”, „na cygara”, „dla szewca” itd. Kiedy mu przed końcem miesiąca już nie starczyło na cygara, a zostało „na szewca”, przestawał palić aż do pierwszego, bo, jak mówił, nie wypada c.k. austriackiemu kapitanowi zapożyczać się u szewca...

Teraz już garnizonu nie było, ale czasem przejeżdżał pułk kawalerii: ułani w niebieskich kurtkach i czerwonych spodniach, dragoni w kaskach antycznych, lub huzarzy z szamerowanymi attylami spiętymi na lewym ramieniu. Było to takie piękne, jak litografowane obrazki kolorowe przedstawiające wojsko polskie. Toteż, gdy z daleka dał się słyszeć *Generalmarsch* na trąbce, nie sposób było zatrzymać mnie w domu. Tym więcej miałem czasu, że do szkoły nie chodziłem; uczyłem się prywatnie i mogę powiedzieć, że taka nauka zajmuje połowę czasu mniej niż szkolna.

Dorośli, którzy bywali u Rodziców od czasu do czasu zadawali mi różne pytania: „czym będziesz?”, „kogo wolisz, Ojca czy Matkę?”, „ile masz lat?” itd. Na to odpowiadałem bez namysłu. Raz mnie zapytano, jakim sposobem tak szybko znajduję replikę. I na to odpowiedziałem bezzwłocznie: „bo ja wiem, o co mnie pan może zapytać i mam odpowiedzi przygotowane”

Chętnie jeździłem z wizytami do Tarnowa, do rodziny Matki, a to z dwóch powodów: pierwszy, to możliwość codziennego widzenia wojska, bo stała tam piechota i ułani; drugi, to cukiernia, której właściciel nazywał się obiecująco: Delekta, a w której były ziemniaczki i murzynki. Ziemniaczki były z masy marcepanowej, obsypane mialką czekoladą, a murzynki były raczej mulatkami, bo od połowy z białej śmietanki, a do połowy czekoladowe. Dziadek mi dogadzał, więc raz zjadłem tyle orzechów, że do stałej silnej gorączki. Posłano po lekarza, który zapisał jakąś obrzydliwą miksturę. Błagałem ciotkę, żebym nie musiał zażyć tego lekarstwa. Wzruszona ustąpiła. Wcześniej rano nadeszła z apteki wiadomość, że zaszła omyłka, i że lekarstwo było gorsze od choroby.

Gdy skończyłem dziewiąty rok życia, posłano mnie do czwartej klasy szkoły ludowej. Szkoła mieściła się w „starym magistracie”. Był to gmach poklasztorny, w którym na parterze mieścił się areszt miejski, a na piętrze szkoła czteroklasowa. Obyczaje w tej szkole były dosyć dziwne. Bicie odgrywało tam ważną rolę jako środek wychowawczy, a także było środkiem płatniczym między uczniami. Można było kupić u kolegi znaczek Helvetia, dając mu za to prawo trzykrotnego uderzenia linijką w dłoń. Nauczyciel bił trzcina. Katechetą był hrabia Wiśniowski, elegancki ksiądz o bladej twarzy i czarnych oczach. Miał taki zwyczaj, że wchodził na lekcję punktualnie, a Żydów, którzy nie zdążyli wyjść z klasy, wykladał na pierwszej ławce i bił trzcina. Później okazało się, że był nie tylko sadystą, ale także pederastą – za karę dostał się do Kamedułów.

Raz koledzy pokazali mi wariata za kratą aresztu miejskiego. Szybko spenetrowali, co doprowadzało go do wściekłości i dogadywali mu, a on trząsł kratą, blade, z pianą na ustach... Mieliśmy także nieszkodliwych wariatów. Był więc „Gips-Karolek”, był „Morela” i „Kacper-pu!” Ten ostatni składał się do celu z kija jako strzelby i strzalał „pu!”

Tuzin żebraków miał tradycyjne prawo obchodzenia miasta co tydzień.

Patrząc przez okno pierwszego piętra naszego domu zawsze można było zobaczyć coś ciekawego. Rzeźnik prowadził cielę do rzeźni, jedną ręką za kark, drugą za podogonie. Czasem świniarze pędzili kilkadziesiąt sztuk na kolej, biegnąc po bokach i zaganiając wieprze tęgimi kijami, czasem pojawiał się hycel rzucający pętlę z niesłychaną zręcznością, przy krzykach oburzenia publiczności, a skowycie i skomleniu wszystkich psów na Rynku.

Rynek był zamieciony porządnie i suchy, z wyjątkiem piątków, kiedy odbywały się targi. Wtedy od samego rana było na co patrzeć. Szewcy z Kołaczyc ustawiali poziome drągi i rozwieszali na nich setki par butów z cholewami z żółtej, grubej skóry. Kataryniarz zjawiał się w największym ścisku i grał *Daisy*, *Daisy* lub wiedeński walc *Na falach Dunaju*, a białe myszki skakały po katarynce i wyciągały z koszyczka karteczki z przepowiedniami. Czasem przychodził kobziarz, który gniótł pod pachą miech kobzy, drugą ręką bił w bęben, a nogą szarpał sznurek połączony z dzwonkiem na głowie. Był specjalista sprzedający diamentowe oselki do kos i zalewający potokiem wymowy otaczających go gapiów. Ze wszystkich stron nadjeżdżały wozy chłopskie. Koło dziesiątej było już tak pełno, że kto chciał wyjechać z Rynku, musiał rozwiązywać łamigłówkę polegającą na przesunięciu sześciu lub więcej wozów, z których każdy był tak wklinowany, że ledwie mógł dyszel skrócić. Konie zjadały siano z cudzych wozów, korzystając z nieobecności woźniców, którzy szukali po

sklepach podków, rzemieni, osi, łańcuchów, noży i spirytusu. Kupcy w Ryńku kupowali zboże, sprzedawali mąkę, a propinacja, czyli główny wyszynk wódki, była pełna. Przed trafiką na parterze naszego domu stał tłum. Był to klub pod gołym niebem, tym atrakcyjniejszy, że obok był sklep korzenny, a do gmachu starostwa było dziesięć kroków. Po południu wozy zaczynały się rozjeżdżać. Gdy było już pod zachód, gołębie po paru okrążeniach Ryńku zlatywały na miejsca, gdzie pozostało ziarno rozsypane niebacznie. Czasem deszcz zmieniał program. Warto było wtedy patrzeć, jak przekupki na gwałt zwijały żagle straganów i jak uciekał kto żyw. Ulewa zamieniała cały Rynek na żółte morze, w którym duże krople wybijały dziury, a tumany deszczu gnane wiatrem przesłaniały widok domów.

..

Aby zobaczyć powódź, trzeba było iść w stronę północną ku Jasiołce. Chadzałem tamtędy czasem z Ojcem do Towarzystwa Kredytowego. Mieściło się ono w dwóch małych pokojkach na parterze dużego domu, w którym mieszkał swego czasu pradziadek. Mnie tam interesowały tylko pieczątki, które wolno mi było wyciskać na papierze. Naprzeciw tego domu stała kamieniczka, w której na parterze mieszkała siostra dziadka, ciocia Frydmanowa. Jej mieszkanie pełne bibelotów, miniatur, dywaników i muszel, ogródek miniaturowy, grządki okładane kamykami, porządek i czystość – to wszystko podobało mi się bardzo, choć było trochę dziwne. Ciocia miała troje dzieci: Marceli był dziennikarzem i redaktorem pół-oficjalnego dziennika wiedeńskiego „Fremdenblatt”. Później został nobilitowany i wybrał sobie jako znak herbowy wiekową lipę, która stała w dużym ogrodzie dziadka za owym dużym domem nad Jasiołką. Drugi syn był lekarzem w Gorlicach, a córka Ludmiła żyła samotnie we Florencji, utrzymując się z tłumaczeń powieści polskich (między innymi Sienkiewicza). Kiedy 20 lat później zobaczyłem ją przypadkiem w Wenecji, była bardzo piękna. Wnuk Marcelego był do niedawna dyrektorem Opery Wiedeńskiej; muzykalność odziedziczył po ojcu, Ryszardzie. Obecnie kontynuuje to zajęcie.

..

Gdy nie było się na co gapić, trzeba było siedzieć w domu i czytać. Ta lektura była zupełnie przypadkowa. Był tygodnik „Przyjaciel Dzieci”; były „Wieczory Rodzinne”, ale to nie było interesujące. Interesujący był oprawiony rocznik „Świata”, w nim nowele i powieści, które czytałem od środka, z zachwytem, nie rozumiejąc ani nawet co drugiego słowa. Była w domu niemiecka encyklopedia i można było przynajmniej oglądać w

niej ilustracje i tablice, takie jak „Rasy psów”, „Rasy koni”, „Brylanty”, „Ptaki”, „Flagi”, „Przekrój kopalni węgla” itd. W ostateczności można było wykręcić soczewkę z lornetki i wypalać słońcem czarne monogramy na korku, lub na ramach okiennych. Gdy i to zawodziło, trzeba było zająć stanowisko przy framudze i czekać na coś nadzwyczajnego. Nadzwyczajności przychodziły. Jechało do kościoła wesele chłopskie. Drużba na koniach, których grzywy zaplecione były wstążeczkami; drużki na wozie drabiniastym, siedzące w dwóch rzędach; w środku panna młoda, stojąca i uwieńczona kwiatami. W drugim wozie starsi i orkiestra grająca wytrwale melodię zgiełkliwą i dziwną, jakby tatarską. Czasem zjawiał się Cygan, prowadzący niedźwiedzia na łańcuszku, przewleczonym przez nozdrza zwierzęcia; niedźwiedź tańczył na dwóch łapach, a właścicielowi rzucało się centy zawinięte w paperek. W zimie przychodziła szopka betlejemska, chodził też „turoń” z długą paszczką, przychodzili kołédnicy lub Żydzi, przebrani na Purim. Czasem Czech ze skrzypcami i Czeszka z harfą chodzili od domu do domu i grali *Kde domov muj*.

Były to jednak zjawiska niższego rzędu. Ale były i wyższe, np. laufer. Laufer wyglądał trochę jak byronowski szczurołap z Hamelinu, był ubrany w obcisłe spodnie, w kabat ze srebrnymi dzwoneczkami zamiast guzików, a czapkę miał szpiczastą. Harap w rękę służył mu do odganiania psów, w ustach gryzł cytrynę. Obiegał Rynek dookoła piętnaście lub dwadzieścia razy w towarzystwie pauprów, wśród naszczekiwania psów i ku uciesze całej publiczności, a cała jego postać była świadectwem, że średniowiecze trwa.

Do wyższych zjawisk należał oczywiście cyrk wędrowny. Trupa odbywała wjazd tryumfalny na Rynek i okrążała go przy akompaniamencie całej orkiestry cyrkowej. Na przedzie jechał na karym ogierze pan dyrektor w czerwonym fraku, obok niego pani dyrektorowa w czarnej amazonce z cylinderkiem na głowie, ze szpicrutą, dalej primabalerina na siwej klaczy i głupi August na srokatym koniu, z małpką na plecach. Kucyk ciągnął bęben, a straż tylną pełnił Arab na wielbłądzie, dojeżdżacz, srokate dogi i reszta żywego inwentarza. Czasem przyjeżdżała trupa gimnastyczna. Stawiano na środku Ryńku maszt umocowany linami, poziomą liną łączono szczyt masztu ze strychem najbliższej kamienicy, a potem odbywała się produkcja „à la Blondin”, to jest przejście po linie tam i z powrotem.

Gdy już nic specjalnego nie było w planie, trzeba się było zadowolić słubem lub pogrzebem. Często przechodziły procesje. Najwspanialsza, Bożego Ciała, okrążała Rynek od ołtarza do ołtarza, wśród sypania kwiatów i dzwonienia dzwoneczkami – pół Ryńku było wypełnione. Na Rezurekcję ustawiano na Ryńku krótkie moździerze, których było dziewięć, a policja miejska, pełniąca rolę artylerii, dawała ogłuszające salwy. Na imieniny cesarskie przechodzili przez Rynek do kościoła urzędnicy w mundurach, w pirogach na głowie, przy szpadach. Żandarmi, w galowym stroju ze zło-

tymi sznurami, mieli na kapeluszach ciemnozielone pióropusze. Raz zdarzyło się, że takiemu orszakowi zaszła drogę świnia i jakiś „finans” (czyli urzędnik podatkowy) odgonił szpadą nieprzyjaciela... Ktoś doniósł o tym starostwu i urzędnik miał dochodzenie dyscyplinarne...

Czasem Bóg dał nieprzewidzianą katastrofę; np. jedzie sobie wózek naładowany setką syfonów z wodą sodową, skręca z ul. Kościuszki w Rynek, i na pochyłości bruku przewraca się, a sto syfonów eksploduje, dając huk i rozprysk zupełnie przypominający zamach bombowy na Wielkiego Księcia Sergiusza, znany mi z gazety ilustrowanej. (*Nota bene lekkie białe wino pół na pół z wodą sodową jest lepsze od szampana.*)

**

Pewnego poranku pojawiły się na Rynku dwa czarne potwory: były to kotły parowe, które szły ze stacji kolejowej do elektrowni, budowanej nad Jasiółką. Były za ciężkie, by je wieźć; nie znano wtedy traktorów, gąsienic i aut. Jechały na walcach drewnianych, które obracano drągami żelaznymi, podkładając przed kocioł walce pozostające za kotłem. Trwało to jakiś tydzień, jeżeli nie więcej. Ale przyszedł w końcu letni wieczór, kiedy Ojciec wyprowadził mnie na Rynek. Obiecał, że zobaczymy światło elektryczne. Było to niewiarygodne zjawisko: światło spokojne, w ciepłym tonie, płynące ze złotych drucików zamkniętych w pętlę we wnętrzu szklanej gruszki. Trzeba pamiętać, że żarówki były edisonowskie, miały druciki ze zwęglonego bambusu, a prąd był wówczas (i długo jeszcze) stały, więc światło zupełnie nie nużyło oka.

Okresem amerykańskim w historii naszego miasta był czas budowy kolei transwersalnej, którą ukończono w roku 1882, a więc w tym samym czasie, kiedy Ojciec się żenił. Moja Matka przyjechała z Tarnowa końmi i zastała senne miasteczko, bez trotuarów, bez ulic zasługujących na tę nazwę. Dopiero budowa szlaku kolejowego i gmachu sądu obwodowego wniosła jakieś życie. Ten pionierski okres przedłużył się poza moje dziecińne lata dzięki nafcie. Kilkanaście lat przed moim urodzeniem zaczęło się to w Rogach, w Bóbrce, w Wietrznie: powstały szyby wiercone przez Kanadyjczyka Mac Garveya, może najstarsze na kontynencie europejskim. Potem odkryto Potok ze słynnym „Wariatem” i gorącą naftę; opisał ją Sewer w swej powieści. Zjawily się typy, które chyba służyły za wzór Nowaczyńskiemu do *Szambelana Sara*. Jeszcze zdążyłem poznać jednego z nich, pana Klobassę, który dowiercił się o milę od Jasła takiej ropy, że szacowano jego dochody na 400 000 guldenów rocznie (znaczyło to wtedy 160 000 złotych dolarów). Wybudował sobie pałac, założył wspinały park, trzymał ekipaż i konie w Londynie, Paryżu i w Wiedniu. Pewnego razu sprowadził do Wiednia całą operetkę paryską. Udał się do

Rzymu, aby starać się o rękę hrabianki Ledóchowskiej, siostrzenicy kardynała Rampolli. Była tam wtedy wystawa psów rasowych; hrabianka pochwaliła jakiegoś wyżła czy charta, a nazajutrz lokaj pana Klobassy przeprowadził jej psa z obrozą wysadzoną drogimi kamieniami, wartości kilkunastu tysięcy guldenów. Moja pamięć nie sięga tych czasów, ale jeszcze pamiętam pałac w Skołyszynie i park, a także kłusaki, którymi pan Klobassa przyjeżdżał do Jasła, ścigając się z pociągami. Był on tak przezorny, że gdy groziła wojna amerykańsko-hiszpańska o Antyle, kupił za 40 000 koron cygar hawańskich, żeby mu ich nie zabrakło. Gdy stracił cały majątek, ożenił się z chłopką, zamieszkał na wsi i – jak twierdził – był najszcześliwszy. Umiał świetnie gotować, a jedna z dawnych przyjaciółek przysyłała mu z Włoch oliwę, aby mógł przyrządzać zającą swoim sposobem.

**

Zaczął budzić się przemysł. Rafineria w Ulaszowicach, którą jako jedną z pierwszych oglądali wysłannicy Standard Oil wprawdzie upadła, ale powstały inne. Miało to duży wpływ na strukturę ekonomiczną. Chłop już nie był zdany na jedną tylko pracę – na roli. Wytworzył się typ robotnika – chłopca, który dorabiał w cegielni lub rafinerii, na kolei lub na budowie. Mając parę morgów gruntu i chałupę, nie bał się, że znajdzie się na bruku, gdy robota się skończy. Z drugiej strony nie przestraszały go zniżki cen zboża, bo miał szansę na robotę w fabryce. Doświadczenie wskazuje, że ten typ, stojący ekonomicznie na dwóch nogach, lepiej się nadaje do oświaty i postępu niż prymityw wiejski lub proletariusz miejski. Nie miały ich odsetek przypadał tu na robotników naftowych. Wiertacze z tych stron emigrowali do Borysławia i Stanisławowa, ale i dalej, na Kaukaz, na Trinidad i do Indii holenderskich*. Stąd to żargon kopalniany na Sumatrze czy na Borneo składa się z wyrazów holenderskich, malajskich i polskich. Ogromne znaczenie miała emigracja do Ameryki. Emigranci bądź to wracali z dolarami, bądź też przysyłali je korcami do powiatu, tak że w końcu cała wielka własność uległa dobrowolnej parcelacji. Te okoliczności sprawiały, że miasto nigdy nie zapadało w senność głębokiej prowincji; puls bił wciąż i coraz inne obrazy przesuwaly się przed oczyma.

Gimnazjum

Skończyła się swoboda dziecińna, gdy trzeba było iść do gimnazjum. Dyrektorem tej szkoły był wówczas Klemens Sienkiewicz, Rusin, jowial-

* Dziś – Indonezja.

ny pan o siwych włosach, który lubił pilznera i raczej przypominał ziemianina niż nauczyciela. Wśród profesorów jednym z najstarszych był Władysław Węgrzyński, powstaniec z roku 1863, historyk, który napisał monografię o zamku Gólesz, czyli o Podzamczu. Przesunęło się wielu innych: Kawecki, autor *Dramatu Kaliny i Szkoły*; Jerzy Żuławski, autor *Erosa i Psyche*, zięć naszego dyrektora: poeta Wiśniowski, Jedlicz, późniejszy tłumacz i kierownik artystyczny teatru lwowskiego; Womela, którego cytuję w „Pałubie” Irzykowski, poeta Eminowicz...

Miałem lat dziewięć. W I klasie była łacina i język niemiecki. Naukę traktowano serio, a historia sprawiała mi niemałe trudności, bo nie umiałem się uczyć na pamięć, a nie widziałem lepszego sposobu. Przynajmniej jedna trzecia moich kolegów była z domów chłopskich (jeszcze to jeden dowód na zamożność powiatu), reszta rekrutowała się z synów niższych kolejarzy, listonoszy, dzierżawców, rzemieślników, mieszczan z Kołaczyc, Dembowca, Pilzna i Krosna. Byli też synowie żydowskich kupców i Rusini, synowie popów, a tylko mały procent pochodził z tak zwanej inteligencji. Niektórzy – zwłaszcza młodzi profesorowie – uważali za stosowne lekceważyć ubogich uczniów *ex cathedra*. Ci nauczyciele stracili w moich oczach cały autorytet.

Oczywiście mój tryb życia uległ zmianie; przede wszystkim ubrano mnie w mundur przepisowy, w myśl owego słynnego rozporządzenia c.k. Rady Szkolnej Krajowej, orzekającego, że bluzka ma być granatowa, spodnie popielate, zaś dusza ucznia czysta i nieskalana. Inna sprawa, że tylko znikomy ułamek gimnazystów przestrzegał tych przepisów; zwłaszcza popielate spodnie nie cieszyły się popularnością i robiono je przeważnie z tego materiału, co bluzę. Nie lubilem też czapki w kształcie eliptycznego bębna o napiętym denku i wkrótce zmieniłem ją sobie na czapkę o miękkim denku, na wzór francuskiego oficerskiego kepi. Zaszła i ta zmiana, że przeniesiono mnie z dzieciennego pokoju do kancelarii, a moje miejsce, obok młodszych siostr, zajęła bona. Odtąd nie miałem łóżka i spałem na twardej sofie, nad którą wisiały rogi jelenie, dwie dubeltówki, manlicher i flobert. Pewnego dnia obudziłem się i stwierdziłem, że prześcierać miało fałd, który mnie trochę uciskał; okazało się, że wieczorem bagnet spadł z rogów na kanapę, służąca ścieląc po ciemku położyła na bagnie prześcierać, a ja przespałem się doskonale na tym posłaniu.

Kancelaria znajdowała się po zachodniej stronie domu. Rano w lecie widać było przez okno silny odbłask słońca na kremowej ścianie starostwa i chłodny błękit nieba, z ogrodu dochodziła woń bzu, a z rynku łagodny szmer i tupot dzieci śpieszących do szkoły. Sygnaturka dzwoniła, chłód wpadał przez otwarte okno i chciało się pić ten dzień letni lub zanurzyć się w nim w taki sposób, który by odpowiadał pysze kolorów i szczęśliwości poranka.

Miałem około dwunastu lat, gdy zachorowałem na koklusz. Byłem bardzo szczupły. Rodzice uważali, że muszę się odżywiać, a mleka nie cierpiałem. Na moje szczęście lubilem tran jak Eskimos, więc nie było trudności. Wysłano mnie z ciotką do Kołobrzegu. Po drodze zwiedziliśmy Wrocław, Kraków już znałem; mieszkalem tam raz z Ojcem w hotelu „Pod Różą”, wysoko nad ulicą, którą od czasu do czasu przejeżdżał konny tramwaj; dzwoniący na przechodniów. We Wrocławiu zobaczyłem ulice asfaltowane, rowery i trycikle, a także ogród zoologiczny. Reszta mnie nie obchodziła. Gdy tylko wysiedliśmy w Kołobrzegu, ciotka udała się na poszukiwanie pokoju. Zaraz na Bahnstrasse zatrzymała się przed jakimś hotelem i zaczęła szczegółowe pertraktacje z portierem. Stałem za nią i po paru minutach uznałem, że nie mogę tak długo być nad morzem i nie widzieć go. Wobec tego zostawiłem ciotkę pograżoną w dyskusji i poszedłem przed siebie. Wkrótce trafiłem do rzeki; miała bulwar kamienny i było na niej pełno galarów, a nawet parowy statek; powiedziałem sobie, że rzeka z pewnością wpada do morza i skierowałem się za jej biegiem. Szedłem, aż się bulwar skończył; zeskoczyłem na piasek, a morza wciąż nie było. Nagle minąłem wydmy piaszczyste i zobaczyłem coś niewiarygodnego: nieskończenie wiele białych grzyw sunących ku mnie i przewracających się z loskotem w ciemnozielony odmet: usłyszałem nie kończącą się melodię szumu i poczułem słony wiatr... Stałem tak sam, zagapiony, aż się spostrzegłem, że należałoby zamknąć gębę, rozdziawioną już jakich dobrych parę minut. Ciotka przez ten czas szukała mnie zrozpaczona; zawiadomiła policję i podawała mój rysopis każdemu przechodniowi. W końcu spotkałem ją i z radości, że się znalazłem, przebaczyła mi ucieczkę.

Morze dawało mi dużo zajęcia. Nie jest prawdą, że na Bałtyku nie ma przypiływu i odpływu, bo w Kołobrzegu jest. Był tam wówczas garnizon; w restauracji ogrodowej wiele stolików zajmowali oficerowie, zwłaszcza wtedy, kiedy grała orkiestra wojskowa. Na ich żądanie orkiestra grywała, jako *clou*, utwór znany *Bitwa*, który miał być muzyczną wersją prawdziwej bitwy; składało się to z pobudek, marszów, sygnałów bojowych, a na końcu przechodziło w straszną symfonię trąb, bębnow i kotłów, wzmocnioną gęstymi strzałami karabinowymi żołnierzy poukrywanych w krzakach parku. Trudno sobie wyobrazić bardziej pruską muzykę...

Po powrocie czekało mnie wiele nowych zdarzeń. Zachorowałem na nogę, lekarze nie umieli wyjaśnić czerwonych, dużych plam na łydce. Leżałem blisko trzy miesiące, nudziłem się piekielnie. Najciekawszą książkę, a mianowicie *Wieczory czwartkowe* Kramsztyka, przeczytałem co najmniej dziesięć razy. Były to doskonałe popularne pogadanki dla dzieci z zakresu fizyki. Moja Matka wpadła na pomysł dania mi *Tomka Sawyera* i opowiadań Marka Twaina w tłumaczeniu niemieckim. Zabrałem się do

tej lektury bez znajomości języka – poza kilku słowami usłyszanymi w Kolobrzegu – i bez słownika. O niektóre wyrazy pytałem rodziców, potem coraz rzadziej było to potrzebne. Tak nauczyłem się języka niemieckiego, sam nie wiedząc jak. Język ten był obowiązkowy w gimnazjum, ale mało który z moich kolegów mógł gładko czytać niemieckie książki w niższych klasach. Rzekome metody uczenia się języków obcych ustępują wobec najlepszej, jaką jest czytanie książek, choćby się nawet z początku prawie nic nie rozumiało.

**

Pamiętnym zdarzeniem były manewry cesarskie. Przygotowania do tej uroczystości militarnej zaczęły się chyba miesiąc wcześniej. Tak zwana suppozycja streszczała się w założeniu, że armia północna, niby-rosyjska, szła na przełęcz dukielską pod dowództwem Waldstättena. Bronić jej miał słynny generał Galgotzy, idący od Koszyc przeciw agresorom. Te dwie siły miały się zderzyć w okolicach Jasła i dlatego cesarz i jego kwatery miała być w Jasle. Dla ówczesnego starosty, hrabiego Michałowskiego, był to niełatwy egzamin. Wszyscy jaślanie, mający przyzwoite mieszkania, oddali najlepsze pokoje na kwaterunek. Tak więc książę Jerzy Bawarski zamieszkał u starosty, a minister wojny baron Kriegshammer u mojego stryja, inspektor armii Reinlender u nas, itd. Cesarza ułokowano w Radzie powiatowej, a w parku zbudowano pawilon, w którym jadał obiady w towarzystwie jakich stu osób świty; kuchnię umieszczono w domu, w którym mieściła się później restauracja Dunaja – połączono ją z pawilonem osobną galerią. Konie cesarskie, sławne siwe araby z Lipicy, nadjechały dwa tygodnie wcześniej; umieszczono je w stajniach w Jaszczwi – przez ten czas ciągnęły codziennie karety do Jasła, ucząc się drogi, aby się potem nie płoszyły. Franciszek Józef I nie używał aut. Miał ze sobą irlandzką klacz, bezcenną „hunterkę”, która szła po każdej skarpie w górę i w dół, bez potknięcia. Pociąg specjalny stał pod parą bezustannie, bo cesarz zwykle podjeżdżał do stacji sąsiednich, bliższych polu bitwy. Sam dyrektor kolei prowadził pociąg, ale pech chciał, że raz, na pochyłości, blisko Tarnowca koła zaczęły się ślizgać, chociaż dostojnicy kolejowi osobiście sypali piasek na szyny...

Sam przyjazd monarchy odbył się w piękny letni dzień, w południe. Przed Radą powiatową stały delegacje Sejmu i szlachty, duchowieństwa, włościanie w krakowskich strojach, straż obywatelska, żandarmeria w galowych mundurach, tłumy publiczności, policji mundurowej i tajnej. Nie brakło namiestnika i marszałka... Gdy już miał nadjechać cesarz i jako forpocztą zbliżał się kocz starosty, którym jechał hrabia Michałowski stojąc, z obnażoną piękną siwą głową zwróconą ku monarszemu pojazdowi, rozległ się koło mnie wrzask... To złodzieje ściągnęli dziewczynie wię-

skiej spódnicę w tłoku, w obliczu najwyższych władz c.k. Monarchii, o stołki od Najjaśniejszego Pana i zgromadzonej reprezentacji Galicji i Lodomerii. Nie znaleziono ich. (O Władysławie Michałowskim mamy dowcipną wzmiankę w świetnej książce Boya-Zeleńskiego *Znasz-li ten kraj?*). Pamiętam następstwo starostów jasielskich: Gabryszewski, Michałowski, książę Sapieha, po nim Rawski, Łęczyński, Leszczyński, Antoni Zoll i Maroszányi. Ale wróćmy do manewrów...

Ojciec kazał raz zaprząć rano do bryczki i wziął mnie z moim kolegą, Wackiem Pasterczykiem, na manewry. Jechaliśmy z jaką godzinę w kierunku Krosna, aż tu nagle zjawił się szwadron ułanów z porucznikiem na czele; okazało się, że Ojciec zna porucznika – był to ziemianin z jasielskiej okolicy, Bobrowski, który od 24 godzin objeżdżał lasy Warzyc, Sieklówki, Birówki itd. Porucznik skarżył się, że od rana nic nie jadł. Ojciec w takich ekspedycjach miewał zwykle ze sobą puzderko, w którym było sześć butelek, więc wino, likier, wódka, spirytus, woda kolońska i koniak. Wyleczywszy porucznika lekarstwami z tej apteczki oraz chlebem z kielbasą i cygarem, był Ojciec niemało zdziwiony, gdy pacjent nagle spał konia i odskoczył od bryczki, rzucając nam na pożegnanie jedno tylko słowo: *Hof-equipage!* I rzeczywiście od Jaszczwi zbliżała się karetka ze złożonymi szprychami. Gdy nadjechała, okazało się, że była pusta... Ale szwadron był już o paręset kroków od nas. Wtem pojawił się inny, z białymi opaskami na czapkach. Pierwszy zaczął uciekać w kierunku zarośli, a drugi go ścigać; było to jak gdyby jeden jeździec gonił drugiego – szwadrony takie były zwarte i zwrotne. Po chwili doścignęliśmy całą dywizję piechoty idącą w stronę Krosna; aż do horyzontu sięgała granatowa wstęga. Nagle cały ten wąż zadrżał: od lewej strony, z lasu, zaczęły bić armaty! Było widoczne, że kolumna w szyku marszowym dała się z boku zaskoczyć zamaskowanej artylerii. Rozpoczęła się większa awantura; adiutanci galopem przebiegali tam i sam, zjawiał się na spienionym koniu arcyksiążę Leopold Salwator, przeklinając soczyście jakiegoś winnego pułkownika; cała kolumna zeszła do prawego rowu i szła dalej. Po chwili uszykowała się w kwadratowe bataliony i skierowała się ku Tarnowcowi. Pojechaliśmy za nią. Na wzgórzu koło Wrocanki zastaliśmy grupę pięćdziesięciu armat, które biły w niewidzialnego nieprzyjaciela. Huk był straszliwy i w stodole trudno nam było wysiedzieć. Wacek wybiegł i znalazł się przed linią tyraliery – nagle podskoczył i chwycił się za pośladek – to drewniany nabój okazał się takim ślepym! Ale już na przeciwnym wzgórzu pojawiły się białe linie – to piechota Waldstättena. Armaty umilkły na rozkaz rozjemców, a komisja natychmiast zabrała się do szacowania zdeptyanych ziemniaków...

Jak wszędzie, tak i w naszym gimnazjum urządziło się majówki wbrew nazwie, bo zwykle przeznaczano na to wolny dzień w czerwcu. Pod komendą profesorów szło się czwórkami, a za tym wojskiem szedł tabor; to jest jedna lub dwie furmanki, zależnie od ilości klas. Furmanki wiozły baryłki piwa; trąby i bębny, o ile była orkiestra. Dobosz i trębacz grali na zmianę. Zwykle szło się na Podzamcze. Tam zakładano biwak na trawie. Jadło się chleb i kiełbasę, i piło się piwo. Śpiewano chórem i bezustannie częstowano profesorów chcąc, żeby się upili. Wódki nie było. Wracało się wieczorem; zbliżając się do miasta awizowano powrót orkiestrą i rakietami, a wkraczając zapalano ognie bengalskie. Czasem deszcz psuł program – przekonałem się wtedy, że samotna przechadzka po lesie w letnim deszczu jest bez porównania piękniejsza niż w pogodę.

Jak już wspominałem, w tym samym czasie (około 1900 roku), sprowadzono dla nas bonę; pod dwóch próbach, mniej udanych, trzecia, Francuzka, zaaklimatyzowała się doskonale. Była z Lyonu, nazywała się Eugenia Heurtier. Była wesółą, lubiła nas bardzo i знаła doskonale gramatykę i ortografię. Gdy Matka nie umiała sobie ze mną poradzić, Eugenia przekupywała mnie smażonym chlebem, który to smakołyk od tego czasu bardzo cenię. Kiedy po kilkunastu latach odjechała, pisywała do nas. Po I wojnie światowej przyszedł od niej list na pięknym papierze, który miał zamek za winietę: podczas wojny, jako siostra Czerwonego Krzyża, Eugenia poznała się z lekarzem wojskowym, bardzo bogatym Chilijczykiem czy też Argentyńczykiem, który się z nią ożenił. Wkrótce umarł i zostawił jej piękny zamek i posiadłość we Francji. W owych czasach pojęcie planowej propagandy nie było znane, ale wydaje mi się, że francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych niełatwo znalazłoby propagandystę, który by tak przekonał nas do Francji, jak ta naturalna, miła i wesółą dziewczyna z zaletą u nas niezmiernie rzadką, jaką jest humor kobiecy (inny od dowcipu męskiego, który zwykle jest ogniem sztucznym).

Tymczasem świat zmieniał się dookoła i zmiany te coraz silniej uderzały w oczy. Zmieniały się nie tylko fasony ubrań. W tym czasie w Galicji rzucano hasło rozwoju przemysłu krajowego. Powstała „Liga popierania przemysłu krajowego”, założona przez księcia Lubomirskiego, właściciela cukrowni w Przeworsku, która konkurowała z cukrowniami na Morawach, w szczególności w Chropinie. Nasi nauczyciele poparli hasło, a my uczniowie, żądaliśmy wszędzie zeszytów krajowych, ołówków krajowych atramentu krajowego. Starzy kupcy byli niechętni tej modzie. Ale był na

przykład taki pan Apfel, który ogłosił na wystawie swojego sklepu w Rynku, że tu sprzedaje się wyroby krajowe i doprowadził do tego, że cała rodzina musiała się krzątać za ladą, tyle było stałe u niego klientów. Byli też grosiści, którzy umieszczali na wszystkich wyrobach pszczołkę z napisem „Wyrób krajowy”, a ponieważ ta etykieta nie miała praw znaku ochronnego, więc nikt nie wiedział, czy naprawdę kupuje towar krajowy.

Potem przyszła moda na abstynencję. Działała „Eleuteria”, Towarzystwo Antyalkoholików, a jako krąg wyższego wtajemniczenia – „Eleuzis”, bractwo założone przez Wincentego Lutosławskiego, filozofa, który wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale musiał porzucić katedrę na skutek zbyt ekscentrycznych wystąpień. Elsowie Lutosławskiego byli pocziwymi abstynentami. Ich reguła miała podkład mistyczny: nawiązywali do Towiańskiego. Podobało się to niejednemu z nas: abstynent to był taki, co się nawrócił, zażywszy już wszelkich rozkoszy doczesnych. Być abstynentem znaczyło tyle samo, co być przeżytym i dojrzałym, a taka rola imponuje niemało piętnastolatkom. Wśród gimnazjalistów jednakże tylko mniejszość była przystępna temu snobizmowi; większość uważała piwo i wódkę za dary Boże, którymi tylko głupcy gardzą; paliła papierosy, byle tylko „było co kurzyć”, a byli też tacy wásale, którzy uprawiali realne flirty ze służącymi i innymi dziewczętami ze „stancji”. Bo synowie chłopscy, a i wielu synów urzędniczych mieszkano na stancji. Stancję miała „pani”, to jest wdowa po rzemieślniku, czy niższym urzędniku, albo inna mieszcanka mająca domek na przedmieściu, jeden z tych licznych domków parterowych z ogródkiem, mało różnych od wiejskich chałup. Ojcowie, zwłaszcza chłopci, płacili za stancję naturaliami: kaszą, mąką, serem i słoniną.

Chłopców mieszkano po kilku w jednej izbie i przeszkadzali sobie nawzajem w nauce. Za to można było zagrać w karty, pogadać, pokurzyć i popić na takiej stancji. Językiem obowiązującym był chłopski, nie była to jednak gwara starych chłopów, a więc język ludowy, ale język potoczny, pospolity, z akcentem mazurskim. Kto nie chciał się narazić na zarzut, że „udaje”, ten musiał „krakać, jak i ony”; tak zatem mówili synowie inteligencji, a nawet Żydzi. Nastrój ówczesnej szkoły oddał znakomicie Zegadłowicz w „Zmorach” (ów pisarz, którego imieniem Wadowice nazwały jedną ze swoich ulic, a przekonawszy się, że nie pisze tak, jakby chciał Wadowice, uchwaliły, żeby tabliczkę z nazwiskiem usunąć).

Przyszła na nas wkrótce inna moda umysłowa, było jej na imię literatura. Koniec stulecia nazywał się *fin de siècle* i był erą rozkwitu Młodej Polski. Fala wzbudzona w Krakowie, a może jeszcze dalej, musiała przyjść i

do nas. Zaczęło się czytać Wyspiańskiego, Tetmajera, Przybyszewskiego. Starsze pokolenie orzekło, że ta lektura jest „nieodpowiednia dla młodzieży”, która tym namiętniej ją uprawiała. Założyło się „tajną bibliotekę”. Znalazło się osobę, która wynajęła lokal na swoje nazwisko, wyrobiło się kredyty u księgarzy, no i puściło się w ruch wypożyczalnię, która wkrótce objęła jakieś 500 tomów. Zaslugę miała tu klasa o dwa lata starsza od mojej, przede wszystkim Emil Żychiewicz, który później został dyrektorem Książnicy – Atlasu we Lwowie. Żadna kontrola nie krępowała nas poza godzinami szkolnymi: czytaliśmy, co popadło, a raczej nieświadomie ulegaliśmy modzie idącej z Zachodu *via* Kraków. Czytaliśmy zatem przede wszystkim autorów północnych, takich jak Ibsen, Björnson, Heijermans, nie orientując się zupełnie co do ich formatu. Mieliśmy także Zolę i Maupassanta w tłumaczeniu, a z niemieckich autorów Hauptmanna i Sudermanna, przy czym chyba nikt nie poznał się na tym, że Sudermann nie przewyższa Rodziwiczówny... Nikt z nas nie wiedział o takich Skandynawach, jak Strindberg lub o takich Niemcach, jak Karol Kraus; nikt nie znał Flauberta, a coś dopiero Stendhala. Starsza generacja albo ich nie czytała, albo nie doceniała... Nie było wówczas Biblioteki Boya, więc nikt z nas nie słyszał o *Fizjologii małżeństwa*, ale za to *Miłość i małżeństwo* naiwnej emancypantki Ellen Key uważaliśmy za wzór postępowej filozofii. Modę na Skandynawię wprowadził Przybyszewski, który przebywał długo w Berlinie, gdzie uznano go za odnowiciela stylu niemieckiego. Przypadła ona do gustu inteligencji żydowskiej, która pierwsza kolportowała ją po Europie, może dlatego, że te wyroby lansowane były przez Berlin, tłumaczone na niemiecki i zaopatrzone w aprobatę z tamtejszych i wiedeńskich gazet. O Dickensie nikt z nas nie słyszał, tym mniej o Meredithzie. Oskar Wilde przedostał się, i to dosyć późno, jako jedyny autor angielski. Ale Żeromski, Reymont i Tetmajer nie potrzebowali walczyć o nasze dusze, bo zdobyli je od razu. Dostałem w prezencie długi notes, w którym przez kilka lat zapisywałem daty i tytuły przeczytanych książek, dając obok krótki wyciąg i ocenę. Dalsza historia mojej lektury poszła zupełnie inną drogą. Wpadł mi w ręce Nietzsche, naprzód w tłumaczeniu Stanisława Lacka, Berenta i innych, a potem w oryginale. Tam znalazłem zupełnie inną skalę wartości. Nietzsche przekonał mnie, że walory antyczne przechowały się jedynie w narodach romańskich, i że twórczość północna jest tylko dalszym ciągiem buntu germańskich neofitów przeciw jasnemu ładowi rzymskiej kultury. Nietzsche umiał rozciąć nieskładną parę Schiller – Goethe, ale nikt nas nie nauczył czytać Goethego. Długo jeszcze błąkałem się, zanim dotarłem do literatury francuskiej. Rosyjska znana mi była tylko w osobach Gorkiego i Lwa Tołstoja; o Puszkynie nie słyszeliśmy, tak jak nie wiedzieliśmy o Czechowie. Natomiast Gorkiego *Mieszczan* grały teatry wędrownie; ich fałszywy patos rewolucyjny bardzo się nam podobał. Myślałem nieraz, że gdyby nie c.k. galicyjska szkoła średnia, nie byłibyśmy znali

Pana Tadeusza. Mickiewicza zupełnie nie rozumieliśmy – uważaliśmy go za poetę oficjalnego, którego znaczenie przesadza się ze względów patriotycznych. Jeszcze trudniej było nam przyjąć dzikie piękno *Marii* Malczewskiego. Podobał się nam Sienkiewicz, ale uważaliśmy go za wstecznika i wstydziliśmy się, że go czytamy – przecież chwaliła go starsza generacja, a sędzia Bochniewicz, siłacz i pijus, przybrał sobie przydomek „Zagłoba” i używał biletów „Bochniewicz-Zagłoba”... Oczywiście było w każdym gimnazjum po kilkunastu sobowtórów psychicznych Kmicica i Skrzetuskiego – mnie powierzono zastępstwo firmy Ketling na obszar gimnazjum jaśielskiego. Nie ma chyba zjawiska paradoksalniejszego niż sława poety: w każdym mieście jest ulica Mickiewicza, jednak w głębi duszy 99% mieszkańców tej ulicy zgadza się z tą panią, która na moje zachwyty odpowiedziała: „*Pan Tadeusz* piękny? To nie, ale bardzo pouczający!” I zaraz zacytowała: „Warszawo, ty grodzie nasz, ile ty powabów masz!” jako wzór poezji. Trudna i zawiła to rzecz wartość literacka i było mi pisane jeszcze raz zrewidować skalę oceny.

**

Jak już mówiłem, nie miałem dosyć cierpliwości i talentu, żeby wyrobić w sobie zrozumienie muzyki ponad bardzo przeciętny poziom. Nie należy przypuszczać, iż winna jest temu prowincja, bo byli w moim rodowitym mieście ludzie o dużej kulturze muzycznej. Nasz dyrektor gimnazjalny, Sienkiewicz, miał syna Teodora, który osiadł jako adwokat w Jaśle. Był to pan, który wcale nie zamierzał poddać się otoczeniu małymieszczańskiemu, przeciwnie, postanowił być „Europejczykiem” – to słowo miało u niego znaczenie zupełnie swoiste. A więc uważał, że frak i cylinder obowiązują jako strój przy wystąpieniach oficjalnych, a że znowu Europejczyk nie chadza we fraku w biały dzień po ulicy, więc czasem przejeżdżał śniadkiem z jednego trotuaru przez jezdnię na drugi, równoległy. Do kąpieli rzecznej wybierał się oczywiście zawsze dorożką, zabierając ze sobą w walizce bieliznę na zmianę, wodę kolońską, puder, płaszcz kąpielowy i koc. Tubylcy tj. nieeuropejczycy, uważali taką kąpiel rzeczną za niedorzeczną, ale pan Teodor nie odstępował od swoich zasad. Był niezmiernie muzykalny i postanowił dokonać dzieła – zdawałoby się – niemożliwego: odegrać w Jaśle koncert Beethovena napisany na fortepian z towarzyszeniem pełnej orkiestry, co wymagało co najmniej stu grajków. Wytropił w mieście i okolicy, a nawet dalej, wszystkich skrzypków, basistów, wiolonczelistów, oboistów, fletnistów, trębaczy i perkusjonistów: przez trzy miesiące odbywał z nimi próby, repetycje indywidualne i zbiorowe, w końcu próby generalne. I rzeczywiście, odbył się w końcu w „Sokole” koncert taki, na jaki tylko stolice europejskie mogą sobie pozwolić. Możliwe to było jedynie dzięki temu, że nasze miasto miało w sobie osobliwy temperament, na

który składało się zbyt wiele okoliczności, by je wszystkie tu tłumaczyć. Na pewno główną z nich była nafta.

→ Nafciarze (patrz powieść Sewera *Nafta*) byli też ludźmi swoistego pokroju; zaliczał się do nich teść wspomnianego pana Teodora, pan Macher, konsul belgijski (ojca konsula, inspektora szkolnego, wspomina Sewer, a o Klobassie i Mac Garveyu już wspomniałem). Później nadeszli inni: Perkins, Mac Intosh, Trzecieski, Sroczyński itd. Wielu znałem z widzenia i opowiadania; Neuwert – Nowaczyński poświęcił im satyrę *Szambelan Sar*. Pamiętam wizytę u przedsiębiorcy Ochmanna, który dostarczał rur wiertniczych. Ojciec zabrał jednego ze swych przyjaciół i mnie, dziesięciolatka, i zawiózł bryczką do Krosna. Pan Ochmann przyjął nas w hangarze, który był jego kancelarią, sypialnią i częścią składu rur. Śniadanie, około 10 rano, podane dla nas czterech, składało się z kawioru, wypełniającego litrową wazę, z chleba, masła i kilku butelek białego wina. Kawior jadło się dużą łyżką, a podczas całej uczty gospodarz co parę minut biegł do korby, aby podnieść do sufitu duży ciężar, który opuszczając się poruszał grającą maszynę.

Później mogłem już odbywać wycieczki niezależnie od Ojca, gdy dał mi w prezencie rower. Dla mojego kuzyna Dyka* i dla mnie sprowadzono rowery bezpośrednio z fabryki stryjskiej. Nadeszły, jako niespodzianka, w dużych klatkach drewnianych, owinięte papierem. Mój Ojciec był swego czasu jednym z pierwszych w powiecie, jeżdżącym na bcyklu. Był to pojazd na dużym kole przednim, a małym tylnym, i jadąc nim pochyłą drogą spadało się nieraz wraz z siodłem i małym kółkiem prosto „na pysk”, tak jak spada jeździec bez siodła, gdy koń opuści głowę ku ziemi i wierzgnie w górę tylnymi nogami... Nic dziwnego, że nowoczesny rower uważano za wielką zdobycz współczesnej techniki.

Muszę tu wspomnieć o moim kuzynie. Mój stryj był jego opiekunem. Ojciec, inżynier w rafinerii w Libuszy koło Gorlic, odumiał go wcześniej, a matka przeniosła się do Jasła i zamieszkała w domu mego stryja, który był jej szwagrem. Dyk miał niezwykle talent w wynajdywaniu zabaw. Lubiał przebierać się za dziada, za starą damę, za atletę etc. i improwizować w tych rolach monologi, które przejmowały mnie i moje młodsze siostry zachwytem. Długie lata panowała u nas mania zapasów atletycznych, zwłaszcza gdy zjechał cyrk wędrowny i urządził serię pokazów „walki grecko-rzymskiej” z udziałem Zbyszka Cyganiewicza. Cyganiewicz był podobno swego czasu uczniem naszego gimnazjum, więc po przedstawieniu odprowadzała go do domu cała hurma uczniów, z których każdy marzył o tym, żeby kiedyś zasłynąć jako siłacz.

Rozrywek nie brakło. Już rano, korzystając z tego, że dywan był zwinięty pod stół, można było jeździć na rowerze po jadalni dookoła stołu.

* Józef Schoenborn.

Można było skierować w Rynek „kamerę obskurę” i na matówce oglądać wóz zaprzężony w gniadego konia, barwny i ruchomy obraz. Można było wpiąć drucik między bieguny małej dynamo-maszyny i rozgrzać go do stopienia. Ale najciekawsze zabawy wymyślał Dyk. To on wymyślił zabawę w „państwo”. Mieliśmy żołnierzy ołowianych i do tego dołączało się figury szachowe. Król miał zatem ministrów i wojsko, miał skarb złożony z kolorowych przycisków, które były szafirami lub rubinami bezcennej wartości, miał pałace budowane z klocków Richtera. Te cementowe klocki były ceglaste, kremowe i stalowo-niebieskie, kształtu prostopadłościanów, sześciątów, łuków, kopuł i ostrosłupów, z których budowało się domy i pałace według książeczki zawierającej plany tych obiektów nie tylko w widoku, ale i w przekrojach doskonale wykonanych. Ojciec niezmiennie popierał tę zabawę. Te klocki służyły nam do budowania zamków królewskich i fortyfikacji. Gdy wszystko było gotowe, zaczynała się właściwa gra. Królowie wysyłali wzajemnie poselstwa, a potem składali sobie wizyty. Była to okazja do zatargów, bo albo król obrażał się za zbyt skromne podarunki od gościa, albo aresztował go pod pozorem jakichś intryg. Wojna wybuchła. Armaty wyrzucały ciężkie kule ołowiane (śrut) i rujnowały fortyfikacje. Pertraktacje toczyły się jeszcze przed zawieszeniem broni. Stronie pobitej narzucano rozbrojenie i haracz. Mistrzem dyplomacji był Dyk i nie zdarzało się niemal nigdy, żebym ja wyszedł z wojny zwycięsko, bo gra nasza nie miała żadnych określonych reguł, a mój kuzyn był niewyczerpany w wymyślaniu coraz to nowych forteli strategicznych i dyplomatycznych. Nie miał też żadnych skrupułów: był Napoleonem i Macchiavelim w jednej osobie...

Ważną zabawą były szachy. Zacząłem w nie grać bardzo wcześnie. Moją partnerką była siedmioletnia Dziunia, córka wielkiego przyjaciela mojego Ojca. Był nim pan Mravincics; jego imieniem nazwano pięknie chodnik w parku krynickim, bo jako komisarz rządowy zasłużył się Krynicy. Moja siostra Irena grała w szachy mając lat pięć. Graliśmy dużo i źle. Dopiero na uniwersytecie przestałem grać w szachy, bo spotkałem się z prawdziwymi szachistami i zobaczyłem, ile musiałbym stracić czasu, żeby grać jako tako. Ale w gimnazjum miałem później też partnerów. Takim był młodszy ode mnie Stanisław Adamski, uniwersalnie uzdolniony chłopak. Gdy wziął się do szachów, postarał się o dzieło Bardelebena; choć był za leniwy, żeby je całe przestudiować, miał taką pamięć i orientację, że grał prędzej i lepiej niż my wszyscy. To samo było u niego z grą na skrzypcach, z fechtunkiem, ze zbieraniem znaczków pocztowych, z fotografią artystyczną, z grą w taroka. Te namiętności – z wyjątkiem filatelistyki – przechodziły u niego szybko i ustępowały miejsca innym. Był czas, kiedy postanowił zapoznać się z historią literatury polskiej: w tym okresie wiedział wszystko, co zawiera podręcznik Chmielowskiego. Przez krótki czas był taternikiem, ale bardzo szybko go to znudziło. Miał duże zdolno-

ści kupieckie. Nie chciał zajmować się długo żadną rzeczą i ślepczeć na miejscu. Miał doskonały słuch i śpiewał w chórze. Tańczył mazura znakomicie i był sławnym wodzirejem – miał do tego właściwą urodę i postawę. W dużym mieście jest dużo rozrywek, w małym niewiele, ale umysł dziecinny wydobywa z nich, co się da. Czymże jest np. latarnia magiczna z kilkoma obrazkami? Ale najwspanialszy film nie daje mieszkańcowi stolicy tego, co nam dawała taka latarnia! Albo książeczka – bioskop, prototyp kinematografu, której szybkie przewertowanie kciukiem pokazuje czwórke graczy, którzy spokojnie rozpoczynają grę w karty, potem okładają się pięściami, przewracając stół na siebie...

**

Na przełomie między niższym gimnazjum a wyższym zaszły ważne zdarzenia: dyrektor Sienkiewicz zmarł, a jego miejsce zajął Józef Słotwiński, filolog, idealista i patriota, wnuk zasłużonego dyrektora Ossolineum (z jedną z jego córek ożenił się później Stanisław Adamski, wspomniany przed chwilą). Moja najstarsza siostra* wyszła za mąż i u nas w domu odbyło się wesele z ucztą trwającą do rana, z szampanem, z muzyką i udziałem całej rodziny miejscowej, a nawet z daleka przybyłej. Te ważne fakty zasłoniły nam częściowo napięcie polityczne w świecie, choć coraz gwałtowniej zaczęły uderzać o nas prądy ideologiczne. Jedni z moich kolegów czytali „Promień” a inni „Tekę”. Jednych nazywano socjalistami, drugich endekami. Uroczystości patriotyczne miały, obok części oficjalnej, także nieoficjalną: tłum gimnazjalistów (w Galicji nikt nie słyszał o „gimnazystach” z Królestwa, a jeżeli słyszał, to wzruszał ramionami) zdążał za miasto, na prochownię. Tam jeden z siedmioklasistów deklamował przy blasku pochodni – rzecz miała się zawsze wieczorem – suplikacje Mickiewicza: „Od niewoli rosyjskiej, pruskiej, austriackiej wybaw nas Panie!” Niedaleko stał żandarm, który udawał, że nie słyszy. Nie mogłem tego zrozumieć. Wiedziałem, że starsi byli lojalnymi Austriakami; dlaczego podobał się im patriotyczny bunt ich synów? Uważali sobie złote kołnierze i orderzy za zaszczyt, a raz na rok przypominali im ich synowie, że są w niewoli austriackiej? Mój kolega Władek Korczak, syn komisarza starostwa, bardzo miły chłopak, powtórzył mi raz słowa swego ojca: „Polska mi nic nie da – ja żyję z pensji, którą mi Austria płaci!” Syn zacytował je z uznaniem. A starosta, hrabia Władysław Michałowski powiedział w mojej obecności: „Polska! Niech Bóg broni! To by dopiero była tromtadracja!”

Korczak senior oddał wkrótce potem syna do realnej szkoły wojskowej w St. Pölten. Ukończywszy ją Władek otrzymał rangę kadeta i pozostał w austriackiej służbie czynnej, a w roku 1918 przeszedł do armii polskiej.

* Felicia Steinhaus.

**

Nadszedł czas, kiedy już trzeba było myśleć, czym się będzie. Ojciec chciał, żebym został inżynierem. Moi koledzy przeważnie myśleli o prawie – ta droga wiodła do sądu, do adwokatury, do administracji, do prokuratury, do skarbu, do ministerstw. Było to studium o tyle wygodne, że nie musiało się mieszkać w mieście uniwersyteckim: siedziło się na prowincji i zarabiano pisarką u adwokata lub notariusza 50 koron miesięcznie, a pedel we Lwowie lub Krakowie podkładał (za koronę) indeks profesorowi do podpisu tzw. frekwencji. Raz na rok jeździło się na egzamin – przeważnie zdawano je za drugim, albo za trzecim razem, aż w końcu uzyskiwało się absolutorium. Taki „skończony prawnik” był figurą nie lada: uważano go za świetną partię małżeńską, należał do towarzystwa i w ogóle „miał świat przed sobą”. Zdolniejsi korzystali z tego w ten sposób, że po odbyciu praktyki sądowej przenosili się na praktykę adwokacką – nazywali się „koncypientami”; po zdaniu egzaminu adwokackiego mieli wszelkie szanse, że tabliczka „N.N. adwokat” na drzwiach ich mieszkania przyniesie im trzy razy większe dochody, niż pensja komisarza w starostwie lub nauczyciela gimnazjalnego. Przeczytawszy parę tysięcy stron prawa rzymskiego, kanonicznego, austriackiego, cywilnego i karnego, młodzieńcy ci tracili ochotę do wszelkiej lektury na całe życie. Tego rodzaju wychowanie kształciło osobliwe typy, które znalazły swego piewce w autorze *Wesele pana Ciompalanki*. Był nim Adolf Neuwert-Nowaczyński, którego *Matpie zwierciadło* odbiło w krzywym lustrze nieublaganej satyry wszystko i wszystkich, poczynawszy od ultra-konserwatysty hrabiego Stanisława Tarnowskiego, a kończąc na galicyjskich askultantach*, komisarzach, radcach carskich, kancelistach i woźnych. Od tych ostatnich, to znaczy od pisarzy i woźnych, dzieliła naszych młodzieńców przepaść, bo nie tylko nauczycieli się w biurach starostwa i sądu składać arkusz we dwoje i pisać na nim: *p. u., exh., videat exp., reproducatur*, itd., ale znali arkana, od których zawisł ich autorytet w przyszłości. Takie mądrości jak: *nemo iudex in causa sua, neminem laedo, dum ius meum quaero, lex posterior derogat priori, pater est, quem nuptiae demonstrant* i sto innych, używane były przy każdej sposobności, a chłopscy i żydowskie klienty mieli teatr na każdej rozprawie sądowej z elokwencji tych uczonych panów, którzy spierali się o chłopską miedzę słowami niezrozumiałymi dla tzw. „stron” płacących chętnie i hojnie za to dostojne przedstawienie. Wybitni adwokaci prowincjonalni miewali dochody dziesięciokrotnie wyższe niż pensja sędziego. Do tych adwokatów pierwszej gildy zaliczano w Jaśle w roku 1905 czterech, wśród nich mojego stryja Ignacego.

Stryj niemal co wieczór przychodził na pogawędkę „na Rynek”, czyli do mojego Ojca. Warto było patrzeć na tych dwóch braci, takich różnych od

* Niżsi sądowi urzędnicy w Galicji.

siebie. Ojciec był pełen humoru, lubił życie, swój dom i rodzinę, dobre jądło i dobry trunek, towarzystwo, swoje pola i ogród, swoją cegielnię i konie w stajni. Wiedział, że chciwość i ambicja, przesadna pracowitość i snobizm, tak samo uniemożliwiają szczęście, a nawet zadowolenie, jak próżniactwo, rozrzutność, niedołęstwo i zadawanie się z byle kim. Bardziej go cieszył piękny dzień, udały budynek, ładna jabłonia w ogrodzie, niż wysoki stan konta bankowego. Stryj był typem zupełnie odmiennym. Ciągnęła go ambicja do wielkich miast, gdzie decydują o wojnie i pokoju, gdzie dobrze obmyślana transakcja przynosi krocie i gdzie spotyka się ludzi wpływowych i utytułowanych. Ojciec lubił swego brata, ale przyjmował jego zachwyty nad wielkim światem z uśmiechem. Stryj umiał mówić, miał argumentację logiczną, a wymowę sugestywną. Świat miał dla niego inny aspekt niż dla Ojca. Dla niego „dom” to była hipoteka, to była suma czynszów, to był kontrakt kupna-sprzedaży. Dla Ojca „dom” składał się z fundamentów i murów, z wiązania dachowego i z ludzi, którzy zajmują mieszkania w tym domu. Ojciec znał się na ludziach tak jak na winie. Pamiętam, jak stryj namawiał Go na wspólne kupno jakiegoś folwarku. Ojciec oczywiście postanowił obejrzeć obiekt. Pojechał, nie dojechał na miejsce i nie kupił. Droga była tak fatalna, że zawrócił: „Jeżeli nie ma ludzkiego dojazdu, to i folwark diabła wart!” Ale stryj uważał za majątek konto bankowe i papiery wartościowe. Gdy tylko posiadał realny przedmiot, kusiło go, żeby rzecz sprzedać. Oczywiście taka odmienność braci bardzo im pomagała we wspólnych interesach i dlatego większe rzeczy robili zwykle wspólnie. Jeżeli na przykład chodziło o kupno majątku ziemskiego, to Ojciec sam oglądał obiekt i oceniał go, a stryj badał hipotekę i układał kontrakt. Spółdzielnię pn. Towarzystwo Kredytowe – założyli obaj: stryj był prezesem rady nadzorczej, Ojciec dyrektorem. Spółdzielnia ta przetrwała kilkadziesiąt lat i dopiero po śmierci braci uległa likwidacji. W ciągłych wyjazdach do Krakowa, Wiednia i Lwowa stryj stracił nerwy i zdrowie. Nieraz mówił bezwiednie do Ojca jakby słowami lichwiarza z ody Horacego: „Jaki ty jesteś szczęśliwy, że mieszkasz u siebie w domu, nie w hotelu, że śpisz we własnym łóżku, nie w sleepingu, i jesz z własnej, a nie restauracyjnej kuchni!” Ale po tygodniu pobytu w Jasle już go ogarniał niepokój, że tam, we Lwowie lub w Wiedniu, dzieją się wielkie rzeczy bez niego... I znowu wyjeżdżał, i znowu psuł sobie żołądek i wracał... Namawiał Ojca, żeby przeniósł się do Lwowa, gdzie Ojcu ofiarowano dyrekturę jednego z większych banków. Ojciec odpowiadał bratu, że woli być pierwszym w Jasle, niż dziesiątym we Lwowie.

Lata mijaly. Rzeczy, które widziałem jako dziecko, inaczej przedstawiały się, gdym doszedł do piętnastego i szesnastego roku życia. Mój zapal do wojska austriackiego mocno zmalał. Duży w tym udział miał mój dziadek ze strony Matki, gorący propagator pacyfizmu. Zacząłem się interesować tym, co pisano w gazetach. Towarzystwo Kredytowe prenumerowało

„Nową Reformę” krakowską i wiedeńską „Neue Freie Presse” – obie gazety Ojciec przynosił po południu z biura do domu. Wiedeńska zapępiała całe szpalty sprawą kapitana Dreyfusa. Ten liberalny organ Żydów austriackich, jakim była „Nowa Wolna Prasa” piekł przy tym ogniu trzy pieczenie. Po pierwsze działał na korzyść subwencjonujących Niemiec, którym zależało na podsycaniu francuskiej opinii publicznej, podzielonej na dreyfusardów i antydreyfusardów. (Do jakiego stopnia była to gratka *pour le roi de Prusse*, okazało się w drugiej wojnie światowej, bo to właśnie z kół nacjonalistycznych-antysemickich wyszła klika Vichy, służąca okupantowi od 1940 do 1944 roku. Co więcej, rozdwojenie opinii osłabiło politycznie i wojskowo Francję tak gruntownie, że stała się możliwa klęska roku 1940). M. Benedikt, redaktor „Neue Freie Presse” rozszerzył zasięg swojej gazety, bo każdy Żyd umiejący po niemiecku chciał czytać o losach niewinnego kapitana francuskiego*, który wskutek intrygi hrabiego Esterhazy, kolegi owego kapitana ze sztabu generalnego, został skazany na pobyt na wyspie diabelskiej, jako szpieg niemiecki. Chciał czytać książkę *J'accuse!* Emila Zoli, wielkiego pisarza, który ujął się za niewinnym Żydem i chciał czytać w wiedeńskiej gazecie zeznania Piquarta**, Paty du Clama*** i innych oficerów, które wskazywały na to, że szpiegiem był Esterhazy... Drugą pieczęć pożarł więc też Benedikt. Trzecią pieczęcią był interes spróchniałej monarchii, której armia i sądownictwo wychodziły na białą na tle korupcji armii francuskiej i jej sądów. Kołom wiedeńskim tym bardziej na tym zależało, że c.k. armia nie była wolna od takich szpiegów, jak major Redl, miała truciciela w osobie Hofrichtera, który usiłował usunąć kolegów zagrażających mu drogę do awansu w sztabie generalnym, a także cywilni intryganci, jak Friedjung, odkrywca nie istniejącego spisku chorwackiego, nie przyczyniali się do prestiżu dwugłowego orła. Ale wtedy nie miałem krytycznego spojrzenia, a mój dziadek wierzył w to, co wyczytał w „Neue Freie Presse”. W szczególności entuzjamował się baronową Suttner i jej pacyfistyczną książką *Die Waffen nieder!* Nie podzielałem tego zachwyty.

Dziadek mieszkał w Tarnowie, przy ulicy Wałowej 6, miał siwe bokobrody *à la* Franciszek Józef I, chodził chętnie w cylindrze, miał laskę z białą gąlką i lubił, gdym mu towarzyszył do Ogrodu Strzeleckiego. Był to rzeczywiście piękny park – bardzo mi się podobało, że był tam skomplikowany zegar słoneczny na środku klombu. Na biurku dziadka leżały drewniane klisze do tłoczenia rycin przedstawiających przekroje pieca cegielnianego pierścieniowego jego własnego pomysłu. Wynalazek polegał na tym, że spaliny jednej komory podsuszały cegłę w następnej, a potem do-

* Alfreda Dreyfusa.

** Podpułkownik, wykładowca w Szkole Wojennej.

*** Major, prokurator sądu wojskowego w tej rozprawie.

piero szły do komina. Leżały też modele dachówki jego systemu o specjalnych felcach. Dziadek stracił duży majątek procesując się z księciem Sanguszką o wynagrodzenie za cegielnię, którą księciu zbudował. Przegrawszy proces, żył z przedstawicielstwa Portlandcementu w Opolu. Jego rodzina pochodziła z Oświęcimia, tam przybyła z Piotrkowa, a do Piotrkowa z Gdańska; tak więc jeszcze przed rozbiorem żyła w Polsce. (Rodzina mego Ojca dopiero z początkiem XIX wieku przeniosła się z Węgier do Galicji). Dziadek tarnowski starał się obrzydzić mi wojsko i militarizm, bo nie chciał, żebym został oficerem. Opowiadał mi, że w młodości chciał zostać uczonym; rzeczywiście za młodu studiował język hebrajski i łacinę, ale musiał to rzucić dla chleba. Był to człowiek gołębiego serca. Nie było w nim ani kropli jadu i nienawiści. Był sprawiedliwy i nie umiał się sprzeczać. Przez całe życie nie miał na ciebie żadnej skazy, żadnego wyrzutu, żadnego zadrąśnięcia, a dożył 83 lat. Pamiętam, jak mi radził wstawać przed świtem, aby w samotności i ciszy być świadkiem budzenia się ptaków, które naprzód nieśmiało próbują swego głosu, a w miarę wschodu słońca przechodzą we wspaniałą symfonię radości.

Obawa dziadka była płonna – już w gimnazjum zdecydowałem o swojej przyszłości. Ojciec życzył sobie, żebym został inżynierem, zresztą bez żadnego nacisku – widział jak chętnie czytałem powieści Juliusza Verne'a i jak mnie interesowały wynalazki techniczne. Zresztą nasza biblioteka domowa była dość niska, a lektura należała do przypadku. Była tam wprawdzie znakomita *Literatura powszechna* Szujskiego, niestety tylko pierwszy tom (starożytność) – czytałem go namyślnie i wielokrotnie. Do znajomych Ojca należał młody inżynier Ludwik Silbermann, który uzyskał swój tytuł na politechnice, ale także ukończył studia matematyczne na wydziale filozoficznym uniwersytetu. Przy pierwszej sposobności zapytałem go, gdzie można nauczyć się więcej matematyki. Odpowiedział, że na uniwersytecie. Od tej chwili moja decyzja była powzięta.

Nie było wiele sposobności do kształcenia się samemu w matematyce. Raz zdobyłem Dziwińskiego *Wykłady matematyki*, wydane dla studentów politechniki. Ta gruba księga zaimponowała mi niesłychanie, ale widząc obfitość materiału nie wiedziałem, od czego zacząć – znacznie później dowiedziałem się, że układ rozdziałów odpowiadał nazwisku autora. Stryj miał wówczas koncipienta dra. T. Warchałowskiego, który interesował się różnymi rzeczami; on to pożyczył mi małą książeczkę Bendta o rachunku różniczkowym i całkowym. Spróbowałem to czytać i rzeczywiście zacząłem rozumieć. Potem wpadła mi w rękę *Analiza* Burgha wiedeńskiego profesora z połowy XIX wieku. Tam znalazłem szereg Taylora, które mnie niezmiernie zafrapowały. Kierownictwa nie miałem żadnego, dobrych książek nie miał mi kto wskazać; może i lepiej tak było, bo oddawszy się za wcześnie matematyce byłbym zaniedbał resztę.

Zbliżała się matura. Była to jeszcze pełna matura: z egzaminem pisemnym z matematyki, z języka polskiego, niemieckiego, łaciny i z ustnym z tychże przedmiotów, a ponadto z historii i greckiego. Można było być zwolnionym z niektórych egzaminów ustnych na podstawie celujących świadectw z ostatniego roku. Byłem zwolniony z matematyki, fizyki i historii. W ostatnim, tj. ósmym roku gimnazjalnym, miałem dużo zajęć, wcale więc nie liczyłem na zwolnienie i już układałem sobie plan na wypadek ujemnej matury. Dla siebie czytałem historię filozofii Schweglera w wydaniu Reblama, a ponadto uczyłem się angielskiego. Moją nauczycielką była stara Angielka, miss Hughes, o wyglądzie czarownicy z bajek. Była u nas pół roku, potem postanowiła wyjechać na Węgry. Ponieważ trzeba było zmienić pociąg w Nowym Zagórzu, więc naprzód odbyła podróż próbną do Nowego Zagórza, aby tam na miejscu zbadać rozkład dalszej jazdy; obstał ją tam tłum ludzi, którzy nigdy nie widzieli czarownicy i to mówiącej po angielsku! Schroniła się do sklepu i pod ochroną policji uciekła tylnymi drzwiami na dworzec. Uczyłem się u niej własnym sposobem: mianowicie już przedtem dał mi mój kuzyn Dyk kilkanaście lekcji metodą Berlitz. Teraz czytało się jakiś tekst, ona poprawiała wymowę, a wyrazy niezrozumiałe tłumaczyła mi po angielsku. Taka metoda wymaga wielkiego wysiłku ze strony ucznia, ale prowadzi najszybciej do celu. Tym celem było u mnie czytanie książek angielskich. Metoda Berlitz, oparta na założeniu, że dzieci uczą się języka rodzowitego przez pokazywanie przedmiotów przy równoczesnym ich nazywaniu, prowadzi bardzo niedaleko, bo nie tylko trudno mieć pod ręką przedmioty lub choćby ich ryciny, ale także podróż do abstraktów tą drogą trwa zbyt długo. Jeżeli chodzi tylko o porozumiewanie się w pociągu, w hotelu i w restauracji, to obawa prymitywnych ludzi, że nieznaną im języka zagranicznego grozi jakimiś trudnościami, jest przesadna. Tyle ile trzeba, żeby nie zginąć z głodu lub pragnienia, można się nauczyć w jeden dzień. Czasem nawet opłaci się nie umieć. Sprawdziłem to mimo woli znacznie później w skwarny dzień we Florencji. Na placu, na którym stoi tam marmurowy Dawid dłuta Michała Anioła, spotkaliśmy z żoną starą kobietę i jeszcze drugą, zapewne jej córkę. Niosły świeże figi, więc zaproponowałem im kupno całej torebki, nazywając po polsku ten owoc: figi. Obie na to zaczęły śmiać się do rozpuku, zostawiły nam owoce i – nie biorąc pieniędzy – uciekły. Później dowiedzieliśmy się, że powiedziałem coś bardzo nieprzyzwoitego.

W tych latach – wracam do ostatnich lat gimnazjalnych – wybuchła wojna rosyjsko-japońska o Koreę i Mandżurię. Była to sensacja niebywała. Pamiętam pierwsze telegramy o zatopieniu pod Czemulpo rosyjskich pancerników „Carewicz” i „Retwizan”. Wszyscy byliśmy oczywiście po stro-

W rzeczywistości okręty te zatopione zostały w bitwie pod Cuszimą. Pod Czemulpo natomiast – zatopiono lekki krążownik „Wariag” i stawiacz min „Korejec”.

nie Japonii. Wtedy właśnie przyjechał do nas wuj Marceli Frydman z synem Ryszardem, który stawiał się do wojska. Ryszard traktował rzecz z wiedeńskiego punktu widzenia tych sfer, które tłumaczyły sytuację realistycznie: wróżył, że kolos rosyjski łatwo zgniecie karzelka japońskiego i osadzi w Tokio generał-gubernatora na miejscu mikada. Ale w Jasle i w całej Galicji Japonia stała się modna: najnowsze spinki do mankietów nazywały się japońskie, kołnierzyki były marki „Banzai”, wyroby z laki były poszukiwane, a Japonia widziana oczyma Lafcadio Hearna lub Wacława Sieroszewskiego przedstawiała się jako ojczyzna dzielnych żołnierzy, samurajów ceniących honor nad życie, gejsz *à la madame* Butterfly grających na tamizenach w pałacach bambusowych wśród wiśniowych gajów, kwitnących przez cały rok. Że już wówczas powstawały tam, na dalekim wschodzie, nowe Prusy, że Niemieccy oficerowie wprowadzili poczdamski *drill* do koszar w Kobe i Nagasaki, i że rycerzom i gejszom miłszy był zapach dymów fabrycznych, niż aromat wiśniowego kwiecia – nie wiedział ani mój kuzyn Ryszard, ani jego ojciec, u którego na biurku leżały ody Horacego w oryginale łacińskim, a nie sprawozdania statystyczne.

Dla sprawy polskiej wojna z Japonią była pożądana, a telegramy w gazetach nam dostępnych donosiły coraz częściej o strajkach i zaburzeniach w Królestwie i w Rosji właściwej. Bezpośredniego kontaktu nie było. Raz spotkałem dezertera – uciekł z Królestwa przed branką do Galicji i znalazł się w Jasle. Była wiosna, woda na Wisłocy była wielka, a stolarz Juryś miał spławić prom do Kłodawy. W tej imprezie postanowiliśmy uczestniczyć: oprócz Jurysia, Stanisław Adamski, Ludwik Oberländer, Jan Węgrzyński i ja. Kupiło się antatek piwa i siadło się na promie. Juryś miał naszego dezertera za pomocnika. Spytałem go dlaczego uciekł. – Bo Moskal zwariował i ludzi na śmierć posyła – odpowiedział.

Było już po maturze, która odbyła się 5 maja 1905 roku, a więc podczas najdłuższych, bo pięciomiesięcznych wakacji. Nie było ich czym wypełnić. Toteż byłem niezmiernie wdzięczny lekarzowi Józefowi Kadyjemu, gdy mi zaproponował, że weźmie mnie ze sobą w Tatry na kilkudniową wycieczkę, którą urządzał jego brat Henryk, profesor anatomii. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem Tatry. Szło się przez przełęcz Gorczykową, a potem obchodziło się Krywań doliną Cichą aż do Podbańska, gdzieśmy nocowali. Gdy idzie się mozołnie i przechodzi przez regle, a potem przez hale, w końcu przez kosodrzewinę, aby nagle, na przełęczy, poczuć inny wiatr, zobaczyć wygrzaną słońcem bujną trawę południowego stoku i migoczącą daleko w niebieskiej połodze równinę węgierską, przed którą strąca Krywań rozłożony jak ciemny lew – aby posłuchać pod sobą poszum milionu świerków w Cichej Dolinie... otóż, gdy idzie się takim sposobem, to już potem musi się zostać zaciekłym przeciwnikiem kolejek linowych. Towarzystwo składało się z profesora, jego żony i trojga dzieci doktora przewodnika i mnie. Starsza córka profesora była jedną z pierwszych stu-

dentek uniwersytetu lwowskiego – miała duże zdolności lingwistyczne. Z Podbańska poszliśmy do Jeziora Szczyrbskiego – w szykownej restauracji, gdzie grała cygańska kapela, kelnerzy patrzyli koso na nasze podkute buty i ciężkie rękawiki. Po węgierskiej stronie letniska miały styl zachodnio-europejski – polskich turystów uważano tam za dzikusów. Kryła się pod tym też i niechęć do słowiańskich sąsiadów, którzy ze słowackimi góralami porozumiewali się łatwiej niż węgierscy panowie. Było też wielu Żydów z Budapesztu, bardziej madziarskich od Madziarów. Historia pokazała później, że ani Madziarzy Żydom, ani Słowacy Polakom nie zrewanżowali się 30 lat później, a już zupełną fikcją okazała się przyjaźń polsko-węgierska. Ale wtedy nie było jeszcze wielkich wojen... Jedyną aferą międzynarodową był spór o Morskie Oko. Z prywatnego zatargu granicznego między księciem Hohenlohe a hrabią Zamoyskim zrobił się spór publiczno-prawny, a nawet międzynarodowy, bo strona polska powoływała się na nadania królów polskich, a węgierska na nadania węgierskie, tak że trzeba było rozstrzygnąć, którądy przebiegała granica polsko-węgierska przed rozbiorem. Ponieważ Maria Teresa, biorąc Galicję, wcieliła ją do Cislitawii, spór dotyczył granicy między austriacką a węgierską połową dualistycznej monarchii. Żaden trybunał austriacki ani węgierski nie był tu kompetentny. Tym sposobem z bijatyk między polskimi góralami a „bocuniami” (czyli niemieckimi strażnikami leśnymi Hohenlohego) zrobiła się afera międzynarodowa. Cesarz Franciszek Józef I powołał osobną komisję, do której rząd austriacki delegował swoich rzeczników przez galicyjski Wydział Krajowy, a rząd węgierski swoich – bezpośrednio. Obie delegacje wybrały szwajcarskiego historyka*. Rzecznikiem roszczeń polskich (formalnie austriackich) był profesor Oswald Balzer ze Lwowa. Zwycięstwo Balzera było zupełne, gdyż przekonał trybunał, że Węgrzy fałszywie interpretują łaciński tekst decydującego dokumentu. Tym sposobem całe Morskie Oko przypadło Polsce i należy do niej po dzień dzisiejszy.

W stołecznym Lwowie

Wakacje były długie i odbywały się pod znakiem przygotowania beana** jasielskiego do rangi studenta, zwanego w ówczesnej Galicji przesadnie – akademikiem. Kilka tygodni spędziłem samotnie w Rabce dla wypoczynku i uczenia się elementów geometrii wykreślnej. Chciałem dorównać absolwentom szkół realnych, którzy mieli ten przedmiot jako obowiązkowy w szkole. Mój kuzyn Dyk, o rok starszy, już był studentem prawa we

* J. Winklera, na przewodniczącego międzynarodowego sądu polubownego w Bratysławie.

** Nowicjusza.

Lwowie. Jego matka przeniosła się do Lwowa z tego powodu, ale wakacje Dyk spędzał wciąż w Jasle. Przejście z gimnazjum na uniwersytet wymagało cywilnego stroju i porzucenia munduru. Kuzyn mój podjął inicjatywę, wskazując firmę Heilman i Cohn, która dostarczyła mi granatowy komplet, bez takich formalności, jak branie miary i przysłała garnitur ze Lwowa. Tak więc mogłem pokazać się w stolicy galicyjskiej, a także miałem tam pomieszczenie, bo matka Dyka wynajęła mieszkanie przy ulicy Gołąba nr 10 na Łyczakowie i zgodziła się na mnie jako sublokatora „z wiktem i obsługą”, zaś moi rodzice bez trudności zawarli umowę, bo oboje z wzajemnością lubili tę miłą wdowę.

Dyk imponował mi jako zdobywca kobiet. W jego jasielskim domu była przystojna służąca, która po paru latach wyszła za rzemieślnika – kuzyn zapewniał, że historia *Wianka mirtowego* Jerzego Żuławskiego rozegrała się z nim jako bohaterem... Nie bardzo w to wierzyłem, ale nie byłem aż taki sceptyczny, żeby zauważyć, że jeżeli jego porównanie z *Wiankiem* było trafne, to on został zdobyty... Łatwiej mi było uwierzyć innemu koledze, synowi nauczyciela wiejskiego, który opowiedział mi, jak dziewczyna posługująca w ich domu broniła się walecznie, aż ofiarował jej kopę gruszek – taka była oznaczona przez nią cena cnoty. Wielu ze starszych kolegów odwiedzało „Czerwoną Karczmę” w Ułaszowicach za północną granicą miasta, a atmosfera tego lokalu była właśnie taka, jaką opisał bezwiednie Zegadłowicz w *Zmorach*.

Zapisałem się we Lwowie na wydział filozoficzny dla nauki dwu przedmiotów: matematyki i filozofii właściwej (żargon wymyślony przez lwowskich biurokratów uniwersyteckich nazywał ten przedmiot filozofią ścisłą, aby ją odróżnić od filozofii obejmującej wydział). Oczywiście wpisałem do indeksu wykłady Twardowskiego – tak robili niemal wszyscy studenci I roku wydziału filozoficznego. Kazimierz ze Skrzypny Twardowski, a więc potomek czarnoksiężnika, był sam czarnoksiężnikiem. Inaczej trudno wytłumaczyć fascynujący wpływ jego indywidualności. Miał popularność, o którą nie dbał. Wykładał o ósmej rano, w lecie o siódmej, a spóźniających się na wykład łajał *coram publico*. Na seminariach wymagał punktualności i dokładności, w pracowniach wprowadził niemal wojskową dyscyplinę, jednym słowem robił wszystko, za co by innego profesora znienawidzono. Tymczasem na jego wykłady tłoczyły się coraz większe zastępy filozofów, prawników, matematyków i humanistów. Był uczniem austriackiego „Teresianum”, półwojskowej szkoły średniej, do której posyłała swe dzieci szlachta austriacka i wysocy urzędnicy; potem odbył kurs aktuarialny, a w końcu oddał się filozofii u Brentana. Był muzykalny i komponował; słyszałem jego muzykę do poematu Nietzschego *O Mensch, gib Acht!* Znał dobrze języki klasyczne i nowożytne, a wykłady swoje opracowywał bardzo sumiennie, kładąc nacisk na historię filozofii. Można było dużo się nauczyć. Dzięki niemu dowiedziałem się, na przy-

kład, o książce Langego *Historia materializmu*, którą przetłumaczono na polski; jemu też zawdzięczam lekturę Schopenhauera, o którym mówił na kolegium „Etyka naukowa”. Drugi filozof, profesor Mściśław Wartenberg, wykładał w roku akademickim 1905/1906 „Metafizykę” i „Antynomię Kanta” – pamiętam, jak Wartenberg głosem niedopuszczającym sprzeciwu wołał: „Cóż znaczyłaby litera *t* w newtonowskich równaniach dynamiki, gdyby nie było absolutnego czasu”? Dowiedziałem się też o istnieniu Ernsta Macha; przeczytałem *Analyse der Empfindungen* i *Populärwissenschaftliche Vorlesungen*. Mach jest przykładem popularyzatora, który nie jest wulgaryzatorem – ten gatunek miał świetnych przedstawicieli, przede wszystkim Henri Poincarégo, a w Polsce Juliana Ochorowicza, ale obecnie wygaś u nas prawie zupełnie. Matematykę wykładał u nas Julian Puzyna. Był uczniem Fuchsa w Berlinie – można żałować, że nie studiował wcześniej, kiedy Weierstrass był w Berlinie. Książ Puzyna był entuzjastą matematyki. W tej epoce matematycy u nas kończyli smutno; tragiczne było życie Trzaski, Kretkowskiego, Rajewskiego i Kępińskiego. Natomiast mógł Lwów chwalić się doskonałym fizykiem Marianem Smoluchowskim, którego ściągnął z Wiednia Twardowski, terejański kolega. Była moda na nauki społeczne, więc i ja chodziłem na seminarium Stanisława Grabskiego o metodologii nauk społecznych. Muszę powiedzieć, że nie rozumiałem ani słowa i podziwiałem Ostapa Ortwiną, który na tym seminarium prowadził uczone dyskusje z profesorem. Postanowiłem uczyć się socjologii i pożyczyłem z biblioteki uniwersyteckiej *Division du Travail* Emila Durkheima, ale nic nie pomogło. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Durkheim opisuje zwyczaje małżeńskie ludów polinezyjskich, jako ważne dla socjologii, a nie opisuje ich sposobów wojennych. Krótko mówiąc, moje zdolności socjologiczne okazały się równe zeru.

W tym pierwszym moim roku akademickim kułem strasznie – nie miałem zresztą nic lepszego do roboty. W karty nie grałem (lekką manię tarokową przeszedłem w VI-ej klasie gimnazjalnej), alkoholu nie lubiłem, a do tańca stosowałem maksymę *nemo saltat sobrius nisi forte insanit**. Mój kuzyn Dyk był innego autoramentu: lubił towarzystwo i był wielkim wodzierejem. Nawet u nas w domu, w Jasle, bywały komplety taneczne. Zjeżdżała raz na rok szkoła tańca „Karolina Witkay i Syn”. Chętnie patrzyłem, jak tańczyli inni. We Lwowie też bywałem biernym widzem zabaw i balów. Niezrównany mazurzysta Stanisław Adamski i mój kuzyn, nieraz po przetańczonej nocy odwiedzali mnie o siódmej rano i zabierali do kąpieli w Wisłocze.

* (Łac.) Nikt, kto trzeźwy, nie tańczy, chyba że niezdrów na umyśle.

We Lwowie zapoznałem się z politykującą młodzieżą. Walka dwóch zasadniczych odtamów roznamietniała wszystkich. Mój kuzyn należał do zarządu „Życia” i bardzo się przejmował swoją rolą. Ale mnie nigdy nie wpadło do głowy iść na wieczorne posiedzenie tego postępowego stowarzyszenia akademickiego. Miewał tam odczyty Andrzej Niemojewski, autor *Legend*, których tytuł skonfiskował prokurator*. Niemojewski popularyzował u nas historyczne badania nad Pismem Świętym i był zaciekle zwalczany przez księży. To czyniło go *persona grata* w oczach postępców „Życia”. Jak wiadomo tenże Niemojewski po I wojnie światowej został przywódcą ideowych antysemitów.

„Życie” było prowadzone przez braci Downarowiczów. Przeciwny obóz, zapatrzony na Dmowskiego i Balickiego, nieraz delegował swoich luminarzy na dyskusje zasadnicze do „Życia”, które ciągnęły się do późnej nocy i na drugi dzień były komentowane przez szary tłum pospolitych akademików. Spotykałem wśród kolegów anarchistów i badaczy sanskrytu, wiecznych studentów i karciarzy, którzy utrzymywali się z gry w ferbla w „Kawiarni Centralnej”, biedaków, którzy posiedli sztukę życia za 30 koron miesięcznie, prawników, którzy za paręset koron wkuwali w głowy bogatszych, ale mniej uzdolnionych młodzieńców, kilka tysięcy stronic prawa rzymskiego, kanonicznego i austriackiego. Poznałem innych, którzy nosili bransoletki, mówili „bahdzo” zamiast „bardzo” i udawali, że mają tabes** (te maniery uważali za właściwą rekomendację do przyzoidalnej kariery w c.k. Namiestnictwie); mówców, którzy pierwszego maja przemawiali do tłumów z trybun okrytych czerwonym sukniem, i dekadentów, którzy od zmroku do świtu przesiadywali w „Kawiarni Kryształowej” w Pasażu Mikołascha. Lwów był interesujący. Było dużo pięknych kobiet, także wśród koleżanek. Mój kuzyn przyniósł raz kilkanaście zeszytów hektografowanych; było to czasopismo satyryczne wydawane przez towarzyską elitę żydowską, złotą młodzież, której pamflety i trawestacje dowodziły dużej inteligencji i dowcipu. Po dwudziestu latach okazała się bezowocność tych kawiarnianych kwiatków – żaden z nich nie wybił się ponad przeciętność dziennikarską. Wyjątkiem był Roman Tenner, prawnik: miał świetny pomysł ulepszenia tak zwanych „gier wojennych”, przez wprowadzenie do nich losowania, którego warunki odpowiadałyby doświadczeniu sztabów. Nie ogłosił nigdy tego projektu i może po dziś dzień nie wie, jakiej wagi nabrała ta metoda w naukowej teorii gier, odkryta powtórnie później i gdzie indziej.

W owym czasie Lwów przeżywał gorączkę budowlaną. Całe ulice powstawały za jednym zamachem, a różne banki galicyjskie i wiedeńskie bu-

* Konfiskaty zażądały władze kościelne, ale po interpelacji poselskiej *Legendy* ukazały się we Lwowie w 1902 roku jako „Tytuł skonfiskowany”.

** Syfilis.

dowały wielopiętrowe gmachy, nie przerywając pracy nawet w nocy, oświetlając miasto łuną łukowych lamp umieszczonych wysoko nad rusztowaniami. Na ulicy Karola Ludwika powstawały coraz nowe sklepy, których wystawy były otwarte do późnej nocy i jaskrawo oświetlone, a chodniki były przepełnione falą spacerujących, wśród których co najmniej połowę stanowiły zawodowe ulicznice, nie za bardzo elegancko ubrane. Był to wówczas zawód o wielu szczeblach; na najwyższym szczeblu były panie zajeżdżające w karetach do teatru i zajmujące tam własne łóże. Główną klientelą wyższej połowy światka byli oficerowie, których było we Lwowie mnóstwo. Stali tłumnie w niedzielę na rogu Akademickiej, koło hotelu George’a, przypatrując się damom wychodzącym z katedry po dwunastówce.

Teatr był wtedy pod znakiem *Wesołej Wdówki*, a Helena Milowska – najjaśniejszą gwiazdą na niebie lwowskim. Lwowianie cenili sobie bardzo swoją operę. Mój kuzyn Dyk był bardzo muzykalny; grywał chętnie partytury oper klasycznych, a tenor włoski Dianni, zaaklimatyzowany we Lwowie, był *persona gratissima* w rodzinie Dyka. W teatrze grywano wtedy Ibsena i Maeterlincka, a z polskich autorów Żuławskiego *Erosa* i *Psyche*. Oto dramat, który wydawał się elicie lwowskiej szczytem romantyzmu filozoficznie pogłębionego i zmodernizowanego. Zamienionego w kamień i ustawionego koło kolumny naprzeciw hotelu George’a uważano Mickiewicza za przestarzałego szlacheckiego pisarza, dobrego jako lektura młodzieży szkolnej i w sam raz do wieczorków gimnazjalnych. Przysięgano na Słowackiego, jego imieniem nazwano teatr, a młody wówczas docent, Juliusz Kleiner, miał tłumy słuchaczy (zwłaszcza słuchaczek) na wykładach o Słowackim, wygłaszanych patetycznie i świetnie skomponowanych.

Literatura w ogóle była w modzie. Na tym polu kwitła twórczość, którą można było dostrzec jeszcze w malarstwie, słabo w muzyce, znacznie trudniej w naukach ścisłych. W architekturze i przemyśle artystycznym natomiast panowała ohydna secesja, która przez długie lata miała psuć wzrok inteligentnego ogółu. Wspaniałej katedry łacińskiej, pięknych barokowych kamienic w Rynku, ślicznej architektury klasztoru i kościoła bernardynów, zespołu kościoła św. Mikołaja z dzwonnica i murem, renesansowego archiwum za kościołem dominikanów, przepięknej katedry św. Jura i dziwnego ormiańskiego zakątka z Podwałem nikt nie dostrzegał. Lwów był postępowy, cieszyły go wiedeńskie wielopiętrowki, sztukaterie fasadowe, nowy dworzec (największy wówczas w całej monarchii), tramwaj elektryczny, lampy łukowe i szerokie ulice. Wyraz „komfort” był hitem – z biegiem czasu nabrał on znaczenia technicznego i mówiono we Lwowie bez zająknięcia o „mieszkanie z półkomfortem”.

W każdym razie mogło mi się zdawać, że żyję w stolicy. Było we Lwowie wielu bogatych ludzi: na pszenicy podolskiej, na drzewie karpackim i na ropie drohobyckiej niejedną dorobił się pieniędzy. Za nie budowano

lub kupowano domy we Lwowie, przegrywano je w Kaskim Kasynie, pito szampana w „Casino de Paris”, trzymano ekwipaże i wynajmowano łoża w teatrze. Tego wszystkiego byłem widzem, i biernym, i dalekim. Nie byłem na żadnym z tych przyjęć, na których podawano w zimie poziomki sprowadzane z Włoch, lub przepiórki już nie wiem skąd, ani nie widziałem kankana, który był wtedy koroną i finałem zabaw złotej młodzieży.

Ciągłość nauki uniwersyteckiej przerywano nie tylko feriami przewidzianymi w programie. Od czasu do czasu Rusini (którzy już wtedy chcieli się nazywać Ukraińcami, do czego mieli najzupełniejsze prawo, ale nie rozumieli, że to prawo nie obowiązuje innego narodu, który w swoim języku ma inną nazwę Ukraińców, tak jak Niemcy nie mają prawa żądać od nas nazwy Deutsche) urządzali demonstracje, domagając się powiększenia liczby katedr ruskich, własnego ruskiego uniwersytetu, wprowadzenia języka ruskiego do urzędowania władz itd. Część młodzieży polskiej reagowała na to kontrdemonstracjami. Podczas jednej z takich burd Rusini zajęli część gmachu przy ulicy Świętego Mikołaja i zabarykadowali się ławkami, a Polacy zajęli resztę gmachu i rozpoczęli regularną wojnę w celu wyrzucenia najeźdźców. Walka trwała trzy dni; walczono na laski i bombardowano się nawzajem polanami drzewa opałowego. Były czasem zawieszenia broni, godzinne lub dłuższe, dla zabrania rannych; podczas przerw przeciwnicy częstowali się papierosami i rozmawiali w przyjaźni. Młodzież socjalistyczna, ani polska, ani ruska, nie uczestniczyła w tej wojnie. Policja nie interweniowała; pluton pod wodzą komisarza zajął stanowisko na rampie naprzeciw kościoła, ale do gmachu nie wszedł, bo rektor nie żądał interwencji, więc policja musiała stać poza terytorium uniwersyteckim. Rząd austriacki w duszy sprzyjał Rusinom i nawet uwzględniał niektóre ich żądania, ale nie mógł w tej polityce iść za daleko, bo Koło Poselskie, ważny składnik rządowej większości w parlamencie, było za silne, by baron Gautsch, ówczesny premier, mógł się mu narazić. Trzeba wiedzieć, że w tym czasie było na uniwersytecie lwowskim kilka katedr ruskich; były to katedry języka ruskiego, historii i literatury ruskiej oraz niektóre katedry prawa.

Getynga

W roku 1906 z wiosną przyjechał do Lwowa z Berlina Stanisław Jolles, profesor geometrii wykreślnej na politechnice w Charlottenburgu – przyjazd dotyczył spraw majątkowych pani Jollesowej, która miała pod Lwowem jakieś młyny. Pani Jollesowa знаła się z matką mojego kuzyna, więc odwiedziła z mężem siedzibę przy ulicy Gołaba nr 10. Przy tej sposobności

si profesor dowiedział się, że sublokator, czyli ja, chce być matematykiem. Bez namysłu zawołał: – *Junger Mann, packen Sie ihren Koffer und fahren Sie nach Göttingen!* (młodzieńcze! pakuj kufer i jedź do Getyngi!). Gdy w lecie znalazłem się w Jasle z końcem roku akademickiego 1905/1906, Ojciec mój nie wziął zbyt serio kategorię imperatywu Jollesa, ale Matka moja gorąco poparła radę wyjazdu; tym bardziej że widziała moją ochotę. Tak więc przeniosłem się w jesieni roku 1906 do Getyngi. Jechałem przez Wrocław i Berlin, stamtąd do Halle i do Getyngi przez Eichenberg. Pociąg Eichenberg-Göttingen miał już charakter lokalny: był niemal pusty. Jechali nim tylko studenci w kolorowych czapeczkach i trochę pasażerów prowincjonalnych. Od stacji Bovenden już mogłem widzieć krajobraz, w którym miałem przeżyć kilka lat: niskie pagórki, pokryte liściastymi lasami, na ich tle wieża Johannis-Kirche i czerwone dachy – wszystko w tonach rdzawych, brązowych, brunatnych i żółtych; taka tam jest ziemia, takie były jesienne liście, taka też i dachówka.

Umieściłem się w małym hoteliku na Judenstrasse i przez okno patrzyłem na cichą ulicę. Dzieci, nieskrępowane przez nikogo, bawiły się tam popędzaniem biczykami małych, stożkowatych bąków. Ten obraz sprawił, że poczułem się nagle daleko od domu: u nas dzieci nie znały tej zabawki. Ale przejechał wóz piekarski, na nim właściciel w białej czapce, konie były zaprzężone inaczej niż u nas i rasy zimnokrwistej. Przypomniłem sobie, że całe takie zaprzęgi widywałem już kiedyś na wystawach sklepów z dziecinnyimi zabawkami i zrozumiałem, że zabawki sprzedawane w Polsce były fabrykowane w Niemczech. Byłem z tego odkrycia niezadowolony.

Następnego dnia udałem się do budynku rektorskiego, gdzie pedel główny wręczył mi spis różnych pensjonatów; wybrałem pokój z utrzymaniem u pani Thomas, która mieszkała przy Weedenstrasse 82, tuż przy audytorium uniwersyteckim. Kosztowało to razem 80 marek miesięcznie. Jedzenie było skromne, ale dostateczne. Wykładów jeszcze nie było, więc z profesorami zapoznałem się tylko przez lekturę ich nazwisk w programie wykładów. Wydało mi się, że ludzie, którzy nazywają się tak dziwnie jak Hilbert, Carathéodory, Minkowski i Herglotz, muszą być wielkimi uczonymi. Było tak naprawdę, ale sąd mój był ugruntowany najzupełniej irracjonalnie.

Musiałem się przyzwyczaić do niemieczyny. Musiałem się nauczyć, że niegrzecznie jest zwracać się do kogoś bez nazwiska, że więc rano mówi się *Guten Morgen, Fräulein Thomas!*, i że na ulicy w południe mówi się *Mahlzeit, Herr Lehmann!** To, że *Guten Tag* mówi się przez „ch” na końcu, było nieprawdopodobne, choć prawdziwe – tak daleko jednak nie sięgał mój konformizm.

Ponieważ moja ciotka wybała i doniosła mi, że Antoni Łomnicki, doktor uniwersytetu lwowskiego, jest na studiach w Getyndze, wybrałem

* (Niem.) Smacznego, panie Lehmann.

się do niego. Mieszkał naprzeciw audytorium, z żoną i jednoroczną córką, Ireną. Nie byli to jedyni Polacy w Getyndze; studiuwali tam bracia Dziwulscy: Władysław był asystentem astronomii, młodszy, Wacław, studentem fizyki; astronomię studiował Felicjan Kępiński z Piotrkowa, później pojawił się Leon Chwistek z Krakowa (z siostrą), astronom Tadeusz Bapachiewicz, Włodzimierz Stożek, Antoni Przeborski, Kazimierz Jantzen, aktuariusz Doerman, Moroński, K. Horowicz, medyk Ryder, filozof Roktowski, prawnik Marchlewski, Janaszek, fizyk Jan Króo, Sokołowski, matematyk Żyliński, Szadurski, antropolog Edward Loth i wielu innych. Nie byli to zresztą jedyni cudzoziemcy w Getyndze: studiuwali tam liczni Amerykanie, Anglicy, Węgrzy, Rosjanie, Japończycy, nawet Hindusi. Duży udział Polaków był skutkiem strajku szkolnego w Królestwie. Na ogół młodzież, nie wyłączając polskiej, była zamożniejsza niż nasi studenci krakowscy i lwowscy. Synowie niemieckich robotników i chłopów wyjątkowo tylko dochodzili do matury. Stypendiów było mało. Studium uniwersyteckie było przywilejem sfer posiadających; zwolnień od czesnego udzielano tylko wyjątkowo, a opłaty były dość wysokie. Większa część tych opłat przypadała profesorom – niektórzy z nich, mianowicie wykładający przedmioty przeznaczone dla liczego audytorium, czerpali stąd niezłe dochody dodatkowe. *Nota bene* w Austrii było podobnie, więc także we Lwowie i w Krakowie.

Niemieccy studenci dzielili się na kolorowych i czarnych. Ci pierwsi znowu dzielili się na korporantów i burszów. Korporanci niemieccy tworzyli ogólnoniemiecki związek S.C. (*Senioren-Convent*). Był to element konserwatywny, ton nadawali tam synowie szlacheccy, a do niektórych korporacji, jak Saxonia w Getyndze lub Borussia w Bonn, przyjmowano tylko arystokrację. Bursze mieli inną tradycję: wywodzili się z rewolucji roku 1848, a ona przyniosła równouprawnienie sferze mieszczańskiej, z której się rekrutowali. Tę tradycję dokładnie utopili w piwie. Picie kuflami, uprawiane zbiorowo i według ściśle określonego rytuału, noszenie czapeczek kolorowych i wstęg, oraz „menzura”, to jest fechtunek bez maski, to były podstawy życia kolorowych studentów. Wśród Niemców – kolorowych było kilkanaście procent, a wśród ogółu studentów (z cudzoziemcami włącznie) chyba mniej niż 10 procent. Na ulicy jednak i w knajpach było ich widać więcej, a na seminariach i w salach wykładowych mniej niż by to odpowiadało totalnej statystyce. Ale na uroczystościach akademickich, inauguracjach i bankietach kolorowi grali główną rolę. Lakierowanych cholewach, z rapierami w ręku, upięksheni bliznami i tymi na menzurze, ścigali na siebie oczy bakfiszów*. Każda wiedza o jakim kolor oznacza Hannoverę, jaki Brunswię, a jaki Saxonię, nie tylko nawet umiały podpisać się hieroglifem właściwym danej korporacji

* Podlotków.

burszenszaftu. Wszystkie korporacje i niektóre burszenszafty miały w Getyndze własne wille. Wielu studentów korzystało z mieszkań w tych willach, gdzie dzięki pieniądzm filistrów był nieraz fortepian i biblioteka. Życie studenta w domu z pięknym ogrodem, w towarzystwie przyjaciół, na koszt zamożnych rodziców, było zbyt miłe, by chciało mu się kończyć studia. Pobyt w korporacji był jednak kosztowny – w niektórych opłata miesięczna na rzecz korporacji wynosiła 400 marek, czyli tyle, ile zarabiał starszy urzędnik z wyższym wykształceniem. Ta kwota opłacała mieszkanie i utrzymanie, ale pijatki i wszelkie wydatki pozadomowe nie były nią objęte.

Głównym miejscem zabaw był las Maria-Spring, położony o jedną stację kolejową od Getyngi. Program uniwersytecki nie przewidywał nigdy wykładów w środę po południu, bo wtedy studenci i bakfische dążyli na zabawę do Maria-Spring. W lesie była karczma, obok niej, na podmurowaniu, podłoga z desek, a dokoła amfiteatralnie rozmieszczone ławki i stoły. Orkiestra grała do tańca; za każdy taniec płacono się 10 fenigów. Stoły Niemców były zastawione olbrzymią ilością pustych butelek, co miało świadczyć o dzielności pijackiej. Panienci bawiące się w Maria-Spring były córkami rzemieślników, kolejarzy, najczęściej *filiae hospitales*, to znaczy córki gospodyń, u których się mieszkano. Koleżanki uniwersyteckie były przeważnie starsze od studentów, bo były to nauczycielki uzupełniające wykształcenie na specjalnych kursach uniwersyteckich.

Obyczaje niemieckie były w Galicji mało znane; Galicjanie myśleli, że Wiedeń jest niemiecki, ale w Niemczech, zwłaszcza w Hanowerze, uważano Austriaków za cudzoziemców, bo ich tryb życia był zupełnie odmienny. Mieszkając później w innym pensjonacie przekonałem się, że *filia hospitalis* uważała za swój obowiązek podać palto studentowi, gdy oboje znaleźli się po obiedzie w przedpokoju. W braku córki domu, studentka – koleżanka spełniała tę funkcję. Kiedy jedna z koleżanek dowiedziała się, że kupiłem sobie nowe buty, natychmiast wzięła je, aby podeszwy nasmarować olejem lnianym, bo taki zabieg chroni skórę od przedwczesnego starzenia się. Niemki ówczesne (zresztą Francuzki, Szwajcarki i Belgijki – tak samo) były wtedy nastawione na oszczędzanie i nie mogły znieść męskiej niedbałości i rozrzutności, która – zwłaszcza u cudzoziemców – wydawała im się czymś wołającym o pomstę do nieba. Ciągłe sprzątanie i zastawianie było obowiązkiem nie tyle służących, co właśnie żon i córek. Córki getyngenskich profesorów myły schody w willach swoich rodziców, a po wyjściu za mąż obejmowały tę funkcję w mieszkaniu własnym. Służąca miała daleko większe prawa niż u nas. Froterowanie podłóg było zakazane, a policjant, który spostrzegł przez otwarte okno służącą tańczącą na podłogach, notował nazwisko właściciela mieszkania, aby go ukarać grzywną. W pensjonacie kolacje były zimne, bo już o siódmej wieczór służące były wolne. Spacerując po tej godzinie ulicą Plancka widziałem w każdej w oknie mansardy światło: to pokojówki przebierały się, każda w

swojej izdebce, aby ją opuścić na parę godzin wieczornych. W tych warunkach tylko pensjonaty i bogaci ludzie trzymali służbę. Mali mieszczanie i niżsi urzędnicy obchodzili się bez niej, co najwyżej mieli posługaczki przechodzące na parę godzin rannych.

Miasto dzieliło się na dwie części. Jedna, położona niżej i starsza, miała parę pięknych starych kościołów, ulice ze sklepami i zwarte zabudowania – była otoczona wałami. Druga część, leżąca zewnątrz wałów, składała się z kilku dzielnic – w tej części dominowały nowoczesne wille z ogrodami. Stare miasto zachowało jeszcze wiele domów z XVI i XVII wieku. Niektóre miały piękną konstrukcję drewnianą; belki były rzeźbione i malowane, każde piętro wychodziło trochę dalej nad ulicę, co miało swój powód z braku miejsca w dawnych czasach, gdy miasto musiało zadowolić się obszarem ograniczonym wałami. Wały pozostały w Getyndze, ale zamieniono je w piękną aleję wysadzaną drzewami, która biegła wokół śródmieścia, łącząc się ogrodem uniwersyteckim z plantacjami i dając widok z góry na liczne prywatne ogródki. Dalej ciągnął się park miejski, łączący się z lasem liściastym, a jeszcze dalej wielki bór, przez który można było iść godzinami. Tramwajów i autobusów nie było w Getyndze, bo uniwersytet użył swoich wpływów w obronie spokoju i ciszy: można było wieczorami włóczyć się wśród wonnych ogrodów i rozmawiać aż do późnej nocy, tym bardziej że dozorczy byli nieznani w Getyndze i każdy z nas miał swój klucz do bramy.

Nasza kolonia wyrobiła sobie pewien zwyczajowy tryb życia. Wieczorem spotykaliśmy się u braci Dziewulskich, którzy mieszkali przy Friedländerweg, w bardzo pięknym miejscu; prowadzili sami gospodarstwo; bo jadal kolacje w domu, który nie był pensjonatem. Ilekroć się do nich przyszło, była herbata, a często coś do herbaty. Byli też bankierami kolonii i można było pożyczyć u nich trochę pieniędzy. Spotykali się tam Polacy z Królestwa i z Galicji, z Litwy i Ukrainy. Miało to ten skutek, że z opowiadań poznaliśmy stosunki panujące w różnych dzielnicach, a także pozbyliśmy się prowincjonalizmów w sposobie mówienia. Polaków z poznańskiego było mało; nie wszyscy chcieli się z nami spotykać, bo pruska policja na nich uważała. Wśród poznańczyków wyróżniał się Marchlewski, młody prawnik, inteligencją i szerokim poglądem różniący się od typowego wielkopolanina mówiącego źle po polsku i zniemczonego w zachowaniu się, chociaż usposobionego patriotycznie. Z poznańskiego był też Janaszek, medyk, z chłopów pochodzący i bardzo sympatyczny. Jacobsohn, poznański Żyd, uważał się za Polaka, rzecz tam wtedy bardzo rzadka; jego praszczur był lekarzem Zygmunta Augusta i został przez niego nobilitowany; Jacobsohn napisał swoje wspomnienia z kampanii niemieckiej przeciw Francji w I wojnie światowej i ogłosił je drukiem.

Przynajmniej raz na tydzień chodziliśmy do kawiarni „National”. Stałym gościem był tam Kazimierz Horowicz, student statystyki i aktuariatu.

Znał na pamięć cennik tej kawiarni, składający się z paruset pozycji. Obracał się w kołach amerykańskich i angielskich i wśród bywalców „Nationalu”; aktorki teatru getyngeskiego też nie były mu obce. Był dla nas łącznikiem z innym, dalekim światem...

Większość Polaków podczas studiów nie poznała dostatecznie języka niemieckiego, żeby swobodnie nim mówić: obiady jadalі razem *Privatmittagstisch**, do kawiarni chodzili kupą, Niemców nie znali, a nawet założyli tajną bibliotekę polską. Chcieliśmy założyć legalne stowarzyszenie polskie, na wzór angielsko-amerykańskiego, ale rektor nam odmówił. Tajna biblioteka mieściła się coraz to gdzie indziej, raz była także u mnie; po jakich dwóch tygodniach zgłosił się do panny Thomas jakiś człowiek, który jej powiedział, że u mnie jest tajna polska biblioteka. Trzeba było ją znowu przenieść, ale widocznie policja nie przywiązywała do tego wagi, bo nie śledziła rzeczy dalej.

Do naszych obyczajów należało także bywanie w pływalni miejskiej dwa razy na tydzień. Zakład ten był urządzony doskonale: wodę zmieniano dwa razy na tydzień, a przed wejściem do basenu wszyscy myli się dokładnie pod gorącymi natryskami. Tym, który wszystkich pilnował, żeby nie zaniedbywali kąpieli, był Wacław Dziewulski. Uprawialiśmy także tenis i często odbywaliśmy wycieczki piesze.

Uniwersytet getyngeski, zwany *Georgia Augusta* od imienia króla hanowerskiego, który go założył, miał cztery wydziały, a do wydziału filozoficznego należał także oddział agronomiczny. Słynął z nauk matematycznych, ale medycyna też tam stała wysoko. Max Verworn, znakomity fizjolog; W. Baer, znany prawnik międzynarodowy; Wellhausen – słynny badacz Pisma Świętego i wiele innych nazwisk przyczyniało się do blasku tej szkoły, który przyciągał do Getyngi najlepszych studentów nie tylko z Niemiec, ale z całej Europy, także z Ameryki, a nawet z Chin i z Japonii. Za moich czasów było tam przeszło dwa tysiące studentów, w tym około 400 cudzoziemców. Na Prinzenstrasse można było widzieć na domach tabliczki przypominające, że tu, w takich a takich latach, mieszkał ten czy inny książę z dynastii Cumberland, panującej w Anglii. Wpływ angielski na zwyczaje i obyczaje niemieckie był niezaprzeczony, chociaż od roku 1866 Hanower został włączony do Prus, przegrawszy bitwę pod Langensalz. Za mojego pobytu w Getyndze odbyły się w Niemczech wybory do parlamentu Rzeszy – partia Welfów, nie uznająca zaboru pruskiego, wybrała Welfa; był nim Götz von Ohlenhusen.

Tabliczki na kamienicach świadczyły o chlubnej przeszłości miasta i uniwersytetu. Mówiły, gdzie i kiedy mieszkał Bismarck, Henryk Heine, Mentano; muzycy Brahms, Spohr i Joachim, chemik Wöhler (który pierwszy otrzymał mocz z anorganicznych substancji), filozofowie Lotze i

(Niem.) Prywatne obiady domowe, zwykle u gospodyń pensjonatu.

Hartmann, fizyk Everett, polityk von Stein, poeta Tieck, polskiego pochodzenia anatom Teichmann i wielu innych sławnych ludzi. Na plantacji miejskiej stał pomnik Gaussa i Webera, jako tych, którzy połączyli uniwersytet z obserwatorium telegrafem, pierwszym na świecie. Na cmentarzu za bramą do wsi Weende leżał Bürger, twórca *Lenory*. Tam też miał grób Lejeune-Dirichlet. Cmentarze getyngieńskie nie miały charakteru makabrycznego. Były to miłe ogrody, przez które nie tylko w dzień, ale i w nocy skracali sobie drogę przechodnie. Wiele osób wybierało sobie w lecie Getyngę jako wilegiaturę; czynił to systematycznie angielski minister wojny Haldane, były student *Georgii Augusty*.

Dla mnie i dla setek moich kolegów centrum życia znajdowało się w czytelni matematycznej. Tradycja wielkiej matematyki zaczyna się w Getyndze od księcia matematyków, jak nazywano Gaussa, wielkiego badacza algebry, teorii liczb, teorii funkcji, geometrii, geodezji, astronomii, fizyki, elektromagnetyzmu, teorii błędów i statystyki. Z tych nauk niektóre były w stanie niemowlęctwa przed Gaussem. Zeszyty z zapiskami Gaussa przechowuje się po dzień dzisiejszy w getyngieńskim obserwatorium astronomicznym. Akademia Nauk w Getyndze zainicjowała razem z innymi akademiami wydanie wszystkich dzieł Gaussa. Jego następcą był Lejeune-Dirichlet, badacz teorii liczb potencjału (żona jego była córką kompozytora Mendelssohna). Po nim Bernard Riemann, głęboki odkrywca teorii funkcji algebraicznych, którą wzbogacił o „powierzchnie Riemanna” składające się z płatów położonych na sobie i złączonych na krzyż, prekursor Einsteina w ideach dotyczących nieeuklidesowej geometrii w fizyce, badacz głęboki szeregów Fouriera, powstałych z zagadnień akustycznych. Ta era geniuszów skończyła się w szóstym dziesięcioleciu wieku XIX i nastąpił okres kompletnej miernoty, z której wydzwignął Getyngę dopiero Feliks Klein; ten wielki geometra wraz z Sophusem Lie i Steinerem stworzyli niemiecką szkołę geometryczną.

Gdy zapisałem się na uniwersytet, Feliks Klein już zrealizował swe marzenia. Miał tytuł tajnego radcy, był członkiem pruskiej Izby Panów – ale – co najważniejsze – miał poparcie Althoffa, szefa sekcji w ministerstwie i mógł przeprowadzić swój ambitny plan zrobienia z Getyngi pierwszego centrum matematycznego na świecie. Zresztą nie poprzestał na dotacjach rządowych. Stworzył stowarzyszenie do popierania matematyki czysto stosowanej, do którego wciągnął bogatych przemysłowców z Hanoweru i z dalszych stron, i umiał ich nakłonić do zasilania swoich instytucji i mi subsydiami. Udało mu się to dzięki silnemu uwzględnieniu zawań. W Getyndze już był wtedy instytut matematyki stosowanej, kierował nim Carl Runge, matematyk, który wykładał geometrię wykresową, statystykę graficzną, ale zamiłowanie swoje skierował ku analizie fizycznej i elektryczności atmosferycznej. Na Instytucie umieszczono także Listinga – był to autor pierwszej na świecie książki o topologii.

nauki dalekiej od zastosowań. Fizykę stosowaną reprezentował aerodynamik Prandtl i elektryk Simon, a osobnym instytutem geofizycznym kierował słynny Wiechert. Te działy sprowadziły nawet na Getyngę zatarg z politechniką w Akwizgranie, która widziała w nich przekroczenie kompetencji *Georgii Augusty* na szkodę szkół politechnicznych. Ale zatarg umorzono i Klein, sam wielki miłośnik mechaniki i autor książki o krążku (z Sommerfeldem, wybitnym fizykiem), mógł dalej prowadzić swoje dzieło. Wśród docentów matematyki był Constantin Carathéodory, inżynier i znawca mechaniki i optyki, oraz Herglotz, uniwersalnie wykształcony matematyk wiedeński. Ulubieńcem Kleina był Koebe, który uprawiał teorię funkcji wieloznacznych metodami geometrycznymi tak, że w rozprawach jego trudno było znaleźć formułę, czy też równanie. Profesorem fizyki teoretycznej był Woldemar Voigt, docentami Max Abraham i Paul Hertz. Astronomem był astrofizyk Schwarzschild, a Brendel, znawca teorii małych planet, był obserwatorem. Władysław Dziewulski był asystentem: dla kwalifikowanych cudzoziemców nie było w Getyndze trudności w uzyskaniu asystentury.

Student drugiego roku (licząc jeden lwowski) nie mógł się jeszcze zorientować w możliwościach, które dawała mu *Georgia Augusta*. Obok matematyków i fizyków przed chwilą wymienionych była inna grupa, której duchowym dowódcą był David Hilbert. Klein sprowadził go z Królewca i nie omylił się: Hilbert był wielkim uczonym. Jego *Podstawy geometrii*, uhonorowane nagrodą Kazańskiego Towarzystwa Matematycznego, usunęły wszelkie wątpliwości dotyczące geometrii nieeuklidesowej i otworzyły drogę do zrozumienia teorii względności... Ale student, o którym mowa, nie mógł należycie ocenić tego rodzaju zdobyczy naukowych; widział jednak, że największą siłą atrakcyjną Getyngi matematycznej był Hilbert, którego imię David świadczyło o pochodzeniu od wschodniopruskich królów. Hilbert nie dbał o tytuły ani order; był nie tylko wielkim uczonym, ale i wielkim człowiekiem. Jego przyjaciel, Hermann Minkowski, wieloletni światny znawca teorii liczb i laureat Akademii paryskiej. Teorię mnogości i logikę reprezentował Ernst Zermelo, którego „aksjomat wyboru” rozbił matematykę ówczesną na dwa obozy. Uczeń Georga Cantora, Feliks Bernstein, który ubiegł biologów w poprawnym sformułowaniu prawa dziedziczenia grup krwi, był może najmniej popularnym profesorem.

Trudno mi było ogarnąć te możliwości uczenia się, które leżały przede mną. Nudny wykład historii filozofii, który dyktował staruszek Baumann, nie był dla mnie za sylabą, skreśliłem w indeksie i darowałem sobie filozofię w dawnej Getyndze. Znaczenie tego słowa – zamiast niej postanowiłem się uczyć matematyki, którą stosowanej jako przedmiotu ubocznego. Do tego należała mechanika, geometria wykresowa, grafostatyka, rachunek numeryczny i geodezja. W Getyndze więc pilnie do Instytutu przy Prinzenstrasse i rysowałem, a

pod kierunkiem Wiecherta mierzyłem teodolitem wieloboki na ulicach miasta. Przy takim pomiarze raz ukazało się „podwójne słońce” – Wiechert natychmiast uchwycił instrument i zmierzył kąt między słońcami, aby nam pokazać, że dokładnie odpowiada rozszczepieniu światła w lodzie. Za drugi przedmiot uboczny obrałem astronomię i wraz z Felicjanem Kępińskim chodziłem na ćwiczenia do Obserwatorium, gdzie pod kierunkiem prof. Ambronna rachowaliśmy obserwacje poczynione w Afryce przy rozgraniczeniu Konga pomiędzy Belgów a Niemców. Ale najważniejszym moim zajęciem była lektura w czytelni matematycznej. *Das mathematische Lesezimmer*, chluba Kleina, mieściła się w głównym gmachu przy Weenderstrasse, na drugim piętrze, tak schowana, że nie dochodziły tam ani głosy z sal wykładowych, ani zgłęb z korytarzy. Za opłatę trzech marek każdy student otrzymywał legitymację wstępu ważną na półrocze i własny klucz. Książki na półkach były ustawione alfabetycznie i każdy brał je sam i sam wstawiał z powrotem. W osobnym pokoju mieścił się zbiór odbitek (*separata*) zdeponowanym przez Kleina, obejmujący kilkanaście tysięcy rozpraw. Był też zbiór „B”, własność uniwersytetu. Katalog kartkowy był kompletny. Nowe czasopisma leżały na osobnych półkach, a wyższe piętra szaf były zajęte przez bezcenne komplety „*Mathematische Annalen*”, „*Journal für Mathematik*”, „*Journal des Mathématicques*”, „*Acta Mathematica*” oraz Sprawozdania Akademii paryskiej, berlińskiej, monachijskiej, wiedeńskiej i wiele innych czasopism włoskich, francuskich, angielskich, niemieckich i amerykańskich. Były też komplety dzieł Gaussa, Fermata, Cauchy’ego, Hermite’a i wielu innych. Gdy zmierzch zapadał, czytelnik sam zapalał gaz nad swoim miejscem: lampy były azbestowe, a kij zakończony gąbką miedzianą wchłaniającą gaz, zapalał je niezawodnie. W tej czytelni spędzałem wiele godzin i mogę powiedzieć, że nigdzie, ani przedtem, ani później, nie widziałem czytelni tak doskonale urządzonej. Była atrakcją setek studentów z Niemiec i całej Europy, ale także z Ameryki i z Azji. Tam zdarzyła mi się dziwna przygoda. Po wczesnej śmierci Minkowskiego objął jego katedrę Edmund Landau z Berlina; jako ćwiczenie zadał mi znalezienie błędu w dowodzie Königa na gaussowskie prawo wzajemności. Praca Königa była taka krótka, że było łatwo wskazać stronicę, na której musiał być błąd; na tej stronicy pewna formuła nie chciała się okazać konsekwencją poprzednich. Nie był to jednak błąd, lecz brak wprawy, a może i moje znużenie. Po powrocie do domu, w nocy, w półśnie, wyobraziłem sobie tę kartkę i zobaczyłem wyraźnie, w jaki sposób formuła wynika z jednej z poprzednich. Zadowolony zasnąłem; zaraz nazajutrz pobiegłem do czytelni i otworzyłem książkę na właściwej stronicy... Cóż, kiedy znowu w żaden sposób nie mogłem dostrzec związku krytycznej formuły z poprzednimi! Wtedy zamknąłem oczy i wprawilem się w półsen... po chwili zobaczyłem dokładnie szukane wyrażenie i otworzyłem szybko oczy, chcąc złapać myśl jak motyla i przy-

szpilić ją do karty. Tym razem udało się! (Piszę to dla psychologów, których interesuje proces pracy umysłowej).

Jak już pisałem, mieszkanie panny Thomas było blisko bramy miejskiej, to znaczy miejsca, gdzie dawniej była brama w wale, na drodze wiodącej do wsi Weende. Za moich czasów był to domek akcyzy miejskiej. Strażnik, znany powszechnie jako „ojciec Lotze”, odbierał opłaty akcyzowe od chłopów przywożących produkty do miasta, trąbił na wypadek pożaru, zamiatał chodnik przed domkiem, sprzedawał znaczki pocztowe i obsługiwał wygodkę publiczną. Imponował mi zawsze nieznanym burmistrz, który obmyślił ów zespół agend dla ojca Lotze: sztuka administracyjna nie tyle polega na nowych ideach i wielkich pomysłach, ile na umiejętności sprawnego i oszczędnego załatwiania spraw codziennych.

W tym czasie mało były znane jeszcze dzieła Georga Cantora, genialnego twórcy teorii mnogości. Toteż, kiedy Wacław Sierpiński, młody matematyk warszawski, odkrył, że można określić jedną liczbą położenie punktu na płaszczyźnie, sam sobie nie mógł uwierzyć i napisał list do Tadeusza Banachiewicza w Getyndze, swojego przyjaciela. Ten poszedł do czytelni, wyszukał właściwą pracę Cantora i zatelegrafował do Sierpińskiego tylko: „G. Cantor, *Journal für Math.*, rok... str...”. To pobudziło nasze zainteresowanie, razem z Antonim Łomnickim zaczęliśmy pilnie czytać Borela *Theorie des fonctions*. Banachiewicz namówił mnie także, żebym napisał do „*Wszechświata*” popularny artykuł o kwadraturze koła. Miało to znaczenie nie tyle dla czytelników tego pożytecznego pisma, ile dla mnie, bo musiałem się nauczyć trochę historii matematyki. Przy takich zajęciach niewiele było czasu na życie towarzyskie, ale każde przejście przez ulicę uczyło nas, że żyjemy w odmiennym świecie. Imponowała nam sprawność poczty. Gdy ktoś na przykład zadał Banachiewiczowi jakieś zagadnienie na spacerze przedłużonym aż do rana, a on rozwiązał je parę godzin później, siedł z nami na pocztę główną, wysyłał rozwiązanie jako *karte express*, a za 10 minut po wrzuceniu karty do osobnej skrzynki mogliśmy zobaczyć rowerzystę jadącego z posyłką do naszego kolegi, który ledwie położył się spać. Przy innej sposobności jeszcze bardziej podziwiałem pocztę pierwszej Rzeszy. Pani Antecką, żonę Henryka Kołodziejewskiego, podpisała się panińskim nazwiskiem na telegramie do Warszawy. Poczta obliczyła błędnie należność przy okienku, ale kontrola to spostrzegła i trzeba było odszukać nadawcę, aby mu zwrócić nadpłatę. Nazwiska Anteckiej nie było w miejskiej księdze meldunkowej, więc poczta badała listy z Warszawy, licząc na to, że znajdzie Antecką jako adresatkę. Po tygodniach poczta doczekała się listu zaadresowanego do pani Kołodziejewskiej-Anteckiej, a listonosz mógł z tryumfem wręczyć jej nadwyżkę niesłychanemu zdumieniu...



Po roku pobytu w Getyndze pojechałem na wakacje nie do domu, ale do Blankenberghe w Belgii, bo tam była wtedy moja Matka i siostry. Nie zatrzymywałem się po drodze, tyle tylko, ile wymagał nocleg w Antwerpii. W Blankenberghe było zupełnie inaczej niż w Niemczech. Zaraz rano obudził mnie krzyk sprzedawców gazet: *Le Journal, Le Matin! Lisez L'Étoile Belge! L'Intransigeant!!...* Na ulicach od rana było rojno od ludzi wesółych i jasno ubranych. W hotelu, w którym mieszkaliśmy, najciekawszą osobą był portier, młody człowiek, entuzjasta malarstwa. Sam malował w stylu dziecinnym, ale przejmował się niezmiennie dziełami Rembrandta, Memlinga, Halsa i innych mistrzów, których obrazy wisiały w galeriach Brukseli i Antwerpii, lub w kościołach w Bruges. Zrozumiałem wtedy, że moje wykształcenie artystyczne jest równe zeru. Postanowiłem poznać te straszne półtna, chociaż wiedziałem, że oznacza to męczące chodzenie po muzeach, pałacach i kościołach, bez żadnej satysfakcji, bo żadnych głębszych wrażeń nie doznawałem na widok owych ciemnych i dziwnych malowideł, których piękności nie czułem. Znalazłem się w trudnej sytuacji: wiedziałem, że większość ludzi wykształconych podziwia te płótna, że reszta udaje podziw, i że tylko wyjątkową odwagą cywilną obdarzeni cynicy ośmielą się głosić to, co ja myślałem o klasycznym malarstwie. Starłem się tyle nauczyć, usłyszeć i zobaczyć, żeby móc autorytetem przeciwstawić wykształcenie, dające się porównać z tym, którym one dysponują. Takie rozwiązanie właściwie z góry przesądza spór na korzyść autorytetów, bo już sam wybór oglądanych obrazów, czytanych książek i słuchanych utworów muzycznych, dokonuje się na podstawie listy sporządzonej przez owe autorytety, wśród których niemało jest snobów. Ale nie ma tu wyjścia. Nie miałem tych wątpliwości, gdy chodziło o architekturę. W Brukseli zobaczyłem kościół Świętej Guduli w stylu zwanym *flandre maritime*; surowa piękność tej katedry przemawiająca swą bryłą, a nie ornamentacją, nie potrzebowała komentarzy. Zrozumienie architektury wcale nie było wrodzone, bo jeszcze roku poprzedniego we Lwowie nie byłem wcale świadom otaczającego mnie tam kamiennego piękna. Nikt nie musiał pokazywać mi natury, ale malarstwo było dla mnie księgą zamkniętą na siedem pieczęci i nie mogę powiedzieć, że obejrzenie setek obrazów oficjalnie uznanych dużo w tym zmieniło! Ten jednak skutek odniosło, że widząc później na jasielskich wystawach sklepowych straszliwe kicz, pojąłem ich brzydotę.

Blankenberghe jest jedną z wielu miejscowości nadbrzeżnych na granicy Morza Północnego z Kanałem La Manche. Idąc wybrzeżem w stronę południową natrafia się na Vendune, Mariakerke itd., aż do Ostendy, idąc w północną, napotyka się Bruges-sur-Mer, a dalej holenderskie wsie nadmorskie. Światło latarni morskiej z Vlissingen było doskonale widoczne w Blankenberghe. Chodziliśmy dosyć daleko plażą, zwłaszcza do Bru-

ges, gdzie budowano port. Samo Bruges, wsławione przez Rodenbacha jako Wenecja północy, z architekturą gotycką i *carillonem** wydzwaniającym godziny na wieży klasztornej Beginek, nie dawało mi takich wrażeń, jak później oglądane zabytki. W Blankenberghe poznaliśmy generała rosyjskiego. Córka jego, piękna panna, jedna z tych, które bywały na carskich balach, oświadczyła mi, że jeżeli Polacy będą się dalej awanturować, to odda się Królestwo *à Guillaume***, a on już zaprowadzi porządek.

Belgowie byli sztywni, mało mięscy, nie tacy schludni jak Holendrzy. Zajmowali się handlem i znali się na kuchni, której atrakcją są homary i krewetki, a także ślimaczki morskie, drobne *moules*. O ich trzeźwości politycznej świadczył fakt, że mając intratne kolonie w Afryce, nie chcieli wcale mieć marynarki wojennej; rozumowali słusznie, że marynarka zdolna do bronienia tych kolonii kosztowałaby więcej, niż one przynoszą. Belgowie uważali się za ekspozyturę północną kultury łacińskiej i we wszystkim oglądali się na Paryż, do którego mogli się dostać pośpiesznym pociągami z Brukseli w niecałe trzy godziny. Belgijscy inżynierowie zbudowali metro, paryską kolej podziemną, cud techniki. Oni też zakładali u nas w Polsce tramwaje, skąd nazwa „belgijska buda”. Tak jak Paryż ma Bois de Boulogne, Bruksela chlubi się pięknym laskiem podmiejskim, La Cambre. W niedzielę można tam było widzieć trawniki, gazony i zagajniki pokryte tłumem ludzi siedzących lub leżących na trawie i zajądających podwieczorek z koszyków. Restauracje też były pełne, a przed „dwuzerami” stały węże złożone z setek osób obojga płci, czekających na swoją kolej z widoczną kongestią na twarzach. Taka koncentracja ludzi jest obrzydliwa dla człowieka wychowanego w przestronniejszym kraju; w Brukseli jest widoczna wszędzie. Letnim wieczorem ulice przedmieść pełne były przechodniów, a na chodnikach przed niemal każdą bramą siedziały koronczarki, tworzące z białej nici słynne *point-de-rose*, przedmiot pożądanego kobiet na całym świecie i najlepszy towar dla przemysłowców, bo ceni się je na wagę złota. Język flamandzki grał w tym czasie w Brukseli taką rolę, jak ruski we Lwowie. Cudzoziemiec go nie słyszał. Ludność rybacka mówiła po francusku, tykając każdego *tu* swoim zwyczajem. Młode rybaczki chodziły boso po nadmorskiej plaży. Miały one piękne stopy, ale nie odznaczały się pięknnością. Przybysza z naszych stron przerażała mogą stare Belgijki obfitym owłosieniem policzków, które trzeba otwarcie nazwać brodą i wąsami.

Moje studia przeplatały się z pobytem letnim w Jaśle; także na ferie zimowe, nie krótsze od letnich, przyjeżdżałem do domu. Mój kuzyn Dyk był przez pewien czas na prawie w Wiedniu i Grazu; młodszy od niego Lud-

* (Fr.) Koncertem dzwonów.

** Miał to znaczyć: Wilhelmowi. (Drugiemu – cesarzowi Niemiec).

wik Oberländer spędził całe studia w Wiedniu, ale też wakacje ścigały go do kraju. Od niego dowiedziałem się, że wśród wielu cudów naddunajskich pojawia się w Wiedniu czasopismo „Fackel”. Mój wybitnie inteligentny przyjaciel przywiózł mi kilka numerów tego dziwnego periodyku w czerwonej okładce, który nie przyjmował ogłoszeń i nie zobowiązywał się wobec czytelników do regularnego pojawiania się. Inteligencja wiedeńska rozumiała „Fackel” jako produkt zdolnego dekadenta, lewicowego żurnalisty, który późną nocą, w kawiarni, pisze na kolanie dowcipne pamflety, kierując swoją satyrę przeciw burżuazji i przepijając prenumeratę – ten genialny cynik daje swoim ofiarom do zrozumienia, że mają być dumne z tego, że mają zaszczyt wpłacać abonament na „Fackel”. Karola Krausa – bo o nim mówimy – chciano uważać za literata, coś w rodzaju Piotra Altenberga – zresztą poetę z Bożej łaski – z domieszką Hardena, wydawcy berlińskiej „Zukunft”. Ta ocena była uzasadniona pierwszymi zeszytami „Fackel”, które ukazały się z końcem XIX wieku. Z początkiem wydawca dopuszczał artykuły także innych autorów, ale wkrótce zaniechał tego i „Fackel”, aż do śmierci Karola Krausa, która nastąpiła niedługo przed zajęciem Wiednia przez najgłupsze wojsko świata pod komendą najpodlejszych złoczyńców. Przed rokiem 1905 „Fackel” koncentrowała się przede wszystkim na sprawach wiedeńskich, które mnie mało interesowały; te (zresztą bardzo, bardzo dobre) artykuły byłyby mi kazaly odrzucić tę lekturę po przeczytaniu jednego zeszytu. Ale na szczęście natrafiłem na epokę późniejszą (rok 1906) i znalazłem lekturę na pięćdziesiąt lat. Kto czytał Biblię, tego z pewnością uderzyło wyliczanie drobnych, pozornie mało znaczących faktów, które razem wzięte mają być uwierzytelnieniem identyczności Zbawiciela. I tak być powinno: zanim się da kredyt moralny, zanim się przyjmie, że autor wie, o czym i jak pisać, że więc niezrozumiałość jest niezrozumieniem, że błąd logiczny nie jest u pisarza, lecz w rzeczy opisanej, że błąd stylistyczny świadczy o niedokształceniu czytelnika, a nie pisarza, zanim – powtarzam – otworzy się pisarzowi ten olbrzymi kredyt moralny, trzeba stwierdzić, czy zdarzają się te pozornie z jego prozą nie związane cuda, które go wyróżniają.

Cuda były. Zobaczył je nawet dziewiętnastoletni student, niezbyt biegle czytający po niemiecku, prowincjonalny młodzik bez kryteriów estetycznych, z zamiłowania matematyk, któremu przyjaciel dał czerwoną książeczkę ze słowami: – niech pan przeczyta; ten powinien należeć do naszego klubu pomyłonych! Był to termin ulubiony w kole młodzików przejętych książką *Physiologie des Schwachsinnns*, dopatrujących się u każdego i w sobie – półzartem – osłabienia woli i myśli, właściwego dekadentom, a zmuszającego do wejścia do kawiarni i uniemożliwiającego wyjście z niej przed zamknięciem; nie pozwalającego zużyć na czesne z domu przysłanych pieniędzy, ani przeczytać książki do końca – jednym słowem wyłączającego tryb życia uznany za rozsądny przez pozbawioną wyobraźni

starszą generację. Zaliczenie Krausa do tego klubu (bez wiedzy zaliczonego) miało być dowodem uznania. Jeżeli jednak nie miał on nic wspólnego z generacją kupców, adwokatów i dziennikarzy, to chyba jeszcze mniej łączyło go z młodymi dekadentami – obie kategorie można zobaczyć w jego satyrycznej operetce *Literatur*, jak przemawiają do siebie każda swoim językiem, niby przeciwne, a w gruncie rzeczy zgodne. „Przeznaczony już za młodu do handlu zajął się potem rzeczywiście literaturą” mówi Karol Kraus, trafiając tym epigramem obie sfery naraz.

Znaki szczególne czerwonej książeczki były nie do naśladowania.

Po pierwsze: brak ogłoszeń. Już za młodu dowiedziałem się od mojego tarnowskiego dziadka, że w gazetach tekst jest dodatkiem do ogłoszeń, że na nich stoi egzystencja wydawnictwa, a tekst redakcyjny jest tylko wabikiem ściągającym gazecie prenumeratorów i czytelników. Ogłoszenia natomiast dają wydawcom bez porównania mniej trudu, bo ich autorzy nie żądają zapłaty, ale sami płacą gazecie, i to grubo. W czerwonej książeczce na okładce każdego numeru widniało ostrzeżenie: „ogłoszeń, egzemplarzy recenzyjnych i manuskryptów się nie przyjmuje; dołączone znaczki pocztowe zużywa się na cele filantropijne”.

Po drugie: język. Każdy artykuł, każda glossa, każda odpowiedź były jakby kute w kamieniu. Język żurnalistów, kupców, żydowskie naleciałości osławionej „Neue Freie Presse”, sołeczmy oficerskie, żargon berliński, wygnane były z „Fackel”. Mowa niemiecka, uwolniona od afektacji XIX wieku, od pedanterii profesorskiej i od profesorskiej nieskładni, ale także i od patosu Nietzschego i od telegraficznych skrótów literackich agentów XX wieku, stała się szczupłą, muskularną, lekka i mocna. Składnia, interpunkcja, rytm, a nawet graficzny obraz tekstu były nieomyślne.

Po trzecie: metoda polemiczna. Była zupełnie nowa – polegała na cytowaniu dokładnym, całymi stronicami. Dawała nawet czasem „Fackel” fotografie wycinku gazety. „Neue Freie Presse” była obiektem niezmiernie wdzięcznym. Ale i inne, np. „Österreichische Handelskorrespondenz”. To w tej gazecie ukazał się anons tej treści: „Golgota, atrakcyjna dla wystaw sklepowych, do nabycia”. Anons podawał cenę i adres. Karol Kraus przedrukował go w swoim tekście podając tytuł pisma, w którym go znalazł. Redakcja napisała do niego list domagający się „na podstawie §19 ustawy prasowej”, umieszczenia w najbliższym numerze „Fackel” sprostowania, że „nie jest prawdą, jakoby anons danej treści pojawił się w »Österreichische Handelskorrespondenz«, lecz przeciwnie prawdą jest, że taki anons nigdy tam się nie pojawił...” Karol Kraus poszedł dalej niż wymagał list: umieścił cały tekst listu „Österreichische Handelskorrespondenz” od nagłówka do podpisu, po czym dodał – już od siebie: „Tym samym powyższe żądanie spełniłem”. Ale ten koniec był początkiem, służył za motto namiętnej metafory: „Rzeczywiście – pisał Karol Kraus – anons, o którym mowa, nie mógł się pojawić. Bo, jeżeli jest coś, czego nie można

użyć do przyciągania klienteli do kupieńskich okien wystawowych, to chyba Golgota! Muszę zatem wierzyć redaktorom »Österreichische Handelskorrespondenz«, że takiego anonsu nie powinno było być, być nie mogło, nie było! Nie pierwszy raz to się mi zdarza, że rzeczy, które przedrukowuję, są niemożliwe, zatem nie istniejące. Przedrukowawszy je, sam swoim oczom nie wierzę – tak jest i w tym wypadku. Musiałem śnić chyba i przyśnił mi się ten koszmarny anons. Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć do ręki »Österreichische Handelskorrespondenz«, jeszcze raz przeczytać to miejsce i stwierdzić, że w numerze »Österreichische Handelskorrespondenz« z dnia... mies... roku 19... str... kol... wiersz... widnieje ogłoszenie: »Golgota, atrakcyjna dla wystaw sklepowych, do nabycia za... koron w firmie... w...«

Na to już nie było sprostowania, a każdy czytelnik »Fackel« mógł w każdej niemal kawiarni zażądać cytowanego numeru »Österreichische Handelskorrespondenz« i sprawdzić ów anons. Zastanowiwszy się nad nieodpartą apostrofą Krausa, zrozumiałem, że redakcja »Österreichische Handelskorrespondenz« nie była bezczelna, a zaprzeczyła dlatego, że po przeczytaniu ogłoszenia w przedruku »Fackel« ujrzała jego monstrualność i nie chciała wprost uwierzyć, że mogła być na swoich łamach głosić atrakcyjność Golgoty. Ten przykład nauczył mnie, że przedruk, nawet dosłowny, nawet fotografia tekstu oryginalnego, może być rewelacją – pojąłem, że niezgłębione tajemnice mieszczą się w filozofii słowa. Idealny cel polemiki, więcej niż *écraser l'infâme*, bo zniesławienie, tu został osiągnięty.

Te znaki mi wystarczyły. Czytelników niniejszych wspomnień, którzy mogliby być ciekawi oficjalnych sądów o Karolu Krausie, odsyłam do *Encyclopaedia Britannica*.

**

Następne moje podróże do Getyngi szły przez Drezno, nie przez Berlin. Miałem zatem sposobność zobaczyć trasę Brühla, Zwinger, kościół dworski i tę całą architekturę, którą Baedeker nazywa włoskim późnym renesansem zaaklimatyzowanym w Saksonii. Saksonia miała w Niemczech opinię kraju pumiernego, konduktorzy kolejowi nie starali się tam mówić tonem podoficerów, ludność była rozmowna i wesoła, dziewczęta ładne, jedzenie możliwe, tylko kawa „z kwiatków“ taka, że naparstek mleka odbierał jej kolor i smak, jeżeli możliwe jest odebranie czegoś, czego nie ma. Koło miast ciągnęły się działki ogrodowe z altanami; w tych miniaturowych ogródkach robotnicy przemysłowi spędzali dni wolne, uważając za wypoczynek pracę na własnej działce. W Lipsku i Dreźnie było niemało Polaków, ale także i Anglików, którym renta wystarczała na wygodne życie w Niemczech, gdzie ceny były niższe niż angielskie. Dla cu-

dzioziemca, który wtedy nie był skrzepowany żadnymi przepisami paszportowymi ani dewizowymi, pobyt taki był idealny, bo urządzenia przypominały niezawodny automat. Poczta i kolej funkcjonowały bez zarzutu, ulice skanalizowane, zamiecione i oświetlone, dostęp do bibliotek, muzeów i galerii obrazów otwarty każdemu, koncerty znakomite, księgarnie, wypożyczalnie i czytelnie zaopatrzone, a tylko restauracje marne gastronomicznie, choć schludne. Za to w sklepach spożywczych nie brak było doskonałego pieczywa, możliwej wędliny, dobrych serów, tanich wędzonych ryb morskich, doskonałej czekolady i owoców różnych gatunków. Kto dysponował rentą, mógł żyć bez kłopotów i lepiej niż u siebie w domu. Pomiedzy produktami sprzedawanymi w Niemczech spotkałem jeden znany wszędzie: kielbasę krakowską. Ta nazwa, *Krakauer Wurst*, oznaczała kielbasę u nas zwaną polędwicową. Nie była ona importowana, bo import mięsa w stanie siekanym był zakazany. Raz zdarzyło mi się, że rodzice posłali mi do Getyngi pasztet. Urząd celny wezwał mnie, żebym odebrał paczkę, przy mnie celnicy otworzyli przesyłkę: pasztet miał formę babki, a kolor czekolady. Spytało mnie, co to jest. Powiedziałem, że pasztet. Odpowiedzieli, że pasztetów sprowadzać nie wolno. Wobec tego oświadczyłem, że im zostawiam pasztet jako podarunek. Na to wyjaśnili mi, że im nie wolno przyjmować rzeczy nadeszłych na cło, i że wobec tego muszą przesyłkę spalić. W końcu jeden z nich końcem noża skosztował pasztet i orzekł, że to jest czekolada! Ja, młodzieniec mało sprytny, upierałem się, że to pasztet, ale wszyscy urzędnicy mnie przegłosowali i wydali mi paczkę bez cla... Dopiero w domu zrozumiałem swoją głupotę.

W Niemczech w tych czasach rozpoczęto budować domy jednorodzinne i wille murowane. W Getyndze pojawiało się coraz więcej takich willi w stylu Muthesiusa, z dachem stromym, opadającym nisko, krytym czerwona falistą dachówką i z mansardami; czasem kryto wille łupkiem, a budowano je z kamienia sztucznego, szarego; ten kolor wymaga pnących róż lub winogrodu, czego nie skąpiono. Z dekoracją wnętrza było gorzej; mieszkania niemieckie nie miały ani pięknych dywanów, ani pięknych mebli. Za to rozpoczynał się luksus w szkłe i porcelanie. Szkło „Gallé“, szkło belgijskie, porcelana kopenhaska, no i oczywiście drezdeńska, to wszystko było do nabycia nawet w Getyndze. Zaczęła się też mania bibliofilska. Kolega Horowicz zapoznał mnie ze swoim przyjacielem, panem Kugelmannem z Hamburga i zaprowadził mnie do niego. Był to student, który – jak większość studentów – zmieniał miejsce studiów. Woził ze sobą swoją bibliotekę: zajmowała ona wszystkie ściany ogromnego pokoju, a ponadto w środku stały półki dostępne z obu stron. Były tam pierwsze wydania poezji Verlaine'a, książki oprawne w welin, w pergamin, były okładki renesansowe, facsimilia, wydania amatorskie z autografami autorów, wydania na papierze ręcznie czerpanym, cesarsko-japońskim, druki tłoczone ręcz-

na prasę itd. Pan Kugelman mało się interesował treścią swoich książek; czasem przeczytał parę stron, ale najwidoczniej treść uważał za dodatek do okładek i papieru. Ten biblioestetyzm rozpowszechnił się w Niemczech bardzo: księgarze i wydawcy popierali tę modę, jak mogli, a książki w Niemczech stała się czymś innym niż we Francji. W getyngeskich księgarniach widniały na wystawach wspaniałe tomy, oprawne w pergamin biały jak śnieg, ale „Fackel” nie można było tam dostać. Miała tylko 600 abonentów w całej Rzeszy, choć łączyła taniość każdego numeru z niesłychaną precyzją edycji.

Studenci niemieccy różnili się na pierwszy rzut oka od cudzoziemców. Chodzili bez płaszczy; w mróz pozwalali sobie na cienkie paltociki, ale futer nie nosili. Nie uznawali także kaloszy ani parasoli, a spodnie ich były bez mankietów. Byli zawsze ostrzyżeni, a włosy mieli wyszczotkowane i przylepione na płask. Jedli mało, pili dużo, a jedzenie czegokolwiek przy piwie było źle widziane. W pensjonatach, w których mieszkali cudzoziemcy, Niemcy rzadko szukali kwatery. Po roku pobytu u panny Thomas prześniosłem się do pensjonatu pani Gericke na Planckstrasse 1, gdzie było towarzystwo, którego brak odczuwałem na Weenderstrasse. Mieszkał tam niejaki pan Lange z Plauen w Saksonii. Był to przystojny i elegancki młodzieniec, rzekomo studiujący ekonomię polityczną. Głosił, że w Monachium należał do najekskluzywniejszej korporacji. Jego pokój był pełen książek wspaniale oprawnych; udawał, że czyta Baudelaire’a, ale mówił po francusku bardzo źle. Palił tytoń opiumowany *à la américaine*. Miał krawaty heliotropowe i chętnie powtarzał, że „zajęcie trzeba mieć, ale nie powinno ono wyradzać się w pracę”. Studentki pensjonatu, starsze od nas o kilka lat, chodziły chętnie ze mną na herbatę do pana Langego, który deklamował Nietzschego i miał na ścianach pokoju pięknie oprawne reprodukcje z „Jugend”. Idylla skończyła się wkrótce: pan Lange wyjechał nagle z Getyngi nie zapłaciwszy w pensjonacie za ostatni miesiąc. Pomału wyszło na jaw, że obmyślił on rzeczywiście system ekonomiczny pozwalający mu żyć dosyć wygodnie. Sklepy getyngeskie miały mianowicie zwyczaj kredytowania studentom, zwłaszcza niemieckim korporantom, którzy płacili rachunki miesięcznie. Pan Lange korzystał ze swojej prezencji i brał na kredyt różne przedmioty w sklepach, a sprzedawał je swoim kolegom i znajomym za gotówkę. Dowiedziałem się później, że już w Plauen zastosował tę metodę na większą skalę i musiał uciekać do Szwajcarii przed prokuratorem.

W pensjonacie mieszkał też chemik z Frankfurtu, pan Rosenbusch, Grek nazwiskiem Chardalias, lektor włoski pan Albano – lokatorzy się zmieniali. Zaprzyjaźniłem się z panem Louisem Durand-Edwardsem z Cleveland. Przygotowywał się do kariery konsularnej. Był to chłopak wesoły i dał mi poznać amerykańską kulturę z najlepszej strony. Postanowi-

zając się moim wychowaniem fizycznym i nauczyć mnie biegów długodystansowych. Dobrze pamiętam pierwszy bieg. Było to pod zimę, pola były lekko przysniewione, a kałuże podmarzły. Wieczorem kazał mi włożyć trzewiki tenisowe, marynarkę bez kamizelki, i trzymać tempo równe z nim. Bieg parominutowy, to nie było nic wielkiego, ale Edwards po przebiegnięciu ulicy idącej w górę, pod las, skręcił nagle na ugor, ja za nim. Czulem lodowatą wodę za każdym zagłębieniem stopy w półzamrażaną glebę. Kolka się odezwała, tyle dobrego, że nie było mi zimno. Wtedy Edwards ostro nakazał mi biec dalej, jeżeli nie chcę dostać zapalenia płuc. Byłem pewny, że i tak muszę umrzeć, i że jest to mój pierwszy i ostatni bieg w życiu. Ale kolka ustała – to był pierwszy cud. Powróciliśmy do domu biegiem, to był drugi. Edwards rozebrał mnie, obtarł ręcznikiem, wymasował umiejętnie moje nogi, pozwolił zjeść kolację i położyć się do łóżka. Wstałem nazajutrz jak nowo narodzony i odtąd przynajmniej raz na tydzień biegaliśmy; biegi były pięcio-, sześć-, czasem nawet dwunastokilometrowe, a raz dwudziestosześciokilometrowy bieg w grudniu po śniegu – tempo było dosyć wolne. Ani Edwards, ani ja nie interesowaliśmy się sportem pokazowym i wiadomościami o rezultatach światowych biegaczy.

Edwards był zaciętym Amerykaninem. Miał w Getyndze kilkunastu uczniów i o jednym z nich, studencie historii sztuki, opowiadał mi z wielkim oburzeniem, że ten pan uwielbia sztukę i wiedzę europejską, i że uważa piękno wyrażające się w europejskich katedrach i tysiącletnią tradycję artystyczną europejską za coś nieporównanie wyższego od kultury amerykańskiej, której barbarzyzm odsłonił mu się przez porównanie. Widziałem raz tego młodzieńca: nie miałem sposobności z nim mówić, muszę jednak powiedzieć, że miał on europejski wyraz twarzy (jeżeli coś takiego istnieje). Ale Edwards uważał młodzieńca za zdrajcę stanu – nie odmawiał mu racji, lecz jako prawdziwy pragmatysta żądał afirmacji dla amerykańizmu. Opowiadał mi wiele o Stanach i przekonał mnie – nie dialektycznie, ale istotnie – o wartości typu ludzkiego, który jest ideałem Ameryki Północnej. Wychowanie amerykańskie daje prostotę, lojalność, poradność, sprawność fizyczną, łączy respekt dla starszych ze swobodą, niezależnością od pomocy i każe stosować w każdej sprawie obiektywne kryteria, jak w sporcie. Durand-Edwards miał za sobą porządną *college* i wiedział na przykład kto to był Edgar Allan Poe. Tłumaczył mi, że Stany mają wiele podobności ze swoimi posłami i ambasadorami, których często biorą ze sobą dyktando dyrektorów banków i fabryk, zanim wytłumaczą im różne drażliwości i ceremonie europejskie. Taki pan akredytowany u króla serbskiego nie może panować nad sobą, żeby nie poklepywać monarchy po ramieniu i nie powiedzieć mu: – bardzo Pana lubię, bo Pan jest *a jolly old king*, ale mógłby kupić cały pański pałac z inwentarzem i otoczeniem, nie naruszając wcale mojego tegorocznego bilansu. Amerykanie nie znają orderów. Taki pan z posłów amerykańskich widząc, że posłowie innych państw świecą

na przyjęciach dworskich szarfami, gwiazdami i krzyżami, kupił u jubilera kilka najpiękniejszych orderów, przypiął je do fraka i poszedł na bal dworski. Żeby to zrozumieć, trzeba wstawić się w rolę białego, który znalazł się jako gość u królika murzyńskiego. Edwards cenił Polaków jako tęgie robotników w Ameryce, ale sprawa polska była dla niego jednym z misterium nieuporządkowanego Bałkanu, czyli Europy.

Pewnego razu przyszedłszy do domu zastałem na mojej sofie młodzieńca w kimonie i indyjskich mokasynach, czytającego gazetę i jedzącego moje jabłka. Gość przywitał się ze mną, jakby znał mnie od dziecka, położył się znowu na sofie i wytłumaczył mi, że pani Gericke kazała mu tutaj czekać, aż się zwolni pokój. Był to Rex Benson, bratanek gubernatora Kanady, dwudziestoletni porucznik lansjerów. Zobaczyłem osobiście jak powiększa się imperium brytyjskie, bo mój pokój został zaanektowany przez armię Królewsko-Brytyjskiego Majestatu, a ja nawet nie zaprotestowałem. Zachowanie porucznika, niesłychane na moje pojęcie, nie było jednak obraźliwe, do tego stopnia było dla niego naturalne.

Rex Benson, zwany przez Edwardsa *Baby*, był przystojny, świetnie zbudowany i miał małą głowę o pięknych rysach – z Edwardsem mieli sobie bardzo dużo do powiedzenia o sprawach sportowych i gimnastycznych. Obydwaj umieli skakać z piętra do ogrodu i umieli wrócić do pokoju po gzymsach przez okno. Pouczyli mnie, że takie umiejętności należą w Anglii i Ameryce do ogólnego wykształcenia. Benson został przysłany do Niemiec przez jakiegoś polityka dla zbadania nastrojów... właściwie uprawiał legalny wywiad wojskowy.

W pensjonacie mieszkał też nauczyciel gimnazjalny, pan Seifert, oficer rezerwy w gwardyjskim pułku. Był tak dumny z tego, jak tylko niemiecki bakałarz może być dumny z rangi oficerskiej. Miał naturalnie wszystkie regulaminy służby pieszej, a *Baby* pożyczał je sobie od niego i czytał. Seifert był szczęśliwy, że może mu je dostarczyć. Benson był wesoły, grał na fortepianie i śpiewał francuskie i angielskie piosenki kabaretowe. Pokazał mi pamiętnik z podróży po Kanadzie. Były tam krótkie notatki ołówkiem, szkice osób spotkanych, wklejone bilety i zaproszenia, fotografie i autografy. Ten zabawny sposób zapisywania historii wtedy jeszcze na kontynencie nie był znany. *Baby* od siedemnastego roku życia służył w kawalerii, kobietami się nie interesował; co ciekawsze, że one też nie interesowały się tym eleganckim, doskonale zbudowanym i pięknym oficerem. Ogółem młodzi Anglicy unikali kobiet, jakby uważali je za niebezpieczne. Nie mogłem dociec, skąd nabrali tej wiedzy tak łatwo przed szkołą.

Niemcy byli do nich podobni. Pewna grupa studentów z wielkich miast niemieckich, która nie mogła się przyzwyczaić do poważniejszego nastawu Getyngi, jeździła od czasu do czasu do Kassel, gdzie był teatr, kabarety i dziewczynki. To miasto było swego czasu stolicą księstwa Hessen-Nassau.

stad piękna galeria obrazów, którą nietrudno było zwiedzić, bo jechało się tylko dwie godziny pociągiem pośpiesznym. W galerii było kilkanaście płócien Rembrandta i mówiono, że po petersburskim Ermitażu tu ich kolekcja była największa. Było tam także niemało innych obrazów szkoły flamandzkiej i włoskiej. Niedaleko miasta było Wilhelmshöhe, pałac i park cesarski. Park miał kaskady wodne i był pięknie położony, jednak wszystko to razem nie miało uroku. Za to lasy i rzeki na drodze z Kassel do Getyngi były bardzo piękne, a najpiękniejsze było Münden u zbiegu Werry i Fuldy, małe miasteczko obsypane na wiosnę wiśniowym kwiatem. Jeździliśmy tam nieraz. W zimie urządzaliśmy wycieczkę do Harzu, Schierke i Wernigerode. Braliśmy ze sobą saneczki i zjeżdżaliśmy po kilometrowych alejach leśnych. W Schierke oglądaliśmy zawody narciarskie i bobslejowe na specjalnym torze. Tam to w nocy zabłądziliśmy idąc na Brocken, będący Łysą Górą niemieckich baśni. Kierował nami Wacław Dziwulski, który dbał o rozkłady jazdy i gospodarował wspólnymi zapasami kawy. Harz byłby piękny, gdyby nie to, że na każdym szczycie było czuć zapach lichej kawy, i gdyby nie był przepełniony jak ów las pod Dreźnie, gdzie napisano *Frühes Kommen sichert guten Platz**. Ale i tam można uniknąć ludzi, a dobrą stroną gospód jest taniść, czystość i wygoda. W Harzu – poza okresem świątecznym – jest tylko ludność miejscowa. Znajdźliśmy Goslar i Hildesheim, stare niemieckie osady. W Hildesheim było konduktorów w tramwajach. W drzwiach przednich była czarka czekolady, do której wrzucano dwie dziesięciofenigówki; od czasu do czasu motorowy obracał się i przewracał czarę, a pieniądze sypały się do skrzynki zbierawczej niżej. Gdyby u nas zaprowadzono taki system, to dyrekcja tramwaju musiałaby otworzyć swój własny sklep z guzikami. Do Getyngi jeździliśmy wagonem czwartej klasy; miał ławki dookoła, a w środku piekarnik elektryczny. Jechali z nami drwale harceńscy, którzy długo słuchali naszej długiej rozmowy, a potem zapytali grzecznie, jakim to dialektem niemieckim się porozumiewamy. Jedność języka w Niemczech dokonała się tylko w piśmie i mowie szkolnej, ludzie prości mówią dialektem, a rybak z Getyngi nie porozumie się z pastuchem tyrolskim. W okolicy Getyngi gwara niemiecka brzmi nieraz jak angielszczyzna, chociaż Hanower uważa się za kraj poprawnej dykcji. W tamtejszym gimnazjum obowiązywała wymowa wyrazów *Spitz, Stein, Sprache* taka, jak u nas brzmi „s” w czasowniku „spać” i „stać”, a więc zupełnie nieznaną w Bawarii, Austrii i po pranie na Łaby; tam wszędzie mówią *szpic, sztajn, szprache*. Podział ten też miał wpływ na sposób wyrażania się – mam na myśli nie tylko w mowie, ale i w literaturze. Za moich studenckich czasów ludność robotnicza coraz bardziej zaczynała odczuwać antagonizm do sfer posiadających. Studenty z wielkich miast, idący z rakieta na kort tenisowy, musieli omijać robotników.

(Niem.) Wczesne przyjsie zapewnia dobre miejsce.

jać ulice dzielnicy robotniczej, jeżeli nie chciał usłyszeć uwag o darmozjadach, a w dużych miastach, jak Düsseldorf i Kolonia, panie, które by się pokazały w futrach w fabrycznej dzielnicy, naraziłyby się na obrzucenie błotem i oplucie...

Do Hamburga też nie było daleko; wybraliśmy się tam raz w trójkę: Sierpiński, Banachiewicz i ja, na trzy dni. To chyba najpiękniejsze miasto niemieckie. Centrum jego stanowi basen Alstery, otoczony największymi gmachami tego niepodległego hanzeatyckiego portu. Ten basen łączy się z zewnętrznym, którego krańca nie widać z mostu je dzielącego. Nad zewnętrznym leżą wille i ogrody bogatych hamburczyków. Po jeziorach krążą jachty i łódki, nadając miastu swoisty urok. Stare miasto ma kościoły gotyckie w smaku północnym, a nad kanałami spławnymi stoją śpichlerze ze starej, ciemnej cegły. Są też nowe dzielnice w stronie portu, który jest jakby miastem dla siebie, zabudowanym okrętami. Małe parowce przewożą robotników, marynarzy, kupców, pasażerów z jednej przystani na drugą. Widać wśród nich Chińczyków i Murzynów, słysząc wszystkie języki świata, dla mnie wówczas wszystkie niezrozumiałe, bo z tego, co mówili między sobą tragarze portowi, też nie rozumiałem ani słowa. Jeździłem parowcami po całym porcie, gapiąc się na olbrzymie żurawie i na potwory transoceaniczne. Na obiad poszedłem do restauracji koło portu. Jedli tam sami kupcy, o twarzach zaczerwienionych, głośno rozmawiający i śmiejący się. Podawano im angielskie befsztyki i czerwone wino. Palili cygara hawańskie i szczypali grubą, hożą kelnerkę, najwidoczniej do tego przyzwyczajoną. Nie było tu nic z oszczędności i skromności niemieckiego małomieszczanstwa, nawet kuchnia była obfita i smaczna. To nie były Prusy, ale „Wolne Miasto Hanzeatyckie”.

Trudno mi było z początku zorientować się w klasowej strukturze Niemiec; nie można było porównywać naszych ówczesnych klas z niemieckimi. U nas ludzie mieszkający w miastach byli właściwie inteligentami uprawiającymi wolne zawody lub urzędnikami różnych stopni. Ta sama klasa w Niemczech była liczebnie dosyć nikła. Masę mieszczaństwa można było spotkać wśród pasażerów III klasy. Niemiecka II klasa kolejowa odpowiadała naszej klasie I. Rzymską cyfrę „I” na wagonie niemieckim można było zobaczyć tylko w pociągach dalekobieżnych i rzadko jechał w niej Niemiec. Pasażerami III klasy byli rzemieślnicy, monterzy, szoferzy, nauczyciele, kolejarze, kupcy, studenci, agenci handlowi, subiekti, komiwojażerzy, technicy, dentyści itd. Wszyscy byli upodobnieni do siebie; każdy miał *Kursbuch*, który czytał jak romans; każdy miał walizeczkę, którą było łatwo unieść jedną ręką, żaden nie używał pomocy tragarza ani nie korzystał z wagonu restauracyjnego. Mieli ze sobą czasem chleb posmarowany kielbasą pasztetową lub frankfurcką. Na większych sta-

cjach pili piwo w bufetach, czasem jedli gorące kiełbaski podawane z mizerią i chlebem na kartonowych talerzykach. Czytali gazety, czasem rozmawiali o polityce, przy czym wyrażali poglądy będące mieszaniną demokracji i nacjonalizmu. Pani Thomas, należąca do tej sfery, na moje pytanie, do czego potrzebne są podatki, odpowiedziała mi: – Na wojsko. – A wojsko na co? – Żeby bić się z Francuzami. – O co? Tego już nie wiedziałam... Demokrację rozumiano w ten sposób, że każdy służy w wojsku, każdy płaci podatki, że nie trzeba w restauracji, broń Boże, zamawiać porcji kawy, bo to kosztuje dwa razy tyle, co filiżanka, że powinno się jeździć III klasą, bo jest zupełnie tak wygodna jak II, że minister kolei Breitenbach na zażalenie napisane na pocztówce odpowiada bardzo szybko, przeprowadziwszy dochodzenie, i że kupiectwo jest zajęciem intratnym i nie gorszym od zawodów wyuczonych w szkołach wyższych. A już *Grosskaufmann* był ideałem każdego komiwojażera.

Drugą klasą jeździli oficerowie, urzędnicy o tytułach asesorów, landratów, studienratów itp., a także junkrzy, korporanci, fabrykanci. Całe to towarzystwo lubowało się nazwą „feudalnego” i przeniosło ją nawet na meble, kałamarze i popielniczki, wykazując barbarzyństwo językowe, charakterystyczne dla Niemiec po roku 1871.

Damy podróżujące II klasą ubierały się z angielską, w kostiumy granatowe, miały trzewiki amerykańskie i nie nosiły świecidełek, najwyżej broszkę bursztynową lub starożytną – blondynkom było dobrze w tej modzie. To towarzystwo czytało w podróży „Jugend”, ilustrowany magazyn, którego satyryczne nastawienie było – pod pozorami liberalizmu – antykatolickie, antypartykularystyczne, antypolskie. Jak słusznie konstatuje Bainville w Historii trzech generacji francuskich Niemcy cesarskie zjednoczone po 1870 r., Niemcy powszechnego nauczania i powszechnego głosowania, rozumiały hasła liberalizmu w swoisty sposób. Toteż Reichstag gładko uchwalał kredyty na flotę, której potrzebę lepiej rozumieli kupcy i eksporterzy, niż junkrzy i hreczkosieje, którzy pieniądze na powszechne nauczanie, bez którego nie byłoby dosyć oficerów, i na deficytowe kolonie afrykańskie, których potrzeby rozumieć nie mógł Bismarck. Za marzenie o imperium niemieckim Hohenzollerni ofiarowali bez żalu tradycję pruskiej Sparty kontynentalnej, kraju rolników i oficerów, oszczędnej biurokracji i purytańskiego protestantyzmu. *Serenissimus* – książę udzielny w takim państewku, jak Reuss-linia młodsza, albo Sachsen-Koburg-Gotha, stał się ulubionym tematem dowcipów, jakim dawniej była teściowa, jamnik i rozżartany profesor na łamach „Fliegende Blätter”. Lichy to był bunt, kierowany przeciw tym, którzy mieli już tylko pozór władzy. Bo już ani armia, ani kolej, ani poczta, ani dochody z cel nie podlegały tym książątom, którzy w swoich cichych rezydencjach reprezentowali Niemcy dawne i wyidealizowane przez panią de Staël, Niemcy tej księżniczki von Geroldstein, która w lesie zapytana przez biednego węglarza, czy jej może

trzeba leśnego węgla, zwraca się do idącego za nią lokaja z rozkazem: „Niech on mu powie, że nie!” Inny to był rodzaj wyniosłości, niż sławne *Immerfestedruff!*, zatelegrafowane przez Kronprinza do oficerów w Saverne, w Alzacji („bijcie, ale fest!”).

Była satyra w Niemczech, która mniej dogadzała podróżnym II klasy, ale za to miała światową sławę. Monachijski „Simplicissimus”, z tekstami satyryka nazwiskiem Thoma i karykaturami rysownika o czeskim nazwisku Reznicek, nie był sprzedawany w kioskach kolejowych prusko-heskiej sieci. Od ogłoszenia tego zakazu znakiem reklamowym tego tygodnika stał się czerwony buldog zerwany z łańcucha, który siedzi na szynach kolejowych, a na jego widok lokomotywa staje dęba. Politykę kolonialną Wilhelma I streścił „Simplicissimus” w karykaturze przedstawiającej staropruskie warownie, oblegane przez czarnych Hererów z Afryki Zachodniej. Za kratami widać białych czekających aż Murzyni wylamią bramy. Tekst: „Dlaczego musimy stłumić powstanie Hererów w Afryce?” „Bo inaczej czarni gotowi by dotrzeć do Poczdamu i znieść tam niewolnictwo”. Komentarz do tego powstania otrzymałem znacznie później, w 1923 roku, z ust Niemki, żony fotografa, która wracała do ojczystego Lipska z południowo-zachodniej Afryki. Wy tłumaczyła mi, że Anglicy, po zwycięstwie nad Niemcami w 1918 roku oddali te kolonie w zarząd Burom, a ci dają Niemcom takiego łupnia, że nie podobna wytrzymać. Zapytałem, co z Hererami. Odpowiedziała, że czarni nie mogą żyć bez białych, bo nie mają z czego.

– A dawniej, z czego żyli? – zapytałem.

– Dawniej mieli krowy.

– A co się stało z krowami?

– Zabraliśmy im dawno krowy, za karę, że zrobili powstanie.

Przypomniała mi się karykatura „Simplicissimusa”, i zobaczyłem w skrócie historię tego kraju, w którym naprzód krowy były niewolnicami Hererów, potem Hererzy Niemców, potem Niemcy Burów...

Obraz Niemiec z pierwszego dziesiątka XX wieku starał się dać Jules Huret, dziennikarz francuski, w książce *L'Allemagne*, napisanej żywo i dowcipnie. Zrobiła trochę hałasu w Getyndze, bo Huret zarzucił tamtejszym bonzom, że nie wykładają wyższej matematyki, lecz ułatwiają sobie zadanie przez prowadzenie wykładów kursowych. Huret nie znał instytucji docentów prywatnych, nie istniejących we Francji – to oni wykładali zwykle rzeczy przekraczające obszar wiedzy, z której mieli zdać egzamin przyszli nauczyciele gimnazjalni. Doświadczenie dydaktyczne profesorów było potrzebne do wpojenia elementów analizy, algebry i geometrii tym studentom, którzy mieli po czterech latach zdać egzamin państwowy na nauczyciela matematyki w szkole średniej, toteż profesorskie wykłady miały zwykle pełne audytorium. Podejrzewano, że informatorem Hureta

był astronom Brendel, ożeniony z Francuzką – skutek był taki, że Brendel musiał opuścić Getyngę. Ale getyngęńscy mieli duże uznanie dla francuskich matematyków i polecieli studentom przede wszystkim kursy analizy francuskiej, więc Jordana, Picarda i Goursata, a książkę Serreta jako kurs algebry. Klein był anglofilem i kazał nam uczyć się po angielsku, abyśmy mogli czytać podręczniki mechaniki, takie jak Routh lub Lamb. Fizycy uczyli się fizyki doświadczałnej z dzieł rosyjskich, a geofizyk Wiechert polecał nam *Geofizykę* Rudzkiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, w tłumaczeniu niemieckim. Chcąc zatem ocenić sprawiedliwość Getyngę, trzeba sobie zdać sprawę ze znaczenia tych nie-niemieckich podręczników, na których się opierała w wielkiej mierze.

Jeżeli nie poczytalni Niemcy poszli za nie poczytalnym Hitlerem i zrezygnowali z wkładu niemieckich Żydów w niemiecką naukę, to tym samym zepchnęli ją na drugorzędne miejsce w Europie. Minkowski, Landau, Schwarzschild, Toeplitz, Born, Courant – mówię tylko o matematykach i fizykach – wykreśleni z książki *GLORIA GERMANIAE*, pozostawiliby w Getyndze prowincjonalny uniwersytet ku radości pana Huret.

Także inni cudzoziemcy, jak Grek Carathéodory, Ehrenfest z żoną – Rosjanie, Harald Bohr – Duńczyk, Banachiewicz – polski astronom, Sierpiński, przyczynili się do znaczenia *Georgii Augustae*. Bywali w Getyndze przelotnie także tacy uczeni, jak Henri Poincaré i Marian Smoluchowski, a laureat nagrody Nobla z fizyki doświadczałnej, A. Michelson, mieszkał parę miesięcy w Getyndze w roku 1911. Niektóre z tych przyjazdów finansowano z tzw. nagrody Wolfskehla, bo niejako Wolfskehl zapisał cały majątek na nagrodę temu, kto udowodni „duże twierdzenie Fermata”. Była to kwota 100 000 marek, ale po pierwszej wojnie światowej zdewałowal się ten zapis.

Powstanie specjalnej teorii względności wywołało niemały ruch nad rzeką Leine, jak zwie się nieduży potok przecinający Getyngę. W Towarzystwie Matematycznym przedstawił ją Hermann Minkowski, nadając jej kompletną formę matematyczną. Zaczął od wielkości czynu naukowego Alberta Einsteina, ale dodał, że wykształcenie matematyczne tego młodego fizyka jest niezbyt wysokie, „co mogę tym śmielej osądzić, bo swego czasu w Zurychu ode mnie je otrzymał”. Niedługo po tym odczucie Minkowski zapadł na ślepą kiszkę; operowano go za późno i umarł. Przed śmiercią wyraził żal, że już nie zapozna się z dowodem na twierdzenie Waringa, podanym właśnie wtedy przez Hilberta, który tym samym rozwiązał zagadnienie postawione przed dwustu laty. Entuzjazmu naukowego tych ludzi nawet śmierć nie zdołała zgasić! Znajdował on nieraz jaskrawy wyraz: Hilbert powiedział, że gdyby mu dano zmartwychwstać za dwieście lat, to nie spytałby o postępy ludzkie na polu społecznym ani o postępy techniczne, lecz przede wszystkim o to, co wiadomo o miejscach zerowych

funkcji *dzeta* „gdyż jest to nie tylko najciekawsze zagadnienie matematyczne, ale najciekawsze zagadnienie w ogóle...”

Getynga uważała wtedy teorię względności za tryumf metody aksjomatycznej, a więc tej, którą nauce uświadomiły *Podstawy geometrii* Hilberta. Teoria Einsteina natrafiła także na sprzeciw: przede wszystkim Wiechert, a także Runge nie chcieli jej uznać. Dyskusja była na wysokim poziomie, porównując ją z tymi nonsensami, które czytało się dzieś lat później w różnych broszurkach, trzeba przyznać, że popularyzacja trudnych teorii nie rozszerza wiedzy na szerokie masy, natomiast bardzo rozszerza zamęt. Reklama, którą otaczał Einstein jego nieproszony żurnalista nadworny Moszkowski i „*Berliner Tagblatt*”, ani o jotę nie ułatwiła zrozumienia tej teorii niedostępnej bez matematycznego → wykształcenia, ale wywołała chęć zabierania głosu o Żydach, którzy rozsiewają błędne teorie pseudonaukowe... Gazety szybko zorientowały się, że taki temat przyniesie im zysk, i tym sposobem udało się stworzyć związek między antysemityzmem a negatywnym poglądem na relatywizm.

Następca Minkowskiego, Edmund Landau, był niezadowolony, ilekroć fizycy urządzali najazd na towarzystwo naukowe, bo fizyki nie lubił i nie chciał mówić o rzeczach, których nie rozumiał bez reszty. Miał talent epigramatyczny. Kiedy teoria mnogości zaczęła się stawać głośna, Kurt Geissler napisał o niej popularną książkę pt. *Istota nieskończoności*. Zapytałem Landaua, czy ją czytał – Kurt Geissler był nauczycielem domowym u hrabiego Arco w Berlinie – odpowiedział – i pewnego pięknego poranka uciekł do Włoch z żoną hrabiego i jego kasą podręczną; ponieważ zachował się tak brzydko w skończoności, nie przypuszczam, żeby umiał się lepiej zachować w nieskończoności...

Landau był niestrudzony, miał silną budowę, był zawsze w dobrym humorze, gotów był zawsze do rozmowy matematycznej; w seminarium, na ulicy, w domu, w restauracji, rano i wieczorem. Był bardzo bogaty – jego żona była córką sławnego Ehrlicha z Frankfurtu, który z Japończykiem Hata odkrył preparat 606. Jego prywatna biblioteka matematyczna nie ustępowała niejednej seminarialnej. Był uczniem Pringsheima z Monachium i od niego nauczył się precyzji dowodzeń. Wyrobił sobie jednak własny styl, lakoniczny i oryginalny. Zależało mu niezmiennie na zupełnej poprawności tekstu, a prace swoje poddawał wielokrotnej korekcie, własnej i swoich przyjaciół. Gdy raz w „*Pracach Matematyczno-Fizycznych*” warszawskich opuszczono kropkę po jego nazwisku w tytule, zażądał przedrukowania arkusza. Dla matematyków ogłaszających rzeczy z błędami, niepełnymi dowodami lub z hipotezami, miał lekceważenie, a nawet pogardę, i uważał ich za ludzi nieuczciwych. Wprawa jego w wyszukiwaniu błędów była taka wielka, że Ministerstwo Kolei przysyłało mu stale

nowe rozkłady jazdy, wiedząc, że znajdzie on w nich pomyłki, których nikt inny by nie znalazł.

Był także doskonałym szachistą. Bardzo lubił prace Sierpińskiego, których precyzja odpowiadała jego wybrednym wymaganiom.

Wszyscy ci sławni profesorowie byli bardzo sumienni, gdy chodziło o wykonywanie obowiązków codziennych; nie opuszczali wykładów i nie spóźniali się, nie brali książek z czytelni, a gdy raz Minkowski na krótką chwilę wzięł książkę z czytelni – której zresztą był współdyrektorem – musiał wraz z innymi wysłuchać publicznej reprymendy od Kleina, wprowadzić bez wymieniania nazwiska, ale wyraźnie do niego skierowanej. W tej atmosferze niezbyt dobrze się czuli ludzie z innego klimatu, nie tylko cudzoziemcy, ale i Niemcy, na przykład wiedeńscy. Inna sprawa, że Niemcy uważali Austriaków za cudzoziemców. Byli konsekwentni co do identyfikowania narodowości z przynależnością państwową; jak Polaków z poznańskiego nazywali Prusakami, tak wiedeńscy byli dla nich cudzoziemcami. W pensjonacie pani Gericke mieszkał przez pewien czas student von Strauch, Niemiec bałtycki, który skończył gimnazjum niemieckie w Dorpacie, mówił tylko po niemiecku i uważał się za Niemca. Wszyscy koledzy nazywali go „*Russe*”, bo ktoś, kto nie służy w wojsku niemieckim i nie płaci Rzeszy podatków, nie jest Niemcem.

Były i inne rzeczy dla nas dziwne. Raz pani Gericke otrzymała kilka biletów na uroczystość związku burszenszaftów w sali Parku Miejskiego. Poszliśmy tam i zajęliśmy miejsca w jednej z łóż. W środku sali stały rzędem stoliki, przy których siedzieli bursze w czapeczkach i z szarfami, pili piwo i śpiewali według rytuału uświęconego przez kodeks piwny. Po sali chodziła kwiaciarka z różami. Gdy jeden ze studentów kupił różę, myślałem, że ofiaruje kwiat któremuś z podłotków, które siedziały w łóżach i patrzyły z zachwytem na pijące bractwo, ale student wstał i z niestychającą uniżonością wręczył różę innemu burszowi. W ciągu wieczora ta scena powtórzyła się kilkanaście razy. Zrozumiałem, że ideałem germańskim nie jest rycerz w znaczeniu średniowiecznym – kobieta jako istota słaba jest dla niego przedmiotem wzgardy, a prawdziwy krzyżak czuje się dobrze tylko w murach zamku, który jest zarazem kordegardą, szynkiem i klasztorem męskim; kobiety zatem nie mają tam wstępu z potrójnej racji.

Uczona Getynga nie poprzestawała na pracy teoretycznej. Klein i Hilbert urządzali co kilka tygodni wloty balonami w celu badań meteorologicznych, zwłaszcza elektryczności atmosferycznej; Runge uczestniczył także w ekspedycjach obserwujących zaćmienia księżyca.

**

W roku 1910 przeniosłem się na letni semestr do Monachium. Nie stałem tam wielu wykładów matematycznych – z matematyki tylko Pringsheima, z astronomii Seeligera – bo chodziło mi bardziej o poznanie miasta i okolicy. Polaków było tam wielu i nawet mieli zalegalizowane stowarzyszenie. Spotykałem się tam często z Kazimierzem Jantzenem – astronomem. Mieszkaliśmy na Arcis-Strasse, nr 66, na IV piętrze, i często miałem sposobność widzieć Wenus jako gwiazdę zaranną, bo nieraz przychodziłem o świcie do domu. Naprzeciw mojego łóżka wisiał bohomaz przedstawiający strzelca tyrolskiego, któremu dziewczyna podaje garnuszek wody. Rano, w północy, zjawiał mi się w ramach tego obrazu inny, na przykład głowa starca; ta wizja jeszcze kilkanaście sekund po przebudzeniu trwała, złożona z kresk realnego kiczu, tak jak w zagadkach kreskowych umyślnie rysowanych dwuznacznie. Co ciekawsze, ta zjawia każdego poranka była inna, zawsze koszmarnie wyraźna i zawsze złożona z elementów realnego rysunku strzelca.

Kolonia polska chorowała tam na sprawy honorowe. Byłem raz rzecznikiem jednej ze stron w takiej sprawie i mogłem obliczyć, że kilkanaście osób straciło na nią po kilkadziesiąt godzin, a takich spraw było kilka w każdym semestrze. W końcu starsi członkowie kolonii wprowadzili system dotkliwych kar pieniężnych za wszelkie uchybienia, obrazy i sprawy honorowe znikły, jak ręką odjął, po kilku miesiącach tego reżimu.

Urządzaliśmy wycieczki do Königsee, do Garmisch-Partenkirchen na górę Watzmann. Do naszego towarzystwa należały panie: Dziewulska, Majewska, oraz panowie Korowicz, Hedinger, Jantzen, Cieszyński, L. Schowiak, T. Rotwand, Jan Fryling i inni. Próbowaliśmy w Alpach w maju, chodzić boso po śniegu i przekonaliśmy się, że można godzinami tak spacerować, wygodnie i bez uczucia zimna. Raz urządziliśmy wycieczkę chcąc widzieć kometę Halleya. P. Rozenblum z Wilna należał do naszych najpoważniejszych kolegów; to on wskazał mi „Mittagstisch” na przedmieściu, gdzie Polacy jadaliby obiady. Tam zapoznałem się ze studentem, który świeżo przywiózł teorię Freuda ze Szwajcarii, czy też z Wiednia. Ta teoria budziła sensację, choćby przez samą skandaliczność. Rozenblum i jego narzeczona zaraz przy pierwszej sposobności wypuścili młodego psychoanalityka na mnie. Ten oświadczył mi, że nieświadomości i marzenia seksualne są istotnym podłożem wszystkich świadomych myśli i poglądów, i że tym sposobem powstawanie ich da się bez reszty wyjaśnić. Zapytałem, czy sama teoria Freuda też da się tak wytłumaczyć. Z początku nie rozumiał tego pytania, w końcu zrozumiał je i zbaraniał. Pan Rozenblum, który chciał mieć sławę, miał ją, choć zapewne przewidywał, że

przeciwny weźmie obrót. Nie znałem wtedy jeszcze aforyzmu Karla Krausa *Psychoanalyse ist die Krankheit, für deren Therapie sie sich hält**, który naszą ówczesną dyskusję i wszelką skraca do jednego genialnego zdania.

Odwiedziłem prof. Pringsheima. Mój dziadek tarnowski znał doskonale jego ojca na Śląsku – to ojciec profesora wprowadził tam kolejki konne i dorobił się wielkiego majątku. Prof. A. Pringsheim znał mojego dziadka i opowiadał swego ojca. Słyszając ode mnie, że przyjechałem z Getyngi powiedział, że w Getyndze umieją bardzo trudne rzeczy i tylko najprostszych nie znają. Jako przykład podał mi dysertację getyngińską, której autor nazywa klasyczne twierdzenie Fouriera o calce dwukrotnej systematycznie twierdzeniem Hilberta. (Oczywiście Hilbert był ponad tym zarzuć, winni byli doktoranci getyngińscy).

Na wakacje, jak zwykle, pojechałem do Jasła. Był rok 1910; siostry moje pewnego letniego wieczoru powróciły z Gorajowic i opisały mi dziwne zjawisko fioletowego nieba w stronie północnej; następnego dnia gazety doniosły o przerwach w międzymiastowej komunikacji telefonicznej, co upewniło mnie, że widziały zorzę polarną. Zanotowałem dzień i godzinę, a w jesieni, w Getyndze, opowiedziałem o tym Wiechertowi. Zdziwił się bardzo, że zorza polarna dociera do takiej niskiej szerokości geograficznej.

Ostatni okres pobytu w Getyndze był bardzo dla mnie urozmaicony. W tym czasie, tj. w roku akademickim 1910/1911, przebywał tam na zaproszenie uniwersytetu przez parę letnich miesięcy Albert A. Michelson, sławny z doświadczeń okazujących, że ruch Ziemi dookoła Słońca nie ma żadnego efektu optycznego, czego należałoby oczekiwać, gdyby eter (eter) prowadzący światło był nieruchomy względem słońca. Lorenz i A. Einstein niezależnie od siebie postawili teorie dotyczące związku między ruchem materii a biegiem światła. Michelson zamieszkał w pani Gericke, a więc miałem sposobność go dosyć dobrze poznać. Urodził się w Strzelnie, w Poznańskim. Jego ojciec był karczmarzem i wyjechał z kilkuletnim synem do Stanów Zjednoczonych w szóstym dziesięcioleciu XIX wieku. Albert, ukończywszy inżynierię, wstąpił do marynarki wojennej. Bardzo lubił rysować; opowiadał mi, że podczas żeglugi niecierpliwie wysiadł w jakimś porcie wraz z innymi kadetami, mając pozostanie na lądzie do zmroku. Koledzy poszli do miasta, upili się i przekroczyli godzinę powrotu, ale on wynalazł samotne, piękne miejsce i zaczął szkicować – zajęło go to do tego stopnia, że także się spóźnił. Koledzy usprawiedliwiali się tym, że byli pijani; kapitan uznał to tłumaczeniem.

(Niem.) Psychoanaliza jest chorobą, która uważa się za swoją własną terapię.

czenie za zrozumiałe, ale Michelsona usprawiedliwienie, że przy rysowaniu zapomniiał spojrzeć na zegarek, wydało się kapitanowi niedorzeczne... Skutek był taki, że Albertowi nie było wolno opuszczać statku przez dwa tygodnie.

Niedługo potem pożegnał marynarkę i zaczął studiować fizykę jako samouk. Wkrótce zastąpił jako wytwórca siatek dyfrakcyjnych, to znaczy lusterek metalowych, kreskowanych bruzdami równoległymi, niesłychanie precyzyjnymi i gęstymi, tak że na pasemku o szerokości jednego milimetra przypadało kilkaset takich bruzd. Michelson poświęcił się budowaniu takich właśnie urządzeń optycznych. Jego aparat do robienia siatek był automatem, sochą, w której rolę ryłka odgrywał ułamek czarnego diamentu wyszukany wśród innych pod lupą tak, by naturalne naroże krystaliczne tworzyło idealne ostrze. Ta okruszynka przyciskała metal swoim ciężarem, ale już ta siła była za duża i trzeba było ją zmniejszyć przeciwwagą. Ten pług orał blaszkę metalową automatycznie, a był ustawiony w piwnicy na podstawie pływającej, dla usunięcia wstrząsów, a reostaty utrzymywały stałą temperaturę, świecąc i gasząc lampy żarowe przy każdym zaburzeniu termicznym. Aparat dostarczał w końcu blaszkę pokrytą bruzdami, których na milimetrze było aż kilka tysięcy. Michelson przywiózł parę takich płytek ze sobą do Getyngi. Światło słoneczne odbite od takiej blaszki dawało widmo o rozciągłości kilku metrów; bez żadnych kolimatorów i soczewek można było, patrząc w takie metalowe lustro, zobaczyć w czerwieni ciemne prążki znamionujące obecność żelaza na Słońcu. Zanim Michelson zbudował aparat produkujący cudowne lustro, musiał skonstruować interferometr – tak nazywają fizycy przyrząd optyczny, który pozwala stwierdzać wzajemne przesunięcia przedmiotów. Interferometr Michelsona konstatował przesunięcia o milionowe części milimetra. Kiedy poznałem Michelsona, był profesorem fizyki doświadczalnej w University of Chicago i miał tam stanowisko uprzywilejowane jako laureat Nobla. Opowiadał mi, że umieszczając lustro interferometru na olbrzymim głazie wmurowanym w ścianę piwnicy i przyciskając palcem głaz w odległości metra od lusterka mógł stwierdzić przesunięcie prążków interferencyjnych świadczące o cofnięciu się lusterka! Precyzja aparatury wywołała raz nieoczekiwane zdarzenie: pewna studentka miała zmierzyć jakiś efekt magnetyczny w jego laboratorium, ale pomiary nie bardzo jej się udawały. Michelson przestrzegł ją, żeby nie miała przy sobie przedmiotów metalowych. Studentka zapewniła go, że nie ma żadnych kluczy, obrączek ani zegarków, ale pomiary nie chciały się poprawić! W końcu profesor domyślił się, że panna miała sznurówkę z drutami metalowymi do czego, wielce zmieszana, musiała się przyznać...

Michelson użył swojego interferometru do słynnego eksperymentu porównania szybkości światła w kierunku biegu Ziemi z szybkością w kierunku przeciwnym. Okazało się, że te szybkości są równe, co miało niezmi-

nie doniosłe znaczenie dla wiedzy o przestrzeni fizycznej i dało początek teorii względności. To odkrycie dało Michelsonowi Nagrodę Nobla. Opowiadał mi, że toczenie precyzyjnej śruby do interferometru wymagało pół roku pracy. Miał mechanika, Szweda, specjalistę w tym kunszcie. Szwed raz pewnego niósł już gotową śrubę i upuścił ją na kamienne schody; trzeba było sporządzić nową, chociaż śruba oglądana pod lupą nie wykazywała żadnych zadrzań. Michelson przyjechał do Getyngi z żoną i trzema córeczkami. Miał wtedy już 58 lat, ale grał jeszcze doskonale w tenisa. W towarzystwie był bardzo naturalny. W Chicago wykładał dwie godziny tygodniowo „o ile deszcze nie pada”. Zachwycał się książką Haeckla *Formen der Natur* i opowiadał, że miał raz kurs półroczny, w którym cały czas pokazywał rysunki i fotografie świadczące o zdumiewającej analogii między geometriami przyrody żywej i martwej. Pokazał mi piękne i łatwe doświadczenie: do szklanki wody ustalej wpuszcza się kropelkę atramentu; z kropki robi się nitka zakończona kulką, ta kulka zamienia się w pierścien, który wypuszcza dwie nitki w dół, na ich końcach powstają znowu kulki tworzące pierścienie itd. tak, że w ciągu paru sekund powstaje w szklance całe drzewo atramentowe zwrócone koroną w dół. Stawiał pytanie, dlaczego tak jest, ale nikt nie mógł odpowiedzieć – po dziś dzień nie wiem, co mówią fizycy. Ale Michelson był raczej przyrodnikiem niż matematykiem, a osiągnięcie wykształcenia matematycznego wydawało mu się takie trudne, jak mnie sklecenie jakiegokolwiek przyrządu. Wtedy właśnie uzyskałem getyngijski doktorat i Michelson zaproponował mi, żebym z nim pojechał do Chicago w charakterze jego matematycznego asystenta. Nie zrobiłem tego – dosyć miałem pobytu na obczyźnie podczas studiów.

W Getyndze była pokaźna kolonia japońska; utrzymywaliśmy z nią dobre stosunki. Zaprosiliśmy ich raz i daliśmy im w prezencie album *Sztuka polska*. Mało im się ta sztuka spodobała: orzekli, że tylko Wyspiański im rysować. Zaśpiewali swój hymn narodowy – trudno nam było zachować powagę. Kiedy jednak zrewanżowaliśmy się *Warszawianką*, oni o mało nie pospadali z krzesel ze śmiechu.

W pensjonacie pani Gericke mieszkał w roku 1910 profesor Porter z Austin w stanie Texas. Tym sposobem miałem wiele okazji poznania Amerykanów. Główną różnicę między nimi a Europejczykami widzę w ich stosunku do życia. Wszelka filozofia pesymistyczna jest im obca. Uważają, że lepiej jest robić, niż mówić. Zabawy ich są dziecinne. Rzucają poduszki na siebie jest ulubioną zabawą dorosłych ludzi. Młodzi ludzie boją się kobiet. Lubią pić i po pijanemu tłuc przedmioty – przy okazji święta niepodległości Amerykanie wytłukli całe urządzenie restauracji Johns za miastem. Ubierają się w rzeczy nowe i ładne. Do pieniędzy są mniej przywiązani niż Europejczycy. Nie boją się utraty majątku. Są muśkalniejsi od Anglików i dobrze tańczą. Młodzież od 15 roku życia uważa

się za dorosłych, wobec starszych zachowują się grzecznie, ale bez uniżoności. Są subtelniejsi od Niemców; rozumieją ironię, Niemcom niedostępną. Stwierdziłem, że niemieccy konduktorzy przyznawali zawsze rację pasażerom, którzy po chamsku i hałaśliwie obstawali przy swoich pretensjach; uważali, że pasażer, który mówi spokojnie, najwidoczniej się boryka. Przeciętny Niemiec nie lubi logicznego rozumowania – jest ono nie zgodne z germańskim poglądem na świat. Dla Anglosasów Niemcy mieli niezmierny respekt, a berlińskie gazety opisujące zachowanie się załogi „Titanica” podczas katastrofy w 1911 r. stwierdziły, że „Anglicy są lepsi niż ludźmi niż my”.

Powrót do domu

Ostatnie (i pierwsze) rygorozum* zdałem 10 maja 1911 r., u Hilberta Rungego i Hartmanna. Po tym zakończeniu studiów pojechałem nad jezioro Lugano, do włoskiej Szwajcarii. Hotel du Lac, w którym mieszkalem dwa tygodnie, był położony pięknie i bardzo spokojny; gośćmi byli przeważnie ludzie starzy. Były to małżeństwa; postanowiły użyć na starość majątku zdobytego pracą i oszczędnością długich lat. Siedzieli parami przy małych stolikach i nudzili się. Już ich nie ciągnęły ani Alpy, ani lugańskie jezioro. Najciekawsze w Lugano są małe wioski nad jeziorem, na przykład Oria. Zbudowane z kamienia, piętrzą się koło schodów wykutych w skałach. Stamtąd pojechałem do Mediolanu. Gotyk katedry mediolańskiej o tysiącu małych wieżyczek, o tuluż schodkach, o balustradach na dachu, gdzie każdy filar poręczy ma w kapitelu płaskorzeźbione głowy wykonane tak starannie, jak gdyby były na pierwszym planie, każe się do myślenia równie bogatego wnętrza. Tymczasem jest ono surowe i mroczne. Imponuje tylko olbrzymimi kolumnami i przestrzenią *clair-obscur*, kolorowanego stłumioną grą witraży. W ścianie południowej, wysoko, przebił to otwór, a na posadzce w kierunku południka leży mosiężna wstęga; wskutek czego w chwili lokalnego prawdziwego południa słonecznego pojawia się momentalny błysk na ścianie północnej. Miałem ochotę kupić sobie borsalino, tj. popularny kapelusz włoski z szerokimi kresami. Poszedłem do największego sklepu kapeluszy – spojrzano na mnie z lekceważeniem i oświadczone mi, że takich kapeluszy nie mają... po dziś dzień nie rozumiem tego zdarzenia...

Z Mediolanu pojechałem do Wenecji, której nie będę opisywał, bo musiałbym jak Bukacki z *Rodziny Polanieckich* powiedzieć, że „widziałem pod Ponte Rialto skorupkę z jajka płynącą obok łupiny pomarańczowej”.

* Doktorat.

„...niosła nagle skorupkę do łupiny i popłynęły razem” – ale nikt by mi nie uwierzył, mimo autorytetu Sienkiewicza. Dla mnie najciekawsza była architektura. Pałace weneckie mają swoisty styl. Marmur czarnieje od ciemnych miejscami, zachowując swoją białość w innych; to podkreśla dostojny rysunek tych gmachów odbijających się w czarnej wodzie kanału. Kościół św. Marka to najdziwniejszy kościół na świecie; tylko w tym miejscu między lądem a morzem, między Wschodem a Zachodem mógł powstać, łącząc w sobie włoski i bizantyński, którego ściana boczna od strony Pałacu Doge ma w swoich marmurach wszystkie pastelowe kolory muszelek znajdujących na plaży Lido. Jego fasada niesie słynne konie zabrane przez Napoleonona, a później zwrócone. Wnętrze ozdobione mozaikami na złotej tle ma nie tylko hieratyczny prymitywizm, ale i perwersję Wschodu. Zbudowany na relikwii św. Marka przywiezionej z Bizancjum jest ten kościół symbolem Wenecji, miasta, w którego herbie lew trzyma Ewangelię, a św. Marka.

Wracając z podróży do domu natrafiłem w Krakowie na I Polski Zjazd Matematyków i Lekarzy. Miałem tam referat w sekcji matematycznej. W przyzwyczajeniu do kongresów słuchałem pilnie różnych referatów – najlepszym wśród ogólnych był Romera *O krajobrazie w geografii i w sztuce*. Z matematyki Zarembą seniorem miałem długą dyskusję dotyczącą aksjomatów zupełności, wprowadzonego przez Hilberta do geometrii; Zaremba chciał mi nadać następującą formę: zaliczamy do geometrii wszystkie i tylko takie przedmioty, które spełniają poprzednie aksjomaty. Widząc, że może odeprzeć mojej argumentacji, zaproponował rozejm „jako że ja nie mam moich, ani ja jego zdań nie możemy obalić”. Dyskusja odbyła się w sali Bisanza, a wywołała ją moja nota w „Mathematische Annalen” o pojęciu granicy.

Przyjeżdżając do Jasła spotkałem na zbiegu ulic Trzeciego Maja i Kościelnej poetę Ludwika Eminowicza, który mnie zapytał, co widziałem w Krakowie. Wskazując miejsce, gdzie staliśmy, odpowiedziałem: – Niemcy przyjdą tu. Wróżba spełniła się dosłownie po trzech latach... Ale w roku naszej lokalnej katastrofy, jakim była na przykład kandydatura mojego stryja na posła do parlamentu z okręgu bełzkiego, sprawiała większe wrażenie, niż nadciągające chmury o wymiarach międzynarodowej. W polityce zarysowywał się rozłam w partii konserwatywnej na frakcję krajową i podolską. Chcąc powstrzymać rozbięcie parlamentu wiedeńskiego, liczne grupy nacjonalistyczne, zwalczające się wzajemnie, i umożliwiając normalną pracę posłów Izby, rząd z inicjatywy cesarza przeprowadził głosowanie o powszechnym, równym i tajnym głosowaniu, z którego mieli wybrać posłowie reprezentujący lud. Zamierzano też w Galicji zastąpić kuksyngowe głosowanie do Sejmu, przez równe. Namiestnik Michał Bobrzyński

był zwolennikiem tych planów. On i Władysław Leopold Jaworski, móż konserwatystów krakowskich, nie bali się powszechnego prawa głosowania, natomiast „Podolacy” – tak zwano właścicieli obszarów dworskich na wschód od Sanu – mieli wszelkie powody bać się o swoją egzystencję polityczną, która byłaby zachwiana przez dopuszczenie mas ruskich do urn wyborczych. Stryj Ignacy miał poparcie krakowskiej frakcji, a co za tym szło – i rządu, i namiestnika. Ale „Podolacy” nie podporządkowali się wskazówkom krakowskim i wystawili jako kandydata w okręgu bełzkim tamtejszego ziemianina, hrabiego Starzyńskiego, profesora prawa uniwersytetu lwowskiego. W miasteczkach takich, jak Bełz, Rawa Ruska, Sokal itd., nie ma było wyborców żydowskich, których głosy mogły mieć znaczenie wobec rozdzielenia konserwatystów. W Bełzie rezydował słynny rabin-cudotwórca i stryj musiał mu złożyć wizytę. Zapytany, co sądzi o tradycyjnych zwyczajach żydowskich (rabin wiedział, że gość ich nie przestrzega), stryj odpowiedział dyplomatycznie: – nie znam się na nich, przeto pozostawiam i zamierzam pozostawić ludziom biegłym w Piśmie, a więc takim jak Pan, rozstrzygającym głos w takich kwestiach. To wystarczyło mężowi świątobliwemu. Ale miał on poważniejsze wątpliwości: Starzyński, *homo regius*, dotychczasowy kandydat stańczyków, liczył, jak zawsze, na poparcie rabina. Wprawdzie starosta zapewnił go po cichu, że prawdziwym kandydatem namiestnika Bobrzyńskiego jest dr Steinhaus, ale to nie wystarczyło. Rabin podejrzewał, że po prostu panowie polscy pokłócili się między sobą, i że ani w Bełzie, ani nawet we Lwowie nie dowie się prawdy. Wobec tego wysłał swojego sekretarza do cesarza, do Wiednia. Co dziwniejsze, sekretarz w chałacie trafił do kancelarii gabinetowej i otrzymał informacje; oczywiście kancelaria zwróciła się bezpośrednio do namiestnika we Lwowie, który poufnie potwierdził, że rząd życzy sobie mieć posłem pana Steinhausa.

W Jaśle już od paru lat wychodził „Głos Jasielski”, tygodnik założony przez inżyniera Kostkiewicza. Było to piśmko o tendencjach narodowo-demokratycznych, upiękzone, oczywiście korespondencją lokalną, w której mogłem nieraz znaleźć nazwisko, jakie mam zaszczyt nosić: mój ojciec i stryj byli tam przedstawieni jako tyrani, robiący, co im się podoba. Zarzuty te nie były obraźliwe, a niezbyt szczwany publicysta nie orientował się, że tego rodzaju ataki były bezpłatną reklamą, zwiększającą wpływy prowincjonalnych dyplomatów. Ale młodzież w dużej części uznała za swój narodowy obowiązek urządzić demonstrację na dworcu podczas przyjazdu z Sokała stryja, który zdobył mandat. Awantura ograniczyła się do nie licznych okrzyków... Trzeba przyznać, że stryj był dyplomata; gdy na przykład osoba starosty była mu niedogodna, nigdy nie wyrażał się o nim źle wobec jego szefów lwowskich. Przeciwnie; starał się, żeby przeniesiono go z awansem na lepsze stanowisko „siłę, która na prowincji się marnuje”.

W jesieni roku 1911 musiałem iść do wojska. Koszary kadry pułku artylerii fortecznej nr 5, imienia Freiherr von Rouvroy, mieściły się w Krakowie przy ul. Montelupich. Tam była też i szkoła jednorocznych. Ćwiczenia gimnastyczne, biegi, przysiady i cała musztra („egzercyka” w języku niemiecko-czesko-polskim pochodzi z francuskiego) mało mnie męczyły. Ale przymus wstawania rano, czyszczenia butów i guzików, rozbieranie i składanie karabinów, ścielenie łóżek i zwijanie płaszczy, konieczność słuchania idiotycznych pouczeń feldfebla i znoszenia szykan – to wszystko obrzydziło mi wojsko do ostatecznych granic. Kasarnia [koszary] jest zarazem więzieniem, szpitalem, internatem dla małych dzieci, karczmą i szkołą. Kapral uczący nas celować z dział ciężkich oświadczył mi, że nigdy nie zrozumie, co to jest noniusz. Mieliliśmy kapitana, który uczył fortifikacji. Był to niezrównany talent dydaktyczny: wykladał tę naukę sposobem sokratycznym, za pomocą pytań. Podziwiałem go, bo ta metoda wymaga naprawdę zupełnego opanowania przedmiotu. Ale ja miałem już dosyć praktyki i teorii wojskowej – pisałem o tym listy do domu. Okazało się, że nabycie choroby serca kosztuje znacznie więcej niż wyleczenie się z niej, ale że można się o nią postarać; i że są dostawcy także tego towaru.

Oddano mnie do szpitala. Dostałem się do celi o dwóch łózkach, drugie zajmował kadet z Łobzowa. Dowiedziawszy się, że jestem doktorem matematyki, kadet powiedział lekceważąco: – chyba nie zechce pan twierdzić, że umiesz więcej niż nasz profesor matematyki w szkole kadeckiej? W szpitalu spotkałem także ułana głuchego na jedno ucho; ogłuchł od policzka, który mu dał wachmistrz za to, że nie dosłyszał rozkazu *kleine Tour!* na ujeżdżalni i wykonał *grosse Tour*. Ułan nie poskarżył się, bo – jak mi mówił – wachmistrz był poza tym dobry. Ułan wiedział, że kiedy przyjdzie zwykły żołnierz, oficerowie w kancelarii dywizjonu pytają co słychać w szwadronie, i że chcą się dowiedzieć, jak się zachowują podoficerowie. Ale on i tak nie powiedział...

Miałem lekturę: *Don Kichota* w wersji francuskiej z drzeworytami. Kiedy *Oberstabsarzt* przyszedł z wizytą w asystencji niższych lekarzy, oglądał z zainteresowaniem *Don Kichota*, a obaj asystenci udawali, że ich to nie interesuje. Gdy lekarz stwierdził inny rytm pulsu w lewej ręce, a inny w prawej, oni też stwierdzili ten zadziwiający fenomen. Wróciłem do kasarni ze świadectwem, które otwierało drogę „do cywila” – piękne czako paradnie zostawiłem kapralowi Korbulakowi.

Załatwiwszy tę sprawę pojechałem do Lwowa na parę miesięcy. Tam moje siostry mieszkaly w pensjonacie „Litwinka” i studiowały na uniwersytecie. Ja mieszkalem w „Polonii”. W pensjonacie tym mieszkał Stefan Mazurkiewicz, który doktoryzował się u Pużyny. Opowiadano o nim, że chodzi po pokoju wprzód i wstecz całymi godzinami. Palil ciągle papierosy i nie lubił otwierania okien. Stołował się tamże profesor Weyberg, wydający raczej na aktora niż na uczonego. Jeden z synów pani domu był

urzędnikiem namiestnictwa w dziale koncesji przemysłowych. Zapewniałem, że w Warszawie wodociągi czerpią wodę z kanałów i dzięki znakomitym filtrom chemicznym jest czysta jak źródłana. Nie chciałem mu wierzyć, więc powiedział wobec wszystkich, że jeżeli sobie wyobrażam, że będę się habilitował we Lwowie, to jest to iluzja. Poznałem wtedy u Wacława Sierpińskiego młodego doktora, Stanisława Ruzewicza. Sam dopiero zaczynałem pracę właściwą: czytałem Lebesgue'a *Séries trigonométriques*, a moje własne zasługi redukowały się do noty, którą zredagował Sierpiński w swoim stylu i umieścił w „Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego”. Byłem prywatnym uczonym bez określonego zajęcia. Towarzyszyłem siostrze na bale, odwiedzałem rodzinę mojego kuzyna i stryja we Lwowie, a w Jasle grałem w tenisa. W następnym roku mieszkalem przez pewien czas w Krakowie w pensjonacie, a raczej przy rodzinie pana Lepszego, na granicy Krakowa i Łobzowa; kilka domów dalej mieszkaly moje siostry u prof. Ciechanowskiego. Pan Lepszy był specjalistą-ikonografem, ale po dziś dzień nie wiem, co to znaczy.

Był rok 1913 – nic nie zwiastowało końca świata – nawet wojna bałkańska, pierwsza i druga, skończyła się. Stryj mawiał, że dusimy się; znaczyło to, że coraz trudniej o lokatę kapitału. Ale o kredyt nie było tak trudno. Konsorcjum, złożone z ojca i stryja oraz Loewensteina, Gorayskiego, Stojowskiego, Macudzińskiego i Wiktorowej, zakupiło Polankę, obszar rolniczy z dużą cegielnią parową – pieniądze w wysokości miliona koron pozyczyły banki. Poprzedni właściciel, hr. Goetzendorf-Grabowski, pół-Niemiec, musiał po szerokim życiu galicyjskiego pana ujeżdżać konie w cyrk Renza. Do kompleksu należał dwór, który oddano drugiemu bankrutowi Stanisławowi Klobassie, za czynszem 1 korony miesięcznie. Cegielnią kierował z ramienia konsorcjum Kazimierz Macudziński, najmłodszy uczestnik. Zdarzyło mu się, co następuje. Maszynista upił się i zapomniał napędnąć oliwarki dużego koła zamachowego maszyny parowej. Koło wytopiło łożyska i przechyliło się tak, że mogło lada chwila przewrócić ścianę budynku. Pan Macudziński zatrzymał maszynę, kazał ją rozebrać, a maszynistę polecił natychmiast opuścić cegielnię. Znając swoich ludzi, wiedział, że maszynisty nie można wpuścić do fabryki po wypowiedzeniu. Sam zatem telefonował do Berna po montera. Ten przyjechał i zabrał się do składania maszyny. Była dwucylindrowa. Pierwszy cylinder pracował na wysokim ciśnieniu i wypychał po ekspansji parę do drugiego, szerszego i wykorzystującego resztę ciśnienia. Po zmontowaniu berneńczyk patrzył na grę wentyli biegnącej maszyny przez parę sekund i nagle kazał ją zatrzymać. Trzeba być starym majstrem, żeby zobaczyć po takim czasie coś niezwykłego: grze wentyli dwucylindrowej maszyny... Jeszcze chwila, a cylinder niskiego ciśnienia zostałby rozsadzony, bo wentyl wypuszczający parę zamykał się właśnie wtedy, kiedy się miał otwierać, a pierwszy cylinder tłoczył bezustannie parę drugiego. Monter rozebrał maszynę i pokazał panu Mac-

udziemu wał sterujący wentylami. Monter kieruje się przy składaniu zębatego karbem wyciętym na płaszczyźnie kółka. Otóż mściwy wydany maszynista zdążył po rozebraniu maszyny zamazać grafitem karb i wyjechał inny paroma ruchami pilnika. Ten wyrafinowany sposób mógł spowodować katastrofę, której przyczyn nikt by się nie domyślił.

W tym roku w Krakowie napisałem cztery noty z teorii szeregów Fouriera. Zaremba przedstawił je Akademii – wyszły w roku 1913. (Długo przechowywałem list Zaremby, w którym wyraża „rzyczenie”, żeby moja francuszczyzna była lepsza). Zapiisałem się też do sekcji wioślarskiej AZS i nauczyłem się wiosłować, tak że kilka razy jeździłem ósemką wyścigową. Ten w tej sekcji był specjalny. Należały tam panny Bujwidówny, młody Zoll, Jentysowie itd. Łodzie trzeba było znosić do przystani z remizy położonej na wysokim brzegu i z powrotem. Przebieranie się dwukrotnie, marsz z miasta i do miasta, mycie się itd., zajmowało więcej czasu niż właściwy sport wodny na Wiśle – pół dnia co najmniej i wiele sił pochłaniała taka wycieczka. Kto chce być sportsmanem, musi zrezygnować z pracy. Ja nie chciałem i nie mogłem wyjść poza szarą trzecią klasę, toteż wkrótce ograniczyłem się do kortu tenisowego.

W roku 1913 rodzice moi zabrali moje siostry i mnie do Włoch. Pojechaliśmy do Wenecji i mieszkaliśmy w hotelu Bauer. Kuchnia tam była wiedeńska. Przez okno dolatywał zapach ryb – to jakiś biedak piekł coś na palicy, w pobliżu, na oliwie. Wolałbym jeść tę smażelinę zamiast sznyceli przyrządzonych na maśle przez pana Bauera. Jeździliśmy na Lido stateczkiem parowym. Raz, wracając, zauważyliśmy pana w eleganckim popielatym stroju, z lornetką na rzemieniu. Usiadł na dziobie statku, a gdy parowiec zwrócił się ku Riva degli Schiavoni, on i jego towarzyszką, blondynką modną jak z „Vogue”, rzucili się ku przodowi, podając sobie lornetkę po kolei z wyrazem zachwyty. Moje siostry i ja obejrzelismy się: parę obserwował jakiś zazdrosny czarny charakter, a opodal stał fotograf kręcący całą scenę. Gdy już dobiliśmy brzegu, cała trupa poszła na plac św. Marka karmić gołębie i dać się z nimi kręcić na tle Campanilli, właśnie świeżo odbudowanej. Musiał wyjść z tego potem niemały kicz! Ta scena nasunęła mi refleksję o autonomizmie zjawisk życiowych. Gdy wynaleziono kinematograf, myślano z początku, że będzie służyło zdejmowaniu zjawisk ruchomych. Okazało się rychło, że tego rodzaju zdjęcia będą znikomą częścią kinematografii. Jej przedmiotem głównym są zdjęcia ruchów zaplanowanych i wyuczonych. Kinematografiści nie pozwalają ludzkości oglądać tego, co się dzieje, bo stanowią potężną klikę, zmuszającą miliony do oglądania rzeczy wymyślonych przez agentów handlowych, którzy na dołkach kazali się tytułować kompozytorami, autorami i artystami. Podobnie zjawiskiem jest radio; nie inna jest prasa, która zupełnie wyzwoliła z roli obserwatora i stała się mocarstwem, oczywiście nie inaczej niż przez aktywny udział w konstruowaniu faktów.

Czasy, o których piszę, były kolebką awiacji. Pierwszy raz widziałem wzlot w Monachium. Przy lądowaniu strzaskał się aparat Lindpaintnera – jedną drzazgę drewnianą długo przechowywałem na pamiątkę. Nikt nie przewidywał, że trud, pot i krew milionów ludzi zostaną wchłonięte przez stada stalowych potworów podniebnych, a inne obrócić w gruzy setki miast, pałace i tysiącletnie katedry, zmuszając ludzi do mieszkania w piwnicach i jaskiniach. Za tych czasów jednak samoloty były dziełem stolarzy i ślusarzy; myślano, że przyszłość awiacji pozwoli ludziom podróżować bez paszportów i wiz, a każdy naprawdę będzie „wolny jak ptak”...

Z Wenecji pojechaliśmy do Rzymu – po drodze zwiedziliśmy Florencję. Hotel „des Américains” poleciła nam pani Cécile de Tournay, z którą poznałem się po drodze. Ta młoda węgierska powieściopisarka zapalała do nas sympatią – potem przyznała się, że widząc nasze twarze, pokryte czerwonymi pryszczami, myślała ze współczuciem o jakiejś straszliwej chorobie, która nawiedziła całą rodzinę. Uspokoiłem ją, że to po prostu są ślady morskich weneckich. Siedząc przy stoliku w hotelu słyszeliśmy obok nas rozmowę, którą prowadziła elegancka włoska dama z jakimś arystokratą austriackim. Gdy ten zapowiedział, że wkrótce przyjedzie do Florencji pewna pani o bardzo historycznym nazwisku, Włoszka powiedziała: *Sie stinkt aber**. Włoska dama była potomkinią doży Mocenigo, nie przeszkodziło jej to użyć przeciw innej kobiecie argumentu najbardziej przekonywającego.

W Rzymie zwiedziliśmy dużo kościołów i muzeów, ale nic nie zrobiło tam na mnie takiego wrażenia, jak *Wenus medycejska* we Florencji i *Zapachnicy*. Byliśmy też na zbiorowej audiencji u papieża. Na podwórzu wewnętrznym stały setki pielgrzymów. Ojciec św. pojawił się na balkonie w towarzystwie kanonika hrabiego Sampero. Dzieci włoskie zaczęły krzyczeć głośno *Eviva il Papa!* nie klękając wcale; papież pogroził im palcem. Wychojąc kupiliśmy pocztówki w sklepiku na obszarze watykańskim. Były tam też i podobizny hr. Sampero, pięknego Włocha o bladej twarzy i czarnych oczach. Sprzedawczyni widząc, że podoba się nam ta pocztówka, z zachwytem przytaknęła łamaną francuszczyzną: *C'est joli le comte Sampero!***. Stojący obok ksiądz, zapewne pielgrzym, spojrzał na nią i na nas groźnie...

Z Rzymu pojechaliśmy koleją nadbrzeżną do Nicei. Tam zamieszkaliśmy. Mimo jesieni jeszcze można było kąpać się w morzu. Raz topilem się przy samym brzegu, bo fala przyplwy wracała spodem i pływaniestylem zwykłym nie posuwało mnie naprzód, lecz niosło na żelazny słupek. Obok płynący Anglik zastosował przy brzegu psi sposób, nie dający niebezpiecznych pauz... naśladowałem go i przyplynałem. Moja Matka patrzyła na mnie z brzegu, ale nawet nie przypuszczała, że miałem jakieś trudności.

* (Niem). Ona jednak śmierdzi.

** (Franc.) Hrabia Sampero jest bardzo ładny!

Naturalnie zwiedziliśmy Monte Carlo. Z siostrami Ireną i Olgą dużo chodziłem pieszo. Byliśmy w La Grasse, gdzie hodują goździki na perfumy, a idąc raz przez podmiejskie dzielnice Nicei zobaczyliśmy przez okno w murze zakratowaną komórkę, w której siedział żywy niedźwiedź. Na podwórzu był stragan z papierowymi kielbasami i szynkami. Minęło parę minut, zanim zrozumieliśmy, że widzimy *dépot* firmy Pathé; jeszcze jedno potwierdzenie tezy, że kino wytwarza najnieprawdopodobniejsze zespoły przedmiotów – papierowe kielbasy były zapewne przeznaczone do jakiejś komedii z wywracaniem straganów. Z Nicei pojechaliśmy do Paryża i zamieszkaliśmy w hotelu Cambon, na ulicy Cambon. Prowadziliśmy życie turystów cudzoziemskich. Po pewnym czasie siostry przeniosły się do pensjonatu, a rodzice i ja – wyjechaliśmy do domu. Gdy wróciłem tam znów na wiosnę, znalazłem sobie pensjonat na rue Gay-Lussac, pod numerem 36. Poznałem Henri Lebesgue'a, chodziłem na wykłady Borela i Picarda. Był wówczas w Paryżu Henryk Lauer i Aleksander Rajchman, obaj z Warszawy. Rajchman dowiedział się w Ogrodzie Luksemburskim ode mnie, co to są szeregi trygonometryczne, a także o słynnej pracy Riemanna sprzed 60 lat. Jeszcze dziś można czytać w Polsce zwrot „Riemanna zasada lokalizacji”, jak gdyby Riemann używał tej nazwy. Rajchman usłyszał ją ode mnie i nie wiedział, że to ja ją wymyśliłem.

Chętnie chodziłem do herbaciarni tuż przy Ogrodzie Luksemburskim, czasem włóczyłem się bez celu i próbowałem koło giełdy zbożowej jeść ostrygi, ślimaki i inne dziwne małże. Najdziwniejsza była rue Mouffetard. Na tej wąskiej ulicy sklepy były szeroko otwarte, a okna były połączeniem domów z ulicą, bo kosze ryb, jarzyn, polacie mięsa, opalki* pomarańcz i jabłek leżały w sklepie, na oknach i na ulicy przed oknami. Ta masa wiktuałów, ta morena pchana przez niewidoczny lodowiec, nie powodowała brudu ani śmiecia.

Lud paryski włóczył się środkiem, żyjąc na ulicy, jak Włosi. Paryżanie mają swoisty sposób utrzymywania porządku, niezrozumiały i niewidoczny dla cudzoziemców. Ulice paryskie, udeptane od wieków, stanowią znakomity podkład pod asfalt. Mechaniczne zmiatarki usuwają rotacyjnymi szczotkami błoto i śmiecie ku krawężnikom, a strumień wody z hydrantów zabiera je do otwartych ścieków kanałowych.

Paryż łączy w sobie wiele miast. Na lewym brzegu Sekwany leżą Szkoły: Sorbona, Fakultet Prawniczy i Medyczny, ale tuż obok stoi opactwo Cluny, którego część murów i sklepień pamięta Juliana Apostatę. W muzeum Cluny widać w gablotce koronę Pepina**. Renesansowe skrzynie z czar-

* Kosze.

** Zapewne przewodnik muzealny wprowadził Autora w błąd. W Cluny znajdują się trzy korony królów gockich z VII wieku. Pewne jest, że jedna z nich była koroną zmarłego w 672 roku Reccevinthusa.

nego dębu, jakby rzeźbione przez Colas Breugnon, niosą na wiekach szkatułki z kości słoniowej, emaliowane relikwiarze, i puchary rycerzy średniowiecznych, których zbroje, miecze i szyszaki zdobią ściany, a w gałkach wiszą szaty Templariuszy. Przez otwarte okna widać ogród i zieloną murawę, odgradzoną sztachetami od Bulwaru Saint-Michel, po którego gładkim i lepkiem asfalcie suną auta. Najprzyjemniej zwiedzać tu muzeum bez postanowienia, przechodząc obok. Nigdy nie ma tam tłoku, chociaż częste są dni gratisowe. Przeszedłszy przez bulwar można usiąść w Ogrodzie Luksemburskim, grzać się w słońcu i patrzeć jak nad sadzawką przeskakują przez sznurek uroczę dzieci, pełne gracji. Niedaleki Pałac Senatu przypomina, że jest poza terytorium prefekta Sekwany, bo pałac i ogród podlegają wojskowemu komendantowi Senatu. Musi to być doskonała synekura; tu można zwiedzić bez trudu muzeum luksemburskie* – nieduży budynek, w którym mieszczą się piękne rzeźby marmurowe, obrazy Degasa i innych impresjonistów przypominają, że ci malarze, należący do generacji naszych rodziców wciąż jeszcze są uważani za rewolucjonistów, więc nie mają sal w Luwrze, ale na lewym brzegu Sekwany gdzie panuje młodzież od wieków.

Idąc Ogrodem w górę dochodzi się do Obserwatorium. Idąc bulwarem w dół doszłoby się do Sekwany, a skręcając nadbrzeżem, w kierunku jej biegu, mija się oficynę Gauthier – Villars i staje się przed ciemną fasadą Akademii Francuskiej. Przed nią pomnik Woltera, spóźniony hołd Akademii – po dziś dzień mówią paryżanie, że akademicy postanowili wielkiego racjonalistę umieścić po śmierci za drzwiami, tak jak za życia.

Wzdłuż Sekwany, na kamiennych obramowaniach brzegu, leżą pudła bukinistów pełne starych książek, sztychów, rycin, angielskich ilustracji itd. Znaleźliśmy raz tam pamiątniki Stendhala. Chciałem je kupić, ale przekupień prosił mnie, żebym przyszedł za parę dni, bo teraz on czyta. Na lewym brzegu, koło Saint Sulpice, kościół pamiątny z powieści *Le bas Huysmansa*, ciągnie się ulica klerykalna: w sklepach są tam dewocjonalia, obrazy święte, literatura teologiczna i pobożna. Koło Panteonu jest biblioteka Sainte-Geneviève i piękny kościółek Saint-Etienne-du-Mont – sławnym *jubé*** – jest to kamienny węzeł, niczym nie wsparty, który jest wspólnym końcem łuków podtrzymujących kopułę. W tej dzielnicy znajduje się dom, w którym mieszkał Kalwin. Przeważają tam domy stare, czteropiętrowe. Koty na podwórzach zażywają czci niemal egipskiej, podobnie zresztą jak w całym Paryżu. Błoto jakoś wysycha tam prędko, kanalizacja jest doskonała. Stopy ludzkie, które już za czasów Juliusza Cezara szły ulicą Saint-Jacques, powstała z dawnej *via romana*, tak ubily z

* Pałac Senatu czyli Pałac Luksemburski jest dziś niedostępny dla zwiedzających.

** (Fr.) Ambona, kazalnica.

te bruk ma dziś twardy podkład i nie ustępuje. Ulica na wiosnę pachnie słońcem, wilgocią, benzyną aut i kwiatami, których pełno na straganach. Pełno jest też tam młodych dziewcząt skromnie ubranych, studentek, midinetek, modelek. Są tu także restauracje polskie i rosyjskie, a w jednej z nich podobno słyszano zamówienie: „koleżanko Szapiro, pożegnaj minia a sztikel von diesen farszirte puasą!”

Tarwo tam próżnować. Sam łagodny spadek zaniesie kroki ku Sekwanie, gdzie ulice nazywają się Monge, Ampère lub École Polytechnique, ku ścisłomatematyków. Najniżej, na Quai de Suède, skąd widać Notre Dame, sporty się o kamienną balustradę można zobaczyć statki stojące tygodniami przy bulwarze. Na nich rodzina flisaka żyje izolowana, pierze bielzone, smaży ryby i nie troszczy się o huczące morze dookoła, zwane Paryżem.

Mosty nad Sekwaną prowadzą na wyspę Saint-Louis i na Quai d'Orléans, gdzie jest Biblioteka Polska, gdzie mieszkali Czartoryscy, a potem Władysław Mickiewicz, syn Adama. Ale mnie bardziej interesowały zielone papuszki w licznych klatkach wystawianych na ulicę, żółwie, kanarki i cuda zoologiczne, których sprzedawcy mieszczą się tam właśnie, nie dając czemu. Idąc jeszcze dalej dochodziło się do Hał. Pod olbrzymimi hangarami piętrzyły się tam góry mięsa, ryb, jarzyn, jabłek, leżały stosy ostrygi, homary, winogrona, oliwki, karczochy, pomarańcze i setki innych rzeczy jadalnych, znanych i nieznanych, banany, ananasy, świeże orzechy kokosowe i wszystko, co rośnie i dojrzewa nad Sekwaną, we Francji, w Algierze, a może i w Indochinach. Dwukółowe wozy zaprzężone ciężkie konie, ozdobione kapelusikami słomkowymi przywoziły jabłka i owoce z najbliższych okolic Paryża.

Chcąc zwiedzić Paryż muzeów i ambasad, teatrów i kawiarni, trzeba iść do kolei podziemnej, która jest ósmym cudem świata. Linii ma 10, a pasażerów dziennie około pół miliona. Zwłaszcza w południe, podczas przerwy obiadowej natłok w metrze jest kolosalny, bo każdy z nich pracujący w centrum, chce zjeść *déjeuner* w domu, i to o tej samej porze: 12.30. Francuzi nie znają barbarzyńskiej swobody w rozkładzie czasu: wszyscy jedzą śniadanie nie później niż o 13.30, a obiad nie później niż o 19.30. Teatry grają o 20.00 i kończą o 22.00. Po północy już tylko cudzoziemcy włóczą się po Paryżu. Bajeczki o życiu nocnym paryżan polegają na tym, że w okolicy Wielkich Bulwarów jest kilkanaście lokali otwartych w nocy i zwiedzanych pilnie przez turystów. Ale metro po północy nie chodzi, nie ma dorożek, autobusów ani taksówek, wystawy są zamknięte roletami, a paryżanie śpią, bo o godzinie 8 lub 9 rano muszą iść do pracy, która trwa osiem godzin dziennie. Rozkład godzin jest przegany wszędzie: kto przyjdzie do restauracji o godzinie trzeciej po południu, może się spotkać z tym, że skierują go do właściciela w przekonaniu, iż przybysz jest dostawcą, który chce mówić o interesach.

Wśród Francuzów wyraźnie można rozróżnić tych z północy i południa kraju. Pierwsi powściągliwi, w zachowaniu zbliżeni do Niemców, są ksenofobami, lubią zacisze domowe – to oni dostarczają Francji administratorów i oficerów. Drudzy, bruneci żwawo gestykułujący i niedbali, to kadra parlamentarzystów i dziennikarzy. Podobno wojsko pobrane na południu jest wyraźnie gorsze.

Żywot prywatnego uczonego

W tym czasie zapoznałem się w Krakowie z profesorem Janem Sleszyńskim. Pisał się przez „S” bez kreski – ta dziwna ortografia, odpowiadająca kresowej fonetyce, nie była jego jedyną oryginalnością. Stanisław Zaremba miał dla niego kult jako dla swojego nauczyciela i dlatego wprowadził tego emerytowanego profesora z Odessy do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sleszyński był urodzonym logikiem. Szatunowski, Kagan i inni rosyjscy badacze pryncypiów matematyki byli mu bliżsi niż twórcy matematyki zachodniej. Z rosyjską bezwzględnością tłumaczył, że produkcja, która nie jest zrozumiała bez reszty, jest bez wartości dla nauki. Powiedział mi raz: – Niestety i krzywdy ludzkie biorą się z tego, że ludzie nie mówią prawdy. Byłem na jego popularnym odczycie o liczbach niewymiernych. Rzeczywiście, wszystko tam powiedziano z niezwykłą jasnością. Dowody nie wprost uważał za objaw nieznamośności zasady odwracania. Z jego mieszkania na skraju miasta mógł widzieć ogrody i drzewa. Malował je i dziwił się, że sieć gałązek drzewnych, niby dowolnie splątana, wymaga od malarza przestrzegania reguł trudnych do sformułowania, a jednak bez nich rysunek nie da obrazu korony. Z moich pomysłów podobało mu się zagadnienie maszyny bez rozumowego kierowania, która daje po kolei cyfry rozwinięcia drugiego pierwiastka z dwóch (to jest $\sqrt{2}$) w nieograniczonej ilości, a więc wszystkie. Jego siwa patriarchalna broda, czułość na przyrodę, sokratyczna bezwzględność w rozumowaniu, wymowa kresowa – to wszystko, wraz z symplifikacją spraw ludzkich i bezkompromisowym ateizmem, czyniło z niego postać jedyną w swoim rodzaju. Rachunek prawdopodobieństwa uważał za nonsens. Nieznamomość świata ułatwiała mu argumentację: np. na pytanie, dlaczego bank w Monte Carlo niezawodnie prosperuje, odpowiedział, iż dlatego, że nie zna reguł gry w ruletkę. Dzisiaj widzę, że Sleszyński miał rację. Podczas dyskusji nad *numeru clausus** na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego zapytał

* (Łac.) Liczba zamknięta, ograniczona. W praktyce uczelni wyższych – określa liczbę miejsc dla studentów pochodzenia obcego, proporcjonalna do wielkości całej populacji mniejszościowej w państwie polskim. W rzeczywistości – ograniczenie to dotyczyło niemal wyłącznie studentów pochodzenia żydowskiego.

Czy, gdyby Chrystus zgodził się na ten wydział, a procent Żydów już był pełny, zostałby przyjęty? Lew Tolstoj musiał być do Sleszyńskiego podobny. W galerii racjonalistów portret to naprawdę charakterystyczny.

W roku 1913 ukazało się w „Biuletynie Akademii Umiejętności” kilka moich not o szeregach trygonometrycznych. Przedstawił je Zaremba. Był to matematyk dużej miary, specjalista w teorii potencjału, pod wpływem szkoły francuskiej. Życie francuskie, formy polityczne Republiki, francuską kuchnię i francuskie obyczaje cenił tak wysoko, mówił po francusku i pisał o tyle lepiej niż po polsku, że trzeba było się dziwić, dlaczego nie pozostał w przybranej ojczyźnie, lecz wrócił do prawdziwej.

Był niezmiernie wymagający i zdanie u niego egzaminu nauczycielskiego stanowiło niemałą sztukę. Niesłuchanie uparty i bezkompromisowy, z Natansonem wszczął zatarg, który trwał całe życie. Także Banachiewicz był jego przeciwnikiem. Toteż w czasie dyskusji ze mną, dotyczącej mojej noty o pojęciu granicy, proponował mi zawieszenie broni na tej podstawie, że jego argumenty nie wystarczają do obalenia mojej tezy, ale moje też nie wystarczają do wykazania, że on, Zaremba, jest w błędzie... Uważałem to za duży sukces.

Życie prywatnego uczonego, przeplatane tenisem i wiosłowaniem po Wiśle, byłoby nudne, gdyby nie historia powszechna. Turniej międzynarodowy, pierwszy tenisowy turniej tego rodzaju w Krakowie, odbył się w roku 1913. Byłem na nim sędzią głównym. Jednakże już następny turniej – na wiosnę 1914 roku – doznał przerwy: oficerom zakazano grać z powodu zamordowania arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este w Sarajewie. W Jasle jednak mój brat stryjeczny zorganizował turniej lokalny, a ponieważ młodzieniec ten miał 17 lat, uważał, że historia nie odważy się przeszkadzać takiej ważnej imprezie. Mój stryj, jego ojciec, twierdził, że wojna jest konieczna. Tak było, bo giełda czuła wojnę w powietrzu. Stryj był pewien austriackiego zwycięstwa i przepowiadał raj po wojnie. – Tak jest – odpowiadał mu Ojciec – będzie raj, bo będziemy chodzili nago!

I stało się! Ultimatum austro-węgierskie (dualizm znaczy tutaj więcej niż dwugłowość orla cesarskiego i królewskiego, bo magnaci węgierscy parli do wojny przeciw Serbii, która była ich konkurentem w dostarczaniu Austrii wieprzów) o wyzywającej formie i treści, poparcie Berlina, który odrzucił mediację angielską, i wypowiedzenie wojny Serbii – oto zdarzenia następujące błyskawicznie po sobie... Ludom c. i k. Monarchii ogłosiły wojnę słowa cesarskie: – *Ich habe diesen Krieg nicht gewollt*. Ilustracją do nich były żółte plakaty mobilizacyjne. Pierwszego sierpnia 1914 wojna niemiecko-rosyjska stała się faktem. W obronie Rosji wystąpił natychmiast jej francuski sojusznik, a wojna angielsko-niemiecka i rosyjsko-austriacka wybuchła jeszcze w tym samym tygodniu: umowy i alianse funk-

cjonowały! Pożar świata dał się widzieć i z naszego okna w rynku. Nawet przekupki gromadziły się, zamiast siedzieć przy straganach, i starały się zrozumieć zdarzenia nie mieszczące się w ramach doświadczeń całego życia. Na ławeczce przed apteką „Pod Gwiazdą” zasiadali starsi panowie i omawiali zagadkową sytuację: palącym pytaniem była sprawa polska. Naczelny Komitet Narodowy (NKN) wydał odezwę, w której była przestroga: „Nie wygra, kto końca gry ostrożnie wyczekuje”. Łatwo było Komitetowi namawiać do wstąpienia do legionów Piłsudskiego – tu patriotyzm nie narażał polityków na więzienie i sąd wojenny, gdy stali przy boku „szlachetnego monarchy”. Ten szlachetny monarcha, ten sam, który w głębi serca radował się ze śmierci zniechęconego Ferdynanda, on który nie oszczędził zwłokom zamordowanej żony Ferdynanda poniżeń, jakimi dysponował ceremoniał pogrzebowy, miał zostać królem polskim, a najśmielszym marzeniem Naczelnego Komitetu Narodowego była trialistyczna austro-węgiersko-polska monarchia.

Ciosy nie dały na siebie czekać. Lwów znalazł się w obrębie frontu. Wycofano stamtąd tzw. Legion Wschodni, który znalazł się w Jaśle wraz z tysiącami uchodźców. Napelniali oni ulice miasta lwowskim akcentem i humorem – było lato i wojna jeszcze wydawała się wycieczką. Na wagonach żołnierze pisali *Schnellzug nach Petersburg*. Różne komitety znosiły na dworzec sterty kanapek i ciastek, częstowały herbatą i kawą, a pociągi szły i szły na wschód i na północ, nosiąc w wagonach bydłęcych po 40 wojaków zaprzysiężonych dziwnemu tworowi o skrzydłach orla i dwóch ukośnionych orlich dziobach, który to twór kazał im być wiernymi monarchom i następcom „z jego dostojnej krwi” i „tak w ogóle żyć i umierać, jak to dzielnemu żołnierzowi przystało”. Zjechał i hrabia Skarbek, polityczny opiekun Legionu Wschodniego; należał do obozu „Podolaków”, którzy wraz z narodową demokracją chcieli powstrzymać Polskę od angażowania się po stronie mocarstw centralnych. Przewidywali ich klęskę, ale Polska znalazła się w takiej sytuacji, że nie było wystarczające rozumowanie oparte na zasadzie *exclusi tertii** – „albo wygrają Niemcy, albo Rosja”. Skarbek zamieszkał u mojego stryja Ignacego, swego politycznego przeciwnika. Działal tak, by Legion się rozwiązał, co też się stało. Część poszła do formacji Piłsudskiego, do Krakowa; tej akcji patronował NKN i wszyscy niemal politycy polscy w Wiedniu. Ale sama osoba Piłsudskiego nie budziła w nich niepodzielnego zachwyty. Któż to był właściwie? Nie było go w żadnym schematyzmie urzędowym, nie był oficerem rezerwy, nie miał określonego zawodu, nikt nie znał jego rodziny, nie słyszał o nim żaden galicyjski hrabia, a dziennikarskie kartoteki mało o nim mówiły.

* (Łac.) Wyłączenia trzeciej możliwości.

Do odczucia obawy, że kupuje się kartę na oślepienie, przyłączyło się już wyraźne zjawisko austriackiej klęski. Auffenberg pod Lwowem i Dankl pod Kraśnikiem przekonali się, że artyleria rosyjska strzela prawdziwymi granatami, że brudno-brązowe płaszcze rosyjskiej piechoty są praktyczniejsze w polu od czerwonych portek austriackich ułanów, i że kawaleria, szarżująca na rowy strzeleckie, może wprawdzie zginąć „jak dzielny żołnierzom przystało” (co wypróbowała pod Satanowem), ale ma małe szanse dojechania do pierwszych drutów kolczastych. Gdy żniwa się skończyły, zaczęły się pojawiać jaskółki klęski. Landszturmista niemiecki z korpusu Woyrscha, odrzuconego na Rzeszów, głośno zapewniał na rynku każdego, kto chciał słuchać, że wszystko jest skończone, i że on wraca *nach Kattowitz*. Potem nastąpiła cisza, a potem sznur aut z wysokimi oficerami przejechał w kierunku zachodnim, eskortowany przez żandarmerię – była to główna komenda, która uciekała do Nowego Sącza. U nas zakwaterował się major z adiutantem. Mieli oddział karabinów maszynowych i piechoty dla osłony tej komendy. Poradzili nam, żebyśmy wyjechali. Dali nam nawet konie, żebyśmy mogli przewieźć rzeczy na dworzec. Wzięliśmy tych rzeczy niewiele; meble, dywany, większa część ubrań i różne przedmioty gospodarskie, jak uprząż, strzelby, naczynia, pościel itd. – to wszystko zostało. Ojciec wziął księgi Towarzystwa Kredytowego, sepecik z wódkami, spirytusem, wodą kolońską, kawał salami i sera szwajcarskiego, ulokował się z nami w trzeciej klasie i pojechaliśmy przez Sącz do Brzeszowa na Węgry. Siedzieliśmy tam niedługo i przenieśliśmy się do Budapesztu, gdzie Ojciec miał krewnych, i gdzie schronił się też mój dziadek tamowski z córką. Zaziębł się po drodze i umarł wkrótce – miał 81 lat. Przenieśliśmy się następnie do Wiednia. Ojciec wynajął pokój na Wipplingerstrasse 12 i tam prowadził dalej Towarzystwo Kredytowe, wypłacając klientom drobne sumy na poczet ich wkładek. Mieszkanie wybraliśmy naprzód na Währinger Cottage. W tym samym domu mieszkał dr Fröschels, uczeń Freuda, który uczył niemych mówić.

Smutna to była jesień; chodziłem z siostrami do niedalekiego parku w Schönbrunn, do tego przytułku wyniosłej melancholii, do tego mauzoleum, gdzie chwał się monarcha strupieszalał jak jego państwo, sam bliski śmierci, a jednak mający jeszcze siłę wysyłania innych na śmierć. Ta groźba odnosiła się i do mnie. Pojechałem do Krakowa i zamieszkałem u Bolka R., żandarma Legionów – radził mi iść do tej formacji, ale jakoś nie była mi w smak ta godność. Poszedłem do biura werbunkowego Legionów, a tam przydzielono mnie do Departamentu Wojskowego NKN. Ale wkrótce Kraków znalazł się blisko frontu, a raczej front blisko Krakowa. Departament, na którego czele stał Władysław Sikorski, pojechał do Wiednia, a ja z nim. Moja rodzina mieszkała wtedy już na Währingerstrasse 33 – tamże mieszkał też prezes NKN, Władysław L. Jaworski. Był to profesor prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, ostatnio szef konserwa-

tywnej frakcji w Kołie Polskim, ogólnie uznany na gruncie wiedeńskim za najmądrszego polskiego polityka. Przydzielono mnie do biura prezydialnego NKN jako tłumacza języków obcych. Szefem biura był hrabia Władysław Michałowski. Jaworski był w polityce wyznawcą Machiavellego. Uważał ludzi za głupców lub nieuczciwych i sądził, że prawdziwa polityka polega na wyzyskaniu defektów ludzkich do swoich celów. Jego własne, osobiste cele nie były wcale egoistyczne. Był z pewnością patriotą i to uczucie było u niego nawet silniejsze od doktryny konserwatywnej. Nie był ciasny i doskonale rozumiał, że tacy ludzie jak Piłsudski przemawiają do wyobraźni i do serc silniej niż najbardziej kute mądrale z Koła Polskiego. Sam był jednak racjonalistą, chociaż w swoich pismach powoływał się na nadprzyrodzone siły. Przypuszczam, że był dostatecznie inteligentny, żeby wiedzieć, iż w Polsce racjonalizm jest niepopularny, i że mędrcę całą prawdę mówi tylko Bobrzyńskiemu lub Wojciechowi Dzieduszyckiemu... ale już nie Abrahamowiczowi ani Hupce. To była szachownica, po której przesuwały się figury jego świata. Mówił głosem chrapliwym, bo miał w gardle srebrną rurkę. Codziennie jechał autem z Währungerstrasse 33 na Neutorgasse 9, gdzie mieścił się NKN. Przychodzili tam różni ludzie. Politycy z Koła Polskiego, aferzyści, dziennikarze, legioniści szukający wsparcia, galicyjscy wszędobylscy, filantropijne panie, półpolscy półarystokraci, ale przede wszystkim ci, którzy chcieli uniknąć załadowania w wagony bydłce i wysłania na front. Widziałem raz nawet Piłsudskiego kilka razy Sławka. Ale oni nie uważali NKN za instytucję, którą należy brać serio. Wiedzieli dobrze, że Polski nie można wypolitykować od Austrii, której samej byt był zagrożony nie tylko przez wschodniego wroga, ale i przez północnego przyjaciela.

Nastroj na Neutorgasse nie był wesoły. Społeczeństwo w Królestwie większości, a w Galicji co najmniej w połowie, było zorientowane przeciw mocarstwu centralnym. Zwłaszcza brutalne wystąpienie Niemców w Kaliszu odepchnęło Polaków, a naoczny widok cofającej się w Galicji armii austriackiej zrobił także swoje. Wiedeńczycy znowu widzieli w uchodźcach galicyjskich groźbę dla swojej białej kawy i bułeczek, a ci dyplomaci, którzy – jak mówi Karol Kraus: „wieczorami okłamują dziennikarzy, rano wierzą w te kłamstwa, gdy je zobaczą w druku” – uważali Słowian z nieszczęście Austrii, jak gdyby Wiedeń był samowystarczalny bez Czechów, Polaków i Kroatów. Od nich wyszedł głupawy dowcip, że „wojna Rosją toczy się o Galicję, a kto przegra, będzie musiał ją sobie zabrać”. Komendy wojskowe w Wiedniu zwróciły uwagę na dużą liczbę młodych ludzi w biurach NKN, a ponieważ Daszyński zrobił Jaworskiemu zarzut, z tego samego powodu, wszyscy współpracownicy wnieśli prośbę o wysłanie na front. Naturalnie Jaworski, któremu ta prośba była potrzebna jak atut, odmówił. Atmosfera stała się przykra i kilku biuralistów postanowiło indywidualnie przenieść się do liniowych formacji legionowych.

Nie można też powiedzieć, że pensjonat „Atlanta” pana Brandta był wesoły. Grali tam w bridge’a starsi panowie Jaworski, Hupka, mój stryj, mieszkała pani Askenazowa z córkami, konsul amerykański (jedyne, którego wzruszył mój odjazd – nie mówię o rodzinie). Bywał młody medyk Gröber, którego narzeczoną (Irlandka) też mieszkała w „Atlancie”. Niejał pan Maliniak z Warszawy był jedynym wesołym lokatorem starszego pokolenia. Był Ciągiewicz, filolog z Krakowa, znany z przekładów Arystofanesa; grał ze mną w szachy i irytował się, gdy przegrywał (co się rzadko zdarzało). Na obiady przychodził także fizyk Hevesy (późniejszy odkrywcza pierwiastka *daphnium*), a także sekretarz albańskiego ministerstwa poczt, który przed wojną przyjechał do Wiednia, by zamówić znaczki pocztowe w drukarni państwowej, i już tam pozostał. Dowiedziałem się od niego, że w Tiranie, stolicy albańskiej, była tylko jedna skrzynka pocztowa... Pan Wołyński, urzędnik rosyjskiego ministerstwa rolnictwa, inżynier, zaimponował mi swoją wiedzą teoretyczną.

Z tego towarzystwa duża część, mianowicie obywatele wrogich państw, musieli zgłaszać się co tydzień na policji, ale poza tym nie mieli żadnych poważniejszych przykrości.

Siostry Irena i Olga odprowadziły mnie autem na dworzec i pojechałem w ubraniu cywilnym do Piotrkowa. Tam siedziałem jakieś dziesięć dni, korzystając z tego, że Jeżów był obłożony kwarantanną z powodu tyfusu. Przedzierzgałem się tam w artylerzystę i przypasałem ciężką szablę o specjalnym kroju, zapewne pochodzącą z teatralnego lamusa. Chodziłem do cukierni i tam spotkałem się z moim bratem stryjczym Władkiem. Miał specjalną misję: Rosjanie pozostawili w Piotrkowie rotmistrza żandarmerii i zapewne polecili mu, dla szpiegostwa, wstąpić do Legionów. Zgłosił się więc i został oddany pod nadzór, a Władek miał obowiązek towarzyszenia mu wszędzie. Rotmistrz był typowym rosyjskim żandarmem, byłym oficerem; miał doskonałe buty z cholewami i rajtuzy, a na legionowe wojsko patrzył z politowaniem. Wojsko ochotnicze, nieliczne, o dużym procencie wyrostków w wieku niemal dzieciennym, bez fachowych podoficerów, bez kasarnianej tresury, musiało się carskiemu rotmistrzowi wydawać czymś operetkowym. Piotrkowscy rejenci, adwokaci i większość miejscowego mieszczaństwa nie inaczej spoglądała na tę imprezę. Była jednak wśród piotrkowian partia, która posłała swoich synów do tego nieprzygodnego wojska, a jedną armatę w nowej baterii obsadzono samymi piotrkowiakami. Kadra pierwszego pułku artylerii Legionów Polskich stała w Jeżowie – tam przywędrowałem i stanąłem do raportu przed majorem Jełowickim. O tym oficerze opowiadano, że organizował powstanie w Galicji na rzecz księcia Wieda i wiele innych rzeczy. Miał biały mundur z srebrnymi guzikami i jeździł z adiutantem dywizjonu, chorążym Beckiem (późniejszym ministrem spraw zagranicznych) w asystencji lekarza dywiz-

jonowego, trębacza i konnych, do tego jeszcze prowadzących luzaki. Komendantem formującej się baterii był Jan Maciej Bold, później inspektor artylerii. Oficerami byli: chorąży Mazurkiewicz, chorąży Gumiński, późniejszy wojewoda krakowski, i artysta malarz Sichulski, który chciał koniecznie kupić ode mnie moją teatralną szablę, ale mu nie sprzedałem. Ten cały sztab siedział przeważnie w Rozprzy, we dworze państwa Zakrzewskich. (W tejże Rozprzy stała kadra VI pułku piechoty, w którym służył mój brat, Władek). Nie można twierdzić, że nasi oficerowie znali się na rzemiośle artyleryjskim – wyjątkiem był młody podporucznik Frank, który przyszedł z austriackiego wojska, gdzie posiadał znajomość jazdy konnej; to on prowadził rajszulę. Ale koni było mało i rzadko dochodziło się do tej przyjemności. Austriacy przysłali nam swego lejtnanta Burę, jako instruktora fachowego. Był to poprawny wychowanek szkoły kadeckiej, zawodowy oficer, patrzący z lekceważeniem na dyletantów legionowych. Mieliliśmy też podoficera austriackiego nazwiskiem Cejnar, rodem Czecha i tak zwanych konnowodnych, Węgrów, biegłych w sztuce powożenia z siodła szóstką ciągnącą armatę.

Życie w kadrze było oczywiście dosyć monotonne. Spało się w wielkim stodole. Miejsce obok mnie miał Zygmunt Janiszewski, który już wtedy miał tytuł doktora Sorbony. Jego teza *Sur les continus irréductibles* zwróciła uwagę na siebie Henryka Poincaré, którego słusznie miano za największego matematyka w pierwszej dekadzie XX wieku; Janiszewski poświęcił teżę Markowi Sangnier, przywódcy francuskich socjalistów chrześcijańskich. Niestety nie był długo ze mną: kiedy Niemcy wzięli Warszawę, został odkomenderowany do komendy placu tamże. Później po kilku latach, opowiadał mi, że niemieckim szoferem wojskowym, który go wioził z dworca warszawskiego do komendy, był Max Dehn, wybitny geometra. Wyobrażałem sobie, jak obydwaj się ucieszyli, i dziwię się, że auto bez wypadku dojechało na miejsce.

Wyżywienie w kadrze było znakomite: ryż, ser szwajcarski, czekolada, wino hojnie rozdawano pomiędzy żołnierzy. Wśród nich było немало zwanych inteligentów: medyk Studencki, najweselszy w baterii, Słobódzki (jako Kozar-Słobódzki znany później autor piosenek)*, chemik Zwisłoc (ożenił się później z córką prezydenta Mościckiego), Zięborak, którego spotkałem parę lat później w roli asystenta chemii uniwersytetu lwowskiego i młody Sarnecki spod Piotrkowa. Ludności okolicznej nie powodziło się tak jak wojsku. Był głód – dziewczęta z pobliskich wsi przychodziły do lasku sąsiadującego z kadrą, w którym niby szukały grzybów, licząc, że żołnierzy zaopatrzonych w chleb, czekoladę i konserwy. Młodzieńcy mieszkający w Warszawie nie garnęli się do Legionów, ale zdarzali się także tacy, co szukali nas szczęścia. Był np. chłopak z miasteczka, piękny niebieskooki blondyn.

* M.in. znanej *Rozkwitały paki białych róż*.

Był, więc często musiał siedzieć w pace. Była to komórka na podwórku jednego z domów chłopskich, której rozwalenie byłoby łatwe dla naszego arszczeni, gdyby nie wartownik stojący w dzień i w nocy. Ta służba przypadła mi także i mnie, a że obejmowała godziny południowe, musiałem chłopaka wyprowadzić na pół godziny spaceru. Szedł na mój rozkaz przede mną, a ja byłem mu wdzięczny za to, że mi nie wyrwał karabinu i nie uciekł... Widać było, że jest posłuszny tylko ze względu na uczucia koleżeńskie.

Po paru miesiącach przyjechały armaty. Było ich cztery, dziewięciocentymetrowe, wiercone w brązie według starej recepty austriackiego generała Uchatiusa. Lufy nie cofały się, bo były trwale złączone z lawetą, więc po każdym strzale armata podskakiwała i trzeba było celować na nowo. Ostrzeżenia w ostrym strzelaniu były poprzedzone dwudziestokilkukilometrową *promenade militaire*. W moim jaszczyku był przedział na worki z prochem, na szrapnele, na granaty i jeden wolny, gdzie umieściłem pudełko metalowe z zapalnikami. Po ukończeniu promenady otworzyłem jaszczek i zobaczyłem, że zapalniki wstrząsane długą jazdą otworzyły pudełko i wszystkie eksplodowały. Gdyby choć jeden worek z prochem leżał w tej samej przegródce, baterię by diabli wzięli. To wszystko było skutkiem dokładnego przeszkolenia, ale strzelanie poszło dobrze.

Wkrótce przyszło jechać. Dostaliśmy cały pociąg: armaty na lorach, kołach ciężarowych, a my w osobowych wagonach. Czuliśmy się doskonale; Piotrkowa do Kowla jechaliśmy pięć dni. Mieliliśmy co jeść, woda gorąca, komotywy służyły do herbaty i do golenia; we wrześniu 1915 nie było jeszcze zimno. W Kowlu zajęliśmy willę jakiegoś generała rosyjskiego; były tam mapy miasta Port-Artur i Mandżurii, książki zdołano wcześniej spalić w piecach. Poza tym willę wyrabowano już wcześniej. Zaznałem się ze stolarzem żydowskim mieszkającym niedaleko i tam chodziłem myć się, golić się i gotować czekoladę, co było łatwe, bo w gorącej wodzie rozpuszczało się laskę „Sucharda”.

Port-Artur było porządnie spustoszone. Bateria stała na łące; obok mieszkała Polka, pani Dąbrowska. Cały dzień smażyła sznycle, które kupowała u niej masowo – nierazko zjadałem cztery między śniadaniem a obiadem. Na ulicach widniały trójjęzyczne napisy nakazujące ludności rosyjskiej „panam oficerom ustępować z drogi i se poklaniać...” – ten napis uważano za polski.

Wkrótce jechaliśmy dalej. W Maniewiczach zobaczyliśmy wywiadownię rosyjską. Stojąc w lasku przy drodze patrzyłem na pułk niemieckiej piechoty, maszerującej ciężko po piaszczystej drodze. Nic ich nie przerażało. Poznałem, że był to 82. pułk, stale stacjonowany w Getynie. Wskazywałem. *Weenderstrasse ist schöner!* ... Wtedy wszyscy popatrzyli na mnie z prawą, jak gdybym był generałem odbierającym defiladę – wi-

dać było, że to dla nich niepojęte zdarzenie. Poszliśmy dalej i znaleźliśmy się w nocy w lesie. Noc była piękna, niebo gwiaździste; za nami podniosła się luna i po kilku godzinach marszu nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Oficerowie pytali mnie, w jakim kierunku idziemy. Wiedzieli, że mam broń i patrzę na nią. Luna była podejrzana. Wystali plutonowego Fyde i drugiego podoficera... niechętnie pojechali naprzód. Staliśmy na polanie czekając, aż wrócą. Zamiast nich wyłoniły się z czarnej ściany leśnej dwa kasobluszczące pięknie w księżycowym świetle. Byli to dwaj żołnierze niemieccy. Zobaczywszy nas, zapytali: *Wo geht man hier nach Homburg vor der Höhe?** Mieli urlop i chcieli się najprędzej dostać do ojczystego Homburga... Wyjaśnili nam, że luna pochodzi z pożaru, który fizylierzy niemieccy przypadkiem wzniecili na wsi. Na wojnie wiele wsi gorzej od przypadków – żołnierzom nie chce się gasić ognisk rozpalonych pod kuchniami.

Przenocowaliśmy w lesie; obudziłem się rano z nogą zupełnie sztywną od mroźnej ziemi, pomimo podestanego koca. Rano wjechaliśmy w stronę wojny – poznać ją było po bezustannym grzmocie i po zupełnej pustce. Właściwie nie jechaliśmy, lecz szliśmy swobodnie, bo jechać nie było widać, no obok dział obsadzonych konnowodnymi. Droga, zagłębiona między wzgórzami, w pewnym miejscu odsłoniła się... Zobaczyłem nagle, że bateria zaczęła kłusować... Biegłem za nią w moich ciężkich butach, aż obok mnie, na piasku, wykwitł czarny krzak dymu. Usłyszałem gwizd i huk. Biegłem coraz szybciej, ale bateria oddalała się. To ja jeden wziąłem serio zakaz i nie wsiadłem na dział. Jeszcze parę granatów weszło w piasek i wreszcie bateria znalazła się poza tym talerzem, na którym widziałem rosyjski obserwator. Zajechaliśmy na pozycję. Wieś nazywała się Bolszoj Miedwieże, czyli Niedźwiedzie Większe; tam strzelaliśmy pierwszy raz. Przed nami stał major Ryłski z szóstego pułku piechoty, z nim mój brat stryjeczny Władek jako „meldunkowy jeździec” i oficerowie ufający w ewakuację naszych dział. Było ciemnowo. Zapomniałem wziąć latarkę biegnąc za baterią, i włożyłem do lufy szrapnel taki, jaki leżał w jaszczyku, więc temperowany na bliski dystans. Po pierwszym strzale całe towarzystwo sztabowe rozpięchło się: słychać było świst szrapnelowych kulek i brzęk pękającego w powietrzu czerepu. To było moje dzieło: mój szrapnel był „V”, to znaczy *vortempiert* w języku austriackiej artylerii... Zaczęło się popłoch. Chorąży Mazurkiewicz krzyknął: – Wymacali nas!, ale my koledzy spostrzegli, że szrapnel był własny, nie rosyjski. Zameldowałem o tym chorążemu, wsiadł ma mnie: – milczeć! Zrozumiałem: nie chciałem wobec oficerów piechoty i reszty towarzystwa sztabowego kompromitować baterii. Wobec tego zmieniliśmy pozycję jako niebezpieczną. Takie zdarzenia, niezgodnych z oficjalną historią naszej baterii, było więcej. Był przystanek kolejowy, w którym siedzieli Rosjanie; mapa była błędna

* (Niem.) Jak się stąd dostać do Homburga vor der Höhe?

...zając według niej trafiliśmy w jakąś budkę, koło której rozłożyli się austriaccy dragoni. Zagrzani naszymi pociskami, chcąc nie chcąc poszli naprzód i zdobyli przystanek. Za parę dni zajęliśmy nową pozycję, Podmiedwieże. Stamtąd strzelaliśmy na wieżę kościelną, z której obserwator rosyjski kierował owym plutonem lekkich dział, którego komendant się nami specjalnie zajmował. Już przy naszym zajeżdżaniu na pozycję był w nami obok nas stał oddział piechoty legionowej, który w ogniu wykonywał zwroty na komendę jak ma mustrze – śmiali się z nas, że chowaliśmy granaty za tarcze dział, gdy pękały szrapnele. Przy tej akcji stał za nami major Ryłski, jego adiutantka przebrana za adiutanta, oraz żandarm legionowy, Leon Zielony (którego siostrzenicę poślubiłem dwa lata później)*. Naturalnie, po jednej i drugiej salwie, *kozackoje orudie*** dobrało się do nas. Jaszczyki i konie stały bezpiecznie przeszło sto metrów dalej. Granat uderzył o kilkadziesiąt metrów od nas; konie podjechały, ale kiedy miały rzucić lawetę na czop jaszczyka, uderzył granat tuż koło koni, na jaszczyku w piasek, tak że eksplozja poszła z lejka w górę, nie w boki. Konie ruszyły i moja armata została na pozycji! Obejrzałem się: byliśmy sami. Sztab odjechał, adiutantka spazmowała, a my, to jest dział nr 4, nadal podległe, odeszliśmy w dół, ku baterii. Musiałem z pięcioma chłopcami iść jeszcze raz po dział, w górę. Zajechał z jaszczykiem porucznik Maciejowski. Moskale mieli wstrzelany punkt i tylko czekali na tę scenę... Ale tym razem zarzuciliśmy lawetę w mig i ruszyliśmy, a gdy pocisk uderzył w krytyczne miejsce, już byliśmy kilkadziesiąt kroków niżej. Wróciliśmy jeszcze zbierać pudełka z granatami i przyrządy celownicze. Przy tej okazji podjechał brygadier Grzesicki. Urządziłem sobie złośliwą przytyczkę: wbrew etykietce bitewnej zasalutowałem formalnie i zameldowałem, że wszystko jest zabrane. Na pozycji została tylko książka przysła mi przez Matkę: Romain Rollanda *Jean Christophe* – nigdy jej nie przeczytałem do końca. Była 10 rano; zasnęliśmy w dolinie na trawie – na chwilę. Kiedy się obudziłem, słońce zachodziło.

...innym razem pozycja była za wąska na trzy działa i moje zostało bezczynne w lesie. Poszedłem na pozycję, ale wkrótce odesłano mnie z podporządkiem z jakimś rozkazem, konno. Nic nie myśląc jadę sobie przez pustą dolinę, aż tu coś chwytą mnie pod gardło – przechyliłem głowę wstecz i drut telefonu polowego zerwał mi czapkę z głowy, zanim zrozumiałem, co się stało. Przyjechawszy pod lasek zastaję tam oficera legionowego. Jego koń

* „Zielony” – to legionowy pseudonim Leona Grünwalda, wuja Stefani Szmołki, od sierpnia 1917 roku Hugonowej-Steinhausowej. L.Z. słynął z wielu talentów towarzyskich, był doskonałym brydżystą oraz znanym szeroko specjalistą od „spraw honorowych” (pojedyneków).

** (Ros.) Dział kozackie.

stoi obok, a on zaczyna ze mną rozmowę po niemiecku i wypytuje o sytuację. Wiedział więcej niż ja, wiedział, że idzie na nas atak, i że rezerwa korpusu idzie nam na pomoc. Nigdy nie dowiedziałem się, kto to był. Mówiono, że to Anglik, książę Sutherland, służący na ochotnika w Legionach; zdaje mi się, że to był rosyjski szpieg. Później nastąpił odwrót, podczas którego nasza bateria bardzo skutecznie ostrzeliwała groble pod Wołczkiem. Odwrót trwał całą noc, a po drodze można było zbierać koce, plecaki, manierki, płaszcze, co kto chciał, całymi setkami – to cofająca się wcześniej piechota rozsiewała to wszystko. Dopiero rano stanęliśmy. Tejże nocy bateria skrzyżowała się z kolumną austriacką, której generał przeklinał głośno naszą baterię. Później porucznik Bold robił nam wymówki, że go nie skłębiliśmy po naszymu. – Było ciemno i nic by nie mógł nam zrobić – żałował.

Raz bateria odpoczywała na polanie, pod lasem; było ciepło i cicho. Komendant porucił mi służbę nocną; wiedział, że nie usnę. Niedaleko była stodoła, w której Austriacy umieścili patrol; było ich kilku, dragoni i konie – nie podlegali nam. Raczej podlegała mi pachnąca, letnia noc i słowiki, które starały się śpiewać jak najpiękniej. Ta przyjemność trwała do rana – komendant był zadowolony. Mniej zadowoleni byli Austriacy, którzy doskonale spali, ale musieli stwierdzić brak trzech koni: to kozacy gwizdali, aby utrzymać łączność i wziąć ich konie w nocy.

Dojechaliśmy w końcu znowu do Kowla i tam mieliśmy parę tygodni wypoczynku. Po paru dniach komendant zawiadomił mnie, że w szpitalu leży mój brat stryjeczny Wladek, śmiertelnie ranny. Pod Kukłami, jadąc z meldunkiem, dostał dwie kulki szrapnelowe – jedna przebiła płuco, druga uszkodziła kręgosłup. Przyjechał stryj Ignacy i zastał syna jeszcze przy życiu. Stryj uzyskał dla mnie urlop i razem wróciliśmy do Krakowa, gdzie odbył się pogrzeb*. Między innymi miał żałobną mowę pan Srokowski, redaktor demokratycznej „Nowej Reformy” – nasza rodzina uznała tę mowę za obraźliwą. Wladek pozostawił po sobie *Pamiętniki legionisty*. Z komentarzy wydawców dowiedziałem się, że miał zostać chorążym. Niemcy uczcili Go Krzyżem Żelaznym. Gdy w Kowlu majaczył w szpitalu, słyszałem jego słowa: Tu nie jest miejsce oficera! Moje miejsce jest na froncie! Po wojnie nadano Jego imię jednej z ulic lwowskich.

Nie wróciłem do wojska. Nic by nie wyszło z różnych reklamacji, mimo poparcia starosty, gdyby nie Matka, która udała się bez niczyjej wiedzy o protekcji do referenta w Ministerstwie Obrony Krajowej w Wiedniu. Sama była zdziwiona, gdy oficer po wysłuchaniu jej prośby rozstrzygnął sprawę słowem: *enthoben***.

* Władysław Steinhaus zmarł 31 września 1915 roku.

** (Niem.) Zwolniony.

Matka: Ojciec wrócił z Wiednia w roku 1916 po przełamaniu „linii Gorlice” przez Austriaków dzięki pomocy Niemców pod komendą Mackensena. Kobiety – Matka i dwie moje siostry – zostały w Wiedniu. Zostałem też moich przyjaciół: Janka Adamskiego i Ludwika Oberländera. Wojsko rosyjskie pozostawiło dużo konserw, a zakazany biały chleb i różne smakołyki można było dostać w szynku. Czasy były takie, że spacerując wieczorem w lecie po rynku jasielskim słyszeliśmy detonacje ciężkich dział pod Podhajcami: to artyleria japońska po stronie rosyjskiej atakowała piechotę turecką walczącą po stronie austriackiej!

To *Farewell to arms* nie dało się przedłużyć w Jasle. Dzięki protekcji stryja przyjęto mnie do Centrali Odbudowy Kraju. Był to oddział namiestnictwa, który miał przeprowadzić najpotrzebniejszy remont gospodarstw rolnych, warsztatów rękodzielniczych i fabryk. W lipcu 1916 zamieszkałem w Krakowie, w pensjonacie przy ulicy Karmelickiej nr 9. Przydzielono mnie do sekcji technicznej Centrali Odbudowy – ta sekcja podlegała radcy Ingardenowi. Prócz urzędników Namiestnictwa przez dłużej N, czyli etatowych, poznałem kontraktowych, przeważnie inżynierów. Miałem sposobność poznać także znaczenie takich wyrazów jak: *exhibit*, przypomnienie urzędowe (czyli p.u.), mundować, kollacionować, *videat, reproducatur* – i wiele innych, składających się na esencję myśli biurokratycznej. Nie wiedziałem jednak, że to „ostatni, który tak poloneza wodzi”. Dwa lata później miała c. i k. Monarchia austriacko-węgierska zniknąć wraz z jej słownictwem. Byli tam koneserzy i miłośnicy tej sztuki, jak na przykład starosta Gaspary, esteta zielonego stolika, który na biurku miał całą kolekcję pieczętek i ołówków czarnych, czerwonych i niebieskich, idealnie wyostrzonych. Akt wygotowany według reguł sztuki przez starostę był tak piękny pod względem graficznym, że petent, któremu odmawiano udzielenia zapomogi, byłby wzruszony, gdyby wiedział, że praca stylistycznej, graficznej i kolorystycznej włożono w jego sprawę: w myśl okólnika c. k. Namiestnictwa z dnia 3 III 1916 I. COK 1947/16, gdyż powołany okólnik przewiduje udzielenie zapomóg tylko takim poszkodowanym, których warsztat pracy znajduje się w części kraju zajętej przez c. i k. wojska, a więc *a contrario* nie zezwala na udzielenie zapomogi tym obywatelom c. i k. Monarchii, którzy wprawdzie znajdują się na terenach uwolnionych kraju Galicji, lecz których stałe miejsce zamieszkania znajduje się w strefie okupowanej przez wojska rosyjskie... Petent z Bu-

czca z pewnością czuł się zaszczycony. Chociaż Kraków był wciąż formalnie twierdzą, można było chodzić wieczorami po plantach. Podczas takiego spaceru usłyszałem słowa „...miara bebesgue’a...” – podszedłem do ławki i przedstawiłem się dwóm młodym adeptom matematyki. Powiedzieli mi, że do ich kompanii należy jeszcze Witold Wilkosz, którego bardzo chwalili. Byli to Stefan Banach i Otto Ni-

Władysław Ślebodziński, Leon Chwistek, Jan Króó i Władysław Stożek postanowiliśmy założyć towarzystwo matematyczne. Jako inicjator dałem swój pokój na te zebrania. Ceratową tablicę przybiłem gwoździami do ściany. Gdy to zobaczyła Francuzka, właścicielka pensjonatu, przeraziła się: co powie właściciel kamienicy? Uspokoilem ją, że właściciel jest szwagrem mojego stryja, więc wybaczy mi uszkodzenie ściany. Omyliłem się: pan L...d zajął stanowisko kamienicznika, a cel, jakiemu miała służyć tablica, był mu obojętny. Towarzystwo rozwinęło się – było pierwszym tego rodzaju światelkiem w Polsce. Pan L. otrzymał po kilku latach order – zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, że największą jego zasługą nie były ściany, ale dziury w nich przeze mnie wybite wbrew jego woli...

W tym czasie odwiedził mnie Puzyna, profesor matematyki na lwowskim uniwersytecie. W marcu 1917 roku pojechałem do Lwowa na wykład habilitacyjny (zwany „inauguracyjnym”), a potem uzyskałem przeniesienie z Centrali krakowskiej do oddziału lwowskiego, to znaczy „Ekspozytury”. W lecie, 9 sierpnia 1917 roku odbył się w Krakowie mój ślub. Wyjechaliśmy na parę tygodni do Zakopanego. Chodziliśmy dużo po górach, które od czasu wojny były zupełnie samotne. Nocowaliśmy w szałasach, kąpaliśmy się w stawach górskich. Na jednej z wycieczek spotkaliśmy dwóch profesorów lwowskich, Tołłoczkę i Weyberga, którzy mi donieśli, że nadano mi *veniam legendi**. W jesieni przeniesliśmy się do Lwowa. Po nieważ matka mojego kuzyna Dyka przeniosła się ze Lwowa do Jasła na czas wojny, mogła nam swoje umeblowane mieszkanie przy ulicy Gołębiana nr 10 na Łyczakowie odstąpić na nieokreślony czas. Zaczęło się moje życie rozdwojone między nudnym, męczącym i bezcelowym wysiadywaniem w Ekspozyturze Odbudowy Kraju a funkcjami docenta i asystenta. Miałem kilku słuchaczy, którym wykladałem teorię całkowania Lebesgue’a, ale cała niemal młodzież była w wojsku. Na wiosnę, w marcu 1918, odbyła się masowa demonstracja przeciwko pokojowi brzeskiemu i za zakończenie wojny. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi maszerowało przez miasto. Mimo, że ulice miasta były puste, żaden złodziej z tego nie skorzystał. Byliśmy w pochódzie. Spotkałem się wtedy z Wacławem Sierpińskim, który wrócił z Syberii przez Szwecję.

Ekspozytura była ze mnie niezadowolona. Radca Rozwadowski napisał w sprawozdaniu o mnie, że „nic nie robi, zaślaniając się obowiązkami uniwersyteckimi”. Rzeczywiście tak było, ale z pewnością nie lekceważyłem moich czynności uniwersyteckich: profesor Julian Puzyna był chory i sam jeden byłem reprezentantem matematyki na uniwersytecie. Wojsko uwzględniło ten fakt i wkrótce nadeszła reklamacja z właściwego biura Ministerstwa Obrony Krajowej (było takie, różne od Ministerstwa Wojska), więc bez żalu zrezygnowałem z godności urzędnika.

* (Łac.) Prawo wykładania na uniwersytecie.

Wypadki toczyły się szybko. W kwietniu 1918 roku urodziła mi się córka – skoro tylko można było, wysłałem ją z żoną do Jasła, do teściów. Sam zostałem we Lwowie, rzeczy wszystkie dałem do przechowania i przeniosłem się do pensjonatu „Anuta” przy ulicy Kopernika. Jego właściciel p. Pieniążek, był stryjem jednego z moich kolegów bateryjnych. Tam zastał mnie koniec wojny światowej i w listopadzie nowa wojna polsko-ruska. Miasto przez jeden dzień było w bezsprzecznym posiadaniu Rusinów; strzelanina i rozbijanie ruskich patroli rozpoczęły się w części miasta położonej ku dworcowi – pierwszego żołnierza rozbili matematyk i legionista Felsztyn. Wkrótce ustaliła się linia dzieląca Lwów na część polską i ruską; granica biegła ulicą Ossolińskich i Słowackiego, przecinała Ogród Jezuicki. Pensjonat „Anuta” znajdował się po ruskiej stronie. Bezustannie terkotały karabiny maszynowe, a prócz tego Rusini mieli baterię polową na Wysokim Zamku. Miasto wymarło, sklepy miały zapuszczone szyby, bramy były zamknięte z rozkazu *gradonaczalnika* ruskiego, elektryczność miejska nie działała, a kule od rana do nocy spadały na blaszane dachy z potwornym grzechotem, przypominając w każdej sekundzie, że jest wojna, i to wojna natychmiast po wojnie!

W „Anucie” mieszkało niewiele osób; był między nimi kapitan J., który w tym czasie jako oficer rosyjski uczestniczył w wojnie przeciw Japonii w roku 1905. Teraz codziennie z narażeniem życia przechodził przez linię frontu, nie dla celów wojennych, ale dlatego, że po stronie polskiej mieszkała pani, którą musiał widywać. Kapitan J. opowiadał nam ciekawe rzeczy o Koreańczykach i ludziach dalekiej Azji. Był nafcciarz, hrabia Komorowski, który z panią Linhardtową, siostrą Tadeusza Rittnera i gospodarzem grali codziennie w karty. Był także pan Decykiewicz, wysoki urzędnik austriacki, Rusin z typu ugodowców, człowiek bardzo inteligentny i aktywny – czytywał w oryginale Anatola France’a i codziennie chodził do Ministerstwa, gdzie otrzymał wysokie stanowisko w cywilnym ruskim urzędzie. Skarżył się nam, że różni „atamanowie” – tak ich nazywał – z tej ruskiej strony Lwowa są zupełnie nieczuli na głos zdrowego rozsądku, i że bezsensowna wojna zniszczy do reszty kraj już i tak zniszczony. Jego zdaniem, gdyby nie Żydzi, cała Galicja nie byłaby warta złamanego szelaga...

Ta sytuacja nie wróżyła mi nic dobrego i po trzech tygodniach postanowiłem jechać do Jasła. Dzięki panu Decykiewiczowi uzyskałem przepustkę i jechałem jako pieczętką i porozumiałem się ze znanym aktorem Dante Janowskim, który z żoną i dzieckiem też chciał jechać na zachód. Skończyła się z dnia zawieszenia broni i około 21 listopada ruszyliśmy chłopcy raczej żydowską furą do Żółkwi. Na stacji kolejowej w Żółkwi spotkaliśmy kupę żołnierzy i kilku oficerów czekających na odjazd pociągu. Oficerowie chcieli zaprowadzić jakiś ład, ale żołnierze patrzyli na nich

spode łba. Było *vacuum** polityczne: ani Austrii, ani Polski, ani Ukrainy. Ale ta ostatnia już zaczynała się formować. Nasz bałagula, który wziął pieniądze z góry, oświadczył nagle, że nie pojedzie dalej. Moi współpasażerowie odwołali się do ruskiego milicjanta, który zniżył „gwer” do ataku na bałagula. Ten chwycił bagnet ręką i bez objawów wzruszenia dyktował z Hryciem**; w końcu zgodził się jechać. Po drodze zatrzymała nas placówka ruska. Obskoczyli nas znienacka; zaczęli od wywijania bagnetami *à la Rinaldo-Rinaldini****, zabrali termos, jako przedmiot wojskowy i zbadali, czy na przepustce widnieje „kit” (czyli kot, czyli lew) puścili nas w drogę. Dotarliśmy do Rawy Ruskiej, gdzie sklepy były zamknięte, a ulice puste. Nocowaliśmy w Jaryczowie. W tym miasteczku mieszkali sami Żydzi. Razem z piątą wszystcy byli w bożnicy – trudno było zgadnąć, co oprócz tego miało przez cały dzień do roboty. W końcu dojechaliśmy do mostu na Sanie pod Jarosławiem. Tam spotkaliśmy polską placówkę. Od Jarosławia jechaliśmy pociągami. W Rzeszowie na dworcu bezustannie słyszeliśmy strzały karabinów: nowe: to rozmaite wyrostki, kolejarze, żołnierze i cywile opanowali magazyny broni i strzelali w niebo dla przyjemności. W końcu znalazłem się w Jasle, nieogolony od czterech dni, brudny i głodny – żona i jej rodzice ledwo mnie poznali. Od tej chwili do 1920 roku przebywałem w Jasle; powołanie do wojska nie objęło mojego rocznika, o wykładach we Lwowie nie było mowy, więc postarałem się o zajęcie przy gazociągu firm Gartenbarg, Waterkeyn i Karpaty, który łączył kopalnie z Męcinką koło Krosna przez Jasło, z rafinerią w Glinniku Mariampolskim koło Gorlic i zaopatrywał w metan, dostarczany przez szyby w Męcince, zarówno rafinerie, jak miasteczka leżące wzdłuż kolei transversalnej. Dzięki temu miały one za niską cenę wyprodukowany kokaloryczny i beżwonny gaz w dużej ilości. W tej okolicy trudno było znaleźć dom opalany węglem, drzewem lub koksem. Biuro gazowe miało siedzibę w Niegłowicach, w rafinerii koło Jasła, a szefem był inżynier Aleksander Dietzius, w którym poznałem wkrótce najlepszego inżyniera, jakiego w życiu widziałem. Mnie przypadła rola – eksperta matematycznego. Wzięliśmy sobie radę, dopóki nie [przeszkodziła] firma Karpaty w osobie Maca Garvey’a, który chciał mieć wpływ na neutralne biuro gazowe. Skłoniłem się z tego, bo miałem pretekst podwójny do rezygnacji: błąd w obliczeniach i konieczność przeniesienia się do Lwowa, gdzie Sierpińskiego, który przyjął katedrę w Warszawie, bez Janiszewskiego, który też tam poszedł i Puzyny, który właśnie zmarł, absencja docenta niedawno habilitowanego we Lwowie byłaby niezrozumiałym skandalem.

A poza tym przyjemnie jest położyć milionera na obie łopatki, gdy się nieopłacanym matematykiem...

* (Łac.) Próżnia.

** Rusinem.

*** Zbójcecki bohater powieści Christiana Vulpiusa.

W uniwersyteckim Lwowie

Po przyjeździe do Lwowa stwierdziłem, że rzeczy oddane na przechowanie do pana Zawadzkiego zostały skradzione. We własnym domu nie mogłem znaleźć mieszkania i musiałem zamieszkać w suterrenach. Proces o rzeczy przegrałem. Okazało się także, że kontrakt kupna domu był nieprawny, bo sprzedawca, który zmarł parę miesięcy po transakcji, nie był właścicielem całej części, którą sprzedał; trzeba było uzyskać podpisy współwłaścicieli i sprostowanie kontraktu. Żadna z tych trudności mnie nie zniechęciła.

Na uniwersytecie nastąpiły zmiany. Zygmunt Janiszewski, mój kolega, zmarł w roku 1920 na gripę – sławną hiszpankę. Po śmierci Juliana Puzyńskiego, który zmarł jeszcze wcześniej, profesorem mianowano pana Żylińskiego z Kijowa, którego znałem jeszcze z Getyngi. Nie można powiedzieć, żeby nasza współpraca szła bez tarć. Udała się natomiast moja rekomendacja Stefana Banacha u Antoniego Łomnickiego. Banach został asystentem Politechniki. Zygmunt Janiszewski uruchomił, a właściwie założył Polskie Towarzystwo Matematyczne*, które potem stało się oddziałem warszawskiego PTM. Należeli tam Krygowski, Janiszewski, Żyliński, Łomnicki, Banach, Ruziewicz i ja; Dziwiński rzadko przychodził. Towarzystwo szło. Wkrótce habilitowano Banacha i Ruziewicza. Ruch naukowy się rozwijał, natomiast pod względem towarzyskim panował wtedy chaos i anarchia powojenny. Szał tańca, zabawy, wycieczki, libertynizm, zdrady i nieodpowiedzialne związki, jednym słowem używanie swobody, o której marzono przez lata; szczodre wyznaczanie sobie nagród za ucisk i szarość dni powojennych, to wszystko cechowało czasy od 1920 do 1923 roku.

W roku 1920, po śmierci Janiszewskiego, wyszedł w Warszawie pierwszy numer „Fundamenta Mathematicae”. Był to Jego pomysł: matematyczne pismo międzynarodowe w Polsce. Zdaniem Janiszewskiego teoria mnogości miała już u nas tylu adeptów, że można było co roku wydawać czasopismo zawierające co najmniej tyle prac autorów polskich, co zagranicznych. Plan udał się nadszperkowanie, ale autor nie dożył wyjścia tomu I. W ten sposób jest tak poszukiwany, że opłaciło się – po dwudziestu latach wydawać go powtórnie.

W Lwowie wykłady matematyki odbywały się przy ul. Długosza, w Instytucie Fizyki. Chodzili na nie wówczas J. Schenck, Władysław Orlicz,

W 1917 roku.

Herman Auerbach, pan Homme, panie Krzysikówna, Schoenówna. Wszyscy byli zapaleni do nauki, otrzymywali ode mnie klucze do biblioteki seminarium i korzystali z niej pilnie. Szkód inwentarza nie było z tego tytułu niemal żadnych. W tych latach żyliśmy właściwie na koszt rodziców moich i żony, bo pensja asystenta nie wystarczała na troje osób. Toteż żona z córką mieszkaly w Jasle u moich teściów, ja często przyjeżdżałem do Jasła, bo w wykładach były liczne przerwy. Była tam wtedy moda hipnozy. Moja szwagierka Hela odkryła w sobie zdolność hipnotyzowania, a medium znalazło się w osobie jej przyjaciółki Ewy. Raz, na moją prośbę, urządziły one seans w naszym pokoju. Z góry upatrzyłem sobie kilka eksperymentów w tych warunkach, wykluczających oszustwo. Prosiłem Helę, żeby nakazała Ewie podczas hipnozy zapomnieć po obudzeniu, jakie ma imię i potem odejść, zabierając ze sobą II tom dzieła Leonarda da Vinci. Oba tomy leżały na stole. Po obudzeniu, jako bardzo niedawny, znajomy zapytałem Ewę, jak jej na imię. Na to oblała się rumieńcem i nie odpowiedziała. Potem podeszła do torebki leżącej na kanapie, wyjęła z niej swój bilet wizytowy i odczytała imię. Za chwilę zaczęła się żegnać, nie zatrzymywaliśmy jej, ale ona ociągała się z odejściem, chociaż mówiła, że matka na nią czeka. Po chwili przewróciła parę stron II tomu dzieła Leonarda da Vinci, twarz jej się rozjaśniła i zaczęła prosić, by jej to pożyczyć. Odpowiedziałem sucho, że nie mogę, bo czytam właśnie ten tom, ale mogę jej pożyczyć tom pierwszy. Na to ona nalegała dalej, bo – jak mówiła – podoba jej się tylko drugi tom. Zналиśmy się mało, więc to naleganie było bardzo nieodpowiednie; widać było doskonale działanie hipnozy. Wtedy Helcia wyjawiała jej żądanie narzucone jej w hipnozie: w tej chwili przestała się domagać i zupełnie straciła zainteresowanie książką, chociaż teraz już zaofiarowałem jej pożyczanie na dłuższy czas.

Opowiadałem o tych eksperymentach, bo widzę w nich dowód na to, że świadomość swobodnego działania nie jest dostatecznym dowodem wolności: przecież Ewa miała tę świadomość, gdy wybierała książkę i myślała, że czyni to wbrew nam, a jednak my, to jest Hela i ja, wiedzieliśmy wcześniej od niej, że właśnie tej książki zażąda!

We Lwowie zaczynał się żywy ruch naukowy. Stefan Banach doktoryzował się i habilitował wkrótce potem; ja chodziłem na seminarium prof. Twardowskiego, gdzie czytaliśmy Russella: był tam Ajdukiewicz, Zawirski, Gromscy, Czeżowski i inni. Wtedy też nowa poezja uderzyła o Lwów: zapoznałem się z Józefem Wittlinem, który wtedy tłumaczył *Odyseę*!

Najgorzej było z mieszkaniem, bo tego, które w końcu we własnym domu uzyskałem, nie mogłem zająć z braku mebli – nie będąc jeszcze pro-

fesorem, nie byłem pewny, że zostanę we Lwowie i prowizorycznie wynajmłem mieszkanie sędziemu, panu Antoniewiczowi. Gdy po paru miesiącach mieszkanie było mi potrzebne, sędzia powołał się na ustawę o ochronie lokatorów i trzeba było przeszło roku na uzyskanie wyroku i egzekucji. Nominację na profesora nadzwyczajnego uzyskałem w roku 1920. Wziąłem urlop na jeden trymestr i pojechałem z żoną do Getyngi, córkę zostawiając u teściów. Waluta polska stała wówczas wysoko w porównaniu z niemiecką i pensja wystarczała na pobyt za granicą. W Berlinie zatelefonowałem z hotelu do Leona Lichtensteina, który był tam profesorem; przyszedł i poznaliśmy się, skierował mnie do prof. I. Schura; poszedłem tam sam i spotkałem kilka osób m.in. Biebertacha. I. Schur, a zwłaszcza jego żona, rosyjska Żydówka, nienawidzili Polaków i dali mi to odczuć. Ale moja przyjaźń z Lichtensteinem trwała aż do śmierci tego wielkiego matematyka, to znaczy dziesięć lat.

W Berlinie inflacja czyniła co dzień postępy, co nam nie przeszkadzało. Pojechaliśmy do Getyngi, tam odwiedziłem moją dawną gospodynię, panią Gericke. Nie prowadziła już pensjonatu, zamieszkaliśmy więc u pani Lotheisen. Stołowali się tam studenci Niemcy, dwóch Chińczyków, paru Węgrów i gwiazda operetki miejscowej, importowana z Nowego Jorku Niemka, miss Chandler. Pewnego razu zapytała Chińczyków, jak im się podoba operetka, na której byli poprzednio. Odpowiedzieli, że owszem bardzo, ale nie mogą zrozumieć, dlaczego co chwila wszyscy na scenie krzyczą; takie więc wrażenie robi na nich chóralny śpiew. Pokazali nam w swoim pokoju wiszące białe wstęgi papierowe z czerwonymi napisami tużem. Wy tłumaczyli, że napis jednocy w sobie piękno kaligrafii i piękno myśli, czego Europejczyk nie może zrozumieć. Obiady u pani Lotheisen były mizerne. Nieraz tylko *dicke Suppe** i kompot z rabarbaru składały się na obiad; podziwu godni byli ci studenci, którzy o takim menu mogli pracować.

Kwitła wtedy w Getyndze fizyka. Z matematyków był Herman Müntz, którego już dawniej znałem. Frank był wschodzącą gwiazdą fizyki. Dla mnie nie było tam nic szczególnie pociągającego. Zajmowałem się wtedy rachunkiem prawdopodobieństwa i mechaniką statystyczną; nie było tam, z wyjątkiem Artina nikogo, kto by się tym interesował. Przeglądałem czasopisma, pokazałem żonie Cassel i hanowerskie Münden, a potem wybraliśmy się do Hamburga. Był tam nowo założony uniwersytet. Podczas gdy żona zwiedzała miasto i port, ja rozmawiałem z Ostrowskim, Blaschkem, a zwłaszcza z Rademacherem. Rademacher mieszkał w Blankenese nad Elbą, poniżej Hamburga. Jest to urocza miejscowość pełna róż; z małych kawiarenek można widzieć Elbę, która ma już charakter morza. W Ham-

* (Niem.) Gęsta zupa.

burgu warto zwiedzić muzeum etnograficzne. Stamtąd wybraliśmy się do Kilonii, aby odwiedzić Otto Toeplitza, jednego z moich getyngieńskich nauczycieli, który był tam profesorem. Choć portowe, miasto to jest prowincjonalne – można tam spacerować pieszo i myśleć spokojnie. Toeplitz przyjął nas bardzo serdecznie; ponieważ wtedy właśnie miał ćwiczenia seminaryjne, dał mi zadania do poprawiania, potem studenci byli bardzo zdziwieni, zobaczywszy poprawki robione inną ręką. Zaprosił nas na obiad; my mieliśmy w hotelu parę płatków szynki i piklinga; poradziłem żonie, żeby zabrała to ze sobą. Okazało się, że miałem rację. Niemcy byli wtedy w takich warunkach, że podanie obiadu na troje zaproszonych gości było dla profesora niemożliwe. Troje, bo trzecim gościem była pani Radbruchowa, żona ministra sprawiedliwości Rzeszy (godność ta nie istniała przed wojną). Radziliśmy się, dokąd mamy wyjechać nad morze na dwa tygodnie; zależało nam na tym pobycie. Pani Radbruchowa poleciła nam Laboe. Wybraliśmy się więc na zwiady. Płynęło się tam statkiem, który przemierzał Zatokę Kilońską od brzegu do brzegu. Laboe okazało się małą miejscowością plażową, ale morze było jeszcze za mało otwarte. Poszliśmy więc piechotą dalej, szukając punktu, gdzie horyzont otwiera się przynajmniej do 150°. Znaleźliśmy takie miejsce; Stein. Był tam porządny zajazd, obszerny i bardzo czysty, parę chałup rybackich i *Steg** wiodący w morze. Postanowiliśmy się tam przenieść, a nie chcąc płacić hotelu wróciliśmy natychmiast do Kilonii. Po drodze w parku spotkaliśmy auto, które jechało do portu; daliśmy mu znak na migi, szofer zrozumiał, po kwadransie, wracając dopędził nas i zawiózł do hotelu. Tam natychmiast zapłaciliśmy rachunek, pojechalismy do portu. W chwili, gdy już syrena dawała sygnał odjazdu zdolaliśmy wrzucić kufry na pokład i odjechać ostatnim wieczornym statkiem. To wszystko było potrzebne dla zaoszczędzenia kilku złotych za hotel. (Z Laboe nie było do Stein żadnej komunikacji z wyjątkiem pieszej, po nasze rzeczy wyjątkowo przyszły konie z hotelu).

Stein należy do tak zwanego probostwa schöneferskiego. Jest to powiat leżący na wysokim brzegu, o ziemi tłustej i urodzajnej, gdzie łąki, otoczone żywopłotami z dzikich róż, soczyste i wilgotne, dają pokarm wspaniałemu mu bydłu, i gdzie mleko i masło dorównuje duńskiemu. Wygłodniali po Getyndze i Kilonii wypiliśmy na śniadanie po cztery filiżanki kawy z mlekiem, do tego nie brakło masła ani bułek. Byliśmy tam niemal sami, odwiedził nas prof. Toeplitz. Rozmawialiśmy o mojej pracy o operacjach addytywnych. Byli też tam jacyś kupcy z Berlina i „admiral”. Tak nazywał się frankfurczyk, który nosił stale czapkę Yacht-klubu i z całą rodziną bezustannie napełniał hotel nawoływaniem i przygotowaniami do spustu

* (Niem.) Ścieżka.

cznia na wodę łódeczki zwanej przez niego „canoe”. Poznaliśmy tam też byłego sierżanta, od którego dowiedzieliśmy się o istnieniu tajnych organizacji mających na celu obalenie republiki. Organizacjami tymi kierowały koła feudalne, arystokracja wojskowa, która na swoich zamkach odbierała przysięgi (zapijane szampanem) od różnych zwolenników przewrotu i rewansu. Nie brano tego na serio. Otto Toeplitz opowiadał mi, co było w Kilonii dobrze wiadome, że Tirpitz, rozpoczynając wojnę łodziami podwodnymi, przedstawił cesarzowi obliczenie wydajności doków angielskich i amerykańskich, nie uwzględniające wydajności produkcji tonażu państw neutralnych, które budowały na zamówienie Anglii, a także sprzedawały już gotowe okręty. Pewien oficer marynarki spostrzegł ten błąd i chciał, żeby cesarzowi przedstawiono jego „raport bezpośredni”, ale Tirpitz nie zgodził się na to. Wynik był wiadomy. Widziałem w Kilonii fundamenty fortów nadbrzeżnych, które zostały zburzone w myśl zaleceń traktatu wersalskiego. W Hamburgu zobaczyliśmy niezwykle rzeczą: okręt nowego typu zbudowany w ten sposób, że równowagę stałą miał tylko, gdy był obciążony. Gdy go spuszczano na wodę, należało otworzyć luki dopuszczające wodę do wnętrza. Inżynier, kierujący spławianiem, zapomniał to zrobić: okręt przewrócił się i zatopił czterdziestu marynarzy. Nie pozostało nic innego jak pociąć okręt palnikami na kawałki, żeby przynajmniej uratować żelazo skorupy.

Inne zastosowanie palnika wodorowego widziałem w Hamburgu. Duża barka była wypełniona starym żelastwem; żuraw chwycił całe splety, a majster stojący na barce przecinał je palnikiem, żeby dały się unieść w górę. Gdy jechaliśmy do domu elektryczną koleją łączącą Kilonię z Lipskiem (kolej ta wyzyskuje duże pokłady węgla brunatnego, którego nie oplaci się przewozić), dziwiliśmy się licznym słowiańskim nazwom stacji po drodze. Niemcy nie wiedzą nawet, skąd one się biorą i ich nie rozumieją.

W Lipsku oczekiwał nas na stacji Neder, asystent Lichtensteina. Znał dla nas niedrogi pokój umeblowany. Syn właścicielki był „badaczem ducha świętego”. Praktykował miłość bliźniego w szczegółach życia codziennego. Nie było przysługi, której by odmówił. Opowiadał, że w fabryce, w której pracował, koledzy śmiali się z niego, ale potem przestali śmiać i wielu przystąpiło do sekty. Gdy widział na biurku list zaadresowany w zaklejonej kopercie, przylepiał markę, a gdy żona skarżyła się na złe buty, wzuł je i chodził przez całą noc po swoim pokoju, żeby się roztępiły.

Wracając do kraju natrafiliśmy na Śląsku na okres wrzenia. Granice jeszcze nie były ustalone, fabryki nieuruchomione, koleje chodziły chaotycznie, a tłumy ludzi wałęsały się po ulicach. Nam zabrakło już pieniędzy, więc musieliśmy jechać dalej i za ostatnie grosze zjedliśmy w Katowicach, po dziennej głodzie, śledzia smażonego i popiliśmy piwem. Była to jedna z najlepszych kolacji w moim życiu.

W tym roku (1923) wyszedł IV tom „Fundamenta Mathematicae”, a w nim moja praca o prawdopodobieństwie zbieżności szeregów, których wyrazy są zaopatrzone w znaki losowane. Samo zagadnienie było nowe. „Znalazłem je” spacerując po ulicy Kościuszki w Jaśle. Pytanie postawione w drugiej części pracy rozwiązał Chinizyn, który w 1941 roku otrzymał za to w ZSRR wielką nagrodę im. Stalina. Zasadnicze traktowanie zagadnień rachunku prawdopodobieństwa jako zagadnień z teorii miary zostało przez Willy Feller (pochodzącego z Zagrzebia, później pracującego w Getyndze i w Sztokholmie) systematycznie zbadane, bez znajomości pracy z roku 1923! W tym samym tomie była praca Antoniego Łomnickiego o tej samej tendencji; występuje tam pojęcie „mnożliwości” w formie jeszcze niejasnej. Znacznie później sformułowane pojęcie „niezależności stochastycznej” jest sprecyzowaniem tej koncepcji.

W tymże 1923 roku zostałem zwyczajnym profesorem w Uniwersytecie Jana Kazimierza.

We Lwowie zaznałem się z panem Blumenfeldem, który prowadził fabryki chemiczne, ale miał też wykształcenie matematyczne i filozoficzne nabyte na uniwersytecie wiedeńskim. Zaznałem mnie on z Jakubem Parnasem, wybitnym chemikiem, profesorem chemii lekarskiej. Wtedy też napisałem popularną książeczkę: *Czem jest, a czem nie jest matematyka*, wydaną później u Altenberga. Pan Altenberg był bardzo przyjazny w stosunku do autorów; kiedy raz zażądałem od niego zaliczki, do której nie był obowiązany, i uzasadniłem to kosztami nocy sylwestrowej, wypłacił ją bez żadnych trudności. Byliśmy wtedy „w fazie tanecznej”; tańczyliśmy wiele. Głównym propagatorem nowych tańców we Lwowie był pan Sklepiński, aptekarz, który mimo ciężkiej budowy tańczył znakomicie.

Był to czas niezmiernie płynności; zakładało się coraz to nowe spółdzielnie, których bilanse były fantastyczne, wobec nieustalonej wartości pieniądza. Nowe państwo kreowało nowe posady. Zwyczaj towarzyski, moda, tańce; wszystko ulegało zmianie. Nieraz odczuwało się tę płynność bardzo dotkliwie. Na przykład ministerstwo, obsadzone urzędnikami, wiadomo skąd wziętymi, często wykazywało zupełne niezrozumienie ustroju szkół akademickich, a nawet wszelkich zasad prawnych. Zdarzyło się raz, że student, którego dziekan nie przyjął, odwołał się do fakultetu; ten jednakże postanowił decyzję dziekana utrzymać. Wtedy student wniósł odwołanie do ministerstwa. Zdawałoby się, że w tym wypadku ministerstwo może zająć stanowisko władzy zwierzchniej, skasować orzeczenie fakultetu i przyjąć petenta, lub też uznać się za niekompetentne i nieznający wyjaśnić petentowi, że fakultet jest instancją ostateczną. Ale ministerstwo postąpiło inaczej: oto nakazało nam w drodze głosowania skasować poprzednią uchwałę! Oczywiście nie poddaliśmy tego wniosku do głosowania. Takie *curiosum* widziałem jeszcze raz; tym razem popisał się

fakultet Politechniki. Ustawa o szkołach akademickich wprowadziła dla docentów prawo reprezentacji na radach wydziałowych; mieli oni delegować dwóch delegatów do rady ze swego grona. Ustawa jednak pozostawiła radom wydziałowym oznaczenie sposobu, jak te wybory mają się odbywać. Otóż jeden z wydziałów Politechniki postanowił mianować delegatów! Chyba to jedyny wypadek, w którym ciało jakieś mianowało delegatów spoza swego grona do siebie samego!

Pomimo to wszystko rozwijało się i rosło.

Mieliśmy wprowadzić już wtedy strajki studenckie, ale jeszcze można je było opanować. Wyraz „strajk” w szkole akademickiej jest niedorzeczny i już po tym wyrazie można poznać, że ogarnięci tym ruchem są owładnięci hipnozą i niezdolni do rozumowania. Żądanie młodzieży, by przestano wykładać, nie jest analogiczne do strajku, lecz byłoby analogiczne do żądania lokautu, gdyby robotnicy takie żądanie kiedykolwiek postawili. Szkoły wyższe nie są fabrykami, a studenci – robotnikami. Profesor nie jest pracodawcą, który bierze pracę i płaci za nią; tu studenci płacą, a biorą pracę od profesora, tak że strajkować mogliby tylko profesorowie, żądając wyższych wynagrodzeń od państwa lub większych taks od studentów. Exodus słynnej siódemki getyngieńskiej był strajkiem, natomiast tak zwane strajki studenckie są tylko wykorzystaniem eksterytorialności szkół akademickich dla celów nie mających nic wspólnego z zadaniami tych szkół. Są po prostu organizowaniem ruchów politycznych z zamiarem przeniesienia ich na szersze forum. U nas strajki te byłyby doprowadziły nieuchybnie do likwidacji szkół akademickich. Jest faktem, że strajkujący nie stawiali nigdy żądań związanych z polepszeniem nauczania lub poprawieniem bytu studenckiego; zresztą takie żądania nie dadzą się poprzeć absencją, gdyż absencja jest presją tylko na kieszenie rodziców, a nie na skarby państwa lub profesorów. Strajk jednak staje się groźny, gdy zarządkowcy obejmie profesorów, ministrów i posłów; na to liczyli strajkujący i nie przeliczyli się.

Wśród studentów znaleźli się wkrótce wyraźnie wyróżniający się zdolnościami: taki był Schauder, taki Orlicz, Halaunbrenner, Auerbach i Mazur. Ten ostatni nie studiował regularnie. Opowiedziano mi o nim, że rozwiązał trudne zagadnienie z teorii sumowania szeregów. Gdy go prosiłem o danie mi tego na piśmie, odwlekał i odkładał; w końcu okazało się, że się omylił. Nie dał za wygraną i parę lat później zrobił, co zapowiedział.

Współpraca była u nas zjawiskiem częstym; Orlicz i Mazur, Banach i ja, Sklepiński i Ruziewicz często pisywali razem. Żyliński i Ruziewicz napisali razem podręcznik; później Stożek, Banach i Sierpiński wspólnie pisywali książki szkolne.

Dzięki prof. Bartłowi powstał na Politechnice Lwowskiej Wydział Matematyczny, który kształcił teoretycznie. Profesorem matematyki został tam Kazi-

mierz Kuratowski z Warszawy. Odtąd Politechnika Lwowska stała się środowiskiem matematycznej pracy naukowej. Dzięki nowym asystentom i wykładom zleconym mogli tam znaleźć zajęcie Kaczmarz i Nikliborc przybyli z Krakowa, a potem inni, jak Mazur i Orlicz. Tylko dwaj studenci uzyskali tam tytuł doktora: Jan Antoni Blaton i Stanisław Marcin Ulam.

W roku 1925 udałem się ponownie w podróż otrzymawszy urlop na jeden trymestr. Tym razem pojechaliśmy do Paryża.

Zamieszkaliśmy w pensjonacie pana Rubena w dzielnicy Gobelins, dosyć daleko od śródmieścia. Było tam tanio i nieźle. Mieszkał tam Stefan Banach, prof. Kuryłowicz z żoną i prof. Lehr-Splawiński. W tym czasie był w Paryżu także prof. Parnas (mieszkali też w Paryżu nasi znajomi ze Lwowa, Emil Bader z żoną).

Pamiętam wycieczkę do Fontainebleau, w celu zwiedzenia zamku, w którym Napoleon spędził ostatnie dni panowania. Prof. Parnas nie pozwolił nam zwiedzić zamku, ale wyszukał doskonałą restaurację, a po obiedzie zmusił do kilkugodzinnego spaceru po lesie. Las ten, liściasty, marzec rzeczywiście delikatną zielenią, a kolor powietrza tłumaczy odcienie francuskich pejzażystów.

Montel, Hadamard i Lebesgue zaprosili mnie i Banacha na obiad do restauracji na Quai d'Orsay. Obiad był wykwintny, niestety Hadamard był krótko. Montel i Lebesgue pytali mnie o ruch antysemitki na naszych uniwersytetach.

W Paryżu mało znalazłem wtedy interesujących mnie matematyków. Jednym z nich był Szolem Mandelbrojt z Warszawy. Ożenił się z Francuzką, naturalizował się i służył w wojsku francuskim. Bywał, jak i my, u pani Kastarskiej. Pani Kastarska, powieściopisarka, była żoną rumuńskiego matematyka pana Lergesco, który później odznaczył się studiami nad historią matematyki francuskiej. Znalazł on w pismach średniowiecznych Sorbończyków tezy żywo przypominające teorię mnogości XIX w., co nie mało rehabilituje scholastyczną matematykę. W tym towarzystwie był pan N. Ottman z żoną, piękną brunetką, który w obronie Lwowa utracił nogę, malarka pani B., pan J. Mirski ze Lwowa i wiele innych osób. Pani Kastarska była rojalistką. Korespondowała ze Lwowem w sprawach politycznych i chciała, by przewozić jej listy, bo uważała, że poczta nie jest pewna. Dla niej widocznie rok 1925 nie różnił się od roku 1825. W ogóle całe towarzystwo snobowało się na nostalgię, jak gdyby byli emigrantami uszłymi przed zaborcami, a nie urzędnikami na urlopie, wydającymi pensję za granicą.

Mandelbrojt był zdolny; uzyskał wkrótce tytuł *maître des conférences* w Clermont-Ferrand, a potem profesurę w Collège de France po ustąpieniu Hadamarda. Ten wprowadził nowość, a mianowicie seminarium poświęcone omawianiu najważniejszych prac ostatnio wydanych.

Kilka słów należy się naszemu gospodarzowi panu Rubenowi. Był to Francuz z Południa, i bardzo tego świadomy. Tłumaczył każdemu, kto

chciał tego słuchać, że walki między Północą a Południem trwały kilka wieków i kosztowały miliony poległych. Miał u siebie historię tych wojen wydaną około roku 1870, której autor, południowiec, pisze stale o Francuzach północnych „oni”, rezerwując nazwę „my” dla Prowansalczyków. Niemniej pan Ruben należał do Towarzystwa Przyjaciół Luwru, złożonego z patriotów lokalnych, którzy co roku ze swoich składek kupowali jakiś obraz lub rzeźbę dla Galerii. Jako gospodarz nie był podobny do chciwych hotelarzy i zadowalał się minimalnymi cenami.

Zwykle jeździliśmy na lato do Jasła; w lecie, w lipcu lub sierpniu, odbywały się tam turnieje tenisowe, ale i bez tego życie towarzyskie było dosyć urozmaicone. O to, żeby miasto nie zasnęło, starał się przede wszystkim starosta, pan Antoni Zoll, który o każdej porze dnia i nocy budził je ariami operowymi, śpiewanymi przy otwartym oknie lub granymi *fortissimo* na gramofonie. Takich szefów powiat nie miał od czasów hrabiego Michałowskiego. Pokój Zolla był zawałony płytami gramofonowymi, aparatami do kopiowania fotografii, słojami z ogórkami, butelkami i setką innych przedmiotów. Miał swoisty sposób załatwiania spraw. Raz policja miejska aresztowała jakiegoś eleganckiego pana, który nie umiał po polsku, i którego podejrzewano o akcję na rzecz Rosji. Starosta zainteresował się tą sprawą, odwiedził więźnia i orzekł, że areszt miejski nie jest odpowiednim miejscem dla człowieka inteligentnego. Wobec tego wziął go do siebie i trzymał w pokoju obok sypialni, zamykając go na klucz, gdy sam wychodził z domu. Obiad jadł z nim razem. Pewnego razu, spacerując z Jankiem Adamskim po rynku w Jasle, puka się w głowę i mówi:

— Muszę wrócić do domu.

— Dlaczego?

— Bo zapomniałem, że muszę podać czarną kawę mojemu lokatorowi!

Było to zupełnie szczere i muszę powiedzieć, że aresztant chyba nigdy, z wyjątkiem może Anglii, nie znalazłby takiego starosty.

Zoll żył w wielkiej przyjaźni z Didurem i jego córkami, bywał u niego Kiepora, bywała okoliczna arystokracja i gotów był do każdej zabawy, a kiedy nadchodziły finały na turnieju tenisowym, woźni musieli mu przynosić papiery do podpisu na trybunę. Wszyscy byli z niego zadowoleni, a nie należy myśleć, że brak urzędowego patosu był wynikiem luźnego pojmowania obowiązku niedostępności. Miał ambicję, ale nie urzędniczą, raczej szlachecką. Imponował ludziom nie tyle austriackim tytułem „radcy dworu”, ile obyciem w świecie, lekceważeniem formalności i wszechstronnym uzdolnieniem. Później, kiedy przeszedł na emeryturę i zamieszkał w willi inż. Dietziusa koło Niegłowic, zbierał na drodze gwoździe, żeby nie przebijały opon. Miał też kolekcję płaskich kamyków do „rzucania kaczek”, a także odbywał polowania nocne na ćmy, których miał piękny zbiór.

W tym czasie nastąpiła zmiana w naszym sposobie spędzania wakacji letnich. Nasz przyjaciel Ignacy Blumenfeld namówił nas, żebyśmy pojechali razem z nimi na Czarnohorę. Wybraliśmy Worochtę. Pod kierownictwem państwa Blumenfeldów i Stanisława Vincenza uczylimy się zwiedzać ten kraj zupełnie dla nas nowy. Najpiękniejsza w okolicy Worochty jest dolina Prutu koło „Foreszczenki”. Z tartaku worochciańskiego szła tam wąskotorowa kolejka, pasażerowie siedzieli na otwartych wagonikach używanych do wożenia drzewa. Uderzało w nich całe słońce, cała woń i cały szum tej leśnej doliny. Tędy właśnie wiodła droga na Howerlę. Tędy też szliśmy w odwiedzinach do Stanisława Vincenza. Było tak gorąco, że moja córka Lidkę musiałem zanurzyć całą w Prucie, jak Tetyda Achillesa, żeby nie osłabła z żaru. Potem zaczął się cienisty, niemalże tropikalny gąszcz, stromy stok pełen malin, a potem las prastary i dziewiczy. Ludzi się tam nie spotykało, a miejscami szło się z kompasem. Celowaliśmy dobrze; bo wieczorem trafiliśmy już po ciemku na siedzibę Vincenza, która stała na „Bystrecu”. Był to dom drewniany, którego osobliwością okazała się komnatka wykładana limbą; podobno robaki jej się nie imają. U pana Vincenza zapoznaliśmy się z jego sąsiadami, Gołyczami i z Oleksą Maksymiukiem, Hucułem, który umiał nie tylko ciesiołkę, ale także układać wiersze i z pewnością nie chybiał rogaczy. O nim opowiadał mi sam Vincenz, że kiedy Oleksa po raz pierwszy usłyszał, że Vincenza tytułują doktorem, wziął go na bok i zaczął z nim rozmowę intymną od tego, że człowiek „przed księdzem, przed adwokatem i przed doktorem musi przyznać się do prawdy”. Otóż on, Maksymiuk wie, że panowie w mieście mają różne lekarstwa, które dają wigor męski nawet takim jak on sześćdziesięcioletnim. Dr Vincenz zaczął mu tłumaczyć, że nie jest lekarzem, zresztą, powiada, „przecież stan obecny, który uwalnia człowieka od tysiącznych kłopotów z babami, jest chyba najpożądany”. Tak – odpowiedział Maksymiuk – wy majete recht, pane dochtore, ale przecież jak taka młoda dziewczyna grzecznie prosi, to nie wypada człowiekowi jej odmówić!

O Czarnohorze napisał Vincenz książkę *Na wysokiej połoninie*. Można tam przeczytać, jak to Gołyczowa postanowiła się rozwieść z mężem i wrócić nad wesoły Czeremosz, do Żabiego. Dom na Bystrecu był wspólny, więc przywołała drwali i kazała go przepiłować dokładnie przez środek: jedną połowę zabrała ze sobą, a druga została na miejscu, otwartą na bok. Podczas pobytu na Czarnohorze nauczyłem się podziwiać chody koników huculskich. Właśnie idąc pierwszy raz na Bystrec zobaczyłem, jak na moście pod kopytami koni ukruszyła się spróchniała deska. Wtedy konik, zamiast bić kopytami, jak by to zrobił koń dolinny, stanął bez ruchu i delikatnie wyciągnął nogę z dziury. Przekonałem się też, że można tak koniki objuczone cetnarem i większym ciężarem przeprowadzić przez olbrzymie pnie powalone na ziemię; chwilami stoją na nich i wszystkie czter-

kopyta znajdują się na przestrzeni nie większej od szachownicy. Inna to musi być rasa. Podczas jednej z wędrówek (na Pop Iwan) spotkałem oficera austriackiego, który miał majątek pod Wiedniem, ale był tak rozmówany w konikach huculskich, że dla nich co parę lat przyjeżdżał na Czarnohorę. Pamiętajmy, że musiał mieć do tego paszport i wizę.

Inną specjalnością Czarnohory są byki, które miejscami stanowią prawdziwe niebezpieczeństwo dla turystów. Opowiadał mi Stefan Kaczmarz, że razem z dwoma innymi turystami musieli w Gorganach kilka godzin kryć się za drzewami przed bykiem, który nie chciał ich przepuścić.

W tym okresie byliśmy raz dla odmiany w Zakopanem. Mieszkaliśmy w pensjonacie „Albion”. Z kolegą Tarskim i kilkoma innymi osobami urządziliśmy piękną wycieczkę. Dojechaliśmy do przejścia granicznego u Białej Wody, a potem szliśmy przez Koperszady, które oddzielają grupę Tatr Bielskich od Wysokich. Tam spotkaliśmy się z trzema bawołami, które uciekły ze zwierzyńca Hohenlohego*, stały bez ruchu sto kroków od ścieżki, zwrócone do niej prostopadle i patrzyły na nas jak czujna straż.

W Koperszadach pasie się tysiące wołów i przejścia ścieżką są nieraz zajęte przez te stada. Najpiękniejszy był powrót przez Rohatkę: Dolina Staroleśna jest otoczona czarnymi granitowymi turniami, a leżące w niej głazy są pokryte porostami, które nadają im w słońcu kolory szmaragdu, fioletu i cytryny. Niebo było jesiennie-niebieskie, gdyż lato już się kończyło. Wieczorem, przy powrocie, postanowiłem przeprowadzić całe towarzystwo do Polski bez przechodzenia przez placówkę celną. Udało mi się to w zupełności; nigdzie nie napotkaliśmy strażnika ani żandarma. Z tej nauki skorzystał później jeden z uczestników naszej wycieczki, pan Włóder, który narobił długów w Krakowie i tą właśnie drogą uciekł do Czech.

W roku 1927 byliśmy znów w Worochcie.

Pewnego dnia obudziliśmy się i zobaczyliśmy przed sobą jezioro. Prut wylał. Jakieś oberwanie chmury w górach zrzuciło od razu olbrzymią masę wody na zbocza. Pewna firma, której udało się za pomocą łapówek obejść zakaz niszczenia kosodrzewiny, urządziła prymitywną destylarnię olejku na zboczach Mariszewskiej. Potop zamienił całe to zbocze w jedną masę plastyczną. Głazy, ziemia i woda sunęły w dół miażdżąc wszystko. Szopa, urządzenia, kotły znikły bez śladu zmielone kataklizmem. Cztery robotników poniosło śmierć, a tylko kobieta z dzieckiem, która uszła na górę na szczyt, ocalała.

Jedną z przyczyn katastrofy było właśnie wytrzebiecie kosodrzewiny, która stanowiła naturalną ochronę przed powodzią. Ruch kolejowy ustał, mosty były zerwane, a tory podmyte. Musiałem koniecznie udać się do

Prywatny park księcia Hohenlohe w Tatrach.

Lwowa, bo właśnie miał się odbyć pierwszy polski Zjazd Matematyczny. Trzeba było iść piechotą dwie mile i to nie drogą, której już nie było, ale ścieżką. Widziałem po drodze ciekawe rzeczy. Na przykład tor kolejowy, bez szyn i progów, ale z nietkniętym nasypem; nawet bruzdy, w których leżały progi były nietknięte. Otóż tor szedł dość wysoko nad Prutem i rzeka do niego nie doszła, ale dopływ Prutu, Żeniec, zawałił przeszło kłodami i kamieniami, i przewalając się ponad torem stracił szyny z progami do Prutu, a Prut chwyciwszy koniec tej wstążki zdzierał ją dalej; urwawszy w ten sposób paręset metrów owinął potem część tej drabiny koło filarów mostu o parę kilometrów niżej. Idąc dalej zobaczyliśmy, że z drogi wykusanej w skale została tylko połowa; Prut bombardował głazami ścianę skalistą przez kilka dni aż z calizny została tylko połowa szerokości. Pociąg, do którego wsiedliśmy w Podlesniowie, szedł po moście nad Dniestrem powoli, bo rzeka sięgała już niemal do podkładów; nad olbrzymim jeziorem w słońcu krążyły ptaki wodne, mewy, bociany, jakieś nieznane mi rybitwy; wszystko to ściągnęła powódź.

We Lwowie kongres* udał się doskonale. Wtedy powziąłem myśl założenia we Lwowie nowego międzynarodowego pisma matematycznego; tą myślą podzieliłem się z Banachem i poczyniliśmy wstępne kroki. Natychmiast z Warszawy wyszedł sprzeciw; grożono nam „sądem” PTM. Przy czyną opozycji była obawa, że pismo to, oparte o subwencję ministerstwa, obniży dotację „Fundamentów”. Stanowisko to byłoby słuszne, gdyby „Fundamenta” obejmowały całą ówczesną polską produkcję matematyczną, ale tak nie było: „Fundamenta” z założenia samego miały dbać tylko o teorię mnogości i działy tej teorii najbliższe. Toteż mało sobie robiłem z tej groźby. Ministerstwo przyznało nam subwencję i zabraliśmy się do roboty, ale zanim wyszedł pierwszy tom, upłynęło trochę czasu**.

W roku 1928 znowu pojechałem na wiosnę do Francji, głównie w celu leczenia się w Vichy. Po drodze wstąpiłem do Lipska, do Lichtensteina. Ten bardzo usilnie namawiał mnie na odwiedzenie w Paryżu Meyersona. Meyerson dopiero w pięćdziesiątym roku życia zabrał się do pracy ścisłej naukowej; specjalnie zajmowała go metodologia. Napisał ciekawą historię chemii, a potem *Explication dans les sciences i Identité et réalité*. Kiedy byłem u niego, pracował nad wielkim dziełem, ale mógł pisać co najwyżej dwie godziny dziennie, bo – jak sam mówił – lekarze nazwali go „chodzącą kliniką” – tyle miał chorób równocześnie. Lichtenstein uwielbiał go jak filozofa, przeciwstawiając go Ernstowi Machowi, którego nazywał „trawialistą”.

* Właściwie – I Polski Zjazd Matematyczny, rozpoczęty 7 września 1927 roku.

** „Studia Mathematica”, pod redakcją Stefana Banacha i Hugona Steinhausa, zaczęły ukazywać się w 1929 roku.

Sam Lichtenstein zajmował się coraz więcej matematycznymi zagadnieniami kosmogonii – miał program naukowy dużego stylu i wykonał niemałą część swoich zamierzeń. Krytykował jednostronność polskiej matematyki, ale w tym czasie już ta jednostronność ustępowała miejsca coraz szerszemu i wszechstronniejszemu rozwojowi (rozmowy z Zeltnerem).

Coraz częściej obcy matematycy odwiedzali Polskę; do samego Lwowa przyjeżdżali matematycy z Francji, z Niemiec, z Ameryki, z Anglii, z Belgii itd. Był więc Zermelo, John von Neumann, Ayres, Whyburn, Ward, Lebesgue i inni, nie licząc sąsiadujących Rumunów. Jazdy do Warszawy i Krakowa były ułatwione dzięki Bartłowi, który wyrobił dla PTM kolejowy bilet pierwszej klasy bezpłatny i „przenośny”. On też wyrobił subwencję, która umożliwiła kilkunastu matematykom wyjazd na kongres boloński w roku 1929.

W Paryżu byłem na pięćdziesięciolecie pracy naukowej Emila Picarda; na tej uroczystości reprezentowałem wydział Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Miałem też polecenie wypymania się o fizyków teoretycznych, gdyż nie mieliśmy w Polsce nikogo, aby obsadzić wakującą katedrę. Byłem w tym celu u Paula Langevina, który podał mi Maurycego de Broglie! (Nie wiem, czy Broglie wie o tym!).

W Vichy zamieszkałem w Hôtel de Genève. Był to skromny hotel, ale bardzo przyzwoity i wygodny. Cały czterotygodniowy pobyt z kuracją i lekarzem kosztował mnie 100 dolarów. Było to dla mnie ważne, ale nie każdy to rozumie. Właścicielka hotelu opowiadała mi, że menadżerem wielkich „Palace-Hoteli” należących do spółki Vichy-Etat był niejaki Aletti, Włoch triesteński. Pewnego razu dostał telegraficzne zapytanie, ile kosztuje dzienny pobyt w Vichy w najlepszym apartamencie, z pokojem dla szofera, garażem, obsługą, kosztami lekarza, zabiegami hydropatycznymi, napiwkami itd. Telegram pochodził od amerykańskiego milionera bawiącego w Paryżu.

Aletti miał odpowiedni apartament za 200 franków dziennie. Postanowił wyzyskać sytuację i policzył sute dodatki za pokój i utrzymanie szofera, za przynoszenie śniadań do pokoju, za lekarza, masaż, użytkowanie placu golfowego itd., tak że wywindował cenę aż do 500 franków. Ale kurs dolara wynosił wówczas 25 franków, było to więc zaledwie 20 dolarów dziennie. Amerykanin odpowiedział, że wydaje mu się to zbyt mało, że wobec tego nie przyjedzie!

Vichy jest miejscowością, do której przyjeżdżają ludzie bogaci z Ameryki, z Francji i z Anglii, maharadźowie indyjscy i misjonarze francuscy z Indochin; łączy ich wspólna bieda: dolegliwości wątroby, śledziony i tętna.

W centrum, koło głównych pawilonów, znajduje się kasyno, w którym gra się w boules. Jest to gra, która daje bankowi 5 szans na 9, a więc znacz-

nie gorszy hazard niż ruleta. Do północy stoją przed kasynem limuzyny, które odwożą gości do hoteli położonych o 150 kroków od kasyna. Pewnego razu misjonarz zwrócił uwagę na szoferów drzemających w autach i powiedział: – Nie to, co robi Moskwa, ale to, co robią właściciele tych aut, jest najgorszą agitacją bolszewicką.

Rzeka Allier ma urządzenie, które pozwala zalać dużą przestrzeń wodą, aby urządzać regaty. Za Allier leży wspaniały plac do golfa, ponadto są tu wszystkie konie w sezonie – wszystko obliczone na bogatych Anglików i Amerykanów, nawet tych kilka tysięcy kokot paryskich, które zaludniają Paryż w sezonie.

Biedni śledziennicy nie mogą korzystać z doskonałej kuchni francuskiej i dzielą los tych bogaczy na całym świecie, którzy płacą nie za jedzenie, lecz za post. W moim hotelu każdy miał kartę od lekarza, na której była wypisana dieta, czyli *régime*. Sala jadalna mieściła 30 do 40 osób. Obiad odbywał się punktualnie; obsługiwał jeden kelner. Było tak urządzone, że wszystko, co nie musiało być podane na ciepło, stało na stolikach już przed obiadem. Kelner podchodził co chwila do okna i wołał: – *trois entremets A!* (tzn. trzy dania diety A), a z kuchni, woda, wjeżdżały natychmiast żądane potrawy. Woda, wino, ocet, oliwa, łyżki i widelce i szklanki były naturalnie przygotowane z góry. Po obiedzie, siedząc na ławce przed domem, przyglądałem się ruchowi ulicznemu. Właściciel hotelu wskazał mi rosnącego robotnika pchającego dwukołowy wózek z jarzynami: To jest major rosyjski, który tu uciekł przed bolszewikami.

W centrum miasta nie było wiele ciekawych rzeczy, ale za to dużo sławnych sklepow, zwłaszcza jubilerskich. Przed jednym z nich leżało olbrzymie bryły kamienia, z którego wyrastały całe kolonie kryształów ametystowych lub różowego kwarcu. Były to tzw. kamienie Owernii.

Spacery po okolicy bardzo utrudniał duży ruch automobilowy; drogi były wąskie i trzeba było co chwila wchodzić do fosy, nie chcąc dostać się do tyłu. Były za to doskonale utrzymane: miały nawierzchnię z drobnymi kamyczków ze smołą walcowaną do twardości.

W okolicy Vichy znajduje się kilkadziesiąt źródeł; są to cieplice o różnym składzie i różnych temperaturach; wiele z nich ma periodyczne wylewy. Woda niektórych źródeł jest doprowadzona do zakładu kąpielowego. Są tam słynne urządzenia hydropadyczne, m.in. masaż podwodny, którego próbowałem kilka razy. Moim lekarzem był dr Raymond. Ciężką wąż jest rzeczą modą w medycynie. Dr Raymond zupełnie inne mi stawiał pytania niż nasi lekarze, zupełnie inaczej określał dietę, a nawet środki na przeczyszczenie zapisany przez niego (sulfat magnezyj) nie był wcale znany naszym lwowskim lekarzom.

Kuracja była doskonała. Towarzystwa nie miałem żadnego, mogłem więc pisać swoją pracę, umieszczoną później w I tomie „*Studia Mathematica*”.

Wracając z Paryża przez Niemcy. Jechałem do Trewiru pociągiem osobowym, którym wracali do Nadrenii żołnierze francuscy z urlopów; należało do załóg pełniących służbę okupacyjną. Ponieważ tym pociągiem, nie mającym dalszego połączenia, cywile nie zwykli byli jeździć, nie było tam granicznej kontroli paszportów i nikt nie zanotował mojej daty wyjazdu. Mogłem dzięki temu spędzić dwa tygodnie w Niemczech, zamiast dwóch dni, oczywiście nie meldując się nigdzie. Obejrzałem *Porta Nigra* w Trewirze* i pojechałem do Bonn, gdzie odwiedziłem Toeplitza i Hausdorffa.

Następnie wybrałem się do Getyngi, gdzie widziałem się z Courantem, u którego poznałem młodych niemieckich matematyków: Hansa Lewy, Otto von Neumbauera, Emmę Noether i Willy'ego Fellera. Gdy na przyjęciu u Couranta była mowa o Karolu Krausie, jeden Willy Feller gorąco przyłączył się do mojego entuzjazmu. (Rozmowa ta miała się jeszcze raz powtórzyć, ale dziewięć lat później). Z Courantem omawialiśmy sprawę zjazdu międzynarodowego w Bolonii; był zdania, że Niemcy mają pojechać na ten zjazd. Tak samo myślał Hilbert i Landau. Poznałem też wtedy Gábor Szegő, doskonałego węgierskiego matematyka.

**

We Lwowie powoli wszystko się zmieniał. Już nie można było na ulicy przed domem położyć się po południu spać na trawie naprzeciw domu; już nie spotykało się na niej zajęcy, bo zaczęto budować coraz nowe domy po wschodniej stronie. Było też coraz więcej złodziei. Stawki ubezpieczeniowe od kradzieży zrównały się z meksykańskimi. Ogród za naszym domem położony był na poziomie naszego mieszkania na II piętrze, złodzieje chętnie tamtędy drogę obierali. Pewnego razu żona moja rano w ogrodzie stwierdziła, że z krzaków, które poprzedniego dnia miały kilka kwiastów, wszystkie w nocy oberwano. Myślałem, jakby na przyszłość temu zaradzić i wymyśliłem elektryczne urządzenie alarmowe, które wyłączał elektromonter, syn dozorczy. Składało się ono z czterech drutów biegnących poziomo na izolatorach dokoła ogrodu na wysokości 30, 60, 90 i 120 cm; między nimi zwisały się pionowo haczyki, które jednak nie dotykały niższego drutu; przy próbie przejścia i przeniesienia lub obniżenia drutów zawsze jakiś haczyk chwycił niższy drut; dzwonek alarmowy dzwonił, a lampa elektryczna zapalała się i oświecała ogród. Prócz tego ogród (zresztą zredukowany do 60 woltów przez lampy) elektryzował złodziei.

* „Czarna Brama” – słynna fortyfikacja z czasów późnego cesarstwa rzymskiego.

dzieja, a czasem miniaturowa armatka dawała strzał alarmowy. Wstrząsy akustyczne, optyczne i dotykowe wystarczały, jak doświadczenia późniejsze wykazało, do odparcia kilkudziesięciu prób wejścia (tym bardziej że przy alarmie zwykle wychodziłem na ganek i strzelałem z rewolweru w skarpe).

W roku 1929 jesienią pojechaliśmy na zjazd do Bolonii. Ze Lwowa byli tam Antoni i Zbigniew Łomniccy, Stożek, Ruziewicz, Żyliński, Banach, Łomnicki junior, Chwistek, Kaczmarz, Nikliborc, Schauder. Zjazd był udany: przyjechali Hilbert, Weyl, Kellog, Landau, Hadamard, Lichtenstein, de la Vallée-Poussin, Serge Bernstein, Chinczyn, Mieruszow, Haas, Denes König, i wielu innych. Oczywiście Włosi byli, ale nie wszyscy. Nie przybył np. Vito Volterra, który od czasu przewrotu faszystowskiego nie mieszkał w Paryżu; nie było też niektórych Niemców, obrażonych, że dopiero w dziesięć lat po Wersalu postanowiono nawiązać z nimi stosunki. Zapomnieli widocznie o tej deklaracji stu, w której uczeni niemieccy stwierdzili, że aprobuja wszystko, co robi armia; dopiero potem, kiedy wyszła na jaw monstrualność tej aprobaty, Planck bronił się, że podpisał ją nie wiedząc, co zawiera.

Bolonia jest miastem bardzo odrębnym. Można powiedzieć o niej, że jest wypalona z cegły. Wzdłuż ulic biegną długie portyki, portyk do Luca ma 4 km. Kolumny są z cegły, ale nie widać fug, lecz gładką powierzchnię, jakby były wypalone z jednej sztuki. W środku miasta piękny średniowieczny ratusz, a na nim ryty w kamieniu „biuletyn zwycięstwa” podaje fantastyczne liczby jeńców i armat wziętych w roku 1918. Vittorio Veneto. Wszyscy wiedzą, że wtedy, po odwołaniu wojsk włoskich do domu przez hrabiego Karolyiego, wojska austriackie postanowiły zrobić to samo, i rzucając broń podążyć za Alpy. Cóż, kiedy małe oddziały włoskie w autach, torując sobie drogę wśród bezładnego tłumu żołnierzy, którzy w większości dawno już rzucili broń, zagroziły im przejście, zapędziły do niewoli zupełnie niepotrzebnie. Sztab włoski był już w tym czasie w Wiedniu.

Torre* Asinelli na placu, gdzie spędzaliśmy dużo czasu przy stolikach kamiennych stojących na dworze, jest pochyła. Według sztychu przewidywanego Bolonię w XV wieku takich wież pochyłych w Bolonii było kilkadziesiąt. Najciekawsze, że po dziś dzień nie wiadomo – pytaliśmy bolońskich profesorów – czy budowano umyślnie pochyło, jak w Pizie, czy też pochyliły się same.

Bolonia wydała Galvaniego i Voltę; uniwersytet ma piękną tradycję. Miasto jest trochę filisterskie – słynie z fabrykacji salami. Kuchnia północno-włoska jest trochę inną niż południowa. Specjalnością jest tam kurczaki opiekane i podawane z sałatą z pomidorów i świeżej papryki.

* (Wł.) Wieża.

galeria obrazów szkoły bolońskiej nie zawiera wielkich arcydzieł; z architektury najciekawszy jest kościół Santo Stefano, który jest kompleksem pięciu świątyń budowanych nad sobą i obok siebie, przy czym najstarsza, pogańska, leży dziś cała pod poziomem ulicy. Bolonia, stolica prowincji Emilia, jest jako całość piękna, jak wszystkie miasta we Włoszech. Faszystowskie władze zbudowały tam wspólną pływalnię, na wzór antyczny, otoczoną kamiennym amfiteatrem. Z turystami w czarnych koszulach spotkaliśmy się przy sprawdzaniu paszportów. Ci ludzie z rewolwerami wcale nie byli uprzejmi względem nas, obywateli państwa, zaproszonych przez rząd włoski na kongres odbywający się pod protektorem księcia z domu panującego; traktowali nas z żałosną podejrzliwością i prostacką niegrzecznością. W mieście widziałem ich przede wszystkim na rynku, gdzie dbali o punktualne wyruszanie handlowców, które tam miały początek trasy. Tłumaczono nam, że za dawnych czasów konduktorzy włoscy nieraz palili papierosy i rozmawiali na stacji końcowej po 20 minut i dłużej, i nie można było tych spóźnień wybaczyć. Dopiero faszystyści, podobnie jak na kolejach, „zrobili porządek” na stacji.

Krajobraz Emilii odsłonił się nam podczas wycieczki zrobionej do Lukki i państwem Knastrami. Cały kraj jest podzielony rowami irygacyjnymi i czworoboczne pola; nad rowami rosną drzewa połączone ze sobą festonami winogrodu, wewnątrz znajdują się bujne zielone ogrody, a w nich melony, pomidory, różne jarzyny i trawa. Taki krajobraz ciągnie się na wszystkie strony; kraj należy do najgęściej zaludnionych w Europie. W Bolonii załatwiliśmy także różne własne sprawy. Tak np. warszawscy mieli kłopot z panem Grużewskim, który zgłosił odczyt z twierdzeniem, że nie ma płatów dwustronnych o brzegu zwężonym; ponieważ to twierdzenie wydało się podejrzanym topologom warszawskim, dopadli więc go w hotelu, żądając od niego skompletowania dowodu. Nie do końca go do odczytu. Rzeczywiście po paru latach Frenkl i Pontriagin udowodnili, że płat dwustronny, którego brzeg jest pętlą „kończynową”. W Bolonii „Studia Mathematica” już była załatwiona; omawialiśmy tam wydawnictwo „Monografie Matematyczne”, które później zostało wydane.

Naturalnie pokazywano nam Włochy. Zawieziono nas do Rawenny, gdzie widzieliśmy grób Teodoryka; jeszcze piękniejszy jest grobowiec Placidii, gdzie przenika do podziemia światło przez cienkie płyty kremomarmuru, a bizantyńska mozaika od razu przenosi w dziwny świat średniowiecza.

W Rawennie i inne kościoły w Rawennie też są pomnikami walki kilku ży-

1931 roku.

Właściwie – Galii Placydii, cesarzowej Rzymu.

wiołów, kilku kultur – o duszę Europy; gra miała się rozstrzygnąć tysiąc lat później.

Rawenna, która była nad morzem za owych czasów, dziś jest parę kilometrów od morza. Zawieziono nas autobusami i tam, a potem do tzw. Pinety, czajni, gdzie wszakże można było drzewa policzyć. Ale we Włoszech każda gałąź ma nazwę i każdy jest uważany za obiekt turystyczny; zapewne się o to wzięło, że już Rzymianie wyrabiali drzewa na domy i okręty.

Obok mnie, przy obiedzie podanym pod piniami, gdzie przygotowywano stoły na paręset osób, siedział pan C. Karpiński, geometra amerykański. Zapytałem go, czy wie coś o autorze *Laury i Filona*? Okazało się, że jest jego potomkiem*. Jest to chyba fakt mało znany historykom literatury, jak i ten, że sienkiewiczowski Selim Mirza jest literackim uwiecznieniem Abdank-Abakanowicza, którego integrat fabrykowany przez firmę Coradi w Zurychu znany jest matematykom zajmującym się praktyczną stroną tej nauki. (Tak samo mało kto wie, że rodzina Łobaczewskich, która wydała genialnego geometrę rosyjskiego, ma polską gałąź, żyjącą dzisiaj w Małopolsce).

Poeta Antoni Słonimski ma wśród swoich przodków aż dwóch matematyków, których nazwiska są cytowane w historii mechanizmów i aparatów liczących. Jeden z nich to Abraham Stern, który zadziwił Towarzystwo Naukowe w Warszawie w dobie jego założenia, drugi ma nazwisko samo, co dzisiejszy literat.

Ale ta dygresja odwiodła nas od kongresu.

Część druga odbyła się we Florencji, dokąd zawiozła nas nowa zelektryfikowana linia kolejowa przecinająca Apeniny. Mieszkaliśmy tam na degli Calzaniolli i mieliśmy dosyć czasu na zwiedzanie miasta, jego galerii i kościołów, bo zjazd miał już tam tylko końcowe posiedzenie plenarne. Głównym wystąpieniem była dysertacja Birkhoffa, wielkiego amerykańskiego topologa, tego, który udowodnił *le dernier théorème* Poincaré. Odczyt był próbą estetyki matematycznej; prelegent chciał pokazać, przykłady waz etruskich i greckich, jakie są kryteria matematyczne pięknej linii. Obok mnie siedzący Francuz rzekł po kwadransie tych wywodów półgłosem: – *C'est d'une puérilité déconcertante***.

Ale Amerykanie nie boją się śmieszności. Urządzają zawody piękności i nagradzają panny różniące się najmniej proporcjami ciała od Wenus Milo; ważą człowieka w chwili zgonu, aby z odchylenia wagi obliczyć ciężar duszy odlatującej, i uciekają do schronów, gdy radio donosi, że Mussolini wypowiedział wojnę ziemi.

Florencja jest sławna ze swego usytuowania geograficznego. Nie tylko jej położenie nad Arno, gdzie stary kamienny most oblepiony jest skle-

piami przylepionymi do filarów jak gniazda jaskółcze, gdzie jubilerzy sprzedają pierścionki wzorowane na robotach Cellini'ego (ze skrytką na znaczek pod szmaragdem), gdzie werset z *Boskiej komedii* wyryty na kamiennym słupie przypomina, że już Dantego wzruszał ten kamienny przeskakujący wiecznie płynącą wodę; gdzie dzisiaj młodzi Angolicy, odporni na czule namowy tokańskiego wieczoru, wiosłują na skifach jak gdyby po Tamizie, a nie po Arno.

Więc nie tylko to. Nie tylko stary kasztel medycejski, nie tylko olbrzymie monolity stanowiące podmurowanie Palazzo Pitti, nie tylko ogrody po drugiej stronie Arna, ale przede wszystkim to, co się widzi, patrząc z Filozofa na wzgórze florentyńskie. To co wzruszało Goethego: łagodność i młody kraj obrazu, ułaskanego przez trzy tysiące lat kultury. Bo nie ma tam kamienia, którego by nie wygładziła ręka ludzka bezustannym dotykaniem.

Włoszki nie są piękne. Ale naprzeciw naszego hotelu był sklep tytoniowy, w którym godzinami przesiadywała młoda dziewczyna o idealnym owalu twarzy, o cerze matowej i złotawej, o oczach czarnych migdałowego koloru; ta Madonna florentyńska wpatrywała się godzinami w subiekta, jej narzeczonego, który przyjmował ten hołd dosyć obojętnie.

Młodzi uczestnicy zjazdu wstąpili do Wenecji, wracając z Florencji. Zapoznali się na ulicy z młodą wenecjanką, a ona oprowadzała ich wszędzie ku wielkiemu zadowoleniu młodzieńców. Gdy mieli odjechać, zapytali, jak ją mają wynagrodzić. Ona pieniędzy nie chciała; prosiła tylko, aby jej kupiono parę pończoch. Nie było jednak czasu na to, więc zapytali, ile kosztuje taka para i polecieli kupić samej. Ale nie znała dokładnie ceny, więc dano jej dwadzieścia lirów. Po dwóch tygodniach Zbigniew Łomnicki otrzymał we Lwowie przesyłkę pieniężną i list: wenecjanka doniosła, że odsyła resztę, bo pończochy kosztowały mniej niż 20 lirów.

We Florencji są wspaniałe okazy rzeźby greckiej z okresu Praksytelesa*. Cudowni są marmurowi *Zapaśnicy*, chyba piękniejsi niż *Wenus medycejska*.

Nie wracaliśmy przez Wenecję, bo byliśmy tam jadąc do Bolonii: tydzień mieszkaliśmy na Lido, przy ulicy Quattro Fontane; ponieważ willa nasza znajdowała się bliżej laguny niż morza, więc cena za duży pokój była znacznie niższa, a wygoda większa niż w Wenecji, gdzie moskity nie dają spać.

W Wenecji wyjechaliśmy windą na Kampanile, żeby oglądać laguny o zachodzie; jest to widok rzadkiej piękności.

Naszym celem była Werona. Podczas jednej z naszych podróży zapoznaliśmy się w przedziale z kupcem włoskim, bardzo rozmownym. Dowie-

* Autor *Laury i Filona* Franciszek Karpiński, zmarł bezpotomnie.

** (Fr.) Jest to myląca niedorzeczność.

* W Galerii Uffizi. Te same rzeźby zachwycaly już Autora w 1913 roku.

dziawszy się, że jedziemy na kongres matematyczny, oświadczył nam wręcz, że uważa takie kongresy za humbug, gdyż matematyka jest nauką zakończoną, zjazdów więc są tylko po to, żeby na koszt rządu przejechać się, zjeść i popić. Wprawdzie w przedziale był student chemii, który był innego zdania, ale pogląd kupca był dla mnie jeszcze jednym dowodem, że nauka nie może polegać na przyjaznej opinii szerokich sfer. Ludzie prości wierzą na słowo, że nauka jest potrzebna; wierzą, bo im samym nieraz dokucza analfabetyzm, nieznajomość obcych języków i nieznajomość prawa. Ludzie bardziej wykształceni mają swoje indywidualne poglądy; niektórzy uważają łacinę za niepotrzebną jako „język martwy”, inni znowu nie chcą matematyki jako nauki zakończonej. Radca Petelenz, dyrektor prywatnego gimnazjum we Lwowie, oświadczył mi, że Polaków karmi się piosenkami i poezjami, zamiast uczyć ich rzemiosła i dawać wiadomości potrzebne do życia. Gdy raz ośmieliłem się powiedzieć panu inżynierowi Lauterbachowi, niedużo starszemu ode mnie, że w „Krytyce” (prenumerowanej przez klub, do którego inżynier stale uczęszczał) jest interesujący artykuł, wszedł na mnie z wielkim patosem i oświadczył, że gdyby w Polsce wszyscy piszący takie artykuły „wzięli się do pracy” byłoby lepiej. Najwidoczniej uważał, że w krajach, gdzie jest „praca”, czyli Niemczech, w Czechach, w Danii, w Anglii i w Holandii wszyscy „pracują”, tzn. nikt nie publikuje artykułów w miesięcznikach literackich.

Pan Henry Ford powinien być zostać koronnym prezesem tych utyliści-rystów; dla niego nie tylko łacina, ale historia, matematyka i filozofia są jednakowo zbędne.

Nasz kupiec włoski uznał jednak astronomię za naukę dopuszczalną, prawdopodobnie uważał za pożądane przepowiadanie pogody i tę funkcję powierzał astronomii, albo też odczuwał czysto idealną potrzebę wzruszenia się niesłychanymi odległościami gwiazd. Ale spotykałem inżynierów, którzy wiedzą lepiej niż ów kupiec, czym jest astronomia i uważają ją za naukę luksusową. Cały ten chaos w głowach półinteligencji bierze się stąd, że nauka na prawdę nie jest dla każdego. Dla ogromnej większości ludzi ani zagadnienia naukowe, ani metoda naukowa nie jest dostępna. Rzecz ma się nie inaczej jak z poezją; znałem ludzi, którzy uważali poezję za ćwiczenia szkolne dla kształcenia młodzieży w stylistyce. Zdaje mi się, że wszystkie te sprawy są znanadto proste, by były zrozumiałe.

Frigyes Riesz poradził nam hotel w Weronie, ale przecenił nasze środki finansowe. Hotel był staroświecki, o olbrzymich pokojach umeblowanych antykami; nie mieszkał tam nikt z wyjątkiem okolicznej szlachty, która widocznie uważała ów mroczny pałac za swoją tradycyjną kwaterę. Hotel był tak drogi, że musieliśmy skrócić pobyt, żeby nie znaleźć się na lodzie.

Weronia ma dwa idealnie piękne place: Piazza Erbe i Piazza della Siga-
ria. Ma cudowne gotyckie nagrobki rycerzy von der Leiter czyli Scal-

gerich. Ci rycerze uzbrojeni, o zwycięskim uśmiechu północnych zdobywców, wykuci w białym marmurze, nazywają się Can Grande, Can I, Can II. „Can” znaczy: pies. Ich nagrobki stoją pod marmurowymi baldachimami i są zachowane bez uszczerbku.

W Weronie jest zamek warowny, otoczony fosą i niedawno odbudowany amfiteatr grecki; są ulice przypominające stary Kraków i duże place i budynki w stylu koszarowej Austrii.

Jest piękny kościół poświęcony św. Dionizemu, biskupowi murzyńskiemu. Stamtąd pojechaliliśmy do Desenzano nad jeziorem Garda i statkiem do Gardone, gdzie pozostaliśmy dwa dni. Jezioro Garda jest trochę melancholijne. Wyspa ocieniona piniami i cyprysami pokazywana jest jako model Wyspy umarłych Böcklina. Nad jeziorem rosną agawy i palmy. Z północnego brzegu jedzie się kolejką przez Rivę i Arco do Meranu. Wiosniona niemal uderzają o szyby wagoników. W skałę, kilkaset metrów nad jeziorem widać poziomą półkę: to sławna z wojny światowej droga „Poenale”, grób niejednego żołnierza. Przerwaliśmy podróż na przełęcz Brenner i zamieszkaliśmy w gospodzie „Zur Post”. Ten duży zajazd niewiele zmienił się od czasów, kiedy tu nocował Goethe. Na dole siedzieli celnicy włoscy i austriaccy, i grali w karty – dookoła ogromne lasy świerkowe.

W Innsbrucku przerwaliśmy znowu podróż. Dolina Innu, widziana z kolei idącej wysoko, wygląda jak równiutki zielony dywan – wioseczki skupione, błyszcząca rzeka i alpejskie obramowanie daje efekt sielskiej szczęśliwości.

W Innsbrucku postanowiliśmy kupić aluminiowe pudełko na jedzenie. W sklepie z przyborami turystycznymi stał za ladą właściciel w krótkich spodniach z gołymi kolanami, w kapeluszu alpejskim z olbrzymim piórem na głowie. Musieliśmy prędko zapłacić i wyjść, żeby nie pęknąć ze śmiechu.

Skorzystaliśmy z tego, że pociąg do Salzburga odchodził dopiero wieczorem i pojechaliliśmy kolejką linową w Alpy. Kolejki linowe są wyrzucaniem pieniędzy. Pewnie, że jest w tym pewna rozrywka – wznieść się w kwadrans o tysiąc metrów wyżej – ale kto sądzi, że kolejka linowa zanieśnie nas w góry, myli się. Tam, gdzie jest stacja kolejki linowej, tam nie ma gór. Tu nie chodzi wcale o zachowanie nieskazitelnej, „dziewiczej” przyrody, jak ją nazywa frazeologia romantyczna. Chodzi po prostu o to, by znaleźć się w miejscu, gdzie nie ma puszek po sardynkach, starych gazet, zapachu wywiałów i napisów reklamowych. Rozkosz gór wymaga mozolnego wchodzenia na strome ścieżki, polega na powolnym wymazywaniu z pamięci „szarych” dolin, zaduchu miast, zgiełku tłumów i natręstwa skupień ludzi. A kolejka ciągnie za sobą tę aurę aż do stacji końcowej.

Zwiedziliśmy po drodze Salzburg, piękne miasteczko baroku austriackiego. Widzieliśmy tam muzeum „ojczyzny i armii”, w którym przechowy-

wane są pieczętowanie stare portki austriackich generałów. Na dużych mapach zaznaczone są miejsca zwycięstw oręża austriackiego i dziwić się trzeba, że po każdym takim zwycięstwie granice tego kraju kurczyły się, aż zeszły do granic republiki austriackiej określonych w Saint-Germain*.

W Wiedniu spotkaliśmy się z siostrą mojej żony i szwagrem; zabrali nas do Bratysławy, gdzie on był dyrektorem rafinerii „Apollo”. Bratysława ma dziś cechy prowincjonalnego austriackiego miasta z eleganckimi cukierniami, starym zamkiem, i nawykami epoki, która w 1918 roku skończyła się na całym świecie, a tu jest pielęgnowana przez paru hrabiów z Ballhausplatzu, przez parę dam dworskich, uparcie jeżdżących w ekwipażach przypominających im szyk Prateru sprzed 1914 roku, przez bogatych Węgrów, którzy wolą austriackie towarzystwo od czeskiego, no i – *last but not least* – przez polską kolonię, która pod moralnym patronatem konsula uważa za stosowne naśmiewać się w towarzystwie słowackim z Czechów. Na nadzieje na podważenie spoistości państwa czesko-słowackiego przez schlebienie Słowakom, jako narodowi zasługującemu na przyjaźń Polski – wypadki 1939 roku rzuciły właściwe światło, kiedy to Słowacja, zaangażowana na państwo osobne, została natychmiast użyta jako baza, z której wkroczyły do kraju „mądrych po szkodzie” wojska tegoż właśnie Hitlera, który jej ten awans nadał.

Najpiękniejszą rzeczą w Bratysławie jest Dunaj, tam już bardzo szeroki. Po roku 1918 Dunaj został umiędzynarodowiony tak, że nie podlega zwierzchności czesko-słowackiej. Znalazł się Francuz, który na dużym łodzi przycumowanym do brzegu urządził kawiarnię i odmówił płacenia podatków, powołując się na wyjęcie rzeki spod władzy krajowej. Ale miasto znalazło na niego sposób: nie pozwoliło mu brać prądu do oświetlenia.

Napisy w Bratysławie są trójjęzyczne: na pierwszym miejscu słowackie, na drugim niemieckie, na trzecim węgierskie; czeskich nie ma wcale. Sprawa języka państwowego w Czechosłowacji jest tak postawiona, że oba języki są państwowe i np. profesor wykładający po słowacku w Pradze nie potrzebuje na to osobnego pozwolenia.

W Bratysławie mieszkał Swoboda, wielki specjalista od turbin, chyba jedyny uczony słowacki znany za granicami swojego kraju.

Po powrocie do Lwowa zważyło się na mnie wiele roboty. „Studia” wymagały intensywnej pracy redaktorskiej; dotąd we Lwowie nie było żadnych umiających składać matematyczny tekst w sposób przyjęty na świecie. Nie wiedzano np., że algebraiczne znaki muszą być stale składane kursywą, ale skróty wyrażeń (jak log, sin, lin) tylko antykwą. Trzeba było dobrać czcionkę bieżącą, trzeba było ustalić typ napisów pod paragrafami.

* W Saint-Germain-en-Laye, w 1919 roku, państwa Ententy zawarły z Austrią traktat regulujący zasady likwidacji monarchii austro-węgierskiej po I wojnie światowej.

i rozdziałami. Zająłem się tym z całą pedanterią; nie chciałem dopuścić do tego, by jedni autorowie używali imion, a drudzy tylko inicjałów imienia, by jedni pisali „Warszawa”, a drudzy „Varsovie” w tekście francuskim; w końcu ustaliłem sposób numerowania odsyłaczy i podawania tytułów dzieł cytowanych w odsyłaczach.

„Studia” ukazywały się w czterech językach: francuskim, niemieckim, angielskim i włoskim, ale przeważna część prac była pisana po francusku, trochę mniej po niemiecku, mało po angielsku, a włoska była tylko jedna. Z autorami mieliśmy kłopoty, bo albo robili korektę zbyt długo, albo zbyt pobieżnie.

Było też sporo roboty z wymianą „Studiów” na periodyczne publikacje zagraniczne i polskie. Mieliśmy w końcu wymianę ze stu trzydziestu periodykami. Do tego trzeba było kogoś, kto by te publikacje segregował i katalogował. Asystenci właściwie nie byli do tego obowiązani, na szczęście znalazłem w osobie pana Ludwika Sternbacha człowieka, który tę pracę spełniał inteligentnie i sumiennie. Oczywiście pracował bezpłatnie, jak cała redakcja. Do niego należała buchalteria, tzn. spisywanie wydatków i coroczne zdawanie z nich sprawy ministerstwu przy pisaniu podań o subwencję. Braliśmy ją najpierw z Funduszu Kultury Narodowej, a potem z ministerstwa. Gdy przyszedł kryzys skarbowy, prof. Bartel wyrobił nam subwencję koncernu naftowego „Małopolska”. Pewien dochód przynosiła też sprzedaż za granicą. Nadchodziły do nas czeki dolarowe, franki szwajcarskie i marki niemieckie. Z nakładu, który wynosił 500 egzemplarzy, około 200 szło na wymianę, tyle samo było przeznaczone na sprzedaż za granicą, a 100 na krajową. Co do tej ostatniej, to mieliśmy przykre doświadczenia z księgarniami! Wiele z nich uważało, że wydawca ma dostarczyć książkę księgarzowi, a czy tamten mu zapłaci i kiedy, to już wyłącznie sprawa księgarza. Niektórzy wyczerpawszy cierpliwość jednego wydawnictwa, nie mogąc przyznać się przed klientem żądającym książki, że jej na kredyt nie dostaną, a uważając sobie za zasadę: nie płacić, wyracali się do innego źródła. Tak np. zapytywano nas niejednokrotnie czy możemy dostarczyć „Fundamenta Mathematicae”. Ale wiedzieliśmy już od Bronisława Knastra, który prowadził administrację „Fundamentów” (a potem „Monografii Matematycznych”), co znaczy takie pytanie, i orientowaliśmy się, że bez zapłaty z góry nie można niczego poprosić.

Warszawiacy żądali od nas zobowiązania, że nie będziemy drukować z teorii mnogości; zobowiązanie to było zbędne, bo w naszym programie leżała teoria operacji, rachunek prawdopodobieństwa i inne dyscypliny uprawiane we Lwowie, a nie teoria mnogości, której w Polsce poświęcono aż za dużo miejsca. Cóż za zdziwienie, kiedy ten, który żądał od nas zobowiązania, przysłał nam własną pracę z teorii mnogości! Nie spełniliśmy jej.

Matematyka rozwijała się we Lwowie coraz bujniej. Na uniwersytecie było już czterech profesorów i trzech docentów, a ambicją prof. Bartla było, by i na Politechnice uprawiano nauki teoretyczne. Jak już wspominałem, korzystając ze swoich wpływów w rządzie, Bartel stworzył Wydział Ogólny na Politechnice. Wykładał tam matematykę powołany z Warszawy doskonały matematyk Kuratowski; Antoni Łomnicki i Władysław Stożek, którzy mieli katedry matematyki na inżynierii i mechanice, mieli też wykłady na nowym wydziale; wykłady zlecone mieli Banach i Ruziewicz z Uniwersytetu, Rubinowicz wykładał fizykę teoretyczną, a Bartel geometrię wykreślną.

Nie było jasne, jakie uprawnienia mają mieć absolwenci Wydziału Ogólnego; chciano dla nich zarezerwować posady nauczycieli matematyki w liceach technicznych, których jeszcze wtedy nie było. Ale każda dobra szkoła się przydaje; z Wydziału Ogólnego wyszedł Jan Blaton, który później został dyrektorem Państwowego Instytutu Meteorologicznego, i Stanisław Ulam, który wykładał później w uniwersytecie Harvarda (Cambridge, Massachusetts)*.

Gdy przyszła fala redukcji, upadł Wydział Ogólny; Kuratowski poszedł do Warszawy, a Rubinowicz na uniwersytet.

Towarzystwo Matematyczne rozwinęło się niebywale; posiedzenia odbywały się co tydzień i nieraz były trzy referaty na jednym posiedzeniu. Liczba rezultatów oryginalnych we Lwowie wynosiła kilkadziesiąt rocznie.

Zona Banacha wpadła na oryginalny i dowcipny pomysł. Ponieważ matematycy schodzili się zwykle w kawiarni „Szkockiej”, kupiła gruby oprawny zeszyt, który otrzymał nazwę „Książki szkockiej”. Ta książka pozostawała na przechowaniu w kawiarni, a każdy mógł jej zażądać, wpisać gadaninę z datą i podpisem, a także rozwiązanie. Książka ta obejmowała kilkaset zagadnień, obok wielu z nich były nagrody wyznaczone przez wydającego. Były zagadnienia, które obiecywały tylko małe piwo lub czarna kawę, i inne, za które można było otrzymać cały obiad lub żywą rybę. Były i takie, za które można było dostać *fondu à la crème* w Genewie. Książkę tej wiedzy także i ci, którzy nigdy nie byli we Lwowie; bardzo wiele zagadnień pochodziło od Banacha, Mazura i Ulama**.

Charakter matematyki lwowskiej zmieniał się w sposób widoczny. Uczyniali wyrabiać się specjaliści w różnych dziedzinach. Mazur zajmował się liniowymi metodami summacji, Auerbach geometrią różniczkową, Schauder równaniami różniczkowymi cząstkowymi, Kaczmarz i Ostaszewski szeregami ortogonalnymi, Nikliborc mechaniką nieba i figurami równowagi – że wymienię tych kilka przykładów.

* Obecnie Senior mathematician w Los Alamos, gdzie odegrał dużą rolę w realizacji bomby atomowej – przyp. Autora.

** Stanisław Ulam zmarł w 1984 roku.

Najciekawszą cechą była współpraca. Np. pracę o zasadzie zagęszczania osobliwości napisałem razem z Banachem, pracę o rozkładzie kuli na części, z których następnie można złożyć większą kulę zrobił Banach z Tarskim, pisali też razem Mazur z Orliczem, młodszy Łomnicki z Ulamem, Ruziewicz z Sierpińskim itd. Łącząc nazwiska współpracujących linii można było dojść z Polski do matematyków każdego z głównych krajów świata.

Można było wyróżnić „szkoły”. Szkoła Banacha zajmowała się teorią operacji, szkoła Kuratowskiego topologią, szkoła Chwistka logiką matematyczną; ja starałem się skierować zainteresowania moich uczniów w kierunku rachunku prawdopodobieństwa i matematyki stosowanej. Na Politechnice Bartel zajmował się stosunkiem geometrii wykreślnej do artystycznego przedstawienia przestrzeni; w tym celu studiował włoskie sztuki i obrazy i wydał o nich piękną rozprawę. Długo radziłem się przyjaciół, czy mam się odważyć na seminarium z fizyki matematycznej; za radą dra Blumenfelda zdecydowałem się na to, i razem z Banachem, przy pomocy dra Blumenfelda, prowadziliśmy przez rok takie seminarium. Wprowadziło to dosyć kulawo, ale zmusiliśmy kilku studentów do zapoznania się z rzeczami, których by zapewne bez tego nie oglądali.

Innej znowu pracy dostarczało nam ministerstwo przez ciągłe zmiany, reformy i ankiety. Wprowadzenie magisteriów i systemu trymestralnego zmusiło każdego z nas do egzaminowania po kilkadziesiąt osób trzy razy do roku. Z początku odbywaliśmy te egzaminy razem, w jednej sali, przy kilku dużych tablicach równocześnie. Było to męczące dla nas i dla studentów. Potem przeszliśmy do innego systemu: każdy egzaminował w swoim gabinecie; kandydat musiał jednak poddać się dwóm takim egzaminom, a egzaminatorzy po naradzie we dwóch ustalali wynik jako wypadkową z wypracowania pisemnego i dwóch ustnych przesłuchań. Ten sposób miał tę zaletę, że egzaminatorzy mogli sami zobaczyć, czy umieją poprawnie egzaminować. Wkrótce doszło do tego, że liczba tych kandydatów, co do których trzeba było dyskutować notę, nie wynosiła więcej niż 10%; przypadki jaskrawej sprzeczności not (bardzo dobrze – niedostatecznie) zdarzały się chyba nie częściej niż raz na sto.

Obok tych egzaminów mieliśmy też inne; raz Wydział nasz postanowił ograniczyć liczbę przyjmowanych studentów i uzależnić przyjęcie od wyniku egzaminu wstępnego. Zdarzyło mi się, że matka jednej z kandydatek, palonych przeze mnie przyszła do mnie, gdyż córka, która odznaczała się w szkole jako matematyczka, nie mogła przeboleć tego, że jej koleżanki, które pobierały u niej lekcje, zdały, a ona nie. Poradziłem matce, by przyjechała córkę do mnie, a ja jej wytłumaczę, jak mało traci student na formalnej stracie roku, jeżeli pracuje. Zaledwie nikły odsetek kończy studia w minimalnym ustawowym czasie i niemal zawsze spóźnianie się z egzaminami ostatecznymi zatrzymuje studenta. Matka dała się przekonać i przy-

stała córkę. Ta w rozmowie ze mną przyznała się, że jej celem było studium architektury na Politechnice Lwowskiej, i że tam odrzucona – zgłosiła się na Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu. Zapytałam, jaki gmach we Lwowie najbardziej się jej podoba. Wskazała na dom kawiar-
ni „Ritz” („Louvre”), olbrzymią budę w stylu wiedeńskiej secesji, obłożoną ciężkimi sztukateriami z ciemnego cementu. Zapytałam o katedrę łacińską. Nie wiedziała, gdzie się ten kościół znajduje. A przecież spędziła wszystkie lata gimnazjalne we Lwowie i to, że była Żydówką chyba jej nie usprawiedliwia! Jako kurator Towarzystwa Żydowskich Studentów miałem do czynienia z tą młodzieżą. Nie byli z pewnością gorsi od przeciętnej, z pewnością lepsi od tych, którzy napadali na nich, uzbrojeni w noże i kastety, ale mieli mało wychowania i wrodzonej kultury, a już zupełnie byli pozbawieni instynktu politycznego. Stanowili około 30% ogółu studentów, a ponieważ rzadko byli zwalniani od opłat, więc ich wkład stanowił około 50% tych funduszy, z których znowu większość, a więc około 90% szło na budowę domów akademickich i burs, do których oni sami nie mieli wstępu. Po ukończeniu studiów mieli zamkniętą karierę administracyjną, niemalże niedostępną zawód nauczycielski, a ponieważ wydział medyczny przyjmował ich zaledwie 10%, przy znacznym ograniczeniu liczby ogólnej przyjęć, więc bardzo niewielu mogło liczyć na uzyskanie dyplomu lekarskiego. Na Politechnice było dla nich nie lepiej. Zamiast wysnuć z tego jedyny politycznie jasny wniosek, to znaczy zrezygnować ze studiów wyższych, zamiast przedstawić swoją sytuację jasno *urbi et orbi*, oni skarżyli się w prasie syjonistycznej na różne krzywdy, wymieniając poszczególne przypadki dyskryminacji, powołując się na zasady humanitaryzmu i demokracji, i zupełnie nie rozumiejąc, że społeczeństwo, które ich otacza, mało z demokracją ma wspólnego. Nie znali historii i nic nie wiedzieli o strajku szkolnym w Krakowie w roku 1905. A przecież mogli doskonale zorganizować nauczanie prywatne, tajne lub jawne, tak jak Polacy w 1905 roku. Rzeczywiście organizowali. Ale nie oni jako całość, lecz kilku sprytniejszych, którzy utworzyli kursy przygotowujące do egzaminów. Za kilkaset złotych można tam było przygotować się do każdego egzaminu, co więcej – można było za kilkaset złotych kupić sobie pracę dyplomową, egzaminacyjną lub doktorską z dowolnej dziedziny. Gdy raz wyszła sprawa na jaw i przyłapano na Politechnice taką pracę, oburzenie profesorów bardzo szybko się uspokoiło, bo ze skrupulatnie prowadzonych notatek „rektora”, tamtego „akademii wszech nauk”, wynikało niezbicie, że synowie profesorów Politechniki uzyskiwali tytuły inżynierów dzięki pracom zakupionym w „akademii”. Tak więc wytworzyli porozumienie bardzo typowe z tą młodzieżą, która ich wyrzucała z ławek audytoriów; dzięki temu porozumieniu praktycznie usposobiona część młodzieży żydowskiej sprzedawała wiedzę potajemnie tej części młodzieży polskiej, która wyróżniała się częściej gotówką i brakiem skrupułów, niż pragnieniem wiedzy.

Pisząc o tych sprawach muszę przypomnieć, że w tych latach Wydział Filozoficzny Uniwersytetu został podzielony na dwa: Humanistyczny i Matematyczno-Przyrodniczy, tak że profesorowie otrzymali nowe nominacje. Ustawa o szkołach akademickich z lipca 1920 roku miała duże zalety: była krótka i umieliśmy ją niemal na pamięć. Pisał ją profesor, tzn. ktoś, kto wiedział, czym są szkoły akademickie. Narzucono nam statut uniwersytecki. Postanowienia tego statutu były sprzeczne z ustawą. Kilku z nas, z inicjatywy śp. prof. Negrusza zajęło się statutem; znaleźliśmy w nim kilkadziesiąt sprzeczności z ustawą i zaskarżyliśmy statut do Trybunału Administracyjnego, gdzie wygraliśmy sprawę. Potem przyszła sprawa brzeska*, czyli uwięzienie posłów w twierdzy w Brześciu nad Bugiem, gdzie posłów tych bito, maltretowano i morzono głodem. Wielu z nas (i ja między nimi) podpisało protest brzeski. Doprowadziło to ministerstwo do białej gorączki, więc postanowiono opracować inną ustawę o szkołach akademickich, umożliwiającą kasowanie katedr wbrew woli fakultetów. Najgorsze w tym było to, że autorytet profesorów w społeczeństwie był już zachwiany. Profesorowie, którzy obok pensji mieli znaczne dochody z egzaminów i z wykładów zleconych, nie zawsze usprawiedliwiali swój dobrobyt pracą naukową. Wielu z nich uprawiało ordynarną agitację polityczną, bądź to pisząc artykuły do prasy codziennej, bądź też organizując różne mafie polityczne, bądź też w końcu opanowując administrację zakładów i wydziałów, tak jakby to były prywatne folwarki. Skandaliczne sprawy kryły się, niestety, w murach szkół akademickich. Profesorowie mianowali swoje kochanki asystentkami (lub przeciwnie – czynili asystentki – kochankami), zabierali sobie wykłady zlecone, ten często jedyny dodatk do życia docentów. Opuszczali następnie wiele godzin, nie mogąc wywiązać się z obowiązków, po cichu podsycali anarchistyczne zapędy studentów, zwłaszcza z odłamu narodowo-radykalnego, a z katedr robili bazy, z których mogli bezkarnie atakować zniechęcony sanacyjny rząd. Łamali obłudnie ręce nad zagrożoną „wolnością akademicką”, gdyż wiedzieli, że studenci i niemała część dorosłych, uważają autonomię akademicką za ustawę, która nie pozwala interweniować policji, gdy młodzież bije Żydów pałkami, zrywa wykłady i urządza co parę dni „strajki”. Właśnie kryło się niebezpieczeństwo z dołu. Młodzież demonstrująca przeciw Jędrzejewiczowi, sanacyjnemu ministrowi oświaty, rząd sanacyjny chcący się uderzyć tę młodzież, ale dający do zrozumienia społeczeństwu, że awantury są organizowane przez profesorów, w końcu ci profesorowie powołujący się na święte przywileje autonomii i biadający nad losy nauki polskiej, która będzie zagrożona, jeżeli się zamknie do krymi-

We wrześniu 1930 roku.

nału zbira zrzucającego koleżanki ze schodów – tak przebiegał atak koncentryczny, uniemożliwiający nam spokojne i konsekwentne wykorzystanie świetnych możliwości, jakie dawała nam praca kilkunastu zdolnych i pracowitych ludzi. Podział Wydziału Filozoficznego przyspieszył zmianę dziekańską i na rok 1930/1931 zostałem wybrany dziekanem Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego. Gdy byłem w Warszawie w sprawach uniwersyteckich u wiceministra Pierackiego, nie zostałem przez niego przyjęty! Był to afront za podpisanie protestu brzeskiego.

W tym czasie odwiedził mnie prof. Gröer, pediatra lwowski, którego poznałem w 1915 roku, kiedy był on asystentem Pirqueta w Wiedniu i bywał na Währingerstrasse 33 w „Atlancie”, gdzie mieszkała jego narzeczona. Pirquet używał zastrzyków tuberkuliny Kocha dla rozpoznania gruźlicy u dzieci. Zastrzyk u chorego dziecka dawał w miejscu nakłucia dosyć znaczny czerwony bąbel, u zdrowego tego objawu nie było, albo też było zdecydowanie mniejsze. Gröer zajął się systematycznym badaniem średnicy bąbla i wykrył, że jest związek między średnicą d bąbla a koncentracją roztworu tuberkuliny; koncentrację tę nazywamy liczbą k , która określa ilość 10^{-k} cm³ tuberkuliny w 1 cm³ wody. Gröer wykreślał na płaszczyźnie (d , k) krzywą ujmującą ten związek. Aby wykreślić ją w danym dniu dla danego pacjenta, trzeba mu było zaaplikować kilka lub kilkanaście zastrzyków podskórnych o różnych koncentracjach. Ideą Gröera było wprowadzenie diagnostycznych wniosków w postaci krzywej. Poradził mi, żeby użył papieru logarytmicznego drukowanego przez firmę Schleicher i Schüll, gdzie na obu osiach są umieszczane skale logarytmiczne. Taki papier przydatny jest wtedy, gdy związek między logarytmami badanych wielkości jest prostszy niż związek między nimi samymi. Okazało się, że w tym przypadku związek był liniowy; na papierze logarytmicznym wychodziła linia prosta. Ułatwiło to niezmiernie wykreślenie „krzywej alergii”, tzn. krzywej d , k – danego pacjenta, gdyż wystarczyło mieć tylko zastrzyki i odpowiednie średnice. To tzw. prawo alergii uważał Gröer za bardzo ważne dla diagnozy gruźlicy u dzieci. Ale samo dla siebie nie miało jeszcze diagnostycznego znaczenia. Trzeba było scharakteryzować alergię za pomocą dwóch parametrów. Ten to cel przyświecał Gröerowi. Jeszcze zanim rozwiązaliśmy to zadanie, miał już on nazwy dla tych parametrów; „reaktywność” i „sensytywność”. Jako parametry wziął po prostu zwyczajne długości odcinków wyciętych na osiach przez punkty prostą alergii. Tym sposobem stan pacjenta w danej chwili był scharakteryzowany dwoma parametrami R (reaktywność) i S (sensytywność). Łatwo było otrzymać za pomocą dwóch zastrzyków. Na płaszczyźnie (R , S) te parametry dawały jeden punkt (o współrzędnych zwyczajnych R i S). Tak więc jeden punkt reprezentował dzienny stan pacjenta. Wyznaczenie codziennie punkt, otrzymywało się po miesiącu na „płaszczyźnie alergii” danego pacjenta. Doświadczenie pokazało, że punkt pacjenta, którego

się poprawia, biegnie po torze w innym kierunku, niż punkt pacjenta, którego się pogarsza. Tak więc daleko odeszliśmy od dawnej metody Pirqueta wnioskowania z jednego zastrzyku.

Metoda Gröera ma tę ujemną stronę, że średnica bąbla nie da się mierzyć dokładnie. Postanowiliśmy zatem mierzyć pole bąbla. W tym celu używał Gröer, za moją radą, siateczki złożonej z punktów odległych od siebie o 3.16 mm; były one wytrawione w szkłe, które się przykładano do bąbla; licząc punkty otrzymuje się po pomnożeniu przez 10 pole w mm².

Po ogłoszeniu tego wszystkiego w kilku publikacjach Gröera i jego współpracowników (Kochanowski, Chwalibogowski i in.) ukazał się w „Pediatrii Polskiej” artykuł pediatry warszawskiego Michałowskiego*, bardzo zacnego człowieka, najzupełniej moim zdaniem humorystyczny**. Michałowski wcale nie zaatakował słabych stron metody Gröera, a więc niemożności dokładnego mierzenia bąbla, zależności tak zawiłego zjawiska jak bąbel od zupełnie innych czynników niż gruźlica, czego najlepszym dowodem jest zupełna niestosowność metody w przypadku dorosłych. W końcu nie poruszył sprawy zasadniczej: jak udowodnić wartość diagnostyczną sposobu Gröera, skoro nie ma żadnej innej skali oceny klinicznej obrazu tuberkulika? Zamiast tych – istotnie poważnych – zarzutów, wypisał niesłychane nonsensy, w tym stylu, że „zwyczajna matematyka nie nadaje się do takich zjawisk biologicznych, z jakimi ma do czynienia medycyna”. To jeszcze bym mu darował, ale... nie stwierdzenie: „nadaje się do tego czterowymiarowa matematyka Łukasiewicza i Leśniewskiego”? Znałem dobrze tych logików, lecz do dziś nie wiem, czego chciał od nich doktor Michałowski. Obok tego artykułu pojawiły się dwa inne: p. Grądzewskiego i jeszcze jakiegoś mędrca, którego nazwiska nie pamiętam***. Jeden z nich był kopalnią ignorancji matematycznej (autor nie rozumie, np., że z $a = b$ wynika $\log a = \log b$). Drugi był stekiem nonsensów i naszpikowany nazwiskami (takimi jak Planck, Einstein, Eddington) oraz kwantami, elektronami, gwiazdami – podobny był do spisu rzeczy zaginionych w skradzionej sakwie Kurda w bajce arabskiej *Pers Ali*. Odpowiedział na to wszystko Stanisław Mazur w „Mathesis Polskiej”, o ile się nie

* Tak w oryginale. Autorem artykułu był prof. Mieczysław Michałowicz.

** Nie był to osobny artykuł. Całość sprawy przedstawiono w „Pediatrii Polskiej” w 1935 roku (tom XV, zes. 6, będący „Pamiętnikiem V Zjazdu Pediatrów Polskich – Łódź, 1-3 listopada 1935). Franciszek Gröer przedstawił tam referat: *Zastosowanie paterometrii i allergometrii* (s. 407-419), a Mieczysław Michałowicz odpowiedział mu w dyskusji (s. 421-423).

*** Były to dalsze głosy w tej samej zjazdowej dyskusji: Jana Grądzewskiego – *Wpływ matematyki do odczytu o paterometrii i o allergometrii* (tamże s. 433-438) i Zofia Marzeckiego – *Matematyka a medycyna* (s. 426-432).

myślę. Odpowiedział zbyt poważnie. A ja przypominałam sobie ulubione przysłowie naszej służącej: „Głupców jest dużo na świecie, ale tego nie znać, bo oni razem nie chodzą”.

Miałem też zamówienia z innej strony. Córka moja, wówczas dziesięcioletnia, skarżyła się, że kazano jej zmierzyć (jako zadanie domowe) długość Wisły, i że sposób podany przez nauczycielkę – mierzenia nitką – jest w praktyce nieprzydatny. Wtedy wymyśliłem siatkę do mierzenia zwaną longimentem, którą później Książnica Atlas dodawała do swoich map.

Jako dziekan miałem dosyć dużo zajęć. Co dwa tygodnie było posiedzenie Wydziału. Zaczynało się o piątej po południu i nieraz przeciągało się do dziesiątej. Potem szliśmy na kolację do „George’a”. Zwykle dotrzymywał placu Krzemieniewski, Rogala, Kulczyński, Ruziewicz i Tokarski, inni rzadziej. Były posiedzenia różnych komisji, którym przewodniczył dziekan. Trzeba było także dwa razy tygodniowo, w wyznaczonych godzinach przyjmować petycje studentów. Trzeba było w końcu wysłać pisma urzędowe w związku z uchwałami Wydziału. Wtedy właśnie stała sprawa obsady katedry geografii po ustąpieniu Eugeniusza Romera. Mieczysław Limanowski z Wilna, polecony przez Romera, nie przyjął propozycji, prowadziło się więc korespondencję ze Stanisławem Pawłowskim z Poznania. Ten przyjechał na rozmowę, ale ani nie przyjął, ani nie odmówił. Później się dowiedziałem, że czekał, aż go wybiorą w Poznaniu na rektora, gdzie tym sposobem chciano go zatrzymać. W końcu profesorem został Julian Czyżewski.

Najprzykrejszym obowiązkiem były dla mnie posiedzenia senatu. Siadali tam – po trzech – reprezentanci pięciu wydziałów oraz rektor i prorektor. Byli to po większej części ludzie mało mi znani i zupełnie inaczej traktujący sprawy uniwersyteckie, niż moi bliźsi koledzy. Senat był kompetentny w sprawach młodzieży. Nastęczało to nieustannie kłopotów. Gdy już wyjątkowo nie było na posiedzeniu żadnej bieżącej sprawy, zjawiało się np. podanie „Odrodzenia”, czy też innych młodzieńskich religiantów, proszących senat, by spowodował usunięcie z sali plakatów kinowych i innych, postaci obnażonych kobiet, bo tego rodzaju reklama zamąca spokój młodzieży, która chce się uczyć. Pamiętam, że zabierałem głos w tej sprawie i postawiłem wniosek, by senat odesłał to podanie do województwa, jako do władzy kompetentnej, ale bezskutecznie. Czy może być coś idiotyczniejszego niż „młodzieniec”, który tak nieodporny na pokusy, że leci do śródmieścia, aby zobaczyć na plakat kinowym dziewczęcy zadek, a potem już nie może się uczyć, musi pisać podanie do senatu, aby go bronił przed papierową Afrodytą?

94 d. u. p. Rektor Krzemieniewski był godny swojego wysokiego urzędu. Nie leżał do tych, którzy uginają się przed pajdokracją. A właśnie pod

jego urzędowania* przypadły demonstracje z powodu śmierci studenta Wacławskiego w Wilnie i z powodu zabójstwa studenta Grodkowskiego we Lwowie. Był on zwolennikiem jawnych wystąpień i – pamiętam – raz wybrał się, wraz z małym senatem (tzn. dziekanem i prorektorem) na wiec w westybulu uniwersytetu. Widziałem z bliska stół prezydium tego wiecu. Byli to akademicy mający za sobą długie lata roboty demagogicznej. O dyskusji, argumentach nie było mowy. Dla zjednania sobie przychylności naszej panowie ci występowali w obronie nauki przeciw zamiarom ministerstwa, które jakoby chciało wprowadzić nominatów na miejsce profesorów powoływanych przez wydziały. Głównym jednakże ich celem było uchwalanie antysemickich rezolucji. Kiedy zabrzmiał okrzyk „śmierć Żydom” kurator wiecu, prof. Longchamps musiał interweniować. W prezydium była też jakaś reprezentantka studentek nazwiskiem Piepes-Poratyńska, która wysłuchiwała elukubracji rasistowskich swoich kolegów, a potem dziwiła się, że jej się nie kłaniają. Naturalnie co parę tygodni urządzano „dni bez Żydów”, tzn. nie wpuszczano Żydów na uniwersytet. Zwykle na to kilkunastu profesorów przerywało wykłady, a potem rektorat zawieszal je na czas nieograniczony. Tak „strajk” zamieniał się na „lokaut”. Podczas jednego z takich lokautów wychodziłem z gmachu na ul. Kościuszki, gdzie woźni pilnowali bramy zamkniętej na polecenie rektora. Do bramy szturmowali młodzieńcy, widocznie już nie mogący opanować pragnienia wiedzy. W moich oczach jeden, niedużego wzrostu, wdarł się przez drzwi, objął wpół woźnego i hołubcem, jak w mazurze, odbił go od bramy. Podeszedłem do niego i zażądałem nazwiska. Na to on:

— Nie podam nazwiska, niech mnie policja aresztuje!

Powiedziałem mu, że tu żadna policja nie jest władzą, i że jestem dziekanem Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego. Ukłonił się i podał mi swój indeks studenta pierwszego roku Politechniki. Indeks zaniósłem do rektoratu i opisałem zajęście rektorowi. Ale następnego dnia zapytał mnie prorektor, prof. Edmund Bulanda, czy zgadzam się na wydanie indeksu studentowi, bo jego matka rozpacza i o to błaga. Odpowiedziałem, że nie jest to moja sprawa, lecz rektora, i że ja osobiście nie jestem zainteresowany. Okazało się potem, że prof. Bulanda oddał indeks bez wiedzy rektora. Tzw. „młodzieź” nie pozwoliła szkołom pracować ani przez miesiąc. Profesorowie dawali do zrozumienia rządowi, że rozruchy wywołane są jego postawą, nieprzyjazną wobec autonomii szkół akademickich. Rząd dawał do zrozumienia sejmowi, że profesorowie są podżegaczami wystąpień młodzieży, i że tym sposobem prowadzą gierkę polityczną przeciw obywatelowi marszałkowi Piłsudskiemu. Młodzież zaś broniła się przed opinią

* Seweryn Krzemieniewski był rektorem Uniwersytetu Lwowskiego w roku akademickim 1931/32.

publiczną, że w imię świętych hasel patriotyzmu musi wyrzucić Żydów z uniwersytetu, jako zagrażających polskości, religii i cnocie, i jako rozsądników komunizmu, bolszewizmu, internacjonalizmu i pacyfizmu. Policja, zadowolona z tzw. „autonomii terytorialnej”, traktowała ją z przesadną poprawnością, jak gdyby nie wiedziała, że w czasie ekscesów zagrażających bezpieczeństwu życia lub całości mienia państwowego ma obowiązek wkroczyć na terytorium autonomiczne. Społeczeństwo nie bardzo lubiące zastanawiać się nad zawiłymi kwestiami, nie umiało sobie wyrobić zdania. Ale muszę przyznać tzw. „sferom niższym”, tzn. robotnikom, służącym, babom na wsi, że uważali ekscesy studenckie za dowód karygodnej samowoli. Krytykowali demonstrantów. „Zamiast Bogu dziękować, że nie potrzebują ciężko harować, i że mogą za ojcowskie pieniądze uczyć się, oni robią zbytki” – słyszało się komentarze.

W roku 1931 umarł mój teść w Krakowie. Na wiosnę 1932 roku przyjechał do Lwowa z ramienia ministerstwa wyższy urzędnik dla przeprowadzenia lustracji Uniwersytetu. Musiałem na polecenie rektora oprowadzać tego, bardzo zresztą sumiennego urzędnika, po wszystkich zakładach Wydziału. Mieliśmy zasadę, że we wszystkich kwestiach, o których nie decydowała ustawa z 1920 roku mająca charakter ramowej, radziliśmy się austriackiego zbioru ustaw i rozporządzeń akademickich (Beck-Kelle). Uważaliśmy, że nie ma potrzeby zastanawiać się na nowo nad pytaniami, na które dawno odpowiedziała wieloletnia praktyka kilkunastu szkół akademickich byłej monarchii. Otóż okazało się, że ów referent szkolnictwa wyższego wcale tej książki nie znał. Ale to było jeszcze złoto w porównaniu z delegatem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, który udał się do dziekana Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego i zapytał go: proszę mi wyjaśnić, jaką komórkę w organizacji uniwersytetu stanowi dziekanat? Otóż wydawać by się mogło, że odpowiedź na to pytanie znajduje się w ustawie z roku 1920, która jest tak krótka, że w czasie jazdy tramwajem z ministerstwa na Krakowskie Przedmieście delegat ów mógł ją przeczytać w całości, i że raczej ów dziekan mógł się pytać ministerstwa (i z pewnością nieraz to musiał czynić), jakie prerogatywy przyznaje minister dziekanom poza tymi, które są wyraźnie wymienione. Ale takie rozważania rodzą się tylko w głowach galicyjskich prawników, są zupełnie niedostępne dla ożywionych radosną twórczością stołecznych amatorów sztuki rządzenia.

W roku 1931 pojechaliśmy wszyscy troje do Kosowa ze względu na zdrowie Lidki. Jazda do Kosowa stanowiła rodzaj gry hazardowej, gdyż w Kołomyi trzeba dalej jechać autem, a zwykle było jedno auto na stację, które dyktowało sobie fantastyczne ceny. Prowadził je szofer, który, widząc

nas, co chwilę zasypiał z powodu gorąca. Miał on jednak „pomagierę”, który go budził za każdym razem. Kosów leży tak dziwnie, że chmury idące wzdłuż doliny spływają w boczne doliny górskie, położone skośnie do głównej, i deszczu tam jest bardzo mało. Co do owoców – przesada: było ich dosyć dużo, ale gatunek pośledni.

Pensjonat „Halina” był niezły; przyjechało tam dużo osób z Warszawy. Tam nadawało sanatorium dra Tarnawskiego. Jego kuracjusze obowiązkowo chodzili w ubraniach z białej siatki. Zrobił mi takie ubranie tamtejszy specjalista – kosztowało 22 zł (materiał z robotą) i wytrzymało kilkanaście sezonów. Był to dla mnie jeden z dowodów na żydowski wyzysk; choć przez to powiedzieć, że to ja wyzyskałem krawca.

Obok zwykłych zajęć letników, tzn. spacerów do lasu i próżnowania nad rzeczką, znaleźliśmy wnet inne. Były bowiem w Kosowie małe cukierenki żydowskie, w których można było jeść „makagigi” i „gluden”, dziwny płatek migdałowy przekładany różnymi owocami. Były też tam sklepy, gdzie można było dostać kozinę, specjał ormiański; była znakomita restauracja w pobliskich Kutach, gdzie spotykało się kuracjuszków Tarnawskiego, którzy w tajemnicy zjadali befsztyki, zakazane przez jarski *régime*. Na rynku w Kosowie można było kupować chustki, koszule i skarpety wyszywane ruską polichromią*. Ale najciekawsze były paciorki sprzedawane w straganach przez przekupki; ich dostawczyniami były baby wiejskie, pozbywające się staroświeckich naszyjników w zamian za nowoczesną tandetę. Otóż te paciorki były duże, do jednego centymetra średnicy, z barwionego szkła lub porcelany; były białe, malowane pastelowo, były czarne ze złoceniami, były w końcu szklane, rżnięte, w kolorze pięknej zieleni, przezroczyste. Cena ich wahała się od 5 do 12 groszy za sztukę. Były też sznurki pereł kuckich, wielkości wiśniowych pestek i koloru drzewa wiśniowego, bardzo piękne i z niewiadomego mi materiału. Skąd się na Potociu wzięły te paciorki, których nie było nigdzie w handlu w Polsce, nie wiadomo. Dopiero Vincenz mi wytłumaczył, że sto lat temu, gdy Wenecja należała do Austrii, pułk, rekrutowany na Huculszczyźnie, stał załogą w Wenecji przez wiele lat. Żołnierze kupowali paciorki weneckie i przywozili je dziewczętom, a ponieważ trwało to długo, więc tysiące wojaków nasycało cały powiat tymi ozdobami, których już później nie fabrykowano.

Pamiętam wycieczkę pieszą do Kut z żoną, panią Smolińską, i panią G. z jej dziećmi; spotkał nas po drodze straszny grad, tak że śliskie kulki na rękawie uniemożliwiały wspinanie się pod górę. Innym razem poszliśmy na wyprawę z panem Smolińskim z Poznania i postanowiliśmy wracać nocą przez las, nie znając drogi. Ścieżka się skończyła, a słońce zaszło, na prawo i na lewo mieliśmy tylko widły potoczka. Wtedy żona moja zdecydowała, żeby przy użyciu lasek i wzajemnego windowania wspiąć się o kilka

* Wielobarwnie.

metrów wyżej. Okazało się, że jest tam płaszczyzna, którą, idąc za gwiazdami, przeszliśmy dwie mile i doszliśmy do szosy niedaleko Kosowa.

Wybraliśmy się też do Jaworowa kupować łyżniki*, włochate, dywany huculskie, bardzo dekoracyjne i ciepłe, tkane z owczej wełny i barwione żywo (niestety anilinowymi farbami, zamiast dawnych ziemnych). Kupiliśmy wtedy łyżnik, który służył mi za nakrycie tapczanu aż do wojny.

Podczas tych naszych zajęć wakacyjnych na horyzoncie uczelnianym gromadziły się różne chmury. Ministerstwo opracowało projekt ustawy o szkołach akademickich. Gwoździem projektu było postanowienie, że ministerstwo może samowolnie likwidować wydziały, oddziały i katedry. Profesor, któremu zlikwidowano katedrę, przestawał być *eo ipso* profesorem. To postanowienie miało pozór obiektywizmu, gdyż było uzasadnione koniecznościami skarbowymi i deklaracją, że nie ma się na celu osób, lecz kasuje instytucje drogie i zbędne. Uniwersytet Jana Kazimierza zwołał zebranie profesorów, którzy wypowiedzieli się przeciw ustawie. Nie była to jednak rezolucja oficjalna, bo takiej instytucji jak ogólne zebranie u nas nie było. Ktoś więc na posiedzeniu senatu musiał tę rezolucję postawić jako swoją. Zaproponowano to mnie i zgodziłem się. Był to marzec 1932 roku.

Z końcem roku 1932 zachorował mój Ojciec. Zatelefonowano do mnie z Jasła, pobiegłem do profesora Renckiego i pojechałem z nim. Stan Ojca był bardzo ciężki. Miał w grudniu grypę; po niej poszedł do biura w mroźny dzień i dostał ataku sercowego. Gdy się położył – przyszedł „infarkt” czyli skurcz naczyń krwionośnych w nodze, który objawił się siną plamą w połowie łydki. Te objawy, wraz z cukrzycą i sklerozą 78-letniego człowieka, stanowiły kompleks chorobowy beznadziejny. Rencki, wyszedłszy z pokoju Ojca uprzedził mnie, że niebawem należy oczekiwać zgonu. Ojciec zawołał mnie i wydał szczegółowe dyspozycje co do kolacji dla profesora Renckiego, porządku miejsc, win, jakie należało podać itp. Po kolacji odprowadziłem profesora na dworzec, a on kazał mi zaraz wracać do domu, jako że w tym stanie Ojca droga była każda minuta. Ale ja wiedziałem, że Ojciec ma jeszcze rezerwy sił. I rzeczywiście zaczęła się walka ze śmiercią, którą moja Matka, rodzeństwo i żona prowadziliśmy przez cztery miesiące z górą.

Ciągłe eskcesy na uniwersytecie i zawieszanie wykładów umożliwiły mi przez ten czas przebywanie w Jasle niemal bez przerwy. Dla badania krwi sprowadziliśmy dra Osterna ze Lwowa, dla aplikowania różnych zastrzyków prof. Parnas poradził mi dra Baranowskiego, który przez kilka tygodni u nas mieszkał. Sprowadzono pielęgniarkę Niemkę. Dwóch lekarzy (dr Kornmehl i dr Lanes) przychodziło niemal codziennie. Ponieważ chodziło o wyleczenie cukrzycy insuliną, więc lekarze musieli codziennie układać

* Właściwie: łyżniki – w potocznym języku ukraińskim: grube, wełniane koce.

lecie dla pacjenta. Wymagało to obliczania zawartości białka, tłuszczu i węglowodanów w każdej porcji pokarmu. Humor nie opuszczał mego Ojca.

— Widzisz – mówił do mnie – tam obok ci dwaj rachują już od godziny, a błąd rachunku ja dostanę jutro na śniadanie.

Kiedy się spóźniali, mówił: – Niepunktualność lekarzy nie pozwoli mi nawet umrzeć w porę.

Ojciec cierpiał, ale nie pokazywał tego po sobie. Nie był niecierpliwy. Zostawał godzinami sam z pielęgniarką. Mój przyjaciel Janek Adamski odwiedzał go i opowiadał, co się dzieje w mieście. Bardzo mu byłem za to wdzięczny. Prowadziliśmy walkę przeciw śmierci, zacieklą i beznadziejną. Obdużyliśmy dwa domy. Sprowadziliśmy z Krakowa specjalistę od cukrzycy, dra Blassberga. Walka musiała być, oczywiście, przegrana. Najbardziej gnębiące było to, że plama gangreny rozszerzała się i trzeba było rozstrzygnąć sprawę amputacji. Mimo zdania dra Kornmebla uznaliśmy, że 78-letniego człowieka poddać amputacji nogi, to narazić go na niepotrzebną męczarnię. Matka w końcu oświadczyła, że Ojciec nie uważałby życia o kuli za życie.

Ojciec zmarł w maju 1933. To był pierwszy grom, który w nas uderzył. A właśnie wtedy gotował się drugi: w lipcu 1933 Hitler podpalił Reichstag, co było wstępem do podpalenia świata. Pogrzeb mego Ojca przeszedł ulicą Kościuszki, sklepy były zamknięte, latarnie miejskie owinięte kirem, Kasa Oszczędności, Ratusz, Rada Powiatowa, Sokół – wywiesiły czarne chorągwie. Na pogrzebie byli wszyscy, a jeszcze niejedną, spotkawszy mnie, mówił:

— Pan nic nie wie i nie może Pan wiedzieć, jaki był pański Ojciec, bo świadczył on ludziom dobrodziejstwa, o których wiedział tylko on sam i obdarowany.

Dla mnie śmierć Ojca była zakończeniem beztroskiego okresu życia. Trzeba było myśleć o sprawach majątkowych rodziny, które były dosyć zawiłe, bo majątek składał się z domów, placów, starej cegielni, kilku morgów gruntu uprawnego i 30 morgów lasu. Gotówki nie było żadnej, natomiast długi zaciągnięte podczas choroby wymagały uregulowania. Trzeba było wydostać dekret dziedzictwa, w czym pomógł mi szwagier Wiesław*, adwokat. Od niego i drugiego szwagra (Zglińskiego) pożyczyło się trochę pieniędzy na spłatę długów. We Lwowie musieliśmy spłacać pożyczkę w Miejskiej Kasie Oszczędności. *Nota bene* stosunki kredytowe w Polsce były tego rodzaju, że pożyczka zabezpieczona podpisami kilku osób, z których każda była właścicielką nieobciążonej realności, wymagała jeszcze długich zachodów. Arogancja dyrektorów banków dała się porównać chyba tylko ze stopą procentową tych instytucji.

* Tak w tekście. Chodzi jednak o Gustawa Müllera, męża Felicji, starszej siostry Autora.

W roku 1933, w lecie dokonało się tzw. „objęcie władzy” przez Hitlera i jego kompanów. Jak wiadomo – rewolucja – jeżeli to można tak nazwać – zaczęła się od pożaru Reichstagu. Pożar, rzekomo wzniecony przez komunistów był przedmiotem procesu wytoczonego przez nowy rząd niejakiemu van der Lubbe, komunistcie holenderskiemu i innym. Każdy, kto miał radio, mógł słyszeć pełne wściekłości przemówienie, skierowane przez Göringa, nowego ministra Rzeszy, przeciw Dimitrowowi, współobwinionemu o podpalenie. Z wyjątkiem najgłupszych małomieszczan niemieckich nikt nie wierzył aktowi oskarżenia.

Lekarzem naszym był dr Ziemilski. Jego żona, z domu Askenazówna, zaprzyjaźniona z nami, miała brata pianistę*, a ten znał pewnego wybitnego skrzypka belgijskiego, który został rok później zaproszony przez Ribbentropa do Berlina. Jechał tam całą noc. Ponieważ Ribbentrop, który miał go oczekiwać, nie znalazł się na dworcu, skrzypek pojechał sam do pałacu na Wilhelmstrasse. Ribbentrop przyjął go gościnnie i kazał przywieźć suto śniadanie na stoliku na kółkach. Gość zgłodniały chciał zaraz zabrać się do rzeczy, na to Ribbentrop ubawiony, mówi:

— Jak to? Pan się nie boi trucizny?

— Skądże, przecież nikt nie chciałby mnie otruć! – odpowiedział skrzypek.

— Ależ mnie! – zawołał Ribbentrop.

Potem wziął Belga na spacer. Gdy przejeżdżali przed ruiną Reichstagu minister Rzeszy pokazał palcem na usta, bojąc się, by go gość nie zapytał przy szoferze, co to znaczy. Po paru minutach, powiedział mu do ucha:

— To, co pan widział, to jest największe głupstwo, jakie popełnił Hitler. Przypuszczam, że miał później sposobność zobaczyć większe.

Naturalnie czyn genialnego eks-feldfebla nie pozostał bez wpływu na losy każdego człowieka z osobna. Przede wszystkim my na uniwersytecie odczuliśmy szybko reakcję naszej młodzieży na przykład idący od zachodu naszego sąsiada. Zaprosiliśmy wtedy na parę miesięcy na wykłady prof. Lichtensteina z Lipska. Ponieważ musiałem dla niego wyszukać odpowiednie pokój, miałem więc okazję – po raz pierwszy – zbadać Lwów z punktu widzenia człowieka przyjezdnego. Właściwie odpowiedniego pokoju nie znalazłem nigdzie. W mieszkaniach były na ogół ciemne klatki schodowe i smrodliwe korytarze, meble nie wiadomo do jakiego celu i w jak długo jakiej zasady skolekcjonowane. Trzymane zwykle w łazience stojące konfiturami, w najlepszym razie na deskach opartych o brzeg wanny, ładowane graty, walizki i kosze, stanowiły dowód, że lokatorzy nie zamierzają wcale kierować się życzeniami budowniczego, który chciał w tym miejscu mieć łazienkę. Wynająłem w końcu jako tako znośny pokój. Lichtenstein opowiadał mi o sąsiadach; było to młode małżeństwo, które stale odbierało i nadawało telefony tej treści: „Co robicie? My też nic nie

* Stefana Askenazego.

robimy! No to przyjdźcie! Kto ma przyjść, my czy wy? No to przyjdźcie! Tak, wieczorem! No to przyjdźcie? Jak to nie? To już lepiej do Romy? No to pa! Co? Tak? No to pa!” Bardzo go to bawiło.

Lichtenstein miał wykłady bardzo specjalne, o równaniach różniczkowo-całkowych, i drugi – o postaciach równowagi ciał wirujących. Na jednym z takich wykładów zacytował angielskie dzieło, zdaje się z zakresu mechaniki, i polecił je słuchaczom mówiąc, że jest bardzo godne czytania, chociaż „nie ma w nim ani słowa o teorii mnogości”. Banach z zasady nie chodził na wykłady Lichtensteina, a dowiedziawszy się o tym jego zdaniu udał wielkie zdziwienie, że niby to Lichtenstein „obraził polską matematykę”. Nawiasem mówiąc Banach tak zabagnił finanse „Studia Mathematica”, że potem dopiero wyrobiona przez Bartla subwencja concernu naftowego „Małopolska” i subwencja śp. mojego Ojca przeprowadziły w roku 1933 to wydawnictwo przez kryzys.

Jako dziekan miałem także do czynienia ze sprawą ruską. Raz zażądano opinii, czy robienie materiałów wybuchowych należy do *curriculum chemii*. Innym razem przyszedł wywiadowca policyjny i zażądał wglądu do ksiąg studenckich, aby z nich wypisać nazwiska „Ukraińców”. Mówił z sekretarką, a ona zwróciła się do mnie. Kazałem mu odpowiedzieć, że uniwersytet komunikuje się z innymi władzami przez rektorat, i tak samo jak my, chcąc jakichś informacji od wojewody, nie posyłamy pedla do referenta wojewódzkiego, tak samo pan starosta grodzki, chcąc czegoś od nas, powinien zwrócić się pisemnie, osobiście czy też telefonicznie, do rektora. Jeżeli rektor wyda mi polecenie, to ja pozwolę agentowi na wypisanie nazwisk. Otóż ciekawą rzeczą dla pojęć i metod policyjnych jest fakt, że wywiadowca umknął i nigdy więcej się nie pokazał. Oczywiście doniosłem rektorowi o zajściu; a próbował moje stanowisko.

Z policją miałem do czynienia rzadko, ale każde spotkanie z tą instytucją miało swój smaczek. Naszym sportsmenom automobilowym przyszła do głowy wielka myśl urządzenia wyścigu po ulicach Lwowa na wzór *circuit de Monte Carlo*. Przy użyciu dużego nakładu sił odgraniczono ulice: Polczyńską, Stryjską i Kadecką, urządzono trybuny, i już od świtu budzono wszystkich turkotem nietłumionych motorów, odbywających próby na blisko trzykilometrowej trasie. W dzień wyścigu miewałem zawsze gości, którzy z mojego balkonu przyglądali się zawodom. Przedtem jednak miałem wizytę wywiadowcy, który przyszedł wypytywać się o lokatorów. Rozmowa była taka:

— Czy pan zna państwa Potylickich?

— Owszem, mieszkają tutaj od kilkunastu lat.

— Ja nie mogę panu powiedzieć o co mi chodzi, bo to jest tajemnica.

— Dobrze.

— Ale ja panu coś powiem.

— Dobrze.

— Chodzi o wyścig automobilowy.

Milczę.

— Chodzi o to, że podobno Rusini chcą rzucić bombę na ulicę podczas wyścigów.

Ja na to:

— No tak, ale to byłoby dla nich niekorzystne, bo to jest wyścig międzynarodowy z udziałem Włochów i Niemców, więc zrobiłby się skandal, mało dla nich pożądanym.

— Rzeczywiście, pan ma rację, bardzo słuszna uwaga.

— Ale – mówię dalej – wobec tego, byłoby dla nas bardzo korzystne, gdyby Rusini rzucili bombę.

— Tak jest – odpowiada rodzinny Sherlock Holmes – to mi nie przyszło do głowy, ale to jest doskonała myśl.

— Czekajże pan – mówię – ale pomyślmy, co by się stało, gdyby się wykryło, że nasza policja zorganizowała zamach na zagranicznych gości, na celu skompromitowania Rusinów! Cóż by to dopiero był za skandal i jak dla nas fatalny!

— Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy, pan ma zupełną rację.

Sherlock czuł się nieswojo, nie wiedział, czy mówię serio, czy nie, poszedł bez dalszych dociekań i zamachu naturalnie nie było, ani tym razem ani przy następnych wyścigach.

W tych latach zaczęliśmy jeździć do Krynicy. Pamiętam, że w roku 1902 moja Matka zamieszkała w „Kasztelance”, a ja w „Skarbówce”. Lubiliśmy tam mieszkać, bo było tam ładnie, czysto, obsługa niezła, jedzenie smaczne, cena niewysoka, a ogród otaczający obie wille położony na pochyłości i wystawiony ku południu, pełen był wspaniałych kwiatów, zwłaszcza żurawin, orginii, złocieni i róż. W tym ogrodzie miałem następującą rozmowę z młodą damą, studentką warszawską, która widocznie nie bardzo orientowała się, z kim mówi. Oświadczyła mi, że uważa egzaminy wstępne na uniwersytet za nieszkodliwe, gdyż mają na celu niedopuszczenie do szkół wyższych.

— A cóż zrobić – ja na to – jeżeli Żydzi są przygotowani?

— Nasi profesorowie pytają Żydów zupełnie inaczej – ona na to.

— Zapewniam panią, że nasi profesorowie, tzn. profesorowie Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego UJK pytają wszystkich jednakowo.

— Co znowu, proszę pana, na Politechnice Warszawskiej na przykład każe się Żydowi narysować z pamięci portal jakiegoś kościoła, a on naturalnie nie umie, bo do kościoła nie chodzi.

— Wątpię, czy to, co pani mówi, jest możliwe – odpowiadam – bo przecież profesorowie składają przysięgę służbową, która mówi wyraźnie o jednakowym stosowaniu ustaw wobec wszystkich.

— Proszę pana, kto by się przejmował takimi rzeczami, jak przysięga

Zarządcą „Skarbówki” był pan Zamorski. Jego syn wstąpił się tym, że rzucił petardę podczas demonstracji studenckiej, a następnie wskazał na pierwszego z brzegu Żyda jako winnego. Medycy lwowskiego wydziału rozpoznali go jako sprawcę i znaleźli się tacy, którzy z tego powodu zerwali z nimi stosunki towarzyskie.

Zaczęła już wtedy funkcjonować nowa ustawa o szkołach akademickich. Skasowano jedną z katedr matematyki. Telegrafowano po mnie, że bym wracał do Lwowa i z innymi radził. Nie wiedziałem, o czyją katedrę chodzi i miałem powody przypuszczać, że o moją, ale nie bardzo się zmarnielem. Chodziło jednak o prof. Ruziewicza. Ministerstwo chciało ukarać go jako narodowego demokratę. Naturalnie, nasza uchwała w tej sprawie nie pomogła i katedrę skasowano. W ogóle skasowano ich przeszło pięćdziesiąt. Na Politechnice zwinęto Wydział Ogólny, Kuratowski został powołany do Warszawy. Prof. Ruziewicz otrzymał posadę w Akademii Handlowej, zachowując emeryturę. Prócz tego, jako docent, mógł dalej wykładać, a tytułu profesora też nie mógł zostać pozbawiony.

W tym czasie wraz ze Stanisławem Kaczmarzem zacząłem pisać książkę o rzekach ortogonalnych. Zajmowało to sporo czasu; sam nie byłbym nigdy podjął się napisania takiego dzieła. Zajmowałem się też zastosowaniami, opracowałem np. sposób obliczania zgęszczenia osiedli dla geodetów. Pojęcie zgęszczenia i rozproszenia nie da się wyrazić przez liczbę, wymaga wykreślenia krzywych zgęszczenia. Ten sposób dałby się także zastosować do oceny rozdrobnienia własności ziemskiej.

W Jasle było brak silnej ręki. Musiałem przyjeżdżać i robić porządek. Było to łatwe, bo wszyscy wiedzieli, że mogę tu być tylko krótko. Miałem ciotka były za stare, żeby umieć się obronić przed murarzami żądającymi wygórowanych zapłat za remont, przed zachłannością fiskalną, przed kradzieżą leśną, przed uporem lokatorów, chcących mieszkać bez płaconia czynszu i przed gminą, która żądała specjalnych świadectw za pozwolenie wystawienia pomnika na grobie Ojca. Przy sposobności stwierdziłem, że połowa dzierżawców, rzemieślników i robotników, to byli ludzie, którzy bywali za granicą, w Niemczech, we Francji, w Ameryce, nawet w Syrii i w Rosji. Ponieważ cegielnia już nie funkcjonowała, postanowiliśmy doły pełne wody zasypać śmieciami miejskimi, aby otrzymać urodzajną ziemię. Musiałem też dbać o wypłacanie bruttów naftowych, należących do Matce. W jednym wypadku referent tej sprawy w koncernie „Małopolska” oświadczył mi, że wypłacanie bruttów zależeć będzie od decyzji zarządu koncernu. Musiałem zwrócić mu uwagę, że ja nie podlegam jurysdykcji „Małopolski”, ale „Małopolska” podlega sądom zwykłym. W tym wypadku musiałem podać sprawę do sądu. Firma „Gazy ziemne”, należąca do koncernu „Małopolska”, wymyśliła specjalne oszustwo polegające na tym, że tworzyło się nowe towarzystwo (w 100% należące do tej firmy), które kupowało prolongaty praw naftowych od właścicie-

la gruntu „na wypadek, gdyby stare nie skorzystało z prolongaty”. Oczywiście stara firma prolongaty nie opłacała i prawa naftowe dostawały się nowej. Ta zaś już nie miała obowiązku płacenia nam bruttów, bo jakob nabyła bez naszego pośrednictwa od właściciela gruntu posiadane przez starą firmę prawa. Sędziowie wiedzieli dobrze, że mają do czynienia z oszustami, ale nie umieli prawniczo ująć tej transakcji. Mój proces nie doszedł jednak do trzeciej instancji, gdyż przewłókł się do 1939. Był też Zdzisław w Ulaszowicach, który kupił jeszcze od Ojca całą parcelę, ale zapłacił tylko część. Chciałem mu wydzielić odpowiednią część, ale nie można było dać sobie rady z nim i jego synem, niemożliwym krętaczem. W końcu sprzedali swoje pretensje chłopom i wyjechali do Ameryki Południowej.

Moja siostra z Krakowa przyjeżdżała na szczęście od czasu do czasu do Jasła i załatwiała bieżące sprawy. Kłopoty były jednak coraz większe, bo dochody wciąż były za małe dla przeprowadzenia potrzebnych remontów, opłacenia długów, podatków i należytego utrzymania Matki. Największą trudnością do zwalczania jest nieuczciwość, z którą ma się u nas w interesach do czynienia. Ludzie po prostu uważają niesłowność i oszustwo za składową część każdego interesu.

Chętnie jednak spotykaliśmy się wszyscy w Jasle ze względu na sentyment do naszego domu, ze względu na Matkę, ze względu na przyjaciół jak Janek Adamski, Ludwik Oberländer i innych, na których mogliśmy liczyć i ze względu na to, że było to najtańsze letnisko, jakie mogliśmy znaleźć. Był tam nawet dancing. Restaurator Dunaj zorientował się, że muzyka przez dwa wieczory w tygodniu opłaca się; większość gości to byli młodzi, a z niej trzy czwarte stanowili Żydzi. Nieprzyjacieli na uniwersytet, niedopuszczeni do różnych służb i urzędów młodzieńcy kształcili się w fokstrocie i wydawali (nieznaczne zresztą) kieszonkowe pieniądze pochodzące z handlu rodziców, na ogół też usychającego. Gdy wieczorem przed naszymi oknami rozlegało się gwizdanie wilgi, był to znak, że Jan Adamski czeka na nas. Zanim panie się ubrały, był czas na zjedzenie wałka tortu, za który Janek rewanżował się koniakiem. Gdyby to od niego zależało, koniaku wystarczyłoby na upojenie całego naszego stołu. Mój kuzyn Dyk Schoenborn, który doskonale nadawałby się do tego stołu, nie bywał już w towarzystwie. Jako szef BBWR na powiat jasielski zrobił wszystko, żeby go znienawidzono. Groził urzędnikom, którzy byli mu posłuszni, że każe ich przenieść, a ponieważ jego wpływy były małe, więc liczbę nieprzyjaciół tylko zwiększał, nie zmniejszał. Ale z nim nie chodziliśmy nieraz; tam też tańczyliśmy przy gramofonie i słuchaliśmy radia. Do naszego towarzystwa należała czasem pani Juniewiczówna, córka starosty Zolla, czasem pokazywał się młody hrabia Józef Michałowski i jego żona Irlandka; z nimi przyjeżdżał pan de Grouchy, potomnik tego napoleońskiego pułkownika, którego portret znajduje się w Paryżu w Musée Carnavalet. Od czasu do czasu pokazywali się jacyś egzotyczni

ciężarze, jacyś znajomi i znajome Dyka z Krakowa – to wszystko urozmaicało nasze lato. Wykształciłem się też w tym czasie w niektórych specyficznych kulinarnych, np. w przyrządzaniu śledzi.

A tymczasem zbierało się coraz czarniej na burzę. Po Krzemieniewskim rektorem został ks. Gerstmann, który poszedł na pogrzeb studenta Grodzkiego w łańcuchu rektorskim. Studenci-Żydzi uznali to za demonstrację i wnieśli pismo do senatu z pretensjami. Pismo było zredagowane ostro, ale ponieważ nie zawierało fałszów, więc ostrzegłszy ich z góry, jako kurator, że będą na pewno za to pismo ukarani, dałem moje *vidi*. Naturalnie Towarzystwo zostało zawieszone na cały semestr, wydział rozwiązano itd. Za ostrym ukaraniem przemawiał m.in. profesor prawa Kamil Stefko. Kiedy weszła w życie nowa ustawa, minister nie zatwierdził żadnego z wybranych przez nas kandydatów, lecz zrobił owego Stefkę „pełnym obowiązkiem rektora”.

W tym czasie w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wszechwładny był ks. Żongołłowicz, z petersburskiej Akademii Duchownej, zwolennik Piłsudskiego. Referentem do spraw personalnych był niejaki Lipski. Nastrój był taki, że właściwie każdy był podejrzany. Najlepiej sformułował to policjant zeznający w jakimś procesie, że „nagle ostrzegł pewnego podejrzanego osobnika”. Sędzia pyta go, jakim sposobem poznał, że ten osobnik jest podejrzany. „Prześwietny Sądzie – odpowiedział tamten – dla mnie każdy cywil jest podejrzanym osobnikiem”.

Tak było i dla pana Lipskiego. Kiedy np. wniósł podanie o habilitację Stanisław Borsuk, jeden z najzdolniejszych uczniów szkoły warszawskiej, Lipski nie puścił podania ze swojego biurka do ministra, bo Borsuk, student I roku, należał do narodowo-radykalnej młodzieży. Skorzystałem z tego, że wiceministrem był Konstanty Chyliński, lwowski historyk, który przyjaźnił się ze mną w cukierni „Wisła” w Krynicy, nawiasem mówiąc jednych z najlepszych, jakie w życiu widziałem, i opowiedziałem mu o Borsuku. Wiedząc, z kim mam do czynienia, przypomniałem mu książkę Wańkowicza *Szczeniące lata*, w której rodzina Borsuków zacytowana jest jako szlachta kresowa – z tej to rodziny był ów kandydat. Naturalnie bliżej Żongołłowiczowi bliższa była heraldyka niż topologia, i zatwierdzenie habilitacji poszło gładko.

W Krynicy spotykałem się też z Leonem Kozłowskim, ówczesnym wiceprezysm skarbu; ten przekonywał mnie, że wojny nie będzie, gdyż „między Polską a Niemcami nie ma żadnych punktów spornych i żadnej sprzeczności interesów”. Podobno tenże pan Kozłowski dla zabawienia posłał do niemieckiego pewnego razu narysował na stoliku plan podziału Czechosłowacji. Obok stał poseł czeski, który widział to i słyszał. Gdy zainterwenowałem pana Kozłowskiego, czy rzeczywiście zrobił to w kawiarni – odpowiedział: „nie, to było gdzie indziej”. Tłumaczył mi w Krynicy, że delegacja nie jest możliwa podczas wojny, bo zakazane będzie komuniko-

wanie zagranicznych kursów giełdowych. Udało mi się w ciągu dziesięć minut przekonać go, że nie jest możliwe zatajenie kursów walut; wydało mi się to bardzo dziwne, że wiceminister skarbu daje się przekonać laikiem tak łatwo w takiej materii.

W Krynicy spotkałem się też z Samuelem Dicksteinem; był to człowiek niezmiernie żywotny; mimo 80 lat mieszkał w willi najwyższej położonej kilka razy dziennie odbywał spacer po stromej drodze. Zapoznałem się też z Julianem Tuwimem. Mieszkał w domu zdrojowym i miał do południa story szczelnie zamknięte, bo nie chciał, żeby go słońce budziło. Chwila nachodziły go różne wielbicielki, przynosząc mu kwiaty; mówił mi, że tę popularność zawdzięcza chwilowej nieobecności Kiepurę w Krym. Bo dla publiczności Kiepura i Tuwim są wielkościami tego samego rzędu. Były panie, które starały się poznać z Tuwimem za pośrednictwem kawiarnianych fordanserów.

Siłę i celność poetycką Tuwima cenię bardzo wysoko; wiersz Pawlikowskiej o nim, jako łuczniku, trafia w sedno tej indywidualności poetyckiej Wittlina, który umie odnosić się do ludzi bardzo bezpośrednio, porównując go z gorejącym krzakiem. Tuwim umie wiele swoich wierszy na pamięć. Zna też wiele wierszy Puszkina. Jego tłumaczenie opowiadania Andrieja Bielego o majstrach z Tuły jest po prostu genialne w odtworzeniu rosyjskości po polsku.

Kult Kiepurę, który zastąpił kult Paderewskiego, jest miarą degeneracji naszej opinii estetycznej w ciągu 15 lat. Kiepurowie, ci bracia Głównicze polskiego śpiewu, mieszkali w „Patrii”, wspaniałym hotelu budowanym w Krynicy przez „mistrza”. „Pan mistrz” to był urząd tytuł nadawany przez kelnerów „Patrii” śpiewakowi; jego młodszego brata nazywano „panem bratem”, zaś ojca „panem prezesem”. Z „panem mistrzem” zapoznano mnie przy stoliku w „Patrii”; podał mi rękę z lekceważeniem słusznym człowiekowi, który nie śpiewa. Nieraz widywałem Kiepurę w towarzystwie Marty Eggert; oboje niby wracający z festiwalu z nowiuteńkimi rakietami w rękę i w bielutkich trzewikach, różowymi miechnięci, wyglądali jak karta tytułowa „Światowida”. W „Patrii” świetny jazzband Witkowskiego, tańczono po południu i wieczorem. Publiczność wołała „mało, mało”. Tak samo wołał właściciel, gdy telefonował do Metro-Goldwyn, czy też do Paramountu, a tam proponowano pół miliona dolarów za trzymiesięczne „naśpiewanie” filmu. Doradcą finansowym Kiepurę był Adam Didur. Nie znałem go osobiście, choć często przyjeżdżał do Jasła, do swego przyjaciela Antoniego Zolla. Jedną z córek Didura, żona hrabiego Załuskiego, Mary, mieszkała w Iwonicach koło Jasła. Tamże mieszkała jego żona Kreolka*. Towarzystwo zjeżdżało

* Angela (Aniela) Aranda Arellano-Didurowa była Meksykanka, córka polnych pańskich imigrantów.

z czasem do Jasła, budząc wielką sensację, zwłaszcza że czasem i sam „pan mistrz”, czyli Kiepura, im towarzyszył.

W Krynicy poznałem także Maksymiliana Rosego, neurologa, profesora fizjologii i specjalistę badań struktury mózgu. Miał katedrę w Wilnie. W roku 1935, po śmierci Piłsudskiego, rząd dostarczył mu dużych sum na zbadanie mózgu marszałka. Oczywiście te badania z naukowego punktu widzenia nie były takie interesujące, jak to sobie wyobrażali różni panowie z BBWR. W szczególności nie odczytano ze zwojów tego mózgu, co ma robić Polska, żeby się ostać między Hitlerem i Rosją. Prof. Rose opowiadał mi, że jeden z profesorów wileńskiego uniwersytetu zapisał swój mózg instytutowi; testament wykonano i zbadano dokładnie obiekt. Okazało się, że pewne ośrodki optyczne były bardzo słabo rozwinięte. Profesor Rose zwrócił się do rodziny i znajomych zmarłego, żeby stwierdzić, czy zmarły wykazywał za życia niedomogę w widzeniu. Okazało się jednak, że miał wzrok przeciętny, a dopiero po czterdziestce używał okularów jako dalekowidz – co jest też pospolitym objawem. Wobec tego uczony zabrał się do czytania pamiętników, ale i tam nie wykrył żadnej wskazówki. W końcu doszedł drogą rozmów z kolegami zmarłego do ciekawego odkrycia: ów profesor, jako dziekan, nie mógł przez cały rok nauczyć się, które drzwi prowadzą z dziekanatu na korytarz i jak należy się skierować, żeby wyjść z gmachu na ulicę. Codziennie sekretarka musiała mu pokazywać wyjście. Stąd wniosek o ścisłym związku orientacji z centrami wzrokowymi. Sławny neurolog opowiadał mi też, że liczba możliwych połączeń między poszczególnymi częściami mózgu przewyższa niezmiernie liczbę prawdopodobnych odruchów i myśli; nawet jeśli przyjmujemy, że człowiek może w ciągu sekundy wykonać miliony takich aktów, to nie wystarczy nawet znikomej części tego, co natura ma w zapasie w postaci możliwych połączeń.

**

Wypadki na politycznej scenie szły dalej, chociaż my, ich nieuważni widzowie, nie widzieliśmy jeszcze ich sensu i tendencji.

Będąc w Jasle zapytałem mojego kuzyna Dyka, jako wtajemniczonego w plany rządzącej koterii, co się stanie, gdy umrze Piłsudski, ten, którego było gwarancją nieomyślności ludzi ochoczo przyjmujących odpowiedzialność za losy kraju. W co każą wierzyć tłumom ci, którzy kazali dotąd wierzyć w legendę Piłsudskiego? Odpowiedział mi z cynizmem, charakterystycznym dla tej szkoły politycznej: – Zrobi się nową legendę! Już nawet przedmiot tej legendy: Rydz Śmigły!

W 1935 roku zmarł Józef Piłsudski. Złożyło się tak, że byłem wtedy w Jasle po raz wtóry, ale tylko przez jeden trymestr, gdyż ówczesny dziekan musiał złożyć swój urząd przed końcem kadencji. Stąd znalazłem

się na pogrzebie Piłsudskiego z reprezentacją UJK i mogłem widzieć do-
brze wiele osób w orszaku. Gdy w Krakowie wyniesiono z dworca trumne
wśród werbla żałobnego, my staliśmy w togach czekając, aż przyjdzie ko-
lej na naszą grupę. Za trumną szedł z boku Wieniawa-Długoszowski, po-
tem rodzina zmarłego, ludzie skromni, świadczący swoim wyglądem, że
marszałek nie dbał o korzyści osobiste. Za rodziną szedł prezydent Rze-
czypospolitej, potem ambasadorowie i posłowie, między nimi zwracał
uwagę na siebie w pierwszym rzędzie Lord Cavan, reprezentant Anglii
Göring, gruby i najwidoczniej zadowolony, że jest świadkiem tego po-
grzebu. Ksiądz biskup Sapieha szedł przed trumną; cały czas modlił się.
Widać było, że uważa sobie mus prowadzenia tego konduktu za pokutę za
grzechy swojego życia. Potem, gdy weszliśmy sami w orszak, już nie wi-
działem wiele. Szyk był taki, że Sejm i Senat szli za nami, a nawet za repre-
zentacją najwyższego sądownictwa, co było bardzo niewłaściwe, tak samo
umieszczenie Akademii Umiejętności za nowo stworzoną Akademią Lite-
ratury było grubym nietaktem. Idąc na Wawel widzieliśmy koło siebie po-
czty sztandarowe różnych pułków. Pięknie wyglądały twarze młodzień-
ców w stalowych kaskach, jakby w antycznych hełmach; musiałem patrzeć
na nich z podziwem. Oni byli szczerze ubawieni naszą aparycją, a zwsz-
cza śmieszył ich gruby rektor Akademii Górniczej (Rycerz Maltański).

Pogrzeb Marszałka Piłsudskiego był ostatnią manifestacją potęgi pań-
stwa. Od tego momentu wszystko szło w dół. Rodzina Mościckich przychy-
liła się do tego niemało. Pamiętam odwiedziny prezydenta w Jasle. On
bywał on wtedy przejażdżkę automobilową po województwie krakow-
skim. Zawadził o Jasło – mieszkał na ratuszu*, widziałem z naszych okien
jego odjazd. Za jego autem jechało kilkanaście innych, w których siedzie-
li młodzi panowie w melonikach; tempo jazdy było trochę za szybko.
Wszystko to wyglądało jak jakaś ucieczka dobrze zorganizowanej szajki.
Była to tylko impresja, ale bardzo silna; odnosiła się raczej do otoczenia
niż do samego prezydenta. Zdaje się, że w dosyć miernej inteligencji te-
specja zorientowali się szybko różni stołeczni panowie. Ale może nie ma-
racji. Inteligencja Paderewskiego była nieprzeciętna, a – pamiętam –
mi to opowiadał stryj, że gdy wchodził do prezydium Rady Ministrów
czasów Paderewskiego, to instynktownie zapinał kieszeń, w której miał
portfel – takie właśnie wrażenie robili ludzie, którzy kręcili się po prze-
pokojach w charakterze sekretarzy i majordomusów.

W roku 1935 poznałem w Krynicy bliżej inżyniera Lejewę, którego po-
cił mi dr Blumenfeld. Historia tego człowieka była niezwykła. Pochodził
z Kielc; skończył tam szkołę talmudyczną i dopiero mając kilkanaście
zaczął się uczyć po polsku. Wtedy natrafił na *Ogniem i mieczem* i zachwy-
cił się pięknnością tej powieści. Przyzwyczajony do rozmyślań doszedł

* Pisane 24 lipca 1944. Zamknięcie poczty. Zamach 20 lipca – przyp. Autora

wniosku, że nie może być prawdą to, czego go uczono w szkole talmudycz-
nej – że wszyscy „goje” są bez ogłady umysłowej, a ich pisma niewarte są
świeczki potrzebnej do lektury. Z tego wysnuł dalszy wniosek: jeżeli tal-
mudyści nie wiedzą o Sienkiewiczu, to z pewnością nie wiedzą o wielu in-
nych rzeczach, z którymi warto się zapoznać. Wobec tego zabrał się do
nauki niewiernych i zdał maturę, pojechał do Paryża, uzyskał bardzo do-
bry stopień inżyniera w Szkole Chemii i wróciwszy do Polski wyrobił się
na znawcę hormonów. Jako taki był później zatrudniony w Państwowym
Zakładzie Higieny. Od niego dowiedziałem się też, że modne w Krynicy
zapisywanie mężatkom zastrzyków hormonów męskich jest czystą szarla-
tanerią; te hormony mogłyby wywołać maskulinizację, czego chyba nie
pragną pacjentki. Najciekawsze były jego opowiadania z czasów kielec-
kich. Nie wiedział, co to znaczy iść do lasu na spacer, nie rozumiał przyro-
dy. Tłumaczył to tym, że „buchery” kieleckie siedziały w domu lub w
szkole, czytając Talmud, a w chwilach wolnych bały się wychodzić na mia-
sto, gdzie mogły być psy lub ulicznicy gotowi do rzucania kamieniami. Kiedy
wrócił do Kielc z Paryża, o piątej rano odwiedził go jego kolega ze szkoły
fabrykackiej i koniecznie chciał dowiedzieć się w jednym zdaniu *wusy dues*
*Einstein**. Kto nie widział wspaniałej mimiki i gestykulacji inż. Lejewy,
gdy imitował ten dialog, ten nie może ocenić jego zdolności oratorskich.
Zadał mi on raz ciekawe pytanie z biologii: są ryby nieduże i dosyć pospo-
lite u nas, białawe, które w okresie tarła przez jedną dobę przyjmują czer-
wonawe ubarwienie brzucha. Stwierdzono, że w przysadce mózgowej
człowieka istnieje substancja, która wstrzyknięta tym rybom powoduje tę
zmianę barwy; pytanie – jaką funkcję spełnia ta substancja w orga-
nizmie ludzkim? Dr Lejwa zwrócił też moją uwagę na to, jak ważną rze-
czą dla biologii jest szybkie obliczanie pól danych empirycznie, np. siłę
działania niektórych hormonów mierzy się wzrostem powierzchni grzebie-
nia koguta, któremu się wstrzykuje dawkę jednostkową hormonu. Nie ma
innychczas przyrządu do łatwego mierzenia takich nieregularnych pól, jak
grzebień koguci.

Mijały dni i miesiące, książka o szeregach ortogonalnych wyszła, wypły-
wały coraz to nowe zagadnienia i plany, a sytuacja stawała się coraz
gorzej; wrzenie było coraz widoczniejsze, już ludowcy urządzili słynny
„strajk”, już pojawił się idiotyczny bohater – Doboszyński, ten który w
swoim dziele młodzieńczym zaproponował wprowadzenie *ius primae noc-*
tatis jako beneficjum wszystkim studentów uczelni wyższych**. Oczywiście
główna choroba umysłów, zwana antysemityzmem, szerzyła się, i zda-
ło się, że zagadnienie tzw. getta ławkowego jest najważniejszym zagad-
nieniem życia polskiego. Przepraszam, zapomniałem o uboju rytualnym;

(Zargon żydowski) Co to jest Einstein?

Por. Adam Doboszyński: *Słowo cięzarne*, Warszawa 1932.

zwolennicy humanitarnego uboju bydlą byliby chętnie mordowali ludzi, byle bydlę się nie męczyło. Uchwalona świeżo konstytucja, nie wiadomo zresztą, do czego potrzebna, nie zajęła ani w części umysłów, tak jak woda księdza Trzeciaka, powołanego przez Sejm opiniodawcy w sprawach Talmudu. O tym księdzu Trzeciaku opowiadał mi swego czasu prof. Ruziewicz taką historyjkę: Był we Lwowie prof. Andrzej Rawita Gawroński*, wybitny orientalista; był także judaista Mojżesz Schorr, docent uniwersytetu, późniejszy tytułarny profesor warszawski. Ks. Trzeciak wdał się w jakąś polemikę z Schorrem, który był serio uczonym, a licząc na zaciekle antysemityzm Gawrońskiego, napisał do niego list z prośbą, żeby zabrał głos jako autorytet i porządnie zjechał owego Schorra. Na to odpisał Gawroński, że w sprawach naukowych nie kieruje się tym, komu jest przyjemne lub nieprzyjemne ze względów politycznych i odrzucił ks. Trzeciaka z kwitkiem. Ale o Gawrońskim wiedzieli tylko specjaliści, a ks. Trzeciaku wszyscy. Żydzi, którzy dają się łatwo nabrać w sprawach politycznych, nie spostrzegli, że chodzi o pretekst; zagrali rolę, którą obmyślił dla nich przeciwnicy mądrzejsi od nich: zaciekle zaczęli bronić uboju rytualnego. Właściwie najlepiej było takim jak ja, gdyż nowe przepisy pozwalały im jeść dobre mięso ze sztuk bitych przez Żydów. Te mięsa nie wolno było jeść Żydom ze względów religijnych, a chrześcijanom ze względów ustawowych. Kto zaliczał się do pierwszych, jak ja, nie słuchał rabinów, mógł kupować tanie i dobre mięso. Ale takich, którzy te sprawy traktowali humorystycznie, było mało.

W tym czasie poznałem w Krynicy mieszkającą w „Skarbowce” panią Knoffową, która raz zapytała mnie w parku, czym właściwie trudnią się matematycy. Zacząłem laską na piasku kreślić rysunki, które miały odpowiadać pytaniom topologicznym i wtedy przyszła mi do głowy myśl napisać „książki z obrazkami”, które by były odpowiedzią na pytanie owej pani. Na szczęście znalazłem pomoc w tej sprawie. Miałem uczennicę, wychowankę Liceum Krzemienieckiego, Marka Kaca. Zauważyłem jego zdolności i postawiłem mu pytanie z zakresu teorii funkcji, a raczej po prostu definicję „funkcji niezależnych”. Jest to pewna koncepcja z rachunku prawdopodobieństwa, o której dowiedziałem się później, że pochodzi od Kołmogorowa. Było to przed wakacjami w roku 1935, a po wakacjach Marek Kac przyniósł mi kilka bardzo ciekawych twierdzeń, dotyczących funkcji niezależnych. Z nim, jako asystentem, zabrałem się do dwójki roboty: pisaliśmy prace wspólne o funkcjach niezależnych, a obok tego zbieraliśmy ową książkę z obrazkami. Obie te prace były bardzo interesujące i zupełnie nas pochłaniały. Gdy na seminarium, które prowadził

* Prof. Gawroński, poliglota-fenomen, wybitny indywidualista, z zasady nie używał herbowego przydomka „Rawita”, który stał się literackim i dziennikarskim pseudonimem jego ojca – Franciszka.

Franciszek z Wilna referował matematyczną teorię ruchów Browna, okazało się, że można całą teorię tych ruchów Einsteina i Smoluchowskiego poprawnie zbudować na funkcjach niezależnych. Przez to wszystkie hipotezy statystyczne są zredukowane do jednej: do niezależności kolejnych uderzeń molekuł o partycułę. Ta niezależność ma jednak zupełnie określoną matematyczną treść, a nie jest już mglistym pojęciem, jak było dotąd.

Zachęceni tym, zastosowaliśmy nową teorię do modelu Ehrenfesta, do teorii liczb, do funkcji Peany itd. „Obrazki” robiliśmy równocześnie. Na ulicy przy Fredry było atelier fotograficzne panny Wandy Diamandówny, której pomysłem była moja idea zdejmowania obiektów matematycznych. Z niesłychaną cierpliwością oddała tej idei czas i miejsce. Takie fotografowanie wymagało przygotowania modeli, co też pani Wanda robiła. Wydawałoby się rzeczą łatwą zrobić np. wstęgi papieru skróconej i sklejonej, tymczasem jest to trudniejsze niż fotografia pięknej damy. Trzeba tak ustawić światło, by rzecz się nie odbijała, by cień wstęgi na niej samej nie zlewał się z ciemnym tłem i by całość była plastyczna. Takich modeli trzeba było zrobić i sfotografować kilkadziesiąt, przy czym samo zdejmowanie wymagało co najmniej dwóch godzin roboty od sztuki. Na jednym z nich, na przykład, należało umieścić dużą muchę. Chciałem ją kupić w sklepie maskotek w Pasażu Mikola. Kupiec nie miał muchy, ale obejrzał swój skład dokładnie i zaproponował mi zamiast tego... słonia. Wtedy skłoniłem się przed nim i rzekłem językiem baśni z 1000 i jednej nocy: „O panie, zaprawdę jesteś najzdolniejszym z kupców, jeżeli umiesz bez zająknięcia i bez uśmiechu zrobić z muchy słonia, co dotychczas tylko w przysłowiu było możliwe”. Musiałem zmobilizować armię ołowianych 500 żołnierzy. Ustawienie takiej armii na stole i sfotografowanie jej całej, jest to zabawa, która Markowi Kacowi zajęła blisko tydzień. Do zilustrowania prawa Gaussa-Poissona użyłem śrutu, który leżał po pochyłej desce; zdjęcie było trudne, ale okazało się przy tym, że taka deska, bez gwoździ, daje lepszą ilustrację, niż wysepki sześciokątne. Fotografia plastra miodu była łatwa, ale ustawienie obok siebie czterech takich mydlanych i sfotografowanie ich wymagało dwutygodniowego ćwiczenia w puszczeniu baniek! Chciałem mieć koniecznie w książce jeden prawdziwy model tekturowy. Jak kto zrobić, żeby dwunastościan umiarkowanie złożony z dwóch połówek, wstawał jak szapoklak po otwarciu książki? To pytanie kosztowało mnie jedną bezsenną noc. Okazało się, że nitowa nałożona na model rozwiązuje kwestię w sposób idealnie prosty. Do anaglifów, tzn. rysunków dwubarwnych, które przez dwubarwne okulary dają widok stereoskopowy, musiałem użyć pomocy pana Franciszka, asystenta prof. Bartla. Robił on te rzeczy bardzo dokładnie i szybko; umiał też robić zdjęcia stereoskopowe do anaglifów.

Książka miała wyjść w dwóch równoczesnych wydaniach: angielskim i polskim. Z Książnicą Atlas zrobiłem umowę na 4000 egzemplarzy, przy

czym 2000 egzemplarzy polskiego wydania było własnością Książnicy, a za pracę autorską i za dostarczenie wszystkich rysunków własnym kosztem miałem dostać 2000 egzemplarzy angielskich. Książka ta byłaby wyszła w roku 1937, gdyby nie pożar gmachu wydawnictwa, który opóźnił jej wyjście o rok.

A tymczasem młodociani idioci i posługujący się nimi starzy dranie młótnowali. W roku akademickim 1935/36 rektorem Uniwersytetu Jan Kazimierza został prof. Jan Czekanowski. Ten zwolennik autonomii uniwersyteckiej posunął się do tego, że inauguracyjną mowę rektorską oddał do prewencyjnej cenzury ministra Kozłowskiego*. Po nim nastąpił Kulczyński, człowiek odważny, zdecydowany, rozumiejący powagę sytuacji, przeciwnik sztuczek i wybiegów. Chwycił byka za rogi i urządził w sprawie tzw. getta ławkowego plebiscyt, który wykazał, że wśród młodzieży polskiej „getto” ma zdecydowaną mniejszość za sobą. Wściekłość wszelkiego gatunku talatajstwa nie miała granic. Kulczyński rozwiązał oporne stowarzyszenia, zamknął uniwersytet, ale nie mając poparcia ani kolegów, ani innych uczelni, ani ministra, którym był wówczas Wojciech Świątosławski, musiał ulec i złożyć godność rektorską. O Świątosławskim można powiedzieć to samo co o Kulczyńskim ze znakiem przeciwnym. Był to tchórz i głupiec, człowiek bez inteligencji i bez linii politycznej.

W roku 1936, w lecie, poznałem w Krynicy adwokata Szumańskiego z Warszawy. Prowadził on wówczas obronę niejakiego X, oskarżonego o to, że podczas zajść w Przytyku zabił chłopca, strzelając do niego z okna pierwszego piętra. Ponieważ linia wlotu kuli do ciała była ustalona przez sekcję, chodziło o to, by wydać opinię fachową, czy taki strzał jest zgodny z prawami mechaniki. Nie mając doświadczenia w tym względzie napisałem do obrońcy list, w którym stwierdziłem, że zasadniczo jest możliwe rozwiązanie tego zagadnienia, że właściwymi ekspertami byłiby prof. mechaniki teoretycznej w Uniwersytecie Warszawskim Antoni Przeborski i prof. mechaniki na Politechnice Lwowskiej Maksymilian Huber. Do scharakteryzowania tej epoki niech posłuży fakt, że napisanie takiego listu, z upoważnieniem przedstawienia go sądowi, uznane zostało za niesłychanie odwagi cywilnej!

Bereza

Kto rządził Polską? Prezydent Rzeczypospolitej urządził dożywotnią Spalę; z kapelusza ubranego różnokolorową bibułą deszcz zmywał fałszywą na jego twarz, a jego żona, kobieta rozumna, płakała, widząc jakiegoś

* Wtedy już eks-ministra, eks-premiera, ale senatora RP.

śmierdząco robi z siebie ten chemiczny spec. Prezydentem gabinetu* był Leon Kozłowski, autor rozporządzenia o Berezie Kartuskiej, mocą którego władze mogły zamykać w tym obozie osoby, którym nie udowodniono żadnej winy, ale które mogłyby ewentualnie zawinąć**. Taka była treść rozporządzenia. Uzasadniając je przed Sejmem, powiedział: „Ręka sprawiedliwości twardo uderzy osadzonych w miejscu odosobnienia; pałkarz endecki, ukraiński podpalacz i żydowski komunista będą tam razem pożytecznie pracowali nad budową dróg na Polesiu”. Dnia 1 stycznia roku 1939 zapytałem pana Leona Kozłowskiego we Lwowie, jak pogodzić Berezę z konstytucją? Odpowiedział, że to tylko bezprawie, ale konieczne. Wtedy zapytałem go, dlaczego mówił w Sejmie o „twardej ręce sprawiedliwości”, skoro w tekście rozporządzenia wyraźnie mówi, że wina nie jest koniecznym warunkiem osadzenia w Berezie?

— To była gaffa — odpowiedział były premier.

Obóz w Berezie był prowadzony w sposób okrutny; bito i głodzono w nim więźniów, przewyższał on okrucieństwem swój wzór, bawarskie Dachau. Twierdzenie o pracy pożytecznej przy drogach też było fałszem. Ale najważniejsze było to, że danie w ręce władzom administracyjnym prawa posyłania ludzi bez sądu do Berezy było zupełnym unicestwieniem konstytucji. Podam przykład radnego krakowskiego, który w dyskusji nad subwencją miasta Krakowa dla Bratniej Pomocy studentów UJ zażądał obniżenia jej do jednego złotego! — dla zaznaczenia niezadowolenia z awantur, które owi studenci organizowali. Radny ten został wysłany do Berezy Kartuskiej w parę dni po postawieniu owego wniosku.

Ministrem oświaty był pan Wojciech Świątosławski, którego wyżej charakteryzowałem. O owym czasie zawakowała u nas katedra chemii; nie mieliśmy żadnego poważnego kandydata z wyjątkiem Kazimierza Fajansa z Warszawy, wówczas profesora Uniwersytetu w Monachium. Zakazany ustawami norymberskimi byłby chętnie przyszedł do Lwowa. Był on (wraz z Soddy) twórcą teorii izotopów, jednego z większych odkryć chemii fizycznej. Zarzucono mu, że dopiero teraz stara się o katedrę w Polsce, ale kto trochę znał stosunki, mógł zrozumieć obłudę tego zarzutu. Fajans przyjechał do Lwowa i zamieszkał u prof. Parnasa, swojego kuzyna. Gdy wyjeżdżał stamtąd do Warszawy, znalazł się młodzieniec, który uderzył w niego jajkiem w chwili, gdy wsiadał do auta. Rada Wydziału chwaliła powołanie na katedrę chemii prof. Romana Małachowskiego. Głosował on przeciw Fajansowi, gdyż: „Żydzi są wrogami narodu polskiego”.

* Tzn. premierem rządu. Kozłowski sprawował tę funkcję w okresie od 15 marca 1934 do 28 marca 1935 roku.

** Będąc premierem Leon Kozłowski objął wówczas na 12 dni tekę ministra spraw wewnętrznych (16 kwietnia – 28 kwietnia 1934). 17 kwietnia podpisał rozporządzenie o Berezie.

go" i proponował powołanie... rodowitego Niemca z Królewca!* Senat słał bez poparcia uchwałę do ministra**, a Świętosławski oświadczył, że nie da tej nominacji do podpisu prezydentowi. Tym sposobem jankobolocalił życie Fajansowi, który przyjął zaproszenie do Ann Arbor w stanie Michigan w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

**

W tym czasie miałem zajęć bez końca. Jednym z nich było wprowadzenie *modus vivendi* różnych oddziałów Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Ambicja dominacyjna Warszawy i podejrzliwy upór Krakowa doprowadziłyby do rozłamu, gdyby nie mediacja lwowska. Ponieważ byłem wtedy przewodniczącym oddziału lwowskiego, więc mnie przypadła rola zaproszenia delegatów i prowadzenia obrad. Po kilkunastogodzinnej sesji udało mi się uzyskać zgodę wszystkich na nowy statut. Największą biedą miałem z Zarembą seniorem i Kazimierzem Kuratowskim. W roku 1936 w jesieni odbył się polski zjazd matematyczny w Warszawie; nietakt warszawiaków objawił się tym, że wyznaczyli dla siebie tyle odczytów plenarnych, ile dla czterech innych oddziałów razem! Miałem tam odczyt plenarny o funkcjach niezależnych. W tym czasie zajmowałem się sprawami lokalizacji rentgenowskiej. Nasunął mi tę kwestię lwowski rentgenolog dr Meisels. Chodziło mu przede wszystkim o diagnozę ginekologiczną: jak stwierdzić, czy głowa płodu zmieści się w otworze miednicowym, którego najkrótsza średnica (tzw. *coniugata vera*) łączy środek kości łonowej ostatnim kręgiem? Mimo różnych prób nie znalazłem praktycznego rozwiązania, ale za to zapaliłem się do innego, ogólniejszego zagadnienia. Jak znaleźć sposób uwidocznienia przedmiotów ukrytych w ciele ludzkim? Bo prześwietlenie rentgenowe pokazuje tylko rzut tych przedmiotów na ekranie, a nie tam gdzie one są. Spotkałem jesienią 1936 dra Meiselsa na placu Mariackim i powiedziałem mu, że to zrobię. Sam nie wiedziałem, jak to zrobić, byłem tylko przekonany, że muszę wyzyskać zasady widzenia stereoskopowego. Zacząłem próbować najróżniejszych rzeczy; pomagał mi w ich wykonaniu pan Otto, asystent Bartla. Naprzód chciałem umieścić anaglify na szkle i oglądać anaglify te równocześnie z realnym przedmiotem umieszczonym pod szkłem. Natrafiłem przy tym na tę trudność, że chcąc widzieć anaglif plastycznie, trzeba rozluźnić związek automatyczny, który łączy mięśnie konwergencji oka z mięśniami akomodacji. Na końcu zarzuciłem te próby i eksperymentowałem w Jasle na dwóch

* Sam Roman Michałowski zginął w 1944 roku, zamordowany przez hitlerowców.

** Senat Uniwersytetu Lwowskiego odrzucił wniosek Rady Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego o mianowanie Kazimierza Fajansa profesorem (30 stycznia 1936 r.).

szkicach, które starałem się tak odbić w szybie, aby je zobaczyć jak jeden. Błąkałem się długo, aż w końcu odkryłem stereoskopową fotografię rentgenowską. Wtedy dr Meisels, który właśnie powrócił ze zjazdu rentgenologów w Ameryce, powiedział mi, że widział coś podobnego, ale nie wiedział dokładnie co. W końcu przypomniał sobie nazwisko prof. Hasselwanger w Erlangen. Napisałem do niego i otrzymałem plik rozpraw: Hasselwanger już podczas wojny światowej 1914-1918 używał praktycznie fotografii X-stereoskopowej, której pomysł podał Ernst Mach parę lat załedwie po Roentgenie, a którą zrealizowali Francuzi. Byłem złamany, po prostu zdruzgotany. W takim nastroju zastał mnie Otto. Zapytałem go, czy należy kapitulować? Powiedział, że nie. Zacząłem znowu myśleć i ciągle wracałem do kieliszka widzianego w odbiciu szyby, wraz z realnym, jako jeden. W roku 1937 nie umiałem wyjść poza to.

W tym roku promował się na doktora mój uczeń Marek Kac i po tej promocji zaprosił mnie z córką na studenckie przyjęcie, które on i jego córka, panna Bronia, urządzili u Hetpera: Dr Hetper był asystentem prof. Chwistka; zajmował się logiką matematyczną. Był to idealnie prawy człowiek, głęboko wierzący katolik. Był wysoki, przystojny, doskonały sportsman. Jego przyjacielem był Herzberg, też logik matematyczny, komunistą. Miał swego czasu rozprawę w Krakowie; znalezione u niego zapiski uznano za szyfr. Dopiero wezwany, jako świadek, prof. Chwistek stwierdził, że są to zapiski z logiki matematycznej. Herzberg był człowiekiem ewangelicznych zasad – choć sam żył w niedostatku, nie odmawiał nikomu pomocy i dzielił się z biedniejszymi. Nie znałem go dotąd i poznałem dopiero na tym przyjęciu.

Od kilku lat byłem przedstawicielem Uniwersytetu w komitecie stypendyjnym im. Emila Parnasa. W Komitecie zasiadał przedstawiciel Politechniki i tej panowie reprezentujący różne towarzystwa naftowe, łożące na tę funkcję; przewodniczył pan Hłasko, dyrektor „Małopolski”. Zwykle stypendia przyznawali inżynierowie, zwłaszcza technologowie naftowi ze szkoły prof. Piłsudskiego i medycy. Rzadziej udawało się uzyskać stypendium dla studenta dyscyplin teoretycznych. Na tym tle dochodziło między panami z przemysłu a mną dyskusji. Pamiętam, że chodziło mi raz o kandydata semitologa, który miał doskonałą opinię ks. prof. Aleksego Klawka, gdyż odszyfrował jakiś tekst aramejski, którego zagraniczni specjaliści nie umieli odczytać. Gdy mi o tym zaczęto tłumaczyć, jaką wagę dla naszego kraju mają specjaliści od języka aramejskiego, odpowiedziałem, że jako wychowany w najstarszym okręgu ropokopstwa mam wielką miłość do ropy naftowej i lubię jej wygląd i zapach, ale patrząc na nią nie mogę zapominać, że celem jej jest dostarczyć nafty do lampy, przy świetle której mógłby uczony odszyfrować teksty minionych wieków.

Do komitetu należał dr Józef Parnas, który zwykle łagodził te spory, ale w roku 1938 udało mi się uzyskać stypendium dla mojego ucznia Marka Kaca na wyjazd do Ameryki. Ponieważ chciałem z nim dalej

współpracować, przyjąłem chętnie jego zaproszenie na lato do Krzemienia, dokąd udałem się z córką.

Córka moja ukończyła wtedy pierwszy rok prawa. Nie obyło się bez różnych incydentów; oczywiście nie stosowała się do życzeń kolegów i wybierała sobie sama miejsce w ławkach. Ponieważ młodzi bohaterowie bali się trochę sądów dyscyplinarnych, sprowadzali sobie do pomocy kolegów z Politechniki. Trzeba było raz czterech takich bojowców dla usunięcia mojej córki z miejsca, chociaż wcale nie odznaczała się siłą ani nie stawiała oporu fizycznego; uważali jednak, że mniej niż czterech mężczyzn stanowiłoby siłę zbyt małą. Jednak nie zawsze. Na wykład jednego z docentów prawa przyszedł jakiś młodzieniec, stanął w czapce na sali i zażądał przerwania wykładu „bo będzie źle”. Na zapytanie docenta o nazwisko, nie odpowiedział, lecz zażądał od docenta podania nazwiska. Ten przedstawił się draniowi i nie doniósł rektorowi o zdarzeniu! Toteż dużo racji miał Aleksander Rajchman, kiedy w tygodniku politycznym napisał, że wina za ekscesy spada na profesorów. Postanowiono oddać go za to pod sąd dyscyplinarny; sąd jednak nie mógł uznać swej kompetencji, gdyż ustawa nie obejmowała docentów. Wobec tego zwrócono się do Rajchmana z prośbą o zgodę, żeby go sędzono na podstawie statutu dyscyplinarnego obowiązującego profesorów. Oczywiście Rajchman nie zgodził się na to i blamaż był kompletny.

Z jakimi draniami miało się wówczas w Polsce do czynienia, niech tym świadczy następująca historia, z tych właśnie lat, którą opowiedział mi mój zięć (zięciem moim został dwa lata później). Pewnego razu odwiedziło go dwóch młodzieńców z obozu radykalno-narodowego i poprosiło go, żeby napisał dla nich „deklarację ideową”. Wyjaśnili, że mu za to zapłacą, i że deklaracja ma być w duchu narodowo-radykalnym; treść była im zupełnie obojętna. Postanowili mianowicie w stowarzyszeniu, do którego należeli, wypędzić dotychczasowy zarząd i objąć władzę. Gdy Jan zapytał ich, czy im nie przeszkadza jego pochodzenie, odpowiedzieli, że jest im to obojętne; oni wiedzą, że on to potrafi zrobić. Ich rzeczą będzie wynajęcie tęgich pałkarzy, którzy deklarację tę poprą tak wymownymi argumentami, że sukces pewny będzie na sto dwa.

W Krzemieńcu zamieszkałem z córką u państwa Kaców. Ojciec mojego ucznia był doktorem lipskiego uniwersytetu; jego profesorem był Wundt. Kac – senior utrzymywał siebie i rodzinę złożoną z czterech osób z prywatnych lekcji języka niemieckiego i hebrajskiego; uczył także religii w Liceum Krzemienieckim. Mieszkała z nimi pani Bronisława R. siostra państwa Kacowej, która pokazywała mi okolice Krzemieńca, zamek królowej Bony, pałac w Wiśniowcu, rzekę Ikwę, która wbrew słowom Słowackiego nie płynie pod Krzemieńcem, a także wskazała mi turecką cukiernicę, gdzie była doskonała czarna kawa.

Krzemieniec jest piękny. Kompleks gmachów licealnych stanowi rdzeń miasta; wieże, arkady i podwórza, wszystko na wysokich podmurów-

niach robi z liceum jakby wspaniały zamek. Dookoła są domki, dawniej dworki szlacheckie i mieszczańskie, dziś przeważnie żydowskie, każdy malowany na inny kolor, każdy zaopatrzony w schodki i galeryjki, każdy pochylony w inną stronę. Zjechała wtedy do Krzemieńca cała chmara malarzy; był między nimi Stanisław Szczepański z Jasła, a na ulicy spotkałem panią Cybisową, malarkę i żonę malarza krakowskiego. Poznałem tych państwa rok wcześniej u siebie w Jasle na przyjęciu, którego inicjatorem był mój szwagier Leon Chwistek. On to zaprosił do nas państwa Cybisów mieszkających u hrabiów Mycielskich w Wiśniowej. Pan Mycielski – malarz, jego żona, też malarka, jej siostra pani Kinga Turno, jej mąż i szwagier także przyjechali do nas; miałem wtedy okazję wypróbować kanapki, w których główną rolę odgrywały pomidory z majonezem. W piwnicy było jeszcze trochę wina, a po kolacji tańczyliśmy w restauracji Dunaja. Było to ostatnie przyjęcie u nas. Pani Turno patrzyła na mnie jak na rarogę i spytała mnie, czy bardzo jej nienawidzę, co mnie niezmiernie ubawiło... Ale ten sam eksperyment pomidorowo-majonezowy nie udał się w Krzemieńcu z braku prawdziwej oliwy. Trzeba wiedzieć, że oliwa nazywa się po rosyjsku *prowanskoje masło*. Zapewne prowansalska oliwa nazywa się *prowanskoje prowanskoje masło*.

Mieliśmy dosyć czasu na wspólną pracę – codziennie po parę godzin gadałaliśmy o funkcjach niezależnych. Nie była to praca nad konkretnym zadaniem, lecz próbowanie nowych definicji i koncepcji; najbardziej pasjonujący rodzaj pracy. Dla mnie było to też przygotowanie się do odjazdu, który miałem mieć na jesieni w Genewie. Grałem w tenisa z moim uczniem i jego bratem, który wówczas był uczniem Liceum Krzemienieckiego. Liceum to przynosi zaszczyt jego odnowicielowi, ministrowi Poniatowskiemu. Jeżeli z podziwem mówimy o *colleges* angielskich, to nie zapomnijmy, że Liceum Krzemienieckie nie ustępuje im pod żadnym względem; ma pomieszczenie we wspaniałej architekturze, ma tradycję, ma duży majątek, ma doskonałych nauczycieli i budzi wśród uczniów i nauczycieli ten szacunek dla prawdziwej kultury i dla ciągłości wysiłku, bez którego nie można wytworzyć warstwy zasługującej na miano inteligencji. Poniatowskiego nie znam, ale słyszałem o nim wiele od mojego ucznia. Nie należał do realistów, nie wierzył w łajdactwa otaczających go „bebełków” i „ozonowców”. Ci używali go jako pokazowego idealisty, a sami robili co im się podobało. Raz przyszła do mnie we Lwowie młoda dama i doręczyła mi ulotkę opisującą stosunki w Berezie Kartuskiej. Były to relacje mogące oburzyć najchłodniejszego człowieka. Wziąłem ulotkę i pokazałem ministrowi Poniatowskiemu. Odpisał mi szef jego gabinetu „że fakty ulotki są zmyślane, że ulotka ma na celu wzbudzenie wśród ludzi nauki nienawiści do rządu”. Pismo pana szefa gabinetu przekonało mnie, że ulotka mówi prawdę, bo na zarzuty, że w miejscu odosobnienia męczy się i katuje więźniów, jest jedna odpowiedź: dopuścić niezależną komisję obywa-

telską do zbadania więzienia i przesłuchania więźniów. Wszelkie zaprzeczenia nie poparte takim dowodem są tylko przyznaniem się do nadużyć.

Miałem do czynienia z ministerstwami i władzami bardzo rzadko, ale niemal zawsze musiałem się dziwić temu, czego przy takim zetknięciu doznałem. Wpadł mi raz do głowy pomysł listów z potwierdzoną treścią. Chodziło o takie urządzenie transkryptowe, które umożliwiałoby pocztowe wydawanie nadawcy listu poleconego potwierdzenia, umieszczonego na opieczetowanej kopercie, że zawarta w niej kopia jest identyczna z nadanym listem. Pierwotnie miało to być robione za pomocą maszyn do pisania umieszczonych na pocztach tak, by piszący nadawca nie miał dostępu do arkuszy, na których pisze. W tej niedoskonałej formie przedstawiłem pomysł w Ministerstwie Poczty, które uznało pomysł za dobry i wyraziło zamiar zużytkowania go. Na drugie pismo zapytujące, jak ministerstwo zamierza mnie wynagrodzić, odpisano mi, że „zasadniczo nie honoruje się ulepszeń i pomysłów przedstawianych przez publiczność”, i że „rozważa się wprowadzenie tego pomysłu w innym ujęciu niż to, które mu przedłożono”. Treść tego pisma zasługuje na podwójną nagrodę: za bezczelność i głupotę. Pojęcie publiczności pocztowej obejmuje bowiem wszystkich ludzi piszących listy, a ponieważ analfabeci nie robią wynalazków, więc Ministerstwo Poczty – podpisany był wysoki urzędnik – uważało się za właściciela wszystkich wynalazków, które mogą mu być przydatne. Zakomunikowanie zaś komuś, że jego wynalazek już jest znany, ale dopiero wtedy, gdy żąda zapłaty, a nie po pierwszym liście, w którym przedstawia swój pomysł, pewny, że urząd go nie okradnie, dopełnia właśnie bezczelności i głupoty. Tego rodzaju stanowisko nie było dla mnie nowe; spotkałem się bowiem u władz skarbowych z podobną filozofią. Po śmierci Ojca władze skarbowe opodatkowały spadek; ponieważ był on obciążony rentą dożywotnią na rzecz siostry zmarłego, zamieszkałej na Węgrzech, wartość renty skapitalizowano, odjęto od spadku, i osobno opodatkowano rentę, a osobno resztę spadku. Ponieważ oba podatki my płaciliśmy, więc skarbowo państwo otrzymało taką samą opłatę, jak gdyby spadek był nieobciążony. Ale po śmierci ciotki uznano, że przez zwolnienie z legatu wartość spadku powiększyła się o ową skapitalizowaną rentę i zażądano jeszcze raz zapłaty podatku. Taka była filozofia fiskalna, że nie dali sobie tego wybić z głowy. Razu pewnego doprowadzony do wściekłości uporem urzędnika powiedziałem mu: „Pan ma mnie w ręku, bo Pan ma za sobą prawo egzekucji, ale to jest tylko pozorne, bo jeżeli będziecie ze mną tak postępować, to ja za jednym zamachem odbiję sobie szkodę, odbierając mój depozyt wartości kilku tysięcy złotych, który miał zostać własnością seminarium UJK, tzn. skarbu państwa”. Miałem satysfakcję, że urzędnika zatkałem. Oczywiście groźby nie wykonałem, muszę jednak powiedzieć, że bardzo nie lubię despotyzmu biurokracji.

W tym czasie pojawił się na murach wszystkich miast i wsi w Polsce plakat zawierający odezwę opracowaną przez pana Adama Koca. Kosztowało to dużo pieniędzy, w myśl przysłowia: „choć bieda, ale Koc”. Odezwę, którą każdy zdolniejszy dziennikarz napisałby w godzinę, pan Koc opracowywał podobno parę miesięcy. Była to wyraźna zapowiedź faszyzmu w Polsce. Skutki tej odezwę nie dały długo na siebie czekać. W polityce zagranicznej równoległe do zmian wewnętrznych szła przyjaźń z Niemcami Hitlera. Objawami tej przyjaźni były nie tylko zaprosiny Wielkiego Łowczego Rzeszy Goeringa, na polowanie do Białowieży, ale, co ważniejsze, zaproszenie pana Goebbelsa do Warszawy na odczyt urządzone w ramach porozumienia kulturalnego polsko-niemieckiego, któremu przewodniczył prof. Tadeusz Zieliński, hellenista, sprowadzony z Petersburga na Uniwersytet Warszawski. To porozumienie kulturalne doprowadziło do tego, że w wydanym wówczas podręczniku szkolnym na klasę... napisał o tym prof. Zygmunt Łempicki, wydanym w r... i zatwierdzone przez Ministerstwo Oświecenia Publicznego znajduje się *Lorelei* Heinego bez nazwiska autora, ale jako *Volkslied**, w myśl zasady *amica veritas sed maior amicus Goebbels***, albo „z kim się wdajesz, z kim się stajesz”. Ten przykład lokajstwa powinien przejść do historii. Nieumiejętność była zupełnie zbędna, bo można było po prostu pominąć ten przykład i nie narażać swojej odwagi cywilnej na próbę umieszczenia nazwiska frankfurckiego przechrztu nad wierszem, który każdy człowiek, mający jakieś takie pojęcie o języku niemieckim, rozpozna od razu jako autorstwa Heinego, a nie ludowy, co do którego żaden rozsądny człowiek nigdy nie będzie miał wątpliwości, że jest utworem Heinego, bowiem nosi on niewątpliwie niemieckie cechy w wersyfikacji***.

Niebawem po rozlepieniu plakatów Koca przyjechali do mnie z Warszawy pan i pani Wardowie. Było to młode małżeństwo, jeszcze parę miesięcy temu oboje byli studentami w Cambridge. On jako matematyk dostał stypendium na wyjazd zagraniczny i wybrał Polskę. Specjalnie chodziło mu do Stanisława Saksa w Warszawie; po paru miesiącach postanowił wstąpić do Lwowa, a że żony mojej nie było w tym czasie w domu, moi oboje umieścić wygodnie u siebie. Wardowie ogromnie lubili pisać wiersze i wkrótce poznali topografię Lwowa i okolicy lepiej niż ja sam.

* Pieśń ludowa.

** Swoista trawestacja oświadczenia Arystotelesa. Tu: „Droga mi prawda, ale droższy Goebbels”.

*** Autor otrzymał błędną informację. W podręczniku Zygmunta Łempickiego i Stanisława Elgerta: *Deutsch*, dla III klasy gimnazjalnej (Książnica – Atlas, Lwów 1936) *Die Lorelei* na str. 78 opatrzone jest nazwiskiem autora: Heinrich Heine.

Niektóre rzeczy strasznie ich dziwiły: „niewolnictwo”, jak nazywali instytucję naszej służby domowej, straszna nędza, którą widziało się we Lwowie za Teatrem Miejskim, bryndza, o której powiedziała mi Mrs. Olive Mabel Jessie Ward, że jest dobra, ale prosi mnie o zwolnienie od obowiązku jej jedzenia. Oboje byli bardzo mili i bardzo dobrze wychowani. Lwów podobał im się niesłychanie. Architektura, wysoki poziom nauki, okolica, kawiarnie, niemal wszystko. Pan Ward zwrócił też uwagę na plakat Koca i dziwił się niezmiernie, skąd partia OZN wzięła pieniądze potrzebne na takie zaklejanie Polski papierem. Pomógł mi on wówczas bardzo przy rewizji angielskiego tekstu *Kalejdoskopu* [matematycznego], a nawet wykrył parę błędów rzeczowych. Jeszcze potem korespondowałem z nimi; pamiętam, że zainterpelowałem go listownie o politykę monachijską. Odpowiedział mi, że dobrze sobie przypomina angielskie plakaty wyborcze: *we shall stand by our word* oznaczające wierność Lidze Narodów i raz danemu słowu. Ten program, który doprowadził przy wyborach konserwatystów do władzy, został przez nich poniekąd w Monachium.

Szło ku burzy. Jak przed podmuchem huraganu można widzieć zryw wiatru pędzącego śmiecie i zeschnięte liście, tak i u nas bzdura świeciła coraz większe triumfy. Zabrzmiało hasło: „Na Madagaskar”! Rząd wyasygnował sporą kwotę na podróż kapitana Lepeckiego, byłego adiutanta Piłsudskiego. Po powrocie Lepecki napisał książkę o Madagaskarze. Podał tam powierzchnię wyspy i powierzchnię tej części, która nadaje się do kolonizacji. Pojawiła się wnet krytyka; krytyk twierdził, że Lepecki omylił się parę procent w obliczeniu. Przypadkiem – jak stwierdzał – różnica była równa właśnie temu rzekomo nadajacemu się do kolonizacji arealowi. Rząd francuski zaniepokoił się planem umieszczenia obcych obywateli na Madagaskarze i zaznaczył, że żadnej zgody na to nie wyraził. Trzeba było przeproszać i objaśniać, że to tylko tak sobie gazety piszą... Jakiś ożonowiec wystąpił z projektem posłania do Berezy owego geografa, który miał się mieć inne zdanie o Madagaskarze niż kapitan Lepecki, adiutant marszałka! Gdzieś w Pińsku żydowski kupiec ogłosił wyprzedaż swojego sklepu, umieszczając na wystawie napis: „kompletna wyprzedaż z powodu wyjazdu na Madagaskar”. Za to starosta ukarał go grzywną... Nikt nie dowiedział się zapewne, czy grzywna była za zamiar wyjazdu, czy też za zamiar pozostania w Polsce...

♦♦

Jesienią 1937 roku pojechałem do Genewy. Co roku urządzano „kolokwium”, czyli małe zjazdy międzynarodowe specjalistów pewnego zakresu, z programem ograniczonym do tej specjalności. Fundusz pochodził od jakiegoś milionera, który naprawdę zataił swoje nazwisko. Razem było to kolokwium z rachunku prawdopodobieństwa. Z Polski

proszony był Mazurkiewicz i ja, ale Mazurkiewicz nie pojechał. Koszt podróży płacił komitet zjazdu, a mieszkanie miałem zapewnione u kuzynki mojej żony*, która mieszkała w Genewie od kilku lat, jako żona właściciela firmy eksportującej zegarki Lusina. Jechałem przez Warszawę i Berlin, nie zatrzymując się po drodze. W Bazylei pociąg opuścił terytorium niemieckie. Znalazłem się w całym wagonie sam z młodym Niemcem, który przedtem przyskoczył do mnie i uprzedził: „Nie powiem ani słowa, aż nie znajdziemy się poza granicą”. Już byliśmy w strefie szwajcarskiej, więc mój towarzysz zaczął opowiadać. Był robotnikiem i okazało się, że miał dziadka Żyda. Prócz tego miał jeszcze inne jakieś mankamenty w oczach władz. Przyjaciele służący w policji w Lipsku uprzedzili go, żeby uciekał, że na granicy czeskiej policja ma już nakaz aresztowania go. Wobec tego jedzie do Szwajcarii. W Bazylei zamieszkaliśmy na noc w jednym pokoju. Do późna opowiadał mi o reżimie, którego nienawidził. Jedno zdanie utkwiło mi w pamięci: „Nie mam za złe antysemityzmu tym, którzy zawsze byli antysemitami, ale ci profesorowie i uczeni, którzy dopiero po dojściu Hitlera do władzy odkryli w sobie tę skłonność, są godni pogardy”. Był to zwykły robotnik, jednak lepiej rozumiał te sprawy niż inteligent. Musiałem mu obiecać, że jadąc przez Lipsk z powrotem zawiadamie jego rodziców telefonicznie, że dostał się cało do Szwajcarii. Jadąc z Bazylei do Genewy elektrycznym pociągiem miałem za towarzyszkę dziewczynkę, która jechała na zjazd młodzieży chrześcijańskiej. Było widoczne z jej sposobu mówienia o tym zjeździe, że nie ma ona nic wspólnego z antysemityzmem. Tak samo w przedziale III klasy koło Frankfurtu całe towarzystwo unikało pozdrowienia hitlerowskiego; był tam ksiądz, oficer, jałowa stara kumoszka i typowy Żydek, zupełna karykatura. Miał odznakę uczestnika wojny światowej i zachwycał się geniuszem ministra finansów Brüla. Słuchano go z sympatią nacechowaną lekką drwiną. Przypominał mi się wierszyk Tuwima:

O Mensch, gib Acht

Dumm ist die Macht

Und dümmmer, als der Schacht gedacht.

Kongres przyjechał m.in. Heisenberg z Lipska, laureat Nobla. Jego celem było na celu pokazanie niezgodności klasycznego rachunku prawdopodobieństwa z teorią fotonów. Ponieważ w moim odczuciu na końcu wskazywana droga do takiego pojęcia niezależności stochastycznej, w której nie obowiązuje zwykła zasada mnożenia prawdopodobieństw, bardzo go to zajęło. Kongres był przeplatany wycieczkami, jedna z nich prowadziła do pięknej willi nad Jeziorem Genewskim, należącej do prof. M. Siedziałem obok Heisenberga przy podwieczorku i pytał nagle o Karola Krausa. Pan domu dał pogardliwą odpowiedź.

Ołgi Pamm.

Na to ja zabrałem głos i w sposób bezkompromisowy wypowiedziałem swoje zdanie. Słyszał to Feller, który mieszkał stale w Sztokholmie i przypominał mi, że przed dziewięciu laty mówiłem to samo u Couranta. Zyskałem sobie tym sposobem przyjaciela. Dziwnym zbiegiem okoliczności Feller miał odczyt o miarowym ujęciu rachunku prawdopodobieństwa w wypadku nieskończenie wielu prób; dziwił się, kiedy mu pokazałem IV tom „Fundamentów” z roku 1923, gdzie to samo było zrobione. Był też na kongresie Cramer ze Sztokholmu, autor doskonałej książki o zmiennych losowych, Paul Lévy z Paryża, matematyk pełen pomysłów, ale nie zawsze dostatecznie krytyczny, Eberhard Hopf, który wracał z Ameryki do Niemiec i pan Dodd z Texasu; był także uczeń Lévy’ego Doeblin i Fréchet. Nie wymieniam wielu innych. Podczas dyskusji na kongresie zadawała mnie maszyna do stenografowania. Jest to maszyna do pisania na taśmie papierowej, na której uderza się w akordy; wybija ona zatem cały kompleks liter i za każdym uderzeniem posuwa taśmę o wiersz. Jest przy tym zupełnie stłumiona i nie przeszkadza mówiącym. Ze Szwajcarów był panowie Fehr, M. i W. Z Zurychu przyjechał mój dobry znajomy, dosłownie matematyk Polya; miał odczyt o „błądzeniu w sieci ulic” i o matematycznej teorii ruchu zwiru dennego w potokach.

Ministerstwo poleciło mi – jak zawsze profesorom wyjeżdżającym na granicę – odwiedzić naszą placówkę dyplomatyczną w Genewie. Po Komarnickiego nie zastałem. Przyjął mnie sekretarz legacji, pan Meysztowicz. Wtedy była w kraju głośniejsza sprawa Związku Nauczycielstwa. Składkowski pieńił się w Sejmie na „defetyzm i pacyfizm” tej organizacji. Powołując się na te słowa powiedziałem panu Meysztowiczowi, że nie zawsze jest złym patriotą ten, kto nie chce wojny. Jeżeli np. państwo jest za słabe, to ten, kto głosi zasady pokojowe, chroni je od katastrofy. Ale pan Meysztowicz oświadczył mi, że to sofizmat.

Tytus Komarnicki nie był popularny w kołach Ligi Narodów. Był tam eksponentem polityki Józefa Becka, której celem było pogrzebanie resztek autorytetu tej instytucji.

Zwiedziłem Pałac Ligi Narodów dzięki temu, że odszukałem w Warszawie dra Wasserberga z Krakowa, który był urzędnikiem tej instytucji. Iac jest rzeczywiście wspaniały, ale leży cztery kilometry od miasta. Auto dra Wasserberga nie byłbym go widział. Zastałem w jego domu pana Neymana z Warszawy, od niego dowiedziałem się, że polscy członkowie Ligi złożyli pewien fundusz na wyjazdy zagraniczne młodych naukowców. Udało mi się z tego funduszu uzyskać dla mojego ucznia Kaca, zasiłek na jego wyjazd do Ameryki.

Dr Wasserberg przyjechał raz wieczorem pod dom mojej kuzynki i zabrał mnie na spacer. Noc była ładna, więc postanowiliśmy iść do parku. Auto, płaszcz i teczka doktora zostały po prostu na ulicy. Po parę godzin na nasz powrót. Jeszcze dziwniejsze było dla mnie

nej sprzedaży gazet: na latarni wisiał koszyk z gazetami, a obok niego kartonowe pudełko na pieniądze; kto nie miał drobnych, wrzucał franka i wyjmował 90 groszy reszty. Gdy na bankiecie pożegnaliśmy każdy z nas przemawiał, dziękując za przyjęcie, ja w swoim przemówieniu powiedziałem, że to pudełko kartonowe zaimponowało mi więcej niż Alpy, niż Jezioro Genewskie, niż bogactwo mieszkańców i piękność miasta. Mąż mojej kuzynki, osiadły od kilkunastu lat w Genewie, dysponował kredytem. Zapytałem go, na jakich warunkach otrzymuje ten kredyt. Odpowiedział, że po prostu pisze list do banku, żeby mu przysłali 10 000 franków. Na to ważny przynosi mu odpowiedź z banku i 10 000 franków, które on kwituje.

— Jak to – zdziwiłem się – bez gwarancji, bez hipoteki, bez żyrantów, bez weksla, bez skryptu dłużnego! To chyba musi być droga pożyczka i krótkoterminowa?

— Nie! Jest to pożyczka roczna na 4%.

Zrozumiałem, że my w Polsce dajemy gwarancje i płacimy 10-12% za wszystkie, którzy nie płacą weksli i bankrutują. Ale o obywatelstwo szwajcarskie trudniej niż o pieniądze. Kuzynowi nie chcieli go dać, gdyż przywiózł sobie żonę z Krakowa i mówił w domu po polsku.

Nie potrafimy zdać sobie sprawy z zamożności Szwajcarii. Jest w Genewie 30 000 aut, mleczarz, piekarz mają własne auta, a rzeźnik dwa. Nie wszystkie ulice są asfaltowane, ale drogi z miasta do miasta; w nocy są oświetlane lampami elektrycznymi z pomarańczowym kolorem światła, które nie odbija mgłę. Moi gospodarze mieli sprawę w Lozannie, gdzie zamówili auto, a prócz tego chcieli odwiedzić synka umieszczonego w sanatorium. Zabraли mnie ze sobą na tę wycieczkę. Droga szła nad jeziorem; w jednej restauracji zjedliśmy obiad, który składał się z ryb smażonych i ziemniaków. Pan Pamm nie chciał pić więcej niż jeden kieliszek. Wyjaśnił mi, że w Szwajcarii w razie wypadku automobilowego, choćby najłżejszego, postratykniat bierze szoferowi próbę krwi. Jeżeli próba wykaże alkohol, aresztują szofera z miejsca, bez względu na jego stanowisko społeczne.

W Montreux miałem wolne parę godzin, czekając na powrót moich gospodarzy z sanatorium. Zwiedziłem zamek Chillon i pieszo wróciłem do Montreux. Pełno tam willi, hoteli i pensjonatów nad jeziorem. Angolicy uprawiają tenisa, Angielki, szapronowane* przez guwernantki, zwiedzają miasto, a przekupki sprzedają sok z winogron wyciskany z małej drewnianej pras do szklaneczek. Zatrzymałem się na podwieczorku w pięknej kawiarni z widokiem na jezioro. Był tam dancing; zawodowcy i półzawodowcy tańczyli leniwie w miękkich trzewikach o filcowej podeszwie na gładkim parkiecie. Byli to przystojni młodzieńcy, ale nie widziałem żadnych pociągających kobiet. W ogóle w Genewie nie ma szyku;

* szapronować: towarzyszyć młodej osobie, matkować.

Kalwin zdaje się wybić swoim kompatriotom z głowy raz na zawsze wszelkie płochę myśli.

Koleje są zelektryfikowane. Gdy się widzi na dworcu i wzdłuż traktu sieć przewodów, szeregi słupów obwieszonych izolatorami i różnymi bezpiecznikami, dostrzega się ogromny koszt tej inwestycji. Ale podróż szybka, bez sadzy, bez szarpań, bez huku lokomotywy jest bardzo przyjemna. W Genewie miałem sprawę do Société de Compteurs Électriques. Chciałem im zaproponować budowę liczników elektrycznych mojego pomysłu. Od dawna myślałem o tym, jak by ująć racjonalnie sprawę taryfy elektrycznej. Jest to problem znany doskonale elektrykom. Koszty produkcji prądu składają się z dwóch części: 1) z wydatków proporcjonalnych do ilości wytworzonej energii (węgiel) i 2) z wydatków proporcjonalnych do zainstalowanej mocy (amortyzacja budynków, maszyn i sieci). Dlatego dla elektrowni jest najkorzystniej sprzedawać prąd konsumentowi, który stale odbiera tę samą moc w dzień i w nocy, w zimie i w lecie. Konsument, który raz bierze dużo prądu, a w innej porze mało lub nic, zmusza elektrownię do trzymania do jego dyspozycji urządzeń wytwórczych, które przez dużą część roku nie pracują. Wtedy elektrownia nie otrzymuje żadnej zapłaty, a płaci procenty od kapitału włożonego. Toteż elektrownie wymyśliły specjalne taryfy dla uwzględnienia niejednostajności odbioru: np. rozkłada się miesiąc na okresy dwugodzinne i wybiera się z tych 360 okresów trzy największe pod względem konsumpcji. Z tych trzech bierze się najmniejszy i oblicza się rachunek miesięczny, mnożąc przez 360 spożycie tego okresu. Są to mechanizmy uwzględniające niejednostajność konsumpcji. Istnieją np. liczniki inż. Ferrari, mają one jednak tę wadę, że nie uwzględniają wcale krótkotrwałych wznosów w krzywej odbioru. Wymyślona przeze mnie metoda obliczania spożycia energii zrywa z wszelkimi konwencjonalnymi sposobami taryfikacji. Dla posłużenia się nią trzeba skonstruować odpowiednie liczniki; do tego celu poprosiłem o współpracę pana inż. Rosenzweiga, asystenta Politechniki Lwowskiej. Wymyśliłiśmy nawet kilka takich liczników; jeden z nich opisaliśmy we wspólnej pracy ogłoszonej w „Schweizerische Elektrizitäts Vereinigung”. Po ukazaniu się tego opisu otrzymałem list od referenta taryfowego elektrowni budapeszteńskiej, w którym autor uznaje nasze rozwiązanie sprawy taryfowej za praktyczniejsze od dotychczasowych.

W Genewie odbyłem jeszcze kilka spacerów autem mojej kuzynki. Raz udaliśmy się do Sabaudii francuskiej. Tam znowu musiałem się dziwić możliwości Szwajcarów: była niedziela i przez granicę zjechało się autami do karczmy kilkudziesięciu chłopów, wszyscy jedli ten sam obiad, co mi złożyony z siedmiu dań i kosztujący około siedmiu franków szwajcarskich.

W zjeździe brał udział pan Dodd z Texasu. Był to starszy Amerykanin, który przyjechał do Genewy z żoną Angielką. Ponieważ często bywał w ich towarzystwie, chciałem ułatwić im kupno zegarka ręcznego dla pa-

Dodd. Mój gospodarz miał u siebie w domu parę zegarków, które zgodził się odstąpić państwu Dodd po cenie fabrycznej. Cena ta była trzy razy niższa od ceny takiegoż zegarka w Nowym Jorku. Złożyło się tak, że było późno, kiedy mieliśmy jechać do państwa Doddów do hotelu z zegarkami. Pan Pamm namawiał mnie także, bym sobie kupił modny zegarek na rękę. Ja miałem swój niklowy i tłumaczyłem, że dla mnie zegarek jest tylko marną ozdobą; zresztą moim zdaniem, zegarki na rękę nie są pewne, są za małe, żeby mogły dokładnie chodzić. Gospodarz oświadczył, że nosić zegarek kieszonkowy, to tak jakby chodzić w cylindrze z XIX wieku. Ale czas nagił i trzeba było stwierdzić, która godzina, żeby nie przyjechać za późno do państwa Doddów. Okazało się, że pan Pamm miał w swoim pokoju na biurku zegarek, którym posługiwał się przy pracy: była to barokowa „cebula” jego ojca, zegarek, przy którym mój wydawał się ostatnim krzykiem mody. Zapytany – zarumienił się i przyznał, że jest to jedyny pewny czasomierz w jego biurze. *Nota bene* państwo Dodd zegarka nie kupili, gdyż wydał im się za tani. Trzeba wiedzieć, że są dwie tylko firmy, które mogą mieć pretensję do tytułu championa: Filip Patek i Schaffhausen. Swego czasu w Vichy opowiadał mi urzędnik firmy Patek, że Amerykanie przyjeżdżający do Genewy żądają, aby im sprzedano „najlepszy zegarek na świecie”, i nie chcą żadnego z tych, które znajdują się w handlu. Wtedy robi się dla nich zegarek, który zawiera o kilka rubinów więcej niż zwykle, ma inny cyferblat i inny rysunek kopert; kosztuje on dwa razy tyle, co zegarek normalny, ale nie jest ani o jotę lepszy.

Był też wtedy w Genewie pan Spława-Neyman. Miał zaproszenie do Warszawy i do Passadeny w Kalifornii; pytał mnie o stosunki na uniwersytetach polskich, bo przyjechał z Anglii i nie orientował się w zmianach, które zaszły w ostatnim czasie. Moja informacja widocznie była bardzo pesymistyczna, bo zdecydował się jechać do Passadeny. Zresztą postawiłem kwestię jasno: zapytałem go, czy jako profesor zechce podporządkować się awanturnikom, czy nie. Jeżeli wybierze to drugie, nie będzie miał spokojnej chwili.

Zdarzyło się, że przez Genewę przejeżdżał wtedy Hindus Raman, fizyk, laureat nagrody Nobla. Zatrzymał się na parę dni i miał odczyt o zmianie długości fali w świetle załamanym. Wyglądał zupełnie jak ksiądz z Sieklówki, tylko może oczy miał trochę ciemniejsze. Mówił po angielsku i wykladał jasno. Skorzystałem ze sposobności i zapytałem go, co sądzi o biegu pocisku, który wpada ukośnie w ciało ludzkie. Odpowiedź jego wypadła przeciwnie do odpowiedzi Heisenberga; sposobem dwóch laureatów Nobla miało przeciwne zdanie; z tego wynikał taki problem nie da się rozstrzygnąć bez eksperymentu.

Po powrocie do kraju poznałem się bliżej z bardzo interesującym
 dzieńcem, kolegą mojej córki z wydziału prawa, panem M.B. * Miał
 być bezustannie zajęty wielkimi interesami. Raz przebywał w m...
 swoich krewnych w Medenicach, to znowu w Warszawie, raz sprze...
 specjalne drzewo na aeroplany do Francji, innym razem jeździł do...
 nia, żeby ratować dom swojej rodziny przed konfiskatą. Dzięki niemu
 wiedziałem się różnych rzeczy, o których inaczej nie miałbym po...
 Tak np. cena bombowca typu 1937, *loco* Warszawa, wynosiła w 1938
 pół miliona złotych. Ten sam bombowiec załadowany w Gdyni na o...
 na fałszywe papiery pochodzenia chilijskiego czy ekwadorskiego – ko...
 wał milion złotych, a *loco* port chiński, zajęty przez Czang Kaj-szeka...
 kosztował półtora miliona. Pan M.B. wybierał się do Ameryki. Miał
 tam zająć kupnem koni rasy Morgan dla naszej armii. Dlaczego on w...
 nie, który nie był koniarzem, dostał to zlecenie, sam mi wyjaśnił. Go...
 rał, który zajmował się tą sprawą w ministerstwie, powiedział: cho...
 parę klaczy, które (powiedzmy) razem z przewozem będą kosztow...
 40 000 zł. Jeżeli pošlę oficera ułanów, mówiącego po angielsku, to będ...
 to elegancki chłopak z arystokracji. Ten spodoba się amerykańskim ka...
 lerzystom, bo będzie umiał z nimi jeździć i pić. Naturalnie, oni przy pic...
 szej pijatce przypną mu odznakę pułkową na znak wiecznej przyjaź...
 On upiwszy się zdejmie tę odznakę, przypnie śledziowi do ogona i pow...
 śledzia w klozecie. Na to departament w Waszyngtonie wystosuje pism...
 do attaché amerykańskiego w Warszawie, który pójdzie do naszego mi...
 stra na poufną rozmowę. Koniec będzie taki, że mnie wyślą do Wasz...
 gtonu z dwoma adiutantami, jako misję przeproszącą, i klacze, zami...
 40 000 zł będą kosztowały 400 000 zł.

Tego właśnie pana M.B. prosiłem, aby w Warszawie sprzedał w MS...
 mój pomysł szyfru listowego. Szyfr polegał na pewnej idei, którą zna...
 złem w *Ulyssesie* Joyce'a. Chodziło tam o telegraficzne zakomunikowa...
 dyslokacji powozu wicekróla i Irlandczyków – uczestników zamachu bom...
 bowego. Z tej idei wynikł pomysł szyfru; jest on łatwy do pisania i czy...
 nia, ma łatwość zmiany klucza i bez niego jest nie do odczytania. Jedyn...
 jego wadą jest, że nie jest telegraficzny. Kiedy M.B. przywiózł do MS...
 kartę z tekstem „Chlorodont jest najlepszy”, udawano, że chcą ten tekst...
 odczytać, ale podczas nieobecności M.B. w ministerstwie posłano do ho...
 telu agentów, którzy otworzyli walizki i szukali tajemnicy szyfru. Oczywi...
 ście dalej już się nie rozmawiało na ten temat.

* Maurycy Bloch, dalej nazywany przez Autora Morciem lub Morysiem.

...te sprawy, a także zajęcia związane z drukiem *Kalejdoskopu*
 ...[sprawy] sprawiły, że nie byłem w Jaśle wtedy, kiedy zjechał
 ...wykly gość: był to Niemiec czeski, z którym moja siostrzenica po...
 ...się w podróży. Obiecał jej, że odwiedzi ją w Jaśle i rzeczywiście
 ...jechał i zamieszkał w hotelu. Wtedy u nas w domu nie było mężczyzn.
 ...przyjezdny był „ekonomistą”, rzekomo przeciwnikiem narodowych
 ...i uciekł aeroplanem z Czech po wkroczeniu tam Niemców.
 ...ł się, ilu urzędników jest w urzędzie podatkowym, ilu w staro...
 ...ł. Wszystkie te dane potrzebne mu były rzekomo do pracy ekono...
 ...statystycznej. Kiedy wyjeżdżał, obiecał napisać i podać nowy ad...
 ...nie nigdy nie dał znać o sobie. Był to bez wątpienia jeden z licznych
 ...gów Hitlera.

...w Lwowie zabrałem się do lokalizacji, ciągle bez wyników. W tym
 ...nasilenie ekscesów doszło do zenitu. Na mój wykład w lutym
 ...młokos w czapeczce akademickiej, zbliżając się do katedry wska...
 ...na stojącą przy oknie grupkę i powiedział: „ci Żydzi stoją”. Miało to
 ...czuć, że nie stosują się do przepisu, który każe im s i e d z i e ć po le...
 ...stronie, nie stać. Kazałem mu wyjść z sali. On odpowiedział: „Kiedy
 ...nie chce!” Na to wpadła grupka z laskami, rzuciła się na stojących
 ...y oknie i obaliła jednego z nich. Stało się to, kiedy ja już schodziłem z
 ...katedry i skierowałem się ku drzwiom. Zastałem je trzymane z zewnątrz,
 ...pchnąłem je i wyszedłem na korytarz. Kiedy mówiłem o tym zajściu z
 ...imi studentami, wszyscy potępili je, ale wszyscy w przesadny sposób
 ...przedstawiali mi niebezpieczeństwo, które groziłoby im samym, gdyby ze...
 ...cieli w jakiś sposób przeszkodzić napastnikom. Trzeba pamiętać, że
 ...wantownicy mieli swoją organizację, na jej czele stał niejaki Rojek, który
 ...derował swego czasu owym wiecem za rektoratu Krzemienieckiego. Or...
 ...ganizacja miała już na sumieniu mordy, zabiła w parku stryjskim jakiegoś
 ...prywatnego urzędnika, czy buchaltera. Zabito też studenta z weterynarii i
 ...pokluto nożami studenta, który okazał się nieposłuszny bandyckiej spó...
 ...ce.

Mimo to wszystko nie mogłem zapomnieć o obietnicy danej Meiselso...
 wi: „Będę widział przedmiot ukryty w ciele ludzkim”. Niewiele dni po in...
 cydencie siedłem ulicą św. Mikołaja; prószył śnieg i na czarnych rękaw...
 wach mojego futra świeciły się gwiazdki śniegowe. Było jasno na ulicy po...
 krytej śniegiem (zbliżało się południe), a przyzwyczajony do bawienia się
 odbiciami w szybach, stanąłem przed wystawą małego sklepiku z kapelu...
 szami damskimi „Jenny”. Zobaczyłem wyraźnie gwiazdki na rękawie w
 odbiciu w szybie i zobaczyłem, że mogę, ruszając ręką, sprawić, że taka
 ruchoma gwiazdka wchodzi na powierzchnię kapelusza damskiego, że
 mogę ją przesunąć o centymetr głębiej, i że mogę ją wyprowadzić znowu

przez inny punkt sukiennej powierzchni itd. Wtedy rozjaśniło mi się głowie i zanim doszedłem ulicami Zyblikiewicza i Kadecką do domu, miałem gotowy wynalazek introwizora.

Od tej chwili zacząłem robić eksperymenty. Ustawiłem z lekka poobrazowaną szybą na podstawie z deseczki oklejonej czarnym papierem, wkręciłem po obu stronach szybki po śrubce tak, że obraz śrubki w szybie pokrywał się z widzialną wprost przez szybę drugą śrubką. Następnie bijąłem ziemniak na śrubkę poza szybą; wtedy widziałem ziemniak przez szybę, a w nim śrubkę (dzięki odbiciu) tak, jak gdyby ziemniak był przezroczysty. Oстрыm nożem ścinałem ziemniak i w chwili, gdy już tylko cienka ścianka dzieliła ostrze od krawędzi śrubki, mogłem naruszyć śrubkę końcem noża tak, jak gdybym ją widział. Nie będę opisywał różnych moich eksperymentów. Jeżeli chodzi o zastosowanie do chirurgii, to polegało ono na umieszczaniu jaskrawego paciorka symetrycznie do obiektu znajdującego się w ciele pacjenta; to miejsce, gdzie miał być paciorek, znajdowałem przy pomocy dwóch prześwietleń rentgenem z dwóch różnych pozycji. Sposób ten opisałem w nocie, którą umieściłem na wiosnę 1938 roku w „Sprawozdaniach Akademii Paryskiej”. Pierwszy dłuższy opis tej zasady ogłosiłem w *Księdze jubileuszowej gimnazjum jasielskiego*, która wyszła w lecie 1938 roku, kiedy gimnazjum obchodziło 75-lecie istnienia. Miałem też parę odczytów na ten temat w Towarzystwie Naukowym Lwowskim i w Towarzystwie Fizycznym. Ostatni odczyt był już poprzedzony z pokazem przy użyciu aparatu Rentgena. Naturalnie pierwszy odczyt do którego zwróciłem się, był dr E. Meisels. Dał mi do dyspozycji swój atelier rentgenowski i tam przy pomocy panów: Marka Kaca i Edwarda Otto po raz pierwszy zlokalizowałem śrut umieszczony w bułce. Tam dr Scharage dokonał sztucznej operacji wyjęcia śrutu z czaszki. W tym czasie odwiedził mnie prof. Bartel, któremu pokazałem mój przyrząd; przy innej sposobności dowiedziałem się od niego o złudzeniu, jaką jest iluzja płot złożony z jednakowych oczek drucianych, który wydaje się być błędny lub dalej niż jest. (To złudzenie jest dowodem na ważną rolę tzw. identyfikacji obrazów; w teorii dwuocznego widzenia nie zwraca się dostatecznej uwagi na ten istotny składnik widzenia plastycznego). Ale praktyczne zastosowania zaczęły się dopiero od chwili, kiedy dr Ziemilski, nasz przyjaciel, przyprowadził do mnie dra Alfreda Bonga, lekarza-majora, pana Frank i dra Grabowskiego, docenta uniwersytetu, którzy zainteresowali się moim „intrawizorem” i życzyli sobie, żebym miał odczyt w kolegium genologów lwowskich. Odczyt ten miałem w nowocześnie urządzonej sali atelier pana Grabowskiego. Od tej chwili korzystałem z daleko idącej pomocy pana Bonga i pana Grabowskiego. Zasada już była przeze mnie opatentowana w marcu 1938 roku, ale jeszcze nie było aparatu, na którym można by było operować serio. Pierwszy taki aparat zbudował dr Bong w szpitalu wojskowym we Lwowie, a pierwsza operacja polegała na wyję-

cia igły z ręki kaprała Reguły. Operację poprzedziło znieczulenie, potem nastąpiło prześwietlenie, wstawienie paciorka, oświetlenie światłem dziennym i wyjęcie odłamka. Trwało to razem parę minut. Nie trzeba wiedzieć, że metoda opisana nie ma nic wspólnego z tzw. „wiedzeniem” operowania podczas prześwietlenia. Intrawizor pokazuje ciało obce (zastępujący je paciorek) w świetle dziennym we wnętrzu ciała pacjenta. Wszystkich takich operacji zrobiono cztery; dwie z nich były podobne.

**

Na wiosnę 1938 roku przyjechał do Lwowa Henryk Lebesgue, wielki francuski matematyk, którego nasz wydział postanowił zrobić doktorem honorowym. Lebesgue pracował od lat czterdziestu; jego teoria miary i całki wcześniej niż we Francji znalazła uznanie u nas. Uogólnienia pojęcia miary i całki Banacha i Tarskiego, teoria operacji, teoria uogólnionych całek Fouriera, zastosowania do rachunku prawdopodobieństwa – wszystko to łączyło się z pracami Lebesgue’a, zwłaszcza z jego tezą doktorską i z dwiema książkami *Collection Borel*. Promotorem byłem ja, a o wygłoszeniu o pracach Lebesgue’a wygłosił Banach. Uroczystość odbyła się w obecności senatu i wydziału; dopuszczono tylko nielicznych studentów. Lebesgue wystąpił w towarzystwie profesorów Sorbony; dyplom, który mi wręczył, był łaciński, drukowany na pięknym pergaminie. Odpowiadając na nasze przemówienia Lebesgue sięgnął aż do średniowiecznej matematyki polskich, którzy mieli związki z Paryżem. Wiadomo, że miał z Biblioteki Polskiej na Quai d’Orléans, gdzie przed przyjazdem pilnie studiował historię polskiej matematyki. Wiedział więcej od nas jakoś historyków nie było; był docent filologii klasycznej, Auerbach, ale ten zajmował się historią matematyki greckiej. Naturalnie Lebesgue był u nas w domu w tym czasie kilka razy; na obiad wydany dla niego zaprosiłem też generała Musse, który właśnie wtedy bawił we Lwowie jako attaché ambasady, gdyż obchodzono poświęcenie cmentarza żołnierzy Lwowa; był też konsul i wicekonsul francuski. Mówiliśmy tak o polityce; zapewniłem pana Musse, że mimo oficjalnej polityki, społeczeństwo nasze nigdy nie pójdzie przeciw Francji. Lebesgue dużo rozmawiał z nami o paryskim świecie naukowym. Pochodził z Beauvais; jego rodzice byli małomieszczanami, a ich rodzice chłopami. Świetnie opanował łacinę i konwersacji, znał różne interesujące szczegóły z historii matematyki. Od niego dowiedziałem się np., że jeden z matematyków Sorbony w XVIII wieku pierwszy zwrócił uwagę na to, że stopy nie są przystające, lecz geometryczne i dopiero odtąd zaczęto robić inne buty na lewą nogę i na prawą. W swoim oficjalnym przemówieniu napomknął o tym, że nagroda im. Abelasa została podzielona pomiędzy Léraya a Schaudera. Było to

wielkie wyróżnienie naszego docenta, gdyż nagroda przypadła temu, w ostatnich latach dokonał największego postępu w analizie matematycznej. Léray odwiedził nas też następnego roku; był to czarujący Francuz niezwyklej kulturze i elegancji. Ominęła go wtedy profesura w Collège de France po Hadamardzie; dostał ją Mandelbrojt. Gazeta narodowo-radikalna napisała o doktoracie honorowym Lebesgue'a, że ja zrobiłem to zamian za nominację Żyda na asystenta Lebesgue'a w Sorbonie. Profesorowie Sorbony nie mają asystentów i nikt z nas nie byłby proponowany. Mandelbrojta zamiast Léraya, zresztą Mandelbrojt mając poparcie Hadamarda nie potrzebował naszego.

W lecie 1938 roku musiałem pojechać do Morszyna ze względu na zdrowie. Mieszkałem w pensjonacie „Orion”. Morszyn jest otoczony lasami; ciekawa rzecz, że kuracjusze tego nie wiedzą. Są piękne łąki, urozmaicone kępami dębowymi, jest duży park i nowy *kurhaus*, wszystko dzieło dra Renckiego. Spotkałem tam dra Szymanowicza z Krakowa i pokazałem mu introwizor; podobał mu się i uznał go za ważny dla wojska. Miałem towarzystwo do spacerów do Bolechowa; w tej niewygodnej, błotnej miejscinie był lokal, w którym kuracjusze morszyńscy potajemnie jedli rybki marynowane i popijali śliwownicą. Prowadziłem w tym czasie obszerną korespondencję; patentowałem introwizor przez prof. Suchowiaka w Warszawie. Nie radził mi on starać się o patent rosyjski ani japoński, gdyż urzędy patentowe tych krajów mają za zasadę na zgłoszenia cudzoziemców odpowiadać, że rzecz jest znana. Japończycy mają jeszcze i to twierdzenie, że jako dowód pierwszeństwa przesyłają wycinek z broszury japońskiej, który można obracać na wszystkie strony, jeśli się nie jest japończykiem.

W jesieni 1938 roku zjazd rentgenologów odbył się w Warszawie. Zanim monstrowałem tam introwizor za pomocą modelu zbudowanego *ad hoc*, Pomagał mi przy tym dr Knaster. Spotkałem się wówczas z wieloma znajomymi; był Alfred Bong, była pani Rajchelówna, która wyszła za mąż i mieszkała w Warszawie, byli matematycy, z którymi jednak nieczęsto widywałem. Na zjazd przyjechali także goście zagraniczni ze Szwajcarii i Niemiec. Odbywały się naturalnie przyjęcia. Jedno z nich, u pewnego docenta rentgenologii przewyższało obfitością wyszukanych potraw i napojów wszystko, co widziałem dotąd; nic dziwnego, atelier rentgenologiczne to fabryka pieniędzy. Prof. Ch. – gość szwajcarski, swego czasu wygłosił wykład, że większość ludzi nie widzi stereoskopowo. Może to jest słuszne, ale chodzi o lekarzy i przyrodników, bo ci przyzwyczajeni są do instrum-

jednookich, ale prosty człowiek widzi stereoskopowo; nawet kot, jak okazuje się, gdy skacze na płot i nie chybia. Ale nie było kiedy mówić o tym, bo ekscesy alkoholowe zatapiały cały czas wolny. Dr Bong otrzymał od gen. Roupperta, szefa sanitarnej służby rozkaz zademonstrowania introwizora w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Ponieważ wszyscy doktorzy, siedzący po kawiarniach, mają bezustanny wywiad, kto i z czym przychodzi do ministerstwa, więc zaraz po odczycie zgłaszali się do mnie przedstawiciele firm rentgenowskich i lekarze, żeby wejść ze mną w spółkę. Ale ja wolałem czekać na udzielenie patentu, potem przedstawić aparat w Ameryce. W tym celu postanowiłem użyć pomocy moich uczniów w Stanach Zjednoczonych i pana M.B., który zdecydował się tam przenieść w październiku 1938 roku. Rozmawiałem z nim wtedy dużo w Warszawie i dowiedziałem się wielu ciekawych szczegółów, np. o tym, jak międzynarodowa organizacja handlu bronią usuwa wszystkich, którzy chcieliby na własną rękę zrobić jej konkurencję.

Warszawa zrobiła na mnie wtedy jak najgorsze wrażenie. Wydała mi się miastem korowiskiem aferzystów, łapowników, gangsterów i szpiegów; widać było wszędzie pieniądze, szampan i kawior, na mężatkach lisy wszelkich kolorów, o wartości wielokrotnie przekraczającej dochody mężów, wszędzie ten ordynarny ekshibicjonizm bogactwa, wszędzie brutalna zasada „nie płacę, ja wymagam”, a obok chamskiego antysemityzmu tyrania bogactw Żydów, którzy w każdej kawiarni zostają na placu z najdroższym szampanem, z najładniejszymi tancerkami, pozostawiając tubylcom destrukcję w formie opuszczenia lokalu.

W tym czasie zdarzyło mi się we Lwowie, że dr Ludwik Fleck, który miał prywatną pracownię bakteriologiczną i chemiczną, i robił analizy, w tym czasie choroby mojej córki, przysłał mi krótką rozprawę o statystyce białych ciałek krwi (leukocytów). Otóż leukocyty dzielą się na różne kategorie: segmentowane, limfocyty, monocyty itd. W setce ciałek białych każda kategoria ma mniej więcej ustalony skład procentowy. Ten skład niewiele zmienia, gdy badać różne setki brane z krwi tego samego pacjenta. Dr Fleck postanowił zbadać statystycznie rozrzut liczb procentowych, biorąc 10 setek w każdym wypadku. Chcąc jednak mieć skalę porównawczą, w każdym przypadku brał drugą próbkę, mieszał z cytrynianem sodu i w probówce potrząsał przed wpuszczeniem kropli pod mikroskop. Rozumując w ten sposób: ciałka krwi w probówce układają się, na skutek potrząsania, według praw przypadku; jeżeli porównam liczby procentowe we dwóch przypadkach, z palca, z liczbami krwi z próbki, to zobaczę, czy dyspersja krwi jest nadnormalna, normalna lub ponadnormalna. Czytając tę rozprawę dra Flecka od razu spostrzegłem, że jedna i druga próbka były mocno nie normalne; nie porównywałem ich bowiem z sobą, lecz z dyspersją teoretyczną wynikającą ze wzoru Bernouillego, σ_B . Dr Fleck nie zrobił tego, bo nie znalazł na tyle rachunku prawdopodobieństwa. Kiedy jednak wyja-

śniłem mu sytuację, od razu doskonale pojął o co chodzi. Zdarzenie zaszło, świadczy o niezmiernej ilości pomyłek, na które narażony jest przyrodnik. Jeżeli na linii prostej $\frac{m}{p}$ na prawo będziemy markować coraz większe liczby, to liczby m (mieszana), p (krew naturalna niemieszana), B (dyspersja teoretyczna moutillego) podające dyspersje, będą leżały tak jak na rysunku. Owe Fleck uznał σ_m za normę, więc wypadło mu, że σ_p jest n a d n o r n a ; a tymczasem norma jest dana przez σ_B i o b i e liczby σ_m i σ_p podnormalne, przy czym σ_m jest j e s z c z e dalej na lewo niż σ_p , wisko, którego nie można było z góry przewidzieć. Okazuje się zatem, że w krwi jest tendencja zmniejszenia rozsiewu, i że mieszanie jest u l a t w i a robotę siłom utrzymującym leukocyty w statycznej równowadze. Te prace zajmowały mnie bardzo; oczywiście nie mając pojęcia o mikroskopowaniu i o całej metodyce doświadczalnej, byłem tylko świadkiem licznych dalszych prób, które przedsięwziął dr Fleck, jego współpracownicy pani Ewa Altenberg i inni.

W tym czasie znalazłem wśród moich uczniów chłopca, który zainteresował się rachunkiem prawdopodobieństwa. Nazywał się Kazimierz Borek; był z Borysławia. Zagadnienie, które mu przedstawiłem, dotyczyło metodyki matematycznej prób, potrzebnych do oznaczenia siły preparatów farmaceutycznych. Są mianowicie preparaty, które otrzymuje się z ciał zwierzęcych i takie preparaty zawierają w jednostce objętości określoną bliżej ilość tego „agensu”*, o który chodzi. Wyznacza się więc ilość za pomocą prób na myszach, kogutach itd. Pytanie dotyczyło ilości prób potrzebnych do uzyskania granic dostatecznie wąskich z prawdopodobieństwem dostatecznie dużym, dla praktyki farmaceutycznej. Kazimierz Borek zajął się tym sumiennie i z dużym zrozumieniem. Firma „Laokoon” pomogła mu znaleźć rozprawy angielskie i niemieckie w tej materii; na jej koszt jeździł też Borek do Państwowego Instytutu Higieny do Warszawy; chciałem zrobić z niego specjalistę w tym właśnie kierunku matematyki stosowanej.

**

W roku 1938, w lecie, odbył się w Jaśle jubileusz naszego gimnazjum. Upiękniono 75 lat od pierwszej matury! Odbyły się nabożeństwa, przemówienia, koncerty, bankiety, zabawy – ale niestety widziało się rysy upadku, gdy się porównało to, co było dawniej, z tym, co się z tego zrobiło. *Księżę jubileuszową* wypełniały wspomnienia dawnych uczniów. Były one dziwnie podobne do siebie; stanowiły jakby imitację jednej i tej samej literatury pamiętnikarskiej – jakaś dziesiąta woda po Prusie, po No-

* Działającego czynnika.

...wskim, a może i Zbierchowskim. Przy tej sposobności zwiedziłem ...automobilowi szwagra) Folsz, wylęgarnię pstrągów w Karpatach ...Zmigrodem. Mojego artykułu o introwizorze zamieszczonego w *Księżu jubileuszowej*, zresztą bardzo łatwego, nie zrozumiał chyba nikt – ...z wyjątkiem Stanisława Kadyjgo, lekarza-okulisty, syna naszego ...domowego. Tu muszę wspomnieć o *Dialogu o popularyzacji z ...Wiedomości Literackich*” z roku 1936. Występują tam dwaj panowie, ...B; A jest za popularyzacją, B przeciw. Napisałem ten artykuł razem ...dr. Ignacym Blumenfeldem. Przeciw popularyzacji nauki „nastawił” ...Winawer, który redagował dział naukowy w „Wiadomościach”. Ten ...i dowcipny komediopisarz wytworzył pewien specjalny styl popularyzacyjny, który łatwo było ośmieszyć. Wytworzył on *ad captandam benevolentiam lectoris**, typ tzw. „nudziarza”, jako czarne tło, od którego odbija się jasna sylwetka wdzięcznego naukowego felietonisty. Nudziarz jest to pewien nieokreślony konglomerat filologa ze wspomnień gimnazjalnych, trochę średniowiecznego bohatera i w ogóle człowieka, który nie wie, że prawdziwa wiedza jest wesoła, lekkostrawna i praktyczna, że jedynym ruchem prestidigitatora produkuje się rakiety na Księżyc i proszki na katar. Sokrates, który nie znał ani jednego ani drugiego, był idiotą i sam siebie winił, że żył w zamierzchłych czasach, kiedy nie było genialnych amerykańskich inżynierów jak Compton, genialnych Fordów, Millikanów, teleskopów o dwumetrowej średnicy i Einsteina. Nasz artykuł nie spotkał się wcale z uznaniem publiczności i w ogóle nie odniósł sukcesu, głównie dlatego, że nie dawał żadnego „poglądu”, lecz tylko myśli, a więc produkt dla czytelnika nastawionego na zabawę zupełnie nieużyteczny. Przypuszczam, że Winawer musiał być zadowolony, zobaczywszy zupełne *flasco* „nudziarzy”.

**

W roku 1938, jesienią, córka moja przeniosła się na Sorbonę, gdyż o studiach we Lwowie już nie mogło być mowy. Ulicą Kadecką przeciągały coraz to nowe tłumy demonstrantów. Razu pewnego usłyszałem śpiew „Mamy getto na technice, na technice”. Był to tryumf z powodu zarządzenia getta ławkowego przez rektora Politechniki – Joszta. Można było naprawdę sądzić, że ci ludzie dostali ostrego szału. Córka moja znalazła sobie mieszkanie na Ile de la Cité, wkrótce też zyskała opiekę mojego szwagra, pana Dittersdorfa, który z Bratysławy przeniósł się z rodziną do Francji. Od czasu do czasu odwiedzali ją też państwo Fraenkelowie**, a także i państwo Lebesgue czuwali nad nią z daleka. Na wiosnę

* (Łac.) Dla pozyskania życzliwości czytelnika.

** Kuzyn Autora w Paryżu.

1939 roku otrzymaliśmy od niej list donoszący o jej zaręczynach z Janem Kottem, studentem romanistyki, który przebywał w Paryżu jako stypendysta rządu polskiego. Na ślub nie mogłem jechać; żona moja pojechała sama, w czerwcu. Wyjechali po ślubie do St. Nazaire w Bretanii. Nie chciałem, żeby wracali do kraju, bo uważałem linię Maginota za lepszą obronę podczas wojny, która miała nadejść. My pojechalismy do Jaremba w lipcu, a w sierpniu przeniesliśmy się do willi państwa Krzemickich „Nad Prutem” w Kamieniu Dobosza. Był tam Prut płynący tuż koło willi w głębokim jarze, były korty tenisowe, lasy blisko i piękny park. Na pewien czas przyjechali tam Sierpiński z Ruziewiczem i rozmawialiśmy trochę o matematyce; pamiętam, że zajmowałem się wtedy „ekwipartycją ciągu w modelu losowym”. Chodziliśmy na obiady do innej willi, gdzie mieszkała moja siostra. Poznała mnie ona z pewną warszawską rodziną, której dwunastoletnia córka miała w kolanie odłamek igły. Próbowaliśmy już w Warszawie usuwać igłę operacyjnie, ale nie znaleziono jej. Miałem ogromną ochotę zabrać tę pacjentkę do Lwowa, do dra Sołtysika, chirurga szpitala wojskowego, który już cztery razy próbował introwizora, a zaczęły się niespodzianki. Córka moja i zięć przyjechali do nas z Paryża. Bardzo się tym ucieszyłem, ale nie było to zgodne z moim planem. Przekazałem o procesie karnym jakiegoś Hucula, który w karczmie powiedział: „Zobaczycie, że Rosja porozumie się z Niemcami przeciw Polsce”. Oskarżono go o rozsiewanie niepokojących pogłosek, lecz gdy doszło do rozprawy, pojawiła się oficjalna wiadomość naszego PAT-a* o umowie zawartej w Moskwie przez Ribbentropa i Hucul został uwolniony wraz z gratulacją sędziego, który musiał go uznać za dyplomatę bardziej przebiegłego niż nasz Beck. Huculi pytali się mnie, czy będzie wojna, „bo w noczku, jak będzie wojna, to my wszyscy zginiemy”.

Do towarzystwa pani Krzemickiej i jej męża w Kamieniu należała pani Tomaszewska, z domu Połaniecka, jej kuzyn, Rusin – pan Kiedryn i inni Rusini, pan Ostrowercha. Pan Kiedryn był dziennikarzem i wiedział o opinii generała Ironside’a o przygotowaniu Polski do wojny wypadła mu z głowy. Pan Ostrowercha wołał Sowiety od Hitlera. W Kamieniu Dobosza przebywał też inż. Berson z żoną i córkami; znałem go ze Lwowa, bo razem pracowaliśmy nad zastosowaniem rachunku prawdopodobieństwa do zagadnienia konkurencji kupieckiej. Chodziło nam wtedy o to, czy przy walce konkurencyjnej wielkich firm zjednoczonych w kartelu przeciwko firmom stojącym poza kartelem, jest celowe użycie „trzeciej” firmy, finansowanej przez kartel, ale pracującej na stratę, by niskimi cenami zmusić *outsiderów* do kapitulacji. To znaczy konkretnie – czy ów trzeci, przy *dumping*, odbierze więcej klientów kartelowi, czy też *outsiderom*. Doświadczyliśmy do teoretycznego rozwiązania, ale nie było ono wzięte pod uwagę

* Polskiej Agencji Telegraficznej.

przez kartel, który wołał eksperymentować, ruszając ceny w górę i w dół. Kosztowało go to milion i nie dało wyniku. Przynajmniej mieliśmy satysfakcję, że to nie nasza teoria jest winna. Teraz spotkawszy się z panem Bersonem poprosiłem go o szkic introwizora nowego typu. Chodziło mi o model, który by się nadał do poważniejszych operacji. Ponieważ nigdy takich operacji nie widziałem, poprosiłem dra Domaszewicza, żeby pozwolił mi przyglądać się operacji tumoru mózgowego. Wziąłem z sobą pana Otto i powiedziałem mu, że na mnie widok ludzkiej męczarni robi straszne wrażenie, że będę musiał opuścić salę, niech więc patrzy dokładnie na wszystko, gdy mnie nie będzie. Zapewnił mnie, że jest zupełnie obojętny na takie rzeczy. Operacja była ciężka; po pół godzinie pan Otto zbłądł jak ściana; musiał iść do drugiego pokoju i położyć się i trzeźwić się wodą. Ja zostałem. Widok krwi i instrumentów działał na mego towarzysza bezpośrednio, po prostu fizjologicznie, a na mnie tylko poprzez pełną świadomość i refleksję. Ale to było wszystko we Lwowie – wracajmy do Kamienia Dobosza. Gdy przyjechała Lidka z mężem, znalazło się młodsze towarzystwo, inż. Józef Nacht*, młody poeta, bardzo miły chłopak, jego znajomi, przyjaciel mojego zięcia z narzeczoną i inni. Jeden z nich miał zbiór limerów Belloca; tam wyczytałem taki wierszyk:

*I was just playing golf
When the Germans landed
Our army fled away
Our fleet was stranded
And England's defeat and shame
Altogether spoilt my game!*

Jeszcze w ostatnich dniach zrobiliśmy z żoną piękną wycieczkę; pojechaliśmy kolejką do miejsca, gdzie zbacza się na Kostrycz; tam spotkaliśmy kilka osób znajomych m.in. Irenę Łomnicką z mężem, pana Huberta, Irenę Łomnicką i innych, którzy już mieli wiadomości o nadchodzącej wojnie. Szliśmy dalej pod górę, zbierając maliny i zaszliśmy jeszcze za dnia na Kostrycz. Jest tam wspaniałe schronisko, pod zarządem *scoutingu* polskiego. Bardzo piękna jest jadalnia z ciemnego drzewa, w niej kominek ze starych huculskich kafli; sypialnie są wygodne, koce doskonałe, jest czysto, i wszystko celowe i pełne smaku. Oglądaliśmy albumy; w nich znaleźliśmy fotografie i rysunki podpisane nazwiskami oficerów – narciarzy; opisywały wycieczkę grupy, której przewodniczyła dama wybitnie wypięta ku przodkowi, a tekst zaopatrzony oryginalnymi podpisami – był wycelowany w nas właśnie tył. To wszystko podane w sposób tak niedwuznaczny, że najstarszy skaut musiał zrozumieć o co chodzi.

Następnego dnia poszliśmy do Żabiego grania; nie spotyka się, z wyjątkiem pastuchów i owiec, nikogo na tych szlakach. Zeszliśmy do Żabiego

Józef Prutkowski.

tam, gdzie Czeremosz bierze początek jako dopływ i wróciliśmy do Wschodniej furkanki, a stamtąd do Kamienia Dobosza kolejną. To była moja ostatnia wycieczka pieszo na długie lata!

**

Pogoda była wspaniała; codziennie rano nad Prutem widziałem ptaszkę zupełnie niebieskiego, jakby skrawek nieba; aż pewnego poranka ptaszek zniknął i nie pojawił się więcej. Pojawiły się natomiast plakaty mobilizacyjne. Zięć mój musiał jechać do Warszawy. Hucułom kazano pilnować mostu i tunelu koło willi. Pokazały się aeroplany niemieckie, które są najwidoczniej z terytorium słowackiego, ponad węgierskim, na Lwów. Słuchaliśmy codziennie radia u p. Sadlińskiej. Audycje były przerywane awizami „Uwaga, nadchodzi; kota 24... przeszedł”. To były ostrzeżenia przed bombowcami atakującymi Warszawę. Jedyną pociechą było, że Francja i Anglia dotrzymały sojuszu. W karczmie głośnik po audycji z Londynu nadał *God save the King*, a Huculi wstawali, bo tak kazał karczmarz. Czasem, gdy bomby były blisko stacji, spikerowi warszawskiemu wrywało się: „to już nie jest do wytrzymania!”.

Nie wiedziałem, że u pana Vincenza w Słobodzie Rungurskiej jest pan Stempowski. Napisałem do nich listy. Radziłem się co należy zrobić. Francuski list do pana Stempowskiego do Czerniowiec, z prośbą, by starał się dla nas trojga o wizę rumuńską dołączyłem do listu do Stanisława Vincenza, bo wiedziałem, że Vincenz ma w Słobodzie okazję przesłać listu Stempowskiemu. Jakoś coraz częściej pojawiały się auta pędzące ku granicy, na Tatarowską Przełęcz. Inni korzystali z ostatnich pociągów do Lwowa. Ja nie śpieszyłem się wiedząc, że Lwów będzie bombardowany. Napisałem list do Matki, która z siostrą i dwiema wnuczkami przyjechała do Lwowa, że oddaję im mieszkanie. Do szpitala wojskowego napisałem kartkę ze swoim adresem na wypadek, gdyby mnie potrzebował. Mojego Hucula niosącego list do Słobody złapał patrol policyjny i francuski oddał do tłumaczenia jednemu z lekarzy z Jaremcza, po czym kazali doręczyć list i nie mówić o tym przejęciu. Hucul nie powiedział, ale tłumacz zdradził mi przyczynę opóźnienia. Pan Stempowski nie radził mi jechać do Rumunii; uważał, że te straszliwe ciśnienia, jakie się wytworzyły, mogą taki twór jak Rumunia doprowadzić do eksplozji. Postanowiłem przenieść się do Tatarowa, żeby być bliżej przełęczy. Zanim się to stało, pojawiła się policja szukając pana Ostrowerchy. Był właśnie w naszej willi; żona zdążyła mu dać chleba i sera na drogę. W Tatarowie sprowadziłem się do państwa Kossaków. Karol Kossak, malarz huculszczyzny, bratankiem Wojciecha Kossaka. Nie mieliśmy pieniędzy. Pan Mikołaj, znajomy państwa Krzemickich, przemysłowiec naftowy, pożyczył mi pieniądze. Wziął, co było w takiej chwili ogromną przysługą, tym większą, że znałem

tylko dwóch od paru dni. Nie radził mi jechać na Węgry; „co pan tam będzie robił, tu pan jest kimś, tam będzie pan nikim”. Ale pomimo to postanowiłem się przenieść do Tatarowa. Udało się nam znaleźć powóz i we troje pojechaliśmy do pensjonatu państwa Kossaków, gdzie zastaliśmy już innych lokatorów: mianowicie pana Rejchana, syna znanego malarza i jego żonę, Niemkę, z Berlina. Mieli dwa auta, parę psów rasowych; ona chodziła w czerwonej bluzce, w wysokich butach oficerskich ze szpicrutą w rękę. Słuchaliśmy radia z Warszawy, z Londynu, z Paryża, aż raz – było to może 12. września – usłyszeliśmy radio z Moskwy zapowiadające mobilizację okręgu leningradzkiego, okręgu kijowskiego i różnych innych okręgów wojskowych. Ostłupiliśmy. Było z kim omawiać sytuację, bo oprócz Kossaka i Rejchana był tam też Romaszkan, człowiek bardzo inteligentny, niestety ciężko chory. Romaszkanowie (był żonaty; jego piękna żona była zupełnie zdecydowana przejść granicę przełęczą) postanowili jechać na Węgry. Państwo Glińscy z Warszawy, którzy mieli auto, postanowili zrobić to samo. Niektórzy pojechali już wcześniej.

Los wojny niemiecko-polskiej już był przesądzony. Z państwem Glińskimi i panią Romaszkanową pojechałem na przełęcz, żeby zobaczyć co się dzieje na granicy. Stał tam oddział „obrony krajowej”; powiedziałem oficerowi, o co mi chodzi i obiecał mnie „przerzucić” przez granicę, bo węgierska placówka nie chciała mnie wpuścić, gdyż niebacznie zdradziłem im moje wyznaczenie. Wkrótce po tym rekonesansie droga przez Tatarów zapelniała się wojskiem, powozami, autami, furgonami, cywilnymi piechurami, autobusami wiozącymi kolejarzy, pocztowców i innych urzędników z zachodu. Kilkunastu oficerów zamieszkało u państwa Kossaków. Jeden z nich, kuzyn gospodarzy, pułkownik sztabu generalnego, był ranny wskutek wypadku samochodowego i leżał w łóżku czekając, aż będzie mógł jechać dalej swoim autem. Rozmawiałem z nim o sytuacji. Dopóki sami Niemcy szli naprzód, uważał, że wojna nie jest jeszcze przegrana, ale dowiedziawszy się służbowo o wkroczeniu bolszewików, stracił wiarę w jakąkolwiek szansę i wyjechał. Zdecydowaliśmy i my zrobić to samo: uzyskaliśmy to, że komendant oddziału sanitarnego włączył nas do swego transportu. Ale i tak zgubiliśmy później ten oddział. Jechaliśmy powozem, wzięwszy tylko tyle rzeczy, ile mogliśmy unieść. Pod przełęczą tatarowską stał sznur wozów, aut, platform i bryk. Był deszcz i zimno. Wyrzucone przez kasy pułkowe stopy banknotów nie chciały się dobrze palić. Wojsko było nie najgorszej myśli. Ale na przełęczy poznał nas jakiś oficer rezerwy, rodem ze Lwowa, który pełnił tam służbę, i zaczął nam odradzać przejście: „Tam jest Hitler. Obserwator SS stoi wśród komisji węgierskiej; nasi żołnierze, którzy wczoraj przeszli, wracają, bo im odebrano wszystko”. I rzeczywiście niektórzy żołnierze wracali i opowiadali, że Węgrzy odbierają wszystko, nawet papierosy, nawet sznurowadła do butów. „Niech Pan wraca do Lwowa – mówił oficer – bolszewicy uwielbiają pro-

fesorów, nie Panu nie robią". Moja córka, która miała swoje zdanie o bolszewikach, nie wierzyła oficerowi i powiedziała mi krótko: „Z bolszewikami być nie można!" Furman, który miał chłopską nieufność do obcych, radził wrócić. Żona dostała z zimna i deszczu obrzmienia gruczołów. Ja czułem się fatalnie, jak zwykle w zimie; poza tym nie mieliśmy co jeść, a wąż [pojazdów] posuwał się w stronę granicy w ślimaczym tempie. Nagle pojawiło się auto, z niego wyskoczył szofer i wołał do mnie: „Panie profesorze, niech państwo siadają i jadą ze mną, tam są Węgry, tam jest do brze!" Był to pan Kukulski z Jasła, znany mi dobrze jeszcze z czasów turniejów; teraz przeobraził się w wojskowego szofera. Widziałem, że żona nie ma ochoty na skok w nieznane, bałem się też, że rozdzieli nas, bo podobno obozy dla kobiet były osobne. Lidka stanowczo chciała jechać dalej, żona nie. Myślałem też, jak sobie Matka poradzi sama, a także o tym, że przez ten wyjazd oddzieli zięcia od córki.

Postanowiłem zostać.

Już było pewne, że wkraczają Sowiety, i że zajmą kraj po San. Wróciliśmy. Po drodze przyczepił się do nas jakiś żołnierz, który przebrał się po drodze za cywila; był to kupiec spod Kutna czy Koła; zapewne przez całe życie był narodowcem, ale podczas jazdy ćwiczył się w monologach w nową nutę.

W pensjonacie zastaliśmy znowu gości; byli to oficerowie sanitarni, lekarze wojskowi itd. Między nimi był też pan Jakub Rothfeld, profesor neurologii z synem; a także pan Smalewski, ojciec przyjaciółki mojej Lidki. Wszystko to szło na Węgry. Część chciała zostać. Wywiązała się kłótnia, nawet uderzano rękami o futerały rewolwerów. Wyszedłem przed dom. Najstarszy rangą był podpułkownik z rodziny, którą znałem dawniej w Jasle. Widząc, że dyscyplina się kruszy, powiedziałem mu swoje zdanie: „gdybym był wojskowym, poszedłbym za rozkazem". Rozkaz był iść na Węgry. Większość poszła. Ale był aptekarz, który nie mógł przeboleć rozstania się ze swoją apteką. Został. Widziałem go później we Lwowie. Fala szła dalej. Widziałem żołnierzy jadących na tankach, którzy kleli się na wszystko, że tanków nie oddadzą Węgrom. Słyszałem po lasach strzały samobójcze tych, którzy nie mogli przeboleć klęski. Oficerowie jechali często z żonami w autach, nieraz wieźli ze sobą futra, dywany, nawet palmy, nawet kanarki. Patrzano na nich z oburzeniem. Ale zwykli żołnierze i podoficerowie żalowali tylko jednego: że już nie mogą się bić. Byli jak grenadierzy z pieśni Heinego. Moralna ich postawa wywoływała mój podziw. Wielu z granicy wracało do domu. Nigdzie nie rabowali, ani też nie domagali się niczego. Państwo Kossakowie dawali co mogli. Wracający groziło nowe niebezpieczeństwo: strzelcy „ukraińscy" po lasach. A bolszewicy wcale się nie spieszyli. Uważali, by między nimi a ostatnią furtką „trenu" polskiego był przynajmniej milowy dystans. Byli już w Kołomyi i ze stacji do nich telefonowano. Ludność miejscowa bała się zo-

stać sama. Kiedy przeszły ostatnie oddziały policji, chłopci nagle ustroili się w narodowe barwy ukraińskie. Zaczęła się walka o władzę. Żydzi miejscowi opanowali gminę. Jeden z nich, nędzarz, z zawodu przyszczytkarz (bo trudno go było nazwać szewcem), który za polskich czasów przesiedział parę lat za komunizm, zawołał na zebraniu: „Ja dziesięć lat czekałem na ten dzień". Nie można było Żydów usunąć, bo dniem i nocą siedzieli w budynku gminnym, na którym wywiesili czerwoną chorągiew. Ale nadszedł Sądny Dzień. Żydowskie bezbożnicy poszli wszyscy do bożnicy, a wtedy chłopcy ruscy zawładnęli gminą. Siedzieli tam na stołach i ławach; oś, kiedy nie umieli „urzędować". Wobec tego dopuścili kilku Żydów na „urzędników". Z Kołomyi przyjechał jakiś działacz wojskowy, który w imieniu Sowietów kazał zdjąć barwy ukraińskie. Utworzyła się „milicja" miejscowa, do której należał początkowo pan Kossak. W nocy czuwaliby wszyscy na dole w jadalni z rewolwerami i siekierami, bojąc się napadów bandyckich. Ale bandytów nie było. Od czasu do czasu przechodził wędrowiec w dobrych butach, z plecakiem wyładowanym, o twarzy inteligentnej; to byli ci, którzy w ostatniej chwili szli przez „zieloną granicę". Musieli unikać chłopskich milicji i posterunków. Przeważnie udawało się to. Nasz kupczyk z Kutna przygotowywał się na przyjęcie nowej władzy. Znalazł nawet czerwony kwiat w ogrodzie i z tym kwiatem w ręku wypatrzył na dworcu pociągu od Nadwórnej. Było coraz zimniej, deszcz padał coraz częściej, było coraz chmurniej i coraz beznadziejniej. Nasz przyszczytkarz odwiedził nas parę razy, z karabinem na ramieniu i czerwoną opaską. Kazał nam oddać broń. Pana Kossaka pozbawiono godności milicjanta, a panu Rejchanowi kazano oddać auto do dyspozycji miejscowego Komitetu. Ponieważ nikt nie umiał prowadzić auta, więc Rejchan musiał zostać szoferem miejscowego „Sowietu". Wkrótce okazało się, że ta nominacja miała na celu tylko sprowadzenie rodziny przyszczytkarza z Kosowa czy też z Worochty. Na wszystkich polach koło drogi leżały płachty z namiotów, drzewo z płotów, puszki z konserw, części aut i wszelkie smieci, jakie pozostawia po sobie obozowisko uciekającej armii. Cenniejsze przedmioty znalazły zaraz właścicieli. Zwłaszcza nasz kupczyk z Koła czy Kutna czuł się w swoim żywiole. Przywłaszczył sobie także walizkę pozostawioną u pani Kossakowej przez jednego z oficerów. W końcu doczekał się pociągu pancernego i poszedł na stację z czerwonym kwiatem. Opisał nam oficera jadącego z karabinem maszynowym na lokomotywie.

— Gdzie polscy oficerowie? — zapytał.

— Nie ma, na Węgrzech!

— A czemu wy ich nie zatrzymali? My by ich wystrelali!

Nieraz spotykałem się później w prasie sowieckiej z tą głupawą tezą, że tylko polscy oficerowie walczyli z Sowietami, ale dzielna czerwona armia miała zdobyć pozycje bronione przez tychże oficerów. Głupota tej propagandy, która redukuje armię polską do 5% (bo tyle chyba było ofice-

rów) i chwali się, że pokonała tę garstkę, widocznie obliczona była na specjalnie spreparowane mózgi. Jest faktem, że na Pokuciu oddziały sowieckie starały się unikać spotkania z cofającymi się dywizjami polskimi, a gdy się ich drogi krzyżowały, częstowali oficerów polskich papierosami i jechali w swoją stronę.

W końcu nie było już sensu siedzieć w Tatarowie. Poszedłem do gminy, gdzie urzędował żydowski młotajec – nie mogłem znaleźć lepszej nazwy na tego półwojskowo ubranego, po rusku mówiącego syna jednego z dzierżawiarzy tatarskich. Ten zapytał mnie, w jakim celu jadę, a gdy mu powiedziałem, że muszę wracać na uniwersytet, odpowiedział: „Już teraz nie będzie burd i bójek na uniwersytecie lwowskim”. Powiedział to tonem, z którego wynikała moja odpowiedzialność za owe burdy i bójki.

Jazda nasza była ciekawa. Na każdej stacji wskakiwały na stopnie wagonów ruskie podrostki, częściowo dla bezpłatnej podróży, a więcej dla okazji kradzieży walizek i torb nagromadzonych w wagonach. Szyby były oczywiście wybite – jest to zdaje się stałe zjawisko towarzyszące we wschodniej Europie wszelkiej zmianie reżimu. Pociąg nie dojechał do zburzonego dworca głównego, lecz zatrzymał się na Persenkówce. Ja pilnowałem rzeczy na planicie, a żona i córka szukały wszędzie koni; w końcu znalazły, i pojechaliśmy przez Stryjską ulicę do miasta. Po drodze widzieliśmy słupy telefoniczne obalone przez tanki, trupy końskie, splątane druty i podziurawiony od kul tynk na domach, szyby wybite i pełno ludzi w wysokich butach, w kaszkietach, obarczonych workami. Byli to mieszkańcy Lwowa, którzy uznali, że ten strój jest obowiązujący. Już po drodze widzieliśmy tzw. Sowietów. Byli to żołnierze i kolejarze. Wszyscy mieli brudne szyniele, bezmyślne twarze, byli brudni i nie zwracali uwagi na nikogo. Widok tej szarańczy nie wróżył nic dobrego. Ludzie spotkani w podróży, którzy już od tygodnia ich oglądali, zapewniali nas, że są to ostatnie działy, bez butów, bez bielizny i byle czym się odżywiające. Skręcając na Kadecką patrzyłem czy dom, do którego jechaliśmy, stoi czy też nie. Stał.

Pierwsza okupacja

Zastaliśmy tam Matkę, siostrę, jej obie córki, narzeczonego młodszej naszą służącą, wuja żony L.G. i panią Kwaśniewską, lokatorkę z III piętra. Przez dłuższy czas zasiadało u nas to całe towarzystwo do obiadu. Na jutro poszedłem na uniwersytet: Zastanę chaos. Bramy były strzeżone przez młodzieńców z karabinami i czerwonymi opaskami. Byli to przeważnie oenerowcy, którzy uznali tę przebiegankę za najpraktyczniejszą. Ale demaskowano ich. W rektoracie zastałem rektora Longchamps'a i kilku

profesorów. Od nich dowiedziałem się, co się stało od 1 do 26 września. Tanki niemieckie były już na przedmieściach, kiedy dowódca miasta gen. Langer zwołał na naradę kilka wybitniejszych osób i zdecydował poddać się Rosjanom. Za tym był m.in. Bartel, przeciw temu episkopat. Jeszcze 31 sierpnia pojawił się pan Rojek na stopniach kolumny Mickiewicza i przeproszał w imieniu tzw. narodowej młodzieży „mniejszość narodową” za błędną, jak się wyraził, „politykę”, i nawołując do obrony zagrożonej Ojczyzny. Tak więc ci młodzieńcy przeszli w przeciagu niewielu tygodni przez wszystkie barwy, od oenerowców – przez demokrację – do bolszewizmu. Nie wszyscy, bo przez długie miesiące widywałem jednego z nich w czapeczce akademickiej korporanta, jeżdżącego tramwajami z miną nieustępliwą i zaciętą. Ten jeden mi się podobał.

Prof. Kulczyński opowiadał mi o tym, jak w gmachu posejmowym znaleźli się żołnierze i podoficerowie otoczeni przez wojska sowieckie. Radzono podoficerom zdjąć odznaki. Sierżant powiedział: „Ja odznak sierżanta wojsk polskich nie zdejmę”. Był to Żyd. Ale olbrzymia masa biedoty zamieszkałej za teatrem wyległa na spotkanie bolszewików ustrojona w kokardy i gwiazdy czerwone, aż budziła śmiech oficerów rosyjskich. Inni rozbrajali oficerów polskich, na ulicach, całowali tanki sowieckie i głaskali armaty. Była w tym radość z cudownego niemal ocalenia przed Hitlerem, była uciecha z pozbycia się naszego własnego reżimu, gwałtownie zbliżającego się do faszyzmu.

Przed gmachem sejmowym, od strony ulicy Kościuszki, zobaczyłem księdza Gerstmana, który torował sobie drogę bez obawy. Rektor zawiadomił nas, że mityng zwołany został z jego wiedzą, i że mamy wszyscy przyjść i sprowadzić jak najwięcej studentów. W dużej sali (*auditorium maximum*) usiedliśmy w ławkach, a na podium, w mundurach, przedstawiciele czerwonej armii, młodzieży komsomolskiej, pan Kornijczuk – reprezentant inteligencji Ukrainy sowieckiej, nasz rektor i jeszcze parę nieznanym mi osób. Oficerowie sowieccy byli ubrani poprawnie, mieli czapki na głowie i wyglądali trochę na Niemców. Do prezydium wiecu powołano prof. Krzemieniewskiego, Chwistka i kilku innych. Zabrał głos pan Kornijczuk. Powiedział: „Wjeżdżając do Lwowa, widziałem dowody wielkiego przywiązania ludności do tego miasta. Widziałem też gmachy zburzone przez bomby. Temu co się stało ani wy, ani my nie jesteśmy winni. Winni są ci, co uciekli do Rumunii”. Było to bardzo zręczne zdanie, bo wszyscy byli oburzeni na tych oficerów, co z żonami i kochankami, pieskami i dywanami wyjechali do Rumunii, zostawiając nas naszemu własnemu losowi. Jeszcze bardziej gniewał nas ten Rydz, co to guzika nie chciał oddać, a oddał cały płaszcz, ten Beck, co się dał odepchnąć od morza do morza, ten Składkowski, który jeszcze 10 września nakładał kary na niemowlane płoty i w Kosowie urządził pozorny alarm lotniczy, żeby bez świadków wymknąć się ze świąt i z większymi zapasami koniaku, ten prezydent,

który okazał się bez znaczenia. Nasz uniwersytet mógł czuć tym większy niesmak, że z inicjatywy gorliwców ozonowych tak niedawno (bo po Zaolziu) nadał rektoraty honorowe panom Mościckiemu, Beckowi i Rydzowi. Toteż apostrofa Kornijczuka trafiła w czułe miejsce w naszych sercach. W dalszym przemówieniu zapewnił nas pan Kornijczuk, że uniwersytet nasz pozostanie polski, że w razie potrzeby założy się we Lwowie drugi, ukraiński. A potem powiedział, że liczy na poparcie inteligencji polskiej, i że ci, którzy by zechcieli dalej hołdować reakcji i wsteczniectwu nacjonalistycznemu niech wiedzą, że *my nie wegetariacy*. Clou wszystkiego było uchwalenie depeszy do Stalina. Przemawiali i nasi profesorowie. Prof. Krzemieniewski zwrócił się do rektora, przedstawicieli armii i innych obecnych (wyraźnie stawiając ich na pierwszym miejscu) i wyraził nadzieję, że dobra, które reprezentuje uniwersytet, nie ucierpią. Spokojnie odparł zarzuty, jakoby uniwersytet był siedliskiem reakcji i ucisku. Potem zabrali głos studenci. Przemawiali Polacy, Rusini i najwięcej – Żydzi. Wszyscy zachęcali do pracy i pracy, i jeszcze raz pracy; ich przemówienia były marne, pełne frazesów o proletariacie, o „narodzie” (co miało znaczyć „lud”, ten rusycyzm wprowadzający pewien mętlik, był mile widziany przez nowy reżim), o sprawiedliwości i o niezwyciężonej czerwonej armii. Oczywiście była niezwyciężona, bo jeszcze nie miała sposobności wojować.

Moskale nie słuchali wcale przemówień studentów. Ich interesowało stanowisko profesorów. Po tym mityngu Kornijczuk, jak się przyznał, nie mógł spać całą noc, tak rzekomo rozdrażnił go fakt, że żaden z profesorów-Polaków nie zwrócił się z wyrazami pojednawczymi do Ukraińców. Najciekawsze było dla mnie szerokie i beztroskie stanowisko sowieckich notablów wobec spraw uważanych za trudne. Język wykładowy może być polski, rosyjski, ukraiński, żydowski. To wszystko jedno. Prace naukowe będzie się publikować wagonami (dosłownie). Wszystkie przeszkody usunięte są za jednym zamachem. Przyjmować się będzie na uniwersytet wszystkich! Nauczanie jest bezpłatne. W razie braku miejsca założy się we Lwowie drugi, trzeci lub i czwarty uniwersytet. Koszty nie grają roli. To oświadczywszy notable odeszli, i nie widzieliśmy ich więcej. Przyjechali inni, którzy nie wiedzieli, co mówili pierwsi. Ze wszystkich stron dochodziły mnie opowieści i anegdoty o pierwszych dialogach między Sowietami a naszą ludnością. Wnet przyszedł do mnie kapitan i czterech żołnierzy, z bagnietami najeżonymi, szukając kwatery. Dowiedziawszy się, że jestem profesorem, zrezygnował, ale na schodach, wobec służącej i dozorczy zaczął ze mną dyskusję. Zapytał mnie, czy wiem, kto to był Marks. Ja – powiada – czytałem *Kapitał*, ażem osiwił, to bardzo trudna lektura. Wy matematyk, matematyka *toż klasowa nauka*.

Wtedy zobaczyłem, że mam do czynienia z kłamcami i ogłupionymi przez nich ćwierćinteligentami. „Wy mieli pensji tysiąc rubli, wy będziecie mieli dwa tysiące”. To był ich stały atut. Każdemu obiecywali podwójny

zarobek. Na ulicach pojawiły się plakaty wyszydzające armię polską, przedstawiające naszych oficerów w łachmanach, w czakach, przy szabli, obozujących gdzieś w krzakach, przy połamanych wozach, niby Cyganie. Te karykatury mające poniżyć armię, która, zaatakowana przez przemoc niemiecką, doznała jeszcze sowieckiego uderzenia w plecy, dobiły w moich oczach owych „ojców kłamstwa”, jak ich nazwałem. Nie mogło być nic bardziej sprzecznego z honorem niż szyderstwo z tej armii, która się przecież biła mężnie, i której odłamki poszły za granicę, aby się bić dalej. Szyderstwo pochodzące od mocarstwa, które złamało pakt o nieagresji, porozumiało się co do podziału Polski z wrogiem demokracji, wrogiem słowiańszczyzny i wrogiem komunizmu. Mało tego: oficjalna teza rosyjska była, że „królik zaczął”, to znaczy, że Polska zaatakowała Niemcy. W gazetach pisano stale wojna polsko-niemiecka. Wymieniano obok siebie Niemcy i Sowiety jako narody usposobione pokojowo; Francję, a zwłaszcza Anglię jako podżegaczy wojennych, Włochy też nie były łaskawie traktowane. Ale nie było takiej bzdury i takiego kłamstwa, na które by się nie dała nabrać ta część młodzieży żydowskiej, która uważała, że jej marzenia się spełniły. Taki Herzberg, taki Wojdysławski, wierzyli po prostu we wszystko, co im powiedziano. Wierzyli w szczerość paktu rosyjsko-niemieckiego.

Wkrótce zaczęły się dwie plagi: plaga mityngów i plaga reorganizacji. Mityngi zwoływano nagle; pedel przynosił karteczkę, często nie podpisaną przez nikogo, oznajmającą, że za pół godziny będzie mityng w bardzo ważnej sprawie. Ważną sprawą była np. uchwała, że wszyscy weźmiemy udział w plebiscycie, lub też, że domagamy się przyłączenia Zachodniej Ukrainy do Sowieckiej. Potem znów były wybory przedstawicieli do zgromadzenia, które miało uchwalić zniesienie własności domów, lasów, kopalń i fabryk, i różne inne punkty konstytucji stalinowskiej. Raz pamiętam dyskusję, którą mieliśmy z Rusinami. Oni jak jeden mąż byli za przyłączeniem. Gdy im tłumaczyłem, że wzięcie udziału w plebiscycie jeszcze nie przesądza opinii, którą się wyda, odpowiedzieli, że sprawy ukraińskie do nas nie należą. Wtedy ich zapytałem, czemu wobec tego chcą nas w ogóle zmusić do głosowania. Na to nie znaleźli odpowiedzi.

Nie pozwolono nam na posiedzenia Rady Wydziałowej. W westybulu uniwersytetu nagle przeczytaliśmy świstek podpisany przez rektora, że prof. Zierhoffer przestał być dziekanem z powodu niepunktualności. Na jego miejsce został dziekanem Rusin, Biskupski, adiunkt mineralogii. Bezceremonialność bolszewików była humorystyczna. Do prof. Ruziewicza, rektora Akademii Handlowej, przyszedł Sowiec w kaszkiecie na głowie i oznajmił mu, „wy nie rektor, ja rektor”. Potem zapytał o biblio-

tekarza, którego nie było w tej chwili w gmachu, choć już było 20 minut po godzinie rozpoczęcia urzędowania. Wobec tego nakazał go zwolnić. To, że bibliotekarz pracował 20 lat ku zadowoleniu Szkoły, to nie był dla niego argument.

Sowieci mieli umysły złośliwych, ograniczonych dzieci; nazywałem ich [wyraz nieczytelny], co chyba nie było przypadkowe, bo tak samo nazywał ich dr Vincenz, który wówczas był daleko od Lwowa. Wrócił z synem do Słobody Rungurskiej z Węgier i został wtedy aresztowany za nielegalne przekroczenie granicy. We Lwowie pytał go prokurator o *curriculum vitae*. Dowiedziawszy się, że napisał pracę doktorską o filozofii Macha, uznał, że to niezmiernie pogarsza sprawę, gdyż filozofia Macha jest sprzeczna z materializmem. Dr Vincenz tłumaczył, że pracę napisał w roku 1915, kiedy jeszcze nikt nie znał epokowych odkryć Lenina, Stalina, owych najlepszych filozofów wszechczasów. To nie pomogło. Ale wypuszczono go tak, zdaje się dlatego, że uznano jego pojednawczy stosunek do Huculów.

Stalin jest w Rosji nie tylko filozofem. Jest on największym pisarzem, wodzem, politykiem, przyjacielem narodów, natchnieniem wynalazców, patronem żeglarzy podbiegunowych i historykiem. Najważniejszym jego dziełem (zresztą niepodpisanym) jest *Krótki kurs historii partii komunistycznej**. W dziele tym należy wyróżnić dwie główne części. Jedną z nich jest treści teologicznej. Nazywam ją tak dlatego, że poświęcona jest zwyczajnie szatana, w postaci Trockiego, który, według kursu, winien jest wszystkiemu złu na świecie, nie tylko przegranej w 1920 roku z Polską, ale i wszystkim katastrofom, które dotknęły Rosję Sowiecką, aż do roku 1937, kiedy to po sławnym procesie rozpoczęła się rzeź całej dawnej inteligencji komunistycznej. *Krótki kurs* jest właściwie próbą usprawiedliwienia tych mordów, a ponieważ niezmiernie trudno było światu uwierzyć w rewelację przewodu moskiewskiego, postanowiono wydać książkę, która lektura obowiązuje wszystkich robotników, żołnierzy, gimnazjalistów, studentów i profesorów wszelkich stopni, mających uczyć się z tej książki niby z Ewangelii. Książka obfituje w inwektywy przeciw „trockistom”, „nowowiewowi”, Bucharinowi, Radkowi i innym, które są dowodem na bezsilność wściekłości autora, co przywaliwszy kamieniem grobowym setki tysięcy swoich oponentów chce zwalić jeszcze na nich całą górę kamieni, aby z grobu nie wyrosła trawka prawdy. Znam wypadek, że we Lwowie trzymano w 1940 roku przez kilka miesięcy w więzieniu osobę, na którą ktoś dał donos, że w roku 1937, w Wilnie, w rozmowie prywatnej powiedział

* Wydana jesienią 1938 roku *Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)*. *Krótki kurs*, bardziej znana jako *Krótki kurs historii WKP(b)* – dziełem zbiorowym, opracowanym przez KC WKP(b). Józef Stalin był współautorem rozdziału *O materializmie dialektycznym i historycznym* – fundamentu wykładu podstaw filozofii marksistowskiej.

ze Trocki nie był zdrajcą. Na to wszystko mieli nasi domorośli zwolennicy Stalina jeden argument: gdyby pozwolono Trockiemu na rządzenie Rosją, byłby ją rozbroił tak, jak lewica rozbroiła Francję i byłby ją tym samym wydał na łup Hitlera. Jakakolwiek by była prawda historyczna, trzeba mieć na uwadze jedną rzecz; to, co widziała w Rosji nasza inteligencja, która nie знаła rządów sowieckich doświadczalnie, to wszystko, co się mówi o „komisarzach”, „czerezwyczajkach”, o *dałoj gramotnyje* – dotyczy pierwszego okresu Rosji sowieckiej, która kończy się raz na zawsze w roku 1937. Od tej chwili zaczyna się zupełnie inna Rosja: jej metapolitycznym celem jest potęga wojskowa i potęga przemysłowa. Nie mają one służyć żadnym ideałom – są ideałem same w sobie. Ale o tym jeszcze napiszę.

Teraz o drugiej części *Krótkiego kursu*.

Jest nią rozdział IV, treści filozoficznej. Wyraz materializm użyty jest w tej książce w dwóch kontekstach. Raz jako „materializm historyczny”, to doktryna znana, sprowadzająca procesy historyczne do ekonomicznych, doktryna mająca pewien sens, a zatem nadająca się do dyskusji. Drugi raz jako „dialektyka materialistyczna”. Nadaremno próbowałem dowiedzieć się co to jest. W *Krótkim kursie* wykład oparty na rozprawie Stalina nie daje definicji tego pojęcia, a żaden z ojców i doktorów komunistycznego kościoła nie pokusił się o jej sformułowanie. Widocznie w tej materialistycznej religii, w której Stalin jest Ormuzdem, a trochę Arymanem*, to tajemnica potrzebna do nadania jej mistycznego waloru. Na „dialektykę materialistyczną” powołuje się każdy apologeta „leninizmu”, gdy przeciwnik chce go „uchwycić” w obcej zasady sprzeczności. Ta „dialektyka” wprowadza *tertium datur* i powołuje się na trychotomię Hegla: teza, antyteza, synteza. Wygląda to wszystko tak trochę, jak gdyby twórcy doktryny filozoficznej przerwali 40 lat temu swoje studia na Heglu i zajęci rewolucyjną oddali ostatni zeszyt zapisany wykładami w Berlinie swojemu następcowi. Niewątpliwie Stalin jest zdolnym człowiekiem, ale filozof jest dyletantem i megalomanem, niczym więcej. Jego redukcja zmian jakościowych do ilościowych nie wytrzymuje krytyki, a rozwiązania zagadnień polega na zupełnej nieznajomości zagadnień filozofii. Podobne zjawiska można zaobserwować w innych dziedzinach. Oficjalna bolszewicka głosi, że nauka burżuazyjna stanęła w rozwoju, że po niej można spodziewać się już tylko od rewolucyjnej myśli bolszewickiej. To odnosi się także do fizyki i matematyki. Ale na darmo szukać w wykładach sowieckich fizyków i matematyków czegoś, co zasługiwałoby na „bolszewickiej myśli naukowej”. Są w Rosji sowieckiej dosko-

* Ormuzd – staroirańskie uosobienie dobra i światła; Aryman – także uosobienie zła i ciemności. Bogowie prowadzący ze sobą odwieczną walkę.

nali matematycy, fizycy, biologowie; jest ich niemało. Rozprawy ich jednak niczym nie różnią się od rozpraw europejskich kolegów, nie ma w nich nic po czym można by ich odróżnić, chyba język rosyjski. Przepraszam, zapomniałem o tym, że czasem są poprzedzone wstępem, w którym powtórzone są komunały o „rewolucyjnej myśli naukowej”, a potem następuje już zupełnie normalna rozprawa naukowa o lampach próżniowych, czy też o jarowizacji pszenicy. To właśnie *duo cum faciunt idem, non est idem** jest ulubionym konikiem bolszewickich *rukowoditeli* naukowych. Na kongresie matematycznym w Zurychu jeden z nich, Kocman, wystąpił z odczytem o marksistowskiej matematyce. Po odczycie Bernays zapytał go, jak się różniczkuje po marksistowsku, ale prelegent nie umiał odpowiedzieć. Żeby rzecz sprowadzić do najostrzejszego sformułowania, zgódźmy się na zupełne zaprzeczenie zasadom wiedzy „burżuazyjnej” i pozwólmy bolszewikowi wprowadzić do matematyki empiryzm albo logikę trójwartościową lub zasadę finityzmu. Oni się na to nie zgadzają, bo są na tyle praktyczni, że chcą mieć naukę prawdziwą i w głębi dążyć do wiedzy, że muszą uprawiać naukę europejską. Ale jako „ojcowie kłamstwa” chcą jeszcze przedtem deprecjonować tę naukę w opinii Kazachstanu, Kurdystanu i Mongolii zewnętrznej. Bardzo to jest podobne do ich przemysłu, który korzysta bezustannie z patentów europejskich i amerykańskich, przedstawiając je jednak jako sowieckie.

Dla utrzymania tego kłamstwa konieczne jest zamknięcie granic. W roku 1937 uzyskanie zezwolenia na wyjazd z Rosji Sowieckiej jest niemiernie trudne i Sowiety już nie posyłają swoich uczonych na zjazdy międzynarodowe. We Lwowie pierwszy raz wielu młodych obywateli ZSRR mogło się spotkać z Zachodem, wielu z nas po raz pierwszy z Azją. Odbył się to w warunkach wyjątkowych. Nasza ludność była ogłuszona ciosami spadającymi na nią gęsto po sobie: mobilizacja, wojna, bombardowanie Lwowa, *exodus* armii, niespodziewane wkroczenie nowego wroga, zabór ziem, zmiana wkraczająca rekrutowała się z Ukrainy; chodziło tu o łatwe nawiązanie stosunków z rdzenną ludnością. Ale chłopu nie imponuje żołnierz odziany i lichy wyżywiony – a takie były te oddziały. To wrażenie stało się zatrzaśnięte przez pokaz wielkiej ilości tanków, artylerii i aut. Te ostatnie pędziły bezustannie po ulicach i drogach wioząc nieraz tylko parę młodych butlą benzyny i kilka pneumatyków. Żołnierze zachowywali się we Lwowie lepiej niż jakiegokolwiek inne wojsko. Nie widziało się pijanych, nie czepiali przechodniów, nie robili burd, nie żądali w sklepach pierwszeństwa, a gdy oficer zachował się niestosownie, a cywil zwrócił mu uwagę, czerwienił się i przeproszał albo zmykał. Mieli najwyraźniej poczucie wstydu i szłości kulturalnej i chcieli okazać się w oczach Zachodu Europejczykami. W ich psychice była dwoistość: uczono ich, że Sowiety krocą na prze-

ci to była ich świadoma teza, ale prawdziwe przeświadczenie, niewypowiedziane głośno, było przeciwne, i to drugie określa ich postawę.

Nasza ludność spostrzegła się w tym bardzo szybko i drwiła z nich niechętnie. W powszechnej opinii byli tak komiczni, że nawet z najsurowszych ich zarządzeń należało się śmiać. Dlatego też nie żywno nienawiści do żołnierza sowieckiego, uważając go za nieszczęśliwą ofiarę systemu. W moim domu, za polskich czasów miała biura placówka Straży Granicznej. Była to instytucja półwojskowa, głównie zajęta tropieniem przemytu. Oczywiście placówka ta uciekła z wojskiem, zostawiając papiery i akty. Przeglądałem je i znalazłem tam albumy zawierające fotografie przemysłowców i inne, przedstawiające różne sposoby przemykania towaru w autobusach, wagonach i wozach. Te masy papieru przydały się do palenia w piecach, bo opału nie można było dostać. Wkrótce zajęło to mieszkanie NKWD, dwaj oficerowie z rodzinami. Należeli do sił pancernych NKWD. Mieszkali dwa miesiące, nie pytając mnie o pozwolenie, aż tu nagle dzwonią i pytają o gospodarza. Uczesani i uperfumowani siadają na fotelach i proszą o oznaczenie czynszu. Przy tym targują się trochę, jak to się w Europie robi, zaznaczając, że mieszkanie jest zniszczone. Ustaliwszy czynsz odchodzą. Od tej chwili nie pokazali się więcej. Zrozumiałem potem, o co im chodziło: o ocenę wizyty i umowy.

Ten rys dziecinności jest ogólny. Nie można ich uważać za dorosłych. Wprawdzie dorosli są ci, którzy siedzą na Kremlu. Toteż nie miał racji Stefan Banach, kiedy mi powiedział: „To jest system, w którym rządzi inteligencja”. Ja bym powiedział, że to jest system, w którym sfery rządzące zrobiły z inteligencji swój monopol. Nasza ludność nie mogła wyjść z zdumienia na widok oficerów noszących dzieci na rękach, na widok ich mundurów, których suknie nie różniły się od koszul nocnych, miały kolory jasne i uzupełnione były sinymi skarpetkami i żółtymi beretami. Były brudne, brudne i niechlujne. Kiedy z Kijowa przysłano ekipę telefonistek i nie pozwolono im na wspólnej kwaterze z naszymi, nie mogły wyjść z podziwów na widok *dessous* i bielizny nocnej Polek, a nasze panny nie wierzyły w to, widząc kalessy męskie ściągnięte sznurkiem, w roli damskich skarpetek. Ale jeszcze jedno zadziwiło Rosjanki. Telefon automatyczny; powiedziano im mianowicie, że jest to sowiecki wynalazek, którego w Europie nie znają. Propaganda sowiecka robiła najdziwniejsze wysiłki, żeby przeobrazić temu niepożądanemu dla nich stanowi ogłuszania obywateli w Europie europejskiego miasta, które choć wybiedzone i zniszczone, jednak nie uderzało do głowy biedakom z Kazachstanu i Turkiestanu. Więc tłumiono im, że befszytk w restauracji lwowskiej kosztuje tylko 1 zł 50 gr, że trzeba dopłaca do tego Murzyn w Afryce, dostarczający za darmo swojej kawy polskim kapitalistom. Tłumaczono, że w „pańskiej Polsce” kobieta nie miała ani prawa, ani majątku, ani dostępu do studiów i do zawodów męskich, ani prawa wyborczego. Pokazywano filmy przedstawiające

* (Łac.) Gdy dwaj robią to samo, to nie jest to samo.

obrazki z przedwojennego Lwowa. Oto stoi ogonek przed sklepem żywnościowym: biedna ludność czeka na sprzedaż cukru. Nagle zajeżdża oficer, mijając ogonek, wchodzi do sklepu i wychodzi z dwoma paczkami cukru pod pachami; sklep zamykają, bo już cukru dla biedaków dziś nie będzie. Inna scena: robotnica nareszcie dostała się do sklepu z materiałami, ale cóż!, najtańszy kosztuje 100 zł za metr, a ona zarabia miesięcznie 50 zł. Tak to w dawnej Polsce wszystko było tylko dla bogaczy. Nic dziwnego, że nasi robotnicy pękali ze śmiechu widząc tego rodzaju agitację, i jestem pewny, że żadne związki chrześcijańskie, żadna propaganda antykomunistyczna słynnego „IKC-a”, żadne kazania nie byłyby w stanie wyleczyć naszych robotników z sympatii do bolszewizmu tak gruntownie, jak to zrobili bolszewicy. Ale mieli oni dwa argumenty bardzo mocne; pierwszy, bardziej ogólny, to ten, że owa dumna Europa musi swój system ekonomiczny i społeczny podtrzymywać co 25 lat straszliwymi wojnami. Drugi – specjalny, ale tym boleśnieszyszy, że my Sowiety, nie mamy takich ubrań i takich mieszkań i takich smakołyków jak wy, ale mamy tanki i armaty, a wy jedliście tylko i pili, a kiedy przyszła wojna, zastała was bezbronnymi i zabrała wam niepodległość.

**

Co do tego nie pozostawiali nam złudzeń. Oficjalna propaganda pouczała nas, że dwa pokojowo usposobione mocarstwa, Niemcy i Sowiety, porozumiały się ze sobą, ustaliły granicę i tym sposobem na zawsze zgasiły zarzewie wojny na wschodzie Europy. Najboleśnieszysza była w tym „zdrada klerków”, to znaczy akceptacja azjatyckiego kłamstwa przez pewną część naszej inteligencji. Trzeba wiedzieć, że skład ludności lwowskiej zmienił się znacznie przez napływ uchodźców z Warszawy, z Krakowa, Poznańskiego, z całej zachodniej Polski. „Ludność” się podwoiła. Z uchodźców 75% stanowili Żydzi. Już po utworzeniu linii demarkacyjnej przekraczały ją legalnie i nielegalnie przez Małkinię i Białystok tysiące ludzi. Między nimi był i mój zięć. Jego historia była niedługa. Wcielony do garnizonu warszawskiego uczestniczył w obronie stolicy. Wzięty do niewoli jako chory na zapalenie płuc dostał się do szpitala w Dęblinie. Wuj jego przyjechał autem z Warszawy i wykradł go. Gdy wyzdrowiał udał się koleją przez Małkinię do Białegostoku. W Małkini żołnierze policji niemieckiej wywlekali Żydów z wagonów i bili pałkami gumowymi właściwie bez powodu, gdyż nie przeszkadzali im jechać dalej. Miejskowa młodzież polska pomagała policji niemieckiej, wskazując Żydów, których Niemcy nie umieli odróżnić od Polaków. Na linii demarkacyjnej żołnierze sowiecy bronili dostępu, krzycząc *dawaj nazad*, ale tłum odpowiadał „niech żyje czerwona armia” i szedł naprzód. Tym sposobem tysiące ludzi przenikało przez linię demarkacyjną. Zięć mój opowiadał liczne szczegóły o kłę-

...; mówił o zupełnym braku łączności, o psychozie porażki, o podejrzeniu każdego cywila o szpiegostwo. W Białymstoku spotkał się z Władysławem Broniewskim, który jako „czerwony poeta” miał tam wiece poetyckie, a potem dostał osobny przedział na jazdę do Lwowa. Z nim właśnie Janek przyjechał. Kilka tygodni później znalazł się u nas Stanisław Saks, a potem Bronisław Knaster. Od nich wszystkich, a także od kuzyna Tony, młodego inżyniera, który większą część drogi z Krakowa do Lwowa odbył na rowerze, miałem informacje, jak wyglądało wkroczenie Niemców i ich zachowanie w pierwszych tygodniach. Dowiedziałem się o bombardowaniu pociągów i ostrzeliwaniu z karabinów maszynowych z wysokości 50 metrów, uchodźców, dzieci, nawet krów i pastuchów na polach. Usłyszałem o rzucaniu dywersantów w postaci zakonnic lub policjantów polskich; szczytem pomysłowości było jakoby zrzucenie motocyklisty, który miał w przyczepce dziecko-niemowlę. Dr Knaster opowiedział mi o rozstrzelaniu całej ludności żydowskiej w pewnym miasteczku (Ostrów Mazowiecki). Kilkuset ludzi, mężczyzn i kobiet z dziećmi na rękach zgromadzono na rynku i wystrzelano z karabinów maszynowych na rozkaz oficera. Z innych stron dochodziły jeszcze potworniejsze opisy znęcania się nad Żydami, zwłaszcza nad rabinami. W Warszawie odbywały się różne sceny niewiarygodne; np. w bramie jednego z domów przy Marszałkowskiej czyhał stale gestapowiec, który Żydów wciągał do bramy i bił gumową pałką. Inni zdejmowali z Żydówek futra i dawali kobietom spotykającym na ulicy; nie pozwalali przy tym zbliżać się do obrabowanej, aby nie podała adresu. Nieraz Polki ze łzami w oczach biegły za właścicielkami futer, aby im je oddać za najbliższym węglem – *Wie können Sie einer Dame so etwas autum** – mówi pani do oficera wchodzącego bez pukania w czapkę do sypialni. *Eine Judin ist keine Dame*** – pada odpowiedź. *Nota bene* ten pogląd znany mi był już przedtem; nie kto inny, ale były premier Leon Kozłowski był niezmiernie zdziwiony, kiedy się dowiedział, że wśród Żydów są klasy społeczne; był on przekonany, że jest to zakon złożony z równych sobie osobników, którzy dla zmylenia innych przebijają się: jeden za handlarza śledzi, a drugi za wirtuoza – pianistę.

Ale to wszystko zajmowało nas mniej niż rzeczywistość nasza, to znaczy sowiecka. Sowiety wkrótce dowiodły, że nie są wegetarianami. Zaczęli od aresztowania oficerów rezerwy. Między nimi był Bartel, ale wypuszczono go natychmiast, ukradłszy mu przy rewizji w domu złoty zegarek. Zapytano go, do czego potrzebne mu są liczne książki w domu, na co odpowiedział im w sposób dość lekceważący, co gładko przelknęli. O zegarek poszedł się poskarżyć do komendanta NKWD jak „oficer do oficera”. Wszyscy byli grzeczni, ale aresztowali w nocy kilkanaście osób. Akcja polityczna

* (Niem.) Jak pan może zrobić coś takiego damie?

** (Niem.) Żydówka nie jest damą.

zaczęła się od zwołania zgromadzenia, do którego delegaci byli niby wybrani przez związki zawodowe, w rzeczy samej zaś mianowani przez partię. Zgromadzenie uchwaliło zniesienie własności fabryk, obszarów większych ponad 25 ha, kamieniołomów, lasów i kopalń, a także przyłączenie Ukrainy Zachodniej do Republiki Ukraińskiej. Przeciw temu głosowała Halina Górńska, która żądała utworzenia ze Lwowa autonomicznego okręgu polskiego. Ale pierwsza faza polityki sowieckiej była ukrajinofilska w tym stopniu, że nawet usunięto polskie nazwy ulic. Aresztowania były skierowane głównie przeciwko Polakom, szczególnie przeciw oficerom, zerwy i ich rodzinom, przeciw sędziom, prokuratorom, dyrektorom banków, kupcom, byłym urzędnikom administracji itd. Przeważnie jednak ograniczano się do wywiezienia, a nie aresztowania rodzin. Wszystko było sporadyczne, nie systematyczne. Ciągłe ogłaszano na ulicach nową rejestrację oficerów, podoficerów, uchodźców, adwokatów itd. Sprytniejsi zorientowali się, że do tych rejestracji nie należy się zgłaszać. Sposób prowadzenia spisów był niesłychanie prymitywny; nieraz spisy polegały na pisaniu na papierze pakunkowym po kolei, według zgłoszeń. Sprawdzenie, czy ktoś już jest zapisany czy nie, było niemal niemożliwe. Potem zaczął się nowy koszmar *profspilki* czyli związki zawodowe. Kto chce być człowiekiem w Sowietach musi należeć do związku zawodowego. O przyjęciu decyduje osobna komisja, w której główną rolę odgrywają delegaci przysłani do związku przez komitety partyjne. Ci właściwie decydują o przyjęciu, gdyż wszelkie głosowanie jest farsą. Farsą jest dlatego, że każdy, kto się sprzeciwia takiemu *politrukowi*, naraża się na doniesienie do NKWD, że jest prowokatorem i zamaskowanym trockistą, i na wywiezienie.

**

Zabawa w przyjmowanie do *profspilki* zaczęła się na uniwersytecie jeszcze w 1939 i trwała niemal do końca. Ale już w 1939 mieliśmy nowe wydarzenia: kolejne wchłonięcie przez Sowiety państw bałtyckich i wojnę z Finlandią. Wojna ta trwała wprawdzie tylko 100 dni, ale była dla nas rewelacją. Według tego, co mówił Sołowiew, członek Rady Najwyższej Republiki Rosyjskiej, Sowiety straciły w tej wojnie 250 000 ludzi. Ceny w Moskwie podniosły się o 30%. Wynik właściwie uzyskano dopiero dzięki naciskowi dyplomacji berlińskiej. Żołnierze bali się tej wojny i nie tąpali o to. – Stamtąd się nie wraca – mówili. Opowiadali o wyrafinowanych fińskich sposobach minowania lasów, a nawet bajeczki o kołyskach z niemowlętami, które były zamaskowane minami. A propaganda grzmiała o „Biało-Finów”, którzy ośmielają się powoływać na przywileje i wolności nadane przez carów. Ponieważ nie było nigdzie chyba szerszej demokracji niż w Finlandii, i ponieważ każdy zdawał sobie sprawę z tego, że

życi i cywilizacji tego małego i ubogiego kraju najlepiej widać o tym, że nie ma tam miejsca na wyzysk, a już na pewno żołnierz sowiecki, widzący we Lwowie Amerykę, najmniej jest powołany do uszlachetniania tego kraju – zobaczyliśmy dowodnie, że tzw. opinia sowiecka nie liczy się zupełnie z rzeczywistością, gdy chodzi jej o oplugawienie przeciwnika politycznego. Przy tym sam fakt tak długiej i skutecznej obrony świadczył o relatywnie silnej Finlandii i słabości Sowietów. Ale należeli się i tacy, którzy wypowiadali zdania w rodzaju: „no, już cierpienie na szwedzkich burżujach”, wyrażając tym radość z przewidywanej sukcesji krajów skandynawskich.

Przez cały ten okres uczyliśmy się coraz lepiej systemu sowieckiego, choć nie wszyscy. Bardzo wielu uchodźców z Warszawy, Łodzi i Krakowa uważało swój pobyt tu za tymczasowy i spędzało czas na ulicy i w kawiarniach. Żydzi handlowali złotem, brylantami, czym się dało, wystając na ulicy Akademickiej i na placu Fredry. Od czasu do czasu aresztowano całych dziesiątki ludzi w tych właśnie miejscach, ale to nie pomagało. Słyszeliśmy ciągle od władz obietnice: *wsio budie*, ale naprawdę nic nie było. Brakowało cukru, mydła, nafty, opału, a zima była ostra. Prof. Fuliński spotkał mnie wtedy i powiedział „przejdziemy drugą zimę ostrzejszą, a może trzecią – najcięższą”.

**

Sowiety zabrały się do urzędowania i do ściągania podatków. Uważali, że każdy ma zapłacić im zaległe polskie podatki. Ci, którzy się zorientowali w tym, że wystarczyło zmienić mieszkanie, aby się uwolnić od tych nakazów, nie płacili. Byłem szczęśliwy, gdy przyszła do mnie gruba urzędniczka sowiecka w towarzystwie *domouprawabyłego* urzędnika sądowego z Jarosławia, i wywłaszczyła mnie z kamienicy. Z mieszkania mnie nie wyzuciono, jak innych, bo jako profesor byłbym mógł nawet zachować własność kamienicy. Tak zrobił prof. Cieszyński, ale źle na tym wyszedł, gdyż opodatkowano go wyższą kwotą, niż tą, którą by zapłacił za mieszkanie. Aresztowań wśród profesorów było niewiele, prócz Leona Kozłowskiego zaareztowano Romana Renckiego i Stanisława Grabskiego. Renckiemu zarzucano ukrycie większych kwot pochodzących z Morszyna, będącego własnością Towarzystwa Lekarskiego; prawdopodobnie Sowiety, zając Morszyn, chciały się dobrać i do tych pieniędzy. Gdy aresztowano Grabskiego, poszliśmy do komisarza politycznego przy uniwersytecie, kpt. Lefczenki. Delegację prowadził Kulczyński, a że ja także w niej byłem, więc słyszałem rozmowę. Lefczenko zatelefonował do NKWD i otrzymał odpowiedź, że sprawa Grabskiego *plocha*, tzn. zła. Na przedstawienie, że to stary człowiek, który nie znieś warunków więziennych, Lefczenko odrzekł: *On staryj, tak on młode rzeczy dieta!*. Chodziło o pismo

„Grody Czerwieńskie”, które Grabski wydawał, i któremu zarzucano nacjonalistyczne polskie traktowanie sprawy ruskiej.

Do tegoż Lefczenki poszedłem we własnej sprawie. Szpital przy ul. Czackowskiej zajęło wojsko, a ja chciałem zobaczyć, co się dzieje z moim introvizorem, chciałem, by mi komisarz dał przepustkę. Odpowiedział mi, że puszcza mnie tam i bez przepustki; a przy tym mrugnął na jakieś indywiduum w mundurze wojskowym, które siedziało bezczynnie w gabinecie. Ten zwrócił się do mnie, żeby *poznakomitsa* i zaczął mi zadawać pytania. Zanotowałem imię i nazwisko, zaczął pytać o ojca. Kiedy mu powiedziałem, że był kupcem, chciał koniecznie wiedzieć, ilu miał subiektów. Odpowiedziałem, że jednego lub dwóch. Ale okazało się, że to wielka różnica. Bo, jeżeli miał jednego to był kramarzem, a więc nie był wyzyskiwaczem, jeżeli dwóch, był kapitalistą, a wtedy ja bym miał złe soc-pochodzenie jako syn krwiopijcy – to była kwestia najważniejsza, a liczba lat pracy uniwersyteckiej i liczba prac była sprawą drugorzędną. Od chwili tej rozmowy nabrałem nieprzewidywanej, fizycznej wprost odrazy do wszelkich urzędników, polityków i komisarzy sowieckich. Widziałem w nich takich jak olbrzymia małpa, która porwała Guliwera na dach. Zależało mi o nich od ich idiotycznych kryteriów, które byłyby śmieszne, gdyby za nimi nie stał cały aparat partii i NKWD. Zazdrościłem tym, co w porę udali się za granicę. Wiedziałem, że Ułam w sierpniu 1939 roku odjechał z Gdyni do Nowego Jorku. Dr Knaster doniósł mi, że prof. Zygmund po wkroczeniu wojsk sowieckich na Litwę uzyskał wizę szwedzką i przez Szwecję wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie znalazł posadę profesora w jednym z małych uniwersytetów. Młody Zaremba pojechał w stronę przeciwną, bo do Taszkontu, uzyskawszy tam miejsce na uniwersytecie. Pisał nawet, że odbywa wycieczki górskie tak daleko, że stamtąd widzi placówki angielskie. Tymczasem obraz miasta uległ zmianie. Napływało coraz więcej oficerów, enkawudzistów, ich żon i dzieci, i coraz więcej znajomych aresztowano i wywożono w niewiadome strony. Były rodziny, które zlikwidowano zupełnie. Młodego Jaworskiego, poetę i rówieśnika mojej córki, aresztowano, ponieważ miał przyjaciela-trockistę. Ojca i matkę wywieziono, gdyż ojciec pracował w prokuraturze generalnej Ministerstwa Skarbu, co zapewne sowieccy urzędnicy pomylili z prokuraturą. Babka umarła ze zgrzyzoty i cała willa na ulicy Janowskiego pozostała pusta. Takie omyłki zdarzały się często. Np. żona dra Kaczmarza – zaginął na wojnie – podała, że jej mąż był adiunktem Politechniki*. Zrozumiano, że był adiunktantem i wywieziono ją z dziećmi. Jednak udało się to wyjaśnić i sprowadzić ją z powrotem. Aresztowano młodego dra Wachlowskiego, docenta prawa międzynarodowego obwinionego o jakiś spisek antysowiecki. Spi-

* Dr Stefan Kaczmarz był docentem UJK.

...polegał na tym, że Wachlowski schodził się z kolegami i omawiał z nimi sytuację polityczną.

Miasto wypełnione było tłumem wojska, uchodźców, różnych ludzi z Ukrainy; Żydami ze Zdobunowa, Winnicy, Żytomierza, różnymi gośćmi z Korei czy też z kraju Ussuri, oglądającymi to dziwo nad dziwy, „kapitałystyczne zachodnioeuropejskie miasto”. Nieraz sowiecki żołnierz rozejrzawszy się po mieszkaniu naszego robotnika, murarza czy konduktora warszawskiego, widząc meble, widząc komodę napełnioną bielizną, obrazami na ścianie i firanki w oknach, mówił z podziwem: *U was robotniki toż są kapitaliści*. Ale nasza ocena Sowietów była jednak fałszywa. Nagle udało mi się zaopatrzyć Lwów w żywność. W setkach sklepów państwowych otwartych na miejsce prywatnych pojawiła się mąka, chleb, cukier, ryby mrożone i mrożone, różne konserwy owocowe, „masło-miód”, nawet karmel. Było tego dużo i ogonki z zimy 1939/1940 znikły na wiosnę. To nie była jedyna niespodzianka. Pewnego razu dyrektor teatru zaprosił literatów na kolację do restauracji przy ul. Sykstuskiej. Przyszli tam Broniewski, Peiper, Stern, Wat i wielu innych. Kiedy siedzieli już przy stolikach i pili po parę wódek wypitych, weszła aktorka Oranowska z oficerem sowieckim i usiadła naprzeciw Broniewskiego. Zaczęła go wyraźnie kokietować, a oficer na to uderzył ją w twarz. Broniewski rzucił się na oficera, ale w tej chwili wpadła do sali gromada enkawudzistów bijąc pięściami i pałkami obecnych. Aresztowano wszystkich i wywieziono karetkami, które już od godziny stały na ulicy koło restauracji. Następnego dnia po aresztowaniu ukazał się w „Czerwonym Sztandarze” artykuł żądający „urwania ręki” hydrze socjal-faszyzmu, zdemaskowania nacjonalistów i pacholców burżuazji polskiej, którzy udając przyjaciół proletariatu przygotowują za pieniądze angielskie kontrrewolucję. Jednym słowem posłużono się całym słownikiem w takich razach. O aresztowaniu ani słowa, bo artykuł miał być niby spontanicznym wybuchem czulego sumienia proletariatu. Na posiedzeniu Związku Literatów jeden z tych proletariuszy postawił wniosek wykluczenia ze związku podanych w artykule po nazwisku poetów i pisarzy. Wasilewska okazała jednak odwagę cywilną, i nie dała wniosku pod głosowanie. Aresztowanych wywieziono. Sterna zdaje się wypuszczono później. Ale tej samej nocy co Broniewskiego i towarzyszy, aresztowano Parnickiego, Naglerową i wielu innych, którzy nie przyszli na kolację. Tym sposobem ordynarna robota prowokatorów wyszła na jaw.

Fakt ten odsłonił przed myślącymi ludźmi oblicze stalinowej Rosji. Przecież nie aresztowano Wasylewskiego ani Boya-Żeleńskiego, ani wielu innych, którzy nigdy nie uchodzili za przyjaciół komunizmu, a nawet odznaczyli się jako reakcyjniści. Otóż był to nie przypadek, ale wynik zasadniczego nastawienia. Dla reżimu Stalina wcale nie są niebezpieczni nacjonałiści czy konserwatyści, czy też bezpartyjni. Dla niego niebezpieczni ludzie to ci, którzy nie dadzą się zmienić w niewolników. Broniewski,

który jako oficer i kawaler Virtuti Militari był w Polsce komunistą. W 1939 roku we Lwowie wygłosił wiersz o *Warszawie, która się nie poddała*, chociaż wtedy właśnie sowiecka Rosja chciała uniknąć wszelkiej wzajemnej drażniącej Berlin, ludzie, którzy myśleli, że nareszcie będą mogli powiedzieć co chcą, to właśnie było dla reżimu najgorsze, najbardziej znienawidzone. Ale najzabawniejsi byli ci inteligenci polscy, którzy uważali, że w Rosji nie ma cenzury, że nie ma policji, że jest wolność słowa i że obowiązują demokratyczna konstytucja stalinowska. „Nigdy, nigdy jeszcze nie było tak demokratycznych wyborów, jak w ZSRR” głosiły plakaty wyborcze. Wolność polegała na tym, że każdy mógł oddać głos na kandydata, którego nazwisko było umieszczone na drukowanej kartce lub przekreślić. Kandydaci uzyskiwali zwykle 99% oddanych głosów. Najkomiczniejszą jednak była agitacja wyborcza: tysiące plakatów, setki artykułów w gazetach, ba, nawet afisze karykaturujące PPS, syjonistów UNDO, tak jakichkolwiek działaczy tych partii mógł zamieszkać pod swoim nazwiskiem we Lwowie. Zdaje się, że władcy Rosji chcieli dać ludowi przedstawienie, jak wyglądają wybory, tak jak ci „enkawudziści” chcieli się zabawić z mną w „gospodarza i lokatorów”. Co do cenzury, to obejmuje ona wszystko, nawet prace matematyczne są cenzurowane. Za przepuszczenie czegoś niezgodnego z obowiązującą religią komunistyczną odpowiada autor, redaktor pisma, zecer i korektor. Nawet forma jest ustalona, bo święte imienia Stalina nie wolno łamać z wiersza do wiersza. Niektórzy zelaznicy żydowscy, wydający małe pisemka w Brodach, czy też w Białymstoku, uznali, że *dativus*: „Stalinowi” jest burżuazyjny, i pisali stale „Stalinu”. Innym znowu uznali nazwę „Żyd” za objaw antysemityzmu i pisali „Jewrej”, nie wiedząc, że istnieje polski wyraz „Hebrajczyk”, znaczący dokładnie to samo. Te drobne fakty świadczą, jaki jest brak niezależnego myślenia u ludzi. Bo nawet Polacy, ludzie niby inteligentni, profesorowie uniwersytetu, wykazywali nieprawdopodobny brak odwagi cywilnej. Niektórzy, dawniej nacjonałści polscy, przypomnieli sobie, że mają matki Rusinki i wykładali już w 1939 roku po rusku. Inni podpisywali się na pismach urzędowych cyrylicą. Kiedy Saks, Schauder i ja podaliśmy narodowość polską w formularzu, który każdy musiał wypełnić, powiedziano, że robimy to z obawy przed polską policją. Ale nie powiedziano nam tego wprost, lecz szeptało na konwentykłach.

Naturalnie przy uniwersytecie była „komórka” partyjna złożona z partyjniaków będących „wykładowcami”, asystentami czy profesorami. Nie należy jednak myśleć, że tacy komuniści jak nasi asystenci: Stark czy Herzberg, którzy za polskich czasów siedzieli w więzieniu za komunizm, należeli do tej komórki. Nic podobnego! I tu okazuje się zupełna niedorzeczność walki prowadzonej przez władzę i przez opinię; okazuje się zupełna niedorzeczność poglądów szerzonych przez „Ilustrowany Kurier Codzienny” i przez temu podobne organy. Ludzie mający przekonania jakiegokol-

kiego, komunistyczne czy inne, są dla Sowietów *bête noire**. Im potrzebny człowiek, który nie wierzy w nic innego jak to, co mu partia podaje za wiarę. To co mu podaje dziś, nie wczoraj, bo o tym, co mówiła wczoraj – ma zapomnieć. Stalin w 1938 roku w *Krótkim kursie historii partii komunistycznej* dosyć przenikliwie przepowiadał wojnę światową, którą wywołają Niemcy, Włochy i Japonia. W roku 1939 wyszło nowe wydanie, w którym tego zdania nie ma. Wprawdzie przepowiednia się spełniła, ale partia kazała zapomnieć o niej: to Polska podjudzana przez Anglię wywołała wojnę. W 1941 roku wyszło zapewne trzecie wydanie, powołując się na pierwsze. Ale to kierowanie faktami nie ogranicza się do polityki. Gdyby ktoś, pisząc o stereoskopie, chciał wspomnieć o tym, że Mach wynalazł stereoskopie rentgenowską, nie będzie mógł ogłosić swej pracy, bo filozofia Macha jest zakazana, a z tego już wynika, że Mach nie mógł niczego wynaleźć. W Sowietach moc ludzi jest czynnych koło przerabiania faktów i bezustannego fałszowania historii. Ta działalność obejmuje nawet banalne szczegóły. Inteligentniejsi członkowie związków zawodowych są bezustannie nagabywani o wygłaszanie odczytów w sekcji oświatowej związku. Jeden z urzędników biblioteki uniwersyteckiej Franciszek Smolka, wybrał sobie jako temat historię pobytu Lenina w Polsce. Oczywiście odczyt taki musi być przed wygłoszeniem przejrany przez „politruków” przydzielonych do związku. Ten zaczął zdanie: „Lenin zamieszkał we wsi Poroninie” koło Zakopanego. W *Krótkim kursie* jest napisane, że Poronin jest miasteczkiem koło Krakowa. Żadne tłumaczenie bibliotekarzy, że był w Poroninie i wie dokładnie, że jest to wieś koło Zakopanego, nie pomogło: *Krótki kurs* nie może się mylić.

**

W religii sowieckiej są czterej ewangelści: Marks, Engels, Lenin i Stalin. Ich portrety, nadnaturalnej wielkości, wiszą wszędzie. Marks z olbrzymią brodą, Engels z liberalną bródką połowy XIX wieku, Lenin ze szpiczastą bródką, Stalin już tylko z wąsami – uśmiechnięty i różowy, jak przystało na „przyjaciela narodów i słońeczko”. Lwów był literalnie obsypany tymi portretami w różnych formatach. Czasem na balkonach wystawiano kukielki mające przedstawiać Lenina. Taka realistyczna kukielka wyglądała jak trupek. Ohyda tej rzeźby budziła u naszych przechodniów uśmiech politowania. Tak zwana socjalistyczna sztuka została dokładnie zreglamentowana. Portretowanie polegało na podzieleniu fotografii na drobne kwadraciki i przeniesieniu każdej kwadratowej plamki na większy kwadrat na płótnie; jedyną czynnością było tu posmarowanie barwą kwadratu. Tak powstawały olbrzymie bohomy umieszczane na frontonach gmachów.

* (Fr.) Istotami budzącymi wstręt, obrzydzenie.

chów publicznych, a w nocy oświetlone lampami. Sowietci lubią świat elektryczny. Przechodząc koło gmachu NKWD przy ul. Pełczyńskiej w ciemności widziałem zawsze wszystkie niemal pokoje oświetlone. W każdym pokoju wisiał Lenin, Stalin, czasem Woroszyłow, Mołotow lub Timosze-ko. Kto ma w domu portret Lenina bez Stalina naraża się na podejrzenie że jest trockistą – coś tak, jak chrześcijanin, który by wierzył w Boga-O-ca, a nie wierzył w Syna Bożego. W westybulu uniwersytetu umieszczono ogromną gipsową rzeźbę siedzącego Lenina, który z uśmiechem wtajem-nicza stojącego obok Stalina w arkana mądrości, a naprzeciw obydwu znowu rozmawiają stojąc; umieszczenie takiego kadryla z czterech posta-ków dwóch osób jest bardzo charakterystyczne dla sowieckiej estetyki. „Między nami a nimi jest ta różnica, że my wiemy, jaka jest różnica mie-dzy nami a nimi, a oni nie”. To sformułowanie obiegło Lwów. Ale niezu-pełnie jest słuszne. Jeden z pierwszych Sowietów, którzy przyszli obejmo-wać fabrykę „Laokoon” powiedział do dra Blumenfelda: „Ładnieście wpadli”. A inny: „Nie skarżcie się; wy przynajmniej widzieliście świat i mogliście się dowiedzieć różnych rzeczy, a my całe życie tak cierpimy”.

W warunkach sowieckiego życia, jak się zdaje, nastąpiła gwałtowna zmiana w roku 1937. Odtąd zamarła sztuka, zamarła poezja, zamarła po-wieść – jedynie muzyka, jako nieszkodliwa, i niektóre nauki ściśle rozwija-ją się nieskrępowanie. Do Lwowa kilka razy przyjeżdżali uczeni sowiec-cy, z matematyków byli tam Aleksandrow, Ławrentiew, Sołowiew, Ber-mant i kilku młodszych z Kijowa i Odessy. Wszyscy umieją doskonale wy-kładać – zdaje się talent aktorski wrodzony Rosjanom sprawia, że wyma-gania pod tym względem są wysokie. Na naukę nie szczędzą pieniędzy: we Lwowie uruchomili szkoły wszelkiego typu, ruskie, polskie, żydowskie, do istniejących trzech szkół wyższych dodali pedagogium. Największą przeszkodą w prowadzeniu tych szkół było ciągłe przenoszenie się ich z je-dnego lokalu do innego, wywożenie bibliotek z jednego miejsca na dru-gie, wprowadzenie sześciodniowego tygodnia, który potem znowu zastą-piono starym, siedmiodniowym, no i przede wszystkim ciągły napór w kie-runku ukraiinizacji. Sprawa języka ruskiego do końca nie została załatwio-na. Dla ułatwienia wprowadzono kursy tego języka – ja na nie nie chodzi-łem, mając wstręt do wszelkiego przymusu. Przeczytałem jakiś elemen-tarz, potem nawet dwie powieści, jedną *Gogola Taras Bulba* i Ireny Wilde *Północne dzieci*, ponadto parę nowel Iwana Franki, pisarza niewątpliwie utalentowanego. Nazwanie uniwersytetu jego imieniem było jednym z tych posunięć, które miało zjednać ruską inteligencję. A ona przyjmowa-ła skwapliwie te koncesje i dalej miała konszachty z Hitlerem, na którego czekała z tęsknotą.

→ Język jest czymś więcej niż kodem porozumiewawczym; jest on pełnym obrazem duszy narodu. Język ruski jest językiem chłopskim, kto mówi tym językiem, udaje chłopca. Niechęć moja do mówienia po rusku ex-

cedra nie była podyktowana nienawiścią do Rusinów; gdyby mi kazano wyklądać matematykę mazurskim lub góralskim dialektem, tak samo bym się na to nie zgodził. Nie jestem specem, a nauki nie uważam za zbiór twierdzeń, które można wygłosić w jakimkolwiek języku. Ruskich mate-matyków nie było; ci którzy byli, uprawiali matematykę po rosyjsku lub po niemiecku, nawet polski język matematyczny jest świeżej daty i wiele wyrazów tworzyć musiał Puzyna, Dickstein i ich generacja. Ci, którzy bez sprzeciwu, a nawet z ochotą podjęli się wyklądać po rusku, stanęli wobec faktu, który sformułowałem pierwszy, a który oni musieli uznać później: to nie jest dla nas osobny język, ale tylko *une façon de parler** ludzi uro-dzonych na wschód od Sanu. Jeżeli decydują się być Polakami, a jest to na tej ziemi nieraz rzecz decyzji, muszą wyrzec się łatwiejszej *façon de par-ler*, rozleniwienia płynącego od łanów pszenicy, od bujnych traw ruskiego *sela*, i urobić swój język na sposób trwalszy, precyzyjniejszy, literacki, pański. Mówić po rusku we Lwowie to znaczy zrezygnować z pewnej po-stawy kulturalnej. Najzabawniejsi byli ci ludzie, którzy myśląc kategoria-mi nacjonalistycznymi postanowili mówić po rusku. Każde zdanie w ich ustach brzmiało fałszywie, bo mówili precyzyjnie, układali zdania dokład-nie po profesorsku i przez to w uszach Rusinów ich mowa brzmiała jako coś nowego, ale nie jak język ruski. Kto po polsku nigdy nie mówi „ten o!”, ten nie może mówić po rusku. To wszystko wcale nie jest równoznac-zne z nacjonalistycznym przesądem: język ruski pozostaje pod wieloma względami w tym stosunku do polskiego, co *wasserpölnisch* do niemiec-kiego na Śląsku, słowacki do czeskiego, co narzecze bretońskie do francu-szczyzny, co żargon żydowski do hebrajskiego.

31 VIII 1944

..

Naturalnie Sowietci wprowadzili na uniwersytet niemało Rusinów. Pod względem naukowym nie były to siły pierwszorzędne. Studyński, który nie chciał swego czasu złożyć przysięgi wierności państwu polskiemu, obecnie był w łaskach, ale wbrew oczekiwaniom nie został rektorem. Był to jeden z tych starszych panów, którzy lubią bywać na obiadach u bisku-pów; niezupełnie dobrze rozumiał, w jaki ton trzeba uderzyć i po audien-cji u Stalina opowiadał, że widział różnych władców, Wilhelma II i Franci-szka Józefa, ale tak imponującego władcy nie widział. Nie podobało się to Sowietom; sposób mówienia o Stalinie jest przepisany, a wśród epitetów dopuszczonych nie ma wyrazu władca. Rektorem był niejaki Marczenko, cham i tchórz. Niemala nas kosztowało, zanim nauczyliśmy naszych gości

* (Fr.) Sposób wyrażania się.

zdejmować czapki, trzeba jednak przyznać, że uruchomili oni całą maszynę uniwersytecką. Dziekanem Wydziału Matematyczno-Fizycznego został Banach. Uznał on metodę współpracy za najlepszą; może dzięki tej metodzie udało się zrobić profesorami Saksa i Knastra, co nie było łatwe, bo Sowieci mieli niechęć do ludzi z Warszawy. Kierownikami katedr byli Banach, Schauder, Żyliński, Zarzycki, Mazur i ja; profesorami bez katedr (to samo co nadzwyczajni) byli Saks, Knaster, Chwistek, Jacob, Auerbach i Orlicz; docentami Eidelheit, Szpilrajn i Wojdysławski. Był to rzeczywiście zespół bardzo poważny i w normalnych czasach byłibyśmy nie mało zrobili w takim komplecie. Udało się zastąpić Towarzystwo Matematyczne wprowadzając posiedzenia naukowe Wydziału, a także udało się wydać IX tom „*Studia Mathematica*”, z tą jedynie modyfikacją, że obok tekstów oryginalnych, każda praca musiała mieć ruskie streszczenie. Po wizycie Ławrentiewa kilku z nas zostało współpracownikami Akademii w Kijowie (Banach, Zarzycki, Schauder, Mazur, Saks i ja). Miało to znaczenie dla nas, gdyż otrzymywaliśmy z tego tytułu kilkaset rubli miesięcznie, a razem z pensją uniwersytecką umożliwiało to nam znośne życie.

Z Warszawy i Krakowa inne dochodziły wieści o profesorach. Wiedzieliśmy o zesłaniu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego do Oranienburga, o aresztowaniu kilku w Warszawie, o zamordowaniu Aleksandra Rajchmana. Wiedzieliśmy też, że Koźniewski popełnił samobójstwo, że Hetper, chcąc przejść w Przemysłu granicę po ucieczce z niewoli niemieckiej, został aresztowany jako oficer i zesłany do Starobielska. Wielu z naszych kolegów utraciło katedry, tak np. wszyscy teologowie, ale nie tylko oni. Filozofia też nie należała do nauk uznanych; trzeba było nawet 10% naszych pensji oddać na pomoc dla tych kolegów. Niektórzy, choć mieli podwójne pensje, nie spełniali tego obowiązku. Były różne niespodzianki. Profesorowie znani ze swoich przekonań prawicowych zupełnie dobrze się czuli w towarzystwie Sowieców, natomiast ludzie o poglądach demokratycznych jak Ganszyniec – stawali okoniem. Przybył z Warszawy pan Rudniański, marksista i podobno członek Kominternu. Miał mefistofeličną szpicbródkę, był Żydem i komunistą – myśleliśmy, że dostanie katedrę ekonomii. Nic podobnego – do końca był „wykładowcą” jakiegoś dodatkowego przedmiotu. Było widoczne, że Sowieci wolą bezpartyjnych, a nawet prawicowych profesorów, byle tęgich fachowców, niż komunistów, którzy nie przeszli szkoły sowieckiej. Wykładanie leninizmu i marksizmu jest u nich powierzone wypróbowanym wykładowcom, którzy umieją niemal na pamięć sowiecką ewangelię, i co do których nie ma najmniejszej obawy, że powiedzą coś oryginalnego. Nie ma mowy, żeby te nauki dano głosić innym, tak jak u nas, za czasów polskich, nie było mowy o tym, żeby teologię wykładali ludzie świeccy. Przypominam sobie dialog między profesorem Kleinerem a Gagarinem. Było to na zebraniu profe-

sorskim, na którym miano przeprowadzić reorganizację uniwersytetu w myśl wytycznych przywiezionych z Moskwy przez owego Gagarina, delegata ministerstwa, dostojnika ozdobionego gwiazdą i bardzo pewnego siebie. Gdy Kleiner zaproponował, by obok katedry marksizmu i leninizmu utworzyć katedrę historii filozofii, żeby student mógł się dowiedzieć, jakie były prądy filozoficzne w Europie zanim Marks i Lenin stworzyli ostateczny system filozoficzny, Gagarin odpowiedział: „U nas student uczy się jednej prawdziwej filozofii, a to, co *towarzysz* Kleiner proponuje, *my nazywajemy zgniłom liberalizmom!*” Inna sprawa, że kiedy później, wobec rektora, powoływaliśmy się w innej sprawie na słowa Gagarina, rektor powiedział: „*Gagarin durak!*” Bo w parę miesięcy później gwiazda Gagarina zgasła, nie wiadomo z jakiego powodu. Dzieje się tak często na firmamencie sowieckim; używa się ludzi do wygłaszania pewnych programów, a kiedy te programy stają się niewygodne, zwała się odpowiedzialność na tych ludzi i usuwa się ich. Pod jednym względem uniwersytet sowiecki przewyższa nasz: pod względem podręczników; nie tylko nauka sowiecka obfituje w doskonałe podręczniki, ale umożliwia ich nabycie studentom po niskich cenach. Co więcej, jeżeli np. profesor wykłada rachunek prawdopodobieństwa, to jego katedra zakupuje od razu 15 egzemplarzy podręcznika Gliwenki i wypożycza je studentom. W ogóle opłaca się w Sowietach kupować książki, bo są tanie i dobre; mówię oczywiście o naukach ścisłych.

**

Okazało się także, że administracja domów wywłaszczonych funkcjonowała; czynsz płaciło się w bankach, podobnie opłatę za światło i wodę. Wprawdzie remont kamienic nie był dostateczny, ale przypuszczam, że i z tym po paru latach byłoby lepiej. Moje podanie o zaprowadzenie gazu w skrzydle domu przy ul. Kadeckiej 14 odniosło skutek i miałem gaz, na którego wprowadzenie, jako właściciel własnego mieszkania, nie mogłem sobie swego czasu pozwolić. Bolszewicy rozwinęli działalność i na innych polach. Kończyli budować rozpoczęte gmachy, kładli drugi gazociąg z Warszawy do Lwowa, rozpoczęli autostradę do Kijowa, zamienili tory normalne na szerokie itd. Robili to po wariacku, używając nadmiernej ilości robotników, którym płacili lichu. W Sowietach pracuje się na akord; każda czynność robotnika jest płacona według oznaczonej skali i obliczanie zarobków robotników budowlanych, którzy wykonują dużo różnych czynności jest pracą bardzo skomplikowaną. Są do tego osobni „tabelszczycy”, bo rozeznanie się w coraz to zmieniających się taryfach nie jest łatwe. W praktyce „tabelszczyk” wpisuje różne fantastyczne liczby do swoich ksiąg, tak, aby „trust” i robotnicy nie zanadto sarkali. Los robotnika w Sowietach jest fatalny. Płaca wystarcza zaledwie na jedzenie i na liche mieszka-

nie, na ubranie już nie. Są tzw. „stachanowcy”, tj. robotnicy przekraczający normę o 20%, 50%, a nawet i 100%, ale ci niedługo cieszą się zarobkiem, gdyż po paru miesiącach zarząd „trustu” uznaje za stuprocentową normę to, co przedtem stanowiło 150% i stachanowiec staje się zwykłym robotnikiem. Na zebraniach i mityngach nie mówi się nigdy o żądaniach robotników, gdyż oficjalna teza głosi, że robotnicy w Sowietach pracują dla siebie, a tym samym nie mogą być wyzyskiwani, gdyż owoce ich pracy są dla nich samych. Kto by powiedział głośno, że robotnicy są lichy płatni, że nędźnie mieszkają, i że nie mają opieki lekarskiej, ten naraziłby się na zesłanie do Kazachstanu, jeżeli nie do Archangielska. Robotnicy uchwalają na mityngach rezolucje przygotowane przez politruków: np. żądają przedłużenia dnia pracy, skasowania niektórych wolnych dni itd., prócz tego wyrażają swe oburzenie – na Anglię, Niemcy czy Finlandię, w miarę tego jakiej uchwały potrzebuje w danej chwili towarzysz Mołotow. Uchwały zawsze przechodzą jednomyślnie.

Nasi robotnicy znaleźli się nie tylko materialnie w fatalnej sytuacji, ale i psychicznie: za polskich czasów mogli przynajmniej kłąć na kapitalistów i mieli wytłumaczenie swego niedostatku w tym, że lwia część należnej im płacy zabiera kapitalista. Widzieli tego kapitalistę siedzącego w pierwszorzędnej restauracji, jeżdżącego autem i mieszkającego we wspaniałej willi; widzieli jego żonę we wspaniałym futrze, jadącą w zimie na Rivierę. Teraz ten obraz znikł. Kapitalisty nie było, a oni dalej siedzieli w suterenach, jedli kartofle z kapustą i nie stać ich było na buty dla dzieci. A rozmówanie politruka było tak logiczne, że nie mogli mu nic zarzucić. Ba, to co u nas pisały kurierki, że w Sowietach wyzyskiwaczem robotnika jest komisarz pobierający fantastyczną pensję i pijący szampana, jest błędne. Są może komisarze żyjący na wysokim poziomie, ale są to małwersanci, którzy po paru latach upadają i znikają na zesłaniu lub w więzieniu, czasem idą nawet „pod ściankę”.

Kto inny zjada pracę robotnika sowieckiego. Znalazłem trzy takie pasożyty: pierwszym jest majak industrializmu, drugim majak imperializmu, trzecim rosyjska nieudolność. Pierwszy majak każe budować Sowietom elektrownie, koleje, gmachy i „kombinaty” ponad potrzebę obecnej generacji – można powiedzieć, że to generacja przyszła wyzyskuje obecną. Drugi majak każe łać armaty, montować tanki i aeroplany w ilościach fantastycznych. Ten majak to megalomania sowiecka, której nie wystarczy zgniecenie Niemiec, ona chce zatknąć sierp z młotem na Pirenejach, na wieży Tower i na szczycie Mont-Blanc. Trzeci pasożyt – nieudolność – sprawia, że połowa pracy idzie na marne. Tylko taki bogaty kraj jak Rosja może wytrzymać takie marnotrawstwo. We Lwowie wybudowano ogromne magazyny na owoce: połowa owoców zmarnowała się w tych składach; ziemniaki marzły w wagonach, pomidory gniły tonami w beczkach. A obok tego widziało się doskonałe produkty z tychże owoców i pomido-

rów, dobre wina kaukaskie i krymskie, od czasu do czasu owoce i sery, nawet czekoladę. *Nota bene* czekolady czystej nie wyrabiano, lecz tylko nadziewaną, bo kakao jest zbyt drogie w Rosji. Jedynie cztery miasta miały taką aprowizację: Moskwa, Leningrad, Kijów i Lwów. Sowiety produkują towary luksusowe, takie jak szampan, konserwy z homarów, perfumy (nawet niezłe) itd. W teorii są to produkty dla robotników; ktokolwiek konsumuje je, płaci Sowietom bardzo duży zysk kupiecki – Sowiety trzymają się tutaj tych samych zasad, co kapitaliści, że towar luksusowy wytrzymuje największe marże. Efekt tego systemu był taki, że woźni uniwersyteccy chodzili bladzi z głodu. Czas pracy im przedłużono, a pensje płacono w rublach według bardzo niskiego szczebla. Nie wystarczała miesięczna pensja, ani na tydzień. Musieli więc wyzyskiwać wolne godziny na paskowanie. Paskował każdy, czym się dało. Robotnicy po dziesięciu godzinach pracy musieli nieraz siedzieć w fabryce godzinę lub dłużej, aby słuchać odczytów różnych politruków i oświatowych referentów. W fabryce „Czerwieny Lampowszczyk” zapowiedziano raz odczyt. Ponieważ na poprzedni referent nie przybył, więc tym razem nie chcieli czekać. Dopiero, kiedy się okazało, że wykładającym ma być okręgowy komisarz NKWD – musieli radzi nieradzi zostać po ukończeniu pracy. Odczyt był o Stanach Zjednoczonych. Ile mają powierzchni, ile ludności, jakie są główne miasta i rzeki, słowem geografia. Po dziesięciu minutach takiego odczytu, który był po prostu odpisany ze szkolnego podręcznika, komisarz zażądał od obecnych, aby się na ochotnika zgłaszali na wywiadowców policji. „Kiedy my nie mamy czasu, bo my musimy stać w ogonkach po pracy fabrycznej”. „To właśnie o to chodzi, byście nie stali, bo jeżeli wy wskażecie na spekulantów, to my ich zaaresztujemy, a wtedy nie będzie ogonków”. *Nota bene* „spekulanci” byli to przeważnie podmiejscy bandyci, którzy w porozumieniu z policją umieli, pomijając ogonki, wciskać się do sklepów z wódką i wykupywać ją masowo. Później odsprzedawali ją na ulicach ze stuprocentowym zyskiem. Innym razem wykład dotyczył aktualnych spraw; chodziło o wywożenie ludzi. Wywożono nie tylko burżujów, ale i robotników, zwłaszcza ze Śląska i w ogóle spoza linii demarkacyjnej, przybyłych do Lwowa. Politruk tłumaczył im, że czyni się to dla ochrony przed szpiegami. Opowiedział im przy tym całą historię, jak jeden lejtnant rosyjski ożenił się i potem przekonał się, że jego żona jest szpiegiem. Nasi robotnicy zaczęli mu zadawać pytania, „a czy ładna była, a czy młoda” itd. Politruk nie orientował się, że kpią z niego i serio odpowiadał na te pytania. Kpiono sobie z „czubaryków” wszędzie: na ulicy, w tramwaju, w sklepie. Oni czuli swoją niższość, wstydzieli się, ale mieli ukrytą w duszy satysfakcję; wiedzieli, co się dzieje w więzieniach, i wiedzieli, jaki los czeka setki tysięcy beztroskich tubylców. Czasem mówili otwarcie: „Wy nie wiecie, co to jest NKWD! Jak wy możecie mówić tak głośno o wszystkim!”

Moskale nie bronili słuchać radia. Chodziłem do mojego kuzyna Dyka i słuchałem u niego audycji z Paryża i Londynu. Kwaterujące tam żony oficerów sowieckich przechodziły nieraz przez pokój i nie gorszyły się tym wcale. Dosłuchałem się wreszcie w 1940 roku na wiosnę zajęcia Norwegii przez Niemców, a w czerwcu sam usłyszałem z Londynu wiadomość o poddaniu się Francji. Tej nocy nie spałem. Płakaliśmy oboje. Dla mnie upadek Francji oznaczał odsunięcie nadziei na wydostanie się z Sowietów na długie lata.

Codziennie rano budziłem się z przerażeniem, kiedy wracająca po śnie przytomność przypominała mi, że jestem w więzieniu. Czułem się więźniem i ze wstrętem patrzyłem na kompanie rosyjskie idące na ćwiczenia lub wracające naszą ulicą. Śpiewali. Nie ma chyba wojska, gdzie w batalionie idącym zwarec każda kompania śpiewa inną pieśń. Ta kakofonia, jak się wydaje, zupełnie im nie przeszkadzała. Wojsko było umundurowane nieźle i bezustannie musztrowane; niedaleko naszego domu odbywały się ćwiczenia, nieraz w zimie i przy dziesięciostopniowym mrozie, to znowu w skwarze południowym w lecie. Wymarsz odbywał się rano, czasem o trzeciej. Śpiewali, idąc pod stromą górę, nie troszcząc się o sen mieszkańców. ... „*Za nacju, za partiu, za Stalinom pajdiom*”. Byli uzbrojeni doskonale – przynajmniej o ile mogłem wnosić po liczbie karabinów maszynowych ręcznych i ciężkich w każdej kompanii. Armia ta zmieniała się w oczach, tak jak i cały system, który w ciągu blisko 22 miesięcy ich pobytu we Lwowie ulegał zmianie z miesiąca na miesiąc. A więc najpierw wprowadzono salutowanie; od tej chwili oficerowie przestali nosić dzieci na rękach. Potem wyszło rozporządzenie o jednolitej komendzie, które z komisarza politycznego przydzielonego do oddziału zrobiło coś podobnego do „oficera oświatowego”. Znaczna część tych politruków została oficerami liniowymi. Ale i w cywilnym sektorze następowały zmiany, nieraz tak szybko, że nasi entuzjaści nie mieli nawet czasu przestawić się na nową modę. Widziałem numer „Czerwonego Sztandaru”, w którym jakaś Żydówka wypisała artykuł wielbiący Sowiety za bezpłatną naukę uniwersytecką i wypominający „pańską Polskę” opłaty uniemożliwiające synom robotników i chłopów studia wyższe, a na drugiej stronie tejże gazety urzędowe rozporządzenie wprowadzające wysokie opłaty za studia – wysokie, bo uniemożliwiające dostęp do nich synowi robotnika. Uzasadnienie nowej ustawy było podane: dobrobyt robotnika i chłopca rosyjskiego wzrósł tak wysoko, że bezpłatna nauka jest już niepotrzebna.

A aresztowania trwały. Po sędziach i oficerach zabrano się do przywódców takich partii jak PPS, Piast, syjoniści itd., a potem do przywódców organizacji społecznych jak Czerwony Krzyż, TSL itd. Wyszło rozporządze-

nie o paszportyzacji i okazało się, że Sowietci wcale nie mają ochoty dawać pełnoprawnych paszportów uchodźcom, lecz tylko zaopatrzone w klauzulę „paragraf 11”*, który to paragraf odnosił się do wszelkiego rodzaju włóczęgów, ludzi bez zajęcia, byłych burżujów itd. Praktyczna konsekwencja była taka, że gmina mogła nie przyjąć meldunku od posiadacza paszportu z paragrafem jedenastym, a wtedy musiał on wędrować dalej. Było jasne, że taka wędrówka musiała się skończyć wywiezieniem na Syberię. Z drugiej strony większa część inteligencji nie tylko polskiej, ale i żydowskiej, przybyłej z zachodu, nie pragnęła wcale paszportu sowieckiego, obawiając się, że będzie on uważany za opcję na rzecz Sowietów i zamknie im raz na zawsze drogę powrotną do domu. Tym sposobem wytworzyła się paradoksalna sytuacja, że przed budynkiem, gdzie urzędowała niemiecka komisja udzielająca zezwoleń na powrót na tereny okupowane przez Niemcy, gromadziły się tysiące ludzi. Jeszcze raz pokazała się niedorzeczność twierdzeń głoszonych przez nasze „kurierki”, że Żyd i bolszewik to jedno. Tak jak w roku 1920 po traktacie ryskim kilkaset tysięcy Żydów, z których duża część nie umiała po polsku, wyemigrowała z Sowietów do Polski, korzystając ze stanowiska Władysława Grabskiego, który pojęcie obywatela polskiego określił dość szeroko, tak samo teraz tysiące było zdecydowanych wyjechać z Sowietów na zachód.

Ale już nadchodziły wiadomości o okrucieństwach, mordach, szykanach i poniżeniu, o getcie i innych ograniczeniach wprowadzanych przez Niemców bez pośpiechu, ale też i systematycznie. Niemcy fotografowali Żydów tłoczących się przed budynkiem komisji repatriacyjnej i umieszczali w swoich pismach ilustrowanych jako dowód, że opowiadania o okrucieństwach reżimu hitlerowskiego w Generalnej Guberni to angielska *Greuelpropaganda***. Między ubiegającymi się o powrót byli nieraz i komuniści, krawcy ze Zgierza i Pabianic, lewicowi literaci, dawni entuzjaści Sowietów. Ci jakoby, spotykając na ulicy sędziów, którzy swego czasu skazywali ich na kilkuletnie więzienie, wyrzucali im, że nie wysłali ich za karę do Rosji Sowieckiej i nie uleczyli radykalnie z komunizmu. „Tam (tzn. u Hitlera) grozi mi śmierć ciała, tu śmierć duszy” powiedział jeden z nich, udając się z powrotem do Warszawy, przez zieloną granicę.

Wytworzył się dziwny świat, pełen sprzeczności; Sowiety dały zatrudnienie wielu literatom i pisarzom polskim, każąc im pisać szkolne podręczniki historii, literatury, matematyki i fizyki; inni mieli zajęcie przy tym jako korektorzy, inni znowu jako archiwiści i bibliotekarze, albo kustosze muzeów. Liczba wydanych drukiem podręczników rosła szybko, jeśli chodzi o matematykę i fizykę były to rzeczywiście dobre podręczniki. Biblioteki i muzea ciągle przenoszono z budynku do budynku, bądź łącząc je ze

* Zabraniający meldowania się w odległości mniejszej niż 300 km od granicy.

** (Niem.) Propaganda panikarska, zastraszająca.

sobą, bądź dzieląc. Zmarnowało się przy tym wiele książek. Stosunek do archiwów, które podlegały NKWD, był o tyle ciekawy, że Sowieci interesowali się bardziej niezapisanymi kartami akt, niż zapisanymi. Z powodu braku papieru zniszczyli masę akt, używając stron czystych do pisania. Naturalnie większość aktów hipotecznych i sądowych, zupełnie ich nie interesujących, uległa zagładzie jako makulatura. Nie można twierdzić, że była to akcja planowa – raczej kompletna obojętność w stosunku do rzeczy dla nich niezrozumiałych. W związku literatów po „czystce” została Wasilewska, Borejsza, Szemplińska, Kosko, Rudnicki, Jastrun, Szenwald, Halina Fryde, Górską, Kurek, Parecki, Pasternak, Boruchowicz, Winawer, Ważyk, Kott, Przyboś, Putrament, Nacht, Gil, Wasylewski, Boy, Ginczanka. A ponadto literaci rusczy i żydowscy. Związek mieścił się w pałacu hrabiego Bielskiego przy ul. Kopernika. Naturalnie i tam odbyło się uroczyste przyjmowanie do *profspiłki*, przy czym każdy miał stanąć na cenzurowanym i odpowiadać publicznie na zarzuty. Cieszę, że mój zięć umiał wtedy zachować się należycie: na pytanie czy jest komunistą odpowiedział, że wyznaje katolicki pogląd na świat, więc nie jest komunistą, a politycznie jest bezpartyjny. Na drugie pytanie – jak się zapatruje na wywózki – odpowiedział, że ich nie rozumie. Pomimo to przyjęto go. Borejsza zajmował się Zakładem Ossolińskich, któremu powierzono wydawnictwo książek szkolnych. Muzeum zostało przydzielone do Kijowskiej Akademii. Akademia umieściła w witrynach fotografie przedstawiające grupy dzieci powieszonych na drzewach z napisem, że są to zdjęcia przedstawiające czyny panów polskich na Ukrainie Zachodniej; oczywiście bez podania daty i miejsca. Inne zdjęcie przedstawiało szarżę policji w Warszawie na bezbronny tłum robotniczy. Tym razem warszawiacy rozpoznali to zdjęcie: było to rozprawienie przez polską policję narodowo-radikalnej młodzieży urządzającej jakąś demonstrację antyżydowską, a więc akcja antyfaszystowska, a nie faszystowska. Akademia w Kijowie dawała firmę tym fałszom. W stosunku do niektórych postaci historycznych Sowiety zachowywały się pozytywnie. Pomnik Mickiewicza pozostał, pozostał Kiliński w Parku Stryjskim, ale w ogóle nie ruszano pomników. Król Sobieski, hetman Jabłonowski też ocaleli. Statua Matki Boskiej na placu Mariackim też została; raz widziałem jak na aureoli tej statui usiadło siedem białych gołębi i ludzie skupili się koło niej, uważając to za dobry omen.

Bezbożnictwo sowieckie jest swoistego rodzaju. Zdarzało się, że Sowieci stawali przed kościołem Matki Boskiej i pytał przechodniów: „czy ona mieszka tam na parterze, czy na piętrze?” Raz do klasztoru Notre Dame przyszedł na lekcję lotnik sowiecki i opowiadał dziewczynkom, że był już nieraz na wysokości 5000 metrów, a jednak Boga nie widział. Na to odpowiedziała mu jedna z dziewczynek: „Gdyby pan był spadł, byłby pan Go zobaczył”. Z początku był nacisk na propagandę bezbożnictwa, ale później zmalał. Dzieci szkolne nieraz demonstrowały z tego powodu

wtedy zajeżdżały tanki NKWD na podwórza szkolne i strzelały w powietrze.

Nienawiść do Sowieców, ale i strach przed nimi wzrósł po słynnej nocy św. Juliusza, 13 kwietnia 1940 roku, kiedy pierwszy raz odbyła się wywózka na niewidzianą dotąd skalę. W nocy zajeżdżały setki samochodów eskortowanych przez NKWD, żołnierze wchodziłi do mieszkań i według spisów zabierali ludzi, dawali im parę godzin czasu na spakowanie, a potem odstawiali na dworzec kolejowy, gdzie już czekało kilkaset wagonów towarowych. Transport nieraz czekał trzy dni na dworcu, zanim ruszył i wielu ludzi uciekało. W mroźne noce bywało, że dzieci marły na śmierć w nieopalanonych wagonach, zanim jeszcze pociąg opuścił Lwów. W tę noc z 12 na 13 kwietnia zabrano wielu moich znajomych i przyjaciół. Wśród nich wywieziono Stanisława Adamskiego z Jasią z żoną, córkami i wnuczką; to dlatego, że córki miały mężów oficerów, których zresztą we Lwowie nie było. Wywieziono ich do Kazachstanu i osadzono na stepie. Ale żyli i pisali listy, a także otrzymywali paczki i listy. Tak wywieziono setki rodzin ze Lwowa, tysiące z prowincji. Wywożono osadników wojskowych, chłopów polskich, którzy osiedlili się na rozparcelowanych obszarach dworskich, „gdyż – jak się ktoś wyraził – partia komunistyczna ma wiadomości, że byli oni szpiegami wywiadu polskiego”! Wywieziono wtedy przyjaciółkę Lidki, pannę Smalewską z matką, żoną oficera sanitarnego. Od nich też listy nadchodziły; mieszkaly wśród jakichś pierwotnych plemion w Kazachstanie, które czekały na śmierć wysiedleńców, żeby zabrać ich rzeczy. Nieraz zabijano dla rabunku wywiezionych, gdy odbywali kilkunastokilometrowe wyprawy z pakunkami z poczty. Wywieziono setki chłopów i robotników w okolice Morza Białego – z tych mało kto przeżywał tę emigrację. I od nich nadchodziły listy, pełne przerażenia, mroź, niesamowita zorza polarna i nędza znajdowały wyraz w listach, które mi czytał Przyboś. Wywieziono kupców żydowskich z ulicy Grodeckiej i Żółkiewskiej; wywieziono dziewczęta uliczne, a one, jadąc na platformach, śpiewały *Jeszcze Polska nie zginęła*. Wtedy poznaliśmy Sowiety, chociaż jeszcze niezupełnie. Z inteligencji lwowskiej zabrakło połowy. Wywieziono młodego Sierpińskiego, wywieziono adwokata N. Łomnickiego, który z narzeczoną usiłował uciec do Rumunii, i wielu, wielu innych. Zaczęto oglądać się za drogami ucieczki z tego kotła. Jedni szli na Węgry lub Rumunię, ale ta droga była już mocno obstawiona przez NKWD. Inni próbowali drogi na Litwę. Wielu przeszło i stamtąd nawet przy pomocy konsulatów amerykańskich na podstawie *affidavitów** przysyłanych przez rodziny w Stanach Zjednoczonych uzyskało legalny przejazd przez Japonię do Ameryki. Innych złapano na granicy i naturalnie wywieziono. Tak wywieziono m.in. młodego dr. J. Grünhuta z żoną, kuzyna mojej żony. Z

* (Ang.) Zaproszeń.

jasielskiej inteligencji żydowskiej większość została wywieziona: Karpf, Schochet, H. Kramer z żoną i wielu innych. Pomimo to bajecznie tym, że tych ludzi Sowieci faworyzowali, utrzymała się. Tymczasem wywożono ich w warunkach szczególnie okrutnych, jako szpiegów hitlerowskich. Niemcy byliby ich niechybnie zgładzili jako Żydów, a Polacy do końca opowiadali o nich jako o agentach bolszewickich. Wiele lwowskich adwokatów, sędziów i urzędników zmieniało dokumenty i mieszkania, utrzymywało się z pracy rąk, na budowie lub w fabrykach, tając pierwotny zawód. Z mojego sąsiedztwa wywieziono panią Tomczyką, z domu Petold, z dziećmi, jako żonę oficera rezerwy (sic!), ale jej mąż utrzymał się pod nazwiskiem Jastrzębiec, zapuściwszy brodę i przeniósłszy się na prowincję. Wielu jaślan, jak Dyk Schoenborn, Ignacy Weiss, Ludwik Oberländer, pracowało w kooperatywach, chemicznej, dezynfekcyjnej itd. Jeżeli uchodźca wykazał, że już przed 1 września 1939 był we Lwowie, wtedy uchodził za tubylca. Sprytniejsi umieli się o to postarać. Wuj mojej żony, pan Zielony, postanowił zmienić metrykę. Napisano mu piękny dokument, ja sam znalazłem stemple typu zgodnego z datą i postarałem się o bezbłędną łacinę, a także o właściwy kolor pieczętek. Pomimo to obawiał się, że NKWD pozna się na fałszerstwie. W końcu – po wielu ceregielach poszedł po paszport i na podstawie tej metryki paszport uzyskał – narodowością *Jewrej!* Sowieci nie odróżniali metryki katolickiej od żydowskiej! Wywieziono także wtedy i Irenę z Łomnickich Wachlowską, panią Aleksandrowiczową, aresztowano młodego Wertensteina, rodzinę Jaworskich itd. Ale od czasu do czasu pojawiali się zdecydowani chłopcy, którzy przechodzili z Warszawy do Lwowa przez zieloną granicę, a potem szli na Węgry. Niektórzy przeszli. Wtedy poznałem Kotta, brata stryjecznego mojego zięcia*. Był to młody chłopak, jeszcze nie 25-letni, który przed wojną wyjechał z domu w świat, wstąpił jako marynarz na okręt angielski, wyuczył się na sternika i z dyplomem zapisał się do szkoły handlowej, którą ukończył. Wrócił do domu z większą sumą pieniędzy niż zabrał wyjeżdżając. W Warszawie należał do konspiracji. Ujęto go, czekała go śmierć. Kiedy żołnierz prowadził go do ustępu i rozkuł mu jedną rękę, ten zobaczył, że okno jest otwarte i wyskoczył przez nie, spadając na głowę trzem żołnierzom. Akurat w tej chwili przed bramę więzienną wjeżdżał wóz z sianem, więzień więc osłonięty wybiegł na ulicę. Zanim żołnierze zrozumieli, co się stało, wskoczył do dorożki i umknął. Niemcy ogłosił nagrodę za ujęcie Kazika, ale on zdołał przejść na sowiecką stronę. Był to przystojny, spokojny chłopak, bez śladu nerwów. Naturalnie organizacja dostarczyła mu we Lwowie paszport sowiecki. Z Londynu mianowano go porucznikiem. Rodzina jego i narzeczona w Warszawie została aresztowana przez Niemców i rozstrzelana. Twierdził, że organizacja we Lwowie

* Kazimierz Kott był kuzynem, nie bratem stryjecznym Jana Kotta.

nie pracuje serio i postanowił wrócić do Warszawy. Rozstrzelano go przy przekraczaniu zielonej granicy.

..

Byłoby bardzo u nas smutno, gdyby nie to, że przychodzili do nas państwo Knastrowie, państwo Oberländerowie, wielu innych uchodźców, a także wielu literatów, którzy odwiedzali zięcia i Lidkę. Zięć mój miał co raz to inny zawód; był korektorem, tłumaczem, pombuchem*, archiwistą, bibliotekarzem i ostatnio miał zostać wolontariuszem przy katedrze romanistyki. W Sowietach łatwiej o wiele zawodów niż o jeden. Obserwując jego kolegów widziałem w nich dziwną zmianę. U jednych objawiło się to ostro, np. Ginczanka zerwała stosunki z Lidką przeszedłszy na komunizm. Przyboś nagle przestał mówić o pewnych sprawach, bladł i jękał się, gdy go o nie pytano. Widocznie jako redaktor „Widnokręgów”** musiał się bliżej zetknąć z NKWD. „Widnokreśli” było to pismo literackie, do którego redakcji należeli Przyboś, Boy-Zeleński, Usiejewiczowa w Moskwie i Wanda Wasilewska. Boy należał do tych, którzy postanowili przybrać barwę ochronną i udawać komunistów. Ale byli inni, jak Tadeusz Hollender, którzy nawet nie zapisali się do Związku Literatów, nie chcąc wyglądać się po sowiecku i pisać na rozkaz wierszy o koksagizie i o turkuciach podjadkach. Gil pisał felietony treści antyreligijnej, a najlepiej jeszcze wyszedł Nacht, który pozostał wierny wierszykom kabaretowym. Tadeusz Hollender był jedynym, który obliczał trwanie wojny na dłużej niż pięć lat. W ogóle młodzi ludzie orientowali się lepiej w tej sytuacji. Przychodził czasem też Zbyszek Oberländer, młody chłopak zajmujący się tkaniem kilimów na warsztacie pani Marii Bujakowej (z Łomnickich), który umiał słuchać wiadomości radiowych i rozumiał je doskonale. On też zapowiedział ojcu, że do okupacji niemieckiej nie wróci. Spośród moich znajomych powrócił do Jasła Janek Adamski, a pani Węgrzyńska skorzystała z tego, że urodziła się w Wiedniu w roku 1915 i jako „Niemka” wyjechała legalnie. Ale nie dojechała do Jasła, bo skierowano ją na roboty do Saksonii. Tam poznała jakiegoś Polaka, wyszła za niego i wyjechała do Szwajcarii. Jej brat usiłował przejść granicę koło Sanoka, ale spóźnił się o parę godzin, został aresztowany i wywieziony przez Sowiety. Prof. Jan Hirschler zrobił się *volksdeutchem* i wyjechał legalnie do Poznania. Tam jednak podobno Niemcy pokazali mu jego patriotyczne mowy drukowane w jakichś sprawozdaniach z uroczystości narodowych i położyli kres jego karierze; we Lwowie mówiono, że chciał koniecznie współpra-

* Pomocnikiem buchaltera – przyp. aut.

** Właściwie – „Nowych Widnokręgów” – miesięcznika społeczno-literackiego, organu Związku Pisarzy Radzieckich, założonego przez Wandę Wasilewską we Lwowie.

cować z Niemcami i uważano go za zdrajcę. To on właśnie przy mojej bilitacji kwestionował przynależność narodową moich dzieci, których dy jeszcze nie było na świecie.

Wyjechała też inna grupa za granicę: arystokracja, której wyrobił wyjazd hr. Schulenburg, poseł niemiecki w Moskwie. W tej grupie wyjechał prof. Ehrlich i pan Emil Bader z żoną; przeszła też granicę pani L. koronńska, docentka historii sztuki i pani Rzewuska, dawniej nauczyciel francuskiego mojej Lidki; zostawiła u mnie na przechowaniu kilkadziesiąt okazów bardzo pięknej porcelany. We Lwowie robiło się coraz przestraszniej. Po wywózce kwietniowej nastąpiła wywózka czerwcowa: nocy z 28 na 29 czerwca, głównie uchodźców, a więc Żydów. Tę wywózkę mogłem oglądać z bliska. W nocy zajechała kolumna aut na ulicę, wkrótce zadzwoniono do moich drzwi. Weszli dwaj żołnierze NKWD i zapytali o mojego zięcia. Mój zięć po długich tarapatkach otrzymał był po przedniego dnia pełny paszport i protestował ostro przeciw tej wizycie. *Tak wy macie paszport tak i wy zabierajcie się!* Oboje z żoną i córką staraliśmy się pomóc Jankowi w spakowaniu rzeczy, co nie było łatwe, bo żołnierze ciągle przeszkadzały nam bagnietem w przechodzeniu z pokoju do pokoju. Było widoczne, że boją się, że ich zamordujemy. Szukali pod poduszką Janka rewolweru. Jeden z nich wszedł do mojego pokoju i zaczął rewizję, mimo moich protestów. Nie zabrał pieniędzy ani zegarka, rewizję prowadził nieudolnie. Gorzej było, że w tym właśnie czasie nocowało u mnie na stryszku nad kuchnią pięć osób ukrywających się przed wywózką: wujostwo żony, wuj Zielony, nasza służąca i jeszcze jedna osoba, której nazwiska zapomniałem. Żołnierze zapuścili się do kuchni, ale nie znając się na budowie mieszkań, nie zorientowali się, że jest tam stryszek. Udzielali rad Jankowi, co ma zabrać, i żonie, co ma zapakować, nie zapominając o paście do zębów i szczoteczce – miało to być dowodem ich znajomości zachodniej cywilizacji. Gdy już wychodzili, zobaczyłem siostrzenicę moją – Mutę, mieszkającą na wyższym piętrze, która już spakowana schodziła z nimi. Jej siostry i szwagra nie ruszono. Jeszcze prędko dodaliśmy Mucie jakiś koc i całe towarzystwo udało się Kadecką w dół. Za kwadrans wraca Janek; pokazał oficerowi w szkole św. Magdaleny, gdzie wywożonych zabierano, paszport i ten zwolnił go natychmiast. Wiedząc, gdzie jest Muta, posłaliśmy dozorcę z dodatkowym bagażem, który otrzymała. Z jakiego dworca i kiedy wyjechała – nie mogliśmy się dowiedzieć. Ale po tygodniach przyszła od niej wiadomość, że jest pod Swierdłowskiem (dawny Perm) za Uralem. Kazano jej tam kosić i grabić siano. Do pracy szło się 8 km, więc 16 dziennie. Paczki dochodziły, choć nieraz trwało to dłużej niż miesiąc. Zdrowie jej dopisywało, znalazła towarzyszy, którzy się nią zaopekowali. Złamała rękę i dostała się do szpitala w Swierdłowsku. Był to wspólny szpital z urządzeniami, jakie mają tylko luksusowe sanatoria w Europie. Była tam kilka tygodni, wypoczęła, odkarmiła się i znowu wróci-

...acy, ale gdzie indziej. Wysyłanie paczek zostało utrudnione, bo kazano pocztę lwowskiej je przyjmować. Miało to na celu wstrzymanie wysyłki żywności ze Lwowa, miasta przeznaczonego na „pokazowisko”. Radziliśmy sobie, posyłając paczki przez „frachciarza” do Zdobu, skąd już wolno było wysyłać je dalej. Trzeba stwierdzić, że ogromna większość zesłańców otrzymywała paczki, oczywiście, o ile miał je kto wysłać. Również korespondencja dochodziła. Ale np. dr. Józef Grünhut, który był na zesłaniu karnym (oddzielony od żony), nie mógł się ani z nami porozumieć. Jego listy przychodziły do nas, ale on nie otrzymywał naszych odpowiedzi, a raczej przez nas nadawanych odpowiedzi rodziców. Ci ostatni bali się wprost z nim korespondować, żeby tożsamość nazwiska nie pociągnęła za sobą ich uwięzienia. Zdecydowali się w końcu przenieść do Truskawca, gdzie stary dr Bernard Grünhut otrzymał posadę lekarza „kurortnego”.

Do Truskawca przyjeżdżali na leczenie różni goście z Ukrainy, z Rosji i z dalszych stron. Jeden z nich, wykładowca leninizmu i marksizmu obżerał się, korzystając z obfitej diety i chorował z tego; twierdził, że polski personel pensjonatu chce go otruć. Pomimo to mieszkał tam dalej i obżerał się ciągle. W ogóle jeżdżenie do „kurortów” jest główną przyjemnością w Sowietach; od czasu do czasu jakiś robotnik czy „pombuch” dostaje komandirówkę do Teodozji czy też do Tyflisu i wtedy przez cztery tygodnie żyje bez NKWD, bez mityngów i bez obawy, że za spóźnienie się zostanie zesłany na pięć lat. Takie wyroki zesłania uchwała sąd ludowy złożony z robotników. Oskarżyciel stawia wniosek i zapytuje, kto się sprzeciwi. Ponieważ nikt nie ośmielił się sprzeciwić, więc kara pięcioletniego zesłania za 10 minut spóźnienia jest uchwalana jednomyślnie. Jedną z męczarni, którą znoszą robotnicy w Sowietach, i nie najmniejszą, jest właśnie to, że sami muszą uchylać kary na siebie, przedłużenia godzin pracy, przymusowe pożyczki itp. obciążenia. Nie umieją znaleźć tajemnicy tego tryku, którym za jednym zamachem pozbawiono ich cienia wolności. Jedną z znajomych mojego kuzyna, lekarka i komunistka, wybrała się w podróż do Rosji, przyjmując tam jakąś posadę. Wróciła w szoku nerwowym, przerażona tym, co ją spotkało. Bała się mówić. Tyłem się tylko dowiedzieli, że są tam wielkie fabryki, gdzie robotnicy mieszkają w fatalnych warunkach, że piją wodę z kałuży, chociaż wykopanie studni byłoby bardzo łatwe, i że ją, która jako lekarka fabryczna zażądała pewnych elementów ulepszeń higienicznych, NKWD tak nastraszyło, że popamięta to na całe życie. Wielu naszych komunistów przejrzało. Był między nimi też mój asystent pan Stark. Dla niego zawód ten oznaczał katastrofę psychiczną: zobaczył teraz, że tego, w co wierzył, nie ma.

We wszystkich urzędach, fabrykach i biurach agitowano wciąż za wstąpieniem do MOPR-u. MOPR oznacza Międzynarodową Organizację Pomocy Rewolucjonistom. Wobec przyjaźni z Niemcami, upadku Francji

i wobec tego, że w Anglii nie więziono komunistów, politycy i pocie, gdy ich pytano, co właściwie robi MOPR. Ale wynaleźli: MOPR stara się o uwolnienie Thälmana! Ponieważ rola szerszenia liczącego miliony członków i starającego się o uwolnienie Niemca, więzionego przez zaprzyjaźnionych faszystów, była dosyć cenna, MOPR na cichy rozkaz wyszedł z mody i przestano nas nagać. Udało mi się do kościoła uchronić przed tym zaszczytem, jak i przed daniem po ruską. Ale było wielu, którzy nie tylko należeli do MOPR, ale i chodzili do szkoły wieczorowej, gdzie profesorów uniwersyteckich uczono marksizmu-leninizmu.

Innym znowu natręctwem były tzw. „soc-zmahania”. Kazano po-
gólnym katedrom „wyzywać” inne do współzawodnictwa socjalistyc-
go. W tym celu wypisywało się program prac naukowych i społecznych,
które katedra i jej członkowie mieli wykonać w ciągu roku. Naturalnie
większość programu pozostawała na papierze – jasne, że nie można się
bowiażować do rozwiązania zagadnień naukowych. Potem nauczycielom
zarówno „soc-zmahania” jak i układać programy prac normalnych na
podstawie „zaoszczędzonych” prac, tzn. prac już dawniej wykonanych
ale nie ogłoszonych. Te wszystkie błazeństwa męczyły nas i zajmowały
dużo czasu. W fabrykach było nie inaczej. Opowiadano mi, jak do skrom-
nego inżyniera przyszedł kierownik i zażądał zrobienia wynalazku w ter-
minie do trzech miesięcy. Potem czas ten skrócił do sześciu tygodni i dze-
wił się bardzo, że inżynier nie chce zrobić wynalazku. Tajemnica w tym
że trzeba umieć sobie radzić: wystarczy skopiować mniej znany szczegół
jakiegoś czasopisma technicznego, a już ma się wynalazek. Nikt nie
sprawdza oryginalności, przeciwnie, w gazetach ogłasza się publiczną po-
chwałę i fotografię wynalazcy. Sowieci lubią przedmioty: ołówek koloro-
wy, pióro automatyczne, zegarek – oto, co ich fascynuje. W biurach nie
można zostawić ołówka na stole, bo go ukradną, toteż sklepy z *igruszkami*,
tzn. zabawkami, obok sklepów z żywnością były najliczniejsze. Sprze-
dawano w nich ordynarne zabawki z drzewa, bębenki, skrzypce dla dzieci,
trąbki itd. – sklepy te robiły wrażenie jarmarcznych, nie wielkomiejskich.
Rynek był pełen straganów, a nad nimi powiewały olbrzymie płótna
przedstawiające szczęście ludzi na Ukrainie Sowieckiej: hoże dziewoje i
młodzieńcy w strojach ludowych na tle krajobrazu płynącego mle-
kiem i miodem. Ta propaganda nie trafiała do przekonania naszego ludu,
który oceniał dobrobyt Sowieków według jakości bielizny krasnoarmiej-
ców i ich bab, a ta nie była imponująca.

Jedną z ulubionych zabawek Sowieców jest światło elektryczne. Fabryka „Czerwienij Lampowszczyk” dostarczyła zarządowi *oblasti* (czyli województwa) w N. żarówek za kilkadziesiąt tysięcy rubli i nie mogła się doprosić zapłaty. Trzeba wiedzieć, że w Sowietach wszystkie trudności handlu kapitalistycznego są znane – dyrektor fabryki stara się odwiec za-

Wtedy nie może związać końca z końcem – bank, w którym fabrykanto, często nie ma gotówki, bo w Rosji nie ma inflacji i budżet nie może być przekroczony – zresztą nie studiowałem przyczyn tych zjawisk – stwierdzam, że są one na porządku dziennym. Otóż urzędnik „Krasnienego Lampowszczyka” pojechał sam po odbiór zapłaty, wyczerpany przedtem telefoniczne i pisemne sposoby perswazji. Ale dygnitarz „Krasnienki” znowu odpowiedział: *zawtra* i rzecz zdawała się beznadziejna. Nagle nowa myśl przyszła dygnitarzowi do głowy: „Czy macie żarówki kolorowe? Mamy. Możemy dostarczyć różową i niebieską?”

A możecie mi dostarczyć różową i niebieską?

Mogc.

Może i przemaslowano dwie żaróweczki, wysłano i fabryka natychmiast otrzymała kilkadziesiąt tysięcy rubli!

Infantylnizm jest jedną z cech człowieka sowieckiego. Przeciętny oficer sowiecki nie zwraca uwagi na kobiety; przechodzi koło pięknych dziewcząt i wytwornych pań nie oglądając się za nimi. Są jak kastraci. Nie śmieją się nigdy pełnym śmiechem. W Rosji obowiązuje pruderia. Ci studenci, którzy swego czasu chcieli, żeby Senat usunął nieprzyzwoite reklamy z murów Lwowa, doczekali się swego. Sowiety nie znają takich reklam. Nie ma u nich operetki ani frywolnej komedii, nie ma malarstwa ani rzeźby, której by nie zaakceptował najwrażliwszy cenzor. Ale nie ma u nich też tragedii, tak jak nie ma jej w *Nowym wspaniałym świecie* Huxleya. Irena Wilde, o której wspomniałem, napisała powieść o sowieckim uczonym, który miał do wyboru ożenić się z ukochaną dziewczyną, albo pracować samotnie nad wynalazkiem, który miał zapewnić Sowietom decydujący postęp w dziedzinie produkcji (wojennej czy innej – nie pamiętam). Młodzieniec porzucił szczęście osobiste dla dobra ojczyzny. Otóż ta nieciekawca powieść spotkała się z ostrą krytyką. Recenzent zarzucił autorce, że nie zna życia sowieckiego, bo w ZSRR nie może być takiej kolizji, jak w krajach kapitalistycznych: każdy może być wynalazcą i żenić się przy tym, z kim zechce – rzecz jest zupełnie jasna. Młodzi wynalazcy są pod opieką państwa i mają środki nie tylko na pracę, ale i na założenie ogniska domowego; wszystko jest przewidziane i urządzone idealnie.

Zycie towarzyskie w Sowietach nie istnieje. Nie tylko nie ma na to czasu, ale nikt nie ma ochoty spotykać się z ludźmi, którzy mogą na niego zrobić donos na podstawie rozmowy towarzyskiej. Dr Kontny opowiadał mi, że pracował w jakimś archiwum, a potem na własne żądanie został przyjęty chyba do służby leśnej. Przyszedszy do biura zawiadomił swoich kolegów, że od jutra już nie będzie urzędował. Wtedy dwaj, którzy do-tychczas zachowywali się jak przyjaciele i koledzy, zaczęli w obecności Kontnego dyskuszję, czy należy na niego zrobić donos do prokuratora o samowolne opuszczenie pracy (co pociąga za sobą pięcioletnie zesłanie).

Sowiety dbały o to, by informować nas o bieżących zdarzeniach politycznych. Dla inteligencji były specjalne w tym celu odczyty tow. Trofimowa, bardzo umiejętnie opracowane, oczywiście przedstawiające oficjalną tezę. A raczej półoficjalne, bo oficjalna polityka głosiła przyjaźń z Niemcami, natomiast krasnoarmiejcy w rozmowach prywatnych zapowiadali marsz „na Germania”. Odczyty Trofimowa były czymś pośrednim. Mówiło się w nich, że Francja dlatego została pobita, że nie dopuściła komunistów do udziału w rządzie. Natomiast Anglia, która ich dopuściła, nie uległa – właśnie dlatego. De Gaulle to wielki francuski „patriot”! Grecja nie jest wojskowo słabsza od Włoch i zasługuje na pochwałę. Coraz widoczniejsze stawało się, że Rosja nie rezygnuje z żadnej pozycji; że przyczaita się i czeka na wyniszczenie się wzajemne potęg kapitalistycznych Europy. Ale widać było, że nie chce jeszcze na razie wojny z Niemcami. Transporty pszenicy i benzyny szły, a naszych kolejarzy, którzy je sabotowali masowo wywożono.

Urządzaliśmy się na dłuższy pobyt. Biurokracja sowiecka już weszła we wszystkie dziedziny. Już urzędników zmuszono do asekurowania się i do subskrybowania nadzwyczajnych pożyczek państwowych, co obniżało znacznie pensje. Trzeba było sobie radzić. Dzięki pomocy kol. Knastraka, który przetłumaczył tekst na język rosyjski i dokonał licznych poprawek w rycinach, uzyskałem umowę z „Gortechizdatem” na wydanie *Kalejdoskopu* po rosyjsku. Przy tym musiałem zmienić niektóre przykłady, np. wybory proporcjonalne na reprezentację proporcjonalną sportową. To dlatego, że w Rosji wybory proporcjonalne są nieznane, nie wolno więc w ogóle o nich mówić. W nowym wydaniu umieściłem twierdzenie o podziale na połowy dowolnych trzech obszarów przez jedno koło, które wtedy udowodniłem, a także trzy obrazki z fizyki. Nowe ryciny (m.in. rozwiązanie rozlewania wina przy pomocy trzech naczyń i kuli na bilardzie romboidalnym) narysowała mi pani Lesia Sierpińska. Z początkiem marca rękopis odszedł do Moskwy i zapłacono mi 60% honorarium. Tym samym miałem jedną pozycję programu pracy naukowej.

Formularze wypełnialiśmy ciągle – jak nie dla Uniwersytetu, to dla *profspilki*, jak nie dla niej, to dla Akademii. Ważną kwestią było zawsze co kto robił w latach rewolucji październikowej. Mój zięć odpowiadał, że miał trzy lata i nie ustosunkował się do tego zdarzenia jak należy, ale okazało się, że wiek nie gra tu roli. Drugim ważnym pytaniem było, czy ma się krewnych za granicą. Napisałem, że zagranicą w 1939 wyjechała za mnie. Wszelkie wyjazdy i przyjazdy są źle widziane w Rosji Sowieckiej. Przyjeżdżający jest uważany za szpiega, a wyjeżdżający za malkontenta lub szpiega. Zresztą tak było i w Rosji carskiej, chociaż nie w tym stopniu. Czytając pamiętniki markiza de Custine sprzed stu lat, o podróży po Rosji, zobaczyłem, ile z tych rzeczy, które nas uderzały jako obce – dziwiły, uderzały także tego podróżnika. Ludwik Oberländer, który znał Wykład

literatury słowiańskiej Mickiewicza, znajdował w nich potwierdzenie tej tezy. To nie komunizm, to rosyjskość była nam obca. Zresztą oficjalnie kraj sowiecki nie jest komunistyczny, lecz socjalistyczny. Różnica jest dosyć mętna. „Obecnie każdy otrzymuje według swej pracy, później otrzyma według swych potrzeb”, to jest oficjalne sformułowanie różnicy między socjalizmem obecnym a przyszłym komunizmem.

Inaczej niż ja zapatrywali się na to młodzi. Na przykład mój zięć uważał, że Europa środkowa, a tym bardziej wschodnia, ma tylko wybór między Rosją a Niemcami. Nikt inny nie ma siły ani ochoty angażować się naprawdę w sprawy takich narodów jak Polacy. Anglia jako głowa imperium zamorskiego może pomóc jednej lub drugiej stronie, ale nie ma wcale zamiaru ani też możliwości zmuszenia swoich obywateli do totalnego wysiłku dla narzucenia swojego systemu politycznego i społecznego kontynentowi. Dlatego nie mamy wyboru: jeżeli odrzucimy hitleryzm, pozostaje tylko ZSRR.

Do najbardziej wychwalanych przez reżim profesorów należał Parnas. W jego instytucie pracowało kilkunastu pracowników naukowych, obok kilku pomocniczych. Dawano na to pieniądze hojną ręką. Zapraszano go do Kijowa, do Charkowa i do Moskwy. Ja też parokrotnie byłem wzywany do Kijowa na posiedzenie Akademii, ale zawsze udawało mi się wymówić złym stanem zdrowia. Podróż trwała kilkanaście godzin, czego nie znoś, a oprócz tego widok współpasażerów i dźwięk ich mowy był mi nienawistny. Inni jeździli. Czasem mimo oficjalnego zaproszenia nikt nie pojechał, bo urzędnik *spec-oddziału* przy uniwersytecie nie zdążył na czas uzyskać *komandirowki*, tzn. delegacji, bez których nie można było kupić biletów. Prof. Parnas opowiadał mi, że w Charkowie zwiedzał instytut rentgenologiczny i zaczął do profesora w te słowa: „U nas jest taki człowiek”... na co tamten dokończył... „prof. Steinhaus, który umożliwia zobaczenie przedmiotów ukrytych”. Ale to pochlebstwo nie zmieniło mojego zdania. Pan Ziemiński był zatrudniony w przychodni przeciwgruźliczej i chcąc mi się przysłużyć podał mnie, jako znawcę statystyki, docentowi kijowskiemu Pluszczowi, który kierował tą przychodnią, żebym mu poradził, jak ma sporządzać statystyczne wykazy. Przy tej sposobności lekarze nasi tam zajęci postawili mi parę pytań zupełnie sensownych, których nie rozwiązałem, bo dotyczyły spraw mi obcych (jak pneumothorax), zaś Pluszcz zasiadł ze mną w gabinecie urządzonym higienicznie i wesoło polakierowanym i odegrał ze mną scenę pt. „słynny badacz zasięga porady eksperta matematycznego”. Brak było tylko fotografa. Nie postawił żadnego konkretnego pytania, kazał mi wypłacić za to sto rubli i w księdze czynności z pewnością było zanotowane, że „od 10.00 do 12.00 kierownik poradni miał naukową konferencję z prof. Steinhausem”. Bolszewicy połowę swego czasu tracą na takie komedie. Fotograf też czasem przychodzi. Raz np. po wykładzie przyszedł taki pan z aparaturą z „Wilnej Ukrainy”, żeby od-

fotografować „konsultację” moją ze słuchaczką. Powiedziałem mu, że konsultacja matematyczna nie da się odfotografować. To go nie odstraszyło i zażądał, abym się upozował. Na to powiedziałem mu, żeby sobie fotografował, jeżeli chce, ale ja nie będę mu pozować. No i w „Wilnej Ukrainie” ukazała się fotografia, na której widać pannę B. i tablicę, ale chyba nikt nie poznał. Przy tej sposobności dziennikarz zapytał mnie, czy się pisze moje nazwisko. Dałem mu bilet wizytowy. On jednak chciał wiedzieć jak się pisze po rusku. Odpowiedziałem mu, że nie wiem, i że tłumaczenie jest jego rzeczą. Nie mógł biedak zrozumieć, że pismo łacińskie nam wystarcza. Wielu z tych dzikusów myślało, że my piszemy „polskie literami”. Bardzo mnie i Saksowi miano za złe, że podpisujemy kureńskim pismem. Student z Kijowa zobaczywszy angielską książkę u naszego studenta, zapytał po czym poznaje, że to angielska książka, skoro jest po polsku drukowana! Na każdym kroku miało się z nimi takie zabawy. Było cenzury, bo każda gazeta ma w redakcji więcej cenzorów niż w biurach pracowników. Artykuły są podpisane. Korektę robią starannie. Za porzucenie nazwiska Stalin, Lenin lub Mołotow z wiersza do wiersza mogło się dostać na Sybir. Na dane z góry hasło wszystkie gazety piszą o szkole wojskowej, turkucia podjadka lub też przypominają, że już czas orać. To przypominanie jest charakterystyczne, widać z niego, że w gospodarce socjalistycznej trzeba przypominać to, o czym żaden rolnik indywidualny nie powinien zapomnieć. Nie ma w prasie ani porządnej popularyzacji wiedzy, ani artykułów literackich na jakimś poziomie. Natomiast umowy międzynarodowe zawierane przez ZSRR są w każdej gazecie i to szczegółowo podane. Umowa z Japonią o dzierżawę terenów rybołówstwieckich na Pacyfiku, podana z numerami parcel i dokładnym rozliczeniem czynszu. Kościuszko i Mickiewicz są uważani za „swoich”, ale Piotr Wielki i Suworow nie. Gdy się pisze o Mickiewiczu, to należy zawsze wspominać Puszkina. Dodatek różnych innych poetów takiej klasy jak Lesia Ukrainka, współczesny poeta kazachski, Dzambuł, staruszek, blisko stuletni, przewierszki dosyć naiwne. Trzeba ich wszystkich w „Dzambuł” chwalić, aby było jasne, że narodowość nie gra roli i że poeci tworzą zgraną całość, coś w rodzaju orkiestry grającej *Międzynarodówkę* do rosyjskiego tekstu. Urządzono raz wieczór ku czci Mickiewicza, a ponieważ nie mieliśmy to nasi literaci, nasi reżyserzy i nasi aktorzy, więc wypadło to naprawdę doskonale. Ale Sowiety nie rozumieją takich rzeczy, a czego nie rozumieją, tego nie lubią.

Już zbliżało się lato, kiedy dowiedziałem się, że w Towarzystwie Lekarskim będzie odczyt dra Flecka o leukocytach. Poszedłem na ten odczyt. Od czasu wejścia Sowieków nie miałem sposobności ani ochoty zetknąć się z biologami, przyzwyczajony do tego, że prawdziwa praca wisi na powietrzu. Ale tu było inaczej. Dr Fleck dostał się do instytutu Gröera i przeżył tam jego entuzjazmem. Fakt, że leukocyty tworzą komplety statystyczne

...nasunął mi myśl, że tworzą one substancje, które inaczej reagują na różne rodzaje leukocytów, inaczej na inny. Stąd powstał pomysł tworzenia mieszanek działających odmiennie na różne gatunki. W końcu dr Fleck wyprodukował takie surowice, które np. niszczą limfocyty, nie szkodząc przy tym monocytom. Byłem u niego w Instytucie Higieny i sam widziałem pod mikroskopem to działanie. Stąd już niedaleka droga do sztucznego składu biologicznego krwi, a nawet do leczenia chorób polegających na zaburzeniu tego składu.

Pamiętam, że była sobota, 21 czerwca, kiedy w południe wyszedłem z Instytutu Higieny i myślałem o tym, co usłyszałem. Leżałem na Wólce, na Górskich, i martwiłem się słowami Flecka, że sytuacja wojenna jest w Lwowie przewlekłą *sepsis*. Prof. Tarnawski powiedział mi, że Żydzi nie chcą wchodzić w wojnę rosyjsko-niemiecką. Odpowiedziałem mu, że to raczej nie zależy od Żydów, bo Żydzi są złymi politykami. Mój kuzyn Dyk był u niego i oświadczył, że Hitler postawił Rosji 48-godzinne ultimatum. Były ogłoszono o ustawianiu się baterii przeciwlotniczych koło Lwowa z rozkazem strzelania do aeroplanów niemieckich.

Tu muszę opisać historię, jaka się zdarzyła jednemu z lekarzy lwowskich wiosną 1941 roku. Sowiety szczyli się służbą sanitarną. Urządzili w Lwowie pogotowie, które miało do dyspozycji aeroplan dla niesienia pomocy lekarskiej w nagłych wypadkach. Raz spod Jaworowa zatelefono- wano, że wieśniaczka potrzebuje pomocy ginekologa. Lekarzowi dyżurnemu kazano natychmiast jechać na lotnisko, jak stał, w tenisowych spodniach. Lotnik pożyczył mu po drodze własnej kurtki skórzanej, żeby nie zmarznął. Ale aeroplan zablądził, krążył nad niemiecką strefą, a w końcu wylądował na łące o milę od wsi. Lotnik odebrał kurtkę i odleciał, a lekarz brnął w białych spodniach przez błoto; kiedy dotarł do pacjentki w nieprzydatnym stanie, ta zobaczywszy cudaka nie dała się operować. Lekarz wrócił wieczorem do Lwowa. Za parę dni wezwano go do NKWD i zapytano, w jakim celu leciał aeroplanem nad niemieckim terytorium, dlaczego zrzucał kartki i co było na nich napisane. Już po kilku godzinach przesłuchania NKWD zrozumiało, co się stało, i lekko upomniawszy lekarza wypuściło go. Tak wygląda sowiecka pomoc w nagłych wypadkach.

Wracam do pamiętnej soboty. O godzinie trzeciej nad ranem, w niedzielę, obudził mnie szum licznych aeroplanów. Wyjrzałem przez okno; było różowe od brzasku, upstrzone chmurkami białych dymów, które co chwila gdzieś indziej wytryskały; były to wybuchy szrapneli przeciwlotniczych. Na ulicy zobaczyłem oddział piechoty biegnącej w ordynaryjnych mundurach. Nie śpiewali. Przekonało mnie to, że wybuchła wojna. Obudziłem się. Nie wątpiliśmy ani na chwilę, że Niemcy wezmą Lwów. Rano przyjechała gazeta, w niej ani słowa przewidywania, tylko długi artykuł, „jak spędzić niedzielę za miastem” wyliczający różne rozrywki niedzielne, które

troskliwa władza sowiecka urządziła dla proletariatu. (Były to naturalnie kąpieliska, parki i laski istniejące od wielu lat). Mielśmy teraz dosyć czasu, żeby się zastanowić nad okresem dwudziestu dwóch minionych miesięcy, tym bardziej że trzeba było co chwila zbiegać do schronu i siedzieć tam po kilka godzin.

Wojna zaczęła się trzy godziny przed wypowiedzeniem, które poseł niemiecki doręczył Mołotowowi dopiero o szóstej rano. W tym wypowiedzeniu było ciekawe, że ani Niemcy nie podały swoich żądań do wiadomości prasy, ani też Rosja nie przyznała się, czego od niej żądano. Strony walczące utrzymywały tajemniczy ton przed własnymi obywatelami; ostatnie przedwojenne numery gazet sowieckich wyraźnie drwiły ze Stafforda Crippsa, przypisując mu „plotki” rozpowszechniane z Londynu o jakimś zatargu niemiecko-sowieckim, którego nie ma. Wiadomości o lądowaniu wojsk niemieckich w Finlandii podano bez komentarzy. Ale teraz beczka pękła. Zaczęto wypisywać straszliwe inwektywy na Hitlera. Nagle okazało się, że to on napadł na Polskę. Wzywano Polaków, by ochotniczo wstępowali do wojska. Polacy przestali być podejrzani. Na ulicy zatrzymywano przechodniów i aresztowano tych, którzy mieli w paszporcie „Ukrainiec”. Miało to swoją podstawę, bo bojówki ukraińskie strzelały do oddziałów wojska sowieckiego. Sowietci reagowali w ten sposób, że bezustannie objeżdżali ulice tankami, a wojsko w różnych punktach strzelało w górę, w powietrze. Do tego przyłączyło się bombardowanie niemieckie co parę godzin. Teraz okazała się nieszczerłość tego, co głosili Sowietci, że Ukraina Zachodnia jest integralną częścią Rzeczypospolitej ukraińskiej, a my, tj. Polacy, Żydzi etc. jesteśmy takimi samymi obywatelami sowieckimi jak oni, nasi goście. Nieszczerłość okazała się w tym, że NKWD natychmiast zorganizowało wywożenie z miasta wszystkich kobiet i dzieci swoich komandirów, urzędników i profesorów, nie myśląc wcale o ludności cywilnej. Zaproponowali też wyjazd kilku naszym profesorom, lecz z tej propozycji skorzystał tylko prof. Parnas. W ostatniej chwili prof. Chwistek znalazł sobie miejsce na jakimś sowieckim aucie ciężarowym. Wielu postanowiło wyruszyć z miasta piechotą, zwłaszcza Żydzi. Koleżanka mojej córki, Joanna Guze wyszła z domu w letnim płaszczyku, bez walizki i poszła z wojskiem sowieckim. Prof. Gładyński wyjechał autem i został po drodze zabity, nie wiadomo przez kogo. Zginąć można było na wiele sposobów: od bomb niemieckich, od artylerii, od kul Ukraińców, którzy mordowali uciekających Żydów i komunistów, i od kul oficerów sowieckich, którzy strzelali do uchodźców, uważając ich za dezerterskich uchylających się od powinności wojskowej. Wanda Wasilewska na posiedzeniu Klubu Literatów wygłosiła płomienne wezwanie do pozostania, gdyż Lwów będzie bronił, a potem wyjechała autem. Szemplińska wyjechała motocyklem; z nią zdaje się pojechał Józef Nacht. Przed domami stały zapłakane kobiety sowieckie z dziećmi, czekając godzinami na auta ciężarowe. Ale

to było zorganizowane dobrze, bo po każdą w końcu auto przyjechało. Jeźdźcy na odkrytych platformach z dziećmi na rękach, wioząc ze sobą małe tłumaczki i trochę zapasów w wiadrach, tak jak przyjechały. Wspaniałości burżuazyjnego Lwowa zostać musiały w mieszkaniach, które zamykano urzędowo, niby, że jeszcze wrócą. Ludność nasza miała satysfakcję z tego wywożenia wywożących. Wojsko zachowywało się spokojnie. Odwrót odbywał się bez hałasu, bez pośpiechu, bez zatorów, bez nieładu. Po raz pierwszy zrozumieliśmy, że niezupełnie trafnie oceniliśmy ich gotowość bojową. Aeroplany niemieckie bombardowały miasto bez wielkich przeszkód; wprawdzie artyleria przeciwlotnicza była bardzo liczna, ale skuteczność jej ograniczona. Pan Jan Dobrzański widział raz zestrzelenie trzech samolotów przez jedną baterię. Zestrzelenia zdarzały się codziennie, ale baterie powoli usuwały się z miasta i było ich coraz mniej. W 10 minut po każdym nalocie zjawiały się myśliwce rosyjskie i oblatywały miasto dookoła; było to trochę humorystyczne. Wkrótce dołączyła się gra artylerii. Niemieckie działa biły z daleka na roгатkę rosyjską i na rosyjskie pozycje na Wólce; raz granat upadł koło naszego ogrodu, a raz na ulicę; kierunek ul. Kadeckiej równoległy do linii strzału, jednak trochę skośny, chronił nas od ognia. Raz znalazłem się w południe na Łyczakowskiej, gdy nadleciały 24 bombowce. Tłum ludzi uciekał do schronów; znalazłem się w piwnicy starego domu przy Łyczakowskiej. Nigdy nie przypuszczałem, że te domy mają takie rozległe i głębokie piwnice – widocznie musiały tam swego czasu znajdować się potężne składy towarów.

Migawki pamięci

Przed wojną siedząc w Parku Stryjskim na ławce, widziałem rój latających bezładnie drobnych muszek; nagle muszki przerzuciły się o 10 metrów na prawo i zaczęły latać parami; potem wróciły na stare miejsce i znowu latały bezładnie. Powtarzało się to co minutę. Patrząc dokładniej zobaczyłem przy przelocie z miejsca na miejsce jakby sznurki składające się z paciorków, raczej jasnych punkcików. Punkciki te były mniej więcej w odstępach 1 cm od siebie. Szybkość przelotu dała się ocenić na chyba co najmniej 60 km na godzinę; było widoczne, że punkciki są po prostu miejscami, gdzie podniesienie skrzydełka oświeca z boku słońce. Stąd wynika w przybliżeniu częstotliwość bicia skrzydełkami, bo $60 \text{ km/godz} : 1 \text{ cm} = 6000000/\text{godz} = 6000000 : 3600 \text{ sek} = 1660 \text{ uderzeń na sekundę}$. W każdym razie bicie to ma częstotliwość większą niż 1000 na sekundę, co się da stwierdzić bez instrumentu.

Pan Alter, który był urzędnikiem firmy Philips, opowiadał mi, jak firma ta urządziła uroczystość otwarcia Zakładów Philipsa w Warszawie. Szef jego polecił mu udać się do kancelarii cywilnej prezydenta Rzeczypospolitej i omówić tam szczegóły udziału pana prezydenta w tej uroczystości. Zatelefonował po prostu do kancelarii i zapowiedział przybycie urzędnika, kazał mu zapewnić udział szwadronu przybocznego i orkiestry koncertowej „fanfarzystów o srebrnych trąbach”. Pan Alter był bardzo zdziwiony, jak gładko i dokładnie wykonano zlecenie firmy Philips na Zamku, a nie inaczej było z episkopatem, który też był zaproszony.

Pan Olczak był w Charkowie za bolszewików, gdzie odwiedzał geodetów rosyjskich. Był u jednego z nich na kolacji; podano tylko surowe ziemniaki zielone, potem czerwone i herbatę; masła nie było.

Wkrótce po wojnie, w 1920 roku była we Lwowie sprawa Dietricha Soloneńki. Jeden z nich był maszynistą kolejowym, drugi jakimś rzemieślnikiem. Otrzymali oni bombę z Rosji dla podłożenia pod tor kolejowy. Ten, który miał to zrobić, zaniósł bombę na policję. Tam jednak bomba nie przyjęto, lecz kazano ją podłożyć. Zaraz po podłożeniu policja przyjechała na miejsce ze specjalistą, który bombę rozbroił, aresztowano obojga zamachowców, jednak ten, który bombę podłożył, był na rozprawie świadkiem, zaś ten, który dał bombę, został skazany na śmierć. Policja zapytana przez sędziego, dlaczego kazał podłożyć bombę, nie dała odpowiedzi! Ta typowa prowokacja pod patronatem prokuratury i policji, która zaaranżowała zamach, zamiast mu zapobiec, nie spotkała się z niczym innym, jak z właściwą oceną. Haniebna historia.

Stalin wierzy w konwencjonalizm. Dla niego cała kultura burżuazji, jej humanistyczna tradycja, jej formy zewnętrzne, jej snobizm, jej praca, jej poezja – są wynikiem umowy. Umowa jest narzucona przez interesujących. Wobec tego postanowił stworzyć inną konwencję. Już nie interes, ale przymus tworzy tę inną umowę. Ścisła cenzura, unifikacja, cenzura, kontrola pisarzy i uczonych, przerwanie stosunków z zagranicą, ciągła i natrętna propaganda – oto środki do stworzenia nowej konwencji. Działanie nie ogranicza się do teraźniejszości; zmienia się historia, jutro zmieni się geografę, a pojutrze matematykę. Już dziś nie wolno mówić o genach, o dużej teorii względności, potępione są matryce Schrödingera i wszelkie „siły odśrodkowe”. Ale także i konsekwentny mat

izm jest na indeksie. W tym ustroju respekt dla uczonych jest obłudny; jest to co najwyżej szanowanie maszyny drogiej i kunsztownej, a wiadomo, jak źle obchodzą się w Sowietach z maszynami. Sowietci lubią wyraz „spec”; najgorsze, że i naszej inteligencji spodobał się ten wyraz gwarantujący jej w socjalistycznym ustroju rolę kwalifikowanych rzemieślników. Stworzenie poglądu na świat, właściwa rola uczonych, to zadanie zakazane w Sowietach. Toteż nie tylko filozof, ale i literat, poeta, i uczony nie utrzyma się długo. Nie tylko Majakowski popełnił samobójstwo, ale zaginęli słuch po wielu, wielu powieściopisarzach, uczonych, reżyserach filmowych, którzy zginęli w wielkiej czystce w roku 1937, albo sami się usunęli z życia. Znakomitych zdolności matematyk Schnirrelman popełnił samobójstwo, Szolochow nie pisze, Aleksy Tołstoj podróżuje w towarzystwie szpicla, któremu nie wolno opuszczać osoby pisarza ani na chwilę, malarzy nie ma, bo ktoś by chciał malować według socjalistycznych nakazów; muzyka jeszcze jest, ale idzie w kierunku wirtuozostwa. „Inteligencja” socjalistyczna jest czymś zupełnie odmiennym od naszej. Ci lekarze, inżynierowie i nauczyciele, o ile należą do partii – pomagają w nocy przy wywożeniu ludzi. Poczucie honoru, odpowiedzialności i „fasonu” nie istnieje; wyznaczono ich mówić i działać na rozkaz. Kradzież w Sowietach jest drobną przewiną – jeżeli chodzi o własność prywatną, obraza czci też się nie liczy. Od czasu do czasu odbywa się popis tresury: nagle wchodzi rozkaz mówienia zupełnie przeciwnie, niż wczoraj. W roku 1941 ukazało się przemówienie Malenkowa, członka KC partii. W przemówieniu tym Malenkov piętnował marnotrawstwo, niedołęstwo, bezmyślność gospodarki w Związku podając dziesiątki konkretnych przykładów. Drwił z tych dyrektorów, którzy szczytą się swym „soc-pochodzeniem” i nie pozwalają na zwalnianie zdolnych pracowników, których rodzice należeli do burżuazji. To przemówienie, oczywiście podyktowane przez Stalina, stało się obowiązkiem. Wygłaszano o nim referaty na posiedzeniach komitetów wszelkiego typu i rangi, i wszędzie stosowano „krytykę i samokrytykę” w stylu i sposobie Malenkowa. Nic by nie było w tym dziwnego, gdyby było, że nieszczęśliwi dyrektorzy, nagle wyrzuceni z posad, aresztowani i wywiezieni, siedzieli dotychczas wygodnie i spokojnie na posadach, i nikt by ich nie widział, że na podwórzach ich fabryk rdzewieją pod śniegiem tury traktorów, że w magazynach leżą bezużytecznie tony metalu, choć znajdujący się w pobliżu zakład poszukuje ich od wielu miesięcy itd. Już przed przemówieniem Malenkowa obowiązywał optymizm i nikomu nie było wolno widzieć tych skandali; kto by je zobaczył, sam powędrował prędko do więzienia. Nagle zatrąbiono na odwrót i z tą chwilą wyjechały tysiące małych Malenkowów z każdego kąta i dalej krytykować i potępiać. Czasem można znaleźć podobną historię i na mniejszą skalę w latach codziennych. Oto raz doniosła prasa o licznych wyrokach, baranach surowych, przeciw sekretarzom, członkom, współpracownikom itd.

Akademii Kijowskiej za to, że ta grupa kilkunastu osób od paru lat denuncjowała dyrektorów instytutów, współpracowników i urzędników Akademii, pomawiając ich o sabotaż, kontrrewolucję i trockizm. Gazety podały nazwiska tych oczernionych nieszczęśliwców, którzy swego czasu zostali skazani na śmierć lub wygnanie, albo więzienie, a teraz zostali wybieleni oficjalnie, a ich oskarżyciele powędrowali do więzień. Takie jest życie inteligencji sowieckiej.

W ostatnim „ruskim” tygodniu, tzn. w dniach 22-29 czerwca 1941 roku Sowietci zarządzili mobilizację. Z Polaków nikt się nie zgłosił, ale ze wszech stron przyprowadzano codziennie setki rekrutów. Gdy jedna z takich grup się rozbiegła na skutek bombardowania, trzech schroniło się do bramy domu przy ul. Kadeckiej 14. Wdałem się z nimi w rozmowę; byli to ruscy chłopcy, jeden z nich był „badaczem Pisma Świętego”. Poradziłem im, by parę godzin przeczekali w bramie, a potem, zamiast iść do Szkoły Kadeckiej, poszli w przeciwną stronę i lasami do domu. Powiedzieli, że boją się chłopów po drodze. „Jak to, wy Rusini i Rusinów się boicie?” Na to badacz: „Powiedzione jest, że po tej wojnie zdziwi się człowiek, gdy napotka drugiego człowieka”. W końcu nabrali zaufania do moich rad, a gdy odchodzili badacz powiedział: „błogosławieństwo temu domowi i jego mieszkańcom”. Było to wszystko pełne naiwnej wiary i zrobiło na mnie wrażenie.

Zdarzały się inne rzeczy w bramach domów. Obrona przeciwlotnicza wymagała dyżurów w bramie, a Sowietci znowu podejrzewali, że stojący w bramach są strzelającymi do nich dywersantami. Gdy młody Skarżewski stał w bramie, wszedł żołnierz i zażądał paszportu; ten nie miał go przy sobie i odwrócił się, żeby go przynieść, a żołnierz strzelił mu z tyłu w głowę. Tak zginął jeden z młodych adeptów matematyki; inny znów Rusin zginął od bomby na rogu ulic Słowackiego i Sykstuskiej.

Niedziela 29 czerwca 1941 była dniem bezkrólewia, a więc jeden z najswobodniejszych dni tej wojny. Przyszedł do mnie dr Kontny i poszedł do Parku Stryjskiego przez Cmentarz Stryjski. Dr Kontny fotografował ciekawsze rzeczy: na rogu tłum ludzi wyłamał drzwi kiosku i rabował ciasteczki, sok malinowy i flaszki z lemoniadą. Tak było w całym mieście. Sowietci podpalili kilka większych kamienic na Włach Hetmańskich, na rogu ulicy Kopernika, a tłum rabował sklepy. Widać było, że ci ludzie przez całą wojnę mieli jedną myśl ukrytą, ale stałą, i że gdy nagle spadła jarzmo sowieckie, nie wahali się co mają robić. W naszej dzielnicy główną atrakcją była Szkoła Kadecka, gdzie Sowietci zostawili kasarniane zapasy mąki, ryżu, kawy itd. Nasi mieszkańcy suteryn już od rana nosili stamtąd workami wszystko, co się dało unieść. Patrole niemieckie podobno wdziano już po przeciwnej stronie miasta, ale od naszej strony motocykle zajechały dopiero w poniedziałek.

Pewnego razu przyszedł do nas rano młody żołnierz NKWD i zapytał o mnie. Nie było mnie w domu; zapowiedział, że przyjdzie o siódmej wieczorem; nie chciał absolutnie powiedzieć w jakiej sprawie i wszyscy myśleliśmy, że mnie aresztuje. Już poczyniliśmy odpowiednie przygotowania, usuwając pewne rzeczy do znajomych. W końcu przyszedł i zaczął wypytawać mnie o pana A. Łukawskiego, podpułkownika w rezerwie, który mieszkał nad nami i został aresztowany przez Sowietów w grudniu 1939 roku. NKWDzista miał akta tej sprawy przy sobie i przesłuchiwał mnie na temat przekonań politycznych pułkownika, zwłaszcza jego stosunku do rewolucji październikowej. Powiedziałem im:

— Pan Łukawski był austriackim oficerem, potem został polskim oficerem, a teraz gdybyście chcieli, zostałby sowieckim oficerem.

— Rozumiem – odpowiedział młodzieniec – *on profesjonalist*.

I tak było, bo pułkownik Łukawski był zniemczony, potem był osadnikiem polskim i nawet stał na czele jakiegoś związku osadników, a po przyjeździe Sowietów powiesił portret Lenina u siebie na miejscu Rydza i towarzyszy. Żona jego uniknęła wywiezienia przez to, że siebie i syna zgłosiła do komisji niemieckiej jako *Volksdeutsche* i wyjechała do Wiednia. Zapewne stamtąd robiła starania o wypuszczenie męża i dlatego tak szczegółowo badano tę sprawę.

Druga okupacja

30 czerwca Niemcy wkroczyli do Lwowa. Postali na czele oddział ukraińskich ochotników, który obszedł miasto ze śpiewem; było ich bardzo niewiele, mniej niż batalion. Naturalnie ogłoszono zaraz godzinę policyjną i już pierwszego dnia wieczorem mogłem słyszeć ciężki krok dwójki w żelaznych hełmach patrolującej w świetle księżyca wymarłą ulicę Kadecką. Godzinę policyjną brali serio, strzelali do osób chodzących po dziewiątej i przyczepiali trupom karteczkę z napisem: 9¹⁰, 9²⁵, itd. Ukraińcy ogłosili żółtym plakatem uwolnienie Ukrainy i zapowiedzieli oczyszczenie jej od „obcych”, nie tłumacząc wcale, kogo mają na myśli. Podpisany był Bandera, ale nie powoływał się na Niemców, a oni też ignorowali ten plakat. Na uniwersytecie można było zaraz zobaczyć grupę młojców, którzy rozbijali posągi Stalina i Lenina. To była właściwie jedyna ich czynność. Z początku Rusini myśleli, że Niemcy uruchomią uniwersytet, ale oni nie śpieszyli się do tego; ruscy profesorowie, którzy zaraz opanowali instytuty i zachowywali się brutalnie w stosunku do kolegów-Polaków, wkrótce przekonali się, że Niemcy nie myślą o oddaniu im gmachów i instytucji, które uważali za łup

wojenny. Pośrednio słyszałem opinię jednego z Niemców, którzy przyjechali obejmować przemysł chemiczny we Lwowie. Rzesza dawno już uznała ustrój komunistyczny za legalny w stosunku do Rosji Sowieckiej, skoro zatem wszystkie budynki i fabryki, a także lasy, kopalnie i majątki ziemskie znacjonalizowane przez Sowiety były legalną własnością ZSRR, w myśl prawa międzynarodowego przypadły teraz legalnie zwycięzcy.

Pierwsze wojska niemieckie, jakie widziałem, była to dywizja górską, szli pieszo, a karabiny maszynowe, amunicję i inny sprzęt niosły mule. Żołnierze byli młodzi, mieli szarotki na czapkach i widać było, że są bardzo zmęczeni. Na ulicach patrzano na nich ciekawie, a niektóre panie witały ich podniesieniem ręki: wielu motocyklistów miało kwiaty na kierownicach – nie tylko Rusinki i Niemki dawały je zwycięzcom.

Zaraz zaczęła się inna sprawa, która odwróciła uwagę od wojsk przechodzących przez Lwów i jadących setkami aut ciężarowych nieraz o wielkości wagonów kolejowych. Oto otworzono więzienia i w piwnicach Brygidek, aresztów przy ul. Łackiego i innych znaleziono setki ludzi pomordowanych przez NKWD. Byli między nimi nie tylko polityczni. Wszyscy, których ostatnio aresztowano, zostali zgładzeni przed wyjściem Rosjan. Były także warstwy trupów starszych, ale – jak się zdaje – mordowanie stało się maryczne zaczęło się wtedy, gdy Rusini zaczęli strzelać do wojsk sowieckich. Rosjanie nie mieli widocznie zamiaru represjami tymi odstraszyć bezpośrednio *franc-tireurów*; mordowali po azjatycku, w ścisłej tajemnicy. Ta metoda działa na daleką metę – najwidoczniej NKWD nie chciało się chwalić swoimi czynami; tym bardziej zaskoczyło wszystkich, gdy Niemcy dopuścili dziennikarzy, fotografów i każdego, kto chciał, do skrwawionych piwnic. Znalaziono tam wielu, o których myślano, że żyją na wygnaniu. Między innymi znaleziono trupa Romana Aleksandrowicza i Mietka Badera. Niemcy natychmiast puścili wersję, że mordercami byli Żydzi w służbie NKWD, i że wśród zamordowanych nie ma Żydów. Jedno i drugie było nieprawdą. Procent Żydów służących w NKWD nie przewyższał chyba 10, a byli to sami ludzie zza Zbrucza, zaś „tutejszych” do NKWD nie angażowano, chyba na pomniejszych szpiclów. Ale w braku możliwości zemsty na winnych, którzy wycofali się z armią sowiecką spalając wszystkie dokumenty, tłum postanowił zemścić się na Żydach. O to właśnie Niemcom chodziło. Parę tysięcy ruskich chłopów uzbrojonych w kiję weszło do miasta. Żydów spotkanych na ulicy bili kijami, wywlekali z mieszkań i bram domów, prowadzili na ul. Łackiego i kazali tam odkładać trupy. Widziałem prowadzoną przez zbiorów rodzinę złożoną ze starszki babci, jej córki i wnuczek. Szły wolno trzymając się za ręce. W ciągu kilku dni zginęło trzy tysiące Żydów w okolicach Lwowa. Niemcy nie braли w tym udziału, bo chcieli pokazać światu, że samorzutny odruch ludu polskiej twierdza tezę narodowo-socjalistyczną o potwornych zbrodniach żydowskich. O tym, że zbrodnie NKWD były wykrywane już wtedy, kiedy Mi-

łotów śniadał w Berlinie w otoczeniu Hitlera i swity, milczano. Zginął wówczas, jak się zdaje dr Eidelheit, Mosler i wielu innych. Na ul. Kadeckiej widziałem Rusina pędzącego Żyda przed sobą. Kazał mu iść z rękami do góry i co chwila go kopał. Z auta wysiadł oficer niemiecki i zapytał Rusina, o co chodzi. Widocznie odpowiedź była niedostateczna, bo oficer kazał Rusinowi iść w dół, a Żydowi wskazał przeciwny kierunek i tak znęcał się położył kres. Oficerowie niemieccy nieraz tak interweniowali. Ale ich władze miały inny plan, nikomu jeszcze nie znany.

Nie upłynęły trzy dni od wejścia Niemców, a aresztowani zostali profesorowie: Antoni Łomnicki, Władysław Stożek z dwoma synami*, Stanisław Progulski z synem**, Roman Longchamps z synami***, Stanisław Ruziewicz****, Stanisław Pilat, Antoni Cieszyński, Władysław Dobrzański, Tadeusz Ostrowski, Tadeusz Boy-Żeleński, Roman Rencki, a także dr Ruff z żoną i synem*****. Kasper Weigel, Jan Grek, Roman Witkiewicz, Kazimierz Bartel*****, Włodzimierz Krukowski, Franciszek Gröer, Henryk Korowicz*****. Byli to przeważnie profesorowie medycyny i politechniki, razem 22 osoby. Między nimi znalazł się prof. Rencki, który cudem uniknął śmierci w więzieniu sowieckim i trzy dni po uwolnieniu znalazł się w więzieniu niemieckim. Byli starzy ludzie jak Progulski, którzy z polityką nie mieli nic wspólnego, był Boy, którego wzięto razem z profesorem Grekiem, i który, gdyby nie to, że tam mieszkał, z pewnością nie byłby aresztowany. Prof. Ciechanowskiego nie zastali w domu i nie szukali go więcej. Prof. Grzymalskiego szukali, nie wiedząc, że nie żyje od paru lat. U prof. Progulskiego syn wszedł przypadkiem do pokoju: *der kann auch mitkommen******. Pani Ostrowska widząc, że przyszli po męża zawołała: „a my tak cieszyliśmy się, że wojska niemieckie nadeszły”. *Halt Maul****** – odpowiedział oficer. Bartla zapytano, dlaczego nie uciekł z bolszewikami. „Bo nie jest w moim zwyczaju uciekać”. Jego żonie pozwolono zabrać z domu dwie walizki i zapowiedziano jej, że błąda temu, kto był jej udzielił schronienia. Prof. Gröer, który podał swoje nazwisko jako „Freiherr Franz von Gröer” został wypuszczony po kilku godzinach. Prof. Łomnickiemu nie pozwolono wziąć palta ani kapelusza. U prof. Pilata, gdy zapytał, czy może zapalić papierosa, odpowiedział oficer „przecież pan widzi, że ja nie palę”, a gdy chciał powiedzieć coś żonie,

* Eustachym i Emanuelem.

** Andrzejem.

*** Bronisławem, Zygmuntem i Kazimierzem.

**** Kazimierza Ruziewicza aresztowano 11 lipca 1941 r.

***** Anną i Adamem.

***** Kazimierza Bartla aresztowano dzień wcześniej, 2 lipca 1941 roku.

***** Henryka Korowicza aresztowano 11 lipca 1941 r.

***** (Niem.) Ten też może pójść z nami.

***** (Niem.) Stul pysk!

przerwano mu: – *keine Dialoge**! Uwolniony prof. Gröer opowiadał przesłuchaniu. Młody Ruff dostał ataku epileptycznego, zastrzelono go oczach rodziców i kazano profesorom wynieść trupa. Przy tej scenie jeden z gestapowców gwizdał wesołe piosenki. Zdaje się, że rozstrzelano wszystkich dwudziestu dwóch tej samej nocy. Panią Bartłową zawiadomiono o śmierci męża**. Gdy pytała, kto rozkazał, odpowiadało jej „na rozkaz Hitlera”.

Po tych aresztowaniach zabrano się do Żydów. Wzięto z miejsca kilku nastu lekarzy, adwokatów itd., i nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Na gminę żydowską nałożono kontrybucję 20 milionów rubli.

Przez pierwszych pięć dni pobytu Niemców nie wychodziłem prawie z domu. Spakowaliśmy co lepsze rzeczy, a pieniądze dra Grünhauza zakopałem w ogrodzie. Na ulicy można było widzieć grupki naradzających się; przed naszym domem stworzył taką grupę dozorca Szydłowski z domu nr 12 i paru jego przyjaciół. „To pierwsza jaczeka hitlerowska na naszej ulicy” zauważył Janek. Naprzeciw rozlokowali się różni oficerowie SS z tym podobnych formacji. Po całych dniach wystawiali w oknach za zapieczonymi firankami i patrzyli, co się robi w mieszkaniach *vis-à-vis*. Tymczasem moja Pazia, służąca, szalała. Latała od więzienia do więzienia i oprowadzała trupy. W jej mieście rodzinnym, w Przemyślanach, rozpoznano w więzieniu jej braci stryjecznych, chlubę rodziny, młodzieńców w toku studiów. Jej stryj sam zabił ośmiu Żydów w zemście za ten mord. Szerząca przez Niemców wersja o winie Żydów tym łatwiej się przyjmowała; wzmianek już nie było, tylko zostali bezbronni Żydzi.

3 lipca, we czwartek, okazało się po co SS-owcy patrzyli z okien. Wyszedł do nas wtedy SS-man w typie austriackiego feldfebla, z bacznością. Zapytał mnie o zawód i wyznanie, a potem o nazwisko osób mieszkających obok, zsalutował, powiedział: *Danke* i wyszedł. Nazajutrz, 4 lipca 1941 roku zięć mój i córka przenieśli się do państwa Ziemliskich przy Czarneckiego 3. Po południu już ich nie było. Około czwartej rozległo się natrątczywe dzwonicie i kopanie w drzwi. Otworzyłem; wpadł ten esesman z towarzyszem, roslym brunetem o małych wąsikach, też w mundurze SS. Kiedy ich poprosiłem do pokoju, ten nowy gość kopnął mnie w nogę, że wpadłem pierwszy i zaraz zaczął wypytywać wszystkich, co tu robi. Specjalnie mojego kuzyna Dyka. Ten miał przy sobie metrykę; na widok esesmana powiedział: *Ach, Du bist Graf Schoenborn von diesen arischen Aristokraten****. Dyk był na tyle naiwny, że przyznał, że miał kuzynkę Żydówkę. Na to drażnił uderzył go w twarz mówiąc: *Du bist ein Jude*.

* (Niem.) Żadnych rozmów!

** Prof. Kazimierza Bartla stracono 26 lipca 1941 roku.

*** (Niem.) A więc jesteś hrabią Schoenbornem z tej żydowskiej arystokracji.

**** (Niem.) Jesteś Żydem.

On mi się wynosić. Zostałem z żoną, była też moja siostra i siostrzeniec. Siedziałem w fotelu. Na to zbior: *Schau, der sitzt ganz gemütlich hier** i zaczął mi wstać. Wtedy włożył rękawice i zadał mi dwa uderzenia pięściami w twarz; po trzecim upadłem, zbior poklepał futerał rewolweru i zaczął mi wstać ponownie. Obydwaj, mówiąc do mnie „Du” zaczęli rewizję dopytując się, czemu nie ma tu mojego zięcia i córki, gdzie są nasze ubrania, ile brałem pensji za czasów rosyjskich, dlaczego w paszporcie mam napisane Polak, wmawiając we mnie, że piżama granatowa z rąbkami czerwonym jest strojem NKWD itd. Wiedziałem, że w tę bzdurę sami nie wierzą. Drażnił pociągnął moją żonę za włosy śmiejąc się, a potem siadł do fortepianu i zagrał wesołą piosenkę. Wszystko to odbywało się bardzo szybko; widoczne było, że jest to eskapada rabunkowa na własną rękę, a cała *mise-en-scène*** jest obliczona na jak największe zastraszenie. Pytali o złoto, o kawę, o mydło. Znaleźli mydło, włożyli je do kufra, zapakowali do niego trochę pościelowej bielizny i kazali, żebym osobiście nazajutrz o ósmej rano im to odniósł. *Der könnte bei uns Arbeit haben****. Zapytałem ich o adres. Zaczęli się naradzać po cichu i podali jakiś nieokreślony adres „willa obok”. Ta wizyta dała mi tak dokładny obraz sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, że poleciłem żonie wziąć niezbędne rzeczy do torby, sam spakowałem się do małej walizeczki i o godzinie siódmej wyszliśmy oboje przez ogród. Żona zerwała ostatnią różę. W siatce drucianej mieliśmy już przygotowany otwór; wyszliśmy tamtędy na parcelę pana Tomanka, a stamtąd przez ogród sąsiedniej willi, wśród esesmanów i ich aut, na ulicę; ci nie zorientowali się, widząc panią z różą, idącą z towarzyszem wolnym krokiem, że nie jesteśmy mieszkańcami willi. Był to czwarty lipca 1941 roku, piątek; ostatni dzień spędzony we własnym domu we Lwowie...

Tulaczka

Przez pierwszych parę tygodni pozwolili Niemcy Rusinom wygłupiać się; ci skorzystali z tego w całej pełni. Na stopniach aut niemieckich wjeżdżali się młodzi ruscy, wskazując drogę, zaganiali Żydów do roboty, tworzyli komisariaty i milicję. Początkowo burmistrzem Niemcy zrobili pana Łosińskiego, przyrodnika, Rusina stosunkowo nawet pojednawczo usposobionego. Wychodziła też gazeta „Wilna Ukraina”, którą jednak wkrótce Niemcy przemianowali na „Lwowski Distrikt” czy też coś podobnego. W tej gazecie można było wyczytać, że po rasie nordyckiej najlepsza jest rasa

* (Niem.) On tu sobie całkiem przyjemnie siedzi.

** (Fr.) Inscenizacja.

*** (Niem.) On mógłby mieć u nas pracę.

dynarska, a jej przedstawicielami w nieskażonej edycji są Ukraińcy. Polacy i Węgrzy są zżydzeni i przez ten fakt należą do rasy niższej. Uważam, że będzie trzeba kiedyś przypomnieć Ukraińcom ich wyższość rasową, gdy będą w imię demokracji domagali się równości. Gdy moja siostra zwróciła się o pomoc do znajomego Rusina, ten powiedział „my nic nie możemy zrobić, my tylko wykonujemy rozkazy niemieckie”. I to trzeba będzie przypomnieć, że policja ruska, tzw. „milicja ukraińska” pomagała Niemcom w Krakowie i w Warszawie – w łapaniach i brankach, działając na obszarze, do którego politycy ruscy nigdy nie mieli pretensji. Za czasów rosyjskich działały komitety ruskie i porozumiewały się z Polakami w sprawach politycznych, ale masa narodu zupełnie wyrwała się spod władzy inteligencji i zmieniła się w horde, z początku posłuszną Niemcom, a potem zupełnie samowolną.

Po wyjściu z domu, wieczorem czwartego lipca 1941 roku udaliśmy się do państwa Indruchów przy ulicy Snopkowskiej. Pani Indruchowa była ciotką Danki Smalewskiej, przyjaciółki Lidki. Przyjęli nas chętnie na parę dni, ale nie mogliśmy mieszkać dłużej, w małym mieszkanku złożonym z dwóch pomieszczeń, tym bardziej że właścicielka domu, Rusinka, osoba głupia i niechętna naszym gospodarzom, nie byłaby się zgodziła na mieszkanie bez meldowania. Lwów był wtedy przeładowany kolumnami samochodów wojskowych ciągnących ulicami na wschód; między nimi były olbrzymy na podwójnych kołach, wszystkie oznaczone białymi godłami: lwem, lisem, wagą itd. Z tyłu miały białe oznaczone kontury, aby następny nie najechał w mroku. Wyglądało to imponująco, ale pani Stasia Blumenfeld powiedziała, że nie jest to wojsko na podbój Rosji. Było to wszystko za porządne, za drobiazgowie, za ładne na bezdroża, puszcze i bagna, które dzieliły jeszcze Niemców od Moskwy. U państwa Indruchów zapoznano nas z państwem Witkowskimi. On był oficerem czynnym; nie zarejestrował się i dzięki temu uszedł Sowietom. Państwo Indruchowie i Witkowscy wiedzieli to, o czym większość Polaków wiedziała, a czego Żydzi nie rozumieli: że chcąc przetrwać wojnę nie wolno wykonywać na ślepo poleceń władz, że trzeba zmieniać nazwisko, zawód, dokumenty odpowiednio do sytuacji. Natomiast Żydzi mieli przesadne wyobrażenie o przenikliwości i cudownej organizacji Niemców; uważali każdego żandarma za znawcę pieczętek i stempli, i myśleli, że władze będą pisały zapytania do każdej gminy i każdej parafii o każdego Żyda czy neofitę. Ta wiara we wszechwiedzę niemiecką, połączona z przeświadczeniem, że posłuszeństwo wobec zarządzeń niemieckich pozwoli, choć w nędzy i poniżeniu, przetrwać najgorsze czasy, była zgubą wielu tysięcy ludzi.

Patrząc na ulice Lwowa można było widzieć wszędzie obraz „ekonomicznego wyzyskania kraju”. Gestapowcy, żandarmi, policjanci, oficerowie zajmowali mieszkania, które im wydawały się dostatecznie wygodne, wyrzucali mieszkańców, którym – jeżeli to nie byli Żydzi – pozwalali zabierać

ze sobą meble, a na to miejsce przywozili meble z mieszkań żydowskich. Co chwila zajeżdżały platformy wiozące meble, a obok nich pędzono Żydów, którzy mieli te meble nosić i ustawiać. Takie urządzenie się trwało kilka miesięcy, bo mając mieszkania, meble i robotników za darmo, Niemcy co chwila zmieniali mieszkania. Ludzi do roboty dostarczała gmina wyznaniowa, codziennie po kilka tysięcy. Gmina robiła w tym celu spisy i zatrudniała kilkudziesięciu urzędników i własnych policjantów. Od czasu do czasu przed lokal gminy zajeżdżało auto z uzbrojonymi esesmanami, którzy żądali dostarczenia serwisu na 24 osoby, albo bielizny na sto łóżek, albo umeblowania na kilka pokoi, nie zadowolając się niczym, co w ich mniemaniu nie było pierwszorzędne. Innym razem żądali aparatów fotograficznych, a raz zażądali kilkudziesięciu par kałoszy; zobaczywszy w przedpokoju kałosze urzędników gminy, po prostu je zabrali.

Janek, widząc, że nie mamy żadnych dochodów, zajął się handlem. Z początku sprzedawał niemieckim żołnierzom bieliznę i pończochy, zakupione w sklepach. Potem przeszedł na handel cukrem, owocami, czym się dało. Źródłem tych towarów były magazyny wojskowe, z których intendentzi sprzedawali workami, żołnierze odwozili towar na miejsce autami wojskowymi, a bali się tylko żandarmerii i SS, bo ci ostatni nieraz zatrzymywali auta wojskowe jadące w podejrzanym kierunku. Od państwa Indruchów przeprowadziłem się na parę dni do państwa Blumenfeldów. Żona moja znalazła miejsce na kilka dni u pani Parandziejówny, emerytowanej urzędniczki skarbowej. Policja niemiecka i SS grasowały wszędzie; raz wszedłszy do państwa Blumenfeldów zażądali od pani Stasi, aby szła szorować podłogi do koszar. *Ich bin keine Jüdin** – sprzeciwiła się. Na to żołnierz: *Wenn du lügst, erchiesse ich dich wie einen Hund***. Tak kochali prawdę. Ale jeszcze ciągle ludzie nie orientowali się, że kto mówi Niemcom prawdę, słucha ich rozkazów, wykonuje ich polecenia, a nie stara się ich oszukać, sfalszować swoją identyczność, zmienić miejsce pobytu, zataić swoje kwalifikacje, ten idzie ku zgubie, i to straszniejszej, niż można było przewidzieć na podstawie *Mein Kampf*. A jest tam rozdział, w którym mowa o tym, jak się naród prowadzi od nieszczęścia do nieszczęścia, zadając mu dobrze obliczone ciosy. *Ich werde die Juden frage lösen**** – nikt nie rozumiał, co to ma znaczyć. Przykład getta warszawskiego nie był dosyć pouczający, bo była to dopiero ta faza, w której można było wszak wegetować. W stadium przyjaźni z Rosją Sowiecką widocznie nie był jeszcze przewidziany mord masowy, odroczone go do drugiej fazy, która miała wnet nastąpić. Dla uszczęśliwienia mieszkańców postanowili Niemcy podzielić miasto na cztery dzielnice: niemiecką, polską, ruską i żydowską.

* (Niem.) Nie jestem Żydówką.

** (Niem.) Jeśli kłamiesz, zastrzelę cię jak psa.

*** (Niem.) Rozwiążę kwestię żydowską.

Ten piramidalny w swojej niedorzeczności pomysł nie wydał się tak niedorzeczny ludziom, którzy za czasów kulturalnego porozumienia i wizyt Goebbelsa* przyzwyczaili swoje mózgi do akceptowania pomysłów genialnego Adolfa. Ale koła wojskowe zrozumiały, że podczas wojny tworzyć dzielnicę niemiecką, to znaczy narażać Niemców na preferencję bombowców, a poza tym rzec się obsadzania wielu gmachów i ulic dogodnych z punktu widzenia kwatermistrzostwa. Toteż praktycznie rzecz sprowadziła się do wyznaczenia getta i do ogłoszenia terminarza, według którego Żydzi mieli opuszczać kolejno dzielnice „aryjskie”. Definicja Żyda została ogłoszona: za takiego należało uważać każdą osobę, która wśród swoich czterech dziadków i babek miała trzech lub czterech Żydów (geniusz, który był autorem tej definicji, nie zauważył, że zawiera ona *circulus*).

Państwo Witkowsy zajęli się przywiezieniem naszych kufrów od państwa Witkowickich. Janek udał się do nich i dostawszy się do ogrodu odkopał sto „czwórek” i przyniósł je nam. Dzięki temu, że dr Grünhut przypadkowo zostawił nam ten skarb, mogliśmy żyć przez kilka lat. Parę dni spędziłem w mieszkaniu pana Jana Dobrzańskiego na Łyczakowie, a żona moja u pani G., siostry pana Mozołowskiego. Ludzie nam pomagali, choć nie wszyscy. Po tygodniu takiej tułaczki sprowadziliśmy się do mieszkania mojej siostry Olgi, która z matką mieszkała, jak dawniej, w willi prof. Fulińskiego. Na ulicy Kadeckiej mieszkanie zostało puste; tylko o piętro wyżej pozostała w swoim pokoju Halina z mężem. Od nich mogłem się dowiadywać, co się dzieje w domu, ale inni lokatorzy nie mieli mojego adresu. Otóż esesmani przyszli rano, piątego lipca po kufer, który stał w pokoju i domagali się, żebym go sam im przyniósł. Parę zaprosili na wódkę i wypytывali się o mnie. Wkrótce przyszli oficerowie liniowi i zajęli mieszkanie. W zarządzie domów wypowiedziałem mieszkanie, co większość znajomych uznała za nonsens. Halina z mężem zgłosili się do nowych lokatorów jako obsługa; on jako kucharz, ona jako pokojówka. Pomagała im pani Tola, sąsiadka z Warszawy, która okazała im i nam dużo życzliwości. Oficerowie (czy też podoficerowie) urządzali przyjęcia, w których uczestniczyły panny K. z III piętra (jedna z nich w roku 1939 należała do grupy przeznaczonej do lania benzyny na tanki) i panienki z miasta. Uczty kończyły się czasem dopiero rano. Lokatorzy buszowali w bibliotece, szukali listów i fotografii – z ciekawości. Dokumentów nie znaleźli, bo wszystkie spaliłem przed opuszczeniem mieszkania, nie chcąc nic zostawiać Niemcom, a nie mogąc ich wziąć ze sobą, jako niezgodnych z planowanymi już wtedy zmianą tożsamości.

Prof. Fuliński mieszkał na parterze swojej willi przy ulicy Tarnowskiej 82 z żoną, córką i czterema synami; ponadto mieszkali u niego jego kuzy-

* Jeśli pominąć Wolne Miasto Gdańsk, w Polsce była tylko jedna taka wizyta w czerwcu 1934 roku.

nowie, siostra z matką mieszkały na I piętrze; wprowadziliśmy się tam 13 lipca. Był to ostatni dzień, w którym nie obowiązywały jeszcze opaski z gwiazdą. Prof. Fuliński przyjął mnie serdecznie i radził mi nie meldować się wcale, ale jego synowie bali się sankcji niemieckich i zgłosili nas, gdy robiono spis. Wobec tego, gdy o czwartej po południu nakazano zgłosić się do „pracy” przy ul. Zielonej, poszliśmy troje: ja, żona i siostra. Był to pierwszy i ostatni nasz występ w stroju oficjalnym. Tam już czekały setki ludzi. Żołnierze policji niemieckiej ustawiali ich parami; mieli do pomocy Ukraińców. Komisarz-Ukraińiec na ulicy przyjmował reklamacje; gdy mu podałem wiek i zawód, zwolnił mnie; żona i siostra okazały świadectwa lekarskie. Odtąd postanowiliśmy nigdzie się nie meldować, nie rejestrować, nie chodzić, chociaż co parę dni ogłaszano jakieś nowe spisy, grożąc sankcjami. Trzeba było się też bronić przed urzędnikami gminy, którzy mieli swoje spisy i przed zarządami domów; w nich siedzieli jeszcze gdzieś Żydzi. Jedna taka urzędniczka oświadczyła od razu mojej siostrze, że mnie zna. Dużo pomocy okazał nam dr Rothfeld z gminy; był zastępcą dr Parnasa, który powiesił się na oknie, kiedy go Niemcy zaaresztowali. Okazał wielkie męstwo, przyjmując godność prezesa w takim czasie. W gminie urzędował też dr Jacob, który mnie i żonę, a także i siostrę bez trudu wyłączył z kolejki do robót przymusowych. On też nie orientował się czego Niemcy naprawdę chcą, dokonał więc m.in. pierwszego spisu statystycznego Żydów, według dzielnic, czego dotychczas nie było. Szefem był Niemiec przydzielony z *Arbeitsamtu*, który stał na stanowisku „wyzyskania sił roboczych” w sposób racjonalny, tzn. dawania takich racji, żeby pracujący mogli wykonać swoje zadania. Słowem – uważał Żydów za konie, ale ani on, ani „konie” nie wiedziały, że to wszystko jest farsą, i że robi się po prostu przedstawienie dla wojska i ludności, które ma odwrócić uwagę od prawdziwych zamiarów.

Doskonale rozumiał to Bronisław Knaster, którego czasem odwiedzaliśmy wieczorem. Starał się on o posadę „karmiciela wszy” w instytucie prof. Weigla, który jako *kriegswichtig**, oczywiście pod nazwą Behringa, został przez Niemców utrzymany i powiększony. Państwo Blumenfeldowie przenieśli się do jego siostry, koło „George’a”. Zaczęły grozić nowe niebezpieczeństwa. Obawiano się, że Niemcy będą aresztować komunistów i ludzi, którzy sprzyjali Sowietaom. Nic podobnego jednak nie działo się, chyba że specjalnie kogoś zadenuncjowano. Tak np. aresztowano Halinę Górską. Ale już prof. Mazur, którego nazwisko, jako przyjętego do partii bolszewickiej widniało na plakacie westibulu uniwersytetu, i które zastali tam Niemcy, siedział spokojnie w mieszkaniu. Rektor Bycenko też chodził najspokojniej po mieście.

* (Niem.) Ważny dla celów wojennych.

Ukraińcy nie wiedzieli zbyt dobrze jak się mają zachować. Komedie z Bandera Niemcy zakończyli, tzn. „rząd” internowali w Krynicy. Część jego w ogóle nie dojechała z Krakowa do Lwowa. Zaczęto aresztować co gorliwszych, zakazano im pisać o wyższości rasowej, natomiast ogłoszono w „Lemberger Zeitung”, że naród ukraiński ma zbyt nieliczną inteligencję, by mógł rządzić Ukrainą, i że obszary zdobyte krwią niemieckiego żołnierza przede wszystkim mają stanowić *Raum** dla niemieckiego *Volku*. Ukraińska ludność włościańska znajdzie oczywiście odpowiednie pole działania orząc, siejąc i oddając „Europie” owoce swej pracy. Już drugi raz usłyszała ta ludność, że ma przede wszystkim dbać o to, by na czas wywiozła nawóz, by oddała kontyngent, a za to będzie mogła śpiewać po żniwach ludowe piosenki. Zawód stał się widoczny, gdy w „Galicji” wprowadzono złote polskie. Nienawiść jednak nie mogła się zwrócić przeciw Niemcom, których uważano za niedosiężnych, zwróciła się więc przeciw Polakom. Dochodziły już wtedy wieści o mordowaniu polskich wójtów, leśników, osadników, zwłaszcza tych, którzy mieszkali w ruskich wsiach. Niemcy od czasu do czasu karcili te wysoki.

Żydzi przywdziali opaski. Byli nawet tacy, co nosili je z celuloidu, a widziałem nawet panie, mające kostiumy w kolorze dopasowanym do białoniebieskiej dekoracji. Z początku młodzież znosiła czasy pogardy z męstwem, a nawet nie bez humoru. Kto miał opaskę, mógł w każdej chwili oczekiwać, że oficer albo policjant kiwnie na niego lub zagwizdże, czasem dodając *Du Dicker*, i każe nieść za sobą walizkę; czasem wsadzali na auto i wywozili za miasto na roboty. W tym okresie chodziłem za miasto na spacer, ale jednak czyniłem to rzadko. Dopóki było ładnie – chodziłem po ogrodzie jak więzień. Prof. Fuliński, z którym byłem *per „ty”*, dużo rozmawiał ze mną o polityce. Przewidywał już wtedy, że Niemcy nie wyjdą poza „rów tatarski”, stanowiący naturalną fosę przed wałem Kaukazu. To się sprawdziło. Powiedział też: „zostaniesz profesorem we Wrocławiu”. Miał także swój pogląd na kwestię żydowską: przeznaczał dla tej ludności „Chersonię”, tzn. kraj za Dniestrem aż do Dniepru; byłoby to niezależne polskie „dominium”. Namawiał mnie, abym opracował ten projekt i wystąpił z nim po wojnie. On i jego synowie przebywali dużo w ogrodzie. Była tam gęś, która tak się do nas przywiązała, że wystarczyło skryć się na chwilę za krzakiem, żeby z największym niepokojem szukała nas wszędzie. Sąsiedni dom należał do Niemki; za bolszewików wyjechała do Generalnej Guberni wraz z innymi *Volksdeutschen*, a teraz wróciła i objęła dom znowu. Prof. Fuliński powiedział jej: „Pani ziomkowie przebrali wojnę”. Miał duże wykształcenie historyczne i widział jasno przebieg przyszłych wypadków; zapewniał mnie, że Amerykanie będą się bić w Europie, że będą mieli flotę powietrzną z setek tysięcy aeroplanów. Często

* (Niem.) Przestrzeń.

przychodziłem do państwa Fulińskich wieczorem na rozmowy polityczne, a dopiero potem, około dziesiątej jadłem kolację u siebie. Robiło się wszystko na gazie, a w dzień było go za mało, tak że nieraz przyrządzenie jedzenia trwało do drugiej rano. Było to niezmiernie męczące, a ciągle obawa, że ktoś napadnie na nas, odbierała spokój. Często spałem na strychu na kupie starych książek, gdy spodziewaliśmy się, że Niemcy przyjdą szukać Leona Chwistka, jako przyjaciela komunistów. Ale nie przyszli. Pomimo to kilka razy nocowałem poza domem, raz u prof. Małachowskiego, a blisko przez tydzień u państwa Weissów, przy placu Bernardyńskim. Ignacy Weiss był moim kolegą szkolnym, jego żona była Niemką. Jego szwagier – adwokat Stein z Jasła z żoną mieszkali z nimi razem. Weissowie mieli trzech synów, dużych i zdolnych chłopców. Panowie Stein i Weiss pracowali w kooperatywie dezynfekcyjnej, w tej samej, co mój kuzyn Dyk. Pewnego razu podczas obiadu przyszło dwóch „Schutz-policjantów”. Nie zdejmując czapek z głowy zauważyli: *Sie essen noch ganz gut hier. Sind sie ein Jude?** zapytali Ignacego Weissa. Gdy ten oświadczył, że jest członkiem Rady konsystorza ewangelickiego, odpowiedzieli: *Mit den Kirchen haben wir auch Schlussgemacht***.

Potem jeden drugiemu zaczął opowiadać anegdotę, jak to Żyd przechrzcił się umierając, a zapytany dlaczego to robi, odpowiedział, że nie ma majątku, więc nie chce, by jego pogrzeb obciążył gminę wyznaniową. Zapytany co tu robię odpowiedziałem, że przychodzę tu na obiady. Potem zajęli się dr Steinem, a ja korzystając z zamieszania wzięłem kapelusz i odszedłem do dra Ziemilskiego, mieszkającego niedaleko. Po paru godzinach wróciłem. Otóż przyczyną wizyty był donos jednego z członków kooperatywy, że dr Weiss i dr Stein handluje złotem. Ponieważ rewizja nie dała wyniku, odeszli, zabierając obrazek ze ściany i przestrzegając dr Weissa, że musi nosić opaskę, bo gdy go złapie *Sicherheitspolizei*, to będzie źle. Mój adres podany im (nie dokładnie i na ulicy Kadeckiej) zanotowali.

Tego rodzaju wizyty były niebezpieczniejsze niż mi się wydawało. Gorsza była ta, którą przyjęła moja siostra przy ulicy Tarnowskiego. Ja byłem w ogrodzie, a ona sama znalazła się wobec dwóch opryszków w mundurach niemieckich, jeden miał obwiązaną gębę, drugi mówił po niemiecku z akcentem żydowskim. Ten drugi oświadczył, że tu mieszkają Żydzi. Gdy moja siostra zaprzeczyła i okazała gotowość przedłożenia metryki męża, właściciela mieszkania, odpowiedzieli, że nie mają prawa przeglądania dokumentów, i poprosili, żeby im siostra powiedziała, gdzie tu mieszkają Żydzi. Odrzekła im, że nie interesuje się tym, i że nie wie. Gdyby nie jej przytomność umysłu, byłibyśmy obrabowani i wyrzuceni na bruk w ciągu paru godzin. Rabunek to było główne zajęcie Niemców. Wieczorem na

* (Niem.) Pan tu jeszcze całkiem nieźle jada. Czy jest pan Żydem?

** (Niem.) Z kościołami też sobie poradzimy.

ulicy Jagiellońskiej można było widzieć oficerów z żonami idących w stronę dzielnicy żydowskiej, aby zabierać z mieszkań, co się dało, pozostawiając właścicielom tylko pociechę, że jeszcze nie zabrano im życia. Na ulicę Tarnowskiego przychodzili do nas czasem goście. Między nimi była pani Borkowa, matka mojego ucznia. W roku 1941 jeszcze z nim korespondowałem, potem go aresztowano. Matka opowiadała, że jego dawny ordynans, Żyd, wskazał go NKWD jako oficera rezerwy, i że znienacka aresztowano go w mieszkaniu i zabrano do Lwowa. Od tego czasu słuch o nim zaginął; prawdopodobnie podzielił losy ofiar katyńskich. Podziwiałem jego matkę, że nie myślała wcale o zemście. Chciała koniecznie dać mi schronienie u siebie w Boryslawiu. Coraz poważniej myśleliśmy wtedy o opuszczeniu Lwowa. Doradzali nam to moi koledzy, jak Kulczyński, Banach, Rogala.

A Niemcy rzadzili po swojemu. Ogłosili nakaz oddania wszystkich przedmiotów o wartości artystycznej, aby uchronić je przed zniszczeniem wojennym. Nie wiem, czy kto usłuchał tego wezwania z głupia frant, wiem, że rodzina państwa Fulińskich nie przejmowała się wcale niemieckimi zarządzeniami. Przeszli szkołę bolszewicką; wtedy toczyły się przeciw nim dochodzenia o spisek; nawet ich służącego Staszka, aresztowano i torturowano przypiekając podeszwy, ale niczego nie wydał. Trafili Niemcy i do Ossolineum. Urzędnik ministerstwa oświaty zażądał od Mieczysława Gębarowicza wydania sztychów Dürera. Ten wzbraniał się i żądał okazania odpowiedniego pisemnego nakazu. Na to Niemiec: „Niech pan uważa; pan chyba wie, co się stało z profesorami krakowskimi?” „Słyszałem – odparł Gębarowicz – ale uważałem te opowiadania za antyniemiecką *Greuelpropaganda*!” Na to Niemiec zgłupiał i stał się grzeczniejszy, ale sztychy zabrał.

Na ulicy zdarzało się, że żołnierz niemiecki zabił kolbą Żyda idącego najspokojniej. W gazetach czytało się ogłoszenia poszukujące szofera wozu ciężarowego, który z powodu nieostrożnej jazdy przejechał Żyda! Te ogłoszenia miały wywołać w czytelnikach przeświadczenie o praworządności niemieckiej. Czasem gromadzono z ulic i domów kilkaset Żydów, prowadzono na podwórze gmachu SS przy ulicy Pełczyńskiej, kazano kłaść się na ziemi, ustawiano karabiny maszynowe i grożono strzelaniem do każdego, kto podniesie głowę. To trwało od rana do wieczora. Od czasu do czasu przyjeżdżało *Verteilungskommando SS*, które porywało kilkadziesiąt ludzi, wywoziło na Górę Piaskową lub do Lesienic i rozstrzeliwało. Zdarzyło się Lili Holzerowej, kuzynce żony, że wieczorem wpadło do niej dwóch zbirów niemieckich i zabrało ze sobą jej męża. Na jej prośby i płacz dziecka, drabi przyrzekli, że mąż wróci do domu; gdy zażądała słowa, powiedział: *Einen Juden gibt man kein Ehrenwort*. Poprowadzono ich do bliskiego lasu; tam ustawiono rzędem z innymi, kilku zastrzelono jeden z postrzeloną szyją dowlóknął się do pobliskiego domu, a pana Holzera puszczono wolno. Na jego prośbę wypuszczono z nim pana Lindenfelda z Krakowa, jako przyjaciela. Z tym człowiekiem widziałem się parę razy,

był inteligentny i rozsądny, ale nie rozumiał całej perfidii i zbrodniczości Niemców. Sądził, że postępując ostrożnie, tzn. wyszukując sobie w getcie najlepsze mieszkanie, następnie najbezpieczniejsze zajęcie itd. uratuje życie. To właśnie było iluzją, którą Niemcy propagowali, uderzając dorywczo, raz tu, raz tam, żeby nikt nie domyślił się, jaki jest ostateczny cel tych wypadów. Raz na stacji tramwajowej przystąpił do Lili żołnierz niemiecki w polowym umundurowaniu i powiedział na widok jej opaski: *Gnädige Frau, haben sie keine Angst! Das dreckige Pack wird den Krieg nicht gewinnen!** A potem opowiedział, co widział na cytadeli: kilkuset młodych Żydów – *prächtige Kerle*** – jak się wyrażał – zostało rozstrzelanych na jego oczach. Byli tam między nimi kompozytorzy, uczeni, lekarze itd.

— Jestem komunistą – powiedział – nie boję się mówić o tym głośno.

Jeden z pokoi na I piętrze pan Fuliński wynajął, za naszą interwencją, panu Z. z żoną. Pracował on w tej samej kooperatywie dezynfekcyjnej co Stein i Dyk. Chodził często na cytadelę, na dezynfekowanie koszar, i widział jeńców rosyjskich. Byli morzeni przez Niemców głodem tak, że codziennie kilkuset umierało. Było to jedno z najohydniejszych niemieckich okrucieństw. Potem, gdy nabrali tych jeńców krocie, wypuszczali ich, dając marszrutę do zajętych miast ukraińskich, i każąc im tam iść piechotą. Żołnierze żebraли po ulicach i marli po drogach, właściwie nie było wolno im dawać pieniędzy, ale ludność chętnie ich wspomagała; przy olbrzymiej ich liczbie pomoc ta oczywiście nie była dostateczna. Tak więc już w pierwszych miesiącach pobytu swego Niemcy dali się poznać jako brutalni mordercy ludności cywilnej i jeńców wojennych. W tym czasie odwiedzał nas czasem pan Schauder, mieszkający niedaleko. Niemcy zabrali mu mieszkanie; naprzód zgłosił się SS-man, a potem przyszedł i dowiedziawszy się, że wojsko już objęło pokój, spoliczkował panią Schauderową. Dowiedzieliśmy się też, że Auerbach zamieszkał w suterynach u jakiejś praczki. Wszyscy zastanawiali się, co dalej. Niektórzy uważali, że najlepiej przenieść się do getta, inni znowu sądzili, że chrzest ich uchroni przed niebezpieczeństwem. Dlaczego tak myśleli, nie wiadomo, bo przecież Niemcy ogłosili wyraźnie swoją definicję. Ale Żydzi chrzcili się już za sowieckich czasów i, co ciekawsze, Żydzi wywiezieni do Kazachstanu i Syberii w otoczeniu Polaków – często przyjmowali chrzest. Było to trochę tak, jak gdyby już stary Bóg w ich mniemaniu stracił władzę nad światem. Do tych, którzy namawiali do tego rodzaju ochrony należał Ignacy Weiss. Miał on kuzyna i znajomego księdza pod Przemyślem, który za drogie pieniądze dokonywał chrztów; poważna część honorarium tonęła w kieszeni kuzyna – pośrednika. Ja miałem plan przeniesienia się pod Przemyśl na

* (Niem.) Szanowna pani, niech się pani nie boi. Ta zaszraha hołota nie wygra wojny.

** (Niem.) Wspaniałych ludzi.

wspomnianą plebanię, ale ks. Cz. nie dotrzymał słowa i wziął kogo innego, a za gospodynię wziął sobie młodocianą szwagierkę i kochankę tegoż kuzyna – pośrednika. Została nam, jako jedyny atut, metryka chłopca spod Przemyśla dostarczona przez pana Tadeusza Hollendera, który ją kupił dla mnie dosyć tanio. Ale pozostała sprawa mieszkania. Napisałem list do prof. Bulandy, byłego rektora, który przyszedł do mnie i zajął się mną niezmiernie życzliwie. Przywołał do siebie pana Otto, urzędnika z kwestury uniwersyteckiej, a mając u niego, jak u całego personelu urzędników uniwersyteckich mir i posłuch, nakazał mu przyjąć nas do jego willi w Rudnie koło Lwowa. O wyniku dał mi znać przez woźnego Gawlika. Ale nikt z nas nie mówił sam z panem Otto. Wtedy znowu ofiarowała nam swoją pomoc pani Knastrowa. Poszła piechotą do Rudna i omówiła wszystko. Nie był ten spacer ze Lwowa ani łatwy, ani bezpieczny. Mieliliśmy więc jedno miejsce, ale nie mogliśmy się zdecydować na opuszczenie mieszkania u państwa Fulińskich. Siostra wyjechała autem do swojej zamężnej córki do Borysławia, bo Rusinka urzędująca w zarządzie domów tej dzielnicy upierała się, że ją widziała w dniu 13 lipca z opaską, co było prawdą. Niestety listy od siostry Ireny z Krakowa i od szwagra ze Stróż, przestrzegające przed zapisywaniem się na „kursa” i przed noszeniem „bizuterii” przyszły za późno. Z Warszawy przyjechała autem córka i zięć prof. Lorii i zabrali go ze sobą. Przyczyną naszego ociągania się była obawa przed utratą rzeczy, których już mieliśmy mało, ale za dużo, żeby je wywieźć na Rudno. Milicjanci ruscy podejrzewali wszystkich wiozących rzeczy, że zabierają żydowski majątek i konfiskowali je. Trzeba wiedzieć, że Niemcy uważali za największy *crimen** przechowywanie żydowskich rzeczy, uznali, że te rzeczy są ich własnością, stąd też ludność, której z początku podobała się eksterminacja Żydów, straciła wiele zapалу zobaczysz, że nie może mieć z tego korzyści doraźnej.

Niemcy nie zapominali zresztą o rdzennej ludności. Od czasu do czasu otaczali całe bloki, wyciągali młodych ludzi z mieszkań i wywozili na roboty do Niemiec. Między Warszawą a Lwowem rozpoczął się ruch autobusowy i kolejowy; masa ludzi jeździła tam i z powrotem wożąc towary, a czasu do czasu Niemcy konfiskowali całe ładunki, częściej zadowalając się stosowną opłatą. Szoferzy wojskowi i inni wozili ludzi i rzeczy w różnych strony, każąc sobie płacić fantastyczne ceny. Niemcy handlowali też dokumentami, paszportami, wizami etc. Gdy się wyszło wieczorem do miasta, spotykało się po ciemku setki oficerów i żołnierzy, którzy zapali każdą kobietę. Byli często pijani, chwalili się na nogach, ale byli w tym przygnębieni, jakby zamroczeni. W mieście powstały nowe sklepy misowe; wielu ludzi oddawało na sprzedaż meble, porcelanę, obrazy, suknie, buciki, obrusy itd. Niemcy kupowali początkowo

sklepach, później, gdy im było za drogo, zamykali urzędowo sklep i zabierali cały towar bez odszkodowania. Co więcej, byli to esteci. Gdy zrabowanymi meblami urządzali sobie mieszkania, zważali na harmonię stylu, a obrazy dobierali z polskiej szkoły malarstwa: Chełmoński, Gierzyński, Hoffman, Axentowicz byli w wysokiej cenie. Co za subtelna dusza w tych ludziach! Nie dość im było spać na zrabowanym łóżku, nie dość jeść w kuchniach, których właściciele zamordowali, musieli mieć jeszcze na ścianach pejzaże zharmonizowane z krajem, który ich otaczał. Kto by czytał ich gazety, myślałby, że są narodem poetów i marzycieli, których twarde konieczność zmusiła do wojny w obronie honoru, ogniska domowego i wolności. Jeden jednak dobry wiersz napisali podczas wojny, a mianowicie dwuwiersz kredą na wagonach, wiozących ich z daleka w niewiadome:

*Wir fahren hin, wir fahren her,
wir haben keine Heimat mehr!*

Styl „Lemberger Zeitung” był oczywiście taki, jak całej prasy. W tej atmosferze zginąć musiało i miało wszystko. A wojska niemieckie szły naprzód! Gdy zajęły Krzemieniec pomyślałem o rodzinie państwa Kaców, zapewne wszyscy zostali wymordowani, nie inaczej jak tyle tysięcy Żydów w Zdobunowie, Winnicy i innych miastach i miasteczkach Ukrainy.

W tym czasie spotkałem się parę razy z panią Marią Dąbrowską; nie zgłosiła się ona swego czasu do Związku Pisarzy, zachowując niezależność wobec Sowietów, taką samą jak wobec Niemców, od których nie przyjęła honorarium za tłumaczenie. Wyjechała wkrótce do Warszawy i żyła ze sprzedaży tytoniu w małym sklepiku*. Państwo Blumenfeldowie, u których mieszkała za Sowietów, powrócili znowu do „Laokoona”, gdzie on pracował jako fachowiec, ona zajęła się handlem. Jeździła autami ciężarowymi do Ponikwy i kupowała tam *en gros* owoce, mąkę etc., po czym przywoziła je do Lwowa. Pieniądze zarobione szły na AK, o czym dowiedziałem się dopiero dwa i pół roku później. Wszystkie te czynności groziły zgubą przy najmniejszym poślizgnięciu. Zgubą groził też i fałszywy krok, fałszywe spojrzenie na ulicy. Gdy mieszkałem u państwa Weissów, przybiegła do mnie zapłakana żona. Przed chwilą widziała, jak gestapowiec (tzn. oficer SS) zaczął Lidkę i panią Ziemliską. Wychodziły właśnie razem z bramy domu państwa Ziemliskich, żona je pożegnała i wtedy zbliżyło się owo bydlę. Za pół godziny żona zobaczyła się z panią Ziemliską, która jej opowiedziała, że Lidka uwolniła się, odpowiadając z zimną krwią na pytania rasisty:

— *Aber haben sie keine jüdische Eltern gehabt?*

— *Nein, bloss eine Grossmutter**.*

* Błędna informacja. Sklep z tytoniem miała Zofia Nałkowska.

** (Niem.) — Czy aby nie miała pani żydowskich rodziców?

— Nie, tylko jedną babkę.

* (Niem.) Zbrodnię.

Po wyjeździe najmłodszej siostry, najstarsza sprowadziła się na miejsce. Od czasu do czasu siostrzenica z Kadeckiej przynosiła nam nowiny o Niemcach mieszkających u nas. Klócili się między sobą, większość nienawidziła gestapo i uważała, że Wehrmacht powinien objąć władzę. Niejeden z nich wręcz nazywał Adolfa idiotą. Mówili, że wojna skończy się za sześć tygodni. Przy każdej sposobności wyjeżdżali do Krakowa, nawet dalej, po części do samochodów, które im się ciągle psuły. Po naszymu niszczyli meble i gdy wyjeżdżali, darowali nasz fortepian jednemu z nich. Porcelana pani Rzewuskiej została przez nich skradziona, a politura mebli zniszczona przy rozlewaniu wódki. Z ich jazdem skończyły się możliwości Haliny i jej męża. Postarali się o ulepszenie dokumentów i przenieśli się do innej dzielnicy. P. Żukotyńska zła źródło, które nam dostarczyło „tymczasowych legitymacji”, tak jak kiedyś wydawał magistrat i starostwo krakowskie w dniu 1 września 1940 roku. Dopasowaliśmy te legitymacje do nowego nazwiska; miało ono dla nas być niejednym defektem, dla mnie ten, że *ritus**, musiał być *graecus** nie z matrykulą. Ale miało się okazać w przyszłości, że było ono dla nas jednym z defektów. Jeden raz tylko i to przez półinteligentów ruskich, sprawujących władzę, pisarzy gminnych.

1

** (Łac.) Grecki.

... się za sześć miesięcy, tzn. na wiosnę

1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025, 2026, 2027, 2028, 2029, 2030, 2031, 2032, 2033, 2034, 2035, 2036, 2037, 2038, 2039, 2040, 2041, 2042, 2043, 2044, 2045, 2046, 2047, 2048, 2049, 2050, 2051, 2052, 2053, 2054, 2055, 2056, 2057, 2058, 2059, 2060, 2061, 2062, 2063, 2064, 2065, 2066, 2067, 2068, 2069, 2070, 2071, 2072, 2073, 2074, 2075, 2076, 2077, 2078, 2079, 2080, 2081, 2082, 2083, 2084, 2085, 2086, 2087, 2088, 2089, 2090, 2091, 2092, 2093, 2094, 2095, 2096, 2097, 2098, 2099, 2100, 2101, 2102, 2103, 2104, 2105, 2106, 2107, 2108, 2109, 2110, 2111, 2112, 2113, 2114, 2115, 2116, 2117, 2118, 2119, 2120, 2121, 2122, 2123, 2124, 2125, 2126, 2127, 2128, 2129, 2130, 2131, 2132, 2133, 2134, 2135, 2136, 2137, 2138, 2139, 2140, 2141, 2142, 2143, 2144, 2145, 2146, 2147, 2148, 2149, 2150, 2151, 2152, 2153, 2154, 2155, 2156, 2157, 2158, 2159, 2160, 2161, 2162, 2163, 2164, 2165, 2166, 2167, 2168, 2169, 2170, 2171, 2172, 2173, 2174, 2175, 2176, 2177, 2178, 2179, 2180, 2181, 2182, 2183, 2184, 2185, 2186, 2187, 2188, 2189, 2190, 2191, 2192, 2193, 2194, 2195, 2196, 2197, 2198, 2199, 2200, 2201, 2202, 2203, 2204, 2205, 2206, 2207, 2208, 2209, 2210, 2211, 2212, 2213, 2214, 2215, 2216, 2217, 2218, 2219, 2220, 2221, 2222, 2223, 2224, 2225, 2226, 2227, 2228, 2229, 2230, 2231, 2232, 2233, 2234, 2235, 2236, 2237, 2238, 2239, 2240, 2241, 2242, 2243, 2244, 2245, 2246, 2247, 2248, 2249, 2250, 2251, 2252, 2253, 2254, 2255, 2256, 2257, 2258, 2259, 2260, 2261, 2262, 2263, 2264, 2265, 2266, 2267, 2268, 2269, 2270, 2271, 2272, 2273, 2274, 2275, 2276, 2277, 2278, 2279, 2280, 2281, 2282, 2283, 2284, 2285, 2286, 2287, 2288, 2289, 2290, 2291, 2292, 2293, 2294, 2295, 2296, 2297, 2298, 2299, 2300, 2301, 2302, 2303, 2304, 2305, 2306, 2307, 2308, 2309, 2310, 2311, 2312, 2313, 2314, 2315, 2316, 2317, 2318, 2319, 2320, 2321, 2322, 2323, 2324, 2325, 2326, 2327, 2328, 2329, 2330, 2331, 2332, 2333, 2334, 2335, 2336, 2337, 2338, 2339, 2340, 2341, 2342, 2343, 2344, 2345, 2346, 2347, 2348, 2349, 2350, 2351, 2352, 2353, 2354, 2355, 2356, 2357, 2358, 2359, 2360, 2361, 2362, 2363, 2364, 2365, 2366, 2367, 2368, 2369, 2370, 2371, 2372, 2373, 2374, 2375, 2376, 2377, 2378, 2379, 2380, 2381, 2382, 2383, 2384, 2385, 2386, 2387, 2388, 2389, 2390, 2391, 2392, 2393, 2394, 2395, 2396, 2397, 2398, 2399, 2400, 2401, 2402, 2403, 2404, 2405, 2406, 2407, 2408, 2409, 2410, 2411, 2412, 2413, 2414, 2415, 2416, 2417, 2418, 2419, 2420, 2421, 2422, 2423, 2424, 2425, 2426, 2427, 2428, 2429, 2430, 2431, 2432, 2433, 2434, 2435, 2436, 2437, 2438, 2439, 2440, 2441, 2442, 2443, 2444, 2445, 2446, 2447, 2448, 2449, 2450, 2451, 2452, 2453, 2454, 2455, 2456, 2457, 2458, 2459, 2460, 2461, 2462, 2463, 2464, 2465, 2466, 2467, 2468, 2469, 2470, 2471, 2472, 2473, 2474, 2475, 2476, 2477, 2478, 2479, 2480, 2481, 2482, 2483, 2484, 2485, 2486, 2487, 2488, 2489, 2490, 2491, 2492, 2493, 2494, 2495, 2496, 2497, 2498, 2499, 2500, 2501, 2502, 2503, 2504, 2505, 2506, 2507, 2508, 2509, 2510, 2511, 2512, 2513, 2514, 2515, 2516, 2517, 2518, 2519, 2520, 2521, 2522, 2523, 2524, 2525, 2526, 2527, 2528, 2529, 2530, 2531, 2532, 2533, 2534, 2535, 2536, 2537, 2538, 2539, 2540, 2541, 2542, 2543, 2544, 2545, 2546, 2547, 2548, 2549, 2550, 2551, 2552, 2553, 2554, 2555, 2556, 2557, 2558, 2559, 2560, 2561, 2562, 2563, 2564, 2565, 2566, 2567, 2568, 2569, 2570, 2571, 2572, 2573, 2574, 2575, 2576, 2577, 2578, 2579, 2580, 2581, 2582, 2583, 2584, 2585, 2586, 2587, 2588, 2589, 2590, 2591, 2592, 2593, 2594, 2595, 2596, 2597, 2598, 2599, 2600, 2601, 2602, 2603, 2604, 2605, 2606, 2607, 2608, 2609, 2610, 2611, 2612, 2613, 2614, 2615, 2616, 2617, 2618, 2619, 2620, 2621, 2622, 2623, 2624, 2625, 2626, 2627, 2628, 2629, 2630, 2631, 2632, 2633, 2634, 2635, 2636, 2637, 2638, 2639, 2640, 2641, 2642, 2643, 2644, 2645, 2646, 2647, 2648, 2649, 2650, 2651, 2652, 2653, 2654, 2655, 2656, 2657, 2658, 2659, 2660, 2661, 2662, 2663, 2664, 2665, 2666, 2667, 2668, 2669, 2670, 2671, 2672, 2673, 2674, 2675, 2676, 2677, 2678, 26

lassen*, a potem *Nur für Deutsche***. Rusini mieli naoczny dowód, że nie są rasą uprzywilejowaną. Bicie po twarzy lub kopanie za wadliwe wejście do tramwaju policjanci niemieccy uprawiali także względem kobiet. Żołnierze niemieccy tłoczący się z dworca napotykali na trotuarze chłopca nieświadomego, że stoi na drodze teutońskiego pochodu. Żołnierz uderzył go w głowę tak dzielnie, że chłop padł martwy, ale że upadł na trotuar, więc morderca kopnięciem usunął go do rynsztoka i pospieszył dalej. Lud szybko określił sytuację: „Poszedł tyfus, przyszła cholera”.

Nadchodziły liczne wiadomości z Warszawy i z Krakowa; dowiedzieliśmy się, jak zaproszono profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego na wykład o kulturze narodowo-socjalistycznej, i jak po trzech słowach ich aresztowano i wywieziono. Z Warszawy przyszła wiadomość o śmierci Aleksandra Rajchmana i fałszywa o śmierci Białobrzeskiego. Były pogłoski, że Mazurkiewicz i Sierpiński pracują w zarządzie tramwaju warszawskiego czy też w innej municypalnej gospodarce, że Borsuk handluje farbą do bielizny, że Niemcy w Paryżu rozstrzelali Langevina i Borela, że Lebesgue umarł w Ameryce i wiele innych rzeczy***. Z Jasła przyszły szczegóły o tym, jak Jan Adamski pojechał do swego wuja, do Wolicy, by go ostrzec przed rewizją w poszukiwaniu broni, jak go aresztowano na dworcu, gdy wracał, i odesłano do Oświęcimia, gdzie zmarł po paru miesiącach, nie mogąc przetrzymać strasznych udręczeń obozowych.

Już na Kadeckiej przygotowałem się do zmiany tożsamości, przetrzymanie wszystkich dokumentów osobistych i listów. Odbitki przeniósł na przechowanie pan Ciechanowski (pani Ciechanowska była córką mojego sąsiada – Tomanka), pisma patentowe poszły do państwa Wikowskich z całym kosztem zeszytów i książek, m.in. poszło tam wiele egzemplarzy „Fackel”. Książki Karola Krausa zostały w bibliotece, zadeniemy Niemiec nimi się nie zajął; inteligencja ich nie sięgała tego poziomu, nie mogły wywołać dezaprobaty. Część zeszytów „Fackel” została na stryku w kuchni, gdzie trudno było je odnaleźć. Z mieszkania na ulicy Tarnowskiego wziąłem trochę fotografii, komplet „Studia Mathematica”, niestety bez V tomu i pracę pisaną po francusku na maszynie jeszcze za bolszewików. W pracy tej podałem warunek konieczny i dostateczny na to, by obszary płaskie można było podzielić za pomocą koła w przepisanych warunkach. Na ulicy Tarnowskiego już nie pracowałem wcale. 23 listopada rano przyszedł do nas jeden z synów prof. Fulińskiego i pokazał list leżący na stopniu za bramą, a więc właściwie na ulicy. List, zaadresowany

* (Niem.) Dozwolone dla Żydów.

** (Niem.) Tylko dla Niemców.

*** Informacja nie była prawdziwa. Paul Langevin zmarł w roku 1946, zaś Borel w 1956. Natomiast Henri Lebesgue istotnie zmarł podczas wojny, w roku, jednakże nie w Ameryce, lecz w Paryżu.

prof. Fulińskiego i był tej treści: „Wiadomo nam, że na pańskiej parceli ukrywa się rodzina byłego profesora uniwersytetu – St.[einhaus], na którego tropie są »władze niemieckie«, że imiona synów pańskich służą do pokrycia mieszkania prof. Chw.[istka], na którego tropie są również owe »władze niemieckie«, i że jeżeli do tygodnia prof. Fuliński nie ureguje tej sprawy, to zajmie się tym »Komitet polski«, który go pociągnie do odpowiedzialności. Podpisano: Polska Młodzież Niepodległościowa”.

Ciekawe było w tym liście, że piszący nie wiedzieli, że prof. Chw.[istka] nie ma we Lwowie od pięciu miesięcy, również zabawne było, że władze są »na tropie« ludzi, mieszkających w wiadomym domu, i że dały o tym znać owemu „Komitetowi”. Wszystko wskazywało, że autorem listu jest chłopak zamieszkały w suterrenach domu, który miał pretensje do prof. Fulińskiego, a do nas żał, że nie kupowaliśmy u niego wiktuałów, bo stwierdziliśmy, że nas oszukał przy wydawaniu reszty. (Pani Fulińska przeczy temu). Na szczęście mieliśmy już miejsce przygotowane w mieszkaniu pani Wandy Żukotyńskiej (szwagierki szwagra). Nie mogąc ani chwili zostać na łasce „niepodległościowych” szantażystów, spakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i nałożywszy po dwa płaszcze udaliśmy się – połącznawszy się z rodziną państwa Fulińskich najserdeczniej – piechotą, z walizkami podręcznymi w stronę Zimnej Wody. Wtedy dokonałem metamorfozy: oddałem paszport sowiecki państwu Fulińskim, którzy wraz z pracą o kole schowali go na strychu w skrytce. Na ulicy spotkaliśmy prof. Kuryłowicza, który podał nam wiadomość o sytuacji. Widać było, że Roja ochłonęła już po pierwszych klęskach, i że im dalej w przestrzeń rosyjską, tym ciężiej Niemcom. Na przystanku tramwajowym spotkaliśmy panią Lusię O. Pani Lusja zetknęła się z panem Walterem, byłym komisarzem żandarmerii w Jasle, obecnie łącznikiem policji polskiej przy policji niemieckiej we Lwowie. Ten przyjął ją do swego biura jako pracownicę pod nazwiskiem Masłowskiej. Nie powiedzieliśmy jej dokąd idziemy. Ze stacji końcowej tramwaju szliśmy piechotą; szedł z nami chłop, Polak, który zgodził się za niedużą opłatą nieść część naszych rzeczy, póki szliśmy drogą główną. Naszym celem była Zimna Woda, ale nie ta część, która jest znana jako lotnisko i leży po lewej stronie toru do Przemyśla, lecz część po stronie prawej, zwana Rudnem, a w tym Rudnie znowu najdalszy przysiółek, nazwany Osiczyną. Nie wiedząc dobrze jak iść, szliśmy o pół godziny za długo, krążąc. Nasz towarzysz rozmawiał z nami po drodze; opowiadał nam o mordach niemieckich na Żydach. Na moją uwagę, że niektórzy ludzie się z tego cieszą, odpowiedział: „Głupi się cieszą. Bo jak drugim robią teraz tak, tak z tobą zrobią potem”.

U państwa Ottów nie byli przygotowani na nasze przyjście; pani Ottowa leżała w łóżku; w pokoju siedziała jej lokatorka pani Halina Szpondrowska. Była to żona majora w służbie czynnej, który przed wojną był szefem wywiadu wojskowego na Śląsku. Mąż jej został wzięty do niewoli przez Sowietów, zbiegł jednak, dostał się do Kanady i tam służył w broni pancernej. Miała dwóch synów: jeden [Staś] zdał maturę za bolszewików, drugi był dopiero ośmiolatkiem. Znalazła się na Osiczynie już za bolszewików, bo we Lwowie byliby ją znaleźli i jako żonę oficera – wywieźli! Mały Andrzej był tak wytresowany, że nigdy nie mówił o ojcu, a w szkole jako zawód ojca podawał „kolejarz”. Pani Ottowa miała piętnastoletnią córkę Elżę i męża, który za Sowietów był urzędnikiem kwestury uniwersyteckiej, obecnie zaś pracował jako portier i woźnica w sanatorium dla dzieci gruźliczych w Brzuchowicach, gdzie brat jego był dyrektorem i naczelnym lekarzem. Ojciec pani Otto, emerytowany magazynier kolejowy, mieszkał w Krakowie; urodzony w Wiedniu został *Reichsdeutschem*, ale jego syn Witold żadną miarą nie chciał korzystać z przywilejów *Volksdeutsche* i twardo trzymał się swojej polskości przypieczętowanej zresztą obroną Lwowa w latach 1918-1920 i śmiercią brata, polskiego oficera na Westerplatte w 1939 roku. Pani Ottowa pochodziła z Częstochowy, tak jak i pani Szpondrowska. Znały się, pracowały nawet przez jakiś czas w Częstochowie w Banku Polskim.

Przydzielono nam mały pokój, gdzie ledwo stanęły dwa łóżka, a stół już tylko przy oknie znalazł miejsce. Okno, oblepione papierem na donych szybach, służyło za spiżarnię. Nasz poziom życiowy, który spadł tu raz za Sowietów, następnie obniżył się przy opuszczeniu mieszkania, a raz, 24 listopada 1941 roku spadł niemal do poziomu nędzy. Córka nasza i zięć, przybywszy do prof. Fulińskiego, dowiedzieli się w ową niedzielę naszym exodusie; tym sposobem, bez pożegnania, w dniu 23 listopada rozłączyliśmy się na wiele lat z córką i z moją matką. W kilka dni później odwiedził nas nasz zięć, przyszedłszy piechotą ze Lwowa. Opowiedział nam, że wuj Zielony zginął; poszedłszy do getta został, jako mający ponad 50 lat, zastrzelony wraz z tysiącami innych*. Aresztowany został tu też Ludwik Oberländer; jego żona wracała do domu w chwili, gdy go powieszono. Do getta poszedł też były rektor Beck; towarzyszył mu syn nowa, która mogła jako nie-Zydówka nie iść z nimi. Zrozumiałem anonimowy młodzieniec swoim listem wyświadczył nam dobrodziejstwo.

* Leon Zielony, oficer Legionów, nie skorzystał z propozycji ukrywania się, służył fałszywymi dokumentami, jakie proponował mu specjalnie po to przyjeździe do Lwowa dawny legionowy przyjaciel. Nie chciał wyrzec się swego nazwiska i poddania. Zginął w grupie ludzi likwidowanych w getcie z powodu podeszłego wieku.

wyrzucając nas ze Lwowa. Pozostawała kwestia meldunku. Tę 16 grudnia znalazł pan Witold Otto dzięki dobrym stosunkom z wójtem, a także trochę dzięki owemu „gr. kat.” na metryce, co się Rusinom spodobało. Podziękowałem moją żonę za swoją kuzynkę z Krakowa.

Teraz można było myśleć o sprowadzeniu rzeczy. W tym pomogła nam pani Szpondrowska: umówiła się z sąsiadem mającym konia i posłała go do państwa Fulińskich po rzeczy rzekomo swoje. Tam już czekał nasz Janek o umówionej godzinie i rzeczy przyjechały szczęśliwie, chociaż milicjanci ukraińscy kilka razy pytali, czy nie są „żydowskie”. W ogóle pomoc pani majorowej była bezcenna dla nas, bo ani żona, ani ja nie mogliśmy chodzić na stację, gdzie się skupiało życie, nie chcąc spotkać znajomych ze Lwowa. Nie chodziliśmy też do żadnej restauracji, nie braliśmy kartek żywnościowych, nie chcąc znajdować się na listach, bo przewidywaliśmy roboty przymusowe, do których gmina wybierała ludzi właśnie na podstawie tych spisów, niby to dla rozdziału żywności robionych. Wielką pomocą był alfabetyzm ruskich gminnych urzędników; spisy ich ciągle się krzyżowały, gubiły i mieszały.

Kuchnia pani Ottowej służyła i nam; stąd ciągle niesnaski, bo gospodyni skupiła nam opału. Chciała jednocześnie, byśmy płacili jej tyle, żeby nasz pobyt był dla niej dobrym interesem, nie zgodziła się jednak na określoną zapłatę, aby nie rezygnować z zapłaty po wojnie w walucie mającej realną wartość. Była to kobieta młoda, przystojna; całą jej troską było nie umrzeć z głodu; gdy miała jedzenie, jadła za dwóch, trzech, gdy go jej brakowało, leżała z córką w łóżku do południa, oszczędzając na opale i energii; wtedy skracaly sobie czas śpiwając dwugłosem godzinki i liście. Jej córka, bardzo przystojna, całymi dniami przeglądała takie czasopisma jak „As”, „Kino” itd. wypisując z nich nazwiska gwiazd i tytuły filmów; odwiedzała ją koleżanka, panna Paliwodzianka, która miała te same upodobania. Poznaliśmy wkrótce sąsiadów z ulicy Piaskowej, panią Zwięcką, Rusinkę, właścicielkę chałupy naprzeciw naszej; pana Helona, robotnika, pracującego we Lwowie, sąsiada, pana Łęskę, kolejarza i pasażera, pana Mastelkę – emeryta i innych. Niemców, żandarmów, wojska na Osiczynie się nie widywało – nie było tu żadnej ważnej drogi – tak do Przemyśla mijał Osiczyń o półtora kilometra. Tamtędy szły wojskowe auta ciężarowe, a nierzadko też osobowe naładowane ludźmi i rzeczami, uwożące całe rodziny do Generalnej Guberni. Nauczyłem się poznawać fizycznie, co czyniłem zawsze, gdy widziałem jakiegoś inteligenta. Ale przez siedem i pół miesięcy nie spotkałem ani jednego znajomego, chociaż np. już w Zimnej Wodzie mieszkał prof. Szymkiewicz i zapewne jeden jeszcze lwowianin. Na szczęście nie miałem nigdy wielu znajomych poza dosyć specjalnymi sferami.

Przeprawa opału nie była łatwa, bo Niemcy objęli lasy w zarząd i nie sprzedawali nikomu drewna. Tak samo nie było mowy o legalnym kupnie wę-

gła. Trzeba było się wziąć do kradzieży gałęzi z lasu. Było to miłe zajęcie, bo połączone z chodzeniem po lesie. Omijanie leśniczych przy pewnej wprawie nie jest trudne; kij i sznur to jedyne potrzebne przybory. Codziennie spędzałem przynajmniej godzinę w lesie.

**

Tv 1 Zimna Woda leży na zachód od Lwowa, dlatego wiatry, które przez wiele godzin wieją z zachodu, nie przynoszą pyłu i sadzy z miasta. Powietrze jest czyste, jeszcze tym lepsze, że lasy leżące po stronie zachodniej nie dopuszczają ostrego powiewu. Podłoże jest piaszczyste; po deszczu nie było koło nas nigdy błota. Rudno nosi swą nazwę od rudawych traw pokrywających step. Ku północy step się obniża i już niedaleko naszego domu tworzy bagna, dzielące Osiczyne od tzw. Połonek. Droga piaszczysta na zachód mija bagna i idzie między dwoma torami. Ponadto w kierunku Brzuchowic leżą dwa lasy przedzielone stepami. Wszystko to zwiedziłem najdokładniej; mogłem chodzić godzinami nie spotykając człowieka, chyba starą babę kradnącą drewno, tak jak ja. Czasem towarzyszył mi mały Andrzejek. Był to chłopak niezmiernie ambitny. Na wszelki sposób chciał pomóc swojej matce i nieraz włókł za sobą olbrzymią gałąź, płacząc, gdy mu sił brakło, ale nie dając nigdy za wygraną. Nasze pożywienie składało się rano z kawy z mlekiem albo żuru, w południe z zupy z grochem i kluskami, wieczorem z kawałka chleba ze słoniną i herbaty. Żona nauczyła się szybko przynosić szyszki z lasu na opał, piec chleb w piecu pokojowym, przyrządzać zupy ziemniaczane i piec dołki – to potrawa świąteczna. Pan Otto przyjeżdżał zwykle w niedzielę końmi z sanatorium. Był to człowiek młody, umiejący doskonale radzić sobie z siekierą, młotkiem, świdrem i obcęgami; miał pełno roboty, gdy przyjeżdżał, rąbał drzewo, naprawiał drzwi i okna, naprawiał studnię, gdzie nieraz urywało się wiadro, odmieniał śnieg itd. Ja też nauczyłem się rąbać drzewo, w czym pierwsze lekcje dawał mi Andrzejek, który doskonale to robił. Nosilem też wodę dla całego domu, nieraz dziesięć wiader i więcej. Pani Ottowa miała ciągle różne sprawy we Lwowie, jeździła tam, lub chodziła piechotą; nieraz nie było jej w domu przez kilka dni. Staś Szpondrowski już za bolszewików pracował w warsztatach kolejowych; teraz pozostał przy tym zajęciu, które dawało mu ochronę od wywózki do Niemiec i jakie takie racje żywnościowe. Jeździł rano do roboty – wracał wieczorem. Tym więcej przebywaliśmy w towarzystwie pani majorowej. Pani Halina była używana przez panią Otto do najcięższych robót w domu. Pani Tosia umiała ją przekonać, że za udzielenie jej dachu nad głową może żądać od niej nie tylko sukien, walizek i różnych przedmiotów, które przez tych parę lat przeszły z ręki lokatorki w ręce gospodyni, ale także wymagać od niej i od jej synów posług, posyłek i pracy. Staś buntował się przeciw temu, ale

pani Halina straciła wszelką siłę i ochotę do oporu. Było to tym dziwniejsze, że miała matkę i siostrę w Częstochowie, wielu jeszcze znajomych i przyjaciół męża, którym się nieźle powodziło i mogła myśleć o powrocie do Częstochowy. Ale pani Tosia umiała ją nastraszyć, że Niemcy zaaresztują ją i synów, mszcząc się za ojca szefa wywiadu śląskiego. Była i ta trudność, że zwolnienie Stasia z warsztatów wydawało się niemożliwe. A stosunki w tych warsztatach były prawdziwie niemieckie; pracowników nawet starych, wysłużonych polskich kolejarzy, bito pałkami gumowymi za każdą niedokładność. Staś znosił to wszystko dla matki i brata. Dozorca domu, w którym dawniej mieszkała pani Halina, okazał się nadzwyczajnym człowiekiem. Staś miał tam we Lwowie stację odpoczynkową, tam też Janek przynosił dla nas rzeczy. Nieraz pani Knastrowa oddawała kupione dla nas wiktuały – i to wszystko dochodziło do nas bez uszczerbku – na plecach Stasia. Mieszkanie pani Szpondrowskiej zajmowali jej znajomi, a reszta mebli i rzeczy została zajęta przez jej służącą, która nie chciała ich wydać, grożąc bylejaką denuncjacją przed Niemcami, gdyby próbowała je odebrać.

**

Zbliżało się Boże Narodzenie. Miało odbyć się przyjęcie u państwa Ottów; oprócz domowników oczekiwano dwóch towarzyszy pana Otto z Brzuchowic, montera ze Śląska i jego syna. Obaj byli tam zajęci przy centralnym ogrzewaniu i przy koniach. Z Lwowem łączność nasza była luźna; czasem odwiedzała nas pani Morska, osoba pełna odwagi i optymizmu. Wymienialiśmy też listy z panem Knastrem. Janek z Lidką jeszcze przed Bożym Narodzeniem pojechali autem ciężarowym do Warszawy z wszystkimi rzeczami, nawet częścią naszych. Matka z najstarszą siostrą wyjechały do Krakowa i znalazły, dzięki siostrze mojej Irenie, mieszkanie w Krzeszowicach. Ocalenie matki zawdzięczam prof. Fulińskiemu. Dał jej metrykę Julii Widajewicz, swojej zmarłej matki. Janek przed wyjazdem jeszcze dał do zakopania kilkadziesiąt „czwórek”, tzn. czterorubłówek dawnej służącej państwa Blumenfeldów, pani Stanisławie Nodze. Nigdy nie zawiodła naszego zaufania i mimo niebezpieczeństwa i trudności, na każde żądanie wydawała je wskazanym osobom. Janek jeździł kilka razy z Warszawy do Lwowa wioząc różne towary, ale nie zawsze miał czas nas odwiedzać. Zima była sroga. Mrozy dochodziły do 40°, a drogi były zasypane śniegiem. Niemcy wydali zarządzenie odbierające Żydom futra, a wszystkim narty i obuwie narciarskie. Wiadomości były skąpe; tym, który je przynosił z kielbasą i serem, był Ślązak, pan Dziadura, swego czasu sztygar i wielki działacz polski w Karwinie i na Zaolziu. Dowiedziałem się od niego, jaką politykę tam uprawiano. Gdy trzeba było poskarżyć się na Czechów za granicą, a oni przez długi czas nie robili nam nic złego, wtedy

młodzież nasza wybijała szyby w „Sokole” lub w polskim gimnazjum w nocy, a potem czytało się w „IKC” o barbarzyństwie czeskim. Pan Działdura uważał, że najważniejszą sprawą w tej wojnie jest sprawa Zaolzia, że jego przyszłą funkcją będzie sprawowanie rządów komisarycznych w Karwinie.

Wkrótce wziąłem się do robienia zapisków matematycznych. Wprawdzie nie mogłem skupić myśli na poważnej pracy, ale mogłem zapisywać pytania i uwagi, które wpadały mi do głowy. Naokoło srożyła się zima i głód. Ludzie rznąli meble, ażeby mieć trochę opału, bo nie każdy umiał kraść w lesie, a zresztą z Zimnej Wody nie było tak łatwo niepostrzeżenie dotrzeć do lasu. Ceny wiktualów szły w górę, a przywóz z gminy do gminy był zakazany. Chłop, który wziął pieniądze na pszenicę i pojechał po nią w stronę Tarnopola, został po drodze przyłapany przez Niemców; zboże mu odebrano, jego pobito i trzymano przez dzień cały w pracy przymusowej. Nic dziwnego, że ludzie, zwłaszcza starsi, marli z głodu i zimna. Inni radzili sobie cudem. Gdy nadeszła wilia Bożego Narodzenia, mały Andrzej wyprosił pozwolenie pójścia do szkoły w Zimnej Wodzie na jasełka. Wieczorem zrobiła się zawierucha śnieżna i straszny mróz. Chłopczyk nie wracał, a miał trzykilometrową drogę w pustce, bez światła, po zasypianych polach, w których dorosli tonęli w śniegu po pachy. Już baliśmy się o jego życie, gdy nagle nadszedł ciągnąc za sobą olbrzymią gałąź jodłową „na opał dla mamy”.

A tymczasem we Lwowie dalej łapano ludzi. Helonowa zwykle wozila mleko, chleb i inne produkty na sprzedaż do Lwowa i z tego żyła. Małe dzieci były przez ten czas zamknięte w domu, bo ojciec też spędzał cały dzień na robocie we Lwowie. Robotnikom jadącym do warsztatów lwowskich niemiecka policja nie jeden raz odbierała chleb, który brał z sobą na całodzienną pracę. Któregoś dnia dworzec lwowski otoczyła policja, zaczęła ładować ludzi na auta ciężarowe; wywieziono ich do obozu, a potem do Niemiec; tylko dzięki polskiemu policjantowi, który wskazał jej wyjście, Helonowa uniknęła wywózki. Ze wsi też zaczęto wywozić młode dziewczęta do Niemiec, wyciągając je w nocy z domów. Działała tu policja ukraińska, która w ten sposób dała się poznać swoim kompatriotom. Rusini dosyć szybko otrzeźwiali i postanowili nie tworzyć ochotniczych formacji, ale zabawa w milicję i władza po wsiach i gminach dogadzała im bardziej. Zwłaszcza, że łączyło się to z konfiskatą po drogach mleka, jaj, masła wiezionego przez baby ze wsi do miasteczek i do Lwowa. Duchowieństwo ruskie, przerażone mordowaniem Polaków, nawoływało z ambon do zaprzestania mordów, ale nie mówiło o Żydach, tak jakby pochwalało straszliwe masakry, których dopuszczała się ludność raska przy wkraczaniu Niemców. Prócz milicji ukraińskiej była i policja polska, jednak używana tylko na zachodzie, a sami Niemcy mieli *Schutzpolizei*, *Sicherheitspolizei*, *Kriminalpolizei*, *Feldgendarmarie*, *SS-Polizei*, *Sonder-*

dienst, *Gestapo*, *Bahnschutzpolizei*, *Wehrschutzpolizei* itd. Zdawało się, że postanowili zaaresztować cały świat. To oni wymyślili generałów policji. Wkrótce powstały we Lwowie obozy, do których spędzono tysiące ludzi aresztowanych po całym świecie – Polaków, Żydów, Rusinów, kobiety, dzieci, mężczyzn, paskarzy, złodziei, inteligentów – słowem, wszystko skupiono za drutami kolczastymi, głodząc i bijąc ludzi nie wiadomo za co i nie wiadomo w jakim celu.

A tymczasem prasa niemiecka zachłystywała się zachwytnymi nad ładem, porządkiem, bezpieczeństwem i czystością, jaką przyniósł na swoim bagnecie niemiecki żołnierz *in diesem Raum**. Czytając „*Lemberger Zeitung*” dowiadywał się czytelnik, że teraz każdy ma zapewnioną pracę, należyte wyżywienie i opiekę lekarską, a nawet rozrywki. Kto nie umie znaleźć pracy, może dać się zwerbować do Niemiec, gdzie czekają na niego schludne mieszkania, gdzie przy pracy słucha się koncertów, a za zarobione pieniądze można kupić sobie bieliznę, ubranie itd. Ale propaganda niemiecka nie liczyła się z tym, że we Lwowie można było dostać także „*Völkischer Beobachter*”. W tej gazecie czytałem, jak pewien chłop niemiecki tak się zaprzyjaźnił z jeńcem polskim przydzielonym mu na robotę, że jadł z nim przy jednym stole, fotografował się z nim razem, a córka nawet nawiązała stosunek z Polakiem... za co został skazany ów Polak na karę śmierci, a nazwisko jego i wyrok ogłoszono w gazetach!

Gdy najgorsze mrozy minęły, zaczęliśmy znowu zwiedzać okolicę. Wiosna na wsi jest inna niż w mieście, bo codziennie można zauważyć coś nowego. Zaczęło się od cudownych świateł, gdy bagna na Połonkach stopniowo tajały. Pod zachód – śnieg był fioletowy, zielony, niebieski i różowy, a w dali odtajałe bagno świeciło żółtopomarańczowym żarem. Nie widziałem nigdy w życiu tak pięknych kolorów. Ptaki już też zaczynały podzwaniać, ale pani Halina właśnie wtedy popadła w najgłębszą depresję, bo już nie miała środków do życia, a gospodyni nasza ciągle jej przynosiła przykłady ludzi znajomych, którzy umarli z głodu lub zamarzli. Od Żywieckiej, mieszkającej naprzeciw, dowiedzieliśmy się, co oznaczał duży dół z wapnem na naszym obejściu. Otóż Żywiecka żyła z niejakim Karolinem, starszym człowiekiem, który pracował z nią razem i mieszkał u niej od kilku lat. Rozszedł się z żoną, która wysledziła jeszcze przed wojną jego obecną siedzibę. Pani Tosia postanowiła ją wziąć na służącą na złość Żywieckiej. Ponieważ żywiła ją, a nie liczyła sobie za nic jej posług, wynagrodzenie od Żywieckiej, żonie Karolina – alimenty od męża, a jej samej – wynagrodzenie od służącej – za wikt. Była tak pewna tej konstrukcji prawniczej, że zaskarżyła wprost Żywiecką o sumę obliczoną tak, aby Żywiecka musiała jej oddać chałupę, nie mając gotówki. Wapno było już przy-

* (Niem.) Na te tereny.

gotowane na obalenie domku, w którym pani Tosia zamierzała urządzić pralnię. Tę historię godną pióra Maupassanta podają jako charakterystykę pani Tosi.

Naturalnie czytaliśmy niemieckie gazety. Były one mniej irytujące niż polskie; propaganda niemiecka po polsku miała specjalnie obrzydliwy smak. Metoda propagandy niemieckiej polegała na ścisłym rozgraniczeniu między rzeczami, których istnienie jest uznane oficjalnie, a tymi, o których nie wolno nawet napomknąć. Gdy się trzyma tej zasady, można już pisać o różnych cudach nawet prawdę. A więc oficjalnie i prasowo istniały takie rzeczy, jak wyścigi konne w Lublinie, zawody futbolowe między *Ost-Eisenbolenerami*, a powiedzmy drużyną *Deutsche Post Osten*, koncert skrzypaczki z Hamburga we Lwowie, wizyta pana Tiso u pana Ribbentropa, i wiele, wiele innych spraw, wśród których fotografie generał-gubernatora otwierającego wystawę, przyjmującego delegację chłopskie, inaugurującego akademie partyjne, zajmowały niemal tyle miejsca, ile fotografie niemieckich tanków, *Ritterskreutzträgerów*, żołnierzy mierzących prosto w czytelnika i patrzących ponuro spod stalowego hełmu, stad aeroplanów, jeńców prowadzonych chmarami. Natomiast ani widzieć na rycinie ani czytać nie było można o morzeniu głodem na śmierć jeńców, o tym, jak się wiąże ręce drutem kolczastym, jak każe skazańcom samym kopać sobie groby, jak się morduje niewinne kobiety, dzieci, starców, jak się wywozi ich w samych koszulach, kładąc pokotem w autach i jak się bije kolbą każdą głowę, która się podniesie. I to jest cała tajemnica: można wypisywać całe strony o narodowym socjalizmie, jego ideałach i jego historii, o jego misji kulturalnej, o niemieckiej uczciwości, prawości, czystości i odwadze, można zarzucić Anglikom barbarzyństwo, a Francuzom sybarytyzm, można piórami setki poetów, filozofów, historyków i felietonistów pisać setki prawd: wszystkie te prawdy będą miały tylko jedno na celu, tylko jednemu będą służyć: będą zagłuszać rzeczywistość, którą każdy mógł sprawdzić, zobaczyć, stwierdzić, jeżeli jej nie doznał na sobie lub na swojej rodzinie. Sonety czułych liryków, aforyzmy głębokich myślicieli, anegdoty finezyjnych narratorów, fotografie roześmianych i obnażonych pływaczek i aktorek, artykuły dra Goebbelsa i jego uczniów, popularyzacyjne wywody fizyków i biologów, cięte i zwięzłe lub ciężkie i rozwlekłe prace ekonomistów o sytuacji na rynku bawełnianym, prognozy co do światowej produkcji niklu i aluminium po wojnie – to wszystko było tylko setką poduszek mających zagłuszyć jęk mordowanych w Krakowie, Oświęcimiu, w Majdanku Lubelskim, w Lesienicach. Miało pokazać światu i ludziom, że nic podobnego nie ma, być nie może, bo przecież prasa, która donosi o wszystkim, która wie, jak się udały tego roku konopie na

Filipinach i zna się na tajnych arkanach wewnętrznej polityki argentyńskiej, musiałaby chyba o tym donieść!

Migawki pamięci

Bolszewicy dziwili się niezmiernie zwyczajowi trzymania psów domowych; nie mogli chyba pojąć, że ludzie mają dosyć jedzenia, by starczyło jeszcze i dla psów. Sami, gdy brali bydło na rzeź dla wojska, nie karmili go wcale, uważając, że doskonale wytrzyma kilka dni bez jedzenia.

Gdy polska armia w kwietniu i maju 1940 roku walczyła o Narwik w Norwegii, komuniści nasi we Lwowie mówili: posłano ich na San Domingo. To idiotyczne porównanie świadczy najlepiej o niweczącym wpływie dialektycznego materializmu na tkankę mózgową. Bo pod Narwikiem armia polska walczyła dalej z tym samym wrogiem, z którym biła się pod Warszawą, a który głosił zagładę państwu polskiemu i przygotowywał eksterminację narodu. Na San Domingo armia polska walczyła przeciw Murzynom, którzy o Polsce nie słyszeli i przelewała krew za interesy kolonialne Francji, spodziewając się, że kiedyś Francja się odwdzięczy.

Aresztowani przez bolszewików: Grubiński, Skuza, Paweł Hertz, Lewin, Parnicki, Aleksander Wat, Peiper.

W 1929 roku poznałem panią M. Rem. i powiedziałem jej po dziesięciu minutach znajomości, że muszę wybrać się z nią na samotny spacer. Ona w tej chwili zgodziła się. Po paru dniach poszliśmy razem w stronę Ż. Znalazłszy się na otwartych polach pani M. Rem. odwróciła się do mnie i powiedziała: „muszę pana prosić o jedną rzecz”. Przerwałem jej: „niech pani nie kończy, bo ja wiem, o co pani chodzi. Jest to prośba dosyć dziwna i rzadka, ja wiem”. I tak było.

Pewnego dnia Sowietci ogłosili, że złote polskie tracą ważność i że można je wymienić na ruble do wieczora w Banku Państwowym. Ponieważ setki tysięcy ludzi miało złote, więc wymiana w ciągu sześciu godzin była niemożliwa, zwłaszcza że robotnicy mieli dzień roboczy, jak zwykle. Ponieważ niektórzy z nich w przeddzień otrzymali pensję w złotych polskich od tego samego pracodawcy, który teraz te pieniądze uznał za bezwarto-

ściowe, żądali więc wymiany od kasjerów fabrycznych. „Dlaczego chcecie zmienić te pieniądze” pytali politycy. „Bo są bezwartościowe”. „Jeżeli tak, to jak możecie proponować kasom państwa sowieckiego przyjmować nie pieniądze bezwartościowych”.

Po wyjściu bolszewików znaleziono między zgubionymi przez nich dokumentami (większość jednak spalili) albumy fotograficzne NKWD. Były to zdjęcia robione niepostrzeżenie na ulicy, w kawiarni, w tramwaju. Nie raz jedna i ta sama osoba była zdejmowana kilka razy, *en face* i z profilu przy stoliku kawiarnianym, sama lub w towarzystwie. Byli tam różni ludzie, np. młode panie z wózkami z dziećmi, oficerowie sowieccy, a co najdziwniejsze NKWDziści w uniformach, nieraz uparczywie fotografowani przez swoich kolegów jako podejrzani. Może też chodziło o kontrole – z kim rozmawiają?

Ze Lwowa pisałem kilka razy do M.K.* w Baltimore. Chcąc mu dać pojęcie o reżimie udawałem, pisząc, półwykształconą Żydówkę z prowincji donoszącą mu o zachowaniu dzieci, innym razem znowu pisałem jako obłąkany filolog o tym, co znalazłem w średniowiecznym pamiętniku świętej hiszpańskiej piszącej po łacinie. Sowietci zapewne tego nie rozumieli, a M.K. i M.B. na pewno powiedzieli komu trzeba. Tym sposobem przyczyniłem się może do wyrobienia opinii wuja Sama o wuju Józefie.

Gdy u Karola Kossaka słuchaliśmy radia we wrześniu 1939 roku, odegrał się żeński alt, modulowany wzruszeniem. Mówiła Francuzka i to tak, jak tylko potrafią mówić dobre paryskie aktorki; apelowała do swych znajomych, mówiąc:

— *Je te vois, Roger, tu reconnais ma voix, et toi, Paul et toi, Maurice, vous savez bien que je dis la vérité; les Allemands sont des hommes comme vous, ils ont des sœurs et des femmes, des mères et des fils, comme vous, pourquoi se laisser tuer et les tuer, pourquoi**.*

Mówiła z niemieckiej stacji:

— *On ne m'a pas appelée ici, je suis venue seule***.*

* Marka Kaca.

** (Fr.) Widzę cię, Rogerze, poznajesz mój głos, i ty – Pawle, i ty – Maurice, wiecie, że mówię prawdę. Niemcy są takimi samymi ludźmi jak wy, mają siostry, żony, matki i córki, jak wy. Dlaczego więc zabijać siebie i zabijać ich, dlaczego?

*** (Fr.) Nie przyzwano mnie tu. Przyszłam sama.

To żerowanie na pacyfizmie francuskim przez jaguara, który zaangażował sobie francuską kurwę, było jednym z najohydniejszych wrażeń wojennych.

**

W zasypanej śniegiem Osicynie nie pojawiali się goście. Dopiero z wiosną 1942 roku zaczął odwiedzać panią Tosię tzw. „malarz”. Był to człowiek inteligentny, oberwany i głodujący, w którym pani Halina rozpoznała jednego z wysokich oficerów polskich II Oddziału. Raz pojawił się nawet w Zimnej Wodzie w mundurze niemieckiego SS; chwalił się, że zamordował osobiście wielu Żydów; jeździł aż na front i namawiał panie, by pomagały mu szmuglować tytoń. Swego właściwego zajęcia nie objawił, a my nie chcieliśmy się z nim widywać.

Z wiosną przyszła do Lwowa wiadomość o masowym wywożeniu Żydów do Bełżca; ładowano starców i dzieci, kobiety i chorych, wrzucając ich do tramwajów jak worki i wywożono pociągami do komór gazowych w Bełżcu. Ludność nie bardzo się tym przejmowała; po pierwsze, jeszcze pamiętała Żydom ich filozofie nastawienie, a po drugie miała dosyć własnej biedy. Zaczęło się budowanie lotniska w Skniłowie. Powierzono je firmie prywatnej Hoffmana we Lwowie. *Arbeitsamt* na podstawie list sporządzonych przez gminy adresował pocztówki do różnych osób, nakazując im stawić się natychmiast do biura firmy Hoffmana we Lwowie przy ulicy Romanowicza. Nasz znajomy robotnik Helon dostał taką kartkę i od tej chwili stał się niewolnikiem firmy Hoffman. Stosunek tej firmy do dostarczonych jej niewolników był nie inny, jak egipskich budowniczych do tłuszczy zatrudnionej przy budowie piramid. Dozorcy z firmy Hoffmana chodzili z pałkami gumowymi, bijąc każdego, kobietę czy wyrostka, chłopca czy inteligenta, który na chwilę przystanął lub nie zdołał unieść ciężkiej szyny czy kamienia. Dzień pracy trwał dziesięć godzin, droga nieraz cztery kilometry tam i tyle z powrotem. Na próbę protestu zbiry odpowiadały groźbą, że doniosą policji, która na miejscu zlikwiduje opornego. Helon miał przepuklinę; powiedziano mu, że ma pracować z przepukliną, albo operować się. Zatrudniono tam kilka tysięcy osób, dając im robotę raczej niepotrzebną, bo lotnisko urządzone przez Sowietów było zupełnie wystarczające. Wkrótce część była gotowa i od rana do wieczora wyjeżdżały i przyjeżdżały ciężkie transportowce niemieckie przelatując nad naszą wioską. W nocy z lotniska unosiły się czerwone rakiety wskazując drogę spóźnionym ptakom. Mała byłaby to rozrywka, gdyby nie to, że budzenie się wiosny na wsi jest procesem tak pełnym niepokojów, zmian i dziwów, że każdy dzień dostarcza nowych sensacji. Każdy tydzień daje inny kolor niebu i śniegom, inne kwiaty wychodzą z ziemi, naprzód zawiłce, potem pier-

wiosnki, potem niebieskie przylaszczki; inne ptaki nadlatują i coraz większą wrzawę robią w lesie. Mieliśmy aż za dużo czasu na oglądanie wiosny. Dzięki temu, że nie braliśmy kartek chlebowych, nie otrzymaliśmy „zaproszenia” od firmy Hoffmana; same meldunki nie pozwalały nas znaleźć, gdyż były zanadto niekompletne i chaotyczne.

16 maja 1942 roku odwiedził nas nasz zięć, który był parę dni we Lwowie. Wtedy pani Tosia nie pozwoliła mu nocować w wolnym pokoju na II piętrze i musiał spać u sąsiadki. Pokoje na górze były wolne, gdyż pani Szpondrowska z synkiem wyjechała do Częstochowy; zabrała ją z sobą pani M. Laskowska, siostra pani Haliny, która specjalnie po to przyjechała. Dziwnym cudem Staś otrzymał zwolnienie z warsztatów i w miesiąc później wyjechał za matką. Żał nam było bardzo naszych przyjaciół, zwłaszcza młodego Andrzejkę. Ale Wielkanoc spędziliśmy jeszcze razem. Wtedy nauczyłem się nowej sztuki: robienia pisanek atramentem. Tajemnica jest bardzo prosta: trzeba cierpliwie punktować jajko kółeczkami aż zrobi się łańcuszek, potem otoczyć go innym ornamentem, np. klamerkami, aż się zrobi wstążeczka, itd., itd. Po dwóch godzinach chińskiego mozołu pisanka jest gotowa.

* *

Kukułka darła się codziennie od świtu. Wtedy zobaczyłem ją pierwszy raz z bliska, ale nauczyłem się jej zwyczajów dopiero później: zawsze przelatuje milczkiem i na nowej pozycji natychmiast kuka. Na błotach pojawiały się czajki, które wydają radosny okrzyk zanim się rzucą w korkociągowy spad; umieją odpędzić stado wron, a nawet straszą człowieka, rzucając się na niego z góry, niby to dziobem. Robią to tak długo, jak długo jest się w pobliżu gniazda. W lesie zobaczyłem wtedy pierwszy raz żółte wilgi. Mają kolor kanarkowy, jak tropikalne ptaki i są całkiem spore. Ich gwizd przypominał mi stałe mojego przyjaciela Jana Adamskiego zameczonego w Oświęcimiu przez Niemców, bo zawsze dawał znać o sobie tym gwizdem, gdy wieczorem wywoływał nas stojąc pod oknem w Rynku, w Jasle. Potem nauczyłem się zbierać szczaw, który tutejsze dzieci nazywają „kwasok”. Było go dużo i łatwo dawało się go zbierać na zupełną dwojgę. Później pojawiły się poziomki, rosły w gęstych zielonych trawnikach wśród zagajników i przez kontrast świeciły w trawie jak maliny. Mieliśmy więc czasem taki luksus jak poziomki ze śmietaną. Państwo Grünhutowie, którym posłaliśmy do Truskawca nasze zimowe rzeczy, nie otrzymali ich, a potem straciliśmy z nimi kontakt. Gdyśmy jeszcze byli we Lwowie, chcieli tam przyjechać i zamieszkać z nami, nie zdając sobie sprawy, że my już jesteśmy niczym i musimy się tułać i ukrywać. Od Janka dowiedzieliśmy się, że na pierwszym mieszkaniu w Warszawie Lidka nie mogła

pozostać: gospodyni kwestionowała jej tożsamość, a nawet jej paszport, zaopatrzony w roku 1938 i 1939 kilkunastu pieczęciami, wizami i stemplami. Powiedziała, że uważa ją za Żydówkę. W Warszawie typ jej urody à la May Wong rzeczywiście odbija od mazurskich zadartych nosów i szerokich gęb bardziej niż we Lwowie, gdzie krew ruska i ormiańska przyzwyczała oko do różnych typów nie tylko armenoidalnych, ale nawet negroidalnych.

Nadjechał nowy gość, którego obawialiśmy się: ojciec pana Otto, *Reichsdeutsch* z Krakowa. Był to człowiek, którego Bergson zaliczyłby do typu *homo faber**. Podziwiałem jego syna, Witolda, jak sprawnie i szybko naprawiał klamki, zawiasy, sztachety, ale jego ojciec był nieporównanie sprawniejszy, mimo podeszłego wieku. Umiał uprawiać grządki, sadzić, okopywać, plewić i od rana do wieczora był czynny. Umiał, prócz tego, robić sam narzędzia; młotek osadzony przez niego na ręczce własnego wyrobu był lepszy niż kupiony, siekiera naostrzona przez niego była jak nowa, a furtka dopiero od jego przyjazdu zamykała się jak należy. Nie mówiliśmy o polityce, ale pośrednio przez syna, dowiedziałem się, że namawia go do zapisania się na *Volksdeutscha*. Nie wierzył w opowiadania o mordach niemieckich, uważając je za *Greuelpropagandę* polską. Było to już po setkach tysięcy ofiar, musiałem więc przyznać Bergsonowi rację, że *homo faber* to nie *homo sapiens*. W rozmowie ze mną jednak dał poznać, że ma wątpliwości co do zwycięstwa niemieckiego. Bo na wiosnę 1942 roku było już widoczne, że Rosja stanowi ciągle jeszcze poważną siłę, i że trudności armii niemieckiej rosną w miarę posuwania się w głąb. Straszliwa zima 1941/1942, długa i ostra ponad spodziewanie, przeraziła żołnierza niemieckiego i osłabiła ducha. Amerykańskie wypowiedzenie wojny Niemcom w grudniu 1941 roku nie było już dla nich miłe, bo Japonia, nie walcząc z Rosją, nie była dostatecznym ekwiwalentem. Ale Rusini, półinteligenci wiejscy i milicjanci mówili: „Co to Ameryka! Tych kilku Żydków!” To zdanie dowodziło tym większej głupoty, że emigracja ruska do Ameryki była spora i setki chłopów widziało amerykańską wielkość na własne oczy.

Pan Witold namowom ojca nie uległ i *Volksdeutschem* nie został. Byli też i inni Polacy niemieckiego pochodzenia, którzy nie poszli za kartkami żywnościowymi uprzywilejowanego *Volku*. Był nawet w Rudnie i taki, który słabo po polsku mówił, ale stał dzielnie w ogonku, gdzie miejscowa ludność wyczekiwała na swoje szczupłe racyjki. *Nota bene* „wyższa rasa”, tzn. Rusini, musieli się kontentować tymi samymi racjami, co powinno było ich otrzeźwić.

Do osób niemieckiego pochodzenia, które trwały przy polskości, należała pani Kamila Speidlówna. Jej rodzina z dawna przyjaźniła się z rodzi-

* (Łac.) Człowiek – wytwórca. Rzemieślnik.

na Ottów. Ona sama była obecnie w Zimnej Wodzie, pomimo emerytury wysłużonej w Dyrekcji Poczty za polskich czasów, kaleka, gdyż kulą na jedną nogę, bez pomocy znikąd. Odwiedzała nas często pod nieobecność pani Tosi i ułatwiła nam niezmiernie późniejszy wyjazd z Osiczyny.

Na wiosnę pojawiły się ciekawe wiadomości od chłopów jeżdżących po zboże w Rzeszowskie i Tarnopolskie. Opowiadali o uzbrojonych ludziach, którzy nie pozwalali im jechać, czasem odbierali buty, a czasem przepuszczali bez szkody. Były to związki leśnych band ukraińskich. Trafiali się wśród tych band też sowieccy i niemieccy dezterterzy, ale nikt dokładnie nie wiedział, skąd się biorą i czego chcą ci leśni ludzie. A ja niemal codziennie też chodziłem po lesie w celach zgoła niekrwawych. Przy szukaniu poziomek parę razy natrafiłem na młodego jastrzębia, który spłoszony nie mógł się wydostać z płataniny gałęzi zagajnika, nie myślał jednak o obronie. Raz nastraszyłem się niemało usłyszawszy tuż za głową jakby świst kuli karabinowej. Był to mały ptaszek, który rzucił się na mnie lotem nurkowym, gwizdnął tuż za głową, przeleciał i usiadł na gałęzi przede mną o kilka metrów wpatrując się we mnie ostro. Za chwilę powtórzył nurkowy atak celując mi między oczy i podrywając lot w ostatniej chwili. Ptaszek był groźny przez swoją determinację i lepiej przygotowany do życiowych niebezpieczeństw niż jastrząb. Jeszcze później spotkałem go w tym samym miejscu.

W zagajniku można było leżeć godzinami na trawie mając niebo nad sobą; nikt tamtędy nie chodził, nawet gajowi, a drogą piaszczystą położoną o paręset metrów dalej jeździli tylko chłopci. Wojska ani aut nigdy tam nie widziałem, policji ani żandarmerii nie spotkałem ani razu przez siedem i pół miesiąca. Tak długo bowiem byliśmy na Osiczynie i byłibyśmy zapewne siedzieli jeszcze dłużej, gdyby nie gorliwość urzędnika gminnego Bułata, który miał przeprowadzić kontrolę ludności i uparł się wciągnąć nas na listę zamieszkałych, obiecując niesłychane „przydziały” i inne dobrodziejstwa kartkowego reżimu. Na próżno tłumaczyłem mu, że wyjeżdżamy lada dzień, w mojej obecności jego żona nazwała go „starym pyskiem” oburzona jego głupotą i tchórzostwem. Ten Polak bał się jednak, że Ukraińcy zadenuncjują go przed Niemcami. Znowu muszę mu być wdzięczny, bo przyspieszył naszą decyzję wyjazdu. Nie mogłem dopuścić do przystania mi nakazu pracy, ponieważ musiałbym iść z nim na ulicę Romanowicza do Lwowa. Dzięki pani Kamie i [nazwiska nieczytelne] zaznajomiliśmy się z jakimś panem Stasiem, który pracował w warsztatach kolejowych. Ten miał kupić dla nas we Lwowie bilety do Stróż, bo w Zimnej Wodzie ich nie sprzedawano, zamówić kolejarzy, którzy mieli nas wepchnąć do wagonu i pojechać z nami dla wyrobienia nam w Dębicy miejsca w pociągu. Środki te były potrzebne, bo pociągi były zawalone ludźmi, zwłaszcza tzw. paskarzami, to znaczy babami, chłopami, panienkami z przedmieść itd., którzy jeździli ze Lwowa do Dębicy, tam

kupowali produkty po cenach znacznie niższych niż lwowskie i przywozili je do Lwowa. Z tego żyli. Pani Tosi nie było. Jak zwykle zapowiedziała nam, że wróci nazajutrz i odeszła, zostawiając całą willę na mojej opiece. Nie chciała, żebyśmy wyjechali, gdyż uważała nas za doskonałych i pewnych stróżów, a sama lubiła chodzić na kilka dni do Lwowa lub do Brzuchowic. We Lwowie miała córkę, którą ojciec umieścił jako pracownicę w instytucie Weigla, chroniąc ją w ten sposób przed robotami.

Ale już postanowiliśmy wyjechać i nie chcieliśmy czekać na jej powrót. Pożyczone nam meble pani Haliny (było tego bardzo mało) zanieśliśmy do pani Żywieckiej, rzeczy własne, z wyjątkiem podręcznych, zawiózł nam Helon do pani Kamy, a sami z podręcznymi walizkami dnia 11 lipca 1942 roku rano poszliśmy na stację, oddając klucze do naszego pokoju sąsiadce zaprzyjaźnionej z państwem Ottami. W pokoju zostawiliśmy tylko klucze do reszty willi i list pożegnalny. Trzeba się było spieszyć, bo już 13 lipca nadeszło wezwanie do pracy, o czym doniosła nam pani Kama. Celem naszej podróży były Stróże. Tam, na folwarku, o 1 kilometr od stacji, od marca 1941 roku mieszkała matka i brat mojej żony. Od paru miesięcy korespondowaliśmy w sprawie tej podróży i uzgadnialiśmy różne imiona i nazwiska. Mieliśmy być jedną rodziną. Tym bardziej, że wiedzieliśmy o tzw. kenkartach, czyli legitymacjach wprowadzonych przez Niemców w Generalnej Guberni. Stanowiły one od początku 1941 roku troskę niemal wszystkich obywateli, którzy mieli powody, by unikać zetknięcia z administracją niemiecką. Do wagonu wepchnął nas pan Staś, a sam wsiadł do sąsiedniego przedziału. Jechało się stojąc, z powodu tłoku. Od wielu miesięcy znaleźliśmy się po raz pierwszy w takiej kupie ludzi. Większość rzeczywiście stanowili paskarze i robotnicy. Jeden z tych ostatnich rozpoczął kłótnię z jakimś jegomościem, którego uważał za paskarza i groził, że wkrótce wyjdzie rozporządzenie zakazujące jeździć bez tzw. kart pracy wydanych przez *Arbeitsamt*. Rozpoczęła się dyskusja, w której ów jegomość użył druzgocącego argumentu, że „jak Żydzi w Polsce jeździli kolejami, to nic nikt im nie mówił, a teraz jak Polacy jeżdżą, to ludzie się gniewają”. Na jednej stacji wsiadł młody człowiek porządnie ubrany, ostrzyżony, ogolony, z celuloidową opaską ozdobioną gwiazdą niebieską na ramieniu. Miał jakieś papiery uprawiające go do jazdy. Prowadził dyskusję na temat, ilu Żydów Niemcy zgładzili w Polsce, i czy nie więcej niż Polaków. Antagonista – Polak twierdził, że Polaków zginęło więcej. Wsiadł też na jednej stacji chłopak, który śpiewał patriotyczne pieśni o Warszawie i spustoszeniach spowodowanych przez Niemców. Nie bał się, a pod różni dawali mu chętnie złotówki. Widziałem też w przedziale mężczyznę z dwojgiem dzieci, który ciągle kręcił się, dawał dzieciom przysmaki z torebki i – jak się zdaje – nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie trzeba było ekspertyzy, by określić jego przynależność antropologiczną. Jechał do

Warszawy. W kącie siedziała kobieta, blondynka z dzieckiem. Gdy milczała, wyglądała na chłopkę. Mówiła ciągle „rany Boskie” i można było jej nie rozpoznać, jeżeli się nie chciało. W Przemyślu, w ostatniej chwili wskoczyła na stopień wagonu kobieta, po której widać było, że jest w śmiertelnym strachu. Nie chciano jej wpuścić do środka, bo było pełno. Nagle jeden z pasażerów zorientował się i powiedział: „Ta pani musi jechać”. Na to protesty umilkły – rozumiano. Na te sceny, na tłok na dworcu, na nasze przedziały nabite ludźmi nędznie ubranymi, niedożywionymi, zmęczonymi, patrzyli dwaj oficerowie świetnie umundurowani; patrzyli drwiąco, bawiąc się zdjętymi rękawiczkami. Jeden z nich, młodszy, był bardzo piękny. Mieli to, co chcieli: czuli się jak Anglicy w koloniach. W kontraście między swoimi wymytymi, spokojnymi postaciami, a tym nerwowym znękanym tłumem upatrywali naoczny dowód wyższości *Herrenvolku* nad tubylcami. A w naszym przedziale nie brakło nawet małego Cyganka, któremu publiczność dokuczała, mówiąc głośno o Cyganach jako złodziejach. Zbliżyłem się do niego i zacząłem rozmowę, z której dowiedziałem się, że Cyganom nie wolno dłużej niż trzy lata prowadzić życia osiadłego. To ciekawe, że ten naród, który nie słucha żadnych praw, który składa się ze złodziei, włóczęgów, żebraków, prostytutek i oszustów, temu swojemu prawu sprzed wieków jest posłuszny.

W Dębicy nie pozwolono nam zostać na peronie i czekać na pociąg idący do Stróż, lecz zmuszono do przejścia przez furtkę, gdzie rewidowano rzeczy. Niemiec w mundurze, tzw. „banszuc”^{*} chciał koniecznie otworzyć moją walizkę sam, co było niemożliwe, bo zamek był popsuty i tylko ja wiedziałem, jak się to robi; ilekroć zbliżyłem się do leżącej na ziemi walizki on krzyczał: *scher dich weg*^{**}. Mówił do mnie *per „ty”* z wściekłością, choć widział mój wiek i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie mówi do człowieka przyzwyczajonego do tego, by mu mówiono „ty”. W końcu przekonał się, że nie wieziemy towarów na sprzedaż i puścił nas dalej. Wielu ludzi traciło przy tym część lub wszystkie manatki; jednak – jak widziałem – nie przejmowali się tym. Widocznie zwyczaj niemiecki rabowania na stacjach i po drogach był od dawna praktykowany za Sanem. Na jakiejś stacji leżał na torze trup kobiety, która uciekając z workiem tłuszczu przed „banszucami” wpadła pod pociąg. Potem kazano nam sformować ogonek, w czym dzielnie pomagali policjanci polscy, bijąc kijami kogo popadło. Pierwszy raz widziałem polską policję w roli niemieckich pachołków. Przypominałem sobie oficjalną tezę pana majora o roli policji: oni byli podporą państwa. Świadeństwo policjanta decydowało w sądzie, a

* (Niem.) Strażnik kolejowy, policjant.

** (Niem.) Wynosić się.

inny, nieumundurowany obywatel, był podejrzany, chyba że mu policja wystawiła atest lojalności.

W Tarnowie spędziliśmy parę godzin. Tam rozstaliśmy się z naszym towarzyszem, panem Stasiem Sokólskim. Umówiliśmy się z nim, że zajmie się naszymi rzeczami, które zostały u pani Kamy Speidlówny w Zimnej Wodzie. Nie zrobił tego i skarżył się później, że mu się nie opłacała podróż.

Stróże

Przyjechaliśmy tego samego dnia, tzn. 11 lipca 1942 roku do Stróż. Spotkaliśmy chłopca, który podjął się zawieźć ręcznym wózkiem nasze rzeczy na Berdechów. Po drodze spotkaliśmy pana Tadeusza Cielucha z żoną, idących do Stróż. Zapytani przez nas o panią Szmoszową, wskazali nam drogę i znaleźliśmy się na Berdechowie. Na szczęście izba obok mieszkania teściowej zwolniła się właśnie poprzedniego dnia, tak że mieliśmy od razu miejsce. Trzeba było tylko izbę wybielić i zamieść. Ani my, ani nasi gospodarze, państwo Cieluchowie, właściciele folwarku, nie myśleli, że nasz pobyt przedłuży się na lata. Pan Cieluch senior, właściciel folwarku, był jednym z twórców ruchu ludowego w tej okolicy za austriackich czasów. Za czasów polskich był wicemarszałkiem powiatu i posłem na sejm w okresie, kiedy Witos rządził. Miał trzech synów: Jana, Tadeusza i Artura; Jan był w Krakowie urzędnikiem skarbowym, zaś Tadeusza i Artura z ojcem zastaliliśmy na folwarku; dwaj synowie mieli dochodzenie o przeprawianie polskich oficerów na Węgry jesienią roku 1939. Siedzieli w więzieniu w Nowym Sączu i zostali wypuszczeni z braku dowodów. Teraz gospodarowali, pracując wraz z całą rodziną na ojcowskiej ziemi. Folwark miał około 60 morgów, w czym 40 uprawnych. Było na nim niemało roboty i to oczywiście chłopskiej, z kosą lub siekierą w rękę; służby było mało, za to cała rodzina, więc Tadeusz, Artur, ich siostra Zosia, druga, najstarsza, pani Tokarzowa (wdowa po magazynierze kolejowym), żona Artura, zwykła chłopka, pracowali, urabiając sobie ręce po łokcie. Nawet pani Stefa Cieluchowa, żona Tadeusza, kasjerka kolejowa w Stróżach, każdą wolną chwilę poświęcała ogrodowi. My mieszkaliśmy w domku, który był pomyślany jako mieszkanie dla służby folwarcznej. Przyjęto nas bardzo serdecznie; stosunki między szwagrem i teściową a „dworem” były już wyrobione od roku. Tym, który wyszukał dla nich to miejsce, był pan Stefan Dobrzański, brat pana Jana Dobrzańskiego, ożenionego z Maniutą, siostrą Krysi; Krysia [Szmoszowa], żona mojego szwagra, zmarła w 1935 roku. Pan Stefan miał w wojsku, jako podwładnego, pana Witolda Schoenemanna ze Stróż; ten właśnie wskazał mu to miejsce dla szwagra z matką. Pana Witolda nie zastaliśmy już, ani jego żony. Wiedząc, że jest śledzony

przez policję niemiecką – uciekł. Policja szukając go w domu państwa Igielskich, jego teściów, zaczęła wypytywać jego żonę, panią Stasię, naturalnie w sposób grubiański, mówiąc do niej „ty”. Ona odpowiedziała, że żonę oficera powinni przesłuchiwać oficerowie, i że jeżeli będą do niej mówili „ty”, to ona też będzie im mówiła „ty”. „Możemy cię aresztować!” „To aresztujcie!” Na to rzeczywiście zaaresztowali ją i niebawem wysłali do obozu kobiet pod Berlinem*.

Panią domu była właściwie pani „Dela” Ochalikowa, druga córka Igielskich. Jej mąż, jako oficer, więziony był w obozie jeńców w Niemczech. Mieszkała też u nich pani Tosia Michałowska, przyjaciółka państwa Ochalików z garnizonu w Grodnie. Jej mąż też był w oflagu, ale w innym niż pan Ochalik. Prócz starych Igielskich, pani Tosi i pani Deli, spotkaliśmy tam młodego pana Jana Igielskiego, który przed wojną był urzędnikiem ministerstwa wojny w Warszawie; teraz z żoną swoją, młodą warszawianką, mieszkał w domu ojcowskim i pracował jako urzędnik firmy drzewnej „Kindler i Red”. Do rodziny należały dwie córki Witolda Schoenemanna – Irka, dorosła panienka i Kocia, dziewczynka wchodząca dopiero w lata szkolne, nadto dwunastoletni Janusz, syn pani Deli. Piszę o tej rodzinie tak szczegółowo dlatego, że wszystkie te osoby odniosły się do nas z nadzwyczajną serdecznością, ułatwiając nam wszystko, wskazując źródła zakupu, podejmując nas gościnnie, no i przede wszystkim kierując naszymi krokami w rzeczach najważniejszych, tzn. w sprawach dokumentowych. Naszym bezpośrednim sąsiadem był pan Stanisław Woźnica, gospodarz wysiedlony przez Niemców z Koła pod Kaliszem. Był tu z żoną i dwojgiem dzieci. Zajmował się skupem jaj dla *Ernährungsamtu* i pobieraniem kontyngentu jarzyn. Urzędował w domu przy rozdrożu, dawniej zajmowanym przez Żyda. Teraz pierwotnego właściciela nie było, bo wszystkich Żydów ze wsi okolicznych skoncentrowano w Bobowej, stolicy gminy zbiorowej. Od czasu do czasu zjeżdżała tam policja niemiecka, strzelała na ulicy zabijając kilkanaście osób, urządzała ucztę, do której Żydzi musieli dostarczać obrusów, nakryć, jedzenia i picia, i wracała do Gorlic. Ludność patrzyła na to ze zgrozą, ale tylko ci, którzy byli naocznymi świadkami. Inni zachowywali się obojętnie, a niektórzy wyrażali nawet zadowolenie. Uważali, że teraz nastąpi dawno oczekiwana chwila objęcia polskiego handlu przez rdzenny element. Takim kupcem *in spe* był właśnie pan Woźnica.

Ponieważ lato było w pełni chodziliśmy nad rzekę, gdzie spotykaliśmy się z panią Delą i państwem Igielskimi (Jankiem i jego żoną). Rzeka była gęsto obrośnięta wikliną, rosły tam pustynne kwiaty o wysokich łodygach, a na przeciwnym, stromym brzegu był las mieszaný. Woda szła wartko po

* Do Ravensbrück.

kamieniach, toza, macierzanka i mięta pachniały, a kładąc się na wznak i patrząc w niebo można było myśleć, że się jest w Jasle nad Wisłoką. Niemców nie było. Kąpiel rozjaśniała człowiekowi w oczach, tak jak za młodu.

Przyjaciół państwa Igielskich, pan Ząbek doniósł nam, co się dzieje w Jasle. O tym, że Niemcy wybrukowali rynek i główne ulice, wiedzieliśmy, bo szwagier był w lecie 1941 roku w okolicy. Od pana Ząbka dowiedzieliśmy się, że Janek Adamski, ten miły, inteligentny człowiek, wierny przyjaciel, dobry kompan i najlepszy syn, zamęczony w Oświęcimiu – został zatrzymany, gdy wyszedł na dworzec, by ostrzec swego wuja przed groźącym mu aresztowaniem. Później opowiadano mu, że służba owego wuja doniosła Niemcom o broni, zapewne myśliwskiej, zakupanej we dworze w Wolicy.

**

Przeglądałem się z daleka niemieckim rządcom na wsi. W tym roku (1942) Niemcy jeszcze nie zrezygnowali z dalekich planów. Ciągłe jeździli bryczkami lub autami jacyś cywilni panowie, fotografujący dzieci wiejskie jako obraz polskiej nędzy, rejestrujący chłopów o nazwiskach niemieckich, przy czym za niemieckie uważali nie tylko takie jak Augustyn albo Kielor, ale i takie jak Kował, bo Kował = *Schmier* = *Schmidt*. Mówiono, że ich wszystkich zmusi się do wzięcia niemieckich kenkart. Odwiedzali też probostwa i w dokumentach metrykalnych szukali dowodów na niemieckie pochodzenie wsi lub rodzin. Oglądali większe gospodarstwa – zapewne przeznaczali je na nagrody dla oficerów zasłużonych na froncie. Plany te zresztą niedwuznacznie przezierały z tekstu artykułów w „*Krakauerze*” o „*Raumie*” nadwiślańskim. Była to jednak niewinniejsza część ich zajęć, aresztowali oni bowiem ludzi w Gorlicach, w Grybowie, w Sączu, w Jasle. W Nowym Sączu urzędował słynny Hamann, straszny oprawca, który dobrał sobie cały sztab mniejszych zbirów i szpicłów.

W samej gminie bobowskiej groza tych aresztowań była mniejsza, bo tu nie było miast, a oprócz tego znalazł się człowiek, który swoim sprytem i odwagą umiał pokrzyżować niejedną niemiecką plan. Tym człowiekiem był pan Lasko, komisarz policji bobowskiej. Dzięki niemu setki ludzi uniknęło więzienia, tortur i śmierci. Ostrzegał on na czas przed niebezpieczeństwem i ostrzeżony zniknął parę godzin przed przyjazdem rakarzy. Ostrzegł między innymi starego pana Cielucha i jego syna Artura, że sprawa sprzed roku została wznowiona, i że ma nakaz aresztowania ich. Wobec tego Artur zniknął, a „pan starszy” przeniósł się niedaleko, ale niestety nie wytrzymał długo na tym wygnaniu i mimo powtórných ostrzeżeń

wrócił do domu. Pewnego poranka – było to w październiku – dowiedzieliśmy się, że go aresztowano. Przyszedł po niego niejaki Kubala z polskiej policji, strzelał do uciekającego przez okno i zatrzymał go, bo 75-letni człowiek nie mógł dobiec dość szybko do gęstwiny. Aresztowano także w Krakowie jego syna, Jana. Te fakty przygnębiły nas bardzo. Wiedzieliśmy, że zięć właściciela, pan Garlicki, też był poszukiwany, jeszcze w 1939 roku, ale zbiegł już w chwili nadejścia Niemców. Jego żona przebywała w Warszawie z synem Marysiem, który wrócił z wojny jako porucznik. Córka Lidia i mąż Oleś mieszkali na Berdechowie.

Zaczęły się dziać coraz straszniejsze rzeczy. W Rzepienniku, wsi niedaleko Gorlic, Niemcy zastali w stodole jakiegoś lekarza z Krakowa, nie meldowanego i wystrzelali za to na miejscu całą rodzinę. Przygotowania do masowego mordu Żydów były już wyraźne. Jeden z naocznych świadków, wójt Rzepiennika, widział taką masową egzekucję. Odbędzie się ona z wrodzoną Niemcom praktycznością i zamiłowaniem do ładu. Podzielono ludzi na grupy – gdy jedną grupę rozstrzeliwano, druga kopała sobie grób, trzecia rozbierała się, czwarta maszerowała na miejsce stracenia. Starcy, kobiety, dzieci, dziewczęta, wszystko to szło razem rozebrane, naga, bo Niemcy chcieli zabrać im ubrania, zabrawszy przedtem już wszystko inne. Inna egzekucja odbyła się niedaleko, nad Białą, we wsi Białka. Tam zaprowadzono ofiary, którym kazano wziąć z sobą walizki. Ci, mówiąc się, że zawiozą ich do obozu, wzięli także pieniądze. Nad grobem powiedziano im je oddać, mówiąc drwiąco: „U Jehowy piwa nie ma, pieniądze niepotrzebne”. Całe grupy przewożono autami ciężarowymi do Gorlic, skąd dalej pociągami do niewiadomego celu. Wszyscy opowiadali, że ich celem jest Bełżec, gdzie urządzono jakieś instalacje do masowego traktowania. Ofiary wieziono po kilkadziesiąt w samochodzie, niemal bez eskorty, przy szoferze siedział tylko jeden żołnierz. Wszyscy dziwili się, że wiezie nie rozbroją żołnierza i nie uciekną. Ale ci ludzie byli od paru lat tak męczącymi groźbami, robotami przymusowymi, rabunkami i tym, co im się działo i słyszeli, że stracili wszelką wolę. Postawa społeczeństwa polskiego była obojętna; tylko ci, co widzieli z bliska, jak się prowadziło ludzi do niewinnej śmierci, odczuwali całą grozę tej niesłychanej hekatombi. Polacy polską zapisali karty swej historii, bijąc w straszliwy sposób ludzi straconych na miejscach zbiórki, wyciągając ich ze strychów, z piwnic, z ustępów, ścigając ich i doprowadzając do Niemców. Kubala, o którym pisałem przed chwilą, odznaczył się okrucieństwem; umiał on też wyładować od ofiar swoich niemało złota i pieniędzy. Mniejszy piesek* Krzeszowski, policjant zamieszkały w Polnej, też niemały majątek zbierał z łapówek i rabunku. Zdarzyło się w tym czasie, że jakaś kobieta przyniosła do getta trochę masła na sprzedaż. Przyłapano ją na tym i zamknięto na całą noc w bożnicy z jakimś starym Żydem, a następnego dnia oprowadzano po rynku w towarzystwie dwóch obszarpanych Żydów, w

widów i śmiechów gawiedzi. Jej mąż chciał ją wykupić za kilka tysięcy złotych tej ceremonii, ale to się nie udało. Kobieta dostała pomieszczenia zmywania.

W tym okresie, tj. w lecie 1942 roku odwiedziła nas Basia Zglińska*. W pierwszym raz spotkałem się z rodziną od wyjścia ze Lwowa. Dowiedziałem się, jak sobie radzi siostra w Krakowie. Matka moja z Krzeszowic przeniosła się do Zabierzowa. Irena i Basia często ją odwiedzały – zarówno Matnia, jak i najstarsza siostra** miały się nieźle. Otrzymywały regularnie pieniądze z Warszawy od mojej córki. Z Warszawą korespondowaliśmy stale, wiedzieliśmy, że córka musiała kilka razy zmienić mieszkanie. Przyjacielem zięcia, zwłaszcza pan Ryszard Matuszewski, niejedno im ułatwili. Ale życie tam było niełatwe i niebezpieczne.

Matka moja niezupełnie zdawała sobie sprawę z sytuacji i miała nadzieję, że za parę miesięcy wróci do swego mieszkania w Jasle po skończonej wojnie. Naturalnie i my codziennie próbowaliśmy przebić rozumowaniem mrok zasłaniający przyszłość. Szwagier i ja godzinami całymi dyskusowaliśmy ze sobą, często też z panem Igielskim, z rodziną państwa Cieluchów i z kim się dało, o przewidywanym końcu wojny. Nie wiedząc, jaka jest zdolność produkcyjna stron wojujących, jakie są szkody wyrządzone jednej stronie przez naloty, a drugiej przez łodzie podwodne, nie mogliśmy oczywiście wyjść poza domysły. Ale mogłem stwierdzić jedno: Niemcy naprawdę nie interesowali się wojną, lecz tylko tym, jak i kiedy oni sami wyjdą z przekłętej obierzy***. Uważali przy tym, że narody dalekie – Chińczycy i Amerykanie, Afrykanerzy i Australijczycy – powinni jak najrybiej złożyć miliony ludzi i miliardy dolarów w ofierze, abyśmy mogli powrócić co rychlej do kilkupokojowych mieszkań, do łazienek, ciastek z kremem i emerytur. O Armii Krajowej było wtedy cicho. Gdy raz opowiadałem, że ktoś kiedyś nocą spotkał za potokiem trzech ludzi uzbrojonych, uważano to za wymysł.

W pierwszych dniach listopada wrócił niespodzianie z więzienia pan Cieluch. Była to wielka radość. Piliśmy wino porzeczkowe domowego wyrobu na przyjęciu u państwa Cieluchów, na cześć powrotu „starszego pana”, a nazajutrz dowiedzieliśmy się o anglo-amerykańskim lądowaniu w Algierze i Maroku. Fakt ten, wraz z utknięciem Niemców pod Kaukazem, co zresztą przepowiedział prof. Fuliński – były to już wyraźne oznaki niemieckiej przegranej. Ale ludzie bardziej interesowali się łapankami na kradzieżach. Co parę dni zjeżdżała policja z Gorlic lub z Jasła, czasem z Nowego Sącza, i zabierała podróżnym masło, jaja, mięso, wódkę, zwykle

* Córka siostry Autora, Ireny.

** Felicja Müllerowa.

*** Matnia, pułapka (stare).

wraz z walizkami. Inne towary, jak materiały, skóra, nici też podlegały konfiskacie. Oczywiście wylapywano przy tym Żydów. Ale był w Stróżach człowiek, który żył inaczej niż wszyscy. Nazywał się Dywan. Miał parę morgów gruntu, chałupę i za polskich czasów opinię złodzieja, zapewne usprawiedliwioną, jeśli chodziło o koguty sąsiadów i węgiel kolejowy. Ale obecnie koguty kradli żandarmi, a wszyscy węgiel. Dywana poszukiwano jako „bandytę”, lecz on mieszkał w domu, a wychodził tylko wtedy, gdy żandarmi się zbliżali. Kiedy trzeba było magneta do radia, umiał je wykręcić z niemieckich wagonów, a nawet zamienić liche na dobre. Zwykle rano pracował u rzeźnika w jatce. Raz „banszuce”, widząc światło w jacie, weszli tam i stanawszy w drzwiach zobaczyli Dywana. Ten zawołał „Leon, nie bój się” i rzucił rzeźnikiem w „banszucę”, przeskoczył przez leżących na ziemi i zanim drugi strażnik zrozumiał, co się stało, już był daleko. Strzał trafił go w rękę, ale on przez rzekę zdążył do lasu, nim strażnicy ochłonęli ze zdumienia.

W tym czasie mieliśmy często, jako gościa, pana Stefana Dobrzańskiego z Krakowa. Jego żona, pani Zosia, robiła ciastka, a on je sprzedawał po cukierniach. Raz przyjechał bardzo wzburzony. Opowiedział nam, że w tramwaju spotkał jakieś indywiduum; gdy wysiadł, ten wysiadł za nim, zbliżywszy się powiedział: „Niech pan nie próbuje uciekać – idą tu za nami uzbrojeni agenci; pan jest Żydem, pójdzie pan ze mną. Niech się pan nie dziwi, ja muszę pomścić na Żydach mojego ojca, którego bolszewicy z mordowali”. Odwieziono go na policję, a stamtąd do getta, gdzie eksperci zbadali pana Stefana, no i oczywiście przekonali się, że podejrzenie nie ma podstaw. Wtedy pan Stefan miał sposobność zobaczyć getto krakowskie z bliska. Widział tam żydowskich policjantów w eleganckich mundurach, meldujących się po polsku komendantom, widział młode panienki opowiadające rodzicom ze śmiechem o jakichś przygodach, tak jak opowiadają podlotki – jak gdyby nie wisiał nad nimi wyrok śmierci. Naturalnie nie obyło się bez przesłuchania połączonego z biciem po twarzy. W końcu zwolniono pana Stefana, ale kazano mu dostarczyć dokumenty. „Ty nie jesteś Żydem, ale masz inne sprawy na sumieniu”. Pan Stefan pojechał po swoje papiery do Lwowa, potem do Warszawy, zrujnował się na tej podróży i dowiedziawszy się w końcu, że zaproszenie na następną wizytę nie jest nigdzie zanotowane, a było tylko zwyczajową grzecznością była nazwiskiem Heinrich, przeniósł się do Jankowej, o 6 kilometrów od nas.

Właśnie był u nas i siedzieliśmy na ławeczce pod lipą przed domem, gdy pojawił się znieścacka „banszuc” zwany przez Dywana „Bomba”; z olbrzymim drągami i z polskim policjantem. Zażądali legitymacji od Stefana, powiedzieli, że podobno znajduje się na folwarku parobek – Żyd! Był donos mieszkańców Stróż, którzy chcieli się przysłużyć państwu Ciesielskiemu, a może po prostu gadatliwość pijaków, których bywało немало.

W restauracji kolejowej, gdzie fraternizowali się przy kieliszku z Niemcami. Na szczęście od trzech dni nie było Józka, którego podejrzewano, że jest szpiegiem. Przez pewien czas wynoszono mu jedzenie do lasu, potem zniknął bez wieści. (Ocalał).

Od 1 lutego 1942 roku, a więc jeszcze na Osiczyźnie, zacząłem robić zajęcia naukowe. Nie mogłem wykonywać zupełnych prac, bo niepokój wewnętrzny nie pozwalał na konsekwentne zajęcie się jednym tematem, ale notowałem pomysły, które mi przychodziły do głowy.

Tu, na Berdechowie, miałem inne zajęcia: mój szwagier miał ucznia, Zbigniewa Pajaka, syna kolejarza, z którym przerabiał program najwyższej klasy liceum matematyczno-przyrodniczego. Ja przejąłem część tej nauki. Prócz tego przejąłem też częściowo nauczanie Januszka, syna pani Deli, który miał przerobić I klasę gimnazjum nowego typu. Uczyłem przedmiotów humanistycznych. Januszek okazał się pojętym uczniem, zwłaszcza we francuszczyźnie. Z początku nauka była bezplanowa, bo nie mieliśmy podręczników; potem pan Stefan przywiózł je z Krakowa, gdzie znalazł także kilka książeczek z tekstami francuskimi opracowanymi dla szkół. Nauczanie przynosiło nam pewne beneficja; dom państwa Igielskich ułatwiał nam zdobycie odwirowanego mleka. Czasem fałszowali ono mleko, dolewając pełne od własnej krowy; prócz tego pan Jan Igielski dostarczał nam pieniądze, dostarczał drzewa opałowego po cenie urzędowej itd. Ojciec Zbyszka Pajaka dawał nam karbid i naftę, a także przynosił nam rzeczy z Osiczyzny, co wymagało trudnej podróży. Ukraińcy pełniący służbę na kolei kazali mu zapłacić we Lwowie kilkusetzłotową kontrybucję. Odwrotną stroną medalu było niebezpieczeństwo, bo nauczanie prywatne było zakazane i mogło sprowadzić nam na kark policję. Trzeba było też wyrobić sobie kenkarty. Zarówno fotografie jak i podanie wykonaliśmy we własnym zakresie. Pan Igielski nawet nie pozwolił nam łączyć dokumentów, gdyż – jak mówił – „nasi ludzie” muszą w gminie mieć na słowo, wszystko, czego trzeba. Zapoznaliśmy się z niejakim panem Szafrancem, który wraz z panem Laską był opiekunem wszystkich tej opieki potrzebujących. To on poprawiał w księgach meldunkowych błędne dane, co np. było potrzebne, gdy ktoś z tzw. Galicji chciał – jak my – przenieść się w roku 1942 do dystryktu krakowskiego. W czasie żniw musieliśmy i my w nich partycypować. Trudno mi było z początku wiązać popki, ale jakoś nauczyłem się tego, a rzucanie ich „na warstwie” szło mi całkiem. Naturalnie kosić nie próbowałem, bo w tym trzeba się ćwiczyć od młodości. Grabienie siana, najłżejsza robota, sprawiała mi dużą przyjemność. W domu też mieliśmy pracę fizyczną: musieliśmy rznąć piłą drewno opałowe i rąbać je siekierą. Była to robota niezbyt trudna, chociaż w dzień nie nieraz więcej niż godzinę trzeba było poświęcić drzewu.

Pieniądze przysyłała nam córka z Warszawy, zięć wziął dukaty od Stajki i przewiózł je do Warszawy, a córka regularnie przysyłała co miesiąc

nam i matce tyle, ile trzeba było na najskromniejsze życie. Było przedwojenną walutę przeliczywszy, przyjmując jako wskaźnik stosunek cen mąki, masła, jaj i mleka, tyle, ile zarabiał nasz dozorca domu, a znacznie mniej niż miał konduktor tramwajowy. Rano pieliśmy kawę żytnią i jedliśmy czarny chleb, potem – gdy było zimniej – pieliśmy żur. Na obiad jadło się kluski poprzędzone zupą grochową lub kartoflami, czasem zamiast klusek były kartofle z kapustą lub jajami, czasem młody ziemniak. Wieczorem jedliśmy kaszę, albo *purée* ziemniaczane, popijając kwaśnym mlekiem w lecie i herbatą – oczywiście namiastkową – w zimie. Zdobywanie tych produktów nie zawsze było łatwe, zwłaszcza tłuszcze pojawiały się rzadko. Niemcy przez pewien czas karali śmiercią za zabicie wieprza, ciągle obławę na drogach i kolejach zmuszały chłopów do ukrywania pasów słoniny lub sprzedawania ich tylko zaufanym odbiorcom. Mielismy jednak stałych dostawców, a państwo Cieluchowie nigdy nie zabili wieprza, żeby nam nie posłać kiszek, świetnie przyrządzonych. Także państwo Igielscy pamiętali o nas, a pan Szafraniec przywoził nam z Bobowej „ekstra” przydziały mąki, konfitur, cukru. Ponieważ kartek nie mieliśmy, więc Stefa musiała co najmniej dwa razy na tydzień piec chleb. Nauczyła się to robić doskonale, chociaż nie mieliśmy pieca chlebowego. Życie byłoby zupełnie znośne, gdyby nie ciągła groza wisząca nad nami w postaci niemieckich zarządzeń; o ile przez tydzień, dwa, takich zarządzeń nie było, to pojawiały się plotki, które odbierały nam nadzieję. Mówiono więc, że wysiedlą wszystkich Polaków z większych majątków. Było to groźne, bo państwo Cieluchowie i my stracilibyśmy grunt pod nogami. Mówiono, że każdy rolnik będzie musiał mieć „kartę pracy”. Dla nas było niemożliwe do uzyskania, przynajmniej na legalnej drodze. To znowu sołtys dawał nam do zrozumienia, że Niemcy wciąż żądają od niego spisu inteligencji zamieszkałej na wsi, nie możemy się jednak na niego skarżyć, bo umiał się zawsze wykręcić z takich opałów. Co parę tygodni Niemcy naznaczali branke niewolnika, to znaczy nakładali na wieś kontyngent ludzi na wywózkę do Niemiec. Ale te zarządzenia rozchodziły się w dużej mierze o bierny opór ludności i spryt ludzi takich jak państwo Lasko.

Najgorsze było to, że Niemcy mieli do pomocy miejscowych szpicli. W Bobowej był niejaki Müller, *Volksdeutsch*, który asystował przy każdej czynności policji niemieckiej. Jeździł on także i poza Bobową, chwalił się, że własnoręcznie bił Żydów prowadzonych na śmierć, a gdy przeprowadzał po wsiach kontrolę pracowników rolnych, żądał, aby mu wyprawili uczty, nie zadowolając się byle czym. Musiał być drób i wódka, a także zmuszał sołtysów, żeby mu przyprowadzali ładne dziewczęta na kwatery. W samych Stróżach znalazł się niejaki Szczypa, były urzędnik pocztowy, który łączył w jednej osobie funkcje szpicla, pisarza pokątnego i *Volksdeutscha*. Ten pod pozorem interwencji u Niemców brał od rodzin chł-

ów aresztowanych, albo przeznaczonych na wywóz do Niemiec, grube łupy w pszenicy i ziemniakach, ale nie za to nie robił. Jeszcze za polskich czasów wslawił się oszustwami i wymuszeniami. Teraz postanowił odegrać większą rolę i stać się szpiclem politycznym. Na dworcu kolejowym, obok Niemców, byli także i polscy „banszuce”; niejaki Emil, były rzeźnik z Bobowa i Marian Proszek, który znany był dawniej jako niedorozwinięty słowak, a teraz ubrany w mundur uznał się za urzędnika Trzeciej Rzeszy i prześcigał się w gorliwości z żandarmami, gdy trzeba było brać kary podrożnych za byle co, tropić pasażerów przewożących towary, lub przesłuchiwać ludzi jadących bez legitymacji. Pomagali mu w tym co głupsi pracownicy kolejowi, jak portier Serafin. Oddał on w ręce policji pewne „złotnictwo”, lekarza z żoną, którzy uciekli z getta krakowskiego; policja zastrzeliła ich zaraz potem przy drodze do Gorlic. Także rzeźnik Durlak „namazany” niemieckim hycłom, bo ci obdzierali swoje ofiary z ubrań, a nawet z bielizny w piwnicy dworca i przywłaszczali sobie przesiąkłe przedmioty, niemiernym potem szaty. Jeśli była to bielizna damska, szła do Niemców jako prezent od kochanków.

**

Znaleźliśmy sobie robotę na folwarku: postanowiliśmy panu Cieluchowi dostarczyć mapy należących do niego obszarów uprawnych. Bez instrumentów, jedynie przy użyciu kołków drewnianych i stalowej taśmy mierzyliśmy, a więc dokonałmy tej roboty. Trwało to bardzo długo, rozkładaliśmy pola na trójkąty lub trapezy i obliczaliśmy pola trójkątów regułą Herońską. W końcu – na wiosnę roku 1943 – mój szwagier wyrysował pięknie teren cały kompleks, zorientowany i ponumerowany, z podaniem powierzchni. Błąd nie wynosił więcej niż 1%. Potem zabrałem się do zrobienia zegara słonecznego dla folwarku. Przyjąłem cyferblat poziomy, a jako przedmiot rzucający cień trójkąt prostokątny o przeciwprostokątnej równoległej do osi ziemskiej. Znalazłem sposób, który pozwalał odczytać położenie cienia na cyferblacie z tablicy tangensów (szkolne tablice A. Łomickiego) i dokonałem szczegółowego obliczenia dla punktu o szerokości geograficznej i długości Stróż. Niestety nie znalazłem materiału odpornego na deszcz i zegar pozostał w notatniku – tylko tytuł „emerytowany zegarmistrz słoneczny” chciałbym widzieć jeszcze na swoim bilecie. Później wykonałem zegar z pomocą Zbigniewa Pajaka.

Były już inne znaki na niebie i ziemi. Już Stalingrad zawisł nad Niemcami jak *memento*. Już coraz więcej słyszało się o działalności AK, o mordowaniu szpicli. Niemcy byli u szczytu wściekłości. Tropili, aresztowali, palili zakładników, mordowali, palili, wysiedlali. Między innymi zaareszt-

towany został pan Adam Igielski, krewny naszych państwa Igielskich, lejowy ślusarz, wzorowy ojciec i mąż, prawy Polak. W Grybowie, w licach, w Sączu, w Jasle aresztowaniom nie było końca. Ludzie truchli. Sam widziałem jak policjant Kubala wioził na wozie dra Lustra, który szkał *incognito* na wsi koło Stróż. Wioził go na śmierć. Ale sam przeżył zaledwie o parę miesięcy; został zabity z wyroku RP w Nowym Sączu na ulicy, w parę chwil po wyjściu z dworca, w biały dzień. Sprawca uciekł. Idąc raz do szewca Derechowskiego o półtora kilometra od Berdychowa, usłyszałem pięć strzałów karabinowych. W kilka godzin potem dowiedzieliśmy się, że zginął wtedy policjant Krzeszowski zastrzelony przez trzech nieznajomych z wyroku, na swoim polu, koło domu w Polnej. Na szpiedzki padł błąd strach. Proszek otrzymał wyrok. Inny policjant otrzymał wyrok popadł w rozstrój nerwowy i chciał uciec. Ale Niemcy nie pozwolili. Pozostał tylko Szczypka. Jeszcze działał, ale operował przeważnie w Tarnowie.

Naturalnie ludzie rozprawiali o wojnie jak umieli. A więc źle. Nie mając geografii dziwili się, że Anglicy nie lądują w Gdańsku. Nie mając o prawie międzynarodowym twierdzili, że wojska angielskie nie mogą wejść do Turcji. Nie wiedząc, co oznacza słowo „ultimatum”, utrzymywali co miesiąc, że Ameryka dała Niemcom ultimatum. Wyczytywali w gazetach, czego w nich nie było, np., że Japonia wypowiedziała wojnę. Uważali, że „dziś wszystko jest możliwe”. O strategii mieli takie pojęcie jak gdyby posuwanie się wojsk było wycieczką zbiorową „Orbis”. Uważali, że z Rzymu do Wiednia jest prosta droga i dziwili się, że polacy z Rzymu Anglicy nie jadą tą drogą. Zdarzali się ludzie inteligentni, ale nie uważałem ich, uważając za niebezpiecznych. Toteż jedynym człowiekiem, którym mogłem serio dyskutować, był dr Knaster we Lwowie. Wymienialiśmy długie listy, ale niezbyt często, aby nie ściągnąć na siebie uwagi. W tej korespondencji głównym tematem był nasz odwieczny „spór” – o naukowe rozwiązywanie zagadnień życiowych. Dr Knaster uważał, że prowadzenie wojny jest kwestią umiejętności; Niemcy umieją, aliancy nie. Ciągłe stawiałem na owo piórko, o którym pisał K.K.: w *variété* *about** blazen popisuje się, tłucze naczynia, wywraca stoły, szafy, stoi tryumfujący w gruzach. Ale oto z podłogi podnosi się piórko, wznosi się, kładzie je na ziemi i przydeptuje nogą; gdy tylko się ruszy piórko, wznosi się znowu. Więc przywała je szafą, ale gdy z ciekawości zagląda pod nią, piórko znów wzlatuje. Posyłał mi też kwestie matematyczne, np. o podziale problemu podziału pragmatycznego: n partnerów ma podzielić między siebie równo przedmiot podzielny („tort”). Podobny podział „salomonowy” między dwóch, według zasady „jeden dzieli, drugi wybiera”.

* (Ang.) Farsie, grotesce.

podział od porozumienia, bo każdy ma możliwość uzyskania połowy bez względu na to, co zrobi partner. Banach i Knaster znaleźli uogólnienie na n partnerów, co uważałem za niemożliwe dla $n > 3$. W *Solazione** naszym były listy od Lidki z Warszawy. Wiodło się jej i Janowi nieźle. Z czego żyli, było dla mnie niezrozumiałe, ale przysyłała pieniądze nie tylko nam, ale i mojej matce pieniądze. Prócz tego Janek utrzymywał swoją rodzinę, tzn. matkę i siostrę w Krakowie. Ojciec Janka został aresztowany za jakąś błahą sprawę i miał być wypuszczony na wolność w 1943 roku. Ale nie wyszedł żywy. Dowiedzieliśmy się także rzeczy o naszej – o aresztowaniu Stasi Blumenfeldowej. I ona wpadła za rzecz błahą, za szmugiel alkoholu. I ona miała wyjść, już nawet przygotowano jej w domu obiad. Zamiast ją zwolnić, przewieziono ją do obozu karnego pod zarzutem pochodzenia. Syn jej, też aresztowany, wyszedł, nabałagany się gruźlicy, ale ona została zabita. Dr Knaster doniósł mi potem, że wszystko co pani Stasia uzyskiwała z handlu, szło na AK. Jeszcze straszniejsze było, że nie mogliśmy przeprowadzić wyciągnięcia państwa z Truskawca. Wysiłki Lidki rozbijały się o ich upór. Potem Banach o nich zaginął. Z Boryslawiem, gdzie była moja siostra**, korespondowałem rzadko.

W roku 1943 wiosną poznałem się z panem Rzącą, kilkumorgowym gospodarzem, który miał pięciu synów, z tych trzech chciało się uczyć. Naukę u niego rozpocząłem wiosną 1943 roku. Zrazu uczyłem wszystkich trzech z długim programem pierwszej klasy, ale później oddzieliłem dwóch starszych, którzy przerabiali materiał prędzej, od najmłodszego, który uzupełniał te części programu siódmej klasy szkoły powszechnej, które nie były w obecnej szkole Generalnej Guberni. Z panem Rzącą zrobiłem umowę na dostawę mleka i innych produktów po cenach niższych; on tylko wywiązywał się z tego, ale co parę tygodni przysyłał nam prezenty, kaczki, czasem słoninę lub szynkę, nie licząc jarzyn i owoców w sezonie. Chłopcy, zwłaszcza dwaj starsi, uczyli się dobrze. Przy tej sposobności zapoznałem się z książkami szkolnymi. Przekonałem się, że np. historia ma obecnie znacznie lepsze podręczniki, niż za moich czasów; obfite w piękne ryciny przedstawiające dzieła sztuki, przedmioty, budynki, dokumenty i monety z epok omawianych. Ponadto podaje się także źródła, wyjmując z nich charakterystyczne ustępy. Geografia też ma nieźle podręczniki, nie mogę jednak pochwalić podręcznika Pawła Węgla, gdzie np. o elektrowniach wodnych i węglowych wypisane są błędy. Także gramatyka i fonetyka Klemensiewicza jest fatalnie napisana. Autor przejął się poglądem Nitscha, uważającego język polski za zja-

(Wł.) Pocieszeniem.
Olga Chwistkowska.

wisko przyrodnicze; stanowisko zasadniczo do zakwestionowania, a już na szkole mającej uczyć poprawnej mowy zupełnie do niczego. Książka pani Ziemilska Ewy Appel i Żmigryder-Konopki do III klasy gminazjum nowego typu daje taką masę informacji szczegółowych o każdym tekście, tyle komentarzy historycznych, filologicznych i gramatycznych, że właściwie dla nauczyciela i ucznia już nic nie pozostaje do roboty. Książkę tę muszę pochwalić, ale mam wątpliwości, czy takie spreparowanie materiału nie miało się z dydaktycznym celem.

W roku 1943 było nam o tyle przyjemnie, że mieliśmy niedaleko pana Stefana Dobrzańskiego. Chodziliśmy do niego i on do nas. Później sprzątnął żonę z dzieckiem z Krakowa. Teraz już można było porozmawiać o wojnie i sprawach ogólnych. Pan Stefan był dobrej myśli, ale daleki od powtarzania optymistycznych nonsensów. Nie dał się też nabierać propagandzie niemieckiej. Naturalnie lektura „Krakauer Zeitung” była dla nas jedynym źródłem informacji. Ale także pouczała nas mimowolnie o tym, co się kryło za propagandą. Wtedy – w roku 1943, na wiosnę – było już po Stalingradzie, już szczyt powodzenia niemieckiego był przekroczony, już wściekłość i rozczarowanie nie dały się ukryć. Goebbels stawał na głowie, on, który przez trzy lata głosił, że ekipa, która przez półtorej godziny nie wbiła ani jednej bramki, nie nadrobi ich w ostatnich dziesięciu minutach, teraz przeciwnie – twierdził, że ostatnia bitwa rozstrzygnie o wojnie. Wiedome się stało, że Hitler wciągnął swój naród w najstraszliwsze zbrodnie, żeby uniemożliwić mu odwrót. Naturalnie plany [nieczytelne] i Lippmann podawano jako dowód krwiożerczości aliantów, ale przeciętny Niemiec wiedział już dobrze, że w zemstę trzeba wierzyć, bo narody zjednoczone mają się za co mścić! W tym czasie zaczęto się przyznawać do strat w rezultacie bombardowań. Płaczliwie wymieniano kościoły, szpitale i szkoły trafione przez bomby anglosaskie, rozczulając się nad stratami poniesionymi przez kulturę. Przy tym pisano ciągle o bezplanowym rzucaniu bomb w komunikatach sztabowych, a o złośliwym celnym mierzeniu w ołtarze, święte przybytki religii, sztuki i nauki w komentarzach prasowych. Ci, którzy rozstrzaskiwali główki dziecinne o ściany wagonów, skarżyli się, że lotnictwo amerykańskie nie widzi z 3000 metrów dzieci bawiących się na podwórku. Ci, co głosili zasadę, że wymordowanie całej ludzkości nie zaszkodzi, jeżeli pozostanie dziesięciu Niemców, skarżyli się na obracanie w perzynę dzielnic mieszkalnych; ci, co wymyślili termin „polityczne cele w obrębie Londynu”, teraz przypominali, że Hitler proponował już we wrześniu 1939 roku umowę o ograniczeniu wojny powietrznej. Żeby to wspomnieć, nie uczynić jako tako zgodne z historią, przesunęli początek wojny o trzy

tygodnie; po prostu zapomnieli o tym, jak 1, 2 i 3 września bombardowali polski kraj, strzelali z aeroplanów do dzieci, do pastuchów na polach, nawet do bydła. Zapomnieli o drwinach z ulotek angielskich przestrzegających, że papierowe bombardowanie się skończy, a nastąpi prawdziwe. „Rzucają te lotnicze ulotki, bo nie mają bomb”. A gdy przyszły bomby, zaczęli żałować, że nie przypominają, jak to proponowali rozejm powietrzny. Zasadniczy antysemityzm nie przeszkodził im w komplementowaniu Arabów, a stanowisko obrońców Europy pogodzili z entuzjastyczną przyjaźnią z Japonią. Fotografie przedstawiające jeńców rosyjskich z podpisami nazywającymi ich „hordami azjatyckimi” w roku 1943 ustąpiły innym, przedstawiającym „narody miłujące wolność”, a więc Gruzynów i Kurdów w strojach ludowych, jadących dziarsko pod komendą niemieckich oficerów na wojnę przeciw Rosji. Naturalnie tego, że dano im do wyboru śmierć głodową albo wstąpienie do armii niemieckiej, można się było dowiedzieć tylko z rozmowy wprost z tymi „miłującymi wolność molojcami”. To powołanie prawa międzynarodowego może sobie rościć tytuł do najcyniczniejszego w historii wojen. Wojna z Rosją po Stalingradzie wymagała usprawiedliwienia – gdy szło się naprzód, obiecując narodowi zboże i naftę, nikt nie kwestionował tej decyzji. Ale teraz trzeba było uzasadnić wojnę niebezpieczeństwem wzmagających się zbrojeń sowieckich przenikliwie ostrzeżonych przez Hitlera. Tym sposobem sam fakt klęski służył za dowód, że niebezpieczeństwo było jeszcze większe niż wiedziano w roku 1941, co potwierdzało geniusz polityczny Führera. Rasiści, którzy wieszali Polaków za stosunki z Niemcami, teraz pogodzili się z małżeństwami żołnierzy niemieckich z Polkami, a zamiast nagradzać tych, którzy golili głowy Polkom flirtującym z Niemcami, ścigali ich i mordowali. Tym sposobem coraz wyraźniejsze było, że ma się do czynienia z nihilizmem politycznym i ideowym, z bandą uzbrojonych rabusiów, która trzyma sobie za pan brat kłamstwo dla mydlenia oczu głupcom w kraju i za granicą. Naturalnie strategia niemiecka była nihilistyczna, bo po wypędzeniu starych generałów cała myśl wojenna sprowadziła się do ścisłego wykonywania rozkazów genialnego feldfebla, który pod karą śmierci kazał trzymać się każdej pozycji. Dziecinne przeświadczenie, że przegrywa ten, co kapituluje, więc odwrócenie stosunku przyczyny i skutku, stworzyło sposób na wygraną wojny: nie kapitulować.

Listy Lidki przynosiły coraz to wieści o losie przyjaciół i znajomych. W końcu pani Ziemilska i jej syn znaleźli się w Warszawie, ale bez doktora Ziemilskiego, który zginął z rąk morderców. Zginął też Lulu Oberländer; jego syn w Warszawie znalazł sobie pracę w swoim zawodzie – tkackim, a

matka wyjechała do Krakowa. Także państwo Skulscy, Horowitzowie i Lila Holzerowa dotarli do Warszawy, ale mąż Lili podzielił los milionów. Córka moja zaznała się z wieloma przyjaciółmi i znajomymi Janka Kotta; byli to przeważnie literaci i poeci. Ale dopiero później dowiedzieliśmy się o losie wielu wspólnych znajomych. Dr Blumenfeld, który opuścił „Laokoona” jako ostatni, zachorował na wsi na raka, musiano go przewieźć do Warszawy. Aresztowano też mego kuzyna Dyka z córką; oboje zapewne zginęli.

W tym czasie, to znaczy w 1943 roku zacząłem pisać ten pamiętnik. Moja żona już w listopadzie 1942 znalazła sobie zajęcie, które jej się spodobało, a mianowicie zaczęła się uczyć po angielsku. Szwagier miał kilka książek, które Stefa czytała z moją pomocą; między nimi były opowiadania Edgara Poe, doskonała powieść Walpole’a i „Święta Joanna” Bernarda Shawa, pożyczona od pani Kulinowskiej, żony weterynarza z Bobowej. Ta młoda pani też miała wielkie zamiłowanie do angielszczyzny i zaproponowała mnie i szwagrowi, żebyśmy ją uczyli. Lekcje były bardzo korzystne, bo pan Kulinowski dostarczał nam co tydzień kilogram mięsa. W tym okresie o mięso było niełatwo, bo w roku 1943 funkcjonowały jeszcze wszystkie niemieckie władze, bydło kolczykowano i rejestrowano, był nawet okres, kiedy za nielegalny ubój wieprza karano śmiercią. Ale już zaczynały się napady na mleczarnie i urzędy gminne, palono księgi, rozpędzano chłopów prowadzących bydło na spędy, bito sołtysów i „targowników”, którzy zanadto wysługiwali się Niemcom.

Gdy przeczytaliśmy książki będące na miejscu, postaraliśmy się o nowe z Krakowa. Pomógł nam w tym pan Stefan Dobrzański, który jeździł do Krakowa i pani Michałakówna, była urzędniczka huty „Zgoda”, która w roku 1943 odwiedziła szwagra. Od niej też mieliśmy wiadomości, co się dzieje w Krakowie; bardzo byliśmy spragnieni tych wiadomości. Otrzymywaliśmy też od czasu do czasu gazetki. Niektóre z nich, zwłaszcza urzędowe, były dobrze redagowane. Raz też dostaliśmy „żurnal” lwowski na wysokim poziomie. Dowiedzieliśmy się z niego, że Niemcy wymordowali na Górze Piaskowej we Lwowie setki tysięcy Żydów, a potem – jesienią 1943 roku – setki Włochów i dziesiątki tysięcy Ukraińców, którzy z armią niemiecką uciekli zza Donu do Galicji. Na wiosnę 1943 roku sprowadziła się do Jankowej pani Maniuta Dobrzańska, żona pana Jana Dobrzańskiego z dziećmi i siostrą Wandą. Od niej dowiedzieliśmy się, że Lwów stał się dżunglą, w której Ukraińcy mordowali Polaków, organizacje polskie – Niemców i ich szpiclów, a Niemcy – Żydów. Wyjście z domu po zmroku było połączone z ryzykiem śmiertelnym. Był to okres wielkiej rejterady niemieckiej, która zaczęła się z końcem stycznia 1943 roku i w jesieni tego roku doprowadziła bolszewików pod granice Polski. Tam ten pochód stanął. W zimie 1943/1944 roku nie działo się nic decydującego; nieraz nie było nic do roboty i wtedy grywaliśmy ze szwagrem całymi godzinami w

szachy. Nasz uczeń Zbyszek Pajak był jednak od nas o całą klasę lepszym graczem. Nigdy nie umiałem odpowiedzieć na pytanie, jakie zdolności umysłowe na innym terenie, niż szachownica, związane są z talentem szachowym; np. pan Woźnica nauczył się szybko grać jako tako w szachy, a od 30 lat nie zrobiłem postępów. Prawda, że od 20 roku życia grałem bardzo rzadko.

Gdy wyczerpały się nasze angielskie książki, wpadłem na pomysł, by córka posyłała je nam z Warszawy. Znała tam adres pana Miętusa i dzięki uprzejmości pana Szafranca otrzymywałem te przesyłki bez ryzyka.

W miarę cofania się wojsk niemieckich machina administracyjna słabła w swej sprawności. Oddawanie mleka dla centryfugi, doprowadzanie bydła na spędy, dostarczanie zboża kontyngentowego, wszystko to robiono apieszale, licząc na rychły koniec niemieckiego panowania. Toteż dożynki na Berdechowie w sierpniu 1943 roku odbywały się w optymistycznym nastroju. Zasiadła cała rodzina, służba, najęci kosiarze i my jako goście – było ze 30 osób, bo przyjechali także ze Świątnicy państwo Biernatowie. Bigosu, drobiu, piwa i wódki było ile kto zapragnął, były także torty, ciasta i herbata. U państwa Cieluchów wędlina domowego wyrobu była lepsza niż ją gdziekolwiek jadłem. Chłopcy śpiewali, pani Biernatowa szła z nimi o lepsze, pan Tadeusz Cieluch i pan Biernat przepijali do siebie ajerkoniakiem, a najlepsi żniwiarze Wilk i Koszyk kłócili się serio o tytuł mistrza. Obok starego pana Cielucha siedziała pani Krukowa pełna godności, a coraz czerwieńsza od piwa. Dzieci zjadały się tortami przy osobnym stole, a panny Cieluchówny pracowały w kuchni i obnosiły półmiski. Nie było wtedy jeszcze ciągłych wizyt żandarmerii, ani też kwaterymistrzów. Jedyną groźbą realną był Szczypota, który chciał ze zwykłego szantażysty stać się agentem politycznym i odznaczyć się wykryciem jakiejś większej afery. Na razie siedział cicho.

Ale wizyty polskiej policji były częste. Raz przyszli do nas latem, większą paczką, i zastali tam towarzystwo ze dworu i nas siedzących przed dworem na ławkach, bo był ciepły wieczór. Komendant Lasko na werandzie rozmawiał z panem Cieluchem, a jego podwładni i inni policjanci z sąsiednich posterunków siedzieli na dworze; zza gościńca dochodziła muzyka. Była to zabawa dożynkowa u pana L. – na której hulał też i Dywan. Wiedział, że o sto kroków od niego jest policja: „to nie oni za mną chodzą, tylko ja za nimi”. Wkrótce dwaj młodszy policjanci znużeni czekaniem postanowili iść na zabawę. Poszli, ale oczywiście Dywana nie zastali, bo on naprawdę lepiej uważał na nich niż oni na niego. Obława odbyła się dopiero rano, ale z przyprowadzonych ludzi wypuszczono niemal wszystkich. Chodziło wtedy o nałogowych złodziei. Co do nich miał jednak komendant Lasko zdanie, które ujawnił w dyskusji z jednym z kolegów owego wieczoru: nawet złodzieja nie chce dawać Niemcom w ręce, bo złodziejowi należy się według prawa obrona, jawny sąd i sposobność do wyflu-